

Dan Simmons

Ostrze Darwina

(Darwin's Blade)

Przekład Ewa Wojtczak

Książkę tę poświęcam Wayne'owi Simmonsowi i Stephenowi Kingowi. Mojemu bratu Wayne'owi za niezmiennie poczucie humoru, którego nie pozbawiła go nawet praca – codzienne śledztwa w sprawie wypadków samochodowych, a Stephenowi, który z powodu czyjejś niewytłumaczalnej głupoty poczuł na chwilę niebezpieczny dotyk czubeczka ostrza Darwina, pragnę wyrazić wdzięczność za to, że ciągle jest z nami i nadal chce nam opowiadać kolejne historie.

Autor pragnie podziękować Wayne'owi A. Simmonsowi i Trudy Simmons za pomoc i rady, jakie od nich otrzymał podczas zbierania materiałów do tej powieści.

Dziękuję też kierownictwu portu szybowcowego Warner Springs za udzielenie mi zgody na sprawdzenie moich teorii związanych z walką powietrzną i przetestowanie pod tym kątem jednego z ich wyczynowych szybowców. Chcę również podziękować „The Accident Reconstruction Journal”, Scout Sniper School Marynarki Stanów Zjednoczonych w Cjuantico, w stanie Wirginia oraz Camp Pendleton w Kalifornii. Wiele zawdzięczam także pismom Stephena Pressfielda na temat greckich teorii związanych z badaniem strachu i umiejętnością jego opanowania oraz Jimowi Landowi za doskonały podręcznik dla snajperów. Artyście z filii Acura koncernu Honda Motor, czyli człowiekowi, który ręcznie zmontował silnik mojej acury NSX, mogę powiedzieć jedynie: *Dorno arigato gozaimasu*. I spytać: *Shuri o onegai dekimasu ka?*^[jap.] – Dziękuję panu bardzo. Czy może pan go naprawić?]

Wszystkie nieszczęśliwe zdarzenia i kolizje drogowe omawiane w *Ostrzu Darwina* oparte zostały na prawdziwych sprawozdaniach z rekonstrukcji wypadków zarówno samochodowych, jak i innych, choć dla celów powieściowych każde opisane tu śledztwo zmieniłem w mieszaninę faktów z kilku realnie przeprowadzonych dochodzeń. Na koniec pragnę złożyć podziękowania wszystkim oficerom śledczym badającym przyczyny rozmaitych wypadków oraz ekspertom od ich rekonstrukcji. Profesjonalizm tych wszystkich osób, ich umiejętności analityczne i osobliwe poczucie humoru dodały tej powieści blasku. Właśnie tym ludziom zawdzięczam precyzję i wszelkie pozory rzeczywistości widoczne w książce. Jeśli zaś chodzi o pomyłki – autorem ich wszystkich jestem wyłącznie ja sam.

Brzytwa Ockhama: „Wśród równorzędnych rozwiązań najwłaściwsze jest zwykle to najprostsze”.

William Ockham, wiek XIV

Ostrze Darwina: „Wśród równorzędnych przyczyn najczęstszą jest zwykle głupota”.

Darwin Minor, wiek XXI

Rozdział pierwszy

A JAK AROGANT

Telefon zadzwonił kilka minut po czwartej rano.

– Lubisz wypadki, Dar, dlatego musisz przyjechać i obejrzeć ten.

– Nie lubię wypadków – odparował Darwin Minor. Nie spytał, kto dzwoni.

Natychmiast rozpoznał głos Paula Camerona, chociaż nie kontaktowali się już od ponad roku. Cameron był sierżantem, funkcjonariuszem stanowej policji drogowej zwanej California Highway Patrol (w skrócie CHP) i działał w okolicach Palm Springs.

– No cóż – rzucił Cameron. – Powiedzmy zatem, że lubisz rozwiązywać łamigłówki.

Darwin odwrócił się, aby sprawdzić godzinę.

– Nie osiem minut po czwartej rano – odciął się.

– Ta jest naprawdę warta twojej uwagi – głos w słuchawce brzmiał głucho, jakby sierżant łączył się przez radio albo dzwonił z telefonu komórkowego.

– Gdzie?

– Montezuma Valley Road – odrzekł Cameron. – Z półtora kilometra w głąb kanionu, w miejscu, gdzie droga S-22 schodzi ze wzgórz w pustynię.

– Jezu Chryste – wymamrotał Darwin. – Mówisz o Borrego Springs. Będę się tam tłukł dobre dziewięćdziesiąt minut.

– Nie, jeżeli pojedziesz swoim czarnym samochodem – zarechotał Cameron. Jego chichot zlał się ze zgrzytami i zakłóceniami kiepskiego połączenia.

– Jakiego rodzaju kraksa może mnie wysłać do Borrego Springs przed śniadaniem? – spytał Dar, siadając prosto. – Wielki karambol? Kilka pojazdów?

– Nie wiemy – odparł sierżant, wciąż lekko rozbawionym tonem.

– Co to znaczy, że nie wiecie? Nie wysłałeś jeszcze nikogo na miejsce wypadku?

– Ależ ja dzwonię z miejsca wypadku! – funkcjonariusz przekrzykiwał zakłócenia.

– I nie wiesz, ile samochodów brało udział w stłuczce? – Dar miał nadzieję, że znajdzie papierosa w szufladzie stolika przy łóżku. Rzucił palenie dziesięć lat temu, tuż po śmierci żony, nadal jednak w stresujących sytuacjach odczuwał głód nikotynowy.

– Nie możemy nawet stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, jakiego rodzaju pojazd czy pojazdy uczestniczyły w zderzeniu – Cameron wypowiedział to długie zdanie powoli, oficjalnym i protekcjonalnym tonem, którego policjanci używają podczas rozmów służbowych.

– Co masz na myśli? – spytał Dar. Potarł podbródek, usłyszał odgłos

przypominający tarcie papierem ściernym i potrzęsnał głową. Widział mnóstwo efektów zderzeń czołowych i innych kraks, do których doszło z powodu nadmiernej prędkości pojazdów. Rzeczywiście czasami trudno było odgadnąć model i pierwotny kształt wraku. Szczególnie w nocy.

– Mówię, że nie wiemy, czy rozbił się jeden samochód, kilka samochodów, samolot czy pieprzone UFO – odparł sierżant CHP. – Jeśli tego nie zobaczysz, Darwin, będziesz żałował przez resztę swoich dni.

– Co ty...? – zaczął Dar, lecz umilkł, gdyż Cameron się rozłączył. Minor postawił nogi na ziemi i siedząc nadal na łóżku, zapatrzył się w rozciągającą się za oknami jego wysokiego mieszkania ciemność. Wymamrotał: – Cholera. – Wstał. Musiał wziąć szybki prysznic.

Dojazd z San Diego zabrał mu dokładnie pięćdziesiąt osiem minut. Acura NSX gnała nawet na ostrych kanionowych zakrętach, a na długich odcinkach prostej osiągała maksymalną prędkość. Darwin włożył przenośny wykrywacz radaru do schowka na rękawiczki, zakładał bowiem, że wszystkie pojazdy patrolujące autostradę S-22 udały się na miejsce wypadku. Zaczęło świtać, gdy Minor wjechał na ponadkilometrowy stromy zjazd i ruszył w dół, obok Ranchita ku Borrega Springs i pustyni Anza-Borrega.

„Jednym z problemów specjalisty od rekonstrukcji wypadków – myślał Dar, wrzucając trzeci bieg i bez wysiłku pokonując zacieśniający się zakręt, równocześnie wsłuchując się w cichy, gardłowy, oznaczający zmniejszanie prędkości pomruk auta, a w końcu przełączając na czwórkę i znowu pędząc – jest towarzyszące mu ciągle wspomnienie śmiertelnej w skutkach głupoty ludzkiej, którą widzi podczas jazdy niemal na każdym kilometrze każdej przeklętej autostrady”.

Acura z rykiem wspięła się na niskie, rozświetlone blaskiem przedświt wzgórze, po czym z warkotem silnika rozpoczęła długi zjazd krętą drogą do kanionu położonego kilka kilometrów niżej.

„Na przykład tam” – myślał Minor, zerkając szybko na niczym nie wyróżniający się obszar z długą starą barierką na drewnianych słupkach wyposażonych w migające światełka. Obok był ostry zakręt. „Właśnie tam”.

Niewiele ponad pięć lat temu Darwin przyjechał w to miejsce ledwie trzydzieści pięć minut po wypadku. Szkolny autokar uderzył w starą barierkę, ściał ponad osiemnaście metrów, przeleciał nad nasypem, trzykrotnie się przetoczył, po czym zsunął się po stromym, usianym gładzami stoku, spadając w wąski strumień poniżej, gdzie legł na boku z roztrzaskanym dachem. Autokar należał do wydziału

szkolnictwa, rejon Desert Springs i wracał z „Ekotygodnia” – kilkudniowej górskiej wycieczki kempingowej; wioził czterdziestu jeden szóstoklasistów i dwoje nauczycieli. Gdy Dar tu przybył, ambulanse i helikoptery Flight-For-Life wciąż zabierały poważnie ranne dzieci, a rozstawione na skalistym zboczu pary sanitariuszy przekazywały z dołu do góry nosze z rannymi i ofiarami katastrofy. Ułożone na brzegu strumienia żółte plastikowe worki skrywały przynajmniej trzy młode ciała. Ostatecznie okazało się, że zginęło sześćcioro dzieci i jeden z nauczycieli, dwudziestu czterech uczniów odniosło poważniejsze rany, w tym chłopiec nieodwracalnie sparaliżowany od pasa w dół. Prowadząca autokar kobieta miała jedynie kilka przecięć i stłuczeń oraz złamaną lewą rękę.

Minor pracował wtedy dla National Transportation Safety Board (NTSB), czyli Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu. Rok później odszedł z NTSB i został niezależnym specjalistą od rekonstrukcji wypadków drogowych i innych. Wtedy właśnie zatelefonowano do jego mieszkania w Palm Springs w sprawie kraksy autobusu.

Przez kilka dni po wypadku Dar oglądał w telewizji programy poświęcone tej tak zwanej „straszliwej tragedii” i czytał relacje w dziennikach. Stacje telewizyjne Los Angeles oraz gazety uznały początkowo prowadzącą autokar kobietę za bohaterkę i tak ją traktowano we wszystkich reportażach i artykułach. Wniosek taki wypływał też z wywiadu z kierowcą przeprowadzonego tuż po wypadku i z zeznań uczestników kraksy, między innymi nauczyciela, który siedział za jednym z zabitych dzieci. Przedstawiciele mediów ustalili, że po prostu zawiodły hamulce autokaru – mniej więcej półtora kilometra za miejscem, w którym pojazd rozpoczął długi, stromy zjazd. Kierowca, czterdziestojednoletnia rozwiedziona matka dwojga dzieci, krzykiem powiadomiła o tym fakcie pasażerów i kazała im się czegoś chwycić. Później nastąpiło dziewięć i pół kilometra przerażającej jazdy. Prowadząca autokar starała się ze wszystkich sił utrzymać na drodze rozszalały pojazd, a ponieważ hamulce nie działały, na ostrych zakrętach dzieci spadały z siedzeń. Nieludzkie zmagania kobiety zakończyły się w strumieniu i wszyscy zgodnie ocenili, że nie mogła nic więcej zrobić, cudem utrzymując pędzący autokar na drodze tak długo, jak mogła.

Dar przeczytał mnóstwo artykułów wynoszących pod niebiosa bohaterstwo kierowcy. Dwie stacje telewizyjne z Los Angeles zaprezentowały reportaż na żywo ze szkolnego zebrania, podczas którego rodzice ocalałych z wypadku dzieci dziękowali kierującej kobiecie za heroiczne próby uratowania autokaru w „beznadziejnych okolicznościach”. „Nocne Wiadomości” NBC pokazały specjalny czterominutowy program nie tylko o tej kobiecie, lecz także o innych kierowcach szkolnych autobusów, którzy zostali ranni lub zginęli „podczas pełnienia obowiązków”. Tom Brokaw nazwał tych ludzi „niedocenionymi bohaterami Ameryki”.

Minor tymczasem zebrał informacje. Szkolny autobus był modelem TC-2000, wyprodukowanym w 1989 roku przez Blue Bird Body Company. Okręgowy oddział szkolnictwa w Desert Springs nabył go w tym samym roku. Pojazd miał układ kierowniczy ze wspomaganiem, silnik diesla oraz czterobiegową, automatyczną skrzynię biegów AT 545, skonstruowaną przez wydział Allison Transmission firmy General Motors. Został też wyposażony w zgodny z federalnym standardem bezpieczeństwa FMVSS podwójny, pneumatyczno-mechaniczny, tarczowo-bębnowy układ hamulcowy typ 121: na przedniej osi – hamulce tarczowe, typ 20, na tylnej – bębnowe, typ 24/30 oraz dodatkowy hamulec awaryjno-parkingowy. Wszystkie hamulce miały czternastocentymetrowe napinacze pasków.

Przy siedzeniu kierowcy znajdował się biodrowy pas bezpieczeństwa, siedzenia pasażerów natomiast nie miały żadnych pasów. Darwin wiedział, że był to standard w przypadku szkolnych autokarów. Rodzice, którzy nigdy nie pozwoliliby dzieciom jechać w rodzinnym aucie bez pasów, radośnie machali na pożegnanie swoim pociechom odjeżdżającym każdego ranka autobusem, w którym żadne z pięćdziesięciu miejsc nie wyposażono w takie zabezpieczenie. W dodatku rzeczony autokar był rażąco przeciążony – jego waga wraz z pasażerami i bagażem kempingowym wynosiła prawie 10 400 kilogramów.

Prowadząca pojazd miała – jak to wyłożyły gazety i sprawozdania telewizyjne – „doskonały poziom bezszkodowości, według danych okręgu”. Testy krwi wykonane w szpitalu natychmiast po wypadku nie wykazały żadnych śladów leków czy alkoholu. Dwa dni po kraksie Dar przeprowadził z kobietą wywiad i jej opis prawie słowo w słowo pokrywał się z zeznaniem, które złożyła w wieczór tragedii podczas przesłuchania przed CHP. Potwierdziła, że około półtora kilometra od punktu startowego, na zjeździe o niewielkim stopniu nachylenia hamulce autobusu „wydawały się dziwaczne i zbyt miękkie”. Wcześniej, gdy wduszała pedał hamulca, pojawiała się światełko ostrzegawcze, sugerujące zbyt niskie ciśnienie w układzie hamulcowym. W tym momencie autokar zaczął się wspinać na kolejne wzgórze i przez następne półtora kilometra zwalniał. Bieg automatycznie zmienił się na niższy, światełko ostrzegawcze znikło, choć mignęło jeszcze kilka razy. Prowadząca uznała, że problem sam się rozwiązał i nie widziała powodu do przerwania jazdy.

Niestety, wkrótce zaczęli kolejny długi zjazd, a wtedy hamulce „po prostu kompletnie zawiodły”. Autobus przyspieszał i kobieta za kierownicą nie mogła go zatrzymać – nie działał hamulec nożny, nie działał także ręczny. W pojeździe dało się wyczuć intensywny odór spalenizny, a z tylnych kół unosił się dym. Kobieta wyłączyła automatyczną skrzynię biegów i ręcznie przełączyła bieg na drugi, lecz ten manewr nic nie pomógł. Chwyła więc radio, ażeby połączyć się z dyspozytorem, musiała jednakże odłożyć mikrofon, potrzebowała bowiem obu rąk, jeśli chciała

utrzymać rozszalały autobus na drodze. Przez prawie dziesięć kilometrów jakoś sobie radziła, pokrzykując czasem do uczniów i nauczycieli: „Pochylić się na lewo!” lub „Przechylcie się na prawo!”. W końcu autobus wpadł na zewnętrzną barierkę, ściał ją i runął w dół. „Nie wiem, co mogłabym wtedy jeszcze zrobić” – powiedziała kobieta podczas rozmowy i rozplakała się. Jej opowieść zgadzała się z relacjami ocalałych dzieci i nauczyciela, z którymi Minor rozmawiał.

Prowadząca pojazd miała lekką nadwagę, ziemistą cerę i wąskie usta. Początkowo Darwin uznał ją za niezbyt rożgarniętą, wręcz gamoniowatą, musiał jednak zachować swoje zdanie dla siebie. Im stawał się starszy i im dłużej pracował w tym fachu, tym głębsza wydawała mu się większość ludzi. A od śmierci żony coraz więcej kobiet uważał za istoty ociężałe umysłowo.

Jego ludzie sprawdzili akta kierowcy. Stacje telewizyjne i gazety donosiły, że kobieta miała „doskonały poziom bezszkodowości, według danych okręgu” i była to prawda, tym niemniej należało zauważyć, że podjęła pracę w okręgu zaledwie sześć miesięcy przed wypadkiem. Według akt Wydziału Komunikacji i Transportu z Tennessee, gdzie mieszkała przed przeprowadzką do Kalifornii, w ciągu pięciu lat raz została przyłapana, gdy prowadziła pojazd pod wpływem alkoholu i dostała dwa mandaty za wykroczenia drogowe. W Kalifornii otrzymała prawo jazdy na autobus i zezwolenie do prowadzenia szkolnych autokarów (zgodę Wydziału Transportu Pasażerskiego); dwa dni po ich wydaniu zatrudnił ją okręg. Miała ważne kalifornijskie prawo jazdy kategorii B (zawodowe), ograniczone wyłącznie do konwencjonalnych autobusów z automatyczną skrzynią biegów. Z danych kalifornijskiego Wydziału Komunikacji i Transportu wynikało również, że dziesięć dni przed wypadkiem kobieta otrzymała dwa mandaty: za odmowę okazania polisy obowiązkowego ubezpieczenia oraz za brak tablic rejestracyjnych. Akta CHP sugerują, że do czasu uzupełnienia braków zatrzymano jej prawo jazdy, które zwrócono zaledwie w przededniu wypadku, gdy wypełniła w wydziale komunikacji i transportu formularz SR-22 (potwierdzenie odpowiedzialności cywilnej). W dniu kraksy nie miała więc do zapłacenia żadnych zaległych mandatów. Przeszła pięćdziesięcioczerogodzinne szkolenie, w ramach którego dwadzieścia jeden godzin spędziła za kierownicą podobnego do uczestniczącego w wypadku autobusu; niestety nie ćwiczyła na stromych, górskich drogach.

Raport Dara w sprawie fizycznych uszkodzeń autobusu zajął cztery pojedyncze kartki. Minor ustalił w nim, że nadwozie oddzieliło się od podwozia, dach się załamał i wgniół do środka od miejsca tuż za siedzeniem kierowcy aż do trzeciego rzędu, lewa strona wgniotła się do wnętrza, odkształcając i łamiąc wszystkie ramy okienne i rozbijając wszystkie szyby po lewej stronie. Oderwały się zderzaki, urwał się jeden gumowy przewód paliwowy, a zbiornik paliwowy został uszkodzony w wielu

miejscach, ale nie pękł, jego osłona zaś nadal solidnie trzymała się podwozia.

Dar przejrzał zalecenia kontroli i napraw dla autobusu i odkrył, że hamulce były regulowane systematycznie co 2400 kilometrów, a cały pojazd poddawano comiesięcznym przeglądom. Ostatnia kontrola odbyła się zaledwie dwa dni przed wypadkiem. Chociaż mechanik stwierdził, że hamulce są nieznacznie rozregulowane i wymagają konserwacji, Darwin nie znalazł dowodów, że ktoś się tym zajął, a testy Rady Bezpieczeństwa potwierdziły nie najlepszy ich stan. Dalsze śledztwo wykazało, że ostatnio okręg zmienił formularze przeglądu dla autobusów miejskich z kalifornijskiego kodeksu przepisów stanowej policji drogowej na rzecz formularzy przystosowanych dla przedsiębiorstw (1040-008 Rev. 5/91). W wypełnionym formularzu znajdowała się parafka głównego mechanika, który dokonał inspekcji stanu pojazdu. Tyle że nowe formularze dopuszczały pewien procent niedokładności, gdyż zalecenia dalszych napraw i kontroli wpisywano ręcznie na ich odwrocie. Najwyraźniej pięciu mechaników podległych głównemu (zgodnie z wytycznymi dla okręgów szkolnych i pojazdów przemysłowych, jeden mechanik przypadał na osiemnaście autobusów) przeoczyło odręczne wpisy.

– No cóż, mamy więc przyczynę – zauważył dyrektor okręgu szkolnego Desert Springs.

– Nie całkiem – odparł Minor.

Trzy tygodnie po kraksie postanowił dokonać jej praktycznej rekonstrukcji. Identyczny model szkolnego autobusu TC-2000 z roku 1989 obciążono 2300 kilogramami worków z piaskiem, które miały symulować ciężar uczniów, nauczycieli i ich bagaży. Pojazd ruszył z wierzchołka Montezuma Valley Road w rezerwacie, gdzie młodzież z opiekunami obozowała w ramach „Ekotygodnia”. Hamulce tego TC-2000 rozregulowano w identyczny sposób co hamulce autokaru z wypadku. Darwin sam zasiadł za kierownicą autobusu testowego, towarzyszył mu jeden ochotnik z NTSB, który kręcił jazdę kamerą wideo. Na czas trwania próby CHP zamknęła trasę. Na poboczu stali członkowie rady szkolnej, ale żaden nie chciał jechać w testowym pojeździe.

Minor skierował autokar w dół pierwszego zjazdu, później półtora kilometra jechał w górę i w końcu zaczął zjazd długą drogą kanionową – w najgorszym miejscu spadek wynosił dziesięć i pół procent – aż zatrzymał pojazd dziesięć metrów za punktem, w którym szkolny autobus wypadł z autostrady. Tu Dar zawrócił pojazd i ruszył z powrotem na szczyt.

– Hamulce działają – oświadczył zgromadzonym członkom rady szkolnej i policjantom z CHP. – Podczas jazdy nie zapaliło się żadne światełko ostrzegawcze hamulca, nie czułem też zapachu spalonych okładzin hamulcowych.

Następnie wyjaśnił, jak doszło do wypadku. Gdy prowadząca autobus opuszczała

obozowisko w rezerwacie, działały wszystkie hamulce: zarówno nożne, jak i ręczne. Po pierwszym odcinku zjazdowym pasażerowie poczuli jednak smród palonych hamulców. A czekały ich wtedy trzy kilometry wspinaczki.

– Hamulce wydzielają zapach – tłumaczył Minor – kiedy bęben i szczęki hamulcowe osiągają temperaturę powyżej mniej więcej trzystu piętnastu stopni Celsjusza.

Nauczyciele, uczniowie i kierowca wyczuli smród spalenizny podczas pierwszego zjazdu i pierwszego wjazdu. Prowadząca zapach zignorowała. Światelko ostrzegawcze pojawiło się na krótko, a potem znów zaczęło migać, kiedy autobus zbliżył się do szczytu ostatniego wzgórza przed długim zjazdem ku Borrega Springs. Ocalały nauczyciel, siedzący w pierwszym rzędzie po prawej stronie, pamięta, że widział mruganie.

– W tamtym momencie podróży istniało tylko jedno techniczne wyjaśnienie migotania światelka ostrzegawczego sugerującego przegrzewanie się hamulca – ciągnął Darwin. – Używano awaryjnych hamulców bez przerwy, przez całą drogę od parkingu kempingu.

W dodatku, jak wytłumaczył zebrany, pozostali przy życiu pasażerowie twierdzili, że autobus „marnie jechał” i „lekkko szarpał” podczas pierwszych trzech kilometrów jazdy pod górę. Prowadząca pojazd lekceważyła wszystkie te znaki ostrzegawcze i bez wahania wjechała w długą zjazdową część drogi kanionowej.

Na podstawie badań Dar ocenił, że w momencie wypadku przednie koła autobusu jechały na luzie, tylne natomiast pozostały zablokowane. Ten typ autobusu wyposażony był w hamulce automatyczne, które włączają się same, bez woli kierowcy, ilekroć ciśnienie powietrza w układzie spada poniżej dwóch kilogramów na centymetr kwadratowy. Z faktu blokady tylnych kół Darwin wywnioskował, że niskie ciśnienie powietrza w układzie hamulcowym automatycznie uruchomiło hamulce, testy Rady Bezpieczeństwa pokazały wszakże, iż układ nie przeciekał, a kompresor powietrza nie był uszkodzony. Niestety, hamulce automatyczne nie zdołały zatrzymać autobusu, ponieważ wcześniej się przegrzały.

Minor wrócił do autobusu testowego, ustawił hamulec parkingowy i znów wyjechał z kempingu. Za nim ruszyła eskorta pojazdów CHP i samochody prywatne. W trakcie jazdy na wzgórze autobus nieznacznie szarpał. Dar i jego pomocnik z kamerą wideo nagrali na taśmę własny komentarz – czuli zapach spalonych hamulców. Jadący za autobusem funkcjonariusze kalifornijskiej policji drogowej zgłosili przez radio, że wyraźnie widzą dym wznoszący się z tylnych kół. W autobusie zapaliło się światelko ostrzegawcze. Minor zatrzymał się krótko w tym samym miejscu, w którym przystanął szkolny autokar, wcisnął hamulce, tak jak kobieta za kierownicą, po czym zaczął długi zjazd w dół. Dwa kilometry dalej, na

stromej drodze kanionowej hamulce zawiodły. Zareagowały automatyczne, lecz te po chwili się przegrzały i autobus zaczął przyspieszać. Kiedy pojazd osiągnął prędkość siedemdziesięciu trzech kilometrów na godzinę, Darwin zmienił trzeci bieg na drugi, a później na pierwszy. Autokar zachwiał się, ale szybko zwolnił do niecałych dwudziestu kilometrów na godzinę, a wtedy Minor wybrał piaszczysty fragment stoku na wewnętrznym odcinku następnej krzywizny, skierował tam autobus i zatrzymał go z zaledwie kilkoma wstrząsami. Sekundę później pojazd otoczyła armada samochodów policyjnych CHP i aut z członkami rady szkolnej. Dar przesiadł się do jednego z samochodów patrolowych i wszyscy pojechali na miejsce wypadku.

– Prowadząca szkolny autokar opuściła kemping z włączonym hamulcem parkingowym, co oznaczało, iż działały oba hamulce awaryjne, przegrzewając cały układ na pierwszych trzech kilometrach – oświadczył tłumowi zgromadzonemu wokół punktu, w którym autobus wypadł z autostrady. – Ciśnienie w układzie spadło poniżej dwóch kilogramów na centymetr kwadratowy. Automatyczne hamulce zareagowały i choć ich wydajność była niska z powodu przegrzania, powinny spowolnić autobus do prędkości poniżej czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. W tej rekonstrukcji mnie się udało.

– I pan jechał szybciej – dodał jeden z dyrektorów.

Minor pokiwał głową.

– Gdy przyspieszałem, ręcznie przełączyłem z drugiego biegu na trzeci, a potem na czwarty – wyjaśnił.

– To samo twierdziła kobieta kierująca autokarem – zauważył przewodniczący rady szkolnej.

Darwin znowu skinął głową.

– Wiem. Tyle że wcale tego nie zrobiła. Badaliśmy skrzynię biegów po wypadku i ustaliliśmy, że została zablokowana na czwartym biegu. Automatyczna skrzynia biegów typu Allison jest tak zaprogramowana, że samoczynnie przesuwa się w dół w przypadku tak nagłego przyspieszenia. Kobieta przełączyła się na sterowanie ręczne i włączyła czwarty bieg. – Tłum gapił się na niego. – Głębokie ślady opon, pochodzące z dnia wypadku, ciągną się przez sto sześćdziesiąt siedem metrów – dorzucił, wskazując nadal widoczne znaki. Wszystkie spojrzenia podążyły za jego palcem. – Układ hamulców automatycznych, chociaż osłabiony przez utratę ciśnienia powietrza z powodu przegrzania, wciąż działał, usiłując zatrzymać autobus, gdy ten wpadł na tę barierkę. – Wszyscy odwrócili się i zagapili w pociętą i poobijaną barierkę. – Pojazd uderzył w nią z prędkością stu kilometrów na godzinę – kontynuował Dar. – Z prędkością niecałych osiemdziesięciu kilometrów na godzinę zjechał z drogi i poleciał aż tam. – Wszystkie głowy odwróciły się z powrotem. – Był na czwartym biegu, kiedy uderzył w barierkę, ponieważ kierująca ten bieg włączyła –

powiedział z naciskiem – a nie dlatego, że skrzynia biegów zawiodła, czy też samoczynnie się przełączyła na najwyższy bieg. Kobieta po prostu spanikowała. Spaliła hamulce, zignorowała zapach palonych okładzin hamulcowych i niezwykle zachowanie pojazdu podczas jazdy pod górę, potem zlekceważyła światelko ostrzegające przed spadkiem ciśnienia płynu hamulcowego i zdecydowała się na zjazd po stromym zboczu, mimo iż na szczycie przełęcz hamulce wydawały jej się „dziwaczne i zbyt miękkie”. Wyłączyła tam automatyczną skrzynię biegów przy prędkości mniej więcej czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę, po czym... przez pomyłkę... przełączyła bieg na czwarty.

Dwa miesiące po kraksie Minor przeczytał na ostatnich stronach miejscowych gazet, że kierującą autokar uznano winną lekkomyślności podczas jazdy i spowodowania w ten sposób niepotrzebnej śmierci aż siedmiu osób. Kobieta otrzymała rok w zawieszeniu i dożywotnio odebrano jej zawodowe prawo jazdy kategorii B. Żadna ze stacji telewizyjnych czy dzienników Los Angeles, które nazwały wcześniej tę samą osobę „niedocenioną bohaterką”, nie omówiła szerzej końcowego aspektu tej historii. Wszędzie pojawiły się jedynie krótkie wzmianki – być może z powodu zakłopotania początkowym entuzjazmem.

Darwin Minor dotarł na miejsce katastrofy z wyłączonymi przednimi światłami; zrobiło się już wystarczająco jasno. Cameron stał w pewnej odległości od miejsca wypadku, nieco mniej niż półtora kilometra od punktu, w którym kanion przechodził w pustynię. Kręta, stroma droga wyglądała w tym momencie jak prawdziwy symbol śmierci drogowej – samochody patrolowe CHP parkowały na poboczu, błyskały światła, wokół ustawiono pachołki, funkcjonariusze drogówki dyrygowali ruchem. Dar dostrzegł też dwa ambulanse i krążący w powietrzu helikopter. Tak, było tu wszystko... oprócz wraków.

Zignorował machającego pałką policjanta i zaparkował na szerokim poboczu po prawej stronie, gdzie stały oficjalne pojazdy rozmaitych służb. Pulsujące czerwone i niebieskie światła zabarwiały co chwilę ściany kanionu. Patrolowy wielkimi krokami podszedł do acury.

– Hej, panie! Nie wolno się tu zatrzymywać. To jest miejsce wypadku.

– Posłał po mnie sierżant Cameron.

– Cameron? – Funkcjonariusz nadal wydawał się zdenerwowany brakiem szacunku Dara dla jego autorytetu. – Po co? Pan z Wydziału Ruchu Drogowego? Mogę zobaczyć jakiś dowód tożsamości?

Minor potrząsnął głową.

– Proszę po prostu powiedzieć sierżantowi Cameronowi, że przyjechał Darwin Minor.

Patrolowy obrzucił go groźnym spojrzeniem, wyciągnął jednak zza paska radio, odszedł kilka kroków na bok i połączył się przez krótkofalówkę. Dar czekał. Nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy funkcjonariusze policji stoją na poboczu cały czas z zadartymi głowami i wpatrują się w ścianę kanionu. Wsiadł z acury i też zerknął na czerwoną skałę. Kilkaset metrów wyżej, na rozległej płóce skalnej, wśród oślepiających świateł dostrzegł pracujących ludzi i działające maszyny. Nie zauważył żadnej drogi ani szlaku do tego stromego urwiska z położonego kilkaset metrów wyżej szczytu, żadna ścieżka nie prowadziła też w dół. W tej samej chwili z występu skalnego wzniósł się mały, zielonobiały helikopter, po czym opadł powoli na podłoże kanionu.

Na widok maszyny, lądującej na oczyszczonym terenie pobocza, Minorowi aż zrobiło się słabo. „LHO” – pomyślał. Tak je nazywali wiele lat temu w Wietnamie. LHO, czyli Lekki Helikopter Obserwacyjny. Dar przypomniał sobie, że oficerowie uwielbiali nimi latać. Teraz używała ich drogówka i inne służby policyjne. To był prawdopodobnie Hughes 55.

– Darwinie! – Sierżant Cameron i jakiś inny policjant patrolowy wyskoczyli z helikoptera i na wpół kucając, wybiegli spod wirujących łopat.

Paul Cameron był mniej więcej w jego wieku, a zatem miał pod pięćdziesiątkę. Był wielkim Murzynem o potężnej piersi i nosił starannie przystrzyżony wąsik. Minor wiedział, że Cameronowi zostało jeszcze trochę do emerytury, gdyż późno zaczął policyjną karierę. Wcześniej służył w marines, gdzie trafił, gdy Darwin stamtąd odchodził.

Sierżantowi towarzyszył młody policjant – biały dwudziestokilkulatek o twarzy dziecka i ustach przywodzących na myśl Elvisa Presleya.

– Doktor Darwin Minor, a to patrolowy Mickey Elroy. Właśnie o tobie mówiliśmy, Dar.

Młody funkcjonariusz popatrzył na Darwina z ukosa.

– Naprawdę jest pan doktorem?

– Tak, choć nie doktorem medycyny, lecz fizyki.

Patrolowy Elroy zadumał się nad tym stwierdzeniem, tymczasem Cameron spytał:

– Gotów jesteś polecieć i obejrzeć łamigłówkę, Dar?

– Chodźmy – nawet nie starał się ukryć braku entuzjazmu.

– Podobno nie lubisz latać. To prawda? – Głos sierżanta miewał tylko dwa odcienie: rozbawienia albo obrazy. Teraz brzmiał wesoło. – Hej, ale z drugiej strony masz przecież licencję pilota, zgadza się, Dar? Lubisz wyłącznie szybowce czy coś w tym rodzaju?

– Po prostu nie lubię latać jako pasażer – uściślił Minor, tym niemniej wziął z acury torbę z aparatem i podążył za funkcjonariuszami do helikoptera. Cameron usiadł na przednim siedzeniu drugiego pilota, więc Darowi i młodemu patrolowemu pozostała jedynie tylna ławka. Usiedli i zapięli pasy.

„Kiedy ostatnim razem leciałem jedną z tych cholernych maszyn – pomyślał Dar – był to sea stallion wzlatający nad wietnamski reaktor w Dalat”.

Pilot sprawdził, czy wszyscy są przypięci, przekręcił jeden drążek sterowniczy i pociągnął w górę drugi. Mały helikopter poderwał się, zawirował, następnie przechylił do przodu, wznosząc się równocześnie na wysokość wylotu z kanionu. Tu maszyna szarpnęła w tył, przez minutę krążyła nad szeroką, porośniętą bylicą półką skalną, w końcu osiadła na niej ostrożnie; obracające się wirniki znajdowały się nie więcej niż sześć metrów od pionowej ściany skalnej.

Dar wysiadał na drżących nogach. Zastanowił się, czy zamiast wracać helikopterem na autostradę, mógłby poprosić Camerona o zgodę na opuszczenie się po ścianie kanionu na linie.

– Czy to prawda, co mówi sierżant o panu w związku z wahadłowcem kosmicznym? – spytał patrolowy Elroy, lekko wydymając wargi w stylu Elvisa.

– A co mówi? – odpowiedział pytaniem Minor, po czym przyklęknął i przykrył uszy, gdyż helikopter właśnie startował.

– Że pan podejrzewał tę tragedię. Chodzi mi oczywiście o Challenger... Miałem dwanaście lat, kiedy eksplodował.

Darwin potrząsnął głową.

– Nie, byłem tylko zwyczajnym przedstawicielem NTSB w komisji dochodzeniowej.

– Zwyczajnym przedstawicielem, którego NASA wywaliła z hukiem – dodał Cameron, naciągając na głowę wojskowy kapelusz i zapinając pasek pod brodą.

Elroy wyglądał na zaintrygowanego.

– Za co pana wylali?

– Bo im powiedziałem coś, czego nie chcieli słyszeć – odparował Dar. Stojąc na skalnym występie, widział lej w całej okazałości. Otwór miał nieco ponad dziewięć metrów szerokości i mierzył może metr w najgłębszym punkcie. Cokolwiek tu spadło, wybuchło i spłonęło przy wewnętrznej ścianie skalnej, wzniesając przy okazji mały ogień w trawie i bylicy, które rosły wzdłuż występu. Mniej więcej tuzin osób z CHP i techników stało lub kuczało w pobliżu krateru albo w nim.

– Czego nie chcieli usłyszeć? – spytał Elroy, spiesząc za Minorem.

Darwin stanął na krawędzi leju po wybuchu.

– Ze astronauty Challengeera zginęli dopiero podczas eksplozji – odparł, nie skupiając się szczególnie na odpowiedzi. – Wyjaśniłem, że ludzkie ciało to

zdumiewająco elastyczny organizm, toteż moim zdaniem siedmioro astronautów żyło aż do czasu, w której ich kabina uderzyła o powierzchnię oceanu. Spadali dwie minuty i czterdzieści pięć sekund. Chłopak zastygł.

– Jezu Chryste – bąknął w końcu. – To chyba nieprawda, co? Nigdy o tym nie słyszałem. Chciałem powiedzieć, że...

– O co chodzi, Paul? – przerwał Dar. – Wiesz, że już się nie zajmuję katastrofami lotniczymi.

– Wiem – przyznał Cameron, błyskając w uśmiechu mocnymi białymi zębami. Kucnął, zaczął grzebać w spalonej trawie i po chwili rzucił Darowi nadpalony kawałek metalu. – Potrafisz to zidentyfikować?

– Klamka – odrzekł Darwin – od chevroleta.

– Tamci faceci uważają, że to chevrolet el camino z 1982 roku – wyjaśnił sierżant, wskazując techników pracujących w tłącym się jeszcze dole.

Minor spojrział na pionową ścianę skalną po prawej stronie i setki metrów autostrady pod nią.

– To miło – mruknął. – Nie przypuszczam, żeby mogli znaleźć ślady opon na szczycie urwiska.

– Na pewno nie, to lita skała – zgodził się Cameron. – Nie ma tam zresztą żadnej drogi.

– Kiedy doszło do wypadku?

– W nieokreślonym momencie minionej nocy. Około drugiej rano ktoś zgłosił nam ogień.

– A wy od razu przyjechaliście.

– Musieliśmy. Początkowo chłopcy z CHP myśleli, że chodzi o samolot wojskowy.

Dar kiwnął głową i podszedł do żółtej taśmy otaczającej dół w ziemi.

– Dużo skorup. Coś nie należącego do el camino?

– Szczątki ludzkie – odparł sierżant ze smutnym uśmiechem. – Jedna osoba, jesteśmy tego niemal pewni. Prawdopodobnie mężczyzna. Wiesz, ciało jest trochę porzrucane po upadku i eksplozji. Hm... znaleźliśmy też fragmenty aluminium i innego stopu, które nie mają raczej nic wspólnego z chevroletem el camino.

– Drugi pojazd?

– Tak podejrzewają technicy. Albo może części czegoś, co znajdowało się w samochodzie.

– Ciekawe – zadumał się Minor.

Patrolowy Elroy nadal popatrywał podejrzliwie, jakby sierżant chciał sobie z niego zażartować, podsuwając mu Darwina.

– I naprawdę jest pan tym facetem, na cześć którego ustanowiono Nagrodę

Darwina?

– Och nie – zaprzeczył Dar. Chodził wokół leja, starając się nie zbliżyć do krawędzi urwiska. Nie lubił wysokości. Niektórzy ludzie z Wydziału Ruchu Drogowego kiwali mu głowami i witali się. Minor wyjął aparat z torby i zaczął patrzeć przez obiektyw pod różnymi kątami. Wschodzące słońce lśniło w wielu tysiącach kawałków rozrzuconego i osmalonego metalu.

– A co to takiego? – spytał Elroy – Nigdy wcześniej nie widziałem takiego aparatu.

– Cyfrowy – odburknął Dar, skończył robić zdjęcia i kręcić wideo, po czym ponownie spojrzął w dół autostrady. Widoczne z góry wejście do kanionu znajdowało się w jednej linii z jezdnią biegnącą na wschód do Borrego Springs. Minor spojrzął na mały ekran cyfrówki, pstryknął kilka fotek otoczenia, a następnie nakręcił kawałek autostrady, pustyni i krateru.

– No cóż, skoro Nagrody Darwina nie ustanowiono na pańską cześć – naciskał patrolowy – na czym ją nazwano?

– Karola Darwina – odparł Minor. – Słyszałeś o teorii, według której przetrwają najlepiej przystosowani? – Młokos popatrzył tępo. Dar westchnął. – Społeczność śledczych oficerów ubezpieczeniowych przyznaje nagrodę osobie, która w danym roku odda rodzajowi ludzkiemu największą przysługę poprzez usunięcie swojego DNA z puli genowej – zażartował.

Policjant powoli pokiwał głową, ale oczywiście nic z tego nie zrozumiał. Cameron zachichotał.

– Czyli temu, kto w najgłupszy sposób zabije sam siebie – wytłumaczył Elroyowi i zerknął na Minora. – W ubiegłym roku dostał ją ten facet w Sacramento, który tak długo potrząsał maszyną do pepsi, aż na niego spadła i go przygniotła, nieprawdaż?

– Nie, to się zdarzyło dwa lata temu – odciął się Dar. – W ubiegłym roku najlepiej się popisał rolnik z Oregonu, który zniecierpliwiał się nagle podczas pokrywania gontem dachu własnej stodoły, więc przerzucił linę przez szczyt dachu i kazał swemu dorosłemu synowi przywiązać ją do czegoś stałego. Okazało się, że młody człowiek wybrał tylny zderzak ich pikapa.

Cameron głośno się roześmiał.

– Właśnie, dokładnie tak. A potem jego żona wyszła z domu i pojechała do miasta. Czy faceci od ubezpieczeń samochodowych zapłacili w końcu wdowie?

– Musieli – odpowiedział Darwin. – Najwyraźniej stary miał ten punkt w polisie.

Patrolowy Elroy wykrzywił usta w typowym dla Elvisa uśmiechu, lecz naturalnie nie pojął puenty opowieści.

– Więc rozwiążesz dla nas tę zagadkę? – spytał sierżant.

Minor podrapał się w głowę.

– Macie jakieś teorie?

– Ludzie z Wydziału Ruchu Drogowego uważają że chodzi o nieudaną transakcję narkotykową – stwierdził Cameron.

– Tak – przyznał szybko patrolowy. – Wie pan, el camino znajdował się na tyłach tego dużego wojskowego samolotu transportowego...

– C-130? – wtrącił Dar.

– Tak. – Elroy uśmiechnął się. – Gnojki się poróżniły, wypchnęły chevroleta z transportowca i... bingo. – Wycelował w lej niczym *maitre d'hôtel* wskazujący gościom stolik.

Darwin skinął głową.

– Dobra teoria. Tyle że... skąd handlarze narkotyków wzięliby C-130? I po co mieliby transportować nim el camino? Jaki sens go wypychać? No i dlaczego auto eksplodowało i spaliło się?

– Czyż samochody nie wybuchają zawsze, kiedy spadają z urwisk i klifów? – spytał Elroy z blednącym uśmiechem.

– Tylko w filmach, Mickey, mój chłopcze – rzucił sierżant, po czym odwrócił się do Dara i spytał: – A więc? Chcesz zacząć, zanim zrobi się tu gorąco?

Minor kiwnął głową.

– Dobrze, ale mam dwa warunki. – Cameron uniósł gęste brwi. – Zabierz mnie z powrotem do mojego samochodu i pożycz mi swoje radio.

Darwin wyjechał acurą z kanionu i skierował ją na pustynię. Tam przystanął, rozejrzał się przez moment, podjechał jeszcze kawałek, znów się zatrzymał, tym razem patrząc nieco dłużej, po czym zawrócił do pierwszego punktu postoju i ruszył pieszo na pustynię. Po drodze zbierał kamyki i inne leżące tam drobiazgi, wkładając je do kieszeni. Uwiecznił na zdjęciach kilka karłowatych, osobliwie poskręcanych juk oraz piasek, potem wrócił do acury i pstryknął parę ujęć asfaltowej drogi. Pora nadal była wczesna, a ruch nieznaczny – jedynie od czasu do czasu jednopasmową szosą kanionową jechała furgonetka lub pikap. Temperatura na pustyni przekroczyła już jednak dwadzieścia pięć stopni Celsjusza, więc Minor, siedząc w czarnej acurze, pozostawionej na jałowym biegu na zwirowym zakręcie w odległości półtora kilometra od wejścia do kanionu, zdjął kurtkę i włączył klimatyzację. Włączył laptopa, ThinkPada firmy IBM, przegrał z karty pamięci cyfrowego aparatu Hitachi wykonane zdjęcia i przeglądał je przez kilka minut. Później obejrzał krótkie fragmenty wideo, które nakręcił. W końcu uruchomił klawiaturę numeryczną i jakiś czas wstukiwał równania, przerywając na moment, aby aktywować mapę

elektroniczną i wyjąć ze skrytki na rękawiczki urządzenie GPS. Dwukrotnie sprawdził odległości, kąty i wysokości, później dokończył obliczenia, zamknął laptopa, odłożył go i połączył się z Cameronem przez pożyczone wcześniej radio. Odkąd opuścił skalny występ, minęło już trzydzieści pięć minut.

Pięć minut później zielonobiały helikopter zawirował mu nad głową i wylądował. Pilot pozostał wewnątrz kabiny, sierżant natomiast wysiadł, poprawił kapelusz i podszedł do acury.

– Gdzie młody Elvis? – spytał Dar.

– Elroy – skorygował sierżant.

– Jak zwał, tak zwał.

– Zostawiłem go. Wystarczy mu ekscytacji na dziś rano. Poza tym zbyt lekceważąco wypowiada się na temat starszych.

– Tak?

– Gdy odszedłeś, nazwał cię arogantem i dupkiem – wyjaśnił Cameron.

Minor uniósł brwi.

– Dupkiem?

Przyjaciół z marines wzruszył ramionami.

– Przepraszam, stary. To nie jest zły chłopak, ale nigdy nie był biedak w wojsku. Typowy przedstawiciel pokolenia X i tak dalej. W dodatku biały. No i ma ostry język. Przepraszam cię za niego.

– Ale żeby dupkiem? – powtórzył Dar.

– Co masz dla mnie? – Cameron był wyraźnie zmęczony i porzucił rozbawiony ton na korzyść bardziej typowej dla siebie irytacji.

– A co dostanę od ciebie za moje rewelacje? – odparował Minor.

– Dozgonną wdzięczność CHP – odwarknął sierżant.

– Domyślam się, że musi mi to wystarczyć. – Darwin popatrzył z ukosa na mały helikopter, który wydawał się migotać, gdy fale gorąca wznosiły się znad autostrady między nim i acurą. – Chociaż nienawidzę latać tymi cholernymi maszynami, muszę ci coś pokazać z góry, więc najlepiej będzie, gdy szybko do niej wsiądziemy.

Cameron wzruszył ramionami.

– Miejsce wypadku?

– Jasne. Nie mam ochoty lecieć znów w kanionie. Powiedz swojemu pilotowi, że wskażę mu kierunek. Niech nie wznosi się wyżej niż sto pięćdziesiąt metrów.

Lecieli nad autostradą mniej więcej w odległości ośmiuset metrów na wschód od miejsca, gdzie Dar zostawił zaparkowaną acurę.

– Widziałeś ten zniszczony i nadpalony fragment asfaltu w pobliżu rozjazdu? – spytał Minor przez mikrofon ze słuchawkami.

– Tak, pewnie, teraz go widzę. Rano, kiedy tędy jechałem, było zbyt ciemno. No i co z tego? Autostrada jest podobnie uszkodzona w tysiącu miejsc. Marnie o nią tu dbają.

– Zgadza się – przyznał Darwin. – Ten odcinek drogi wygląda jednak osobliwie. Jakby asfalt się stopił, a następnie ponownie stężał.

Cameron znowu wzruszył ramionami.

– Pustynia, człowieku. Ile ma być dziś stopni? – odwrócił się do pilota.

– Czterdzieści pięć – odparł pilot, ani na moment nie zerkając w ich stronę. Jego skryte za okularami przeciwsłonecznymi oczy skupiały się całkowicie na przyrządach i horyzoncie. – Prawie.

– No tak – mruknął Dar. – Wracajmy więc do mojej acury.

– To wszystko? – spytał Cameron.

– Cierpliwości. – Wznosili się sto metrów nad autostradą. Jakieś kombi pędziło pod nimi na zachód, z obu tylnych okien wystawały dziecięce główki, zadarte i zagapione na helikopter. Acura wyglądała jak czarna świeca woskowa, która stopiła się z gorąca. – Widzisz te ślady hamowania? – spytał Dar.

– Tak, jasne, że widzę – odparł sierżant. – Ale są dwa i pół kilometra od kanionu, czyli ponad trzy kilometry od miejsca wypadku. Twierdzisz, że ktoś stracił panowanie nad kierownicą wpadł tutaj w poślizg, a rozbił się prawie pięć kilometrów stąd, w dodatku na ścianie kanionowej położonej niemal czterdzieści metrów wyżej. Szybki z niego gnojek. – Cameron uśmiechał się, lecz nie wydawał się rozbawiony.

– Długie są te ślady – wyjaśnił Minor, wskazując na równoległe znaki biegnące na zachód.

– Jakieś dzieciaki paliły gumę. Tutaj co kilkaset metrów znajdziesz takie ślady opon. Sam o tym wiesz, Dar. Mamy szczęście, jeśli rano nie natykamy się na małolatów we wraku.

– Zmierzyłem te ślady – kontynuował Minor. – Ciągną się przez pięćset sześćdziesiąt metrów. Jeśli jakiś dzieciak sprawdzał szybkość swojego chevroleta, cholernie długo hamował i zostawił większą część opon na asfalcie. A jeżeli są to ślady hamowania...

– Co chcesz przez to powiedzieć? – przerwał mu Cameron.

– Chodzi mi po prostu o współczynnik tarcia. Nasz el camino próbował się tutaj zatrzymać i nie mógł. Hamulce się stopiły. – Dar włożył rękę do kieszeni, po czym wręczył sierżantowi kilka małych i większych kulek z czegoś, co wyglądało jak stopiona guma.

– Hamulcowe okładziny cierne? – spytał Cameron.

– Raczej resztki, które z nich zostały – odparł Darwin. Dał sierżantowi kilka innych maleńkich kulek, tym razem metalowych. – To z kolei odpryski z powierzchni stopionych bębnow hamulcowych – wyjaśnił. – Na pniach juk rosnących wzdłuż tego odcinka możesz zobaczyć drobiny zarówno sproszkowanej gumy, jak i stopionej stali.

– Chevrolety el camino zawsze miały gówno warte hamulce – zauważył Cameron, przesuując kulki w ciemnej dłoni.

– Rzeczywiście – zgodził się Minor. – Szczególnie gdy próbujesz wyhamować z jakichś czterystu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Ilu? Czterystu osiemdziesięciu kilometrów?! – zawołał sierżant. Dolna szczęka lekko mu opadła z zaskoczenia.

– Ładujmy – mruknął Darwin. – Wyjaśnię ci wszystko na ziemi.

– Sądzę, że zrobił to po zmroku – tłumaczył Minor. – Zapewne nie chciał, żeby ktokolwiek zauważył, jak dołącza raketowe silniki startowe. Zamontował je na tym rozjeździe, a później...

– Raketowe silniki startowe?! – powtórzył Cameron. Zdjął kapelusz i palcami stał pot z czoła.

– Dokładnie tak – odparł Darwin. – Mówiąc potocznie, pomocnicze odrzutowe przyspieszacze startu. Są to wielkie samodzielne silniki raketowe na paliwo stałe. Kiedyś używały ich wojska lotnicze do podrywania z ziemi ciężkich transportowców, szczególnie jeśli pas startowy był zbyt krótki lub ładunek zbyt...

– Wiem, co to są pieprzone odrzutowe przyspieszacze startu – odburknął sierżant. – Pamiętasz, stary? Też byłem w piechocie morskiej. Powiedz mi lepiej, skąd jakiś małoletni ćpun jeżdżący el camino z 1982 roku wziął dwa silniki raketowe?

Dar wzruszył ramionami.

– Z bazy lotniczej Andrews, leży nieco na północ stąd, albo z Twelve Palms, całkiem niedaleko tą drogą. Tu wokół jest chyba więcej baz wojskowych niż na każdym innym tej wielkości terenie w Stanach. Kto, u diabła, wie, jakie nadwyżki żołnierze wyprzedają albo wymieniają na boku.

– Raketowe silniki startowe! – zadumał się Cameron, patrząc na długie ślady hamowania. Przeplatały się w kilku miejscach, lecz później znów się rozdzielały i biegły równolegle niczym czarna strzała o dwóch trzonkach, ciągnąca się do odległego kanionu. – Po co właściwie używa się dwóch?

– Dla równowagi – wyjaśnił Dar. – Gdyby facet odpalił tylko jeden, a nie umieściłby go idealnie pośrodku masy el camino, pojazd tylko niczym bączek obracałby się wokół własnej osi, z nieszczęśnikiem w środku.

– Rozumiem – odrzekł sierżant. – Kierowca przywiązał, przykręcił lub przymocował w inny sposób dwa z tych zdobytych od wojska silników rakietowych. Co dalej?

Minor potarł podbródek. Tak bardzo się tu spieszył, że nawet nie zdążył się ogolić.

– Potem poczekał na przerwę w ruchu na drodze i je odpalił. Prawdopodobnie zastosował prosty obwód. Czyli że gdy odpalił silniki, nie mógł ich już powstrzymać. To przecież silniki rakietowe o dużej mocy, jakby miniaturowe wersje tych, które montuje się w wahadłowcach kosmicznych. Odpalasz je i w drogę. Nie ma odwrotu.

– Więc chevrolet zmienił się w wahadłowiec kosmiczny – dokończył Cameron ze zdziwioną miną. Zapatrzył się w odległe o trzy kilometry góry. – Doleciał aż do tej ściany i w nią rąbnął, tak?

– Nie leciał przez całą drogę – oświadczył Dar, włączając laptop i wskazując jakieś obliczenia z zastosowaniem delta-v. – Mogę się tylko domyślać ciśnienia, jakie wyzwoliły te rakiety. Ich płomień stopił tamte fragmenty autostrady i prawdopodobnie wystrzelił kierowcę z siedzenia z prędkością ponad czterystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Stało się to mniej więcej w punkcie, w którym zaczynają się ślady hamowania. Podejrzewam, że doszło do tego jakieś dwanaście sekund po odpaleniu.

– Piekielna jazda – oszacował Cameron.

– Może dzieciak chciał pobić rekord jazdy na ziemi – zgodził się Minor. – W okolicy miejsca, gdzie stoją słupy telefoniczne, błyskając w ciemnościach jak parkan... gdy oświetlił je płomień z silników rakietowych, nasz chłopiec chyba postanowił zrezygnować. Wtedy wcisnął hamulce.

– Na wiele mu się to przydało – mruknął sierżant. Mówił teraz niemal szeptem.

– Okładziny hamulcowe po prostu się stopiły – przyznał Darwin. – Tak samo bębny hamulcowe. Opony zaczęły się rozpadać. Zauważ, że tak mniej więcej na ostatnich stu metrach ślady na drodze są poprzerywane.

– Hamulce to działały, to zawodziły? – spytał Cameron.

Minor wyczuł w jego głosie nowy ton. Sierżant już przewidywał przyjemność związaną w wielokrotnym opowiadaniem tej historii. Policjanci kochają niezwykle opowieści o wypadkach drogowych. Dar potrząsnął głową.

– Nie, nie. W tym miejscu stopiło się akurat ogumienie. El camino zrobił kilka skoków po dziewięć, dwanaście metrów każdy, zanim wzniósł się w powietrze.

– Jasna cholera – oświadczył Cameron prawie wesołym tonem.

– Tak – ciągnął Darwin. – Znaki kończą się w momencie, w którym doszło do całkowitego stopienia. Właśnie tam rakietowe silniki startowe doprowadziły do startu pod kątem trzydziestu sześciu stopni. Wzlot el camino musiał wyglądać imponująco.

– Niech mnie szlag. – Sierżant uśmiechnął się. – Więc te rakiety paliły się aż do ściany urwiska?

Minor znów zaprzeczył.

– Przypuszczam, że wypaliły się jakieś piętnaście sekund po starcie. Reszta jazdy młodzieńca była czystym lotem. – Wskazał na mapę GPS na ekranie laptopa, z prostymi równaniami na prawo od łukowatej trajektorii biegnącej od pustyni do ściany kanionu.

– Droga skręca i zaczyna się pięć tam, gdzie uderzył – spostrzegł Cameron.

Darwin skrzywił się nieznacznie. Denerwowało go, gdy ktoś używał czasowników w stronie czynnej na określenie tego typu sytuacji.

– Tak – mruknął. – Nie zrobił skrętu. Tutaj el camino zawirowało w poziomie wokół własnej osi, wykazując stabilność lotu podczas opadania.

– Jak kula wystrzelona z karabinu.

– Dokładnie.

– Jaki twoim zdaniem osiągnął... nie mogę sobie przypomnieć tego słowa... najwyższy punkt?

– Chodzi ci o apogeum? – spytał Dar i zerknął na ekran komputera. – Dotarł prawdopodobnie nie niżej niż na sześćset dziesięć i nie więcej niż osiemset pięćdziesiąt pięć metrów ponad poziom pustyni.

– Cholera jasna – szepnął ponownie Cameron. – Krótka podróż, ale musiała być cholerna.

Darwin potarł ucho.

– Obawiam się, że po około piętnastu sekundach nasz facet z uczestnika zmienił się wyłącznie w biernego widza.

– Co masz na myśli?

Minor dotknął ekranu.

– Twierdzę, że nawet przy najniższym tempie wznoszenia nasz bohater opuszczał asfalt przyciśnięty grawitacją osiemnastu G. Gdyby ważył dziewięćdziesiąt kilo, miałby...

– Miałby na twarzy i piersi odpowiednik ponad półtora tysiąca dodatkowych kilogramów – dokończył sierżant. – O rany! – Nagle w jego radiu zaskrzeczało. – Przepraszam – powiedział. – Muszę odebrać. – Odszedł kilka metrów i wsłuchał się w zgrzyty i trzaski, Darwin tymczasem wyłączył komputer i włożył go do acury. Samochód znowu chodził na jałowym biegu, dzięki czemu działała klimatyzacja. Cameron podszedł bliżej. Jego mina wyglądała na osobliwe skrzyżowanie uśmiechu i grymasu. – Technicy właśnie wykopali w leju kierownicę od el camino – oświadczył cicho. Dar czekał na ciąg dalszy. – Kości palców kierowcy pozostały wbite w plastik – kontynuował. – Głęboko wbite...

Minor wzruszył ramionami. Jego telefon zabrzęczał. Otworzył go, mówiąc do Camerona:

– To właśnie kocham w Kalifornii, Paul. Nie ruszasz się bez komórki. I wszędzie masz zasięg. – Wsłuchiwał się przez chwilę, po czym rzucił: – Będę za dwadzieścia minut. – Prztyknięciem zamknął telefon.

– Czas ruszać do prawdziwej roboty? – spytał Cameron. Teraz szczerze się uśmiechał i wyraźnie zapamiętywał tę frazę, aby w przyszłości powtarzać ją temu i owemu.

Darwin kiwnął głową.

– Dzwonił Lawrence Stewart, mój szef. Ma dla mnie sprawę jeszcze dziwniejszą niż to gówno.

– *Semper fi* [*Semper fi(des)* (łac.) – Zawsze wierni; motto marines.] – rzucił Cameron do nikogo w szczególności.

– *O seclum insipiens et inficetum* [(łac.) – O bezrozumna i prostacka epoko.] – odparował Dar do tej samej widowni.

Rozdział drugi

B JAK BUD

Mniej niż kwadrans zajęło Minorowi dotarcie do skrzyżowania, przy którym mieścił się postój dla kierowców ciężarówek, z barem i indiańskim kasynem. To tam jego szef, Lawrence Stewart, polecił mu się zjawić jak najszybciej. Acura potrafiła osiągać dwieście sześćdziesiąt kilometrów na godzinę i z taką prędkością Dar przejechał większość drogi, choć często towarzyszyło mu brzęczenie przenośnego detektora radaru.

Postój ciężarówek znajdował się na zachód od Palm Springs, kasyno jednakże nie należało do największych spośród prowadzonych przez Indian tego typu instytucji hazardowych, które – wyrastając na pustyni w kształcie pseudopueblo z cegły suszonej na słońcu – niczym gigantyczne odkurzacze wysysały do ostatniego centa kieszenie białych frajerów. Budynek był niewielki, obskurny, zaniedbany, wręcz zaczynał popadać w ruinę. Jednym słowem wyglądał, jakby przeżył swój najlepszy okres w tym samym czasie co historyczna, od dawna nieużywana i odległa od niego droga numer 66. Na samo kasyno składał się jeden pokój z sześcioma automatami do gier na tyłach i jednookim Indianinem, z którym można było zagrać w blackjacka, a ten stał tu chyba przez całą dobę.

Darwin od razu dostrzegł Lawrence'a, zresztą trudno go było przeoczyć, mierzył metr osiemdziesiąt osiem i ważył sto kilkanaście kilo. Miał przyjazną wąsatą twarz, mocno w tej chwili zarumienioną. Isuzu trooper Stewarta, rocznik 1986, stał zaparkowany z dala od dystrybutorów paliwa i otwartych drzwi garaży, na pomarszczonym od gorąca pasie betonu, dokładnie naprzeciw baru przy postoju dla ciężarówek.

Minor rozejrzał się za zacienionym miejscem, w którym mógłby zostawić acurę, nie znalazł takiego i w końcu zaparkował swoje małe auto obok wielkiego pojazdu Lawrence'a. Raz tylko rzucił okiem i wiedział, że coś jest nie tak. Stewart zdjął już lewe przednie światło isuzu i ostrożnie ułożył zarówno żarówkę, jak i inne części na czystej szmatce na wysokiej masce auta. Teraz prawa ręka Lawrence'a tkwiła głęboko w pustej oprawce reflektora, palce lewej zaś zacisnął na nadgarstku prawej, za który ciągnął, jakby auto go przytrzymało i nie chciało puścić; równocześnie rozmawiał przez komórkę, mocno przyciskając ją do ucha barkiem. Stewart miał na sobie dzinsy i koszulę safari z krótkim rękawem. Widać było, że spocił się na piersi, pod pachami i w dolnej części pleców. Gdy Dar spojrział ponownie, pojął, że okrągła twarz Lawrence'a jest nie tyle zarumieniona, co wręcz czerwona... i że wyglądał na bliskiego zawału.

– Hej, Larry – zagaił Minor, zatrzasnąwszy za sobą drzwiczki acury.

– Cholera, nie nazywaj mnie „Larry” – zahuczał tamten w odpowiedzi.

Problem w tym, że dosłownie wszyscy wołali na Lawrence’a Larry. Darwin spotkał kiedyś starszego brata szefa, pisarza nazwiskiem Dale Stewart i ten powiedział mu, że Lawrence „Nie nazywaj mnie Larry” już od siódmego roku życia toczył tę z góry skazaną na przegraną bitwę o swoje imię.

– Dobra, Larry – zgodził się uprzejmie Darwin, podchodząc do prawego zderzaka isuzu. Pochylił się nad autem, starając się postawić łokieć na szmatce, by uniknąć kontaktu z rozgrzaną karoserią. – Co się dzieje?

Stewart wyprostował się i rozejrzał wokół. Po policzkach i czole spływały mu wielkie krople potu, skapując na koszulę safari. Mężczyzna nieznacznie kiwnął głową ku szybie baru.

– Widzisz tamtego faceta na trzecim stołku...? Nie, nie, psiakrew, odwróć dyskretnie głowę!

Dar zerknął więc na wskazane długie okno, nie odwracając twarzy od Lawrence’a.

– Mały gościu w hawajskiej koszuli? Dopiero co skończył... Hm... Co takiego?... Jajecznicę?

– Właśnie ten – przyznał Lawrence. – To Bromley.

– Ach tak.

Minor wiedział, że Lawrence i Trudy od czterech miesięcy pracowali nad sprawą kradzieży samochodów. Ginęły jedynie nowe samochody wynajmowane przez firmę, stanowiącą jednego z ich klientów – konkretnie chodziło o Avis. Ktoś kradł im auta, pokrywał nowym lakierem w innym kolorze, transportował przez cały stan i w końcu sprzedawał. Charlesa „Chuckiego” Bromleya małżonkowie inwigilowali od kilku tygodni, uważali go bowiem za przywódcę jednej z grup gangu złodziei samochodów. Dotychczas Darwin nie miał z tą sprawą nic wspólnego.

– Przyjechał tym purpurowym fordem expedition, o tam, tym wynajętym, widać po tablicach – wyrzucił z siebie Lawrence, nadal przyciskając ramieniem telefon do ucha. Minor słyszał piski dochodzące z telefonu, do którego Stewart powiedział: – Chwileczkę, kochanie, Dar jest tutaj.

– To Trudy? – spytał Darwin. Stewart potoczył oczyma.

– Do kogo innego zwracałbym się per „kochanie”?

Dar rozłożył ręce.

– Hej, nie wnिकam w twoje życie osobiste, Larry. – Mówiąc to, uśmiechnął się, ponieważ nie znał żadnej innej pary tak bardzo sobie oddanej i tak bardzo od siebie zależnej jak Lawrence i Trudy. Choć oficjalnie firma należała do Trudy, oboje pracowali tygodniowo po sześćdziesiąt, osiemdziesiąt godzin, dosłownie żyjąc sprawami ubezpieczeń i wypadków, oddychając nimi i stale o nich rozmawiając.

Najprawdopodobniej myśleli niemal wyłącznie o nich.

– Weź telefon – polecił Lawrence.

Minor wyciągnął komórkę spomiędzy spoconego policzka swojego szefa a zgięcia ramienia.

– Witaj, Trudy – rzucił do słuchawki, Lawrence’owi zaś powiedział: – Nie wiedziałem, że Avis wynajmuje purpurowe fordys expedition.

Zazwyczaj Trudy Stewart rozmawiała ze wszystkimi szybko, lecz grzecznie i rzeczowo. Teraz wydawała się straszliwie roztargniona i ogromnie poirytowana.

– Potrafisz uwolnić tego idiotę?

– Mogę spróbować – odparł Darwin, powoli zaczynając rozumieć, o co chodzi.

– Oddzwoń do mnie, jeśli potrzebna będzie amputacja – warknęła kobieta i rozłączyła się.

– Cholera – mruknął Lawrence, zerkając ku barowi. Kelnerka zabierała talerz Bromleya, a sam podejrzany dopijał kawę. – Za chwilę wyjdzie.

– W jaki sposób tak utknąłeś? – spytał Dar, kiwając głową ku prawej ręce Stewarta wciśniętej w oprawkę światła.

– Zacząłem śledzić Bromleya jeszcze przed świtem.

I nagle uświadomiłem sobie, że świeci mi się tylko jeden reflektor – wyjaśnił Lawrence.

– Niedobrze – zgodził się Minor. – W nocy ludzie łatwo dostrzegają jednonokie samochody w swoich lusterkach.

– Nie o to chodzi – odburknął Stewart, ciągnąc jedną ręką przegub drugiej. Na nic jednak zdawały się jego wysiłki. – Wiem, na czym polega problem. Te reflektory są kiepsko połączone i stale coś w nich nie styka. Można je naprawić jedynie od zewnątrz. W tym Trudy grzebała niedawno, najwyraźniej znowu się poluzował.

Darwin pokiwał głową.

– Tyle że Trudy ma mniejsze dłonie. Lawrence obrzucił piorunującym spojrzeniem swojego specjalistę od rekonstrukcji wypadków.

– Właśnie – wypluł, wyraźnie wybierając najmniej dosadną i gwałtowną z nasuwających mu się odpowiedzi.

– Oprawka ma kształt lejka. Z łatwością wsunąłem w nią rękę i nawet udało mi się poprawić pieprzone styki. Tylko teraz nie mogę wyciągnąć... po prostu nie puszcza...

– Uwolnić cię? – podsunął Dar, spoglądając ku barowi. – Bromley prosi o rachunek.

– Cholera, cholera, cholera – odparował Stewart.

– Nie mogłem wejść do baru niezauważony, bo to za mały lokal. Tankowałem więc benzynę najwolniej, jak potrafiłem. W końcu pomyślałem, że jeśli zajmę się na

chwilę tym reflektorem, nie będę swoim wyglądem wzbudzał podejrzeń...

– Wyglądasz jak człowiek, któremu ręka uwięzła w oprawce przedniego światła – zażartował Darwin.

Stewart obnażył zęby w grymasie, którego zdecydowanie nie można by nazwać przyjaznym uśmiechem.

– A wewnątrz oprawki jest ostre niczym brzytwa – syknął przez zaciśnięte i nadal obnażone zęby. – W dodatku zdaje mi się, że podczas półgodzinnej szarpaniny ręka mi spuchła i teraz jeszcze trudniej będzie mi ją wyjąć.

– Nie mogłeś dostać się do reflektora spod maski? – spytał Minor, gotów zwinąć szmatkę i podnieść maskę.

Grymas Lawrence'a nie zniknął.

– Reflektory w isuzu są specjalnie plombowane. Gdybym mógł dosięgnąć z góry, nie wtykałbym w nie ręki, nie sądzisz?!

Dar wiedział, że Stewart jest facetem miłym, skorym do żartów i życzliwym, lecz także, że bywa raptowny i dość łatwo wpada w gniew. Patrząc na buraczenie zarumienioną twarz Lawrence'a, pot skapujący mu z nosa i wąsów oraz słysząc morderczą intensywność jego głosu, domyślił się, że nie pora na żarty.

– Co mam zrobić? Załatwić jakieś mydło albo tłuszcz od mechaników z garażu?

– Nie chciałbym ściągać tu tłumów... – zaczął Stewart, przerwał, po czym dorzucił: – O cholera! – Z garażu ku nim szło czterech mechaników i jakaś nastolatka. Bromley zapłacił już rachunek i gdzieś zniknął – albo poszedł do toalety, albo zmierzał do drzwi. Lawrence wychylił się w stronę Darwina. – Jeszcze dziś rano, gdzieś na pustyni, Chuckie spotyka się ze swoim szefem i kilkoma innymi przywódcami złodziejskich grup – poinformował go szeptem. – Gdybym mógł sfotografować to zebranie, miałbym ich w ręku. – Znow szarpnął prawą dłoń, niestety isuzu trooper trzymał ją w uścisku.

Dar kiwnął głową.

– Chcesz, żebym za nim pojechał?

Stewart skrzywił się.

– Nie bądź idiotą. Chcesz jechać po pustynnych drogach tym czymś?! – Skłonił głowę ku czarnej acurze. – Z takimi oponami szybko zagrzebałbyś się w piachu.

Darwin wzruszył ramionami.

– Nie planowałem dzisiaj zjeżdżać z głównej drogi. Mam wziąć twoje auto?

Lawrence wyprostował się; ręka niestety tkwiła mocno. Mechanicy i nastolatka zbliżyli się i stanęli w półkrygu.

– Jak miałbyś wziąć moje auto, skoro stanowią w tej chwili jego część? – syknął.

Minor potarł podbródek.

– Przywiązać cię na masce jak jelenia? – zasugerował.

Chuckie Bromley wyszedł z baru, zerknął ku małemu tłumkowi wokół Stewarta, po czym niezdarnie włoczył się na siedzenie purpurowego forda.

– Hej – zagaił jeden z młodszych mechaników, wycierając czarne ręce w jeszcze czarniejszą szmatę. – Utknąłeś pan?

Pod wpływem bazylijskowego spojrzenia Lawrence'a młokos cofnął się o krok.

– Mamy trochę smaru – dodał drugi mechanik.

– Nie potrzebujesz smaru – wtrącił starszy z mechaników, facet bez przednich zębów. – Wystarczy wpryskać tam trochę WD-40... Stracisz pan oczywiście trochę skóry. Może nawet kciuk.

– A ja myślę, że trzeba zdjąć kratę chłodnicy – dorzucił ostatni mechanik. – Wtedy można odkręcić całą pieprzoną konstrukcję przedniego światła. Niech mi pan wierzy, że to jedyny sposób wyciągnięcia pańskiej ręki z oprawki bez zrywania więzadeł. Mój kuzyn dokładnie tak samo utknął w swoim isuzu...

Chuckie Bromley przejechał obok nich i skierował się autostradą na zachód. Stewart ciężko westchnął.

– Dar – powiedział – może weźmiesz akta z siedzenia pasażera? Dotyczą sprawy, nad którą powinieneś dziś popracować.

Darwin obszedł auto, wziął teczkę z siedzenia, przejrzał ją i jęknął.

– Och, nie, Larry. Wiesz, że nienawidzę tego rodzaju...

Lawrence kiwnął głową.

– Zamierzałem się zająć tą sprawą w drodze do domu po obfotografowaniu spotkania na pustyni, będziesz mnie jednak musiał zastąpić. Pewnie trzeba będzie założyć szwy. – Stewart popatrzył na ogromnego purpurowego forda znikającego w dole autostrady. – Jeszcze jedna przysługa, Dar. Wyjmiesz mi chusteczkę z prawej tylnej kieszeni?

Minor wyjął chusteczkę.

– Odsuńcie się – oświadczył Lawrence wszystkim wokół. Szarpnął ręką mocno, raz i drugi. Ostry metalowy pierścień nie puszczał. Przy trzecim szarpnięciu mężczyzny isuzu przechylił się do przodu na resorach. – Auuu! – krzyknął Stewart tonem karateki z czarnym pasem, przygotowującego się do rozbicia cegieł. Chwycił prawe przedramię lewą ręką i rzucił się wstecz całym swoim ciężarem stu kilkunastu kilogramów. Krew prysnęła na asfalt, niemal dosięgając trampek nastolatki. Dziewczyna natychmiast odskoczyła w tył i z gracją stanęła na palcach.

– Oooo – zgromadzony tłum jęknął zgodnie, równocześnie ze wstrętem i podziwem.

– Dzięki – sapnął Lawrence. Lewą ręką wziął od Darwina chusteczkę, którą owinał wokół okrwawionego kciuka i przegubu prawej dłoni.

Dar wsunął mu telefon komórkowy do górnej lewej kieszeni koszuli. Stewart

usiadł za kierownicą troopera i włączył zapłon.

– Chcesz, żebym z tobą pojechał? – spytał Minor. Wyobraził sobie okropną scenkę. Lawrence słabnie z powodu utraty krwi, grupa przestępców zauważa flesz dokumentującego spotkanie aparatu z teleobiektywem. Pogoń przez pustynię. Strzelanina. Stewart mdleje. Straszny finał!

– Eee, nie – odparł tamten – pojedź tylko na to osiedle spokojnej starości i porozmawiaj z kim trzeba. Zobaczymy się jutro w firmie.

– W porządku – odrzekł Dar apatycznym tonem. Wolałby pogoń po pustyni i strzelaninę ze złodziejami samochodów niż przeklęte osiedle starców. Tego rodzaju zajęć Lawrence i Trudy zwykle mu oszczędzali.

Stewart odjechał. Ford był już tylko purpurową kropką na horyzoncie. Czterej mężczyźni w kombinezonach mechaników i nastolatka zagapili się na rozprysk krwi na białym betonie.

– Jezusieeee – mruknął najmłodszy. – Ale głupio facet zrobił.

Darwin opadł na rozgrzaną czarną skórę siedzenia acury.

– Larry zrobił w życiu przynajmniej dwadzieścia głupszych rzeczy – odparował, po czym włączył silnik i ryczącą klimatyzację. Ruszył i również skierował się na zachód.

Parking przyczep mieścił się w Riverside tuż obok drogi numer 91, niedaleko skrzyżowania z dziesiątką, którą Dar przyjechał z Banning. Minor znalazł właściwą uliczkę, wjechał w nią i zaparkował w cieniu pod drzewem bawełnianym. Tu przeczytał resztę akt.

– Cholera – mruknął do siebie. Wstępny raport Lawrence'a i dane ubezpieczyciela sugerowały, że osiedle przyczep istniało w tym miejscu już przez jakiś czas, gdy zaludniła je społeczność emerytów. Obecnie, aby tu zamieszkać, należało mieć ukończone przynajmniej pięćdziesiąt pięć lat (choć wnuki i inne dzieci mogły zostawać na noc); średnio mieszkańcy liczyli sobie prawdopodobnie pod osiemdziesiątkę. Z akt wynikało, że wiele starszych osób żyło w tutejszych przyczepach, jeszcze zanim zamieszkali w nich emeryci, czyli około piętnaście lat temu.

Osiedle ubezpieczono dość wysoko, bo aż na sto tysięcy dolarów; taka suma była stosunkowo rzadka. Darwin zauważył, że właściciel terenu – niejaki pan Gilley – posiadał kilka podobnych parkingów mieszkalnych i wszystkie wysoko ubezpieczył, z czego można było wnioskować, iż firmy ubezpieczeniowe uznały osiedla emerytów za miejsca o wysokim stopniu ryzyka, w których często dochodziło do

nieszczęśliwych wypadków, toteż nie chciały ich ubezpieczać na zwykłych zasadach. Dar wiedział, że ta częstotliwość może oznaczać zwyczajny pech lub nieostrożność ze strony właściciela.

Gilleya zawiadomiono cztery dni temu, że na tym konkretnym parkingu zdarzył się poważny wypadek, w wyniku którego jeden z lokatorów zmarł. Osiedle przyczep nazywało się Cienisty Odpoczynek, chociaż Minor zauważył, że większość rosnących tu starych drzew wyschła i cienia nie było zbyt wiele. Właściciel natychmiast skontaktował się ze swoim radcą prawnym, który zadzwonił do Stewart Investigations w sprawie rekonstrukcji wypadku, dzięki której prawnik będzie mógł ocenić stopień odpowiedzialności swojego klienta. Dla firmy Lawrence'a i Trudy przypadek był dość typowy, Dar nienawidził jednak tego typu spraw – nieszczęśliwych upadków, przykładów czyjegoś zaniedbania, braku odpowiedniej opieki, opieszałości pielęgniarek... i tak dalej. Zgodnie ze swoją umową o pracę dla Stewart Investigations zajmował się zwykle rekonstrukcją wypadków znacznie bardziej skomplikowanych.

W załączonych dokumentach nie znalazł żadnych konkretów dotyczących ostatniego wypadku, choć adwokat właściciela poinformował Trudy o istnieniu świadka – innego mieszkańca osiedla, mężczyzny imieniem Henry, który miał zostać na tę okoliczność przesłuchany w tamtejszym klubie około godziny jedenastej. Darwin zerknął na zegarek. Do jedenastej pozostało dziesięć minut.

Przeczytał kilka akapitów z zapisu rozmowy telefonicznej z adwokatem. Wynikało z niej, że jeden ze starszych mieszkańców, pan William J. Treehorn, lat siedemdziesiąt osiem, wjechał swoim pojazdem o napędzie elektrycznym na krawężnik przed klubem, wypadł z pojazdu, uderzył się w głowę i zmarł na miejscu. Wypadek zdarzył się około godziny dwudziestej trzeciej.

Minor ruszył do wspomnianego klubu, zaniedbanego jednopiętrowego budynku ze spadzistym dachem. Należało zacząć od sprawdzenia zewnętrznego oświetlenia. Darwin zauważył, że latarnie oświetlają drogę bezpośrednio przed klubem. Były to trzy niskociśnieniowe sodowe lampy uliczne na dziesięciometrowych słupach. Minora nieco one zaskoczyły, gdyż stawiano je raczej dalej na południe – bliżej miejsca, gdzie on mieszka, czyli San Diego, gdyż miały minimalizować rozproszenie światła dla obserwatorium na Mount Palomar. Tak czy inaczej, jeżeli owego wieczoru wszystkie się paliły, na miejscu wypadku przed klubem było wystarczająco jasno. Czyli punkt na korzyść nieobecnego właściciela.

Darwin podjechał powoli pod klub. Zapisał sobie w notesie, że przed budynkiem prowadzono roboty drogowe: część ulicy pokryto już nową warstwą asfaltu. Były słupki odbłaskowe i stożki, a żółta taśma ograniczała dostęp także do części chodnika. Na ulicy stał jeszcze walec i leżał sprzęt. Minor objechał klub, zatrzymał acurę na małym parkingu na tyłach, wysiadł i wszedł do budynku; chyba nie miał klimatyzacji,

bo panowało w nim duszące gorąco.

Grupa starszych mężczyzn grała w karty przy stoliku ustawionym blisko tylnego okna. Rozciągał się z niego widok na basen i jacuzzi, które wyglądały na rzadko używane – tafla wody w jacuzzi była pokryta rzesą i zapleśniała, basen wymagał czyszczenia. Minor niepewnie zbliżył się do graczy, mimo iż cała czwórka patrzyła na niego, zamiast w karty.

– Przepraszam, nie chciałem panom przerywać gry – zagaił – ale czy jest wśród was ktoś o imieniu Henry?

Jeden z mężczyzn, na oko pod osiemdziesiątkę, zerwał się na równe nogi. Był niski, mierzył może z metr sześćdziesiąt pięć i nie ważył więcej niż pięćdziesiąt kilo. Miał charakterystyczne dla starców w swoim wieku chude, blade nogi, przyduże szorty, drogą koszulkę polo, nowiutkie buty do biegania i czapkę bejsbolową z emblematem reklamującym jakieś kasyno w Las Vegas. Na ręce nosił zegarek – złotego roleksa.

– Ja jestem Henry – odparł dziarsko, wyciągając pokrytą plamami wątrobowymi rękę. – Henry Goldsmith. Przysłała pana firma ubezpieczeniowa na rozmowę o wypadku Buda?

Darwin przedstawił się, po czym spytał:

– Bud to pan William J. Treehorn?

– Bud to Bud – odparł jeden z graczy, nie podnosząc oczu znad kart. – Każdy go tak nazywał. Nikt nigdy nie zwracał się do niego „Williamie” czy „Billu”. Bud to Bud.

– To prawda – przyznał Henry Goldsmith. Mówił cichym, smutnym tonem. – Znałem Buda od... Jezu... trzydziestu lat. I zawsze był Budem.

– Widział pan wypadek, panie Goldsmith?

– Henry – odrzekł starzec. – Proszę mi mówić Henry. I tak... jestem jedynym świadkiem. Psiakrew, może nawet spowodowałem ten wypadek! – obniżył głos, toteż Dar z trudem usłyszał trzy ostatnie słowa. – Znajdźmy pusty stolik – dodał. – Wszystko panu opowiem.

Usiedli jak najdalej od graczy. Darwin znów się przedstawił, wyjaśnił, dla kogo pracuje i komu przekaże zebrane informacje, po czym spytał starego, czy może nagrać jego wypowiedź.

– Nie musi pan ze mną rozmawiać, jeśli pan nie chce – powiedział. – Zbieram po prostu dane dla rzeczoznawcy, który przekaże je radcy prawnemu właściciela terenu.

– Jasne, że z panem porozmawiam – odparował Henry. Zamachał ręką, sugerując rezygnację z przysługującego mu prawa do milczenia. – Opowiem po prostu, co się zdarzyło. – Minor kiwnął głową i włączył dyktafon wyposażony w kierunkowy i wysoce czuły mikrofon. Przez pierwsze mniej więcej dziesięć minut mężczyzna snuł

opowieść o sobie. Wraz z żoną mieszkali naprzeciwko Buda i jego żony na osiedlu przyczep, gdzie wprowadzili się, jeszcze zanim teren zaludnili wyłącznie seniorzy. Rodziny poznały się w Chicago, a kiedy ich dzieci podrosły i wyprowadziły się na swoje, we czworo przeprowadzili się Kalifornii. – Bud miał wylew jakieś dwa lata temu – ciągnął Henry. – Nie... To było przed trzema laty. Zaraz po tym, jak przekłeta Atlanta Braves wygrała World Series. [zawodowa liga bejsbolowa w Stanach Zjednoczonych.]

– David Justice zrobił wtedy *home run* – dorzucił mechanicznie Minor. Poza bejsbolem nie interesował się żadną dyscypliną. No chyba, że za sport uważa ktoś szachy. Darwin ich za sport nie uważał.

– No może – mruknął Henry. – Właśnie wtedy Bud miał wylew. Tuż po turnieju.

– Właśnie dlatego pan Treehorn musiał używać pojazdu elektrycznego do poruszania?

– To znaczy parda – przyznał starzec.

– Słucham?

– Te pojazdy wykonuje firma o nazwie Pard, dlatego Bud swój nazywał właśnie pardem. Lubił go jak kumpla. – Dar znał tę markę. Były to niewielkie, trzykołowe pojazdy, choć trochę za duże jak na elektryczne trójkołowce. Posiadały mały silnik elektryczny, który napędzał tylne koła. Można je było zamawiać z regularnym akceleratorem i hamulcami nożnymi (jak wózek do golfa) albo z zespołem przyrządów do sterowania i hamowania umieszczonym na kierownicy (dla osób z bezwładem nóg). – Po wylewie Bud miał lewą stronę sparaliżowaną – podjął Henry. – Powłóczył lewą nogą. Lewe ramię... no cóż... miał lekko skręcone i trzymał je zwykle na udzie. Nie do końca panował nad lewą stroną twarzy i miał kłopoty z mówieniem.

– Ale mógł mówić? – spytał Darwin cicho. – Informować o swoich potrzebach?

– Jasne, że tak, psiakrew – odparł starzec, uśmiechając się, jakby chełpił się wnukiem. – Wylew nie ogłupił go. Jego mowa była... no cóż... niełatwo go było zrozumieć... ale Rose, Verna i ja zawsze wiedzieliśmy, co mówi.

– Rose to żona pana Treehorna... Buda?

– Tylko przez pięćdziesiąt dwa lata – odciął się Henry. – Verna zaś to moja trzecia. Poślubiłem ją dwadzieścia dwa lata temu, w styczniu.

– A w noc wypadku... – podsunął Dar.

Urażony stwierdzeniem Minora staruszek zmarszczył brwi.

– Spytałeś, młody człowieku, czy Bud potrafił informować otoczenie o swoich potrzebach. Więc mówię, że potrafił... jednak rozumieliśmy go przede wszystkim ja, Rose i Verna... To my... wie pan, to my... że tak powiem... tłumaczyliśmy go innym.

– Rozumiem, proszę pana – pokajał się Dar.

– No więc, w noc wypadku... cztery dni temu... Bud i ja przyszliśmy do klubu jak

zwykle, żeby zagrać w bezika...

– Czyli że nadal mógł grać w karty – wtrącił Darwin. Wylew był dla niego atakiem dziwnym i przerażającym.

– Psiakrew, jasne, że ciągle mógł grać w karty – odparł Henry. Podniósł głos, lecz równocześnie nadal się uśmiechał. – I bardzo często wygrywał. Powiedziałem panu, że po wylewie miał częściowo sparaliżowaną lewą stronę ciała i trudno mu było... no wie pan... formułować słowa. Na szczęście choroba nie uszkodziła mu mózgu. Taaa, Bud był bystry jak diabli.

– W noc wypadku... zdarzyło się coś wyjątkowego?

– Jeśli chodzi o Buda, to nie – odrzekł starzec w zadumie. – Wpadłem po niego za kwadrans dwudziesta pierwsza, tak jak w każdy piątkowy wieczór. Bud burczał coś pod nosem i oboje z Rose zrozumieliśmy, że zamierza nas puścić w skarpetkach tej nocy. Planował wielką wygraną. Jak zwykle.

– Nie, nie – przerwał mu Dar. – Chodziło mi o to, czy coś niezwykłego działo się w klubie albo na ulicy... lub też...

– O cholera, tak – powiedział Henry. – Oto powód całego zdarzenia. Te debile, które przyszły kłaść asfalt, zaparkowały walce przed rampą dla wózków.

– To znaczy rampą frontową tak? – upewniał się Darwin. – Tą przed głównym wejściem?

– Zgadza się – przyznał starzec. – Tylko to wejście jest otwarte po dwudziestej. Chcieliśmy zacząć grę o dziewiątej wieczór... zwykle gramy do północy lub dłużej. Ale Bud zawsze stara się dotrzeć do domu przed dwudziestą trzecią, czyli zanim Rose się położy. Nie sypiała dobrze, gdy go nie było, nie trzymał jej za rękę i... – Stary przerwał, a jego jasnoniebieskie oczy zaćmiły się, jakby właśnie zapomniał, co chce powiedzieć.

– Ale w piątkową noc walec do wyrównywania asfaltu stał tuż przed rampą dla wózków – podpowiedział mu Dar.

Oczy Henry'ego ponownie się skupiły.

– Co takiego? Ach tak. Tak panu mówiłem. Zresztą proszę za mną, pokażę panu. – Wyszli na dwór. Było upalnie. Rampa była teraz pusta, a ulicę pokrywała nowa warstwa asfaltu. Starzec wskazał palcem. – Cholerny walec zablokował całą rampę i pard Buda nie mógł wjechać na krawężnik. – Podeszli do krawężnika oddalonego sześć metrów. Darwin zauważył, że ma przed sobą typowy krawężnik uliczny, nachylony około siedemdziesiąt osiem stopni dla ułatwienia wjazdu kołom samochodów. Dla elektrycznego pojazdu Buda kąt był jednak zbyt duży. – Nie widzieliśmy problemu – powiedział stary. – Wszedłem, zawołałem Herba, Wally'ego, Dona i dwóch innych chłopaków. Razem podnieśliśmy jak najłagodniej parda z Budem i postawiliśmy na chodniku. Potem Bud wjechał do sali gier.

– I graliście mniej więcej do dwudziestej trzeciej – podsunął Minor. Trzymał mały dyktafon na wysokości pasa, a mikrofon wycelował w Henry’ego Goldsmitha.

– Tak, zgadza się – przyznał starzec. Im bardziej zbliżał się do finału opowieści, tym wolniej i szczegółowiej mówił. – Bud coś tam burczał i wydawał jakieś odgłosy. Inni faceci go nie rozumieli, lecz ja wiedziałem, że chce już wracać do domu, bo Rose nienawidzi bez niego zasypiać. W końcu zabrał wygraną i ruszył do wyjścia. Poszedłem razem z nim.

– Wyszliście tylko we dwóch?

– No tak. Wally, Herb i Don nadal grali... W większość piątkowych nocy przesiadują tu przynajmniej do północy... A paru innych, wie pan, starszych, poszło już wcześniej. Więc o jedenastej wychodziliśmy jedynie Bud i ja.

– I ten walec nadal stał na drodze – wtrącił Dar.

– Oczywiście – odparł Henry. Teraz z kolei niecierpliwiła go powolność rozmówcy. – Myśli pan, że jeden z tych głupich roboi wpadł do roboty o dwudziestej drugiej i przestawił dla nas maszynę?! No w każdym razie Bud podjechał pardem do krawężnika, w miejscu, gdzie go przedtem podnieśliśmy, niestety krawężnik wydawał się... wie pan... zbyt stromy.

– Więc co zrobiliście? – Darwin potrafił sobie wyobrazić, co było dalej.

Stary otarł policzek i usta.

– No cóż, powiedziałem: „Podjedź do narożnika... to tylko jakieś dziewięć metrów...”. Myślałem, że tam krawężnik jest niższy. Bud się zgodził i odjechał od bezużytecznej rampy ku... Chodźmy, pokażę panu. – Minor towarzyszył Henry’emu do narożnika. Dostrzegł przy okazji, że obok przejścia dla pieszych unoszą się sodowe opary jednej z niskociśnieniowych lamp ulicznych. Krawężnik w żadnym miejscu nie był ścięty. Dar został na chodniku, tymczasem starzec zszedł na ulicę. Głos mu się ożywił, machał też i gestykulował sękatymi rękoma.

– No więc dotarliśmy tu. Krawężnik nie wygląda na dużo niższy. No bo nie jest. Wtedy jednak panowały ciemności i wydało nam się, że dostrzegamy pewną różnicę. Zasugerowałem Budowi, że stoczmy przednie koło parda z krawężnika, ponieważ tu nie jest taki wysoki. Tak nam się w każdym razie wydawało w tym mroku.

Henry zamilkł.

– Więc Bud zjechał przednim kołem z krawężnika? – spytał cicho Minor.

Starzec ponownie się skupił. Patrzył teraz na krawężnik, jakby widział go po raz pierwszy.

– Och, tak. Nie było problemu. Chwyciłem prawą część kierownicy, a Bud zjechał przednim kołem z krawężnika. Wszystko wyglądało klawo. Koło zjechało, a ja nie poczułem, żeby szczególnie twardo uderzyło. Zatem mieliśmy jedno przednie koło małego parda na jezdni. Bud spojrział wtedy na mnie i pamiętam, że mu

powiedziałem: „W porządku, stary. Trzymam kierownicę z prawej. Będę ją trzymał mocno”. – Pokazał dłońmi, jak zaciskał obie dłonie na kierownicy. – Bud usiłował uruchomić prawą ręką silnik, ale dał za mało gazu, więc mu powtórzyłem: „Jest okej, stary, sprowadzimy najpierw lewe z krawężnika, a ja nie puszcze... patrz, mam obie ręce na kierownicy... potem po prostu ruszysz przed siebie i prawe tylne też zjedzie. Znajdziesz się na ulicy i popędzisz prosto do domu”. – Darwin stał bez ruchu i czekał. Henry ponownie przeżywał tę tragiczną chwilę i na moment oczy mu się zamglily. – No i wtedy pojazd ruszył. Trzymałem koniec prawej rączki kierownicy... Kiedyś byłem naprawdę silny, panie Minor, pracowałem dwadzieścia sześć lat, ładując pudła w Chicago Merchandise Mart, niemal do dnia, w którym przeprowadziliśmy się tutaj... Ale ostatnie dwa lata walczę z przeklętą białaczką... Tak czy owak, lewe koło zjechało z krawężnika i cholerny wózek zaczął się przewracać na lewy bok. Bud popatrzył na mnie. Nie mógł ruszyć ani lewą ręką, ani lewą nogą. A ja mówię: „Jest okej, Bud, trzymam ją w obu rękach...”, ale pojazd dalej się przechylał. Był ciężki. Naprawdę ciężki. Myślałem o pochyceniu Buda, ale był... wie pan... zapięty pasami w pardzie, tak jak trzeba. Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby powstrzymać pojazd przed upadkiem. Miałem obie ręce na kierownicy. Niestety czułem, że pard nie przestaje się przechylać... to ciężki pojazd z baterią, silnikiem i tak dalej... Dłonie mi się pociły... Później pomyślałem, że powinienem był skrzyknąć kumpli, którzy nadal grali w bezika, jednak w tamtym momencie... no cóż, po prostu nie przyszło mi to do głowy. Wie pan, jak to jest. – Dar skinął głową. Wciąż trzymał dyktafon. Oczy Henry’ego nagle wypełniły się łzami, jakby wspomnienie zdarzenia uderzyło go pierwszy raz. – Czułem, że pojazd się przechyla, a palce ześlizgują mi się i nie mogę już dłużej utrzymać kierownicy. Chcę powiedzieć, że pojazd okazał się dla mnie po prostu zbyt ciężki. No i wtedy Bud popatrzył na mnie dobrym, prawym okiem i sądzę, że wiedział, co się zdarzy. Mimo to go pocieszałem: „Bud, Bud, będzie w porządku, nie puszcze, będę trzymał. Kurczowo. Mam cię”. – Starzec zapatrzył się w krawężnik i tak trwał przez minutę w zupełnym milczeniu. Policzki miał wilgotne od potu i łez. Gdy odezwał się ponownie, ożywienie kompletnie zniknęło z jego głosu. – I wtedy wóz przechylił się jeszcze bardziej i przewrócił na lewą stronę, a Bud nie mógł nic zrobić, ponieważ, jak wspomniałem, miał częściowy paraliż tej właśnie strony. No więc doszło do wypadku i rozległ się ten dźwięk... ten obrzydliwy dźwięk. – Odwrócił się i spojrzał Minorowi prosto w oczy. – I tak umarł Bud. – Tym razem zamilkł na długi moment. Stał nieruchomo, z wyciągniętymi rękoma, zapewne w identycznej pozycji jak w chwili, gdy wyslizgiwała mu się kierownica. – A przecież tylko próbowałem mu pomóc w powrocie do domu i powiedzeniu Rose dobranoc – szepnął na koniec.

Później, gdy Henry odszedł, Dar wyjął taśmę mierniczą, zamierzając obliczyć

odległość upadku od miejsca, gdzie znajdowała się głowa Buda, siedzącego w pardzie, aż do chodnika. Wyszło metr i trzydzieści siedem centymetrów.

Przed odejściem starego Minor nic jednak nie powiedział i nic nie zrobił, tylko stał obok mężczyzny, którego zaciśnięte pięści powoli rozwierały się w zakrzywione palce. Trzęsły mu się dłonie. Henry znów zagapił się na chodnik.

– I tak umarł Bud.

Dar był zmęczony. Wsiadł do auta i ruszył w dół drogą numer 91. Gdy dojechał do piętnastki, skręcił na południe, zmierzając do swojego mieszkania na obrzeżach San Diego.

„Pieprzyć to” – myślał. Zaczął przecież dzień o czwartej rano. „Pieprzyć to wszystko”.

Spisze raport z dyktafonu i wręczy go Lawrence’owi i Trudy, ale niech go szlag, jeśli zajmie się tą sprawą. Znał tego typu przypadki. Bez wątpienia pozwą producenta elektrycznego pojazdu Buda. Pozwą też właściciela terenu. No i oczywiście przedsiębiorstwo drogowe, które zablokowało rampę. Ale czy Rose pozwie Henry’ego? W końcu najprawdopodobniej tak. Dar nie miał złudzeń. Trzydzieści lat przyjaźni. Stary próbował tylko odstawić przyjaciela do domu, ażeby tamten mógł przed snem cmoknąć żonę w policzek. Ale po kilku miesiącach dochodzenia... Być może zasugeruje to drugi prawnik...

„Pieprzyć to” – pomyślał jeszcze raz. Nie miał zamiaru więcej przesłuchiwać Henry’ego Goldsmitha. Odda sprawę Stewartom i nigdy już nie będzie oglądał tych papierów.

Ruch na drodze numer 15 był niewielki i między innymi dzięki temu Darwin zauważył mercedesa E 340, który mu towarzyszył, trzymając się tuż za nim po lewej stronie. W dodatku mercedes miał zaciemnione zarówno przednie, jak i boczne szyby, co było w Kalifornii nielegalne. Do wprowadzenia tego zakazu przyczynili się policjanci miejscowi i stanowi, gdyż żadnemu z nich nie uśmiechało się podchodzenie do samochodu z takimi szybami. Poza tym, mercedes był nowy i wyraźnie podrasowany, wyposażony w specjalne osiemnastocalowe koła i mały tylny spojler. Minor miał swoje zdanie na temat ludzi, którzy kupują luksusowe auta – nawet takie krażowniki szos jak ten merc – a następnie je podrasowują. Zaliczał takie osoby do grupy idiotów najgorszego typu: idiotów pretensjonalnych.

Z tych wszystkich względów patrzył akurat w lewe lusterko, gdy mercedes przyspieszył, zamierzając wyprzedzić acurę z lewej. Autostrada na tym odcinku miała pięć pasów ruchu. Trzy z nich były puste, tym niemniej mercedes trzymał się acury

tak blisko, jakby wchodzili właśnie w ostatnie okrążenie podczas wyścigów Daytona 500. Dar westchnął. Posiadanie takiego sportowego auta jak acura NSX łączyło się czasem ze sporymi niedogodnościami. Mercedes zrównał się z nim, po czym zwolnił, dostosowując prędkość. Minor zerknął w lewo. W ciemnym oknie dużego niemieckiego samochodu dostrzegł swoje dokładne odbicie, czyli twarz osobnika w okularach przeciwsłonecznych. Gdy czarne okno zaczęło się opuszczać, automatycznie się uchylił. Miał doskonały refleks i wyrobiony w ciągu ostatnich dwóch dekad instynkt. Przed oczyma mignęła mu lufa karabinu – niewielkiego, lecz groźnego i w pełni automatycznego (uzi albo mac-10). Sekundę później ktoś zaczął do niego strzelać. Lewe okno acury natychmiast eksplodowało, zasypując szkłem ucho i włosy Darwina. Kule szatkowały aluminium jego ukochanego auta.

Rozdział trzeci

C JAK CZWARTY BIEG

Minor miał wrażenie, iż ostrzał nigdy się nie skończy, chociaż nie trwał zapewne dłużej niż pięć sekund. Tyle że te sekundy ciągnęły się jak cała wieczność. Dar rzucił się płasko na podłogę i na umieszczony pośrodku dźwignę skrzyni biegów. Głowę ukrył pod obitym czarną skórą siedzeniem pasażera. Drobiny szkła wypełniły powietrze niczym konfetti. Równocześnie nie zdejmował lewej ręki z dolnej części kierownicy, a prawej nogi z hamulca, mocno przyciskając go obcasem. Na szczęście, na tym odcinku drogi nie było żadnego innego auta poza acurą i mercedesem. Lewą stopą wduśił sprzęgło, a trzymaną nad głową lewą ręką zmienił bieg z piątego na trzeci. Kule uderzające w aluminium drzwiczek i przodu acury spowalniały auto. Zwielokrotniony odgłos brzmiał strasznie. Acura zatrzymała się w miejscu, które Dar z nadzieją uważał, modląc się o to, za poboczne autostrady. Tak pozostał, nie podnosząc głowy, aby sprawdzić swoje położenie; trzymał ją nisko w dole, póki ostrzał się nie skończył. Później lekko się podniósł znad pokrytego szkłem dźwignę skrzyni biegów i siedzenia, słysząc i czując, jak drobinki szyby spadają mu z głowy i pleców. Ustawił dźwignę na bieg jałowy, zaciągnął ręczny hamulec, po czym wypełził przez resztki drzwiczek od strony pasażera. Padł na chodnik i leżąc na brzuchu, rozejrzał się pod nisko zawieszonym podwoziem swojego sportowego samochodu. Starł się ustalić, czy mercedes zatrzymał się obok niego. Gdyby tu stał, Darwin nie miałby szans. Znajdował się niecałe trzydzieści metrów od płotu, stanowiącego granicę drogi międzystanowej i w pobliżu nie rosły żadne drzewa ani nie stało nic, co mogłoby dać schronienie. Na szczęście nie widział żadnych kół. Usłyszał ryk przyspieszającego mercedesa, dlatego podpełzł na łokciach do prawego przedniego koła acury. Pędzący szary mercedes tylko mu mignął.

Wstał drżąc, czując szalejącą w ciele adrenalinę i walcząc z napływającymi wymiotami. Zastanowił się, czy został ranny. Dotknął lewego ucha i podniósł okrwawione palce, po chwili jednak uświadomił sobie, że to tylko przecięcie kawałkiem szkła. Poza kilkoma innymi podobnie niewielkimi obrażeniami był cały. Dość wolno minęła acurę honda civic. Kierowca – mężczyzna o okrągłej twarzy – wpatrzył się szeroko otwartymi oczyma w Dara i jego auto.

Darwin obejrzał samochód. Zabójcy strzelali wysoko i zużyli sporo amunicji. Lewe i prawe okna zniknęły, w ramie lewych drzwiczek tkwiła kula – aluminium wokół otworu było zniekształcone i jaśniejsze – w drzwiach od strony kierowcy dostrzegł aż trzy otwory. Jedna z kul na pewno zabiłaby Dara, gdyby nie odbił jej stalowy element wzmacniający bocznych drzwi, a dwa inne pociski uderzyły w tylną część drzwiczek, w pobliżu klamki. Przód acury również przyjął z pół tuzina kul

podczas hamowania, ale szybki ogląd wykazał, że żaden z pocisków nie dosięgnął kół – skazy bieły po niskiej, pochyłej masce, wchodziły między któreś z kół i część pasażera lub między koło i przedni zderzak. Gdyby acura NSX miała silnik z przodu, jej uszkodzenia wyglądałyby dramatycznie. Na szczęście, tak jak większość sportowych aut miała silnik w części środkowej, tuż za siedzeniem kierowcy i samochód nadal pracował na wolnych obrotach z typowym dla siebie warkotem. Podsumowując, działał silnik, koła pozostały nietknięte, a Dar nie dostrzegł ani szkód konstrukcyjnych, ani w zawieszeniu.

Zdarł z siebie koszulę i użył jej do odgarnięcia rozbitego szkła z siedzenia kierowcy, po czym wsiadł, wrzucił bieg i pospiesznie zjechał z pobocza. Szary mercedes właśnie zniknął za stokiem na międzystanowej może trzy kilometry przed Minorem. Samochód poruszał się szybko, wyprzedził już kilka innych pojazdów, a zatem co najmniej o czterdzieści do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę przekroczył limit prędkości, który wynosił tu sto dziesięć kilometrów.

Darwin osiągnął sto sześćdziesiąt na trzecim biegu, jadąc prawym pasem międzystanowej. Przemknął obok hondy civic, której pucołowaty kierowca znów się na niego gapił. „To szaleństwo” – pomyślał i przełączył na czwarty bieg, słysząc ryk umieszczonego tuż za jego siedzeniem wolnossącego silnika sześciocylindrowego. Zaryzykował i zwiększył obroty aż do 7800 na minutę. Wskazówka obrotomierza weszła na czerwoną linię. Minor był rozgniewany, bardzo rozgniewany. Od dawna nie czuł w sobie takiej wściekłości. Wrzucił piąty bieg i docisnął gaz do dechy.

Minął dwa samochody i pojazd z naczepą po lewej. Jechał tak szybko, że pojazdy jedynie przez ułamek sekundy pojawiały się za oknem, a jego uszy atakował wizm mijania. Gdy pokonał wzniesienie, dostrzegł szarego mercedesa mniej więcej pięć kilometrów przed sobą. Auto pędziło międzystanową sto sześćdziesiąt, wspinając się na kolejne wzgórze lewym pasem. Darwin sięgnął do kieszeni koszuli, zamierzając wyjąć z niej telefon komórkowy, przypomniał sobie jednak, że wcześniej zdjął koszulę, wytarł nią szkło i teraz leżała zwinięta w kłębek na siedzeniu pasażera. Poklepał kłębek, lecz w kieszeniach niczego nie wymacał. Najwyraźniej zgubił komórkę w którymś momencie podczas uchylania się, ślizgania, przesuwania, kucania, pełzania na łokciach... lub wymiatania drobin szkła. „Cholera!” – zaklął w myślach, próbując przez chwilę przekonać samego siebie, że fakt ten nie ma znaczenia, gdyż hałas spowodowany wyciem wiatru dmuchającego przez dwa roztrzaskane boczne okna i tak uniemożliwiłyby mu rozmowę z policją. Dobrze chociaż, że przednia szyba pozostała niemal nietknięta – z wyjątkiem jednego pięciocentymetrowego otworu w górnym lewym rogu, tuż przy ramie, gdzie uderzył pocisk. Nie spuszczać wzroku z drogi i tyłu mercedesa, Dar zerknął na szybkościomierz. Jechał dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Jeszcze

przyspieszył, pochylając się nad podłogą od strony pasażera i podnosząc torbę ze sprzętem fotograficznym.

„Boże, proszę – jęknął w myślach – ktokolwiek wymyślił tę akcję, nie pozwól, aby zniszczył mi aparaty”.

Dzięki połączeniu szybkich klepnięć i jeszcze szybszych spojrzeń Dar stwierdził, że torba nie została trafiona. Otworzył ją i bezceremonialnie wysypał zawartość na siedzenie pasażera. Nie chciał w tej chwili cyfrówki, wolał nikona z teleobiektywem. Ścisnął aparat w udach, pomacał siedzenie obok, znalazł obiektyw i zabrał się za jego montaż, równocześnie kierując acurą wspinającą się na następne wzgórze z prędkością dwustu sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Zwykle zmieniał obiektyw obiema rękoma – jedną trzeba było wcisnąć guzik i uwolnić poprzedni obiektyw, drugą przykręcić nowy – jednak zdarzyło mu się już dokonywać zmiany jedną ręką. Choć nigdy podczas jazdy z taką prędkością!

Kątem oka zauważył patrolowy samochód kalifornijskiej policji drogowej, nadjeżdżający najbardziej zachodnim ze skierowanych na północ pasów ruchu i zerknął w lusterko w momencie, gdy czarnobiały pojazd CHP przecinał pas zieleni; kiedy auto zmieniło kierunek i ruszyło w pogoń, kogut zaczął się obracać i błyskać światłem. Jeśli funkcjonariusze włączyli również syrenę, jej odgłos utonął w hałasie wichury i Dar jej nie usłyszał.

Miał szczęście, że samochód kalifornijskiej policji drogowej był jednym z ich pościgowych mustangów – na pierwszy rzut oka modelem z roku 1994 – wyposażonym w silnik 302 V-8. Minor obrzucił szybkim spojrzeniem kierowcę i jego partnera. Obaj byli młodzi, a sądząc po prędkości, jaką osiągnęli, także nadgorliwi i napaleni.

„Po prostu mam szczęście” – pomyślał, skupiając się na pędzącym przed nim mercedesie.

Podczas całego tego padania i pełzania jakoś zdołał utrzymać na nosie okulary do jazdy marki Serengeti, które teraz chroniły mu oczy przed straszliwym pędem powietrza. Bez nich niewiele by widział i na pewno nie mógłby jechać z taką szybkością. Na szczęście miał je, a mercedes znajdował się w tej chwili zaledwie o dwadzieścia długości auta przed nim. Kierowca zwolnił mniej więcej do stu czterdziestu kilometrów na godzinę, ale chyba właśnie zerknął w lusterko i dostrzegł acurę bądź migacze radiowozu patrolowego (a może jedno i drugie), ponieważ nagle zmienił pas ruchu i znowu przyspieszył, wspinając się następnym długim odcinkiem górzystej międzystanowej. Mercedes mijał pojazdy zarówno po lewej, jak i po prawej stronie, używając wszystkich pięciu pasów ruchu, polując na otwarte przestrzenie i znów gnając przed siebie. Dar podążał za nim, przeskakując z jednego pasa na drugi. Wiedział, że zwyczajny mercedes E 340 ma elektroniczną blokadę prędkości

ustawioną na poziomie dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę. Ten wszakże nie tylko wyposażono w zaciemnione okna, spojler i grube opony, lecz zastosowano w nim także inne modyfikacje, toteż kierowca mimo gęstniejącego ruchu wyciągał teraz przynajmniej dwieście pięćdziesiąt.

„Cholera” – zaklął w myślach Minor. Lewą ręką domontował już do nikona długi, dwustumilimetrowy obiektyw, prowadząc wyłącznie prawą i śmigając między otaczającymi go po obu stronach autami. Niestety, mercedes wciąż znajdował się czterysta metrów przed nim, a zatem był zbyt daleko na dobre zdjęcie tablicy rejestracyjnej. Zresztą Darwin, nawet gdyby się zbliżył, i tak nie zdołałby prawdopodobnie utrzymać aparatu w stabilnej pozycji, która pozwoliłaby na uchwycenie napisu na tablicy. Właściwie nie dbał o to. Opuścił nikona na kolana, w obie dłonie chwycił idealną kierownicę acury i gwałtownie skręcił ze skrajnego prawego pasa na skrajny lewy, którym pędził mercedes. Jego szybkościomierz pokazywał już dwieście siedemdziesiąt dwa kilometry na godzinę; wskazówka znajdowała się za czerwoną linią. Dar bardzo nie chciał spalić silnika, który stanowił niemal dzieło sztuki ręcznie zmontowane przez jednego pracownika japońskiej fabryki. Gdzieś na tej przeważnie aluminiowej obudowie silnika było nawet wygrawerowane japońskimi literami nazwisko tego człowieka. W epoce sprężarek, turbosprężarek i różnych sztucznych dopalaczy acurę wyposażono w silnik wolnossący, sześciocyndrowy, doskonały. Spalenie go równałoby się profanacji. Niemniej jednak Minor dociskał perforowany pedał do dechy, czy też raczej prawie do dechy – ze względu na blokadę producenta (czyli zamontowaną ponad luksusowym czarnym dywanikiem wyściełaną czarną gumą podkładkę) – pozwalał wskazówce prędkościomierza przesuwać się dalej po czerwonym polu. Mały sześciocyndrowiec zawył niebezpiecznie.

„A jeśli zwolnią i po prostu znów zaczną strzelać do acury?” – spytała wciąż rozsądna część umysłu Darwina. Nie miał w aucie żadnej broni. Nie miał jej też w domu. Nienawidził broni. „A jeśli ja zwolnię i zastrzelą mnie policjanci?” – odparowała druga, napędzana adrenaliną część jego mózgu. „Równie dobrze mogę najpierw sam złapać tych gnojków”.

Mercedes skręcił, przejeżdżając na skrajny prawy, przemknąwszy przed dwoma pojazdami. Jeden z nich – furgonetka ford windstar – zahamował zbyt szybko i obróciło go czterokrotnie, zanim się zatrzymał tyłem do przodu. Minor zauważył bładość na twarzach siedzących na przednich siedzeniach mężczyzny i kobiety, gdy mijał ich z prędkością dwustu sześćdziesięciu ośmiu kilometrów na godzinę.

„Zobacz, dupku, jak się kończą takie pościgi” – krzyknęła racjonalna część umysłu Dara na tę mniej rozsądną napędzaną adrenaliną. „W filmach te samochodowe pościgi zawsze wyglądają ekscytująco i obfitują w tak zwane bliskie spotkania

pojazdów. W prawdziwym życiu jest inaczej, giną niewinni ludzie... całe rodziny”. A on nawet nie był policjantem i nie miał prawa nikogo ścigać.

Minor walczył sam z sobą. Teoretycznie przyznawał, że postępuje nieracjonalnie (zerknął w lusterko i dostrzegł błyskające światła mustanga CHP, który podskakiwał, przejeżdżając ponad wzniesieniem mniej niż półtora kilometra za acurą), nie potrafił jednak przerwać pościgu; był w nim jakiś gniew, znacznie silniejszy niż zwykle, którego nie czuł od lat... A mercedes znajdował się w tej chwili zaledwie niecałe sto metrów przed nim, ponownie pędząc po skrajnie lewym pasie. Wokół panował niewielki ruch. Darwin docisnął pedał gazu do dechy i położył nikona na rozszczepionym progu drzwiczek acury, trzymając teleobiektyw we wnętrzu auta, aby wiatr nie wyszarpnął mu z ręki drogiego aparatu. „Nie będzie to łatwe” – ocenił w myślach, decydując, że powinien zrobić zdjęcie przez przednią szybę, nie spuszczać rąk z kierownicy, a równocześnie utrzymywać nikona w stanie równowagi. W kierowaniu pomagał sobie dodatkowo lewym kolanem. Pstrykał fotki w pełnym trybie automatycznym, mając nadzieję, że choć jedno ze zdjęć będzie wyraźne.

Mercedes zahamował, a jednocześnie przeciął pięć pasów w jednym długim, kontrolowanym poślizgu, ledwie unikając zderzenia z samochodem dostawczym i umykając w samą porę, po czym zjechał z autostrady niczym wylatujący z lufy pocisk.

– Cholera – mruknął do siebie Dar i wyhamował. Przez chwilę jechał za autobusem Greyhound, po czym jeszcze bardziej hamując, przeciął ostatnie trzy pasy ruchu ku zewnętrznej stronie autostrady. Tylne koła acury obróciły się na żwirze pobocza, Darwin dwukrotnie skorygował i przyspieszył. Zjeżdżając z autostrady, kątem oka złapał znak drogowy z napisem: LAKE STREET.

W porządku. Wiedział, w jakim miejscu opuszcza międzystanową. Jechał teraz za zwalniającym mercedesem drogą Lakeshore Drive, która prowadziła jedynie do niewielkiej podmiejskiej osady Lake Elsinore. Gdzieś tu w pobliżu znajdował się stary zjazd na Alberhill, pozostał jednak już chyba daleko za nimi. Przed sobą po lewej Minor dostrzegł dwa auta szeryfa hrabstwa – oba czarnobiałe chevrolety, jeden monte carlo, drugi impala; nadjeżdżały ze wschodu z wyraźnym zamiarem zatrzymania ich. Zanim radiowozy wjechały na Lakeshore Drive, zarówno acura, jak i mercedes przecięły skrzyżowanie, tym razem Darwin usłyszał syreny, gdy dwa chevrolety wpały na jezdnię i znalazły się nagle zaledwie niecałe sto metrów za acurą. Mustang kalifornijskiej policji drogowej jechał tuż za nimi, próbując je wyminąć.

„Jeśli zbliżę się do merca – pomyślał Dar chłodno, jakby rozpracowywał jakiś drugorzędny problem szachowy – jadący nim zabójcy po prostu mnie zastrzelą”.

Zerknął w lusterko. „Jeśli z kolei zwolnię, policjanci prawdopodobnie mnie nie zabiją, jest wszakże możliwe, że zatrzymując mnie, pozwolą umknąć mercedesowi”.

Błysnęły światła hamowania E 340. Minor nie miał wyboru, również musiał zwolnić. Duże siedemnastocalowe hamulce tarczowe zatrzymały jego sportowe auto tak niespodziewanie, że Darwinem szarpnęło do przodu, na kierownicę, z siłą około trzech G; na szczęście dzięki bezwładnościowemu pasowi bezpieczeństwa uniknął uderzenia w kierownicę. Niewiarygodne, mercedes umknął. Kierowca skręcił w lewo i choć autem zarzuciło lekko w prawo, przeskoczył przez pusty narożny parking (tak, tak, Dar naprawdę widział, że uniósł się na wysokość dobrego metra), a następnie w idealnej równowadze wylądował na asfalcie i po prostu popędził dalej drogą ku zachodowi, stale przyspieszając. Minor nie zdołał odczytać znaku drogowego, gdyż akurat kontrolował poślizg, kierując się ku tej samej wąskiej uliczce. Bywał już w tej okolicy, wiedział więc, że napis na znaku brzmi: RIVERSIDE DRIVE. Tu właściwie rozpoczynała się autostrada 74, wąska dwupasmowa szosa, która przecinała góry Rezerwatu Cleveland, potem zaś łączyła się z I-5 – w San Juan Capistrano, nieco ponad pięćdziesiąt kilometrów dalej na zachód. Darwin w swej pracy wielokrotnie już używał tego skrót.

Impala nie skręciła za nim, mignęła tylko Darowi w lewym lusterku, gdy obracała się przy wjeździe na stację benzynową, ledwie muskając jaguara tankującego przy najbardziej zewnętrznej pompie, po czym zniknęła w chmurze kurzu za rzędem pojazdów stojących na parkingu komisum samochodowego. Mustang CHP i drugie auto hrabstwa wykonały zwrot i bardzo szybko ruszyły Riverside Drive, mniej niż czterysta metrów za Darwinem. Kręta droga spowolniła pościg.

„Tu powinienem się zatrzymać. Niech władze się zajmą zabójcami” – pomyślał, wiedząc, że żadne tłumaczenia mu nie pomogą. Nie miał prawa nikogo gonić i zapewne trafi za to do aresztu.

Nagle tuż nad nim zabrzączał cicho helikopter, który minął mercedesa, a następnie poleciał dalej, w stronę stoku, przygotowując się do kolejnego zwrotu.

„Helikopter policyjny” – pomyślał Dar, wiedząc, że hrabstwo Los Angeles posiada aż szesnaście takich maszyn, podczas gdy nowojorska policja używała na przykład tylko sześciu. Później zobaczył oznakowania. „Cudownie” – ocenił złośliwie. „Będziemy na Kanale 5 kablówki. Akurat zdążą przygotować materiał na wiadomości o osiemnastej”. Właściwie, co sobie uświadomił, prawdopodobnie już znajdował się na wizji! Południowa Kalifornia słynęła z policyjnych pościgów samochodowych, toteż przebąkiwano o uruchomieniu dodatkowego kanału w kablówce, który nie pokazywałby niczego innego.

Darwin przyspieszył w górę stromej, krętej drogi, starając się nie spuszczać wzroku z dachu mercedesa. Minęły lata, odkąd przestał brać udział w wyścigach

samochodów sportowych, czuł się jednak całkiem niezłe w swej roli, kiedy wchodził w poślizg kontrolowany na każdym ostrym zakręcie, przyspieszał z rykiem silnika na prostej, przyciskał hamulce, wchodząc w następny zakręt, gwałtownie zmieniał bieg na niższy, zarzucał tyłem i znów wypadał na prostą na pełnym gazie. Niewiele superaut na świecie mogło się w takiej sytuacji równać z acurą NSX. Gdy zbliżał się do stromego szczytu, policyjne wozy zniknęły mu już z oczu. Od mercedesa E 340 dzieliły go teraz zaledwie trzy długości samochodu.

Nieco ponad trzy kilometry od początku wspinaczki po krętej, wijącej się drodze ponad Lake Elsinore ludzie w mercedesie najwyraźniej zdecydowali, że nadeszła pora pozbyć się natręta. Zwolnili podczas skrętu w prawo ku wjazdowi na wzgórze, a wtedy okno od strony pasażera zostało otwarte. Pojawiła się w nim głowa i część torsu ubranego w czarny strój ciemnowłosego mężczyzny oraz ciemny, metalowy mac-10, który snajper trzymał w rękach.

Dar robił akurat piąte czy szóste zdjęcie trzymanym w jednej dłoni nikonem, gdy rozpoczął się ostrzał. Pocisk musnął karoserię gdzieś z prawej strony za nim, toteż Minor upuścił sobie aparat fotograficzny na kolana, wrzucił niższy bieg, ściał zakręt, po czym ruszył ku wzgórzom po prawej. Przyspieszał, aż przód acury dzieliły od zderzaka mercedesa zaledwie centymetry. Zauważył, że samochód miał tablice z Nevady i zapamiętał numery.

Snajper znów się wychylił z okna, ale teraz Minor był zbyt blisko niego, odskoczył bowiem na lewy pas ruchu i przyspieszył, prawie zrównując się z mercedesem. Zabójca strzelił przez własne zaciemnione okno z lewej, rozpryskując szkło, ale Dar już przyspieszył, a następnie zrównał się z mercedesem. Szyba od strony kierowcy została opuszczona, obejrzał więc sobie twarze jadących, zapamiętał ich rysy. Oba pojazdy zbliżały się do ostatniego zakrętu z prędkością prawie stu czterdziestu kilometrów na godzinę.

Darwin wiedział, że za tym zakrętem będzie miał kłopoty. Tam bowiem zaczynał się długi, prosty odcinek wzdłuż szczytu wzgórze, a dopiero później kolejne zakręty. Na tym ostatnim łuku na lewo od wierzchołka, bezpośrednio przed nimi, znajdowała się jednak stara restauracja z barem o nazwie Lookout, głównie dla motocyklistów. Minor zatrzymał się tam kiedyś na lunch, lecz nie spodobała mu się atmosfera, gdyż jak zwykle przed lokalem parkowało dwadzieścia czy trzydzieści wielkich motorów, których właściciele popijali w środku i zawzięcie się przy tym kłócili. Stała po prawej stronie drogi, a od południa miała zewnętrzny taras z kilku metrów nadgniłych już desek, wspartych drewnianymi belkami, i ciągnący się wzdłuż pionowego lica

urwiska stoku nad Lake Elsinore. Dziś przy starych stolikach Dar dostrzegł tuzin lub więcej motocyklistów. Ich motory stały zaparkowane przed samym tarasem.

W ostatniej chwili dostrzegł snajpera, który wychylił się od strony kierowcy i za głową tamtego celował w niego z karabinu. Celował mu wprost w twarz! Darwin wcisnął hamulce i pociski przeleciały nad maską acury. Skręcił mocno w lewo i przyspieszył, zostawiając nieco za sobą cięższego mercedesa, który zahamował gwałtownie, a wtedy samoczynnie otworzyła się poduszka powietrzna od strony drzwiczek kierowcy i uderzyła snajpera w rękę, wybijając mu z niej broń. Mac-10 wyleciał przez otwarte okno i odbił się od maski auta Dara. Acura była modelem z roku 1992 i miała tylko jedną poduszkę powietrzną, pod kierownicą, w ciągu ostatnich lat Minor badał jednak i rekonstruował tak wiele wypadków w pewnym sensie spowodowanych napompowaniem się i rozwinięciem poduszki powietrznej, że dawno temu swoją odłączył.

Teraz wciskał hamulce, najpierw zmuszając mercedesa do skrętu w prawo, potem wycofując się za nadal pędzące auto. Opony acury zapiszczały, na szczęście zadziałał ABS. Pedał hamulca odskoczył pod stopą Darwina, który wrzucił drugi bieg i o mało nie obrócił auta w lewo o sto osiemdziesiąt stopni, starając się nie wpaść w budynek restauracji. Zjechał przy tym nieco na pobocze, muskając wielkie kamienie i niskie zarośla, aż w końcu z chrzęstem i poślizgiem zatrzymał się na drodze jakieś trzydzieści metrów dalej.

Kiedy w mercedesie otworzyła się poduszka od strony drzwiczek kierowcy, snajpera pchnęło na prowadzącego pojazd, którego pas uchronił przed wpadnięciem na kierownicę. Niestety kierować się już w takiej sytuacji nie dało, toteż nowiutki mercedes E 340 nie mógł skręcić i wpadł w pierwszy rząd zaparkowanych przed tarasem harleyów. W tym momencie rozwinęły się jeszcze dwie przednie poduszki powietrzne, oślepiając mężczyznę za kierownicą i uniemożliwiając mu jej osiągnięcie, natomiast odepchnięty z powrotem na własne siedzenie snajper w ogóle nie mógł się ruszyć. Kierowca wduszał hamulce, lecz niewiele widział, więc skosił tylko kolejne motory, których właściciele natychmiast zerwali się z miejsc i rozbiegli na prawo i lewo. Tymczasem mercedes wjechał ciężko w chybotliwy taras, roztrzaskując w drobny mak stoliki, wbijając się bokiem w nadgniłe deski i rozbijając skrzypiącą poręcz. Nie zatrzymał się tu, lecz sunął dalej, ku urwisku. Widoczni przez chwilę w otwartych oknach dwaj przyciśnięci powietrznymi poduszkami mężczyźni mieli identycznie zaskoczone miny i rozdziawione usta. Dwutonowy szary mercedes zatrzymał się na moment w powietrzu niczym kreskówkowy Wile E. Kojot i niemal dotknął dziobu helikoptera Kanału 5, który kręcił całe zdarzenie kamerą ustabilizowaną dzięki żyroskopowi, nagrywając zarówno przemykające auto, jak i jego krzyczących pasażerów. Potem zniknął Darowi z pola widzenia, spadając na

położone ponad dwieście metrów niżej dno doliny.

Darwin chciał wysiąść, nie mógł jednak otworzyć pociętych drzwiczek od strony kierowcy, a te od strony pasażera blokował wielki kamień. Wybił więc przednią szybę i w końcu się przez nią wygramolił. W tym samym momencie tuż przy nim zahamował mustang kalifornijskiej policji drogowej i przegrzane monte carlo szeryfa. Z obu aut wypadli funkcjonariusze i wycelowali w niego z pistoletów, wykrzykując odpowiednie rozkazy.

Darwin oparł się o acurę, rozstawił nogi, jak mu polecono, zgodnie z wywrzeszczanymi sugestiami położył sobie splecione dłonie na karku i próbował oddychać spokojnie, starając się odeprzeć atak napływających mdłości. Fala adrenaliny cofała się w nim niczym jakiś szalony odpływ, pozostawiając po sobie osobliwe szczątki emocji.

Policjanci CHP byli młodzi i mieli wysokie numery seryjne na odznakach, którymi mu zamachali za plecami, toteż dostrzegł je jedynie kątem oka, popatrując przez ramię. Nigdy przedtem z nimi nie współpracował. Po ich krzykach, rozdrażnieniu i nerwowości domyślił się, że jeśli wykona choćby jeden niewłaściwy ruch, bez wahania go zastrzelą. Znieruchomiał więc. Jeden ze stanowych funkcjonariuszy i szeryf wciąż mierzyli do niego z broni, a trzeci mężczyzna – starszy z dwóch przedstawicieli CHP, przedwcześnie posiwiaty „weteran”, który wyglądał najwyżej na dwadzieścia trzy lata, zbliżył się do niego i obszukał go szybko, po czym ostro szarpnął mu ręce w dół, do wysokości bioder i nałożył na nadgarstki kajdanki.

Dwóch harleyowców podeszło do nich z puszkami piwa w rękach. Ten z dłuższą brodą uśmiechał się szeroko, błyskając żółtymi zębami.

– Hej, facet, to była, cholera, najfajniejsza akcja, jaką kiedykolwiek widziałem. Człowieku, prawie zdjąłeś z nieba pieprzony Kanał 5. Ekstra historia.

Zastępca szeryfa kazał motocyklistom wracać do restauracji. Kilku innych podeszło i wyjaśniło, że nigdy nie byli w środku cholernej restauracji, zawsze przesiadywali wyłącznie na tarasie. Dodali: „To wolny kraj, stary”. Zadali też retoryczne pytanie: „W jakim innym państwie, człowieku, można zobaczyć nowiutkiego mercedesa spadającego z dwustumetrowego stoku i kręcący tę scenkę helikopter z telewizyjnych »Wiadomości«?”.

– Ważniak Eddie będzie musiał zmienić nazwę swojego pieprzonego baru – oświadczył motocyklista z ogoloną głową i tatuażem czaszki na gołej piersi. – Z cholernego Lookout na cholerne Lotnisko, stary.

Minor był nawet zadowolony, kiedy dwaj patrolowi zaprowadzili go wreszcie do mustanga CHP i wepchnęli na tylne siedzenie.

– Wiecie, zawieźcie go do Riverside – odezwał się szeryf. Nadal trzymał w ręce kolta z długą lufą.

– Wiemy, wiemy – odparł starszy z dwóch młodych policjantów stanowych. – Może pan albo pański zastępca wezwiecie tu przez radio pomoc? Powiedzcie, że potrzebujemy zespołu techników... Pospieszcie się, zanim dojdzie do pieprzonych rozruchów. Okej?

Szeryf popatrzył na kręcących się wokół harleyowców, którzy zaczęli właśnie szacować szkody w swoich maszynach i przeklinali coraz głośniejszymi głosem, pokiwał głową, wyjął pistolet i wrócił do chevroleta.

Jego zastępca podszedł do zniszczonego, rozchybotanego tarasu, stanął na krawędzi i niespokojnie zerknął przez szeroką szczelinę w poręczy w dół, ku Lake Elsinore, gdzie zniknął mercedes. Gdzieś pod nim rozległo się brzęczenie helikoptera kanału informacyjnego.

Dar obliczał w myślach czas, jaki zajął mercedesowi swobodny lot, nie przestawał się nad tym zastanawiać, nawet gdy policjanci stanowi wpychali go na tylne siedzenie mustanga. Nieźle wideo nakręciły sobie cholerne „Wiadomości”.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał przed odjazdem, były ciche, wielokrotnie powtarzane przez stojącego na krawędzi urwiska zastępcy szeryfa dwa słowa:

– Cholera jasna, cholera jasna, cholera jasna.

Brzmiały jak prywatna mantra tego mężczyzny.

Rozdział czwarty

D JAK DICKWEED

Samochodowy pościg i aresztowanie Dara odbyły się we wtorkowe popołudnie. Tego samego dnia wieczorem wyszedł za kaucją a w środowy rano uczestniczył już w spotkaniu, które odbywało się w biurze zastępcy prokuratora okręgowego w centrum San Diego.

Gdy go zatrzymano we wtorek, Darwin był bez koszuli, w trampkach oraz uwalanych ziemią i krwią dżinsach, które włożył tego dnia o czwartej rano. Z powodu zadrapań od osypującego się na niego szkła, nagiego torsu, dziko rozczochranych włosów, dwudniowego zarostu i spojrzenia, które jego kumple w Wietnamie dawno temu nazywali „pobitewnie nieskupionym”, na fotce pstrykniętej mu do akt policyjnych wyglądał przerażająco jak prawdziwy przestępca. Mógłby ją sobie wyobrazić wiszącą w jego mieszkaniu, tuż obok starego kolorowego zdjęcia, na którym stoi w todze, przyjmując z rąk dziekana zwój symbolizujący doktorat z fizyki.

W środę rano, o dziewiątej, siedział zaś przy długim stole z kilkunastoma innymi osobami, których mu jeszcze nie przedstawiono. Teraz był ogolony, po prysznicu i miał na sobie świeżą białą koszulę, pasiasty rypсовy krawat, marynarkę z błękitnego lnu, spodnie z szarego płótna i wypolerowane czarne buty marki Bally, tak miękkie jak baletki. Nie był całkiem pewien, czy jest na tym spotkaniu gościem, czy też pozostaje więźniem stanowym, lecz tak czy owak chciał się prezentować przyzwoicie.

Asystent asystenta zastępcy prokuratora okręgowego, nerwowy mały człowieczek, który wydawał się pod każdym względem stanowić ucieleśnienie homoseksualisty: od długiego ściskania wszystkim dłoni i nerwowych chichotów po ciągłą ruchliwość, stale oferował zgromadzonym amerykańskie pączki z dziurką i kawę. Przed Darwinem leżał na stole cały rząd policyjnych kapeluszy i czapek z daszkiem, należących do siedzących tam przynajmniej ośmiu policyjnych kapitanów i szeryfów. Po tej samej stronie stołu, ale w drugim końcu, miejsce nad aktówkami zajmowali dwaj funkcjonariusze w cywilu; jeden miał fryzurę przywodzącą na myśl agentów specjalnych FBI. Wszyscy zebrani – oprócz człowieka z Federalnego Biura Śledczego – przyjęli od asystenta asystenta zastępcy prokuratora okręgowego co najmniej po jednym pączku.

Po stronie Dara, oprócz Lawrence'a, Trudy i ich prawnika, osobnika nazwiskiem W.D.D. Du Bois, tkwił różnobarwny szereg urzędasów i adwokatów. Większość z nich była mężczyznami zgarbionymi, pomarszczonymi, zmiętoszonymi, o obwisłych policzkach... toteż stanowili smutny kontrast wobec wykrochmalonych, spokojnych, twardoskórych i świeżych policjantów zajmujących, przeciwległą stronę. Większość adwokatów i urzędników przyjęła jedynie kawę.

Minor wziął kubek styropianowy i podziękował, za co otrzymał od asystenta asystenta zastępcy prokuratora okręgowego słowa: „Och, bardzo cię proszę, bardzo proszę” i klepięcie w plecy, po czym rozsiadł się wygodnie i czekał na dalszy rozwój wypadków.

Po chwili do pokoju wszedł ubrany w uniform urzędnika sądowego Murzyn, który obwieścił:

– Jesteśmy prawie gotowi. Zaraz możemy zaczynać. Dickweed jest w drodze, a Syd właśnie wychodzi z damskiej toalety.

Poprzedniego popołudnia zakutego w kajdanki Darwina zawieziono do więzienia w centrum Riverside. W samochodzie starszy ze stanowych policjantów wręcz słowo po słowie odczytał mu jego prawa z postrzępionej karteczki notesowej wielkości. Dar Minor miał zatem prawo zachować milczenie, ponieważ wszystko, co powie, może zostać i zostanie użyte przeciwko niemu w sądzie, miał prawo do adwokata, a jeśli nie było go na niego stać, otrzyma prawnika z urzędu. Czy zrozumiał?

– Nadal czytasz to wszystko z kartki?! – spytał Minor. – Powtarzasz ten tekst chyba z dziesięć tysięcy razy rocznie.

– Zamknij się, kurwa – odparował funkcjonariusz.

Darwin kiwnął głową i zachował milczenie. Pamiętał o sprawie z Mirandy; o wszystkich jej aspektach.

W więzieniu hrabstwa Riverside, niskim brzydkim budynku stojącym tuż obok wyższego, lecz równie brzydkiego tutejszego kompleksu ratuszowego, młodzi policjanci z CHP zdjęli mu kajdanki i oficjalnie przekazali go szeryfowi, który oddał go z kolei swemu młodemu zastępcy, polecając mu odprowadzić aresztowanego do celi. Dar nigdy przedtem nie został zatrzymany przez władze, tym niemniej wszelkie procedury, takie jak opróżnianie kieszeni z przedmiotów osobistych, zdejmowanie odcisków palców, zdjęcie z boku i *en face* były mu oczywiście znane z telewizji i filmów, toteż całość spowodowała u niego osobliwe uczucie bezsensownego *deja vu*, które jeszcze bardziej odrealniło zdarzenia ostatniej, tak mniej więcej, godziny. Trafił do celi, w której siedział sam, jeśli nie liczyć kilku ponurych karaluchów. Jakieś piętnaście minut później wrócił do niego zastępca szeryfa i powiedział:

– Masz prawo wykonać jeden telefon. Chcesz zadzwonić do swojego prawnika?

– Nie mam prawnika – odparł zgodnie z prawdą. – Mogę zadzwonić do mojego terapeuty?

Zastępca nie wyglądał na rozbawionego. Darwin zatelefonował do Trudy, która miała do czynienia z wieloma zagadnieniami prawnymi. Czasem żartował, że nawet

z wyłączoną połową mózgu mogłaby zdać wszystkie egzaminy adwokackie. Tyle że Trudy właściwie nie musiała się zmagać z kwestiami prawnymi, bo wraz z Lawrence'em zatrudniali jednego z najlepszych prawników w Kalifornii. Taka współpraca była konieczna, biorąc pod uwagę, że ich firma Stewart Investigations czasami pakowała się w skomplikowane wielomiesięczne procesy sądowe, które toczyły się z powodztwa ludzi pragnących wyłudzić odszkodowanie od jakiejś firmy.

– Trudy, ja... – zaczął Minor, gdy kobieta odebrała telefon.

– Tak, wiem – przerwała. – Nie udało mi się zobaczyć tego wszystkiego na żywo, ale Linda nagrała dla mnie cały program. Komentatorzy dyskutują właśnie o furii drogowej.

– Chcą mi zarzucić napaść na drodze?! – zdenerwował się Darwin. – Te dranie próbowały mnie zabić, a potem ja...

– Jesteś w Riverside, prawda? – znów mu przerwała.

– Zgadza się.

– Wysłałam już po ciebie jednego ze współników W.D.D. Napiszesz oświadczenie w obecności tego adwokata, a on wyciągnie cię w ciągu godziny.

Dar stał przez chwilę nieruchomo i mrugał zaskoczony.

– Trudy, kaucja wyniesie z miliard dolarów. Dwóch ludzi nie żyje. Ich śmierć nakręcił na żywo Kanał 5. Hrabstwo Riverside na pewno nie zamierza wypuścić mnie stąd bez...

– Chodzi o coś więcej niż reportaż na żywo – wtrąciła Trudy. – Wykonałam parę telefonów i wiem, kim byli ci dwaj faceci, a także dlaczego przedstawiciele CHP i policji hrabstwa nie ujawnili twojego nazwiska mediom. I dlaczego W.D.D. będzie mógł...

– Kim zatem byli?! – spytał Darwin, łapiąc się na tym, że znowu krzyczy. – Czy mówili o tym w telewizji?

– Nie, nie mówili o tym w telewizji – odrzekła kobieta z naciskiem. – A my poznamy wszystkie szczegóły dopiero jutro rano na spotkaniu w biurze zastępcy prokuratora okręgowego. W San Diego – dodała. – Mamy się tam stawić o dziewiątej rano. Wyjdiesz za kaucją... Prokurator hrabstwa San Diego otrzymał już odpowiednie pismo od jednego z sędziów. Nie martw się o reporterów, którzy pojedą za tobą prawdopodobnie aż do domu... Twojego nazwiska nikt nie ujawni przynajmniej do jutra.

– Ale... – zaczął Dar i natychmiast zrozumiał, że nie wie, co jeszcze mógłby powiedzieć.

– Zaczekaj na współnika W.D.D. – poradziła mu. – Potem jedź do domu i weź gorący prysznic. Lawrence właśnie telefonował i opowiedziałam mu, co się dzieje. Zadzwonimy do ciebie jeszcze dzisiaj wieczorem, a potem dobrze się wyśpij.

Wygląda na to, że jutrzejszy dzień będzie od nas wszystkich wymagał niezłej kondycji.

W.D.D. Du Bois, nazwisko wymawiało się jako „du-bojz”, był niskim Murzynem o genialnym umyśle. Nosił wąsy w stylu Martina Luthera Kinga i miał osobowość Danny’ego De Vito. Lawrence Stewart powiedział kiedyś, że na sali sądowej W.D.D. potrafi więcej zasugerować ruchem wąsów niż większość ludzi unoszeniem i opuszczaniem brwi. Du Bois nie było prawdziwym nazwiskiem adwokata. Albo, inaczej mówiąc, nie otrzymał go przy narodzinach. Urodził się w Greenville, w stanie Alabama, na początku lat czterdziestych jako Willard Darren Dirks. Od początku niemal wszystkie okoliczności sprzysięły się przeciwko niemu: jego rasa, wiejskie ubóstwo rodziny, stan, w którym się urodził, tępota i nastawienie większości białych mieszkańców tegoż stanu, analfabetyzm rodziców, nędzne szkoły, w których panowała segregacja rasowa. Przeciwko niemu działało zatem niemal wszystko – oprócz własnego IQ, który był znacznie, znacznie wyższy od przeciętnego. Kiedy Willie Dirks miał dziewięć lat, odkrył pisma W.E.B. Du Boisa (wymawianego jako „du-bojz”), a gdy skończył lat dwadzieścia, oficjalnie przybrał to nazwisko. Do tego czasu wyrwał się już z Alabamy, ukończył college przy Uniwersytecie Południowej Kalifornii i rozpoczął naukę na wydziale prawa Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Był dopiero trzecim Murzynem, który ukończył studia na tej szacownej uczelni i pierwszym, który otworzył w tymże mieście poważną kancelarię prawniczą; pracowali w niej wyłącznie czarni prawnicy, mieli czarnych współpracowników i czarny personel.

Fakt, że otwierał firmę w 1964 roku, pomógł praktyce W.D.D., lecz nie zapewnił mu automatycznego sukcesu. W roku tym wydano wprawdzie stanowiącą prawdziwy przełom w amerykańskim ustawodawstwie ustawę o prawach obywatelskich, która zabraniała dyskryminacji ze względu na kolor skóry, rasę, religię oraz miejsce urodzenia. To od niej prezydent Lyndon Johnson rozpoczął swoją reformatorską drogę ku tak zwanemu „Wielkiemu Społeczeństwu”, firma Du Boisa wciąż jednak musiała się zajmować głównie sprawami cywilnymi, podczas gdy pierwszą miłością W.D.D. było prawo karne. Zresztą w nielicznych sprawach karnych, które prowadził, wciąż występował w sądzie osobiście – im sprawa była dziwniejsza, tym większy miała dla niego urok i tym chętniej się nią zajmował. Świetnie wiedziano – przynajmniej w kręgach prawnych – że adwokat Robert Shapiro próbował wciągnąć Du Boisa w sprawę O.J. Simpsona, zanim zajął się nią Johnny Cochran, ale ten odpowiedział mu bez wahania: „Żartujesz? Ten brat jest winny jak brat Abla, Kain. Ja

reprezentuję jedynie osoby niewinnie oskarżone o zabójstwo”. Stewart Investigations przez ostatnie lata proponowały mu pewne wybrane przypadki, a Du Bois okazywał swoją wdzięczność poprzez reprezentowanie firmy Trudy i Lawrence’a, gdy sprawy się komplikowały. Dzisiejsza sytuacja Darwina Minora wydawała się należeć do takich właśnie przypadków.

Na salę wszedł zastępca prokuratora okręgowego i zajął krzesło u szczytu stołu. Richard Allen Weid miał ambicje polityczne, był drażliwy na punkcie swojego nazwiska, które wielu wymawiało identycznie jak „weed”, czyli chwast. Ojciec zastępcy prokuratora był sławnym sędzią, więc Richard nie zamierzał zmieniać nazwiska, zakazywał jednak ludziom nazywać się „Dickiem”, nawet częściej niż Lawrence protestował przeciwko imieniu „Larry”. Ten zakaz oczywiście obrócił się przeciwko niemu, toteż za plecami wszyscy w biurze prokuratora okręgowego, w Centrum Sprawiedliwości w San Diego i w całej południowej Kalifornii nazywali go „Dick”, a jeszcze częściej „Dickweed”.

Syd z kolei niesamowicie zaskoczyła Darwina. Okazała się kobietą niezwykle atrakcyjną, pod czterdziestkę, z lekką nadwagą, która dodawała jej wdzięku, bardzo zadbaną i dobrze ubraną. Jej mina wyraźnie sugerowała wielką inteligencję przebijającą przez spokojnie rozbawioną podejście do życia. Przypomniała Darowi pewną aktorkę charakterystyczną, którą naprawdę lubił, lecz której nazwisko zupełnie wyleciało mu w tej chwili z głowy. Przypuszczał, że wymawiała swoje nazwisko coś jak „Sydney” przez dwa igreki i że – ponieważ zajęła miejsce na końcu stołu, czyli dokładnie naprzeciwko Dicka Weida – była najwidoczniej jakąś ważną figurą w tej rozgrywce.

Zebranie rozpoczął zastępca prokuratora okręgowego Weid.

– Wszyscy wiecie, po co się dziś tutaj spotkaliśmy. Ci, którzy akurat pełnili wtedy służbę i przeczyli wczorajsze lub dzisiejsze poranne wiadomości, powinni przejrzeć kopię oświadczenia pana Darwina Minora. Macie je przed sobą... Całość zarejestrowana jest też na kasecie.

„Cholera” – pomyślał Dar, gdy asystent asystenta przyniósł z kąta standardowy magnetowid i stary monitor, stawiając je na honorowym miejscu tuż obok krzesła Weida. Asystent włożył do magnetowidu kasetę, a zastępcy prokuratora okręgowego wręczył pilota.

Darwin nie widział jeszcze wczorajszego nagrania dokonanego przez Kanał 5. Teraz oglądał nakręconą pogoń: od wyjazdu z międzystanowej, przez jazdę krętą drogą w górę, ponad Lake Elsinore, aż po zadziwiającą końcówkę, gdy w helikopter „Wiadomości”, unoszący się trzydzieści metrów nad tarasem restauracji Lookout, o mało nie uderzył przelatujący mercedes E 340. Można było odnieść wrażenie, że samochód szuka u hałasującej maszyny schronienia. Na szczęście zastępca

prokuratora okręgowego Weid znacząco przyciszył dziką narrację reporterów. Kamera telewizyjna ze wszystkimi szczegółami pokazała twarze obu zabójców (ponieważ obaj pchali się do okna od strony kierowcy, jak gdyby chcieli się przez nie wydostać i wskoczyć do helikoptera) i Dar wyraźnie zobaczył wargi snajpera poruszające się w krzyku. Słów nie słyszał.

Kiedy mercedes spadł, znikając z pola widzenia, pilot maszyny Kanału 5 natychmiast wprowadził helikopter w spiralne nurkowanie, dzięki czemu ustabilizowana żyroskopowo kamera mogła nieczule nakręcić cały upadek samochodu, aż uderzył dachem w stok, przynajmniej sto pięćdziesiąt metrów pod tarasem Lookout, odbił się od zbocza, a następnie osunął wśród drzew i krzewów o kolejne trzydzieści metrów. Karoseria auta pozostawała przez cały czas zdumiewająco nietknięta, lecz na bok wylatywały koła, zderzaki, lusterka, osie, tłumik, kołpaki, przednia szyba, elementy zawieszenia, katalizator, a także ludzie. W końcu wrak zniknął we własnej chmurze kurzu, gruzu i zgniecionych drzew w stromym wąwozie na ścianie urwiska.

Zastępca prokuratora okręgowego Weid wduśli przycisk powolnego cofania nagrania i szczątki auta na ekranie zaczęły się ponownie składać w całość. Przez chwilę mercedes unosił się w powietrzu, a wtedy Weid wcisnął pauzę, zatrzymując obraz na twarzach dwóch mężczyzn, z których jeden jawnie coś wrzeszczał, najprawdopodobniej błagając o pomoc lecących helikopterem reporterów. Dar kątem oka dostrzegł, że głowy wszystkich osób w sali odwracają się ku niemu – nawet głowy Lawrence’a i Trudy – i poczuł wagę ludzkich spojrzeń. Przez głowę przemknęło mu pytanie: „Czyżby nie uratowały ich poduszki powietrzne?”, postanowił jednak zachować milczenie i dlatego nie wyraził swych wątpliwości głośno. Zresztą, co było widać na taśmie, do momentu „lotu” mercedesa trzy z czterech przednich poduszek powietrznych najpierw się otworzyły, a potem pękły, toteż przód części pasażerskiej wyglądał żałośnie – jak pomieszczenie wyłożone ogromnymi, wiotczącymi prezerwatywami. Dwaj mężczyźni zatem na pewno zginęli, ich śmierć zaś spowodował właśnie on, Darwin Minor. Było mu z tego powodu ciężko na duszy, nie potrafił jednak odczuwać szczerego żalu. Zbyt dokładnie zapamiętał sobie terkot karabinu mac-10, odgłos pocisków roztrzaskujących szybę acury od strony kierowcy, a także ich świst w pobliżu głowy. Przypomniawszy sobie swój wczorajszy gniew, który wydawał się teraz niesamowicie odległy, choć wiedział doskonale, że gdyby ci dwaj dranie przeżyli upadek, pewnie zbiegłby z góry i roztrzaskał im łby pierwszym znalezionym przedmiotem. Nic nie powiedział, a minę zachował obojętną, dlatego w końcu ludzie siedzący przy stole odwrócili od niego wzrok.

– Zanim przejdziemy do dalszych kwestii – przerwał ostatecznie ciężkie

milczenie zastępcy prokuratora okręgowego – powinienem dodać, że zatrudniliśmy specjalistę ze szkoły dla głuchoniemych, który potrafi czytać z ruchu warg. Mężczyzna miał poddać analizie ostatni krzyk jednego z mężczyzn – wskazał na ekran, na którym widać było wąsatego snajpera z szeroko otwartymi ustami – niestety ustalił jedynie, że słowa wypowiedziane przez niego przypominają... hm... *gave nooky*. [To give nooky (ang.) – dać dupy.]

Wszyscy zagapili się bezmyślnie przed siebie z wyjątkiem Sydney, która głośno się roześmiała.

– *Gawnuki* – powiedziała, nadal chichocząc pod nosem. Wymówiła to słowo z akcentem. – Znaczy po rosyjsku „gówniarze”! Sądzę, że facet wyraził swoją opinię na temat dziennikarzy z Kanału 5.

– Całkiem możliwe – przyznał zastępca prokuratora okręgowego i wyłączył kasetę.

– Fakt ten potwierdzałby ustaloną przez FBI tożsamość tych dwóch mężczyzn – oświadczył przystojniak z fryzurą agenta. – Mercedes został skradziony w Las Vegas dwa dni temu. Ustaliliśmy, że obaj mężczyźni, którzy zginęli w tymże kradzionym pojeździe, to obywatele rosyjscy. Kierowca, Wasilij Plawinksy, przebywał w naszym kraju od trzech miesięcy na podstawie wizy tymczasowej. Drugi osobnik...

– Ten, który usiłował zastrzelić mojego klienta z broni automatycznej – wtrącił gładko Du Bois.

Przedstawiciel Federalnego Biura Śledczego zmarszczył brwi.

– Drugi osobnik – podjął bez komentarza – także Rosjanin, przyleciał do Stanów... przez Nowy Jork... zaledwie przed pięcioma dniami. Nazywa się Kliment Ritko.

– To może być pseudonim – zasugerował Dar.

– Dlaczego pan tak sądzi? – spytał agent specjalny FBI protekcyjnym tonem. – W swoim oświadczeniu stwierdził pan, że nigdy wcześniej nie spotkał żadnego z tych mężczyzn. Czy teraz twierdzi pan, że wie coś na temat tożsamości jednej z dwóch... ofiar?

– Raczej niedoszłych morderców – poprawił go natychmiast W.D.D. Du Bois. – Wynajętych zabójców.

– Mówię jedynie – odparł Minor – że mężczyzna mógł się posługiwać pseudonimem, ponieważ żył kiedyś taki niesławny rosyjski malarz o nazwisku Kliment Ritko. Jego obraz z 1924 zatytułowany *Powstanie* przepowiedział stalinowskie rządy terroru. Ów Ritko namalował nawet Lenina, Stalina, Trockiego, Bucharina i resztę bolszewickich przywódców na krwistoczerwonym tle i w otoczeniu oddziałów żołnierzy, którzy strzelali do bezbronnych ludzi na ulicy.

Przez dobre trzydzieści sekund panowała kompletna cisza: pełne konsternacji

milczenie, jak gdyby Dar nie popisał się swoją wiedzą lecz zerwał się z miejsca i nasikał na stół. Postanowił zatem nie odzywać się więcej do końca zebrania, chyba że ktoś spyta go o coś wprost. Obrócił nieznacznie głowę i zobaczył, że Sydney, kimkolwiek była, wpatruje się w niego, wyraźnie go oceniając.

– Może w tym momencie przedstawię wszystkich uczestników naszego spotkania – powiedział szybko zastępca prokuratora okręgowego, próbując znów przejąć kontrolę nad zebraniem. – Większość z państwa zna agenta specjalnego Jamesa Warrena, dowodzącego oddziałem Federalnego Biura Śledczego w San Diego. Kapitan Bill Reinhardt reprezentuje Departament Policji Los Angeles, który współpracuje przy południowokalifornijskiej operacji „Czystka”. Kapitan Frank Hernandez jest przedstawicielem naszego Departamentu Policji San Diego. Obok kapitana Hernandeza – kapitan Tom Sutton... Dziękuję ci, że się dziś zjawileś, Tom, chociaż przyznam, że zawiadomiłem cię w ostatniej dosłownie chwili... Wiem, że miałeś wziąć udział w konferencji w Las Vegas. Kapitan Tom Sutton jest z kalifornijskiej policji drogowej. Obok Toma siedzi szeryf Paul Fields z Hrabstwa Riverside, który wspaniale współdziałał z nami podczas tej operacji. Większość z was zna szeryfa Buzza McCalla stąd, z hrabstwa San Diego. A na końcu... witaj, Marleno... szeryf Marlena Schultz reprezentuje hrabstwo Orange. – Zastępca prokuratora okręgowego Weid zaczerpnął wielki haust powietrza, po czym obrócił się w lewo. – Niektórzy z państwa spotkali już Roberta... Boba... Boba Gaussa ze Stanowego Wydziału do Spraw Oszustw Ubezpieczeniowych. Witaj, Bob. Obok Boba siedzi pani adwokat z Waszyngtonu, Jeanette Poulsen, reprezentantka Narodowego Biura do Spraw Przepływów Ubezpieczeniowych. Po lewej stronie pani Poulsen widzę Billa Whitneya z Kalifornijskiego Departamentu Ubezpieczeń. Za Billem zaś siedzi... hm... hm... – Weid musiał zerknąć w notatki. Była to pierwsza skaza jego wypowiedzi.

– Lester Greenspan – przedstawił się mężczyzna w zmiętoszonym ubraniu, który wyglądał na urzędnika. – Główny pełnomocnik obywatelskiej grupy o nazwie Koalicja Przeciwko Oszustwom Ubezpieczeniowym. Również przyjechałem z Waszyngtonu, oficjalnie współpracując przy południowokalifornijskiej operacji „Czystka”. Dar skrzywił się, słysząc imiesłów „współpracując”.

– Obok pana Greenspana mamy kogoś, kogo wszyscy znamy i kochamy – kontynuował zastępca prokuratora okręgowego, wyraźnie zamierzając dodać nudnemu zebraniu energii, serdeczności i humoru. – Cieszący się zasłużoną sławą wiecznie zwycięski obrońca z Los Angeles W.D.D. Du Bois.

– Dziękuję ci, Dickweed – odpowiedział czarny adwokat z szerokim uśmiechem.

Weid zamrugał gwałtownie, jakby nie usłyszał poprawnie, ale zareagował jedynie nerwowym uśmiechem.

– Eee... obok W.D.D. siedzą... większość przedstawicieli organów ścigania dobrze zna tę parę. To Trudy i Larry Stewart ze Stewart Investigations, firmy z siedzibą w Escondido.

– Lawrence – poprawił go Lawrence.

– Za Larrym zaś widzimy – ciągnął zastępca prokuratora okręgowego – kolejną osobę, z którą wielu spośród nas spotkało się na gruncie zawodowym. Pan Darwin Minor należy do najlepszych w naszym kraju specjalistów od rekonstrukcji wypadków. No i jest kierowcą czarnej acury NSX, którą przed chwilą oglądaliśmy na kasecie wideo. A na końcu stołu...

– Dick, pozwól mi, proszę, wtrącić – przerwał mu szeryf hrabstwa Riverside, Paul Fields. Był starszym mężczyzną o przenikliwych oczach zawodowego zabójcy. Kiedy zwrócił wzrok na Dara, tego aż zmroziło. – Wczorajsze zdarzenie stanowi dla mnie najbardziej karygodne i zimne zabójstwo samochodowe, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Dzięki – mruknął Darwin, przesywając szeryfa złowieszczym spojrzeniem, czyli odpowiadając mu pięknym za nadobne. – Tyle że to oni usiłovali mnie zabić z zimną krwią. We mnie krew się raczej gotowała, gdy usiłowałem ich skłonić do... hm... zejścia mi z drogi...

– Przestańcie! – rozkazał Weid. – Proszę pozwolić mi dokończyć. Chciałbym przedstawić siedzącą naprzeciwko mnie, na drugim końcu stołu panią Sydney Olson, główną oficer śledczą prokuratora stanowego i obecną szefową specjalnej ekipy dochodzeniowej zajmującą się przestępczością zorganizowaną i oszustwami, a wchodzącą w skład grupy zajmującej się południowokalifornijską operacją „Czystka”. Syd... masz głos.

– Dziękuję ci, Richardzie – odparła główna oficer śledcza i znowu się uśmiechnęła.

„Stockard Channing” – Dar przypomniał sobie nazwisko aktorki.

– Jak większość z państwa wie – podjęła Sydney Olson – od ostatnich trzech miesięcy prowadzimy poważne śledztwo, które nazywamy południowokalifornijską operacją „Czystka” i w którym próbujemy rozprawić się z ciągłym wzrostem fałszywych roszczeń ubezpieczeniowych, do jakich dochodzi w tej części stanu. Oceniamy, że tylko w tym roku roszczenia te kosztowały Kalifornijczyków około 7,8 miliarda dolarów... – Kilku szeryfów zagwizdało z respektem. – ...Przewidujemy, że do końca roku suma ta może wzrosnąć nawet o dwadzieścia procent.

– Albo i o czterdzieści – mruknął Lester Greenspan z Koalicji Przeciwno Oszustwom Ubezpieczeniowym.

Sydney Olson pokiwała głową.

– Zgadzam się, to możliwe. Myślę, że nasze szacunki w tej kwestii mogą być

nieco zbyt zachowawcze. Szczególnie jeśli chodzi o ostatnie mniej więcej pół roku.

Agent specjalny Warren odchrząknął.

– W tym momencie powinienem poinformować wszystkich państwa, że południowokalifornijska operacja „Czystka” wzoruje się na operacji o tej samej nazwie, którą FBI przeprowadziło z wielkim powodzeniem w 1995 roku. W naszej operacji „Czystka” dokonaliśmy ponad tysiąca aresztowań.

„Z czego skazano zapewne cztery osoby” – pomyślał Minor.

– Dziękujemy ci, Jim – powiedziała oficer śledcza Olson. – Masz oczywiście rację. W naszych działaniach nawiązujemy także do dochodzenia florydzkiego, nazywanego potocznie „Kraksa za gotówkę”. Przedstawiciele prokuratury stanowej zatrzymali wówczas stu siedemdziesięciu czterech podejrzanych, z których wielu okazało się członkami jednego gangu, organizującego fałszywe wypadki samochodowe.

– Głównie stłuczki? – spytała Trudy Stewart. – Czy też wypadki cięższego kalibru?

– Sporo podejrzanych w istocie wielokrotnie występowało o odszkodowanie po niegroźnych stłuczkach – wyjaśniła Sydney Olson – lecz schwytano również prawdziwe szchy. Grupą zorganizowaną dowodzili pewien adwokat z Miami i jego syn. Zainscenizowali ponad sto pięćdziesiąt kraks samochodowych, płacąc osobom o niskich dochodach za zderzenia na autostradach Florydy, a następnie wypełniali fałszywe formularze roszczeniowe przeciw firmom ubezpieczeniowym. Współpracowali z nimi lekarze ortopedzi.

– Nic nowego, jeśli chodzi o południową Kalifornię – zauważył szeryf Fields z hrabstwa Riverside, z wydatnym południowym akcentem i tonem zawodowego snajpera do wynajęcia. – Mamy do czynienia z takimi sprawami niemal codziennie. Wystawiony jest co ósmy albo co dziesiąty z przeklętych wypadków samochodowych na przebiegającym przez nasze hrabstwo odcinku I-15. Nic, cholera, nowego.

Śledcza Olson skinęła głową.

– Z wyjątkiem faktu, że w ostatnich paru miesiącach toczy się tutaj swego rodzaju wojna o wpływy, w której chodzi o przejęcie kontroli nad zorganizowanymi oszustwami ubezpieczeniowymi.

– Jest więcej takich grup? – spytał szeryf Fields, patrząc nieufnie i z ukosa.

Odpowiedział mu zastępca prokuratora okręgowego Weid:

– Podczas śledztwa w hrabstwie Dade na Florydzie ustalono, że wielką rolę w organizacji oszustw ubezpieczeniowych pełnili byli dealerzy narkotykowi. My tutaj zauważamy podobny udział przedstawicieli gangów meksykańskich i meksykańsko-amerykańskich. Zarówno we wschodnim Los Angeles, jak i w innych miejscach.

– Liczby – warknął szeryf.

Kapitan Sutton z CHP potrząsnął głową.

– Większości fałszywych wypadków nie organizują nasze gangi latynoskie – zauważył cicho. – Raczej powiem, że ich członkowie próbowali się włączyć do akcji, ale im się odechciało, bo ktoś nieźle skopał im za to tyłki. A paru czołowych *hommes* skończyło w plastikowych torbach na ciału.

Tym razem odchrząknęła szeryf Schultz z hrabstwa Orange.

– U nas podobnie sobie pomyślał gang wietnamski. Chcieli opanować światek oszustw, tylko ktoś stanowczo i przekonująco im to odradził.

– I kimkolwiek jest ta osoba – podsumował agent specjalny Warren – najwięcej osiągnęła w tej wojnie o wpływy dzięki sprowadzeniu zabójców z mafii rosyjskiej i czeczeńskiej... Ustaliliśmy, że działają wszędzie na Wybrzeżu Zachodnim, lecz szczególnie tu, na Południu.

Wszystkie oczy zwróciły się na Darwina i na jego najbliższych towarzyszy. Lawrence zakaszłał, co u niego zwykle oznaczało wstęp do dłuższej przemowy.

– Nasza firma wielokrotnie korzystała z usług Dara... pana Minora... doktora Minora. Rekonstruował dla nas także wiele wypadków, które wyraźnie zostały zainscenizowane. Był rzeczoznawcą w kilku takich sprawach, podobnie zresztą jak ja.

Trudy przez moment potrząsała głową.

– W tych fałszywych roszczeniach nie dostrzegliśmy jednak żadnego śladu wskazującego na możliwość istnienia dobrze zorganizowanego gangu – wtrąciła. – Mieliliśmy do czynienia jedynie ze zwykłymi tego typu przypadkami. Ofiary życiowe, desperaci, pasožyci społeczni. Wymuszenia ubezpieczeniowe to jedna z nielicznych znanych tym ludziom metod zarobku.

Zastępca prokuratora okręgowego Weid przyjrzał się z uwagą Darwinowi.

– Powiem wprost – oświadczył. – Nie mamy cienia wątpliwości, że ci dwaj mężczyźni w mercedesie to przedstawiciele rosyjskiej mafii, których ktoś tutaj sprowadził, aby pomogli mu w wojnie o wpływy... Mało tego, panie Minor, ci ludzie zostali tu sprowadzeni w celu zabicia pana.

Słyszając to zdanie, Dar skrzywił się naprawdę nieznacznie.

– Dlaczego mieliby chcieć mnie zabić? – spytał.

Olson obróciła się bokiem na krześle i spojrzała mu prosto w oczy.

– Żywiliśmy nadzieję, że właśnie pan odpowie nam na to pytanie. Wczorajsze zdarzenia oznaczają dla nas... najlepszy trop, jaki otrzymaliśmy od początku naszego kilkumiesięcznego już śledztwa.

Darwin tylko potrząsnął głową.

– Gdyby rzeczywiście mnie szukali... nawet nie wiem, w jaki sposób mogliby mnie namierzyć. Cały dzień miałem zwariowany... – Szybko i zwięźle opowiedział o porannej pobudce, startowych silnikach raketowych, spotkaniu z Larrym

i rozmowie z Henrym w Cienistym Odpoczynku, czyli parkingu przyczep dla ludzi starszych... – Chcę powiedzieć, że... nie zaplanowałem niczego, co wczoraj robiłem. Nikt nie mógł wiedzieć, że o tamtej porze pojedę akurat na południe, drogą I-15.

– We wraku mercedesa – wyjaśnił kapitan Sutton z CHP – znaleźliśmy urządzenie do namierzania telefonów komórkowych. Prawdopodobnie monitorowali pańskie rozmowy.

Minor znów potrząsnął głową.

– Po moim spotkaniu z Larrym nigdzie nie telefonowałem z komórki ani nikt nie dzwonił do mnie.

– Lawrence połączył się ze mną – powiedziała Trudy. – Dostał fotografie gangu złodziei samochodów i zadzwonił. Mówił, że akurat przesłuchujesz kogoś na parkingu przyczep.

Dar po raz kolejny potrząsnął głową.

– Sugerujecie, że głupia zabawa raketowym silnikiem startowym albo upadek siedemdziesięcioośmioletniego starca z jego parda stanowi część potężnego spisku mającego na celu wymuszanie ubezpieczeń? I że ktoś ściągnął do Kalifornii Rosjan i kazał im mnie za to zabić?

Ponownie odezwał się kapitan Sutton z kalifornijskiej policji drogowej. Jak na takiego dużego mężczyznę – mierzył przynajmniej metr dziewięćdziesiąt pięć – miał bardzo łagodny i cichy głos.

– Jeśli chodzi o silnik raketowy, wyjaśniliśmy sprawę. Zidentyfikowaliśmy szczątki we wraku... po zębach. Dziewiętnastolatek nazwiskiem Purvis Nelson z Borrego Springs. Mieszkał z wujkiem Leroyem. Leroy skupował duże partie metalu od sił powietrznych. Najwyraźniej ktoś w bazie Air Force zapomniał o tych dwóch silnikach raketowych. No i znalazł je młody Purvis. Zostawił wujkowi notatkę...

– Samobójczą? – spytał ktoś.

Kapitan CHP zaprzeczył.

– Nie, nie, zwykłą kartkę, na której młodzieniec napisał, że wychodzi o dwudziestej trzeciej, zamierza w nocy pobić rekord prędkości i spotka się z wujem na śniadaniu.

– Innymi słowy zostawił notkę samobójczą – mruknął szeryf McCall reprezentujący hrabstwo San Diego, po czym spojrzął na Lawrence'a. – Pan Minor napisał w swoim oświadczeniu, że kiedy się spotkaliście przed strzelaniną jechał pan udokumentować transakcję kradzieży samochodu. Gang złodziei samochodów brał sobie na cel pojazdy Avis, zgadza się? Czy ta sprawa mogłaby stanowić powód ataku na pana Minora?

Stewart cicho się roześmiał.

– Pan wybacz, szeryfie, ale te kradzieże stanowiły pomysł jednej rodziny

prostaków. Wie pan, mówię o tych typowo południowych rodzinach, w których kolejne pokolenia nie są mądrzejsze od poprzednich. – Nikt z biorących udział w spotkaniu szeryfów, policyjnych kapitanów czy ludzi z Federalnego Biura Śledczego nie uśmiechnął się. Lawrence odchrząknął. – Tak czy owak, w mojej opinii grupka, którą się zajmowałem, na pewno nie ma żadnych związków z rosyjską mafią. Ci ludzie prawdopodobnie nawet nie wiedzą że w Rosji w ogóle działa mafia. Akcje ograniczali wyłącznie do własnego grona. Niejaki Billy Joe pracował po prostu w zajmującej się wynajmem samochodów firmie Avis i w ramach swoich obowiązków posiadał adresy lokalnych najemców. Jego brat Chuckie brał komplet zapasowych kluczy i kradł w nocy auto... Lubili sportowe. Spotykali się na pustyni z kuzynem Floydem, w warsztacie, który tam mieli, pokrywali samochód nowym kolorem, czekali, aż lakier wyschnie, po czym Floyd od razu odjeżdżał aż do Oregonu, gdzie sprzedawał auto w komisie, jak najbardziej legalnie posiadanym przez rodzinę. Zmieniali tablice rejestracyjne, ale nie numery wozu. W sumie okazali się kretynami. Zwróciłem wczoraj fotografie i notatki firmie Avis, a oni przekazali informacje miejscowym władzom i policji Oregonu.

Główna oficer śledcza Olson podniosła nieznacznie głos, sugerując powrót do głównego tematu.

– Wiemy zatem – powiedziała – że żadne z wczorajszych zdarzeń nie było związane z zamachem na pańskie życie, doktorze Minor.

– Proszę mi mówić Dar – mruknął Darwin.

– Dar – powtórzyła Sydney Olson, patrząc mu w oczy.

Minora ponownie uderzył sposób, w jaki mieszała profesjonalną powagę z lekkim rozbawieniem. „Czy chodzi o iskierkę w jej oku, czy też o sposób, w jaki porusza ustami?” – zastanowił się i natychmiast potrząsnął głową wyrzucając z głowy te myśli. Poprzedniej nocy nie spał zbyt dobrze.

– Coś jednak musiałeś zrobić, Dar – kontynuowała kobieta z naciskiem. – Coś, co skłoniło Przymierze do podejrzeń, że w jakiś sposób możesz im zagrazać.

– Przymierze? – spytał.

Sydney Olson skinęła głową.

– Tak nazywamy ten gang oszustów. Sądzymy, że jest bardzo potężny i doskonale zorganizowany.

Szeryf Fields odepchnął się od stołu. Miał taką minę, jakby żuł tytoń i potrzebował spluwaczki.

– Potężny gang oszustów? Operacja „Czystka”? Droga pani, uważam, że mamy do czynienia jedynie ze zwyczajnymi ofiarami losu, ludźmi, którzy umyślnie wjeżdżają na autostradzie swoim autem w inne, a potem wrzeszczą że w wypadku uszkodzili sobie kręgosłup. Nic nowego. Ten wasz oddział specjalny marnuje jedynie

pieniądze podatników.

Kobieta lekko poczerwieniała na policzkach, po czym posłała staremu szeryfowi o wyglądzie zabójcy do wynajęcia spojrzenie, które skojarzyło się Darwinowi z Batem Mastersonem.

– Istnienie Przymierza jest faktem, szeryfie. Ci dwaj martwi Rosjanie w mercedesie... bezwzględni członkowie mafii, którzy według Interpolu zabili niedawno w Moskwie co najmniej tuzin nieszczęsnych rosyjskich bankierów i biznesmenów, a także prawdopodobnie jednego zbyt pewnego siebie amerykańskiego przedsiębiorcę, który chciał tam inwestować... ci dwaj martwi Rosjanie to rzeczywistość. Pociski z maca-10 w samochodzie doktora Minora też są realne. A mniej więcej dziesięć miliardów dolarów, które Kalifornia straciła w wyniku wymuszeń ubezpieczeniowych... to nie wymysły, szeryfie!

Stary szeryf oderwał wzrok od Sydney Olson, a jego grdyka poruszyła się intensywnie, jak przy pospiesznym przełykaniu.

– No dobra, nie kłóćmy się. Wszyscy mamy pilne sprawy, do których musimy wracać. Jak ten... projekt „Czystka”... się dalej rozwinię?

Weid uśmiechnął się dobrotliwym, uspokajającym uśmiechem. Uśmiechem urodzonego polityka.

– Ze względu na ostatnie zdarzenia specjalna ekipa dochodzeniowa tymczasowo przenosi swoją centralę do San Diego – oświadczył radośnie. – Media domagają się ujawnienia nazwiska kierowcy czarnej acury NSX. Dotychczas udawało nam się ukryć szczegóły tej historii, ale jutro...

– Jutro – podjęła Sydney Olson, patrząc znów na Dara – ujawnimy oficjalną historię. Niektóre jej detale będą dokładne, powiemy na przykład, że dwaj zabiści mężczyźni byli rosyjskimi zabójcami zawodowymi działającymi na zlecenie tamtejszej mafii. Oświadczymy, że ich niedoszły cel to prywatny detektyw... z oczywistych powodów nie zdradzimy prasie ani prawdziwej tożsamości Dara, ani jego zawodu... No i ogłosimy, że naszym zdaniem zabójcy ścigali go, ponieważ był bliski ujawnienia ich działalności. A po oświadczeniu będę spędzać całkiem sporo czasu z doktorem Minorem i Stewart Investigations.

Darwin odwzajemnił jej wyzywające spojrzenie. Nagle przestała dla niego wyglądać jak słodka Stockard Channing.

– Wystawiacie mnie niczym kozła w tym filmie o dinozaurach... *Parku Jurajskim*.

– Właśnie – przyznała śledcza Olson. Teraz uśmiechała się do niego zupełnie otwarcie.

Lawrence podniósł rękę niczym uczeń na lekcji.

– Tylko nie chcę znaleźć cholernej nogi mojego przyjaciela Dara na moim szyberdach, dobrze?

– Dobrze – odparła kobieta. – Gwarantuję, że do tego nie dojdzie. – Wstała. – Jak powiedział szeryf Fields, każdy z nas ma ważne obowiązki, do których musi wrócić. Panie, panowie, będziemy was wszystkich informować na bieżąco. Dziękuję, że przyszliście tu dzisiaj rano i poświęciliście nam tyle swojego cennego czasu.

Zebranie zostało zakończone, a Dick Weid wyglądał na skonsternowanego, że nie zrobił tego osobiście. Sydney Olson zwróciła się do Dara:

– Jedziesz teraz do domu w Mission Hills?

Nie zaskoczyło go, że wiedziała, gdzie mieszkał. Przeciwnie, był przekonany, że przeczytała każdą stronę wszystkich akt, jakie istniały na jego temat.

– Tak – odrzekł. – Jadę się przebrać, a później pooglądać moje opery mydlane. Larry i Trudy dali mi dzień wolny. Nie mam też żadnych innych zleceń.

– Mogę pojechać z tobą? – spytała oficer śledcza. – Pokażesz mi swoje mieszkanie?

Minor rozważył dziesięć tysięcy oczywistych seksistowskich odpowiedzi i wszystkie odrzucił.

– Chodzi o moją ochronę, prawda?

– Prawda – odpowiedziała Sydney. Rozchyliła zaledwie nieznacznie połę marynarki i pokazała mu dziewięćmilimetrowy półautomat, który nosiła na biodrze, w kaburze wyposażonej w specjalny, otwierany jednym ruchem mechanizm. – A jeśli się pospieszymy – dodała – możemy zjeść po drodze niewielki lunch i akurat zdążymy na odcinek *Wszystkich moich dzieci*.

Dar westchnął.

Rozdział piąty

E JAK ETYKIETKA

– Znamy się dopiero dwie godziny – stwierdziła Syd – i już mnie okłamałeś.

Darwin spojrział na nią z miejsca przy kuchennym kontuarze, gdzie stał, mieląc kawę. Zjedli coś szybko w Kansas City BBQ – zgodnie z sugestią Sydney, która twierdziła, że gapi się na ten lokal z Hyatta od dwóch dni i na sam widok robi się głodna – potem pojechali do starego budynku magazynowego w Mission Hills. Dar zaparkował swoją toyotę land cruiser na zwykłym miejscu, na otwartym parterze, ogromnym i ciemnym pomieszczeniu z labiryntem filarów. Później wsiedli do wielkiej windy towarowej – jedynej windy w całym gmachu – i dojechali nią do apartamentu Minora na szóstym piętrze.

Teraz Dar tylko zerkał z ukosa na Syd, która przechadzała się po salonie wśród wysokich biblioteczek przesłaniających ściany mieszkania.

– Do tej pory naliczyłam... hm... około siedmiu tysięcy książek – oznajmiła w pewnej chwili. – Poza tym co najmniej pięć komputerów, świetny sprzęt audio z ośmioma głośnikami, jedenaście szachownic, lecz żadnego telewizora. W jaki sposób zatem oglądasz swoje opery mydlane?

Darwin uśmiechnął się i nabrał łyżeczkę zmielonej kawy, którą wsypał na filtr.

– Właściwie to opery mydlane przychodzą do mnie. Nazywam tak zeznania świadków lub ofiar.

Oficer śledcza skinęła głową.

– Ale masz chyba jakiś telewizor? Może w łazience? Proszę, powiedz, że tak. Proszę, Dar. W przeciwnym razie uznam, że przebywam w mieszkaniu jedyne go prawdziwego intelektualisty, jakiego spotkałam kiedykolwiek poza uczelnią.

Minor nalał wody do ekspresu i włączył go.

– Jest telewizor. W jednej z szaf magazynowych, tam, w pobliżu drzwi.

Syd uniosła brwi.

– Ach... niech zgadnę... Super Bowl?

– Nie, bejsbol. Sporadycznie, gdy spędzam noc w domu. Oglądam wszystkie play-offy i World Series.

Położył podkładki na małym okrągłym stoliku kuchennym. Przez dwuipółmetrowe okna wpadało jaskrawe światło.

– Krzesło od Jamesów [Charles (1907-1978) i Ray Eames (1913-1988) – amerykańscy projektanci wnętrz.] – zauważyła Sydney, klepiąc wygięte drewno i czarną skórę siedziska ustawionego w rogu salonu, w miejscu, gdzie stykały się z sobą dwie zastawione biblioteczkami ściany. Usiadła na krześle i położyła stopy na otomanie z drewna i skóry. – Jest tak wygodne, że musi być prawdziwe... to znaczy oryginalne.

– Bo jest – przyznał Dar. Postawił dwa białe kubki typu barowego na podkładkach, a potem nalał kawy dla nich obojga. – Ze śmietanką i cukrem?

Sydney potrząsnęła głową.

– Lubię kawę w stylu Jamesa Browna: czarną, pełną, mocną.

– Mam nadzieję, że ta ci będzie odpowiadać – mruknął Darwin, kiedy kobieta niechętnie wstała z kosztownego krzesła i podeszła do kuchennego stołu.

Wypiła łyk i skrzywiła się.

– Tak. Dokładnie o taką mi chodziło. James Brown na pewno by ją zaakceptował.

– Mogę zrobić nową porcję. Słabszą. Rozsądniejszą.

– Nie, ta jest dobra. – Syd odwróciła się, wróciła do salonu i zwiedziła pozostałe jego części. – Mogę się przez chwilę pobawić w detektywa?

Minor pokiwał głową.

– Prawdziwy dywan perski. Prawdziwe krzesło od Eamesów. Stół obiadowy i krzesła wyglądają na oryginalnego Stickleya, [Gustaw Stickley (1857-1942) – amerykański projektant mebli.] podobnie jak te klasyczne lampy na drewnianych stojakach. Prawdziwe dzieła sztuki w każdym pokoju. Czy ten obraz na tamtej pustej ścianie, naprzeciwko okien namalował Russell Chatham?

– Tak – potwierdził Dar.

– I raczej prawdziwy olej niż odbitka. A oryginalne dzieła Chathama nieźle obecnie kosztują.

– Gdy kupowałem ten w Montanie kilka lat temu – wyjaśnił, odstawiając kubek z kawą – jego autor nie był jeszcze taki popularny.

– Tym niemniej – podjęła Sydney, po czym podsumowała spis inwentarza. – Detektyw musiałby wywnioskować, że mieszkający tu mężczyzna jest majętny. Pewnego dnia rozbija acurę NSX, lecz w domu czeka na niego jeszcze toyota land cruiser.

– Różne pojazdy do różnych celów – odparł Minor. Zaczynał się irytować.

Kobieta chyba wyczuła jego nastrój, bo wróciła do picia kawy. Uśmiechnęła się.

– No cóż – powiedziała. – Zgaduję, że jesteś zainteresowany zarabianiem tak samo jak ja.

– Każdy, kto ignoruje znaczenie pieniędzy, jest głupcem albo świętym – stwierdził Darwin. – Gonitwę za nimi albo dyskusję o nich uważam jednak za cholernie nudne.

– W porządku – przyznała. – Ciekawi mnie te jednaście szachownic. Rozgrywki, które na nich rozgrywano. Jestem kompletnym beztalenciem, jeśli chodzi o szachy i ledwo rozróżnię skoczkę od pionka, lecz te rozgrywki wyglądają mi na poziom mistrzowski. Wpada do ciebie tak wielu zaprzyjaźnionych mistrzów szachowych, że musisz grać na tyłu planszach?

– Gram poprzez pocztę elektroniczną – wytłumaczył Minor.

Sydney skinęła głową i rozejrzała się.

– W porządku, spytam cię teraz o te półki z beletrystyką. Według jakiego klucza ustawiasz swoje książki? Widzę, że nie stoją alfabetycznie. Także nie według daty publikacji, ponieważ starsze tomy są zmieszane z nowymi, popularnymi wydaniem.

Dar uśmiechnął się. Czytelnicy zawsze podchodzą do półek z książkami należącymi do innych czytelników i próbują odgadnąć system ustawiania dzieł na półkach.

– Może przypadkowo – powiedział. – Kupuję książkę, czytam ją a potem stawiam na półce.

– Możliwe – zgodziła się Syd. – Ale nie wydajesz mi się facetem, którego życiem rządzi przypadek.

Darwin siedział przez chwilę w milczeniu, rozmyślając o kwestiach związanych z matematyką chaosu, której poświęcił większą część swojej pracy doktorskiej z fizyki. Sydney z kolei milcząco studiowała biblioteczkę z powieściami. W końcu mruknęła do siebie:

– Stephen King na górze po prawej, *Z zimną krwią* Trumana Capote’a parę półek niżej, również po prawej, *Zabić drozda* na drugiej półce od dołu, *Na wschód od Edenu* po lewej przy oknie. Wszystkie dzieła Hemingwaya...

– Hej, obejrzyj je – poprosił Dar. – Uwielbiam Hemingwaya.

– Wszystkie dzieła Hemingwaya na dolnej półce po prawej stronie – dokończyła Syd. – Wiem!

– Wątpię – odparł Minor z niejaką dumą.

– Biblioteczka jest pobieżną mapą Stanów Zjednoczonych – powiedziała Sydney. – Ustawiasz regionami. King jest na górze, tuż przy suficie, bo mieszka w Maine. Hemingway jest na dole, blisko otworu ogrzewania podłogowego, bo wygodnie sobie mieszkał w Key West...

– Na Kubie, ściśle rzecz biorąc – poprawił ją Darwin. – Niesamowite, że się domyśliłaś. A jak ty układasz na półkach swoje powieści?

– Kiedyś stawiałam według zależności między autorami – przyznała. – Wiesz, Truman Capote obok Harper Lee...

– Przyjaźń z dzieciństwa – stwierdził Dar. – Mały, wąty Truman był wzorem dla Dilla, bohatera, który pojawia się w *Zabić drozda* każdego lata.

Syd kiwnęła głową.

– W przypadku pisarzy nieżyjących system działał nieźle – ciągnęła. – Wiesz, Faulknera i Hemingwaya mogłam trzymać stale w tych samych miejscach. Natomiast książki żyjących twórców wciąż musiałam przenosić. Rozumiesz, w jednym miesiącu na przykład powieść Amy Tan stała blisko Tabithy King, a później przeczytałam

w gazecie, że te dwie przestały z sobą rozmawiać. Więcej czasu zajmowało mi przestawianie książek niż czytanie, aż w końcu moja praca zaczęła cierpieć na tym hobby, ponieważ trwoniłam całe swoje dni na zamartwianiu się, czy John Grisham i Michael Crichton są nadal dobrymi kumplami, czy już nie...

– Jesteś stuknięta – ocenił Minor przyjaznym tonem.

– Taaa... – zgodziła się Sydney, podnosząc kubek z kawą.

Darwin zrobił wdech. Dobrze się bawił i musiał sobie wprost przypomnieć, że ta kobieta nie przysłała tutaj z powodu jego „zniewalającego” uroku, lecz dlatego iż była policjantką.

– Moja kolej – powiedział. Syd skinęła głową i wypła łyk. – Masz mniej więcej trzydzieści sześć, trzydzieści siedem lat – oświadczył, rozpoczynając od najbardziej ryzykownego terytorium i szybko przechodząc do następnej kwestii. – Skończyłaś prawo. Mówisz prawie zupełnie bez akcentu, więc na pewno nie pochodzisz ze Wschodu. Niektóre samogłoski przeciągasz lekko w sposób typowy dla Środkowego Zachodu. Skończyłaś Northwestern University w Chicago?

– Nie, ale blisko, bo Uniwersytet Chicagowski – odparła, po czym dorzuciła: – I zapamiętaj sobie, że mam dopiero trzydzieści sześć lat. W ubiegłym miesiącu miałam urodziny.

– Główny oficer śledczy – kontynuował – każdego prokuratora okręgowego należy do najlepszych przedstawicieli organów ścigania – powiedział cicho, jak gdyby do siebie. – Dawni marshale. [US Marshal – funkcjonariusz amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości zajmujący się egzekucją wyroków sądowych; szeryf federalny.] Dawni wojskowi. Byli agenci FBI. – Popatrzył na Syd. – Ile lat przepracowałaś w Federalnym Biurze Śledczym? Siedem?

– Prawie dziewięć – odparła.

Wstała, podeszła do ekspresu, wróciła z gorącym dzbankiem i dołała im obojgu gęstej, czarnej cieczy.

– Okej... powód odejścia... – podjął Dar, po czym przerwał. Nie chciał poruszać w tej rozmowie tematów zbyt osobistych.

– Ależ próbuj. Dobrze ci idzie.

Sączył przez chwilę kawę, w końcu zaryzykował:

– Czyżby seksizm sztucznego pułapu? [*Glass ceiling sexism* (ang.) – zjawisko dyskryminacji w pracy. Termin z artykułu w „Wall Street Journal” używany powszechnie w USA.] Sądziłbym, że w FBI jest pod tym względem lepiej niż w policji.

Sydney kiwnęła głową.

– Pracują nad tym. Za jakieś dziesięć lat może udałoby mi się dojść tak wysoko jak moim kolegom z Biura. Mogłabym się zająć polityką albo zrobić karierę urzędnika, jak powiedział kiedyś pewien prezydent o pewnym dyrektorze FBI.

– Hm... zatem dlaczego odeszłaś...? – zaczął Darwin, lecz umilkł. Pomyślał

o dziewięćmilimetrowym półautomacie, który Syd miała przy biodrze w kaburze wyposażonej w specjalny, otwierany jednym ruchem mechanizm. – Och, wiem, bardziej cię bawi działalność organów ścigania niż...

– Niż śledztwo – dokończyła za niego. – Zgadza się. A w FBI ostatecznie dziewięćdziesiąt osiem procent pracy to dochodzenie.

Dar potarł policzek.

– Pewnie. Za to jako główna oficer śledcza prokuratora stanowego możesz się zajmować tym, co bliskie twojemu sercu, a potem w odpowiednim momencie skopać drzwi frontowe w domu poszukiwanego przestępcy.

Posłała mu olśniewający uśmiech.

– Następnie zaś mogę skopać przestępców, którzy ukrywają się za tymi drzwiami.

– Często to robisz?

Uśmiech Sydney Olson osłabł, ale nie zgasł.

– Wystarczająco często, aby czerpać z tego zadowolenie.

– Dowodzisz też czasem specjalnymi ekipami dochodzeniowymi, złożonymi z przedstawicieli różnych organów ścigania. Tak jak przy południowokalifornijskiej operacji „Czystka”.

Jej uśmiech natychmiast zniknął.

– Tak – przyznała. – I mogę się założyć, że oboje... ty i ja mamy identyczną opinię na temat rozmaitych komisji śledczych, specjalnych ekip dochodzeniowych i zespołów roboczych.

– Piąte prawo Darwina – powiedział.

Syd uniosła brwi.

– Inteligencja każdego organizmu obniża się proporcjonalnie do ilości posiadanych przez niego głów – wyjaśnił.

Kobieta dopiła kawę, odstawiła ostrożnie kubek na podkładkę, pokiwała głową, po czym spytała:

– To prawo Karola Darwina czy doktora Darwina Minora?

– Nie sądzę, żeby Karol musiał kiedykolwiek zasiadać w jakiejś komisji śledczej lub współpracować z ekipami dochodzeniowymi – odparł Dar. – Pływał sobie tylko dookoła świata na statku „Beagle”, zażywał kąpieli słonecznych, a od czasu do czasu przyglądał się pożądliwie ziębom i żółwiom.

– Jakie są twoje pozostałe prawa?

– Prawdopodobnie będziesz je poznawać na bieżąco podczas naszej współpracy – odrzekł.

– Czy zatem będziemy współpracować?

Darwin rozłożył ręce.

– Wciąż usiłuję się domyślić, o co w tym wszystkim chodzi. Na razie niewiele

wiem. Najprawdopodobniej stanowią dla ciebie swego rodzaju przynętę. Trzymasz się blisko mnie, bo masz nadzieję, że Przymierze wyśle przeciwko mnie kolejnych zabójców. W dodatku musisz mnie chronić. To oznacza, że nie możesz mnie spuścić z oczu przez całą dobę. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Niezła zabawa. – Rozejrzał się po salonie i aneksie jadalnym. – Nie jestem pewien, gdzie będziesz spała. Coś chyba jednak wymyślimy.

Sydney Olson przetarła czoło.

– W twoich snach, mój drogi. W nocy Departament Policji San Diego przyśle dodatkowe patrole. Mnie polecono obejrzeć jedynie twoje mieszkanie i zdać... cytuję: „raport oceniający jego bezpieczeństwo”. Koniec cytatu. Podpisano: Dickweed.

– No i? – spytał.

Syd znów się uśmiechnęła.

– Mogę mu szczęśliwie donieść, że mieszkasz w prawie opuszczonym magazynie, którego jedynie kilka części przekształcono w mieszkania. Na schodach nie znalazłam żadnych zabezpieczeń... chyba że uznać za strażników śpiących tam bezdomnych pijacków. Na parterze, gdzie parkujesz swój pojazd stanowiący skrzyżowanie czołgu Sherman z autem sportowym, jest niewiele światła i również zero zabezpieczeń. Drzwi masz w porządku... wzmocnione, z trzema dobrymi zamkami i zasuwą... ale te okna to istny koszmar. Ślepy snajper bez celowania mógłby cię przez jedno z nich zastrzelić z porzewiałego springfielda. Żadnych zasłon. Żadnych rolet. Żadnych firan. Jesteś ukrytym ekshibicjonistą, Darwinie?

– Lubię ładne widoki. – Wstał i wyjrzał przez okno kuchenne. – Stąd można zobaczyć zatokę, lotnisko, Point Loma, Sea World... – przerwał, zdał sobie bowiem sprawę, jak nieprzekonująco zabrzmiała jego odpowiedź.

Sydney przyłączyła się do niego przy oknie. Poczł słaby zapach jej wody toaletowej. Był przyjemny, kojarzył się raczej z lasem i drzewami po deszczu niż z ciężkimi perfumami.

– Rzeczywiście, piękny widok – przyznała. – Muszę wezwać taksówkę i wrócić do Hyatta, żeby podzwonić.

– Odwiozę cię.

– Och, przestań – odparła Syd. – Skoro mamy być kumplami, musisz rycerskość odłożyć na półkę. – Zadzwoiła po taksówkę z telefonu w kuchni.

– Sądziłem wcześniej, że będziesz mnie ochraniać przez całą dobę – zauważył Dar. – Jak moglibyśmy zostać w takiej sytuacji kumplami?

Sydney poklepała go pocieszająco po ramieniu.

– Jeśli nie dostaną cię snajperzy, rosyjska mafia nie poderżnie ci gardła w tej strefie ciągłego rażenia, którą nazywasz swoim parkingiem, a jakiś narkoman nie napadnie cię i nie zabije dla samej kasy, wtedy zadzwoń do mnie następnym razem,

gdy Stewart Investigations wezwą cię do jakiejś interesującej sprawy. Oficjalnie będziemy tworzyli wzorzec kraksy związanej z wymuszeniami ubezpieczeń.

– A nieoficjalnie? – spytał Dar.

– No cóż, nie istnieje żadne „nieoficjalnie” – odparła Syd, podrywając swoją ciężką torebkę i ruszając do drzwi. – Dickweed przydzielił mi biuro w gmachu sądu. Oficjalnie doceniłabym, gdybyś wpadł tam rano. Będziemy mogli postanowić, pod jakim kątem przejrzymy twoje akta. – Zanotowała swój numer na wizytówce. – I może znajdziemy wspólnie wyjaśnienie, dlaczego twoi nieżyjący już przyjaciele w skasowanym mercedesie uznali, że warto cię sprzątnąć.

– Prawdopodobnie pomylili mnie z innym facetem, który również posiada acurę NSX i ma w zwyczaju nie spłacać swoich długów hazardowych, zaciągniętych w kasynie MGM Grand – odparował.

– Prawdopodobnie – odburknęła Sydney. Kiedy dotarli do drzwi, odwróciła się ponownie ku niemu i mieszkaniu. Darwin odsunął zasuwę. – Ile książek masz tutaj, doktorze Minor?

Dar wzruszył ramionami.

– Przestałem liczyć po sześciu tysiącach.

– Zdaje mi się, że też mniej więcej tyle kiedyś miałam – zadumała się. – Kiedy przyjąłem stanowisko głównej oficer śledczej, rozdałam wszystkie. Moje motto brzmi: „Podróżuj z jak najlżejszym bagażem”. – Wyszła do korytarza i wycelowała w Darwina palcem. – Mówiłam poważnie. Naprawdę wpadnij do mnie do biura jutro i naprawdę dzwoń do mnie natychmiast, gdy dostaniesz telefon z propozycją ciekawej sprawy. – Wręczyła mu wizytówkę z numerami jej biura w Sacramento i pagera. Numer telefonu biura w gmachu sądu w San Diego był dopisany długopisem.

– Jasne – odrzekł Minor, czytając wizytówkę. Wydrukowano ją na droгим papierze i nie było na niej telefonu domowego Syd. – Ale pamiętaj, że to ty mnie poprosiłaś. – Podniósł wzrok. Nie widział już kobiety, prawdopodobnie zniknęła za zakrętem korytarza i skierowała się do windy. Jej buty na miękkich podszewkach nie wydawały na betonowej podłodze niemal żadnych odgłosów. – To ty mnie poprosiłaś – powtórzył, po czym wrócił do mieszkania.

– Tu Olson – odpowiedziała sennym, prawie nieprzytomnym głosem po piątym dzwonku.

– Hej, hej, pobudka. Wstajemy, droga pani główna oficer śledcza – zagaił Dar.

– Kto mówi? – spytała Sydney półprzytomnym głosem, wymawiając całość jednym ciągiem.

– Jak szybko niektórzy nas zapominają – odciął się Darwin. – Jest czwarta dziewięć rano. Twierdziłaś, że mam cię powiadomić, jeśli otrzymam wezwanie do

następnej sprawy. Jestem ubrany i gotów do wyjazdu. Poczekam na ciebie przed Hayttem całe pięć minut.

Zapanowała cisza. Minor słyszał, jak kobieta cicho oddycha.

– Dar... pamiętasz, że wspominałam o naprawdę interesującej sprawie związanej z ubezpieczeniami. Jeśli chodzi o przypadek zakłutego nożem osiemnastoletniego kierowcy na trasie I-5...

– No cóż, moja droga, na pewno doskonale wiesz, że póki nie przyjrzyysz się sprawie, nigdy nie masz pewności, czy jest naprawdę interesująca. W każdym razie wybiera się także Larry, a on rzadko mnie prosi o spotkanie na miejscu wypadku.

– Dobrze, już dobrze – mruknęła. – Będę przed wejściem za pięć minut!

– Zostały ci już tylko cztery – odparował Dar i rozłączył się.

Drogi były prawie puste, więc Darwin dość szybko dojechał do Piątej Alei, a potem skierował się na północ, obok La Jolla.

– Słyszałaś o La Jolla Joya? – spytał, gdy światła sodowych lamp ulicznych przesuwały się przez przednią szybę auta i omywały ich twarze.

– Brzmi jak sceniczne imię striptizerki – odparła Syd, wciąż pocierając policzki i usiłując się rozbudzić.

– Tak – przyznał. – To jednak nazwa najmodniejszego obecnie terenu koncertowego w San Diego. Występują tam głównie zespoły rockowe. Leży na wzgórzach, na zachód stąd... właściwie bliżej Del Mar, tylko że Del Mar Joya nie brzmiałoby tak samo dobrze.

– Nawet w przybliżeniu – zgodziła się Sydney. Jej głos miał w sobie zmęczoną nutę charakterystyczną dla osób, które pracują codziennie po osiemnaście godzin.

– To prawda. W każdym razie tam się właśnie kierujemy. Do tej pory koncert już się prawdopodobnie skończył, ale został po nim przynajmniej jeden trup.

– Pchnięty nożem? – spytała Syd. – Sprawka Hell's Angels, jak na festiwalu w Altamont? A może przygnoił go gnający tłum?

Dar wbrew sobie się skrzywił.

– Nie wezwaliby nas do żadnego z takich przypadków. Widzisz, miasto bardzo się stara dbać o bezpieczeństwo widzów koncertów rockowych na stadionach i w halach. Wysyłają sporo policji... Szczególnie gdy gra grupa heavymetalowa... No i...

– Kto występował dziś jako główna atrakcja? – przerwała.

– Metallica – odparł Darwin.

– Taaa, świetnie! – mruknęła z entuzjazmem typowym dla kogoś, komu zalecono

przed endoskopią wlew doodbytniczy kontrastu.

– Tak czy owak – kontynuował Minor – właściciel terenu, liczącego ponad sześćdziesiąt pięć hektarów, starannie go ogrodził. Miejsce leży w wąwozie, wokół jest spory parking. Scena mieści się na płaskiej powierzchni, wokół wznoszą się łagodne wzgórza, do pewnej wysokości porośnięte drzewami. Wyżej są ściany skalne. Organizator zainstalował tu w swoim czasie oświetlenie, postawił scenę, aparaturę nagłaśniającą i trzy tysiące siedzeń. Jest tu też przyjemne trawiaste zbocze dla mnóstwa osób pragnących siedzieć na kocach albo na ziemi. Po pierwszym koncercie dodano niższe ogrodzenie, które miało powstrzymać ludzi przed zwiedzaniem lasu na tyłach. Niektórzy starsi widzowie narzekali, że za siedzeniami w ciemnościach młodzież uprawia seks.

– Co ci narzekający odkryli zapewne, kiedy udali się do lasu w okularach noktowizyjnych – dodała Syd.

– Zapewne. Organizator pomyślał jednak, że bezpieczniej będzie oddzielić widownię od lasu i skał. Z tego też względu wezwał Larry’ego i Trudy.

– Pracują dla organizatora?

– Nie.

– Dla firmy ubezpieczeniowej, odpowiedzialnej za bezpieczeństwo koncertu?

– Nie.

– Dla Metalliki?

– Nie.

– Poddaję się – sapnęła Sydney. – Powiedz mi po prostu, czyj tyłek jedziemy chronić?

– Firmy, która wyprodukowała ogrodzenie – odparł Dar.

Większość uczestników koncertu wychodziła, Dar jechał więc pod prąd, gdy skierował land cruisera w piaszczystą drogę ku strefie koncertowej. Członkowie zespołu Metallica od dawna zajmowali się tym, czym się zajmują muzycy rockowi, gdy nie stoją na scenie, kilkudziesięciu oszołomionych, odurzonych alkoholem lub narkotykami fanów nadal jednak kręciło się przed pełniącym funkcję estrady podestem. Minor dostrzegł światła awaryjne przy tylnej ścianie wąwozu i skierował się w tamtą stronę. Funkcjonariusz kalifornijskiej policji drogowej zatrzymał ich w bramie niższego ogrodzenia, które oddzielało trawiasty obszar miejsc siedzących od „erotycznego” lasu, obejrzał ich dokumenty w świetle mocnej latarki, po czym przepuścił dalej.

Pojazdy służb ratowniczych – liczne radiowozy CHP z włączonymi migaczami, dwa ambulanse, auto szeryfa, dwa samochody holownicze pomocy drogowej i w pełni wyposażony wóz strażacki – zebrały się przy wąskim końcu wąwozu, który miał

kształt litery „V”. Na dziesięć i dwanaście metrów wyrastały tutaj daglezie zielone, przesłaniając gwiazdy i szczyty ścian skalnych. W stożkowych światłach rzucanych przez reflektory toyoty i w światłach awaryjnych Dar dostrzegł rozbite pozostałości leżącego dachem do dołu pikapa, na pierwszy rzut oka jakiegoś starszego modelu forda 250. Zaparkował land cruisera, wziął z tylnego siedzenia mocną latarkę i wraz z Sydney poszli w stronę światła, jeszcze dwukrotnie się legitymując, zanim minęli grupki nadgorliwych policjantów i pasy otaczającej miejsce wypadku żółtej taśmy.

Podszedł do nich Lawrence.

– Cholera – zagaił Minor. – Jak to możliwe, że zjawiłeś się tutaj przede mną?

Stewart uśmiechnął się głupawo pod wąsem.

– Bez swojej acury nie jesteś już taki szybki, co?

– Syd, pamiętasz Larry’ego Stewarta z porannego zebrania? – spytał Darwin.

– Lawrence’a – poprawił go Lawrence. – Dobry wieczór, pani Olson.

– Witaj, Lawrence – odparła kobieta. – Co tutaj mamy?

Mężczyzna mrugał przez chwilę powiekami zarówno z zadowolenia, jak i zaskoczenia, w końcu odpowiedział:

– To, co widać. Jeden pieruńsko roztrzaskany ford F-250. Kierowca nie żyje.

Wyrzuciło go przez przednią szybę. Przeleciał na oko dobrze ponad dziesięć metrów. Zmierzyłem odległość krokami, więc pewnie nie jest dokładna. – Zamachał latarką, wskazując na tłum ludzi stojących i kucających wokół leżącego pod drzewem trupa mężczyzny.

– Wjechał w ciemnościach w lico urwiska? – spytała Syd.

Lawrence potrząsnął głową. W tym momencie dołączył do ich funkcjonariusz CHP.

– Sierżancie Cameron – stwierdził zdumiony Dar. – Nieźle się dziś w nocy oddaliłeś od domu.

– Ho, ho, ho, czyż to nie nasz zabójca mercedesów – odciął się Minorowi Cameron. Dotknął palcami otoka czapki i lekko skłonił głowę w kierunku Syd. – Witam, pani Olson. Nie widziałem pani chyba od zebrania specjalnej ekipy dochodzeniowej w ubiegłym miesiącu? – Zaczepił kciuki w pasie, aż zaskrzypiała skóra. – No cóż, dorabiałem sobie tutaj jako ochroniarz i akurat gdy skończył się koncert, ktoś znalazł ten bałagan.

– A ktoś słyszał, jak doszło do wypadku? – spytał Dar.

Sierżant potrząsnął głową.

– Tyle że to nic nie znaczy. Podczas koncertu Metalliki, przy takich wzmacniaczach i kolumnach na ful, można by tu zrzucić bombę atomową wielkości tej w Hiroszimie i nikt by niczego nie usłyszał.

– Alkohol? – spytał Lawrence.

– Widziałem w rozbitym pikapie plus minus dziesięć pustych puszek po piwie. Na siedzeniu pasażera i pod fotelem – odparł Cameron. – Osiem czy dziewięć innych jest wokół ciała... może wyleciały wraz z kierowcą.

– Mógł wjechać w ścianę skalną? – spytała Sydney. Obaj – Lawrence i sierżant Cameron – równocześnie potrząsnęli głowami.

– Wiedzieliście stan pikapa? – spytał Stewart. – Roztrzaskał się. Spadł stamtąd.

– Przejechał nad urwiskiem?! – zdziwiła się Syd. – Z góry?

– Przekoziołkował tyłem, skoro skończył w takiej pozycji – wyjaśnił Dar. –

Dlatego kierowcę wyrzuciło w kierunku zachodnim... to znaczy w stronę sceny. Pikap wylądował tylną częścią nadwozia... sami zobaczcie, jak mu się pogięła karoseria. Zanim zmiażdżyła się kabina, kierowcę wyrzuciło niczym korek z butelki szampana. Sydney Olson podeszła bliżej zgniecionego forda i obserwowała, jak ekipa ratownicza kończy mocować do podwozia linki dwóch pojazdów holowniczych.

– Proszę się nie zbliżać – zawołał do niej jeden z funkcjonariuszy CHP. – Będziemy go teraz podnosić.

– Zrobiłeś zdjęcia? – spytał Dar Lawrence'a.

Stewart kiwnął głową i poklepał swojego nikona.

– Teraz będzie interesująca część – powiedział bardzo cicho.

– Co będzie...? – zaczęła Syd, po czym dorzuciła: – Och mój Boże! – Pod wrakiem pikapa leżało ciało drugiego mężczyzny. Głowę, prawą rękę i prawe ramię ofiara miała tak zmiażdżone, że wydawały się prawie płaskie. Lewa ręka nosiła ślady licznych złamań, do których prawdopodobnie doszło przed zmiażdżeniem. Mężczyzna nosił podkoszulek, lecz od pasa w dół był nagi, a dokładnie mówiąc, miał spodnie opuszczone do kostek nad roboczymi butami. Tuzin reflektorów i latarek nakierowano na zwłoki, a Sydney Olson znów powtórzyła: – Och mój Boże.

Nogi mężczyzny i obnażony tors były podrapane w setkach miejsc. Z uda wystawał scyzoryk. Rana najwyraźniej mocno wcześniej krwawiła. Z pasa mężczyzny zwisał niezdarnie zawiązany sznur do bielizny, a wokół ciała i na nim leżało go jeszcze ze trzydzieści metrów. Z odbytnicy trupa wystawał zaś gruby konar ostrokrzewu.

– Tak – mruknął Dar. – Interesujące.

Wykonano fotografie i zrobiono pomiary. Policjanci i sanitariusze chodzili po terenie i dyskutowali, dyskutowali i chodzili. Lekarz sądowy i lokalny koroner stwierdzili zgon i niektórzy obserwatorzy głośno wyrazili ulgę. Ludzie spirali się głośno i zastanawiali nad szczegółami dziwnego wypadku.

– Nikt nie ma żadnego cholernego tropu – wyszeptał sierżant Cameron.

– To szaleństwo – oceniła Syd. – Zakrawa na zemstę kultu satanistów.

– Nie, nie sądzę – powiedział Minor i poszedł porozmawiać ze strażakami.

Pięć minut później przynieśli długą strażacką drabinę i rozciągnęli ją aż do szczytu urwiska, niewidocznego dla stojących na dole widzów z powodu gęstych gałęzi. Darwin, Lawrence i dwóch funkcjonariuszy CHP wspięło się po drabinie z silnymi latarkami. Po kolejnych pięciu minutach zeszli z drabiny – wszyscy, z wyjątkiem Dara, który pozostał prawie osiem metrów nad nimi i dał znak dowodzącemu strażakowi. Drabina obróciła się ku grubym konarom drzewa i Minor uchylił się przed nimi, a następnie poświecił latarką tam i z powrotem.

– Tutaj – zawołał w końcu.

Sydney zmrużyła oczy, patrząc w górę, mimo to nie mogła dojrzeć, czego Darwin dotyka i co fotografuje. Stewart spoglądał przez małą lornetkę, którą wyjął z kieszeni na piersi koszuli khaki.

– Co to jest? – spytała Syd.

– Slipki tego faceta. Wiszą na gałęzi – odparł Lawrence. Przepraszam – dodał, po czym wręczył kobiecie lornetkę. – Chcesz popatrzeć?

– Nie, dzięki.

Kwadrans później dyskusje się skończyły, ciała włożono do worków na zwłoki i zaniesiono na noszach do oddzielnych ambulansów. Wszyscy wydawali się usatysfakcjonowani. Stewart wrócił do land cruisera z Darem i Sydney. Jego isuzu stał zaparkowany tuż za autem Minora.

– W porządku – oświadczyła Sydney Olson z lekką irytacją w głosie. – Nie rozumiem tego. Nie słyszałam, o czym rozmawiałeś z funkcjonariuszami. Co się tu, do diabła, zdarzyło?

Obaj mężczyźni zatrzymali się i zaczęli mówić jednocześnie.

– Mów – powiedział w końcu Darwin. – A w każdym razie zacznij.

Stewart kiwnął głową. Rozłożył ręce, wielkimi dłońmi do góry.

– Okej – powiedział. – Przede wszystkim trzeba wspomnieć, że ci dwaj faceci wypili osiemnaście albo dwadzieścia puszek piwa, po czym postanowili... mówiąc subtelnie... zakłócić koncert. Nie wiedzieli niestety o istnieniu starej drogi pożarowej, zdecydowali zatem, że wjadą po zmroku drogą na tyłach. Tyle że drogę tę ogrodził ostatnio nasz klient, toteż obecnie stoi tam ponadtrzymetrowy płot.

Syd spojrzała z powrotem na skryte w ciemnościach urwisko skalne. Pracownicy służb drogowych podnosili właśnie roztrzaskanego pikapa na platformę.

– I przypadkowo przejechali przez ogrodzenie? – spytała osobliwie cieniem głosem.

– Nie. – Lawrence potrząsnął głową. – Wycofali pikapa do płotu i kierowca, chociaż chudszy, podsadził kumpla. Tyle że na górze było naprawę ciemno i kiedy tamten znalazł się po drugiej stronie, odkrył tam wielometrowy spad. No i spadł na te gałęzie...

– I to go zabiło? – spytała Sydney.

Stewart znów zaprzeczył.

– Nie, spadając, uderzył w dużą gałąź na wysokości około dwunastu metrów.

Wtedy zapewne złamał sobie rękę. Zawiesił się na tej gałęzi za bokserki i część paska.

– Ciągłe nie zdawał sobie sprawy, jak wysoko się znajduje – dodał Dar. – Patrząc w dół, w ciemność, widział szczyty niższych drzew i prawdopodobnie krzewy, na które później spadł.

– Więc wyrwał się z bokserek – dorzucił Lawrence.

– I zleciał kolejne sześć metrów – stwierdziła Syd.

– Właśnie – przyznał Stewart.

– Ale nie zginął – ciągnęła kobieta, przemawiając już pewniejszym tonem, który sugerował, że Sydney wie, co mówi.

– Rzeczywiście – zgodził się Lawrence. – Tylko strasznie się podrapał, ponieważ spadł na gałęzie. W dodatku wtedy też własny nóż wbił mu się na kilka centymetrów w udo, a konar ostrokrzewu w dupę. Wybaczcie słownictwo.

– I co wtedy? – spytała Syd.

– Dar, ty pierwszy się domyśliłeś – zauważył Stewart. – Może więc opowiesz nam finał.

Minor wzruszył ramionami.

– Niewiele więcej można dodać. Być może kierowca usłyszał, jak przyjaciel krzyczy z bólu. Zrozumiał, że tamten gdzieś spadł. Wrzaski tamtego w większości utonęły wśród odgłosów z koncertu Metalliki, tym niemniej kierowca wiedział, że musi coś zrobić.

– A zatem... – podpowiedziała Syd.

– Wyjął jakiś stary sznur, który znalazł na tyłach pikapa, rzucił go kumpłowi i kazał mu się mocno obwiązać wokół talii ->kontynuował Darwin. – To znaczy... tak przypuszczam. Poza tym sytuacja nie była wcale taka prosta, a akcja taka szybka. Pewnie nie obyło się bez pijackich wrzasków, jęków i przekleństw, w końcu wszakże wielki facet owinał się w talii dwukrotnie i zrobił amatorski węzeł, podczas gdy chudy przywiązał solidnie drugi koniec sznura do zderzaka forda.

– No i potem... – podsunęła Syd.

Dar przekrzywił głowę, jakby reszta była oczywista. Dla niego bowiem właśnie taka była.

– No cóż, nasz chudy kierowca był bardzo pijany i ostro wkurzony. Przypadkowo wrzucił wsteczny bieg, włączył silnik, ruszył do tyłu, trzy metry dalej był płot postawiony przez naszego klienta... ślady opon na górze mówią same za siebie. A ponieważ nie zdołał już się zatrzymać, spadł tyłem kilkanaście metrów niżej, prosto na kumpla, no i przy okazji wypadł przez przednią szybę.

- Prześlij mi rano e-mailem swoje sprawozdanie, a ja napiszę oficjalną wersję i przekażę ją naszemu klientowi – podsunął Lawrence.
- Skończę analizę do dziesiątej rano – zapewnił szefa Minor.
- Sydney cmoknęła, po czym potrząsnęła głową.
- W ten sposób zarabiasz na życie?!

Rozdział szósty

F JAK FEMINISTKA

Pierwszy raz telefon zadzwonił nieco po piątej rano.

– Cholera – mruknął Darwin. Tak naprawdę rano zaczynał się dla niego nie prędzej niż o wpół do dziesiątej, dziesiątej, gdy siedział nad kawą i drugim bajgłem i po lekturze porannej gazety. Telefon zadzwonił ponownie. – Słucham?

– Panie Minor, mówi Steve Capelli z „Newsweeka”. Chcielibyśmy pomówić z panem o...

Dar rzucił słuchawkę i odwrócił się na drugi bok. Miał ochotę jeszcze trochę pospać. Drugą rozmowę odbył zaledwie dwie minuty później.

– Doktorze Minor, nazywam się Evelyn Summers... może widział mnie pan na Kanale 7... Miałam nadzieję, że zechce pan...

Nie zamierzał się dowiadywać, na co miała nadzieję jakaś Evelyn, toteż znowu odłożył słuchawkę, a później wyłączył dzwonek w telefonie i podszedł do okna.

Oprócz policyjnego samochodu patrolowego, który stał niepozornie zaparkowany po drugiej stronie ulicy przez całą noc, dostrzegł teraz trzy bardzo rzucające się w oczy furgonetki telewizyjne; czwarta, z anteną satelitarną na dachu, podjeżdżała właśnie teraz.

Wrócił do telefonu i angielszczyzną z wyraźnie obcym akcentem nagrał na automatycznej sekretarce wiadomość: „Hej, tu mówi Vito. W domu nie ma nikogo poza mną i dobermanami. Masz coś do powiedzenia... mów! W przeciwnym razie, odpieprz się”.

Wszedł do łazienki, wziął prysznic i ogolił się. Dziesięć minut później, ubrany i z kubkiem kawy w dłoni, znów wyjrzał przez okno. Przed wejściem, po drugiej stronie ulicy parkowało już pięć reprezentujących stacje telewizyjne pikapów oraz cztery furgonetki. No cóż, pomyślał, zdobycie w wydziale komunikacji i transportu jego nazwiska na podstawie numeru rejestracyjnego nieszczęsnej acury zajęło im czterdzieści osiem godzin. Prawdopodobnie przedstawiciel jednego z kanałów informacyjnych miał kontakty w wydziale. Darwin wątpił, czy reporterom udało się zdobyć kopię jego prawa jazdy wraz z fotografią, ale nie miał zamiaru sprawdzać tego na własnej skórze, postanowił więc nie wychodzić frontowymi drzwiami. Światełko na sekretarce mrugało co jakiś czas, kiedy Minor zaczął pakować swój worek marynarski, wkładając do niego złożone koszule i spodnie. Nucił główny motyw z *Ojca chrzestnego*.

Po przybyciu do Centrum Sprawiedliwości spostrzegł, że zastępca prokuratora okręgowego Weid z typową dla siebie wspaniałomyślnością zorganizował tymczasowe biuro dla Sydney Olson. Biuro przebywającej gościnnie głównej oficer śledczej współpracującej z prokuratorem stanowym znajdowało się w suterenie starej części Gmachu Sprawiedliwości, niedaleko cel dla aresztantów, w dawnej sali przesłuchań, której ściany w odcieniach zielonkawych rzygowin i pożółkłej bieli „zdobiły” przypominające sztukę abstrakcyjną z lat czterdziestych przypadkowe zarysowania i zgniecione komary. W pomieszczeniu znajdowały się składane stoliki i metalowe krzesła, połyskliwe lustro weneckie zastępowało okna. Tym niemniej Darwin zauważył na składanych stołach bardzo nowoczesny sprzęt komputerowy – między innymi najnowszy model laptopa marki Gateway, a także drukarki, skanery i inne tak zwane urządzenia peryferyjne. Dostrzegł też dwa nowe telefony; każdy wyposażono w co najmniej cztery linie. Część brudnej ściany tylnej przesłaniała przypięta mapa południowej Kalifornii, już naszpikowana czerwonymi, niebieskimi, zielonymi i żółtymi pinezkami. Sekretarz, zajęty przy drugim komputerze, poinformował Minora, że oficer śledczą Olson wezwano niedawno do biura prokuratora okręgowego, zostawiła jednak notatkę, że wraca za godzinę i chce porozmawiać z doktorem Minorem, zanim ten opuści budynek.

Sekretarz zaproponował Darowi kawę z typowego dla takich miejsc dzbanka stojącego na stoliku pod lustrem weneckim. Policyjna kawa miała w sobie sto osiemdziesiąt procent kofeiny i strukturę miękącego w gorący letni dzień asfaltu. Darwin już dawno temu uznał, że właśnie dzięki tej kawie amerykańskie agencje organów ścigania w ogóle działają, mimo iż ludzie pracują zbyt wiele godzin, mają nędzne warunki pracy, stały kontakt z marginesem oraz przestępcami i koszarne płace. Wypił duży łyk. Czuł zmęczenie i był w złym humorze.

– Zajdę później – odburknął.

W korytarzu sutereny znalazł pustą ławkę, włączył laptopa i dokończył raport w sprawie wypadku na koncercie Metalliki. Uruchomił Internet przez komórkę, połączył się z serwerem Stewart Investigations i wysłał e-mailem raport prosto na urządzenie stanowiące połączenie faksu z drukarką, dzięki czemu na Lawrence’a będzie czekać od razu wydruk.

Schował laptopa do torby i zastanowił się, czym mógłby zabić następne pół godziny. Podjął szybko decyzję i ruszył na koniec korytarza, obok cel pełnych aresztantów, którzy wyli jak kundły w schronisku, wbiegł wypolerowanymi stopniami na piętro starego gotyckiego gmachu sądu. W przeciwieństwie do brzydkiej, nowoczesnej dobudówki Gmachu Sprawiedliwości, gdzie mieli swoje biura Dickweed i jemu podobni, staremu budynkowi brakowało klimatyzacji, nadrabiał jednakże królewską prezencją.

Poprzedniego dnia Dar powiedział Syd Olson, że bawią go mydlane opery. Chociaż niemal nigdy nie oglądał telewizji, przysłuchiwał się chętnie kryminalnym i cywilnym sprawom, które rozpatrywano w starym gmachu sądu. Wpadał tu czasem bez powodu, nie tylko gdy zeznawał jako biegły.

Wśliznął się do sali rozpraw 7 A i zajął miejsce w tylnym rzędzie, a następnie skinął głową kilku starszym obywatelom miasta, których rozpoznał jako częstych bywalców sal sądowych. Oglądanie procesów stanowiło dla tych ludzi prawie nałóg.

Zaledwie po kilku minutach skojarzył szczegóły. Rozprawa odbywała się w sprawie molestowania seksualnego. Jakaś pracownica zaskarżyła właściciela małej firmy, dla której pracowała. Zarzucała mu propozycje erotyczne. Mniej więcej połowa przysięgłych wyglądała na znudzonych i gotowych do drzemki, szczególnie że panowało otępiające gorąco, a jeden świadek po drugim opowiadał monotonnym głosem o seksistowskich nawykach właściciela firmy. Dwudziestoparoletnia recepcjonistka zeznała na przykład, że szef niejednokrotnie stwierdzał w jej obecności, że powódka – sekretarka dobrze po czterdziestce – „ma seksowny głosik”.

Dziesięć minut później zeznawała wreszcie sama powódka. Kobieta przypominała Minorowi jego nauczycielkę łaciny z liceum – nosiła staroświeckie okulary na łańcuszku, konserwatywnie skrojony kostium, białą bluzkę z ogromną kokardą przy szyi, praktyczne obuwie, włosy w nieciekawym odcieniu blond miała szcęsane w kok. Wyglądała na zamkniętą w sobie i naprawdę skromną osobę, a jej mina jawnie sugerowała, że kobieta do końca życia będzie żałować, że oddała sprawę do sądu. Adwokat powódki zadał jej całą serię pytań, podczas gdy pozwany – ubrany w trzyczęściowy garnitur nalany, niewysoki mężczyzna o wyglądzie szpicla – siedział przy stole i uśmiechał się złośliwie. Kobieta odpowiadała tak cicho, że sędzia dwukrotnie prosił ją, aby mówiła głośniej. Szczególnie że zagłuszało ją skrzypienie starych wentylatorów, obracających się pod sufitem. Wielu przysięgłych z trudem zwalczało pragnienie popołudniowej drzemki. Dar znał prowadzącego sprawę sędziego Williama Rileya Williamsa, niespełna siedemdziesięciolatka o licznych zmarszczkach na twarzy, który tak osobliwie zaciskał szczęki, że wyglądał jak woskowa figura Waltera Matthau, tyle że pozostawiona zbyt blisko otwartego ognia. Minor wiedział, iż mimo swego ospałego i znudzonego oblicza sędzia Williams posiada naprawdę przenikliwy umysł. Adwokat powódki zdecydował się w końcu przejść do sedna.

– A jakie dokładnie, pani Maxwell, zdarzenie związane z niewłaściwym zachowaniem pani pracodawcy ostatecznie przeważało szalę i stało się katalizatorem, nieodwołalnie skłaniając panią do wystąpienia na drogę prawną w próbie przerwania wieloletnich prześladowań i poszukania zadośćuczynienia?

Zapadła cisza, podczas której prawdopodobnie zarówno powódka, ława

przysięgłych, jak i milczący widzowie usiłowali przetłumaczyć sobie górnolotne pytanie prawnika na rozumiały dla nich wszystkich język.

– Pyta pan, co zrobił pan Strubbins, że w końcu postanowiłam go zaskarżyć? – spytała niepewnie pani Maxwell głosem tak cichym, że wszyscy pozostający nadal na jawie uczestnicy i słuchacze rozprawy, łącznie z Darwinem, pochylili się nieznacznie do przodu.

– Tak – przyznał adwokat, akceptując jej tłumaczenie z prawniczego na angielski.

Kobieta spłoniła się. Rumieniec pojawił się na jej szyi i wspinał się szybko nad kokardę białej bluzki, obejmując policzki, które zrobiły się jaskrawoczerwone.

– Pan Strubbins powiedział... złożył mi nieprzyzwoitą propozycję.

Sędzia Williams, wspierając podbródek na jednej pokrytej plamami wątrobowymi ręce, poprosił powódkę o nieco głośniejsze powtórzenie wypowiedzi. Pani Maxwell powtórzyła.

– Czyli że złożył pani propozycję, którą jednoznacznie nazwałaby pani nieprzyzwoitą? – spytał adwokat.

– O tak, bez wątplenia – przyznała kobieta, a jej rumieniec jeszcze się pogłębił. Popatrzyła w dół na swoje dłonie, które zaciskała na kolanach.

– Może pani powiedzieć wysokiemu sądowi, na czym dokładnie polegała ta nieprzyzwoita propozycja? – spytał adwokat, zwracając się do przysięgłych z triumfalną miną. Pani Maxwell przez długą chwilę wpatrywała się we własne dłonie, po czym wypowiedziała kilka zupełnie niesłyszalnych słów. Dar i wszyscy widzowie wychylili się jeszcze bardziej do przodu. Paru najstarszych słuchaczy podkreśliło głośność w aparatach słuchowych.

– Mogłaby pani powtórzyć swoją wypowiedź nieco głośniej, pani Maxwell? – poprosił sędzia. Nawet jego głos przywodził na myśl Waltera Matthau.

– Zbyt jestem zakłopotana, ażeby mówić głośno takie rzeczy – odparła powódka, mrugając szybko oczyma za okularami o wypukłych szklach.

Adwokat kobiety odwrócił się do niej w gwałtownym ruchu. Jego twarz wyrażała szok. Najwidoczniej zachowanie klientki nie było częścią ich wspólnego planu. Pozwany Strubbins uśmiechnął się ironicznie i szepnął coś do swojego prawnika, który zachował pokerowe oblicze.

– Możemy podejść, Wysoki Sądzie? – spytał adwokat powódki, starając się zachować spokój, a równocześnie nie zmarnować zdobytej już przewagi. Odbyła się krótka narada, podczas której obrońca pozwanego tłumaczył coś z emfazą, pełnomocnik powódki gestykulował i upierał się przy czymś natarczywie, sędzia Williams natomiast słuchał w milczeniu, z nachmurzoną miną i na wpół przymkniętymi oczyma.

Po chwili sędzia nakazał obu adwokatom powrót na miejsca i skierował wzrok na

spłonioną powódkę.

– Pani Maxwell – powiedział. – Rozumiem pani niechęć do powtórzenia propozycji, którą scharakteryzowała pani jako nieprzyzwoitą, skoro jednak wniosła pani sprawę przeciwko panu Strubbinsowi, musi pani poinformować sąd i ławę przysięgłych o słowach i zachowaniu pani pracodawcy. Może opisz nam pani tę sytuację na kartce?

Powódka znieruchomiła, potem skinęła głową, wciąż straszliwie zarumieniona. Widzowie jęknęli i rozsiedli się wygodniej w twardych ławkach. Dar obserwował, jak urzędnik sądowy przynosi długopis i notes stenografki. Pani Maxwell pisała, a czas włókł się niemiłosiernie. W końcu urzędnik sądowy wydarł z notesu zapisaną przez nią kartkę i wręczył ją sędziemu, który przeczytał tekst, nie zmieniając wyrazu twarzy, po czym skinieniem przywołał do siebie obu adwokatów. Po przeczytaniu żaden nie wypowiedział nawet słowa komentarza. Urzędnik sądowy wziął kartkę i zaniósł ją przysięgłym. Ławie przysięgłych przewodniczyła, siedząca jako pierwsza po prawej, ubrana w czarny elegancki kostium i białą bluzkę, wysoka i szczupła kobieta, choć z zaskakująco wydatnym przy jej figurze biustem. Podobnie jak powódka, nosiła okulary i włosy upięte w kok.

– Proszę podać notatkę przewodniczącemu ławy przysięgłych – polecił sędzia.

– Przewodniczącej – poprawiła go kobieta z wydatnym biustem, prostując się jeszcze bardziej niż wcześniej.

– Słucham? – spytał sędzia, unosząc głowę znad ręki, na której wspierał podbródek.

– Ta ława ma przewodniczącą, a nie przewodniczącego, Wysoki Sądzie – oświadczyła feministka i zacisnęła wąskie usta tak mocno, że niemal przestały być widoczne na jej twarzy.

– Ach tak – odrzekł sędzia Williams. – Oczywiście. Proszę zatem przekazać kartkę przewodniczącej ławy przysięgłych. Pani... hm... przewodnicząca, proszę przeczytać tekst, a następnie przekazać kartkę pozostałym sędziom przysięgłym, których również proszę o zapoznanie się z notatką.

Oczy wszystkich zebranych w sali rozpraw skoncentrowały się na przewodniczącej, która odczytała notatkę, po czym wydeła usta i wykrzywiła je, jak gdyby nagle zjadła coś bardzo, bardzo kwaśnego. Potrząsnęła głową, a następnie wręczyła kartkę przysięgłemu po swojej lewej stronie.

Dar zauważył wcześniej, że przysięgły numer dwa – przytegawy osobnik w bawełnianej sportowej marynarce w paski – lekko przysypiał. Teraz siedział ze spuszczonym wzrokiem i rękami założonymi na piersi nad wielkim brzuszyskiem. Niemal pochrapywał. Minor wiedział, że drzemiący przysięgli nie stanowią niezwykłego zjawiska na salach sądowych, szczególnie w gorące, letnie dni. Widywał

takich wiele razy, nawet podczas procesów, w których sam zeznawał, a które zazwyczaj omawiały sprawę morderstwa.

Przewodnicząca ławy szturchnęła łokciem przysięgłego numer dwa, który gwałtownie podniósł głowę i otworzył oczy. Nieświadom, że wzrok wszystkich osób na sali sądowej skupia się na nim, przyjrzał się biuściastej, wziął od niej kartkę i przeczytał. Oczy otworzyły mu się szeroko, po czym znów przeczytał tekst. W końcu powoli skłonił głowę ku przewodniczącej, mrugnął do niej, skinął głową, złożył kartkę i wsunął sobie do kieszeni marynarki.

W sali rozpraw zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wszystkie głowy zwróciły się ponownie ku sędziemu i urzędnikowi sądowemu. Urzędnik ruszył w stronę przysięgłych, lecz zatrzymał się i spojrzał w kierunku sędziego Williamsa. Ten chciał coś powiedzieć, ale przerwał i otarł usta. Stojąca za barierką dla świadków powódka wyglądała na tak słabą, że w każdej chwili mogła się osunąć na ziemię z czystego wstydu.

– Sąd ogłasza dziesięciminutową przerwę – oświadczył stanowczo sędzia Williams, uderzył młotkiem w stół, po czym zerwał się z miejsca i ruszył do wyjścia, powiewając połamami togi. Większość widzów stała w bezruchu, niektórzy starszankowie szturchali się nawzajem łokciami i cicho chichotali. Członkowie ławy przysięgłych wymaszerowali jeden za drugim. Przysięgły numer dwa wciąż uśmiechał się głupkowato i mrugał do przewodniczącej, która raz po raz oglądała się na niego przez ramię, toczyła oczyma i przyspieszała kroku, aż w końcu zniknęła Darowi z oczu.

Gdy zjawił się ponownie w stanowiącym biuro oficer śledczej pokoju przesłuchań, znalazł Sydney pogrążoną w pracy. Sekretarz gdzieś wyszedł. Przenośny wentylator i otwarte drzwi łagodziły straszliwą duchotę, Minor odnosił jednak wrażenie, że lata bliskich spotkań trzeciego stopnia pomiędzy pocącymi się przestępcami i równie mocno spoconymi prowadzącymi przesłuchanie policjantami pozostawiły w małym pomieszczeniu paskudną woń.

– Dzięki, że na mnie poczekałeś – zagaiła Syd. – Zastępca prokuratora i Dickweed pokazali mi poranne gazety. Chyba reporterzy przestali cię nazywać Drogowym Zabójcą.

Darwin nalał sobie policyjnej kawy.

– To dobrze – odparł. – Teraz jestem dla nich Tajemniczym Detektywem.

– Sprawdźmy zatem twoje zdolności detektywistyczne – odparowała Sydney i wskazała na mapę z czerwonymi, niebieskimi, zielonymi i żółtymi pinezkami. – Potrafisz mi objaśnić, co oznaczają kolory na mapie mojego małego taktycznego

centrum dowodzenia?

Dar wyjął z kieszeni sportowej kurtki okulary do czytania, nałożył je, lecz zsunął nisko na nos i przyjrzał się mapie bez nich.

– Czerwone i niebieskie znajdują się na drogach – zaczął – głównie na autostradach, nie zaś na zwykłych dwupasmówkach. Zdaje się, że chodziło ci prawdopodobnie o zaznaczenie sfingowanych stłuczek.

Syd skinęła głową. Jego domyślność jawnie zrobiła na niej wrażenie.

– Głównie tak. A potrafisz znaleźć różnicę między czerwonymi i niebieskimi?

– Nie – odparł Dar. – Chociaż widzę, że czerwonych jest znacznie więcej niż niebieskich... Czekaj chwilę, pamiętam ten wypadek na I-5. Niestety była wtedy jedna ofiara. Stare błękitne volvo. Prowadził je bezrobotny emigrant, legitymujący się zieloną kartą. Wszystkie elementy kraksy wskazywały na wcześniej przygotowaną stłuczkę, tyle że kierowca stukniętego pojazdu zmarł.

– Rozumiesz już zatem. Wszystkie czerwone pinezki oznaczają sfingowane wypadki ze skutkiem śmiertelnym – powiedziała Sydney.

Minor cicho gwizdnął.

– Aż tyle? Coś takiego nie ma jednak szczególnego sensu. Do sfingowanych stłuczek z wymuszeniem pierwszeństwa dochodzi zwykle na zwykłych szosach, a nie na drogach szybkiego ruchu. Na autostradzie taka akcja bywa zbyt niebezpieczna. Ażeby odebrać odszkodowanie, trzeba przecież kraksę przeżyć. Syd pokiwała głową.

– A co powiesz o zielonych pinezkach? – spytała.

Darwin przyjrzał się liczniejszemu zielonym kropeczkom. Dwie dostrzegł w okolicach portu San Diego, trzy inne natomiast skupiły się w tak nieprawdopodobnym miejscu jak bezdrzewne wzgórze położone na wschód od Del Mar. Jeszcze inne rozproszyły się wokół Los Angeles i San Diego, a także na obszarze pomiędzy nimi. Żadna nie znajdowała się na drodze.

– Wypadki na budowach – ocenił Dar. – Te dwa w zatoce wyglądały na pierwszy rzut oka jak próby wymuszenia wysokiego ubezpieczenia, tylko w obu przypadkach doszło do upadku z wysokiego rusztowania i obie sprawy skończyły się śmiertelnie. Paskudne.

– A jednak były to próby oszustwa ubezpieczeniowego – powiedziała Sydney.

Minor popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Badałem ten wypadek w pobliżu lotniskowca – wyjaśnił. – Pracujący dla cywilnego kontrahenta malarz miał wcześniej na swoim koncie sporo wymuszeń ubezpieczeniowych, w tym wypadku jednak zaliczył skok z dwudziestu metrów na stos stalowych rur. Jego rodzina nie potrzebowała aż tak bardzo pieniędzy. Wszyscy nieźle sobie żyli z odszkodowań związanych z kraksami samochodowymi i tymi na budowach.

Śledcza uśmiechnęła się i założyła ręce na piersi.

– A co powiesz o żółtych pinezkach?

– Widzę na mapie tylko jedną – zadumał się Darwin. – Inne leżą na boku i czekają na swoją kolej.

– No i?

– Ta na mapie znajduje się ponad Lake Elsinore, blisko restauracji Lookout, więc przypuszczam, że żółty kolor ma coś wspólnego ze mną.

– Zgadza się. Dokładnie mówiąc, żółte pinezki oznaczają punkty, w których ktoś próbował cię zabić. – Dar uniósł brwi i popatrzył na brzeg mapy, gdzie leżał ich dodatkowy tuzin. – Muszę pojechać do mieszkania Lawrence’a i Trudy – powiedziała nagle Syd, zbierając ogromną torebkę i pakując laptop do przenośnej torby.

– Wiem z grubsza, że mieszkają gdzieś w kierunku na Escondido, wolałabym jednak pojechać z tobą.

Darwin potrząsnął głową.

– Mogę cię podrzucić do Escondido, tyle że nie wracam dziś na noc do siebie.

Media...

– A tak – przyznała Sydney z uśmiechem. – Widziałam o siódmej rano w lokalnych wiadomościach, że zaczęli się na ciebie. Wciąż nie zdołali cię nakręcić, co ich doprowadza do prawdziwej pasji.

– Do pasji – powtórzył Dar i potarł podbródek.

– Jak zdołałeś wyjść dziś rano niezauważony?

– Policjant, który pełnił służbę za budynkiem, zatrzymał ich na głównej ulicy poniżej – wyjaśnił Minor.

– Wjechałem land cruiserem w boczną drogę i przejechałem kilka alejek, a później zjechałem ze wzgórza.

– Reporterzy znają prawdopodobnie także numer rejestracyjny twojej toyoty – zadumała się Syd.

Tym razem Darwin kiwnął głową.

– Tak, ale zaparkowałem na tyłach Gmachu Sprawiedliwości – odparł. – Tuż pod oknami tutejszej izby wytrzeźwień. – Śledcza skrzywiła się. – Tak, wiem – przyznał Dar. – Jutro na pewno umyję auto. Nie sądzę jednak, ażeby media je tam wykryli.

– No dobrze – mruknęła Syd. – Ale dlaczego nie możesz mnie zawieźć do mieszkania Stewartów?

Minor westchnął.

– Mogę – powtórzył. – Tyle że będziesz musiała wrócić sama. Po pracy jadę do mojego domku na wzgórzach.

– Idealnie – odparła Sydney. – Staniemy przy Hyacie. Wezmę rzeczy. – Darwin zmarszczył brwi. Syd Olson zatrzymała się przy drzwiach. – Policjanci z San Diego

mają za zadanie chronić cię na okrągło, jeśli jednak wyjedziesz na wzgórze, wymkniesz się spod ich jurysdykcji. Nie możemy przecież poprosić jakiegoś tamtejszego szeryfa o wyznaczenie ludzi do twojej ochrony...

– Nigdy nie mówiłem, że potrzebuję... – zaczął Dar.

Sydney podniosła rękę.

– Ja natomiast, ze swej strony, będę dla ciebie nie tylko doskonałym ochroniarzem przez cały weekend, lecz wykorzystam przyzwolicie ten czas na przejrzenie twoich akt... I tych komputerowych, i tych papierowych. Dzięki temu może znajdę brakujący element.

Darwin przyglądał jej się przez długą chwilę, a raczej jej odbiciu, które dostrzegwał obok swojego w lustrze weneckim. Zastanowił się, kto mógłby się znajdować po drugiej stronie, obserwując ich, sam pozostając niewidoczny.

– Mam wybór? – spytał w końcu.

– Naturalnie, że masz – odparowała Syd, posyłając mu najcieplejszy uśmiech, jaki widział do tej pory na jej twarzy. – Jesteś wolnym obywatelem.

– To dobrze... – zaczął Dar.

– Tyle że niestety jesteś wolnym obywatelem, któremu potencjalnie grozi oskarżenie o spowodowanie wypadku drogowego i pośrednio śmierci dwóch mężczyzn, toteż prokurator zarządził całodobowy nadzór twojej osoby. Masz zatem, jak sądzę, prawo do podjęcia decyzji, które z nas prowadzi land cruisera – dodała Sydney Olson.

Lawrence i Trudy pracowali na nowym osiedlu niedaleko Escondido. Firma Stewart Investigations Incorporated zajmowała tam spory dwukondygnacyjny budynek o wyglądzie ranczerskiego domu, stojący na stromym, porośniętym sukulentami wzgórzu nad lokalną drogą która ciągnęła się aż do pól golfowych. Ani Lawrence, ani Trudy nie grali w golfa. Po prawdzie, oboje Stewartowie mieli bardzo niewiele zajęć, które nie wiązałyby się bezpośrednio z ich pracą czyli dochodzeniami w sprawach ubezpieczeniowych, lub też z ich jedynym źródłem rozrywki – wyścigami samochodowymi. Sam dom miał powierzchnię prawie czterystu dwudziestu metrów kwadratowych, większość przestrzeni użytkowej zajmowały jednak biura na piętrze i parterze. Dar pamiętał, że w trakcie pierwszych trzech lat jego znajomości ze Stewartami przyjaciele w ogóle nie mieli mebli w salonie o istic katedralnym suficie.

Zaparkował toyotę na skraju podjazdu gęsto zastawionego samochodami. Stał tu stary isuzu trooper Lawrence'a, wynajęty ford contour Trudy, używana przez Lawrence'a do inwigilacji furgonetka z zaciemnionymi oknami marki Ford

Econoline, a także jeden z dwóch samochodów wyścigowych Stewartów – na przyczepie; drugi znajdował się w otwartym garażu na trzy pojazdy, obok przykrytego brezentem mustanga ze składanym dachem, rocznik 1967 i dwóch motocykli gold wing.

– Wszystkie te pojazdy należą do nich? – spytała Syd, kiedy szli ku budynkowi wśród wspaniałych maszyn.

– Jasne – odparł Darwin. – Kiedyś mieli dwa późniejsze modele mustanga, ale je sprzedali, gdy kupili te samochody wyścigowe.

– W jakiego typu wyścigach biorą udział?

– Klasa specjalna. Larry jeździ na starej mazdzie RX-7 – wyjaśnił Minor. – Ściga się w Kalifornii, Arizonie, Meksyku... wszędzie, gdzie może dotrzeć w ciągu weekendu.

– Trudy zawsze jeździ razem z nim?

– Lawrence i Trudy naprawdę wszystko robią razem – odrzekł.

Wdusił przycisk pod interkomem. Podczas gdy czekali na reakcję gospodarzy, Syd przyjrzała się sąsiednim domostwom na wzgórzu.

– Nigdzie nie ma chodników – zauważyła z przekąsem.

Dar zmarszczył czoło.

– Dopiero przyjechałaś do Kalifornii?

– Trzy lata temu – odrzekła. – Nadal jednak nie mogę się pogodzić z brakiem chodników.

Darwin wskazał na siedem pojazdów na podjeździe i w otwartym garażu.

– Do czego, u diabła, ktoś miałby potrzebować w Kalifornii chodnika?

– Wejdźcie – odezwał się głos Trudy w głośniku interkomu. – Jesteśmy w kuchni.

Przeszli przez wielki nieużywany salon, rzadko używaną jadalnię i zbyt często używane gabinety. Gdy znaleźli się w kuchni, odkryli, że Stewartowie zrobili sobie akurat przerwę na kawę. Lawrence siedział na stołku, pochylony nad kontuarem i wsparty na łokciach, które położył na blacie z laminatu. Jego zaczerwieniona twarz świadczyła o koncentracji. Trudy stała za ladą, lecz pochylała się ku zwalistemu mężowi. Wyglądali na pogrążonych w gwałtownej, choć przyjacielskiej rywalizacji.

– Olds Rocket z roku 1988 – powiedziała Trudy głośnym basem.

– Toyota RAV4 – odparował Lawrence afektowanym falsetem. Wskazał Darowi i Syd dwa puste stołki przy kontuarze, po czym wskazał dzbanek z kawą i czyste kubki. Kiedy goście nalali sobie kawy, Stewart wyrzucił z siebie: – Pontiac Grand Prix.

– Mitsubishi Galant – odcięła się Trudy. Teraz ona mówiła falsetem. – Mercury Cougar – krzyknęła po chwili, niczym siatkarka przebijająca piłkę przez siatkę.

Lawrence zawahał się na kilka sekund.

- Ford Contour – wtrąciła Syd tonem kilka oktaw wyższym niż zazwyczaj.
- O Jezu – mruknął Minor.
- Ciii, Dar – syknęła Trudy. – Wybijesz nas z rytmu. Proszę dalej, pani Olson.

Pani serw.

– Och, ta sama litera – zadumała się Syd, po czym dodała basowym głosem, który bardziej niż do niej pasowałby do jakiegoś drwała: – Dodge Charger!

– Honda Civic – odpowiedział Lawrence przesadnie dziecinnym głosem, po czym głośno ryknął: – Chevrolet Impala!

– Infinity! – odparowała Trudy.

– Isuzu Impulse – wtrąciła Syd.

– Punkt dla pani – powiedziała Trudy. Impulse jest słabszy i durniejszy niż Infinity. Może sobie pani wybrać literę.

– Ford Thunderbird – krzyknęła Syd.

– Ford Taurus – wrzasnął Lawrence.

– Toyota Tercel – oświadczyła tryumfalnie Trudy. Gwałtownie postawiła kubek z kawą i popatrzyła na męża z marsową miną. – Taurus znaczy byk, Larry. Byk ma jaja. A cóż to takiego tercel? Jakiś gatunek ptaka? To słowo niewiele znaczy, Larry.

– Lawrence – poprawił ją Lawrence.

– Skończyliście wreszcie tę testosteronowo-estrogenową grę? – mruknął Darwin.

– Nie – odparła Trudy – Jest czterdzieści do zera. Ja serwuję. – Przerwała tylko na sekundę. – American Motors Eagle!

– Już się ich nie produkuje – zauważył Minor.

Wszyscy go zignorowali. Najwyraźniej nie zrozumiał reguł.

– Escort – wyseplenił Lawrence.

– Hyundai Elantra! – odcięła się jego żona tonem osoby, która rzuca na stół kartę atutową.

– Suzuki Esteem – powiedziała Syd.

Lawrence i Trudy równocześnie kiwnęli głowami i przyznali jej punkt.

– Można nazwać samochód głupiej i bardziej bezsensownie niż „esteem”? – spytała Trudy.

– Szczególnie taki rupieć jak suzuki. To tak, jakby nazywać auto „moja duma”.

– Kiedy byłem nastolatkiem – wtrącił Dar – jeździłem wielkim chryslerem new yorkerem z 1960 roku. Moja ówczesna dziewczyna nazwała go „Beatrice”!

Pozostała trójka popatrzyła na niego, jak gdyby pierdnął.

– Gdzie utknęliśmy? – zapytał Stewart.

– Do końca zostały nam dwie piłki meczowe – stwierdziła Trudy. – Albo Syd, albo ja. Mój serw! – Umilkła zaledwie na chwilę. – Pontiac Firebird...!

– Ford Fiasco – odburknął Lawrence. – Nie ma nic słabszego niż fiasko!

– Fordów Fiesta już się nie produkuje – zauważyła Syd. – Teraz nazywają się Festiva!

– Pani punkt. I serw – powiedziała Trudy.

– Buick Roadmaster – oznajmiła Sydney, przeciągając sylaby drugiego słowa.

– RAV4 – odciął się Lawrence.

– Błąd – zawołała Trudy. – Już było! – Po krótkiej pauzie dodała: – „R” to trudna litera... Plymouth Reliant?

– Zbyt trudna litera – mruknął Stewart.

– Jedyń, który mi przychodzi do głowy, to Buick Reatta – powiedziała Syd. – Ale nazwa nie jest wystarczająco durna, nawet jeśli nic nie znaczy!

– RX-7 jest niezbyt mądra – rzuciła Trudy.

– Ej! – obruszył się Lawrence. Wydawał się szczerze zraniony. Ścigał się na przerobionych RX-7.

– Może ja zaserwuję? – zasugerował Dar. – Ten, kto wygra ten set, wygra cały mecz.

– Zgoda – odparła pozostała trójka.

– Q45 – oświadczył Dar.

– To nowy samochód – zaprotestowała Trudy. – I nie ma nic szczególnie seksownego w...

– Q45 – powtórzył Dar. – Zaserwowałem. Odbierajcie!

Przez kilkanaście sekund panowała cisza.

– Volkswagen Quantum – sapnęła Syd.

– Świetnie! – oceniła Trudy – Wygrałaś.

– Nie tak szybko – wtrącił Dar. – Alfa Romeo Quadrifoglio.

Pozostali popatrzyli na niego z ukosa lub podejrzliwie.

– Istnieje – przyznał w końcu Lawrence. – Trzy lata temu wyjaśniłem sprawę jednego wraka tej marki, który rozbił się na drodze 410...

– Wiemy, że istnieje – przerwała mu Trudy. – Po prostu staramy się ustalić, czy...

– Wygrałem – oznajmił Darwin.

– Kto zrobił z ciebie sędziego? – spytał Lawrence całkiem zadowolonym tonem. Minor lekko się uśmiechnął.

– Nie jestem sędzią ani całą ławą przysięgłych – odrzekł. – Jestem tylko przewodniczącym tej ławy. – Popatrzył znacząco na teczki z aktami, które piętrzyły się w sąsiednim pomieszczeniu. – Możemy już zabrać się za ustalenie, z jakich powodów chciała mnie zabić rosyjska mafia?

Rozdział siódmy

G JAK GIMNASTYKA

Trzy godziny i osiemdziesiąt plików później Lawrence rozsiadł się wygodniej na krześle i powiedział:

– Poddaję się. Czego, do diabła, szukamy?

– Prób wymuszenia ubezpieczenia – wyjaśniła Syd, wskazując na stos akt, które wydzielili.

– To sześćdziesiąt kilka procent wszystkich spraw, z którymi mamy do czynienia – zauważyła Trudy. – Tyle że żaden z wypadków rekonstruowanych przez Dara nie wydaje się na tyle ważny, żeby ktoś chciał go za to zabić.

Sydney skinęła głową. Również wyglądała na zmęczoną. Dar zauważył, że do czytania śledcza nosi okulary bez oprawek.

– No cóż – stwierdził – nie powiesz, że to nudna literatura.

Syd pokiwała głową.

– Sprawozdania ofiar niektórych wypadków to naprawdę arcydzieła. Posłuchajcie tego: „Słup telefoniczny zbliżał się szybko. Próbowałem zjechać mu z drogi, kiedy trafił we mnie czołowo”.

Trudy otworzyła teczkę.

– Tutaj jest jeden z moich ulubionych: „Prowadziłem samochód od czterdziestu lat, kiedy zasnąłem za kierownicą i miałem wypadek”. Dar wyjął stare akta.

– Ten facet z kolei nigdy nie słyszał o Piątej Poprawce: „Mężczyzna był wszędzie na drodze. Musiałem skręcić kilka razy, zanim w niego uderzyłem”.

Lawrence chrząknął i przerzucił kilka kartek akt, które przeglądał.

– Mój ulubieniec obejrzał zbyt wiele odcinków *Z archiwum X* „Niewidzialny samochód wyjechał znikąd, uderzył w moje auto, po czym znowu zniknął”.

– Też miałam jednego maniaka *Z archiwum X* – odparła Syd, przerzucając grube niebieskie teuczki. – O tutaj: „Wypadek zdarzył się, kiedy prawe przednie drzwiczki jakiegoś samochodu wyłoniły się zza rogu, nie dając żadnego sygnału”.

– Nienawidzę, gdy mi się coś takiego przydarza – zaśmiał się Darwin.

– Zauważyliście, jak bardzo ofiary wypadków uwielbiają w swoich zeznaniach rzucić odpowiedzialność na wszystkich wokół? – zapytała Trudy. – Tutaj mam typowy przykład: „Pieszcy, którego nie widziałem, uderzył we mnie, a następnie wślizgnął się pod moje auto”.

– Ale oni są uczciwi, na swój głupi sposób – stwierdził Stewart. – Pamiętam stwierdzenie jednego młokosa: „Wracając z pracy, wjechałem w niewłaściwy dom i zderzyłem się z drzewem, którego nie mam”.

Trudy chichotała, czytając:

– „Ruszyłem z pobocza, zerknąłem na siedzącą obok na siedzeniu teściową i skierowałem się ku skarpie”.

– Taką decyzję rozumiem akurat całkiem dobrze – zahuczał Lawrence.

Trudy przestała chichotać i posłała mu ostre spojrzenie.

Syd nagle roześmiała się głośno.

– Miałam gdzieś przypadek przesadnej szczerości – powiedziała, szukając odpowiedniego zapisu. – O, tu: „Próbując zabić muchę, wjechałem w słup telefoniczny”.

– Głupiejemy, ludzie – oszacował Minor, zerkając na zegarek.

– Głupio zaczęliśmy – odparła Trudy. Spojrzała na stos spraw o odszkodowanie, które uznali za oszustwa.

– Znaleźliśmy w ogóle jakąś prawdopodobną przyczynę ataku na Darwina?

– Dwa przypadki, jak mi się zdaje – odrzekł Dar, wyciągając akta z chwiejnej sterty. – Pamiętacie sprawę prętów zbrojeniowych na I-5 w maju?

– Co takiego? – zainteresowała się Sydney.

– Pręty zbrojeniowe to stalowe pręty wzmacniające beton – wyrecytował Lawrence.

– Wiem, co to są pręty zbrojeniowe – odparła Syd.

– Pytam, jaka to była sprawa?

– Z 23 maja – odpowiedział Dar, przeglądając papiery. – Trasa I-5. Czterdzieści sześć kilometrów na północ od San Diego.

– O Boże – wtrącił Lawrence. – Ty nakręciłeś wideo podczas rekonstrukcji, chociaż to ja dotarłem na miejsce wypadku jako jeden z pierwszych. Jezusie! – Syd czekała na ciąg dalszy. – Azjata – podjął wreszcie – a dokładnie mówiąc: Wietnamczyk. Dopiero co przybył do Stanów z rodziną... ośmioro dzieci... Przyjechali trzy miesiące wcześniej. Pracował dla kwiaciarki jako kierowca. Dostarczał klientom zamówione kwiaty. Jeździł jednym z tych wielkich samochodów dostawczych, isuzu, z silnikiem pod siedzeniem, przednią szybą z pleksiglasu i ramami z cienkiej blachy. – Na to wspomnienie Stewart aż się skrzywił. – Jechał tuż za otwartą ciężarówką małej firmy budowlanej z La Jolla... Burnette Construction... firma rodzinna, ściśle rzecz biorąc. Bill Burnette, właściciel, wiózł właśnie ładunek prętów zbrojeniowych.

– Wystawały poza budę ciężarówki? – upewniła się Sydney.

– Tak, aż dwa i pół metra – przyznał Lawrence. – Na końcu ładunku facet zawiesił wprawdzie czerwoną chorągiewkę, ale... – Stewart wziął głęboki wdech. – Biedny Wietnamczyk trzasnął w te pręty z prędkością prawie dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, bo ktoś gwałtownie skręcił i zajechał drogę ciężarówce Burnette’a. A ten wcisnął hamulce... mocno wcisnął.

– Wietnamczyk niestety nie wcisnął – szepnęła Syd.

Dar potrząsnął głową.

– Ależ wcisnął – powiedział. – Nawet mocno zapewne wcisnął. Tyle że hamulce nie zadziałały. Facet miał za mało płynu.

Sydney wymieniła spojrzenia z pozostałymi. Tego rodzaju wypadki zdarzały się rzadko.

– Tak czy owak pręty zbrojeniowe przebiły się przez przednią szybę auta Wietnamczyka i cztery czy pięć trafiło w nieszczęśnika – dodał Lawrence. – Burnette niczego nie poczuł, więc ponownie przyspieszył, pociągając za sobą nabitego na pręty Azjatę, gdyż pręty wyciągnęły ciało przez pogruchotaną przednią szybę. Podczas kraksy Burnette nie zatrzymał samochodu, jedynie zwolnił mniej więcej do czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę... Jak mi później powiedział, po prostu w pewnym momencie dostrzegł we wstecznym lusterku tego biednego sukinsyna nadzianego... z prętami wbitymi w twarz, w szyję gardło, pierś i lewe ramię...

– W dodatku ofiara nadal żyła – dorzucił Darwin.

Stewart skinął głową.

– Tak, jeszcze przez jakiś czas. Burnette nie wiedział, co robić, miał jednak dość rozumu, żeby nie wcisnąć znów hamulców. Wtedy przecież biedny facet... nazywał się Phong... nadziałyby się jeszcze bardziej... Zjechał więc na pobocze z wiszącym pechowcem i tam łagodnie zwolnił.

– Nie wygląda mi to na sfinansowany wypadek z zajęciem drogi – oceniła Syd.

– Nie z takim lokatorem na tyłach. A trudno sobie wyobrazić, że facet zgodziłby się...

– To samo sobie pomyśleliśmy – przerwała jej Trudy. – Ale gdy Dar zajął się rekonstrukcją, zderzenie zaczęło nam wyglądać na umyślne. Na tamtej drodze panował wtedy bardzo niewielki ruch. Biały pikap przeciął nagle dwa pasy, zajęchał Burnette'owi drogę, gwałtownie przed nim zahamował, po czym przyspieszył i odjechał.

– Może w ostatniej chwili przypomniał sobie o zjeździe z autostrady? – zasugerowała Syd.

Trudy potrząsnęła głową.

– Nie, zjazd był po prawej stronie, a do wypadku doszło na ostatnim pasie po lewej. Ostatnim z pięciu pasów ruchu... A przy tak niewielkim ruchu ofiara, czyli pan Phong, naprawdę nie miała powodów tkwić Burnette'owi na ogonie. Większość pasów była pusta. Cała akcja wyglądała na zorganizowaną...

– Tylko że w sfinansowanych wypadkach nikt nie chce nikogo zabić ani trwale okaleczyć – upierała się śledcza. – Wybierają dobry samochód, któremu ktoś zajechał drogę, oni uderzają w tamten, a później twierdzą, że od pasów uszkodzili sobie kręgi szyjne lub coś w tym rodzaju. Nikt nie nadziewa się wówczas na pręty zbrojeniowe! Czy pan Phong zmarł?

– Tak – odparł Lawrence. – Trzy dni później, ani na moment nie odzyskując świadomości.

– Jaka była kwota odszkodowania? – spytała Sydney.

– Dwa przecinek sześć miliona – przesylabizowała Trudy.

Lawrence westchnął.

– Burnette starał się prowadzić swoją firmę budowlaną jak najmniejszym kosztem i wykupił najniższą możliwą polisę. Nie mógł sobie po prostu pozwolić na wyższe ubezpieczenie. Spłata odszkodowania doprowadziła go do bankructwa.

Sydney popatrzyła na drugą teczkę.

– To również jedna z twoich czerwonych pinezek – wyjaśnił Dar. – Zdarzenie na I-5, o którym ci wspomniałem. Ten wypadek bez wahania uznałem za sfingowany. Kierowca uderzonego samochodu, niejaki Hernandez, wniósł już wcześniej trzy skargi z powodu kalectwa i osiem z powodu rzekomych obrażeń.

– Lecz tego wypadku nie przeżył – zauważyła Syd.

– Właśnie – przyznał Minor. – Wszystko szło zgodnie ze scenariuszem aż do momentu zderzenia. Znowu pikap zjechał drogę innemu pojazdowi... w tym wypadku wielkiemu staremu buickowi. Kierowca buicka dał po hamulcach. Namierzone auto, nowiutki cadillac, trzasnął buicka w tył, dokładnie tak jak zaplanowano. Niestety, buick Hernandeza eksplodował...

– Sądziłam, że samochody wybuchają jedynie w filmach – wtrąciła Sydney.

– Wielu tak uważa – przyznał Darwin. – Podczas śledztwa w zbiorniku na benzynę auta pana Hernandeza znalazłem jednak resztki prymitywnego zapłonu iskrowego. Miał spowodować wybuch po mocniejszym uderzeniu w tylny zderzak.

– To morderstwo – oceniła Syd.

Dar skinął głową.

– W każdym razie prawnik... tak przy okazji, był to ten sam prawnik... zaskarżył zarówno drugiego kierowcę, jak i producenta pojazdu, więc dowody manipulowania przy hamulcach i fakt sabotażu auta Hernandeza oddalono w zamian za wycofanie zarzutów przeciwko producentom.

– Jestem ciekawa – wtrąciła Sydney – w jaki sposób wybiera się, że tak powiem... nieświadomy... pojazd do tych sfingowanych wypadków.

– Gra tu rolę wiele czynników – wyjaśniła Trudy.

– Auto musi być oczywiście drogie...

– Dobrze jeśli ma też na zderzaku nalepkę firmy ubezpieczeniowej State Farm albo innej, równie dużej i bogatej – dodał Lawrence.

– Poza tym zwykle namierza się starszego kierowcę – podjęła Trudy. – Kogoś, kto nie zareaguje zbyt szybko i nie zdąży w odpowiednim momencie zahamować.

– Oczywiście nikt nie chce ranić ludzi w pojeździe docelowym – powiedział Dar.

– Chodzi jedynie o to, aby współsprawca wystąpił o odszkodowanie z powodu utraty sprawności... zwykle wybiera się urazy niewidoczne i trudne do sprawdzenia, takie jak uraz kręgow szyjnych, piersiowych lub lędźwiowych, chociaż firmy ubezpieczeniowe podejrzliwie patrzą na takie wnioski.

– Ale tu mamy klasyczny sfingowany wypadek z wymuszeniem pierwszeństwa, czyli ten z udziałem Hernandeza zakończył się śmiercią kierującego pojazdem – zauważyła Syd. – A wypadek Phonga w ogóle nie pasuje do tego typu zorganizowanych akcji...

– To prawda – zgodził się Minor, kiwając głową. – Nie sposób uwierzyć, że ktokolwiek dobrowolnie pozwoliłby się nabić na takie sterczące pręty zbrojeniowe.

– Chyba że Phong po raz pierwszy brał udział w takim przedsięwzięciu – zastanowiła się Sydney. – Albo że ktoś go oszukał. Podobnie Hernandeza...

– Którego znaleziono w typowej dla tego typu wypadków pozycji – dodała Trudy. – Kucał pod kierownicą. Bagażnik jego starego buicka wypełniały worki z piaskiem i opony, które często stanowią swego rodzaju dodatkowe zabezpieczenie mające złagodzić skutki zderzenia. Tyle że wszystko spłonęło... wraz z Hernandezem... gdy eksplodował zbiornik na benzynę.

– Odszkodowanie?

– Sześćset tysięcy – odparł Lawrence.

– Więc teraz dochodzimy do prawnika, który pracował przy obu sprawach – powiedziała Syd. – Jorge Murphy Esposito. Od dawna podejrzewamy, że facet szuka klientów wśród ofiar wypadków.

Trudy roześmiała się niewesoło.

– Esposito mógłby wręcz kierować karetki do wypadków – oznajmiła. – Wie, gdzie dojdzie do kraksy, jeszcze zanim ona się zdarzy.

Sydney pokiwała głową.

– Dar, uważasz, że właśnie Esposito poszczuł na ciebie Rosjan?

Minor westchnął.

– Instynkt mi mówi, że nie. Esposito to trzeciorzędny adwokacina. Występuje w imieniu oszustów z marginesu i biedoty. Nie widzę go po prostu w tej roli. Przy takiej klienteli, skąd kontakty z zabójcami z mafii rosyjskiej?

– Mamy jednak jakąś wskazówkę – zauważyła Syd. – Kim są inni prawnicy i lekarze na wysokich pozycjach waszej listy?

– Na naszej liście oszustów żądających odszkodowań? – spytała Trudy.

– Właśnie.

– Oprócz Esposito mamy tam jeszcze Rogeta Velliersa, Bobby'ego Jamesa Tuckera, Nicholasa van Dervana, Abrahama Willisa... – zaczęła wymieniać Trudy.

– Hej, hej – przerwał jej Lawrence. – Willis nie żyje.

Darwin uniósł brwi.

– Od kiedy? Zeznawałem w sądzie przeciwko jego powodowi zaledwie miesiąc temu.

– Zmarł w ubiegły czwartek – odparł Stewart. – A dokładniej mówiąc, nasz drogi adwokat zginął w wypadku samochodowym. Rozbił się w pobliżu Carmel.

– No cóż, kto mieczem wojuje... – mruknęła Sydney.

– Esposito zajmuje się procesami rodzinnymi – zauważył Lawrence.

Trudy cicho odchrząknęła.

– Tak się tylko mówi.

Syd wstała od stołu i przeciągnęła się.

– No cóż, przejrzymy akta Dara powtórnie, pod tym właśnie kątem. Sprawdzimy, którzy z adwokatów poszukujących klientów wśród ofiar wypadków tkwią najgłębiej w sprawie.

Trudy popatrzyła na nią i na Minora.

– Wracacie do San Diego?

Darwin bez słowa przecząco pokiwał głową.

– Zamierzamy przez weekend ukrywać się przed prasą w domku Dara – powiedziała Syd.

Lawrence jedynie nieznacznie zmarszczył czoło, a spojrzenie, które posłał przyjacielowi, było aż nazbyt wyraziste.

– Sporo czasu minęło, odkąd kogoś tam zaprosiłeś, co, Darwin? To znaczy... oczywiście poza mną i Trudy.

– Nigdy nie zapraszałem tam nikogo poza wami – odparł Minor, posyłając Stewartowi ostrzegawcze spojrzenie. – Zdaje mi się jednak, że moja obecna sytuacja nazywa się aresztem zapobiegawczym.

Przez chwilę panowało pełne konsternacji milczenie. W końcu przerwała je Trudy.

– Och, zanim pani odjedzie – powiedziała pogodnie – śledcza Olson...

– Mówcie mi Syd – wtrąciła Sydney.

– A więc Syd – kontynuowała Trudy. – Zanim odjedziesz, mogłabym cię prosić o profesjonalną opinię na temat pewnej kasety z inwigilacji?

– Jasne.

– Och, Trudy, nie, nie rób tego – oświadczył Lawrence, rumieniąc się nad wąsami. – Jezu...

– Potrzebuję czyjejs opinii – tłumaczyła się.

– Och nie, daj spokój – nalegał Stewart. Zdjął okulary i wytarł je chusteczką, a policzki czerwieniały mu coraz bardziej.

– Nagranie ma ponad godzinę – wyjaśniła Trudy Sydney – ale przewiniemy ją na

przyspieszonym podglądzie. Dar, byłeś świadkiem w wielu sprawach. Twoja ocena również będzie dla mnie cenna.

Darwin i Syd podążyli zatem za Trudy do salonu, w którym stał sześćdziesięciocalowy telewizor oraz kanapa marki La-z-Boy.

Na kasecie pojawiła się kobieta w średnim wieku, ubrana w obcisły podkoszulek z lycry, szorty i tenisówki. Wyszła z typowego dla klasy średniej domu i wsiadła do starej poobijanej hondy accord. Kamera skupiła się na twarzy kobiety, gdy ta zakładała ciemne okulary i przepaskę na włosy, dlatego jej rysy nie były widoczne w szczegółach. Nagranie było kolorowe, a w dolnym rogu ekranu widniała data i dokładny czas – godzina, minuty i sekundy.

– Nakręciliście to z waszej furgonetki inwigilacyjnej? – spytała Syd Lawrence’a.

– Yhm – przyznał Stewart, który nie usiadł wraz z resztą na kanapie La-z-Boy, lecz stał w części salonu przeznaczonej na jadalnię. Wyglądał na gotowego do natychmiastowej ucieczki.

Trudy odchrząknęła.

– Kobieta nazywa się Pamela Dibbs. Wytoczyła niedawno trzy sprawy; dwie z nich przeciwko naszym klientom: Jack-in-the-Box i WonderMartowi.

– Żądanie odszkodowania z powodu kalectwa? – domyśliła się Sydney.

– Tak – odparła Trudy.

Widoczna na taśmie honda ruszyła, po czym nastąpił przeskok montażowy i samochód wjechał na parking przy dużym budynku. Lawrence oczywiście znał cel podróży kobiety, toteż czekał na nią pod gmachem w inwigilacyjnym chevroletcie astrovan. A kiedy Pamela Dibbs wysiadła z auta i pospiesznie ruszyła do budynku, kamera Stewarta podążyła za nią.

– Trzy wypadki na budowach – wyjaśniła Trudy. – Kobieta twierdziła, że doznała ciężkiego urazu części lędźwiowej kręgosłupa, z powodu którego nie może opuszczać domu. Według jej własnych słów jest właściwie inwalidką. Przedstawiła pisemne zaświadczenia od dwóch lekarzy. Obaj zresztą współpracują z mecenasem Esposito.

Syd kiwnęła głową.

Nagle widok z kamery zmienił się: z kolorowego w niewyraźny, czarnobiały. Obraz trząsł się teraz, ktoś najwyraźniej niósł kamerę korytarzem. Widok był dość wyraźny, choć trochę zniekształcony – jak gdyby kręcono przez obiektyw anamorficzny. Nagle kamera przesunęła się w prawo i pojawiło się odbicie Lawrence’a w lustrzanej ścianie. Stewart – potężny, ważący sto kilkanaście kilogramów mężczyzna – miał na sobie nieco obszarpaną bluzę, spodenki

gimnastyczne (widać było jego gołe nogi i wydatne kolana) i obdarte trampki. Nosił przy pasku szaszetkę, na czole zaś chustkę zawiązaną w stylu filmowego Rambo, a na nosie parę zbyt dużych okularów przeciwsłonecznych w grubych oprawkach. W lustrze najpierw wyglądał na zaskoczonego, a potem przez długą chwilę oglądał swoje odbicie z góry do dołu. W końcu wszedł do głównej sali gimnastycznej.

– Cholera – mruknął teraz cicho, stojąc za kanapą.

– Gdzie miałeś kamerę? – spytała Sydney. – W okularach?

– Tak, w ramce – przyznała Trudy. – Mały obiektyw, ledwie większy niż kryształ górski. Światłowod biegnie do szaszetki przy pasie.

– Gdzie jest przewód? – zaczęła Syd, po czym zrozumiała. – Och tak. –

Odbijający się w lustrze Stewart właśnie się odwrócił tyłem, więc kobieta dostrzegła „przewód okularowy”. Zwisiał za karkiem mężczyzny, znikając pod kołnierzem bluzy.

Całą czwórką oglądali nagranie. Lawrence dołączył do grupy ćwiczących. Stał bezpośrednio za panią Dibbs. Nie było dźwięku, ale kiedy grupa zaczęła rozgrzewkę, łatwo można było sobie wyobrazić rytmiczną muzykę. Pani Dibbs kucnęła, wypięła się, wyrzuciła nogę, zrobiła kilka pajacyków, a później biegała w miejscu; całkiem zwinnie jak na kompletną inwalidkę. Na sali zdjęła okulary przeciwsłoneczne i przepaskę, toteż jej twarz całkiem wyraźnie odbijała się w stojącym przed ćwiczącą grupą lustrze. Grupę prowadziła kobieta w obcisłym kostiumie gimnastycznym ze stringami, których tylny pasek przebiegał między umięśnionymi wzgórkami jej pośladków, również doskonale widocznymi w lustrze. Odbijał się w nim także Lawrence. Jedyne mężczyzna wśród tych wszystkich kobiet w strojach z czarnej lycry skakał, kuczał, sapał, wymachiwał ramionami, wszystkie ruchy wykonując o ułamek sekundy lub dwa za panią Dibbs i resztą grupy. Oczywiście nadal miał na nosie okulary.

– Proście mnie o radę w tej kwestii z powodów prawnych? – spytała Sydney.

– Tak – odparła Trudy. Mocno trzymała w prawej ręce pilota magnetowidu, jakby się obawiała, że jej mąż lada chwila po niego ruszy.

– No cóż, macie dobry materiał dowodowy przeciwko niej – odparła śledcza. – Nie możecie go użyć tylko w jednym przypadku: jeżeli był to prywatny obiekt rekreacyjny. W takim miejscu nie wolno nikogo nagrywać, podobnie jak na trampolinie własnego basenu podejrzanego.

Trudy skinęła głową.

– Wiem. Ten film nakręciliśmy w miejskim centrum gimnastycznym. To własność publiczna.

– I uzgodniliście wszystko z kierownikiem?

– Tak.

– I w tych ćwiczeniach może uczestniczyć każdy członek społeczności? – Trudy

podniosła wzrok na taśmę, gdzie pani Dibbs i reszta umięśnionych młodych kobiet opuściła się do szybkiego kucnięcia z wyprostowanymi przed sobą ramionami. Widoczny w lustrze Lawrence usiłował pójść za ich przykładem, niestety o mało nie stracił równowagi, a gdy udało mu się wreszcie zrobić przysiad, reszta grupy podskoczyła już i zaczęła wymachiwać nogami. Obraz był czarnobiały, na taśmie można było jednak zauważyć, że twarz Stewarta ciemnieje, a na grubej bawełnie bluzy zaczęły się pojawiać plamy potu. – Nie widzę w takim razie żadnego problemu – stwierdziła Syd. – Możecie ten film pokazać sędziemu i ławie przysięgłych, o ile nie jest montowany.

– Jest jeden problem – odparła Trudy i zaczęła przewijać kasetę na podglądzie. Stojący za nimi Lawrence stęknął głośno.

Kiedy zestaw ćwiczeń się skończył, Stewart ruszył powoli do wyłożonego lustrami korytarza i gwałtownie opadł na fontannę wody pitnej. Kamera pokazała jego odbicie. Lawrence wytarł usta, zdjął na sekundę okulary (wtedy widać było jego stopy), nałożył je, po czym wytarł chusteczką policzki i czoło. Pot lał się z niego wręcz strumieniami.

– Powinien wtedy wyjść – zauważyła Trudy ze smutkiem.

– Nie byłoby to uprzejme – warknął jej małżonek.

– Poza tym zapłaciłem za całą godzinę. No i chciałem pokazać, że pani Dibbs bez trudu potrafi ćwiczyć całą godzinę.

– No cóż – mruknęła jego żona. – Bez wątpienia to udowodniłeś.

Wcisnęła guzik na pilocie i przewijanie dwukrotnie przyspieszyło. Aerobik zmienił się w szaleńcze machanie odzianych w lycrę ramion i nóg, wypychania pośladków, poruszania ud, czyli prawie erotyczny taniec spoconych kobiet. Tłusty, wąsaty mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych zawzięcie usiłował dotrzymać im kroku. Lawrence na ekranie oddychał teraz przez usta, a właściwie straszliwie sapał, twarz zaś miał okropnie zarumienioną. Wciąż na przyspieszeniu Syd i Dar obejrzeni jeszcze trzy przerwy i trzy wyprawy Lawrence'a do źródła wody pitnej. Potem była jeszcze czwarta, ostatnia przerwa. Według cyfrowego czytelnika grupa ćwiczyła już czterdzieści osiem minut.

Podczas tej przerwy kobiety się rozproszyły. Jedne biegały w miejscu, inne gawędziły po dwie, trzy lub więcej; pani Dibbs należała do tych pierwszych. Lawrence ciężkim krokiem podążył do korytarza i ruszył przed siebie. Na moment jego odbicie znów pojawiło się w tafli wody w fontannie. Bluzę Stewart miał kompletnie przepoconą, wręcz moką, a twarz ciemną – jak gdyby popękały mu wszystkie naczynia krwionośne. Później kamera odwróciła się od fontanny z wodą pitną i sali gimnastycznej, przemieściła dalej wyłożonym lustrami korytarzem, pokazała otwierane drzwi ze znacznikiem męskiej toalety i wtargnęła przez nie do

pomieszczenia...

Syd zaczęła się śmiać.

– Okej, Trudy – wrzasnął Lawrence z jadalni. – Możesz już wyłączyć nagranie. Nasi goście wiedzą, o co chodzi.

Trudy jednak utrzymała film na szybkim przewijaniu. Obraz kamery popędził ku jednemu z pisuarów, pokazał zdejmowane szorty gimnastyczne, potem widok przeniósł się na kafelki ponad pisuarem, wreszcie znów się podniósł, po czym ponownie opadł, poruszył się w pionie i poziomie, aż znalazł się nad zlewem, a w lustrze pojawiło się odbicie Lawrence'a, wciąż w ciemnych okularach, w których kojarzył się z Jackiem Nicholsonem. Zegar nadal pędził, szaleńczo odliczając sekundy. Wreszcie kamera wróciła do sali gimnastycznej na ostatnie kilka minut ćwiczeń. Lawrence poszedł za panią Dibbs na parking. Powódka wyglądała na ożywioną treningiem i prawie wskoczyła do hondy. Obraz kamery co rusz przechylał się niebezpiecznie, raz zatrzymał się przy słupku płotu, gdzie pojawiła się ręka wyraźnie ślaniającego się na nogach Lawrence'a, który schwycił się słupka prawdopodobnie dla zachowania równowagi. Syd ciągle się śmiała.

– To nic... nic osobistego – zdołała powiedzieć, podnosząc głos, aby mógł ją usłyszeć Stewart, który wycofał się już z jadalni do kuchni.

– Rozumiesz zatem, w czym tkwi problem – zwróciła się do niej Trudy.

Śledcza potarła policzki.

– Jeśli chcecie pokazać film w sądzie, nie możecie go pociąć – powiedziała w końcu. Głos jej się trząsał, choć starała się przemawiać poważnym tonem. – Trzeba pokazać całość albo nic.

– Cholera, zapomniałem! – krzyknął Lawrence z kuchni.

– Możecie ją nagrać jeszcze raz – zauważył Dar.

– Zdaję mi się, że pani Dibbs wyczuła intencje Larry'ego – stwierdziła Trudy.

– Lawrence'a, nie Larry'ego – poprawił ją z kuchni Lawrence. – I możesz sobie, cholera, sama iść na ten aerobik.

Trudy potrząsnęła głową.

– To ja przesłuchiwałam panią Dibbs. Dlatego nie mogłam zarejestrować jej ćwiczeń.

– No cóż... – zaczęła Syd.

– Ja bym pokazał tę kasetę – powiedział Minor. – Licząc razem z kasetą z furgonetki inwigilacyjnej, minie prawie godzina, zanim dojdziecie do części... dla dorosłych. Nie sądzę, żeby ława przysięgłych albo adwokaci powódki pozwolili pokazać aż tak dużo. Zechcą przerwać pokaz najszybciej, jak to będzie możliwe.

– Dokładnie – zgodziła się z nim Sydney. – Po prostu napiszcie w aktach, że macie jeszcze czterdzieści minut zapisu. Myślę, że jesteś bezpieczny, Lawrensie.

– Łatwo wam mówić – dobiegł ich z kuchni jego głos.

Syd i Dar wymienili spojrzenia.

– Skoro mamy dotrzeć przed nocą do Julian i twojego domku – powiedziała śledcza – chyba powinniśmy już się zbierać.

Darwin pokiwał głową. Po drodze do wyjścia zaszedł do kuchni i poklepał Lawrence'a po plecach.

– Naprawdę nie masz się czego wstydzić, *amigo*.

– Co masz na myśli? – odburknął tamten.

– Umyłeś po wszystkim ręce – odparł wesoło Minor. – Tak jak nas uczyły nasze mamy. Cała ława przysięgłych będzie z ciebie dumna.

Lawrence nie odpowiedział mu, za to wbił wzrok w żonę. Jego oczy miały błyskawice gniewu.

Dar i Sydney wsiedli do land cruisera i ruszyli ku wzgórzom.

Rozdział ósmy

H JAK HISTORIE

Opuścili Escondido autostradą 78, kierując się w stronę zalesionych wzgórz. Na kolację zatrzymali się w małym miasteczku Julian, skąd mieli pojechać już prosto do domku Dara. Julian było kiedyś osadą poszukiwaczy złota, teraz zaś jedynie małą miejscowością turystyczną. Wybrana przez Minora restauracja serwowała jednak świetne jedzenie w obfitych porcjach za przyzwoitą cenę, a ponieważ nie miała sali barowej, nawet w piątkowy wieczór nie wypełniały jej hordy hałaśliwych tubylców. Właściciel znał Minora, toteż natychmiast wskazał im przyjemny stolik przy oknie, w wykuszu głównego salonu starej wiktoriańskiej kamienicy, którą zajmował lokal. W restauracji podawano również dobre wino. Syd wiele wiedziała o winach, znała się nawet na rocznikach, ona więc wybrała butelkę doskonałego merlota. Trunek popijali podczas rozmowy.

Sama rozmowa zaskoczyła Darwina. W ciągu ostatnich lat stał się bowiem mistrzem małowiedności, który umiał wspaniale słuchać swego rozmówcy i z łatwością, acz subtelnie zmieniać temat na... dotyczący tej drugiej osoby. Czasem naprawdę go zadziwiało, jak swobodnie skłaniał ludzi do wielogodzinnych opowieści o sobie. Tyle że z Sydney Olson mu się to nie udało. Na jego pytania o swoją przeszłość kobieta odpowiadała krótko i treściwie, w trzech zdaniach zatem streściła swoje lata w Federalnym Biurze Śledczym, a w jednym zaledwie nieudane małżeństwo: „Kevin też był agentem specjalnym, tyle że on nienawidził pracy w terenie, podczas gdy ja uwielbiałam takie zadania i stale o nie zabiegałam”. Po każdym zdaniu na swój temat Syd wypytywała Darwina szczegółowo o jego życie.

– Dlaczego komisja rewizyjna NASA zwolniła cię, gdy powiedziałeś jej członkom, że niektórzy astronauty Challengera przeżyli początkową eksplozję? – spytała, trzymając lampkę z winem w obu rękach. Jej paznokcie, jak zauważył Dar, były krótkie i nie pomalowane.

Posłał jej coś, co Trudy nazwała kiedyś „uśmiechem w stylu Clint Eastwooda”.

– Nie wylali mnie – odparł. – Raczej powołali kogoś innego na moje stanowisko, zanim zdążyłem złożyć cokolwiek na piśmie. Tak czy inaczej byłem tylko młodszym pracownikiem obsługi technicznej.

– No dobrze, a... – naciskała Syd – ...powiedz mi, skąd wiedziałeś, że niektórzy astronauty przeżyli eksplozję i zginęli dopiero w wyniku upadku.

Minor westchnął. Nie widział sensu w drażnieniu tego tematu.

– Jesteś pewna, że chcesz właśnie o tym rozmawiać podczas kolacji?

– No cóż – odrzekła Sydney. – Przypuszczam, że moglibyśmy podyskutować o przeszłym kilkoma prętami zbrojeniowymi ciele biednego pana Phonga, który

wylatuje z ciężarówki isuzu przez przednią szybę, wolałabym wszakże omówić z tobą śledztwo w sprawie Challengerera.

Darwin nie skomentował dokładnego opisu wypadku nieszczęsnego Wietnamczyka. Opowiedział za to krótko o swojej pracy doktorskiej w dziedzinie fizyki.

– Mówimy o plazmie? – upewniła się Syd. – Takiej, jaka powstaje jak wyniku eksplozji?

– Dokładnie o takiej – przyznał Darwin. – Wtedy wiele osób nie rozumiało takich pojęć jak dynamika plazmy czy dynamiczne systemy nieliniowe, ponieważ analityczne użycie matematyki chaosu, czyli to, co dziś nazywa się teorią złożoności, znajdowało się wówczas w powijakach.

– Stałeś się zatem ekspertem od spraw plazmy i chaosu podczas eksplozji? – spytała Sydney.

– I od innych zdarzeń związanych z niezwykle wysokimi temperaturami – dodał Minor.

– Czy jest duży popyt na tego rodzaju specjalistyczną wiedzę na rynku pracy? – zaciekała się.

Dar westchnął i odstawił kieliszek.

– Większy, niż potrafisz sobie wyobrazić. Sporo mówiło się w owym czasie o ładunkach kumulacyjnych. Niech ci opowiedzą Irakijczycy walczący w rosyjskich czołgach, z jaką łatwością amerykańskie sabotowe pociski rakietowe przenikały przez dwudziestocentymetrowy pancerz, po czym wybuchały w środku.

– Nie przypuszczam, żebym miała kogo spytać – odparowała Sydney.

– Zgadza się.

– Więc dołączyłeś do Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu – podsumowała. – Z takim doktoratem miałeś chyba zbyt wysokie kwalifikacje.

– Niestety – powiedział Darwin. – W lotnictwie częściej zdarzają się eksplozje, niż mamy ochotę przyznać. Ktoś taki jak ja prędzej zrozumie ich przyczyny.

– Na przykład katastrofę w Lockerbie – zauważyła Syd. – Albo samolotu linii TWA, lot numer 800.

– Właśnie – przyznał Dar.

Podszedł kelner i sprzątnął talerze, a gdy przyniósł im filiżanki z kawą, Syd powiedziała:

– To dzięki temu trafiłeś do wyższych sfer NTSB i znalazłeś się w sztabie komisji prowadzącej śledztwo w sprawie katastrofy Challengerera. Ale skąd wiedziałeś, że ci astronauta przeżyli eksplozję?

– Nie wiedziałem – odparł Minor. – To znaczy początkowo. Po prostu posiadałem większą wiedzę na temat ludzkiego ciała podczas eksplozji. Wybuch często nie zabija

człowieka, podobnie jak skok z wysokości, gdy nie giniesz w trakcie lotu, lecz...

– Kiedy uderzasz o ziemię – dokończyła Syd.

Dar kiwnął głową.

– Sama eksplozja nie zawsze uszkadza ludzkie ciało, szczególnie ciało astronauty przypiętego do fotela szczelniej niż kierowcy formuły NASCAR, a widziałas, z jak przerażających kraks ci ostatni wychodzą żywi.

Sydney pokiwała głową.

– Uważałeś zatem, że ta biedna nauczycielka i kilku spośród pozostałych przeżyło straszliwą eksplozję olbrzymiego zewnętrznego zbiornika ciekłego tlenu i wodoru Challengera?

– Nie, nauczycielka nie przeżyła – odparł Minor i mimo upływu tak wielu lat poczuł ukłucie smutku. – Wraz z jednym astronautą znajdowała się wówczas na dolnym pokładzie, toteż oboje byli narażeni na pierwszą falę uderzeniową wybuchu. Prawdopodobnie umarli bardzo szybko, o ile nie natychmiast.

– Przedstawiciel NASA stwierdził w swoim oświadczeniu, że wszyscy astronauti na pewno zmarli, nie wiedząc, co ich zabiło – zauważyła Syd.

– Wiem. Wybuch wstrząsnął wszystkimi Amerykanami. Właśnie takie słowa chcieliśmy zatem usłyszeć. Tyle że... już w pierwszych godzinach po eksplozji wiadomo było... z przekazów wideo i radarowych, pokazujących spadające pozostałości Challengera, że główna kabina załogi... ta na górnym pokładzie, że tak powiem... pozostawała nietknięta przez całe dwie minuty i czterdzieści pięć sekund, czyli aż do zetknięcia się szczątków wahadłowca z wodą.

– Całe wieki – mruknęła Sydney i zamgliły jej się oczy. – Ale powiedziałaś, że wiesz...

– Mieli aparaty tlenowe przymocowane do siedzisk – wyjaśnił.

– Każdy swój?

– Tak, niewielkie pojemniki ze sprężonym powietrzem. Zasadniczo są to maleńkie butle z tlenem na wypadek nagłej dekompresji. Pamiętaj, że nie nosili skafandrów kosmicznych... Komisja badająca sprawę Challengera wydała to zalecenie dopiero po przestudiowaniu detali tej tragedii. Z tego też względu John Glenn i wszyscy inni uczestnicy następnych lotów zakładali skafandry, dokładnie tak jak pierwsi astronauty...

– Ale aparaty tlenowe...? – wymówiła te słowa bardzo cicho i bez wścibskiej ciekawości, jaką Darwin słyszał w tonie tak wielu osób mówiących o śmiertelnych wypadkach.

– Znaleziono je wśród szczątków kabiny głównej – odparł. – Właściwie ratownicy odzyskali prawie wszystkie części Challengera. Po katastrofie zrekonstruowano wahadłowiec, tak jak się robi z samolotami pasażerskimi po fackie...

Tak czy owak, okazało się, że pięć tych osobistych aparatów tlenowych używano... Dwie minuty i czterdzieści pięć sekund. Dokładny czas, który minął od eksplozji, aż do zetknięcia się szczątków z powierzchnią oceanu.

Sydney zamknęła na kilka sekund oczy. Kiedy je otworzyła, powiedziała:

– Nie mogły się chyba zużyć automatycznie...

Minor potrząsnął głową.

– Nie, na pewno nie. Zawór trzeba odkręcić ręcznie. Domyśliamy się, że dowódca nie mógł włączyć własnego bez pomocy innych. Pomogła mu zapewne siedząca za nim astronautka... druga kobieta na pokładzie. Odpięła prawdopodobnie własne pasy i wychyliła się ku niemu, aby uruchomić zawór. Wiemy na pewno, że powietrze z jego aparatu zostało zużyte.

– Mój Boże! – powiedziała Sydney. Przez kilka minut pili kawę w milczeniu. – Dar... – zaczęła kobieta. Minor nie potrafił sobie przypomnieć, czy wcześniej wypowiedziała jego imię, teraz jednak zauważył, że je wymówiła, gdyż jej ton był inny niż dotąd. – Dar – powtórzyła – chciałam ci wyjaśnić powody naszego wspólnego wyjazdu do twojego domku. Powiedziałam, że jadę tam cię chronić... Lawrence i Trudy unosili brwi i marszczyli czoła. Musisz wiedzieć, że nie jestem...

– Wiem o tym – przerwał jej, nieco poirytowany.

Syd podniosła rękę.

– Proszę, pozwól mi dokończyć. Mówię ci z góry, że nie szukam romansu i z pewnością nie interesuje mnie w tym momencie seks. Lubię z tobą pożartować, ponieważ masz poczucie humoru bardziej cierpkie niż najbardziej wytrawne wino, ale nie zamierzam grać z tobą w żadne gierki.

– Wiem... – Darwin próbował znów coś powiedzieć, lecz śledcza ponownie mu przerwała, po raz drugi unosząc dłoń.

– Prawie skończyłam – podjęła bardzo cicho. Przy najbliższych stolikach nie było klientów, a kelner znajdował się na drugim końcu sali. – Dickweed naprawdę chciał postawić ci zarzut spowodowania umyślnego wypadku...

– Żartujesz – obruszył się Dar. – Nawet po obejrzeniu nagrania na wideo?

– Zwłaszcza po obejrzeniu nagrania – odrzekła z naciskiem. – Tego rodzaju sprawę nawet taki dupek jak Dickweed potrafiłby wygrać. Oczywiście napaść na drodze...

– Ja na nich napadłem?! – krzyknął Minor, szczerze rozgniewany. – Strzelali do mnie zabójcy z mafii rosyjskiej. Znalezione przecież we wraku ich cholernego mercedesa broń automatyczną. A poza tym... ten cały fenomen o nazwie „furia drogowa” czy „napaść na drodze” to kompletna bzdura i doskonale o tym wiesz, moja droga. Dziś procent napaści na drogach nie jest wcale wyższy niż dwie dekady temu...

Usiłując go uspokoić, Sydney zamachała teraz obiema rękoma.

– Tak, tak... Wiem o tym, wiem. „Furia drogowa” to po prostu termin, którego lubią używać spikerzy telewizyjnych programów informacyjnych, nawet nie sprawdzając faktów. Tyle że Dickweed mógłby ci postawić ten zarzut, choćby właśnie dlatego, że napaści na drogach są obecnie popularnym tematem, więc zyskałby zainteresowanie telewizji.

– Tak, jasne, ja na nich napadłem – mruknął Dar i wypił kilka łyków kawy, wyraźnie starając się ugryźć w język, ażeby nie powiedzieć, co myśli o zastępcy prokuratora okręgowego i jego politycznych ambicjach.

– W każdym razie – kontynuowała Syd – przechytrzyłam ich wszystkich, powiedziałam im bowiem, że zamierzam cię wykorzystać jako... hm... coś w rodzaju przynęty. Dzięki tobie pragnę zdemaskować duży gang oszustów, którego istnienie podejrzewamy od jakiegoś czasu. Dickweed i jego szef zrozumieli, że odkrycie takiego przestępstwa jest ważniejsze i... bardziej spektakularne niż ujawnienie kolejnego przypadku rzekomej furii drogowej. Fakt ten jednak oznacza, że albo musisz pozostawać pod stałym nadzorem, albo nałożymy na ciebie areszt zapobiegawczy...

– Albo ty mnie będziesz pilnować – dokończył Darwin.

– Właśnie – zgodziła się. Znowu przesiedzieli kilka minut w zupełnej ciszy, po czym Sydney oświadczyła: – I wiem o wypadku w Fort Collins. – Minor popatrzył na nią bez słowa. Właściwie nie był zaskoczony, że miała dostęp do wszystkich akt, a jego przeszłość sprawiła mu prawdziwy ból wzmianka o zdarzeniu, o którym nie rozmawiał absolutnie nigdy i absolutnie z nikim. – Wiem, że to nie moja sprawa – powiedziała głosem jeszcze cichszym niż przedtem – ale przeczytałam w raporcie, że wezwano cię na miejsce katastrofy. Jak to możliwe? Jak mogli zrobić ci coś takiego?!

Mięśnie wokół ust Darwina skurczyły się, a jego twarz wykrzywiła się w osobliwej imitacji uśmiechu.

– Nie wiedzieli, że tym samolotem leciała... moja żona i maleństwo. Widzisz... moja żona planowała powrót do Waszyngtonu dopiero następnego dnia, ale jej matka poczuła się lepiej... szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał. Dlatego postanowiła wrócić dzień wcześniej.

Zapanowała cisza, którą przerwał głośny wybuch śmiechu od strony barku. Jakaś młoda para akurat wychodziła. Trzymali się za ręce.

– Nie musisz o tym mówić – szepnęła Sydney.

– Wiem, że nie muszę – odparł Dar. – I nigdy o tym nie rozmawiam. Nawet z Larrym i Trudy, chociaż oboje znają podstawowe fakty. Po prostu odpowiadam na twoje pytanie... – Kobieta skinęła głową. – Więc tak... Moja żona i dziecko mieli przylecieć następnego dnia... jednak wsiedli w ten wcześniejszy samolot i znaleźli się

na pokładzie boeinga 737, który spadł na przedmieściach Fort Collins, wbijając się dziobem w ziemię...

– A ciebie wezwano – dodała Syd.

– Byłem wtedy pracownikiem NTSB, członkiem zespołu, który pracował w okolicach Denver – wyjaśnił pozbawionym emocji tonem. – Badaliśmy przyczyny wszystkich wypadków w regionie, czyli w sześciu stanach. A Fort Collins znajduje się zaledwie nieco ponad sto dziesięć kilometrów od Denver.

– Tyle że... – zaczęła Sydney, lecz się powstrzymała, po czym zagapiła się w resztki kawy w swojej filiżance.

Dar potrząsnął głową.

– Na tym polegała moja praca... oglądałem wraki samolotów. Na szczęście ktoś w biurze w Denver spojrział na listę pasażerów lotu i zauważył imię mojej żony. Natychmiast zawiadomili szefa mojego zespołu. Od pół godziny byłem już wtedy na miejscu wypadku... Gdzie zresztą nie było zbyt dużo do oglądania. Jak ci wspomniałem, boeing zarył dziobem w ziemię. Lej wokół samolotu miał głębokość sześciu, a średnicę osiemnastu metrów. Wszędzie leżało sporo zwykłych dla takiej katastrofy przedmiotów: buty... zawsze jest mnóstwo butów... tu spalony miś, tam zielona torebka... Tylko że większość ludzkich szczątków musieli wydobywać archeolodzy...

Syd podniosła na niego wzrok.

– Był to zresztą jeden z nielicznych wypadków, których NTSB nie rozwiązała... To znaczy nie znaleziono jednoznacznej i bezpośredniej przyczyny...

– Tak, ściśle rzecz biorąc, ta katastrofa należała do czterech nierozwiązanych zagadek, licząc samolot linii TWA, lot numer 800 – przyznał cicho Darwin. – Podejrzewano nagłą lokalną zmianę wiatru. FAA, czyli Urząd Lotnictwa Cywilnego, zalecił zmianę w ustawieniach sterowniczych boeingów 737 dopiero po... Niczym nie potrafiliśmy uzasadnić takiej nagłej i kompletnej utraty kontroli pilota. Kiedy mnie powiadomiali, akurat rozmawiałem z nastolatką która mieszkała w bloku mieszkalnym tuż obok parku, na który runął samolot. No i ta dziewczyna powiedziała mi, że wyglądała akurat przez okno swojego mieszkania na czwartym piętrze i widziała twarze osób w samolocie... Siedzieli głowami do dołu, ponieważ boeing spadał w pozycji pionowej, czyli dziobem w ziemię. Podobno szczegółowo widziała twarze pasażerów, gdyż było już po zmroku i ludzie zapalili sobie światełka do czytania...

– Przestań, proszę cię – jęknęła Sydney. – Wybacz, że zaczęłam ten temat.

Darwin milczał przez chwilę. Odniósł wrażenie, że wraca z jakiejś dalekiej podróży. Tak się w każdym razie czuł. Patrzył na siedzącą przed nim kobietę i uświadamiał sobie z szokiem, że krzyknęła.

– W porządku – zapewnił ją, zwalczając pragnienie pogładzenia Syd po ręce, którą położyła na białym obrusie. – W porządku, naprawdę. Od tej pory minęło sporo czasu.

– Dziesięć lat to nie jest wystarczająco długo – odszepnęła kobieta. – Nie w przypadku takiej tragedii. – Odwróciła się do okna i dwoma gniewnymi ruchami ręki starła łzy.

– Rzeczywiście – zgodził się z nią Dar.

Spojrzała na niego ponownie. Wydało mu się, że jej niebieskie oczy wnikają nieskończenie głęboko w jego umysł.

– Mogę spytać o jedną rzecz?

Minor kiwnął głową.

– Dopiero dwa lata po katastrofie odszedłeś z NTSB i przeprowadziłeś się do Kalifornii – powiedziała. – Jak mogłeś... zostać? Kontynuować tę robotę?

– To była moja praca – odparł Darwin. – Byłem w tym dobry.

Sydney Olson bardzo nieznacznie się uśmiechnęła.

– Przeczytałam całe twoje akta, Dar. Wciąż jesteś najlepszym w kraju specjalistą od rekonstrukcji wypadków. Po co zatem współpracujesz ze Stewart Investigations? Wiem, że jesteś całkiem niezłe sytuowany i nie potrzebujesz wielkiej pensji... Ale dlaczego Lawrence i Trudy?

– Lubię ich – odparł. – Larry doprowadza mnie do śmiechu.

Do domku Minora przybyli tuż po zachodzie słońca. Zmierzch wisiał w cichym letnim powietrzu jak mało wyrazisty gobelin. Niewielki dom Darwina znajdował się na końcu kilkunastometrowej drogi zwirowej, na południowy wschód od miasteczka Julian, na skraju Rezerwatu Cleveland. Z okien domku rozciągał się widok na rozległe łąki i szerokie, porośnięte trawą doliny na południu. Ponad domem i za nim, aż do skalistego wierzchołka, gęsto rosły sosny żółte i daglezie zielone.

Syd rozglądała się z podziwem.

– Niesamowite! – wołała. – Używałeś określenia „domek”, więc wyobraziłam sobie zbite z sobą kłody i biegające wokół myszy.

Minor zerknął na zadbaną budowlę z kamienia i drewna sekwojowego, okoloną gankiem z widokiem na południe.

– Nie jest stary – odparł. – Ma dopiero sześć lat. Kupiłem tę posiadłość, gdy po raz pierwszy tu przyjechałem. Najpierw mieszkałem w starym wozie służącym do przewozu owiec...

– W wozie służącym do przewozu owiec? – spytała Sydney.

Dar skinął głową.

– Zaraz zobaczysz.

– I założę się, że ten dom zbudowałeś sam.

– Nie bardzo. – Dar zachichotał. – Mam dwie lewe ręce, jeśli chodzi o młotek czy piłę. Większość prac wykonał miejscowy budowniczy... siedemdziesięcioletek nazwiskiem Burt McNamara.

– Mój Boże – zawołała Syd, podchodząc do otwartego ganku przed budynkiem. – Masz nawet jacuzzi.

– Tak, to bardzo przyjemne urządzenie. A stąd jest wspaniały widok. W zimną noc można usiąść w gorącej wodzie i patrzeć na światła w indiańskim rezerwacie, tam, po drugiej stronie doliny.

Otworzył frontowe drzwi i odsunął się na bok, przepuszczając kobietę jako pierwszą.

– Rozumiem, dlaczego nie masz... zbyt często... gości – mruknęła cicho.

Ostatnie promienie wieczornego światła oświetlały jeden duży pokój. Dar nie podzielił domu (wydzielił jedynie łazienkę) i tylko grupki mebli oraz dywany różniły jeden obszar od innego. Większość ścian zastawiono półkami z książkami, choć gdzieś tam wisiały też ogromne oryginalne plakaty francuskie – jeden z nich reklamował jakieś akcesoria dla wędkarzy, prezentując wędkarkę łapiącą z kanoe pstrąga; obraz stylizowany był na lata dwudzieste: czarnobiały, wykonany charakterystyczną śmiałą kreską. W południowo-wschodnim narożniku, pod kwadratowymi oknami o trzydziestocentymetrowym boku, stało duże biurko w kształcie litery „L”. Widok z tego miejsca był wprost zniewalający. Zresztą cała wschodnia ściana składała się z pięknie zaciemnionych zapadającym zmierzchem okien. Większą część zachodniej ściany zajmował olbrzymi kominek, w pobliżu stało kilka wygodnych skórzanych foteli i kanap do siedzenia, a także pojedyncze łóżko, przykryte kocem marki Hudson’s Bay i ustawione tuż za długą kanapą.

– Lubię obserwować ogień z łóżka – wyjaśnił Darwin.

– Jasne – mruknęła Syd.

Minor postawił torby, po czym zdjął dwie latarnie z haków na ścianie.

– Chodź, pokażę ci twoje miejsce w wozie.

Wprowadził ją na ganek. W coraz bardziej gęstniejącym mroku przeszli jakieś trzydzieści metrów dobrze utrzymaną ścieżką, wzdłuż której w sześciometrowych odstępach stały półmetrowe latarenki z białego kamienia o wyglądzie dalekowschodnich pagód. Dar i Sydney pokonali mały brzozy zagajnik, po czym znaleźli się na porośniętej bujną trawą polanie. Stał tam wóz.

Wóz był stary i być może kiedyś rzeczywiście służył do przewozu zwierząt, teraz jednak został odnowiony, obudowany drewnem i szkłem oraz dodatkowo wyposażony

w mały ganek, siatkowe drzwi, a od strony południowej także w płócienną markizę. Obok niego ustawiono kilka krzeseł w stylu Adirondack; wszystkie obrócono w stronę widoku jeszcze bardziej nieprawdopodobnego niż ten rozciągający się z domku.

Minor przepuścił Syd i kobieta weszła po czterech stopniach, otworzyła drzwi i wkroczyła do niewielkiego pomieszczenia.

– To chyba najprzytulniejszy pokój, jaki w życiu widziałam – oświadczyła.

Wóz miał zaledwie pięć i pół metra długości oraz dwa metry szerokości, ale przestrzeń wykorzystano z dużą pomysłowością. Po prawej stronie mieściła się mała toaleta, na ścianie północnej, pod oknem – niewielki zlew, na południowej „część jadalna” w postaci barowego stolika połączonego z ławką, całą zachodnią zaś zajmowało przymocowane do ściany łóżko pod półkulą starych szybek okiennych. Niski kopulasty sufit połyskiwał, ponieważ wyłożono go pomalowanymi na kolor miodu drewnianymi listewkami. Do ścian przybito różne kołki i haki; na dwóch z nich Dar powiesił przyniesione latarnie. Wysokie łóżko wyglądało na bardzo wygodne, szczególnie dzięki leżącej na nim domowej narzucie utworzonej z pozszywanych kwadratów i ułożonych na obu końcach ogromnych poduszek. Szuflady wsuwały się w boazerię pod materacem.

– Nie ma tu niestety prądu – wyjaśnił Darwin – jest jednak woda, gdyż działa instalacja wodno-kanalizacyjna. Pociągnęliśmy linię od tego samego zbiornika, z którego korzysta domek. Obawiam się, że nie będziesz miała prysznica ani wanny... wiesz, nie było miejsca... ale nie krępuj się używać dużego prysznica w domku.

– Czy twój pan McNamara przebudował także ten wóz? – spytała Syd, siadając na drewnianej ławce i popatrując przez maleńkie okna na ostatnie minuty zachodu słońca. Dzięki niewielkiej przestrzeni w wozie można się było czuć jak pod pokładem bardzo małej, lecz przytulnej łodzi.

Dar potrząsnął głową – My... to znaczy moja żona i ja zbudowaliśmy go latem przed katastrofą. W magazynie „Architectural Digest” przeczytaliśmy artykuł o pewnej ekipie z Montany. We trzech – projektant wnętrz, stary ranczer i budowlaniec – skupowali stare baskijskie wozy służące niegdyś do przewozu owiec i przerabiali je w takie... hm... przyczepy. Zamówiliśmy więc u nich taki wóz, który przerobili według naszego projektu, a później rozmontowali, wysłali do Kolorado i tam znów zmontowali. Identycznie postąpiłem z wozem, kiedy przeprowadzałem się tutaj.

Sydney popatrzyła na niego z uwagą.

– Używaliście go kiedykolwiek... we troje?

Darwin znów zaprzeczył.

– Kupiliśmy posiadłość w Górach Skalistych niedaleko Denver, tyle że było to tej

zimy, kiedy urodził się David, a potem... no cóż, jednym słowem, nigdy nie zdążyliśmy w tym wozie pomieszkać.

– Ty jednak w nim zamieszkałeś – zauważyła Sydney. – Tutaj. Zupełnie sam. Minor skinął głową.

– Tyle że miałem coraz więcej pracy w weekendy – dodał. – A ponieważ pracowałem głównie na komputerze, wolałem zbudować domek, niż doprowadzać do wozu elektryczność.

– Dobry wybór – oceniła Syd.

– Czysta pościel i poszewki na poduszki są w szufladach pod łóżkiem. – Dar zmienił temat. – Tam też leżą czyste ręczniki. I nie ma tu myszy. Byłem tutaj w ostatni weekend i wszystko dokładnie posprzątałem.

– Nie przejęłabym się myszami – odparła kobieta.

Darwin otworzył szufladę, wyjął pudełko długich kuchennych zapalek i zapalił latarnie. Stare drewno natychmiast rozjarzyło się słodkim, miodowym ciepłem – wszędzie, a w szczególności na kopulastym suficie.

– Dwupalnikowy piecyk jest na propan-butan – powiedział Minor. – Taki, jakie mieliśmy na obozach. Nie ma lodówki, toteż łatwo psujące się produkty trzymam w domku. Latarnie są bezpieczne, więc możesz je zostawić włączone, nawet kiedy wyjdiesz, wtedy jednak weź latarkę. – Otworzył kolejną szufladę, wyjął z niej latarkę i położył ją na łóżku. Ruszył do drzwi. – Kiedy się już rozgościsz, zapraszam do domku na gorącą herbatę. O ile tylko masz ochotę.

– Nadal zostało nam mnóstwo akt do przejrzenia – odparła Syd. Dar skrzywił się. – No dobrze, idź już, idź – dodała. – Zgodnie z twoją radą rozgoszczę się w tej cudownej małej chatce, posiedzę tu sobie przez chwilę, a potem przyjdę.

Darwin wziął kilka zapalek.

– Zapalę latarnie na dworze, więc będzie jasno.

W odpowiedzi kobieta uśmiechnęła się bez słowa.

Zjawiała się w domku dopiero godzinę później, przebrana z eleganckiego kostiumu w dzinsy, flanelową koszulę i sportowe buty. W kaburze przy pasku miała pistolet, kaliber dziewięć milimetrów.

Na dworze zapadły już kompletne ciemności, a w powietrze zaczął wpełzać typowy dla górskich regionów wieczorny chłód. Minor rozpalił ogień w ogromnym kominku i włączył stary magnetofon szpulowy, na którym odtwarzał taśmy z muzyką klasyczną. Nie pomyślał wcześniej o selekcji, po prostu włączył taśmę, która już leżała na szpulach – tak jak robił zwykle po przyjeździe do domku. Miał na tej taśmie

zestaw pięknych kawałków: *Adagietto*, część czwartą *Piątej Symfonii* Mahlera, drugą część *Drugiego Koncertu Fortepianowego* Brahmsa, drugą część *Siódmej Symfonii* Beethovena, trzecią i czwartą część *Symfonii Włoskiej* Mendelssohna, *Andante* z *Koncertu na skrzypce i orkiestrę*, opus 64 Mendelssohna w wykonaniu Kyoko Takezawy, dwa utwory *Kyrie Eleison* – jeden z *Missa solemnis* Beethovena, drugi z *Requiem* Mozarta, kilka utworów fortepianowych w wykonaniu Mitsuko Uchidy i Vladimira Horowitza (łącznie z Darwina ulubionym, etiudą cis-moll opus 2, numer 1 Skriabina z nadzwyczajnego albumu *Horowitz w Moskwie*), arie operowe nagrane przez Ying Huang z Londyńską Orkiestrą Symfoniczną oraz lżejsze kawałki, które ta sopranistka nagrała z oboistą Heinzem Holligerem i orkiestrą.

W ostatniej sekundzie Dar wystraszył się jednak, że oficer śledcza uzna, że usiłował narzucić romantyczny nastrój, z jej miny natychmiast wszakże wywnioskował, że naprawdę lubiła muzykę poważną.

– Mozart – powiedziała, słuchając wspaniałego wykonania *Requiem*. Kiwnęła głową, po czym podeszła do Darwina i przyłączyła się do niego przy ogniu, zajmując drugi fotel naprzeciwko.

– Masz ochotę na gorącą herbatę? – spytał. – Może być zielona, miętowa, śniadaniowy earl grey, czarny lipton...

Syd przeniosła wzrok ku zabytkowemu barkowi przy kuchennym kontuarze.

– Czy nie stoi tam butelka macallana? – odpowiedziała pytaniem.

– Rzeczywiście – przyznał Dar. – Prawdziwa słodowa szkocka.

– Jest prawie pełna – zauważyła Sydney.

– Nie lubię pić sam.

– Ja uwielbiam whisky – zwierzyła się.

Darwin podszedł do kontuaru, wyjął z kredensu dwie kryształowe szklanki do whisky i nalał do każdej nieco szkockiej.

– Z lodem? – zapytał.

– Do dobrej słodowej? – zdziwiła się Sydney. – Jeśli się zbliżysz do kostki lodu, to się obrażę.

Minor skinął głową i wrócił przed kominek. Bursztynowy płyn w szklaneczkach pięknie połyskiwał. Przez kilka minut oboje siedzieli w milczeniu i delektowali się doskonałą whisky.

Zaskoczony Dar uprzytomnił sobie nagle, że towarzystwo tej kobiety sprawia mu ogromną przyjemność i że pojawiło się między nimi lekkie, tym niemniej rosnące fizyczne napięcie – a może tylko świadomość napięcia. Myśl ta naprawdę go zaszokowała, gdyż we własnej opinii zawsze różnił się w poglądach na te sprawy od większości mężczyzn. Mógłby się oczywiście podniecić na widok nagiej kobiety, nieobce było mu także pożądanie towarzyszące erotycznym snom. Pomijając zwykle

fizyczne pobudzenie, do prawdziwego, głębokiego podniecenia potrzebował jednak czegoś więcej niż tylko nagości partnerki. Jeszcze zanim spotkał swoją żonę, nigdy nie pojmował, jak można pragnąć osoby, której się nie zna, nie rozumie, nie...

A później pokochał Barbarę. Zapragnął Barbary. Kochał jej twarz, głos, rude włosy, niewielkie piersi, różowe sutki, rudawe włosy łonowe i jasną karnację – wszystkie te elementy razem składały się na jego miłość, wszystkie one stały się źródłem jego uczucia, troski i pożądania. Podczas dekady, która upłynęła od śmierci żony, odnosił wrażenie, że coraz bardziej się odsuwa od znalezienia kogoś podobnego i coraz bardziej oddala się od niego możliwość pocucia pożądania drugiej osoby. Teraz wszakże sączył whisky i nie mógł wprost oderwać wzroku od łagodnie oświetlonej blaskiem ognia Syd Olson, która siedziała naprzeciwko niego wygodnie rozparta w klubowym fotelu, z pledem za głową. Zauważył kształt jej piersi pod koszulą, oczy błyszczące ponad połyskującym kryształem szklaneczki ze szkocką i...

– ...to wszystko przypomina? – pytała kobieta.

Dar potrząsnął głową – dosłownie – aby pojąć sens jej słów.

– Przepraszam – bąknął w końcu. – Co mówiłaś?

Sydney rozejrzała się po rozjarzonym pokoju. Małe halogenowe lampki oświetlały półki z książkami i dzieła sztuki. Światło ognia odbijało się w licznych oknach. Jedna z biurowych lamp obrzucała kręgiem światła stół do pracy na drugim końcu długiego pokoju.

– Spytałam, czy wiesz, co mi to wszystko przypomina?

– Nie – odparł cicho Minor. Jego ciałem wciąż targały fale seksualnego i emocjonalnego pobudzenia, poza tym ogarnęło go nieodparte uczucie, że Syd powie za chwilę coś, co ich do siebie zbliży, a następnie odmieni na zawsze ich życie. Czy tego chciał, czy nie. – Co ci to wszystko przypomina?

– Och, jeden z tych głupich filmów akcji, w którym gliniarzowi zlecono opiekę nad jakimś świadkiem, więc policjant wywozi nieszczęśnika gdzieś daleko w las, z dala od wszelkiego wsparcia. Wiesz, instalują się w domu pełnym wielkich okien, jakby sami chcieli ułatwić robotę snajperowi – tłumaczyła Sydney. – A potem nagle gliniarza kompletnie zaskakuje odkrycie, że ktoś do nich strzela. Widziałeś Kevina Costnera i Whitney Houston w *Bodyguardzie*?

– Nie – odrzekł Dar.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Durne filmidło. Scenariusz został pierwotnie napisany dla Steve'a McQueena i Diany Ross... taka obsada chyba bardziej by mi odpowiadała. Steve McQueen na ekranie przynajmniej udawał, że myśli. – Darwin przełknął ślinę i nic nie powiedział. Jego towarzyszka również milczała przez chwilę. Wyglądała na zatopioną w myślach. W końcu wzruszyła ramionami. – Trzymasz jakąś broń w domku?

– Masz na myśli pistolet?

– Na przykład.

– Nie – odparł i natychmiast skojarzył paradoks. Choć bowiem właściwie powiedział prawdę, w jakimś sensie równocześnie okłamał swą rozmówczynię.

– Z twoich wcześniejszych komentarzy wywnioskowałam, że jesteś przeciwnikiem broni palnej.

– Uważam broń za zgubę Ameryki i jej powód do wstydu – wyjaśnił stanowczo. – Nasz najgorszy grzech od czasów niewolnictwa.

Syd pokiwała głową.

– Ale nie obrazisz się, jeśli zatrzymam swój pistolet?

– Och, ty przecież uosabiasz prawo – odrzekł. – Jesteś przedstawicielką organów ścigania. Powinnaś nosić broń.

Sydney znów pokiwała głową.

– Powiedz mi jednak... Nie masz nawet żadnej broni myśliwskiej? Dubeltówki? Strzelby?

Minor ponownie zaprzeczył.

– Nie w domku. Mam gdzieś na zewnątrz jakąś starą broń...

– Wiesz, jaka jest najlepsza do obrony domu? – spytała Syd. Wypiła łyk whisky, po czym przez moment siedziała nieruchomo, trzymając szklaneczkę w obu rękach.

– Duży pitbull? – zaryzykował Dar.

– Nie. Wielostrzałowa broń myśliwska. Niezależnie od kalibru.

– Cóż, trafienie kogoś z dubeltówki nie wymaga dużej praktyki w strzelaniu do celu – zgodził się Dar.

– Nie tylko o to chodzi – ciągnęła kobieta. – Odgłos samopowtarzalnej strzelby trajkoczącej w ciemnym domu jest absolutnie niesamowity. Byłbyś zdumiony odstrasającym efektem, jaki ten dźwięk może wyrzucić na włamywaczach i innych intruzach.

– Intruzach – powtórzył Dar, sylabizując słowo. – No cóż, jeśli odgłos trajkoczącej strzelby jest taki ważny, w ogóle nie trzeba jej łądować, prawda? – Syd nie odpowiedziała, lecz wnosząc z jej miny, bez wątpienia pogardzała pomysłem trzymania w domu nie naładowanej broni. – Właściwie – dodał Minor – wystarczyłoby głośne nagranie trajkoczącej strzelby, zgadza się?

Sydney odstawiła szklanę i podeszła do biurka Darwina. Na blacie leżało niewiele luźnych kartek, za to stało sporo niezwykłych przycisków do papieru – małe denko tłoka, czaszka jakiegoś małego mięsożercy, szklana kula z Goofym wśród płatków śniegu i jeden zielony nabój do strzelby.

– Kaliber .410. Ma jakieś znaczenie?

Darwin wzruszył ramionami.

– Miałem kiedyś myśliwskiego savage'a kaliber .410 – wyjaśnił cicho. – Prezent. Dał mi go tuż przed śmiercią mój ojciec. Strzelba była prawdziwym antykiem. Zostawiłem ją w Kolorado.

Syd odwróciła nabój i przypatrzyła się mosiężnej końcówce.

– Nie został wystrzelony, chociaż ktoś próbował. Tyle że iglica nie trafiła w spłonkę, nieco się osunęła.

– Zdarzyło mi się to, gdy ostatnim razem próbowałem strzelać z tej broni – przyznał Minor jeszcze ciszej.

– Po raz pierwszy wówczas strzelba nie wypaliła. Sydney stała nieruchomo, trzymając w dłoni nabój i patrząc na Darwina przez długą chwilę, w końcu odłożyła zielony przedmiot na parapet okienny.

– Ten nabój wciąż jest niebezpieczny, wiesz o tym?

– Dar uniósł brwi. – Wiem z twoich akt, że walczyłeś w Wietnamie... W marines. Chyba byłeś wtedy strasznie młody.

– Nie taki wcale młody – odparł Minor. – Ukończyłem college, a później się zaciągnąłem. Wysłali mnie w 1974. Poza tym, w ostatnim roku niewiele mieliśmy do roboty oprócz słuchania wojskowego radia, w którym bez końca opowiadano o aferze Watergate. Albo chodziliśmy po okolicy, szukając M-16 i innej broni, którą porzucali w trakcie ucieczki żołnierze armii północnowietnamskiej.

– Skończyłeś college jako osiemnastolatek – stwierdziła Syd. – Czyżbyś był... cudownym dzieckiem?

– Nie, po prostu zdobywałem niezłe oceny – odparł Dar.

– Dlaczego wstąpiłeś do piechoty morskiej? – naciskała.

– Uwierzysz, jeśli ci powiem, że z sentymentu? – odpowiedział pytaniem Minor.

– Mój ojciec był w marines, walczył w prawdziwej wojnie... w II wojnie światowej.

– Wierzę, że twój ojciec był w marines – mruknęła – nie wierzę jednak, że akurat z tego powodu wstąpiłeś do wojska.

„Zgadza się” – pomyślał Darwin, ale na głos powiedział:

– Wiesz, z jednej strony chciałem po prostu swoje odsłużyć, mieć z głowy wojsko, wrócić do Stanów i zacząć studia, z drugiej zaś strony zaciągnąłem się z czystej przekory.

– Jak to? – spytała Sydney. Wypiła już swoją szkocką, więc Dar nalał jej kolejnego drinka, napełniając szklankę na dwa palce.

Zawahał się, po czym zdał sobie sprawę, że zamierza powiedzieć jej prawdę... w każdym razie coś w rodzaju prawdy.

– Jako dziecko miałem obsesję na punkcie starożytnych Greków – zaczął. – Interesowałem się ich historią i kulturą przez cały college, nawet kiedy pisałem pracę z fizyki. Wszyscy studenci, którzy specjalizowali się w naukach humanistycznych,

uczyl się o starożytnych Atenach... wiesz, rzeźby, demokracja, Sokrates... Moja obsesja natomiast dotyczyła Sparty.

Kobieta popatrzyła na niego porozumiewawczo.

– Ciekawiła cię wojna?

Darwin potrząsnął głową.

– Nie, nie, nie wojna, chociaż uważamy Spartan przede wszystkim za wojowników. Byli też jedynym znanym mi społeczeństwem, które badało strach. To oni odkryli fobie. Ich szkolenie... które rozpoczynali w bardzo młodym wieku... skupiało się między innymi na rozpoznaniu strachu, z greckiego *fobos*, i pokonywaniu go. Odkryli nawet, że niektóre części ciała są *fobosynakteres*, czyli kumulują strach, i uczyli młodych mężczyzn, przyszłych wojowników, wprowadzać się w umysłowy i cielesny stan zwany *afobia*.

– Czyli nieustraszoneści – przetłumaczyła Syd.

Dar zmarszczył brwi.

– I tak, i nie – odrzekł. – Istnieją różne formy waleczności. Nordycki berserk albo japoński samuraj po prostu wpadali w ślepy szał bojowy. Albo pomyśl na przykład o palestyńskim terrorysty z bombą. Ci ludzie są naprawdę nieustraszeni, co oznacza, że nie boją się o własne życie. Spartanie jednakże pragnęli czegoś więcej.

– Jaka cecha może być bardziej przydatna dla wojownika niż absolutny brak lęku? – spytała Syd.

– Brak lęku wywołany przez wściekłość lub gniew Spartanie nazywali *katalepsis* – wyjaśnił Dar. – Dosłownie słowo to oznacza opętanie przez demona lub po prostu utratę kontroli przez umysł. Spartanie pogardzali tym stanem. *Afobia*, do której dążyli, była czymś innym, działaniem opanowanym, ukierunkowanym, kontrolowanym... Nawet w samym środku bitwy nie dawali się pochłonać szaleństwu...

– A ty nauczyłeś się tego w marines... W Wietnamie?

– Nie. W każdej sekundzie, którą spędziłem w Wietnamie, towarzyszyło mi śmiertelne przerażenie.

– Często widziałeś tam działania wojenne? – naciskała Sydney, przypatrując mu się z uwagą. – Twoje akta związane z tamtym okresem nadal są poufne. Fakt ten musi chyba coś oznaczać.

– Nic nie znaczy – skłamał. – Gdybym na przykład był wojskowym pisarzem i przepisywał dużo tajnych materiałów, do dziś w ogóle nie otrzymałabyś dostępu do moich plików.

– A byłeś wojskowym pisarzem?

Dar wpatrzył się zawartość trzymanej w obu dłoniach szklanicy ze szkocką.

– Nie przez cały czas.

– Byłeś więc świadkiem walk?

– Widziałem wystarczająco wiele rzeczy, których na pewno nigdy więcej nie chciałym zobaczyć – wyjaśnił zgodnie z prawdą.

– Dobrze sobie radzisz z bronią – zauważyła, zmiernając do sedna. Darwin skrzywił się i wypił duży łyk whisky. – Jakiego rodzaju karabiny mieliście w marines? – spytała.

– Różne – odparł. Nie miał ochoty rozmawiać o broni palnej.

– Zatem M-16 – podsumowała Syd.

– Którym to M-16 zdarzało się zacinać, jeżeli nie zostały idealnie wyczyszczone – mruknął nieco nieszczerze. Nie poznał zresztą w Wietnamie M-16. Jego obserwator strzelał z wyborowej wersji M-14, czyli starszego typu, do którego pasowały pociski kaliber 7,62 milimetra; tych samych używały samopowtarzalne karabiny Remington 700 M40, na których szkolił się Minor. A szkolenie przeszedł staranne – oddawał sto dwadzieścia strzałów dziennie, sześć dni w tygodniu, aż trafiał ruchomy cel wielkości człowieka z pięciuset metrów, a nieruchomy cel tej samej wielkości z kilometra. Dopił szkocką. – Jeśli próbujesz wcisnąć mi pistolet, nie wysilaj się, moja droga. Nienawidzę broni i już.

– Nawet wtedy, kiedy usiłuje cię zabić rosyjska mafia?

– Raczej już próbowali mnie zabić i im się nie udało – poprawił ją Dar. – Poza tym ciągle uważam, że pewnie pomylili mnie z kimś innym.

Kobieta pokiwała głową.

– Ale umiesz się obchodzić z bronią – naciskała. – Nauczono cię, co trzeba zrobić, jeśli pocisk nie wypali...

Minor przypatrywał jej się przez chwilę.

– Wycelować broń w bezpieczny, neutralny cel i czekać. Karabin może bowiem w każdej chwili wypalić bez ostrzeżenia.

Sydney wskazała na nabój do czterystadziesiątki.

– Czy nie powinniśmy go wyrzucić?

– Nie – odparł Darwin.

Dopijali ostatnią szklaneczkę whisky i patrzyli w ogień. W pokoju unosił się aromatyczny dym, zmieszany z ostrym zapachem whisky. Towarzyszące im obojgu na początku rozmowy napięcie teraz prawie zniknęło. Gawędzili swobodnie o sprawach zawodowych.

– Słyszałeś o wytycznej ostatniego członka rady Amerykańskiej Agencji do spraw Bezpieczeństwa Ruchu na Autostradach? – zapytała Syd.

Minor zachichotał.

– Oczywiście. Od tej pory nie wolno nam używać słowa „wypadek” ani w żadnych oficjalnych raportach, ani w korespondencji, ani nawet we własnych notatkach.

– Czy taka wytyczna nie wydaje ci się trochę dziwna?

– Bynajmniej – odparł Darwin. W tym momencie w kominku pękła głośno kłoda i skruszyła się w rozżarzone drzazgi. Dar zerknął na sekundę w tamtą stronę, po czym wrócił spojrzeniem do swojej towarzyszki. W blasku ognia twarz Syd wydawała się młodsza i łagodniejsza, a jej żywe, inteligentne oczy połyskiwały wesoło. – Musisz zrozumieć ich podejście – stwierdził. – Ich zdaniem każdego wypadku można uniknąć. A zatem żaden nie powinien się wydarzyć. Dlatego nie wolno nam używać słowa „wypadek”... ponieważ w jakimś sensie wypadki po prostu nie istnieją. Trzeba użyć omówienia i nazwać całe zdarzenie kraksą, zajściem albo jeszcze inaczej.

– Zgadzasz się ze stwierdzeniem, że każdego wypadku można uniknąć? – wtrąciła Sydney.

Dar zaśmiał się serdecznie.

– Każdy, kto kiedykolwiek badał... czy to katastrofę wahadłowca kosmicznego, czy też zwykłą stłuczkę spowodowaną przez biednego kretyna, który ruszył na żółtym świetle, toteż ktoś przypadkiem na niego najechał... wie, że tych wypadków nie można było uniknąć. Mało tego, one były wręcz nieuniknione!

– Jak to? – spytała Syd.

Dar przez chwilę patrzył na nią bez słowa.

– Po prostu się zdarzyły. Prawdopodobieństwo serii zdarzeń, które doprowadziły do danego wypadku, może wynosić tysiąc do jednego albo milion do jednego, kiedy jednak wszystkie te zdarzenia dojdą do skutku... we właściwej kolejności, wypadek będzie w stu procentach nieunikniony. – Kobieta skinęła głową, chociaż nie wyglądała na przekonaną. – W porządku – podjął Minor – weźmy na przykład katastrofę Challengera. NASA okazała się w nim swego rodzaju nieostrożnym kierowcą, który rusza na żółtym świetle. Taki manewr może się udać raz, pięć razy, a może nawet dwadzieścia pięć razy... zatem dość szybko dochodzi się do wniosku, że jest naturalny i bezpieczny. Jeśli jednak ciągle go powtarzasz, ryzyko, że w końcu uderzy w ciebie inny kierowca, który wyznaje na skrzyżowaniu identyczną filozofię, zwiększa się, aż staje się prawie stu procentowe.

– Na czym polegało dodatkowe ryzyko w przypadku NASA?

Darwin wzruszył ramionami.

– Komisja dość dobrze wszystko udokumentowała. Specjaliści z NASA zostali powiadomieni o wadliwości uszczelki, które mogły twardnieć w niskiej temperaturze. W dodatku pogoda była niesprzyjająca, a wyrzutnia oblodzona. Tym niemniej wahadłowiec wystrzelono. Doszło do zaniedbań technicznych, pracownicy NASA

pogwałcili przynajmniej dwadzieścia własnych zakazów. Ale na pokładzie była nauczycielka i ludzie ci pragnęli wysłać ją na orbitę, dzięki czemu prezydent Reagan mógłby wspomnieć o tym fakcie w swoim wieczornym przemówieniu. No i zwiększyli ryzyko.

– Wierzysz zatem w ryzyko i szczęście? – upewniła się Sydney. – Wierzysz w takie rzeczy?

Przyjrzał jej się z zainteresowaniem.

– Zadajesz mi pytanie filozoficzne, droga Syd?

– Jestem po prostu ciekawa – odparła, przełknąwszy ostatni haust whisky. – Widujesz tak wiele wypadków, kraks i katastrof, tak wiele śmierci. Zastanawiam się, jaki masz do całej sprawy stosunek.

Minor rozmyślał nad jej pytaniem przez moment.

– Stoicki, jak sądzę – odrzekł w końcu. – Zgodny z teorią Epikteta, Marka Aureliusza i im podobnym. – Zachichotał. – Raz tylko czułem się wystarczająco politycznie nastawiony do świata, żeby pojechać do Waszyngtonu i rzucić cegłą w Biały Dom. A było to wtedy, gdy Bill Clinton, spytany o najważniejszą książkę, jaką ostatnio przeczytał, odpowiedział: „*Rozmyślenia Marka Aureliusza*”. – Znów zachichotał. – Ta rządzona przez miłość masa pragnień, że tak sparafrazuję cesarza.

– Ale w co ty wierzysz? – naciskała Syd. – Poza stoickimi poglądami... jakie są twoje? – Przerwała na moment, po czym cicho zacytowała: „Dla istoty racjonalnej niemożliwe do zniesienia jest tylko to, co irracjonalne. Wszystko, co racjonalne, istota owa zawsze potrafi znieść. A zatem i wszelkie ciosy potrafi ona wytrzymać”.

Dar zagapił się na nią.

– Cytujesz Epikteta?

– Jak więc określiłbyś swoją filozofię? – powtórzyła Sydney.

Minor odstawił pustą szklanekę, splótł palce i opuszkami dotknął dolnej wargi. W zagasającym ogniu rozkruszyła się kolejna kłoda i żar na nowo się rozjarzył.

– Kilka lat temu przyjechał z wizytą starszy brat Larry’ego, pisarz, który mieszkał w Montanie do czasu rozpadu swojego małżeństwa. Trochę go wtedy poznałem, a później widziałem w telewizji wywiad, którego udzielił. W tym wywiadzie zapytano go o jego filozofię. A musisz wiedzieć, że napisał akurat powieść, w której sporo było o katolicyzmie. Dziennikarz usiłował skłonić nieszczęśnika do publicznego przedstawienia jego światopoglądu. – Syd w milczeniu czekała na dalszy ciąg. – Więc brat Larry’ego... na imię ma Dale... przeżywał wtedy trudny okres. W odpowiedzi na pytanie zacytował Johna Updike’a. Cytat brzmiał mniej więcej tak: „Nie jestem ani muzykalny, ani wierzący. Gdy kładę palce na klawiszach, nigdy nie wierzę, że usłyszę akord”.

– To smutne – oświadczyła po długiej chwili jego towarzyska.

Dar uśmiechnął się.

– To była tylko wypowiedź brata Larry’ego, który cytował innego pisarza... Nie powiedziałem, że ja wyznaję podobne poglądy. Podpisuję się raczej pod „brzytwą Ockhama”.

– Williama Ockhama – przerwała mu Sydney. – Który wiek... piętnasty?

– Czternasty – poprawił ją Darwin.

– Maksyma, zgodnie z którą – kontynuowała kobieta – podczas wyjaśniania jakiegoś problemu nie należy bez potrzeby mnożyć założeń i tez.

– Albo inaczej mówiąc – dodał Dar – wśród równych sobie rozwiązań najwłaściwsze jest zwykle to najprostsze.

– Zasady *out*, wprowadzenie przez Obcych – roześmiała się Syd.

– Strefa Pięćdziesiąta Pierwsza, kaput – odparował Darwin.

– Spisek przeciw Kennedy’emu... *adios* – odcięła się Sydney, a jej uśmiech się rozszerzył.

– Oliver Stone, *bye bye* – zgodził się Dar.

Syd przez chwilę milczała.

– Wiedziałaś, że jesteś słynny dzięki „ostrzu Darwina”?

– Dzięki czemu? – spytał, mrugając z zaskoczenia.

– Chodzi o jakąś twoją wypowiedź sprzed kilku lat... Sądzę, że ze spotkania Amerykańskiego Stowarzyszenia Inspektorów Ubezpieczeniowych.

– O Chryste! – jęknął Dar, zakrywając dłońmi oczy.

– W swojej wypowiedzi nawiązałeś właśnie do „brzytwy Ockhama” – wyjaśniła.

– Zdaje mi się, że powiedziałeś: „...Wśród równych sobie rozwiązań najprostsze jest zwykle najgłupsze”.

– Co jest głupio oczywiste – mruknął Darwin.

Sydney powoli pokiwała głową.

– Tak, tak, wiem, co mówiłeś. Przypomnieli mi się teraz faceci w pikapie, którzy próbowali spektakularnie przerwać tamten koncert rockowy...

Dar przyjrzał się nagle oczekującemu na przegląd wypełnionemu aktami, stosem dyskietek i napędów typu zip pudłu.

– Wiesz, może źle szukamy w naszych plikach – zauważył. Kobieta podniosła głowę. – Może niewłaściwe jest nasze założenie. Może nie chodzi o jakieś moje śledztwo w sprawie głupiego wypadku... nawet śmiertelnego – powiedział. – Może czymś innym przyciągnąłem uwagę jakiegoś przestępcy. Weźmy na przykład morderstwo...

– Czy rozwiązałeś ostatnio tajemnicę jakiegoś morderstwa? – Sydney weszła mu w słowo. – Oprócz sprawy nabitego na pręty nieszczęsnego Phonga? – Darwin skinął głową. – Opowiesz mi o tym? – poprosiła.

Minor zerknął na zegarek.

– Tak. Jutro.

– Ty draniu – mruknęła, choć z uśmiechem. Po chwili dorzuciła: – Dzięki za szkocką. – Dar odprowadził ją do drzwi. Sydney zatrzymała się w progu, a Darwinowi przemknęła przez głowę nagła, dzika myśl, że kobieta zamierza go pocałować. – No dobrze, idę spać w moim cudownym wozie – stwierdziła. – Ale skąd będę wiedziała, że napadli cię przestępcy i tkwisz po uszy w kłopotach?

Minor sięgnął pod ciężki płaszcz wiszący na ściennym haku i zdjął duży, jaskrawo pomarańczowy gwizdek na sznurku.

– Słuzę piechurom, którzy podczas wycieczki zgubią się w lesie. Jego przekłety gwizd słyhać na dobre trzy kilometry.

– Przypomina gwizdek dla potencjalnych ofiar gwałtu – zauważyła Syd.

– Właśnie.

– No cóż, jeśli zatem zjawią się dziś wieczorem jacyś mordercy, po prostu zagwizdź. – Zawahała się i Minor dostrzegł w jej niebieskich oczach przekorny błysk. – „Umiesz gwizdać, prawda, Steve?”.

Dar wyszczerzył zęby. Dziewiętnastoletnia Lauren Bacall zadała to pytanie Humphreyowi Bogartowi w *Mieć i nie mieć*. Darwin uwielbiał ten film.

– Taaa – odparł. – Trzeba tylko wsunąć gwizdek między wargi i dmuchnąć.

Śledcza Olson skinęła głową i ruszyła ścieżką, oświetlając sobie drogę latarką. Dmuchała na każdą mijaną latarnię, gasząc je. Minor obserwował ją, aż zniknęła mu z oczu.

Rozdział dziewiąty

I JAK INTENCJE

Syd zastukała do drzwi domku Dara wcześniej w sobotni rano, ale Minor zdążył już wstać, wziąć prysznic, ogolić się i przygotować zarówno kawę, jak i śniadanie. Sydney radośnie zjadła jajka na bekonie i dwukrotnie dołała sobie kawy.

Zanim zaczęli pracę, Darwin zabrał przyjaciółkę na długi spacer po posiadłości. Zaszli do wąwozu na wschodzie, gdzie mieściła się opuszczona kopalnia złota, a także do strumienia, który wpadał do kanionu, obejrzeni mały wodospad na wzgórzu, przerzucone nad przepaścią zwalone drzewo, które wyglądało na zbyt gładkie i omszałe, aby bezpiecznie przez nie przejść, płyty skalne i wielkie głazy ciągnące się aż do wysokiego szczytu na północy, brzozowe zagajniki, hektary starych sosen na stoku tuż nad domkiem i nie kończące się łąki w dolinie poniżej. W trakcie wędrowki Dar stale odczuwał tę samą przyjemność, która tak mocno zaszokowała go ubiegłej nocy – dziwną świadomość fizyczności tej kobiety, ciepła jej uśmiechu, uczucie żaru, który rozpalał w nim ton jej głosu i jej śmiech.

„Daj sobie spokój, stary” – ostrzegał się w myślach.

– Wiem, że kobieta rozmawiająca z mężczyzną nie powinna już obecnie zadawać takiego pytania – odezwała się Sydney, zatrzymując się nagle i patrząc wprost na niego – ale powiedz mi, Dar, o czym myślisz. Mam wrażenie, że z odległości pół metra słyszę szalejące w twojej głowie myśli.

Znajdowała się rzeczywiście zaledwie pół metra od niego. Gdy się zatrzymał, z trudem zwalczył pragnienie otoczenia jej ramionami, przyciągnięcia blisko, przyłożenia twarzy do krzywizny jej szyi tuż za uchem, dokładnie tam, gdzie włosy lekko zawijały się. Pragnął dotknąć tego miejsca i wdychać zapach Syd.

– O Billym Jimie Langleyu – powiedział w końcu, robiąc krok wstecz. Podniosła głowę. Dar wskazał na południe. – Badałem ten wypadek mniej więcej rok temu tam, w rezerwacie. Chcesz o nim posłuchać? Chcesz rozwiązać tajemnicę?

– Jasne.

Odchrząknął.

– W porządku... Wezwano mnie na miejsce potencjalnego zabójstwa mniej więcej osiem kilometrów stąd, w lesie...

– To nie będzie opowieść o morderstwie, którą obiecałeś mi ubiegłej nocy, prawda?

Dar pokręcił przecząco głową.

– Tak czy owak, pewnego dnia zgłoszono zaginięcie niejakiego Billy’ego Jamesa Langleya, jednego z kalifornijskich klientów Larry’ego i Trudy. Mężczyzna nie wrócił z wyprawy na ryby. Szeryf pojechał w ulubione wędkarskie miejsce Billy’ego Jima

i znalazł jego pikap... forda 250 z roku 1978. Samochód dachował w strumieniu. Billy Jim tkwił w środku. Utonął. Wyglądało na to, że ubiegłej nocy auto spadło w ciemnościach z małego mostku dachem do dołu, a mężczyzna nie zdążył się wydostać z kabiny. Koroner potwierdził czas zgonu.

– Skąd podejrzenie zabójstwa? – spytała Syd.

– No cóż, koroner wprawdzie ustalił przyczynę śmierci Billy’ego Jima jako utonięcie – wyjaśnił Minor – ale stwierdził także, iż wcześniej mężczyzna został postrzelony z pistoletu kaliber .22...

– Gdzie? – spytała Sydney.

– Podczas jazdy – odparł Darwin.

– Pytam, w jaką część ciała otrzymał postrzał? Minor zawahał się.

– Otrzymał jeden strzał. W... hm... okolice pachwiny.

– W jądra? – upewniła się Syd.

– W jedno.

– W lewe czy w prawe? – spytała Sydney.

– Sądzisz, że ma to jakieś znaczenie? – zastanowił się Dar.

– A nie ma?

– No cóż, tak, ale...

– Więc? W lewe czy w prawe? – zapytała ponownie.

– W prawe – powiedział Dar. – Mogę opowiadać dalej?

Zeszli ze wzgórza.

– W porządku – powiedziała Syd – mamy zatem pana Billy’ego Jamesa Langleya, który wraca w ciemnościach z wyprawy na ryby. Nagle otrzymuje strzał w prawe jądro i... co nie jest zaskakujące... wstrząśnięty, traci kontrolę nad pikapem i wpada do zatoczki. Topi się. Pozwól, że zgadnę: w pikapie nie znaleziono żadnej broni tego kalibru?

– Zgadza się – przyznał Darwin.

– Jakież otwory wejściowe lub wyjściowe w pikapie? – spytała Sydney. – Karoseria forda 250 nie wydaje mi się na tyle słaba, aby mógł się przebić pocisk kaliber .22.

– W pojeździe rzeczywiście nie znaleziono żadnych śladów wejścia lub wyjścia kuli – potwierdził Dar. – Pocisk tkwił jedynie w jądrze Billy’ego Jima.

– Okna były podniesione?

– Tak. Tej nocy, kiedy Billy Jim wracał z miejsca, w którym lubił wędkować, intensywnie padało.

– Było po zmroku, tak? – spytała Syd.

– Tak. Około dwudziestej trzeciej.

– Mam – podsumowała kobieta. Darwin zatrzymał się gwałtownie.

– Naprawdę?

Jemu samemu rozwiązanie sprawy zajęło dwie godziny na miejscu zbrodni.

– Naprawdę – odparła Sydney. – Billy Jim nie miał karabinu ani pistoletu kaliber .22, ale założę się, że miał w kabinie pudełko nabołów tego kalibru, prawda?

– W schowku na rękawiczki – przyznał Minor.

– I założę się, że przednie światła forda Billy’ego Jima zgasły po drodze.

Dar westchnął.

– Tak... Sądzę, że mniej więcej dwa i pół kilometra od mostu.

Kobieta kiwnęła głową.

– Mniej więcej tyle czasu rozgrzewa się i wylatuje nabój kaliber .22 – oświadczyła Syd. – Znam te pikapy forda. Skrzynka bezpiecznikowa świateł znajduje się tuż pod panelem przed kierownicą. Twojemu Billy’emu Jimowi nagle wyłączyły się reflektory, trudno mu się jechało w deszczu, ale jak najszybciej chciał się dostać do domu, więc gmerał wokół siebie, oceniał, że przepalił się bezpiecznik... szukał w kabinie czegoś, czym mógłby go zastąpić. A nabój do dwudziestkidwójki pasuje idealnie. Wymienił więc i jechał dalej, nie myśląc o tym, że nabój się nagrzewa. Aż w końcu ów nabój wyprysnął i...

– No cóż, pewnie w tej opowieści nie było w sumie szczególnej tajemnicy – mruknął Darwin.

Sydney wzruszyła ramionami.

– Słuchaj, jestem strasznie głodna. Może zanim zabierzemy się za prawdziwe tajemnice, zjemy lunch, co?

Na lunch przygotowali sobie kanapki z rostbefem, wzięli butelki z piwem i zanieśli wszystko na ganek. Dzień robił się gorący, a oni już wcześniej zdjęli dżinsowe kurtki. Syd wyłożyła na spodnie zbyt dużą koszulę z krótkim rękawem, która przykrywała kaburę na biodrze. Dar również miał na sobie podkoszulek – stary, spłowiały, czarny, a także równie wytarte dżinsy i buty do biegania. Dom ocieniały wysokie sosny żółte i mniejsze brzozy, wejście do doliny przed nimi było jednak jasne dzięki letniej trawie i wierzbom; wszystko wydawało się falować na wietrze i w wywołanej przez gorąco mgiełce. Sydney i Minor usiedli na brzegu wysokiego ganku i machali nogami.

– Czy te wszystkie śmierci, ten cały ból i cierpienie – spytała – którego jesteś świadkiem... podczas śledztwa... Czy to wszystko czasem ci nie ciąży?

Gdyby zadała mu to pytanie dwadzieścia cztery godziny wcześniej, prawdopodobnie odpowiedziałby jej coś w tym rodzaju: „Wyobrażam sobie, że

podobnie jest z lekarzami. Po jakimś czasie stają się... nie bardziej gruboskórni, nie o takie słowo mi chodziło... Zyskują wszakże perspektywę i patrzą na sprawy z pewnego oddalenia. To ich praca, prawda?”. Tak, jeszcze dobie wcześniej tak by jej powiedział i wierzyłyby w swoje słowa. Teraz nie był już niczego pewien. Może coś się w nim zmieniło podczas ostatnich dziesięciu czy więcej lat. W tej chwili wiedział jedynie, że – wbrew wszelkim intencjom i oczekiwaniom – chciałby pocałować tę kobietę: główną oficer śledczą Sydney Olson. Chciałby pocałować jej pełne wargi, a później położyć ją na sekwojowych deskach ganku, przycisnąć do nich jej plecy, poczuć miękkość jej piersi przyciśniętych do jego klatki...

– Nie wiem – zdołał wydusić, żując powoli kanapkę. Szczerze mówiąc, zapomniał, jak brzmiało jej pytanie.

Akta znajdowały się w zwyczajnej, szarej teczce, ostemplowanej pieczętą „Poufne”. Wypełniona papierami teczka miała co najmniej siedem i pół centymetra grubości. Dar ustawił dwa biurowe fotele na kółkach przy biurku, blisko szybkich komputerów o najnowszych parametrach. Syd usiadła po jego prawej stronie, a on położył przed nią stosik dokumentów.

– Zobacz datę wypadku – powiedział.

– Siedem tygodni temu. – Kobieta spojrzała na raport powypadkowy Departamentu Policji Los Angeles. – Wschodnie Los Angeles... albo niedaleko za rogatkami. Zgadza się?

– Właściwie nie – odrzekł Dar. – Przy badaniu niektórych z tych spraw musiałem się zapuszczać daleko na północ, aż w twoje strony... Sacramento, San Francisco... Nawet poza stan.

– Czy Wydział Ruchu Drogowego Departamentu Policji Los Angeles wezwał cię jako doradcę przy tej sprawie? Znam zarówno sierżanta Rote’a z Wydziału Ruchu Drogowego, jak i detektywa Boba Venture, którego nazwisko widnieje na sprawozdaniu ze śledztwa.

Darwin potrząsnął głową.

– Lawrence był akurat w Arizonie, prowadził tam jakąś sprawę, więc Trudy poprosiła mnie o sprawdzenie tego wypadku. Klientem była firma wynajmująca furgonetki.

Syd przeczytała wstępny raport z kraksy.

– GMC vandura... czerwony. Mała furgonetka? Służy do przeprowadzek?

– Tak. Przeczytaj sprawozdanie funkcjonariusza zgłaszającego wypadek.

Sydney zaczęła czytać raport na głos:

MIEJSCE KOLIZJI:

MARLBORO AVENUE NUMER 1200 (PÓŁNOCNA FRONTAGE ROAD).

WSTĘP:

OKOŁO 02:45 W NOCY Z 18 NA 19 MAJA TRANSPORTOWAŁEM WIEŹNIARKĘ DO ARESZTU KOBIECEGO WE WSCHODNIM LOS ANGELES, KIEDY USŁYSZAŁEM MELDUNEK O JAKIMŚ ŚMIERTELNYM WYPADKU W REJONIE MARLBORO AVENUE I FOUNTAIN BOULEVARD. SPYTAŁEM DYSPOZYTORKĘ, CZY MOŻE ZNALEŹĆ GRUPĘ, KTÓRA ODBIERZE ODE MNIENIE WIEŹNIARKĘ NA SKRZYŻOWANIU ULICY WSCHODNIEJ STO DZIEWIĄTEJ I MIĘDZYSTANOWEJ I-5, PO CZYM ODTRANSPORTUJE JĄ AŻ DO SAMEGO ARESZTU. WTEDY MÓGŁBYM SIĘ ZAJĄĆ KRAKSĄ. FUNKCJONARIUSZKA JONES, NUMER ODZNAKI 2485, ODPOWIEDZIAŁA NATYCHMIAST I PRZEJĘŁA ODE MNIENIE TRANSPORT. MIEJSCE ZDARZENIA, NA KTÓRE TO MIEJSCE PRZYBYŁEM OKOŁO GODZINY 03:00 NAD RANEM, ZASTAŁEM ZABEZPIECZONE PRZEZ JEDNOSTKI PATROLOWE. SPOTKAŁEM TAM: SIERŻANTA MCKAYA, NUMER ODZNAKI 2662 (KONTROLER RUCHU), FUNKCJONARIUSZA BERRTEGO, NUMER ODZNAKI 3501, ORAZ FUNKCJONARIUSZA CLANCEYA, NUMER ODZNAKI 4423. KWARTAŁ PRZY MARLBORO 1200 BYŁ ZABLOKOWANY DLA WSZELKIEGO RUCHU OD FOUNTAIN BOULEVARD DO GRAMERCY STREET.

OPIS ULICY:

MARLBORO AVENUE (PÓŁNOCNA FRONTAGE ROAD) JEST SKIEROWANĄ NA ZACHÓD ULICĄ JEDNOKIERUNKOWĄ. FOUNTAIN BOULEVARD, NA WSCHODZIE, BIEGNIE Z PÓŁNOCY NA POŁUDNIE, PODOBNIENIE GRAMERCY STREET, NA ZACHODZIE. MARLBORO AVENUE (PÓŁNOCNA FRONTAGE ROAD) CECHUJE SIĘ NACHYLENIEM 0,098 STOPNIA WSCHÓD/ZACHÓD, W GÓRĘ WZGÓRZA. ULICĘ OŚWIETLAJĄ LATARNIE ULICZNE ORAZ ŚWIATŁA NA SKRZYŻOWANIU. OGRANICZENIE PRĘDKOŚCI WYNOŚI DLA TEGO ODCINKA CZTERDZIEŚCI KILOMETRÓW NA GODZINĘ.

WARUNKI POGODOWE:

W CHWILI WYPADKU NIEBO BYŁO CAŁKOWICIE ZACHMURZONE. PADAŁ DESZCZ, TEMPERATURA BYŁA NISKA, WIAŁ LEKKI WIATR. NOCNE NIEBO POZOSTAWAŁO CIEMNE, GDYŻ KSIEŻYC SKRYŁ SIĘ ZA GRUBĄ POKRYWĄ CHMUR.

IDENTYFIKACJA POJAZDU:

GMC VANDURA (V-2) MIAŁ Z PRZODU, Z TYŁU I Z OBU BOKÓW DUŻE NALEPKI FIRMY WYNAJMUJĄCEJ SAMOCHODY TOWAROWE I PÓŁCIĘŻAROWE „URENTAL TRUCK”. SPRAWDZENIE TABLIC REJESTRACYJNYCH POJAZDU UJAWNIŁO, ŻE NIE BYŁ NOTOWANY.

IDENTYFIKACJA KIEROWCY:

PANNA GENNIE SMILEY. TOŻSAMOŚĆ USTALONO NA PODSTAWIE JEJ KALIFORNIJSKIEGO PRAWA JAZDY, JEJ WŁASNEGO OŚWIADCZENIA ORAZ OŚWIADCZENIA DONALDA M. BORDENA.

USZKODZENIA POJAZDU:

ZANOTOWANO DROBNE USZKODZENIA PRZEDNIEJ KRATOWNICY WLOTU POWIETRZA GMC VANDURY. KRATOWNICA WGIĘŁA SIĘ DO WEWNĄTRZ W PRZYBLIŻENIU NA 7,5 CENTYMETRA W NAJGŁĘBSZYM MIEJSCU. ZNALEZIONO W NIEJ WŁÓKNA POCHODZĄCE ZE SWETRA OFIARY.

OBRAŻENIA:

RICHARD KODIAK DOŚWIADCZYŁ CIĘŻKIEGO URAZU GŁOWY, KTÓRY OKAZAŁ SIĘ ŚMIERTELNY. GDY NA MIEJSCIE WYPADKU PRZYBYLI SANITARIUSZE: PETERSON, NUMER 333 ORAZ ROYLES, NUMER 979 (JEDNOSTKA PARAMEDYCZNA NUMER 272), KODIAK JUŻ NIE ŻYŁ. ZGON STWIERDZIŁ DOKTOR CAVENAUGH Z EASTERN MERCY HOSPITAL, CO ZGŁOSIŁ PRZEZ RADIO...

Kobieta przerwała czytanie i przerzuciła kilka stron.

– W porządku – oświadczyła w końcu. – Mamy zatem trzydziestojednoletniego mężczyznę, Richarda Kodiaka, który zmarł z powodu obrażeń głowy. On i jego współlokator, Donald Borden, przeprowadzali się akurat ze wschodniego Los Angeles do San Francisco, kiedy... przyjaciółka, pani Gennie Smiley, uderzyła w pana Kodiaka furgonetką, a potem jeszcze trafiła w niego prawym kołem pojazdu. – Przerzuciła kilkanaście kartek.

– Pan Borden i pani Smiley zaskarżyli agencję wynajmującą furgonetki, twierdząc, że hamulce były uszkodzone, a przednie światła działały wadliwie...

– I wtedy ja włączyłem się w śledztwo – wtrącił Dar.

– ...oboje pozwalają też właścicielom tamtejszego bloku mieszkalnego, oskarżając ich o niewłaściwe oświetlenie.

– Tym razem przerzuciła dwadzieścia albo trzydzieści stronic. – Ach... tutaj jest to oświadczenie... Pani Smiley stwierdziła, że z powodu złego oświetlenia przed budynkiem i kiepskich reflektorów wynajętej furgonetki nie widziała pana Kodiaka, kiedy wyszedł wprost przed prowadzony przez nią pojazd. Ona i pan Borden zażądali

sześciuset tysięcy dolarów od firmy wynajmującej furgonetki.

– I dodatkowych czterystu tysięcy od właściciela bloku mieszkalnego – dodał Darwin.

– Czyli w sumie równego miliona – zadumała się Syd. – Przynajmniej znali wartość swojego przyjaciela.

Minor potarł podbródek.

– Panowie Borden i Kodiak mieszkali pod tym samym adresem przez dwa lata i byli powszechnie znani jako Dickie i Donnie – sąsiadom, właścicielom sklepów, miejscowym restauratorom...

– Geje? – spytała Sydney. Dar kiwnął głową. – Kim zatem była Gennie?

– Najprawdopodobniej Borden... czyli Donnie... jest biseksem. Gennie Smiley była jego sekretną przyjaciółką. Dickie nakrył ich kiedyś razem... trzy dni trwała kłótnia... według sąsiadów. A później Dickie i Donnie spakowali rzeczy i postanowili się przeprowadzić do San Francisco.

– Bez Gennie – mruknęła Syd.

– Rzeczywiście, bez niej – przyznał Darwin. – Ona zaś w geście dobrej woli pomogła im zapakować rzeczy na wynajętą furgonetkę.

– O drugiej czterdzieści pięć w deszczowy poranek? – spytała Sydney.

Minor wzruszył ramionami.

– Dickie i Donnie nie zapłacili czynszu za ostatnie dwa miesiące. Najwyraźniej postanowili uciec. – Odwrócił jeden z dwudziestojednocalowych monitorów i wystukał na klawiaturze jakiś kod. – Okej, tutaj masz kilka fotek z miejsca wypadku. Wykonał je sierżant McKay z Wydziału Ruchu Drogowego. – Na dużym ekranie pojawiło się czarnobiałe zdjęcie. Potem drugie. I następne.

– Och! – powiedziała Syd.

– Tak – zgodził się z nią Dar.

Jedna fotografia pokazywała zwłoki Richarda Kodiaka. Mężczyzna leżał pośrodku ulicy około dziesięć metrów na zachód od głównych drzwi budynku mieszkalnego. Ciało było ułożone twarzą do dołu, głową na wschód, ku furgonetce, a wokół niego widoczne były plamy krwi i kawałki mózgu, które najwyraźniej rozpryskały się we wszystkie strony. Na innym zdjęciu można było dostrzec bezpośrednio przed głównym wejściem do budynku rozbite szkło, jeden but, ślady przesuwanego drugiego buta i ciągniętego ciała. Na kolejnej fotografii uwieczniono nieprzerwany ślad hamowania, który biegł z powrotem, niemal do zakrętu z Fountain Boulevard, czyli jakieś pięćdziesiąt metrów na wschód od miejsca wypadku. Na wszystkich zdjęciach furgonetka znajdowała się nieco na wschód od punktu zderzenia, jej ślady hamowania ciągnęły się co najmniej dziewięć metrów przed nią.

– Gennie wycofała, kiedy usłyszała hałas i sądziła, że może w coś uderzyła –

wyjaśnił Dar.

– Jasne – mruknęła Syd.

– Donnie był jedynym świadkiem śmierci Dickiego – dodał Minor, wskazując na wielką stertę zeznań. – Powiedział, że posprzeczał się z przyjacielem. Kiedy przyjechała Gennie, poprosili, żeby objechała kwartał i wróciła po chwili...

– Po co? – przerwała Sydney.

– Donnie twierdził, że nie chcieli się kłócić w jej obecności – odparł Darwin. – Objechała więc kwartał z prędkością niecałych pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, według jej szacunków. Nie zauważyła Dickiego, który zszedł właśnie z krawężnika, a kiedy go zobaczyła, podobno nie zdążyła już się zatrzymać. – Przewinał kilka zdjęć widniejących na ekranie komputera i zatrzymał na najwyraźniejszym z nich. Włączył drugi monitor i uruchomił jakiś program. Na ekranie pojawił się trójwymiarowy obraz tego samego miejsca, lecz tym razem animowany przez komputer.

– Robisz trójwymiarowe rekonstrukcje wideo wypadków? – spytała Syd. – Nie widziałam w twoim mieszkaniu odpowiedniego sprzętu.

– Ależ mam go tam – zapewnił ją Dar. – Stoi schowany w kącie za jakąś biblioteczką. Najwięcej zarabiam właśnie na takich rekonstrukcjach. – Kobieta pokiwała głową. – A zatem, droga pani oficer śledcza – dodał. – Czy widzi pani w opisie tego wypadku jakieś nieścistości?

Sydney zerknęła na akta, na jeden monitor wypełniony fotografiami, a następnie na drugi przedstawiający animację miejsca zdarzenia, czyli trójwymiarową obróbkę jednego ze zdjęć.

– Coś mi tutaj nie gra.

– Właśnie – zgodził się z nią Darwin. – Po pierwsze zbadałem wyspecjalizowanym światłomierzem oświetlenie w podobnych warunkach.

– O drugiej czterdzieści pięć w zachmurzoną, deszczową noc – dorzuciła Syd.

Dar uniósł brwi.

– Oczywiście.

Wystukał jakieś polecenie na klawiaturze. Nagle na trójwymiarowym obrazie scenki ulicznej pojawiły się liczby. Darwin poruszał myszką, obracając widok, aż oboje z Sydney patrzyli teraz w dół na ulicę, ze wschodu na zachód. Furgonetka znajdowała się obecnie na dole ekranu, a ciało na środku. Widoczna stała się też reszta kwartału. Tereny po obu bokach miały małe prostokąty danych.

– Mierzone w luksach – oceniła Syd.

Minor skinął głową.

– Wbrew twierdzeniom Donniego i Gennie miejsce było całkiem dobrze oświetlone, szczególnie jak na taką marną dzielnicę. Widać to na obu skrzyżowaniach. Są tam wielkie połacie światła pokrywającego większą część ulicy

z natężeniem trzydziestu luksów. Oświetlenie na schodach frontowych budynku ustaliłem jako piętnaście luksów, zresztą nawet w środku ulicy za miejscem, gdzie Dickie został uderzony, było całe dziesięć luksów.

– Czyli że kobieta powinna widzieć ofiarę, nawet gdyby nie działały światła furgonetki – podsumowała Sydney.

Dar dotknął ekranu piórem i pojawiła się czerwona linia. Biegła przez większość drogi od skrzyżowania z Fountain Boulevard do miejsca, z którego przyjechała furgonetka.

– Gennie nadjechała z dość jasnego miejsca... około trzydziestu luksów... i przejechała przez długi obszar dwudziestu luksów, który sięgał niemal miejsca zderzenia. Zresztą sprawdziłem przednie światła pojazdu. Oba wyglądały na nietknięte i działały. Jednym słowem, kobieta miała światła włączone. – Darwin wcisnął kilka klawiszy i obraz na ekranie zniknął, w jego miejsce zaś pojawiła się animacja w czasie rzeczywistym. Dwie męskie postaci, trójwymiarowe, lecz pozbawione wyraźnych cech, wyłoniły się z przednich drzwi budynku mieszkalnego. Nagle punkt widzenia zmienił się na widok z lotu ptaka. Furgonetka wyjechała szybko zza rogu Fountain Boulevard i zbliżała się, coraz bardziej przyspieszając. Jedna z postaci zesłała na jezdnię i stanęła przodem do zbliżającego się pojazdu. Kobieta prowadząca furgonetkę wcisnęła hamulce i hamowała od skrzyżowania aż do miejsca wypadku. W końcu samochód uderzył mężczyznę czołowo, nie zatrzymał się jednak, lecz sunął jeszcze przez mniej więcej dziewięć metrów. Uderzona ofiara – Dickie – przeleciała w powietrzu i wylądowała plecami na jezdni, nogami w stronę furgonetki. Dar wcisnął kilka klawiszy i wcześniejszy animowany widok z lotu ptaka zastąpił inny obraz. – A teraz masz rzeczywistą pozycję furgonetki i ciała na miejscu wypadku. – Nagle furgonetka znalazła się przynajmniej dwanaście metrów dalej na wschód, ciało zaś o dobre sześć metrów, również bardziej na wschód od faktycznej pozycji pozostałych. Głowa zabitego mężczyzny także obróciła się teraz ku furgonetce.

– Nic tu się nie zgadza – zauważyła Syd.

– Mało tego – dodał Dar. Wyjął z teczki na akta jakies sześciostronicowe oświadczenie i pozwolił Sydney rzucić na nie okiem. – Funkcjonariusz Berry, numer odznaki 3501, spisał rozmowę z pierwszym świadkiem, który jechał w dół ulicy... panem Jamesem Williamem Ribackiem.

Syd szybko przeczytała kartki.

– Riback twierdzi, że widział odjeżdżającą z miejsca wypadku furgonetkę, która o mało nie zajęchała mu drogi, a następnie zobaczył Dickiego... czyli pana Richarda Kodiaka. Mężczyzna leżał na ulicy na plecach. Pan Riback zatrzymał swojego forda taurusa, wysiadł, podszedł do pana Kodiaka i spytał, czy żyje. Zeznał, że pan Kodiak

odpowiedział: „Tak, proszę wezwać ambulans”. Riback zostawił swój samochód na ulicy i pobiegł za róg, do mieszkania przyjaciółki... adres: Gramercy Street, numer 3535. Zbudził przyjaciółkę i polecił jej zadzwonić po policję i pogotowie, sam zaś chwycił koc i pędem wrócił na miejsce zdarzenia. Tam znalazł ciało Kodiaka, tyle że leżało ono w innym miejscu, niż pan Riback to zapamiętał, a już na pewno obrócone było w innym kierunku. Ranny znajdował się wówczas w dużo gorszym stanie i pozostawał nieprzytomny. Sanitariusze przybyli siedem minut później i uznali go za zmarłego. Furgonetka stała zaparkowana tak, jak widać na zdjęciach policyjnych. – Syd podniosła wzrok na Darwina. – Ta suka objechała kwartał i znów stuknęła nieszczęsnego Dickiego Kodiaka, prawda? Ale jak jej to udowodnić?

– Szczegóły są dość nużące – odparł Darwin.

– Drogi doktorze Minor, szczegóły nigdy mnie nie nużą – odparła Sydney Olson chłodno. – Stanowią sedno również mojej pracy, pamiętaj o tym.

Dar kiwnął głową.

– Okej zatem, najpierw przejrzę dane i równania, potem pokażę ci wynikającą z nich animację, którą pokazałem w sądzie – powiedział. – Dla swoich potrzeb wolę jednostki metryczne, chociaż zwykle podczas pokazu używam jednostek anglosaskich. – Wystukał coś na klawiaturze i z ulicy na ekranie zniknęła furgonetka. Znów tylko dwóch mężczyzn opuszczało blok mieszkalny. Jeden z nich wyszedł na ulicę. Punkt widzenia kamery znajdował się teraz ponownie w miejscu, w które wjechała furgonetka, skręcająca na zachód z Fountain Boulevard w Marlboro Avenue. Postać na ulicy była doskonale widoczna. – Badania widoczności w nocy wykazały, że nawet na ciemnej szosie, nawet przy kiepskich światłach furgonetki, ubrany na ciemno pieszy powinien być widoczny mniej więcej z pięćdziesięciu trzech metrów. Nawet jeśli wzrok kierowcy możemy oszacować jako niezbyt dobry... powiedzmy, pomiędzy przeciętnym a miernym. Odległość od skrzyżowania alei i Fountain Boulevard do miejsca zderzenia, czyli miejsca, w którym znajdował się Kodiak, wynosiła pięćdziesiąt jeden i pół metra.

– Czyli że kobieta widziała go już wtedy, gdy wyjeżdżała zza zakrętu – zadumała się Syd.

– Na pewno – przyznał Dar. – Niezależnie od tego, czy mężczyzna nadal stał na krawężniku, czy też zszedł już na jezdnię. Wysoko umieszczone światła przednie furgonetki pozwalały widzieć ofiarę z odległości co najmniej stu metrów. Cholera jasna, nawet gdyby baba w ogóle nie włączyła reflektorów, musiałyby dostrzec ofiarę z czterdziestu pięciu metrów, dzięki latarniom ulicznym i światłu padającemu z głównego holu budynku mieszkalnego.

– A jednak przyspieszyła – stwierdziła Sydney.

– Bez wątpienia – odparł Darwin. – Przednie opony furgonetki zostawiły ślady

hamowania na czterdziestu metrach. Co oznacza, że baba hamowała jeszcze prawie dziewięć metrów za miejscem uderzenia, tam gdzie pan Kodiak zostawił prawy but i gdzie zauważyłem ślady szurania lewego.

– Kobieta twierdzi, że potrąciła go właśnie w tym miejscu – zauważyła Syd.

– Niemożliwe – odparował Dar. – Skoro mamy ślady hamowania, wszystko staje się kwestią prostych obliczeń. Szybkość i dystans bardzo łatwo ustalić, zarówno dla furgonetki, jak i dla mężczyzny. Może opuścimy równania?

– Nie – odrzekła Sydney. – Mówiłam serio, naprawdę lubię szczegóły.

Minor westchnął.

– W porządku. Wydział Ruchu Drogowego Departamentu Policji Los Angeles i ja przeprowadziliśmy oddzielne testy hamowania na tej ulicy z pojazdami wyposażonymi w specjalne zderzaki...

– Z przodu – upewniła się Syd.

– Tak. Prędkość testowanych pojazdów ustaliliśmy za pomocą radaru. Testy hamowania dostarczyły nam stałej wartości dla współczynnika oporu f , który wynosi 0,79. Stąd możemy ustalić początkową szybkość pieszego w punkcie styku...

Pamiętaj, że z zeznań wynika, iż Richard Kodiak został uderzony, gdy stał nieruchomo, zwrócony twarzą do furgonetki. Zresztą jego szybkość nigdy nie może być większa niż prędkość furgonetki. Użyjmy zatem na początek takiego równania:

$$v_i = \sqrt{v_{ue}^2 - 2ad}$$

Wartości są proste. Furgonetka hamowała aż do pełnego zatrzymania, tak więc jej prędkość końcową można oznaczyć jako $v_e = 0$. Wartość przyspieszenia, czyli a , zapiszmy jako $a = fg$. Jak wyjaśniłem, ustaliliśmy współczynnik oporu, czyli $f = 0,79$, zaś g , czyli przyciąganie grawitacyjne, wynosi 32,2 stopy na sekundę w miarach amerykańskich.

– Albo 9,81 metra na sekundę w systemie metrycznym – dodała cicho Syd.

Dar mrugnął do niej.

– Myślisz w kategoriach systemu metrycznego – zauważył. – Może opuszczę resztę tych równań i przejdę do animacji? I tak prawdopodobnie potrafisz obliczyć wszystko sama.

Sydney potrząsnęła głową.

– Detale. Pokaż mi.

– Okej – powiedział Darwin. – Ponieważ furgonetka hamowała, wartość a musi być ujemna. Furgonetka Gennie hamowała przez czterdzieści metrów. A zatem wstawmy po prostu wartości w równanie prędkości początkowej:

$$v_i = \sqrt{0^2 - 2(-0/79)(32,2)(132)}$$

$$v_i = 82 \text{ stopy/sekundę} = 55,7 \text{ mil/godzinę} = 82,6 \text{ km/h}$$

W ten sam sposób można ustalić prędkość furgonetki hamującej, skoro wiemy, że droga hamowania wyniosła dziewięć metrów. Jedyłą wartością, która się zmienia, jest wartość odległości, czyli d . Zatem nasze równanie będzie teraz wyglądać tak:

$$v_i = \sqrt{v_e^2 - 2ad}$$

$$v_i = \sqrt{0^2 - 2(-0/79)(32,2)(66)}$$

$$v_i = 38,4 \text{ stopy/sekundę} = 26 \text{ mil/godzinę} = 41,8 \text{ km/h}$$

Tak zatem wyglądała prędkość furgonetki podczas uderzenia. Tę samą wartość przybrała wtedy prędkość ciała pana Kodiaka, gdy w wyniku trafienia zostało ono wyrzucone w powietrze. Tak a propos równanie to działa dla furgonetek o wysokich przodach, a nie będzie pasować do większości mniejszych samochodów.

Syd kiwnęła głową.

– Pionowa kratownica wlotu powietrza półciężarówki albo wysokiej furgonetki daje płaskie uderzenie, blisko środka masy pieszego – powiedziała. – Regularny sedan lub mniejsze auto uderzy poniżej środka masy i podrzuci ofiarę na maskę albo nawet na dach.

– Tak – przyznał Minor. – Albo przetnie go w połowie. – Spojrzał ponownie na równania na ekranie. – Ponieważ pani Gennie jechała tą wynajętą furgonetką i uderzyła Dickiego czołowo, czyli kratownicą wlotu powietrza, łatwo obliczyć, co się zdarzyło. Musimy jedynie znać typowe wartości dla współczynnika oporu pieszych na różnych powierzchniach. – Darwin wdusił jakiś klawisz i na ekranie pojawiła się tabelka.

POWIERZCHNIA	ZAKRES
Trawa	0,45-0,70
Asfalt	0,45-0,60
Beton	0,45-0,65

– A Marlboro Avenue? – spytała Syd.

– Asphalt. – Dar zapisał współczynnik oporu pieszego f jako 0,45. – Wartość dla środka masy tego konkretnego pieszego, czyli h – ciągnął – wynosi 2,2 stopy.

A zmierzona odległość pomiędzy punktem styku uderzenia... potwierdzona przez but, który ofiara zostawiła oraz ślady drugiego buta... do jego ostatecznej pozycji ustalonej dzięki krwi i śladom ciągniętego ciała wynosiła siedemdziesiąt dwie stopy, czyli dwadzieścia dwa metry. Wstawmy więc te wartości do powyższego równania, a otrzymamy:

$$df = 2fh - 2h\sqrt{f^2 - fd/h}$$

$$df = 2(0,45)(-2,2) - 2(-2,2)\sqrt{0,45^2 - (0,45*72/-2,2)}$$

$$df = 15 \text{ stóp} = 4,572 \text{ metra}$$

Zatem szybkość na początku upadku pana Kodiaka... czyli po oderwaniu się jego ciała od hamującej furgonetki... wyliczamy jako:

$$v = df\sqrt{-g/h}$$

$$v = 15\sqrt{-32,2/2(-2,2)}$$

$$v = 40,6 \text{ stopy/sekundę} = 27,6 \text{ mil/godzinę} = 44,4 \text{ km/h}$$

– Co jest zgodne z wcześniejszą analizą hamowania – dodał Dar.

– Czyli że kobieta właściwie uderzyła mężczyznę, jadąc z prędkością ponad czterdziestu czterech kilometrów na godzinę, hamując z prędkości dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę – obliczyła Sydney.

– Ponad dziewięćdziesięciu jeden kilometrów na godzinę – uściślił Darwin.

– I ciało odleciało w tył dwadzieścia dwa metry od punktu uderzenia, gdzie spoczęło na plecach zwrócone do furgonetki stopami – kontynuowała Sydney.

– Tak jak ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent pieszych uderzonych czołowo przez tego typu pojazd – przyznał Dar. – Stąd właśnie Larry i ja natychmiast po obejrzeniu zdjęć wykonanych przez funkcjonariusza policji wiedzieliśmy, że doszło do zabójstwa. – Wystukał polecenie na klawiaturze. Równania zniknęły z ekranu, na ich miejsce zaś wróciła pierwotna animowana scenka. Kolejny klawisz usunął wszystkie numeryczne wartości oświetlenia, wysokości krawężnika, długości hamowania i tak dalej. Dwie męskie postaci wyszły z budynku. Furgonetka z piskiem

wyjechała zza rogu, z Fountain Boulevard, i ruszyła coraz szybciej Marlboro Avenue. Jeden z mężczyzn pchnął drugiego, który wpadł na jezdnię, gdzie o mało nie upadł. Ledwie zdążył odzyskać równowagę i stanąć prosto, kiedy trzasnęła w niego hamująca furgonetka. Ciało ofiary przeleciało pewien dystans, upadło na plecy, przesunęło się po ulicy jeszcze kilka metrów, w końcu się zatrzymało. Furgonetka ruszyła dalej, przyspieszając ku następnemu skrzyżowaniu i przy okazji zajeżdżając drogę fordowi taurusowi, który zahamował, a później stanął. Z forda wysiadł kierowca, klęknął przy rannym, po czym pobiegł w kierunku zachodnim i zniknął za rogiem. Pędził do mieszkania przyjaciółki z zamiarem wezwania policji i karetki. – Znaleźliśmy krew, włosy i kawałki mózgu na prawej stronie koła, piąście prawego koła, przednim zespole napędowym, amortyzatorach wstrząsów i na części katalizatora furgonetki – wymienił monotonicznie Minor.

Na ekranie furgonetka znowu wyjechała zza rogu, z Fountain Boulevard, zwolniła, kiedy zbliżała się do leżącego na jezdni na wznak mężczyzny, potem przejechała po ciele i cofnęła się, ciągnąc zwłoki niemal przez połowę drogi od miejsca, gdzie zostały one pierwotnie rzucone. Na końcu ciało przesunęło się samo, głową ku wschodowi, ku furgonetce, podczas gdy pojazd cofnął się aż do własnych śladów hamowania i tam się zatrzymał.

– Musiała baba dokończyć robotę – mruknęła Syd. Darwin skinął głową. – Co powiedział sędzia po obejrzeniu twojej animacji? – spytała.

Minor uśmiechnął się.

– Nie było sądu. Ani procesu. Pokazałem swoją animację detektywowi Venturze, a także ludziom z Wydziału Ruchu Drogowego, nikt wszakże nie wydawał się nią zainteresowany. Do tego czasu Donald i Gennie wycofali pozew przeciwko właścicielowi budynku mieszkalnego. Myślę, że przekonali ich pomiary, których dokonałem światłomierzem. Zadowolili się odszkodowaniem od firmy wynajmującej furgonetki. Każde z nich otrzymało po piętnaście tysięcy dolarów.

Kobieta poruszyła się na krześle i zagapiła na Dara.

– Miałeś niepodważalny dowód, że ta para zabiła Richarda Kodiaka, a Departament Policji Los Angeles po prostu go odrzucił.

– Policjanci mi powiedzieli, że jakiś pederasta po prostu zabił innego pedała, że zacytuję tak powszechnie szanowanego detektywa Venturę – odparł Darwin.

– Zawsze uważałam Venturę za dupka – mruknęła Sydney. – Teraz mam co do niego pewność.

Minor pokiwał głową, zagryzł wargę i skupił wzrok na scenie od nowa rozgrywanej się na ekranie. Męska postać została uderzona i rzucona, furgonetka odjechała, wróciła, znowu przejechała mężczyznę, zgniatając Kodiakowi czaszkę i ciągnąc ciało z powrotem ku wejściu do budynku. Chwilę później film rozpoczął się

po raz kolejny. Dwie męskie postaci, zupełnie przeciętne, wyszły z dobrze oświetlonego holu...

– A klienci Lawrence’a, to znaczy firma wynajmująca furgonetki... – powiedział Darwin – ...cieszyli się, że skończyło się jedynie na trzydziestu tysiącach.

– Czekaj minutkę – wtrąciła Syd. – Czekaj. – Podeszła na swojej wielkiej skórzanej torby i wyjęła z niej nowiutkiego laptopa Apple PowerBook.

Kiedy położyła go obok sprzętu Dara, ten popatrzył na nią z powątpiewaniem, z miną, jaką w siedemnastym wieku luteranie prawdopodobnie obrzucali katolików. Zwolennicy mackintoshów i zwolennicy pecetów stanowili niemal dwie odrębne społeczności.

Kobieta uruchomiła swój laptop.

– Gennie Smiley – powiedziała. – Donald Borden. Richard Kodiak. Te nazwiska z czymś mi się kojarzą... – Słupki danych przesunęły się po ekranie jej przenośnego komputera. Sydney pospiesznie wstukała polecenie w wyszukiwarce. – Ach – powiedziała, znów coś napisała, przyjrzała się danym i znów znieruchomiła. – Och – sapnęła.

– Podobają mi się te twoje achy i ochy – stwierdził Darwin. – Jakies konkrety?

– Czy ty i Lawrence sprawdziliście przeszłość tej trójki... kochanków? – odpowiedziała pytaniem oficer śledcza.

– Pewnie, że tak – obruszył się Minor. – Na tyle, na ile mogliśmy to zrobić, nie depcząc po piętach detektywowi Venturze. To była przecież jego sprawa. Odkryliśmy, że ofiara... Richard Kodiak... posiadał trzy inne adresy oprócz tego na Rancho la Bonita, który widniał na jego prawie jazdy. Wszystkie trzy miejsca znajdowały się w Kalifornii: jedno we wschodnim Los Angeles, jedno w Encinitas i jedno w Poway. Sprawdziwszy numer jego ubezpieczenia, dowiedzieliśmy się, że facet był zatrudniony w CALSURMED. Nie było adresu firmy. W jakiejś starej książce telefonicznej Trudy znalazła firmę California Sure-Med z siedzibą w Poway, jednak przedsiębiorstwo już nie istniało i wszystkie informacje o nim wykasowano z miejskich rejestrów. Potem wraz z urzędem pocztowym w Poway ustaliliśmy, że adres w książce telefonicznej zgadzał się z tym, który znaleźliśmy dla firmy CALSURMED – skrzynka pocztowa numer 616840. Zasugerowaliśmy facetom z Wydziału Ruchu Drogowego Departamentu Policji Los Angeles i detektywowi Venturze, żeby przejrzyli Akta Firm Fikcyjnych w Los Angeles i San Diego. Chcieliśmy, aby je przeszukali pod kątem nazw CALSURMED i California Sure-Med. Zignorowali jednak naszą propozycję.

Syd uśmiechnęła się, patrząc na ekran laptopa.

– Wiesz, co oznaczają czerwone szpilki na mojej mapie?

– Zorganizowane wypadki drogowe, które zakończyły się czyjąś śmiercią? –

podsunął Dar. – Tak?

– Sześć ofiar ubezpieczyło się właśnie w California Sure-Med. Pewien doktor Richard Karnak zeznawał w sprawach o odpowiedzialność.

– Przypuszczasz, że doktor Richard Karnak to Dickie Kodiak?

– Nie muszę przypuszczać – odparła Syd. – Masz zdjęcie ofiary? To znaczy, gdy mężczyzna jeszcze żył?

Darwin przejrzał akta i wyjął małą fotografię paszportową z etykietką KODIAK, RICHARD R. Sydney wystukała polecenie na klawiaturze i na jednej trzeciej ekranu pojawiło się wysokiej rozdzielczości czarnobiałe zdjęcie. Fotografia była identyczna.

– A Donald Borden? – spytał Dar.

– Alias Daryl Borges, alias Don Blake – odparła Sydney, wywołując zdjęcie i opis drugiego mężczyzny. – Osiem spraw... pięć razy sądzony za oszustwa, trzy razy za napaść z pobiciem. – Sydney podniosła wzrok na Minora. Oczy jej błyszczały. – Pan Borges był członkiem pewnego gangu ze wschodniego Los Angeles. Zerwał z tym, gdy ukończył dwadzieścia osiem lat, a teraz pracuje dla pewnego adwokata... niejakiego Jorge Murphy'ego Esposito.

– Cholera! – mruknął Darwin z zachwytem w głosie. – A Gennie Smiley? Nazwisko też zapewne jest fałszywe?

– Nie – odparła Syd, przeglądając dane w laptopie. – Chociaż nie jest to też jej obecne nazwisko. W sensie prawnym. Kobieta wyszła za mąż siedem lat temu.

– Gennie Borges? – zaryzykował Darwin.

– *Si* – przyznała Sydney i jej wielki uśmiech jeszcze się rozszerzył. – Tyle że Smiley również nie było jej panińskim nazwiskiem. Tak się nazywał jej pierwszy mąż, pan Ken Smiley, z którym spędziła niewiele czasu, gdyż biedak zginął w wypadku samochodu również przed siedmioma laty. Potrafisz odgadnąć jej nazwisko panińskie? – Dar patrzył na przyjaciółkę przez dobrą minutę. – Gennie Esposito – wyjaśniła mu w końcu Syd. – Siostra wszechobecnego adwokata.

Darwin zerknął na ekran swojego komputera, na którym furgonetka znów uderzyła w pieszego, po czym zniknęła za zakrętem, wróciła i potrafiła nieszczęśnika po raz kolejny. Znów i... znów.

– Sądzą że odkryłem fakty – zastanowił się głośno Minor. – I z jakiegoś powodu uważają mnie za zagrożenie.

– To jest morderstwo – zauważyła Sydney.

Dar potrząsnął głową.

– Departament Policji Los Angeles zakończył już tę sprawę, firma wynajmująca furgonetki zapłaciła, a Donnie i Gennie przeprowadzili się do San Francisco. Nikogo już ten wypadek nie interesuje. Musiało chodzić o coś innego.

– Nawet jeśli – zauważyła Syd – wszystkie sprawy łączą się z naszym ulubionym

mecenasem Esposito. Tu jednak mam coś jeszcze bardziej interesującego. – Uderzyła w kilka klawiszy na klawiaturze.

Minor dostrzegł, że przez ekran laptopa mignął symbol FBI. Oficer śledcza wpisała hasło, które pojawiło się w postaci rzędu gwiazdek, po czym zaczęły się pojawiać i znikać katalogi, pliki i fotografie.

– Masz dostęp do banku danych FBI? – rzucił zaskoczony Darwin. Nawet eksagenci specjalni nie zachowywali tego przywileju po odejściu.

– Oficjalnie współpracuję z Narodowym Biurem do Spraw Przepięstw Ubezpieczeniowych – wyjaśniła Syd. – Pamiętasz Jeanette z zebrania u Dickweeda? Współdziałałam z jej grupą. W 1992 roku Biuro połączyło się Instytutem Zapobiegania Przepięstwom Ubezpieczeniowym i wtedy FBI okazało wsparcie poprzez udostępnienie im swoich plików komputerowych.

– Taki dostęp chyba często się przydaje – zauważył Minor.

– Bardzo. Szczególnie w takich sytuacjach jak ta – przyznała kobieta, wskazując na zdjęcie i odciski palców Dickiego Kodiaka, inaczej znanego jako doktor Richard Karnak. Prawdziwe nazwisko Richard Trace.

– Richard Trace? – upewnił się Darwin.

– Syn Dallasa Trace’a – powiedziała Syd, stukając w kolejne klawisze i przywołując następne dane.

Dar dwukrotnie zamrugął.

– Dallas Trace? Świetny stary prawnik? Długowłosego facet w kamizelce z koziej skóry i rzemienia z medalionem zamiast krawata. Ten, który prowadzi głupi program prawniczy na CNN?

– Właśnie ten – odparła Sydney. – Obok Johnny’ego Cochran’a najlepiej znany i najbardziej kochany amerykański obrońca.

– Cholera – mruknął Darwin. – Dallas Trace to arogancki bałwan. Wygrywał sprawy dzięki tym samym sztuczkom, których użył Cochran w procesie O.J. Simpsona. Wydał też książkę: *Jak przekonać kogoś prawie do wszystkiego*, ale mnie przez tysiąc lat nie zdołałby przekonać do jej przeczytania.

– Niemniej jednak – podjęła Sydney – akurat jego syna Richarda potrafiła, przejechała furgonetką, zabiła... zamordowała... w badanym przez ciebie wypadku Gennie Smiley.

– Musimy wznowić tę sprawę – odparował Minor.

– Już ją zaczęliśmy na nowo – odcięła się Syd. – Ustalenie, kto próbował cię zabić i moje śledztwo w sprawie wojny gangów oszustów ubezpieczeniowych idą teraz jednym torem. W poniedziałek popchniemy tę sprawę do przodu.

– W poniedziałek?! – spytał wstrząśnięty Dar. – Ależ mamy dopiero sobotnie popołudnie.

– A ja nie miałam cholernego wolnego weekendu od siedmiu miesięcy – odburknęła Sydney i potoczyła dziko oczyma. – Chciałabym mieć dla siebie choć jeden dzień i przespać spokojnie jedną noc w odnowionym wozie, a dopiero potem ruszyć dalej. Darwin rozłożył ręce.

– Wiesz, minęło sporo czasu, odkąd sam miałem wolną choćby niedzielę.

– Więc się zgadzasz? – spytała, wyciągając dłoń.

– Zgadzam się – odrzekł. Wziął jej rękę i uściskał.

Syd wyciągnęła obie dłonie, przyciągnęła nagle jego twarz do swojej i pocałowała go powoli, lecz mocno i pewnie w usta. Potem ruszyła do drzwi.

– Zdrzemnę się teraz trochę, ale kiedy wrócę tu wieczorem, liczę na grillowane steki.

Minor patrzył za odchodzącą przez chwilę nawet rozważał, czy nie powinien pójść za nią do wozu, potem zrugął się w myślach za te próżne dumania. W końcu wsiadł do auta i pojechał do miasta po steki i dodatkowe butelki piwa.

Rozdział dziesiąty

J JAK JORGE

Dar zapiął pasy pilota, po czym rozsiadł się wygodniej na siedzeniu jednomiejscowego szybowca wyczynowego L-33 Solo. Sprawdził pedały sterowania kierunkowego, a następnie rozejrzał się. Ken prowadził po pasie holownik marki Cessna, natomiast brat Kena, Steve, stał i obserwował napiętą sześćdziesięciometrową linę. Ken zatrzymał na moment holownik, Steve zaś zajrzał w tym czasie przez szybkę do kokpitu i pokazał Darwinowi jeden ze swych sekretnych gestów: zacisnął dłonie w pięści, wykonał nimi okrężny ruch, w końcu wystawił oba kciuki. Całość oznaczała: „Sprawdź zespół przyrządów do sterowania”. Minor dokonał ponownej kontroli i uniesionym kciukiem potwierdził swoją gotowość do lotu.

Steve dał znak bratu w holowniku, po czym wykonał kolejny sekretny gest, przesuwając prawą ręką z prawej strony na lewą. Holownik ruszył, lina łącząca go z szybowcem naprężyła się. Ken obejrzał się z jednomiejscowej cessny. Steve znów zajrzał do Darwina, który kiwnął głową, prawą dłoń ułożył na drążku sterowym, lewą pozostawiając na kolanie, choć w każdej chwili, w razie najdrobniejszych nawet kłopotów, gotów był pociągnąć uchwyt zwalniający zaczep holowniczy. Holownik przyspieszył, szybowcem szarpnęło lekko, a później zaczął podskakiwać najpierw na trawiastym pasie, potem na asfaltowej drodze startowej.

Rozwijając niezbędną do startu prędkość, Dar sprawdził ponownie kolejne elementy według spisu, którego nauczył się kiedyś na pamięć – wysokościomierz, pasy, przyrządy do sterowania, osłona kabiny pilota, lina, kierunek. Wszystko było w porządku. Przesunął się nieznacznie, starając się uzyskać maksymalny komfort. Oprócz biodrowego pasa bezpieczeństwa i pasów naramiennych miał też na plecach spadochron model 305 Strong Para-Cushion. Dokładniej mówiąc, był to spadochron połączony z podkładką pod pośladki oraz dodatkową dmuchaną warstwą przy plecach, dzięki której Darwinowi siedziało się wygodniej na fotelu szybowca. Większość znanych mu pilotów szybowców wyczynowych gardziła spadochronami, jednak dwóch jego znajomych zginęło właśnie z tego powodu: jeden w kompletnie głupiej kolizji powietrznej nad Mount Palomar kilka kilometrów na północ stąd, a drugi w wysoce nieprawdopodobnym wypadku – gdy wykonywał pętle, lewe skrzydło szybowca po prostu się oderwało.

Dar lubił zarówno fizyczny komfort związany z tym wyjątkowym spadochronem, jak i komfort umysłowy, który mu zawdzięczał.

Solo oczywiście opuścił ziemię przed holownikiem. Darwin utrzymywał maszynę dobry metr osiemdziesiąt ponad pasem startowym, aż Ken poderwał cessnę w powietrze na wysokość stu kilkudziesięciu metrów. Wówczas Minor wprowadził

szybowiec w normalną pozycję holowniczą, pozostając tuż nad małą cessną Kena. Oficjalnie Dar używał standardowej techniki górskiej, czyli trzymał maszynę w jednym rzędzie z holownikiem, co oznaczało, że holownik znajdował się w stałej pozycji przed przednią szybą szybowca, tuż ponad jego prostym pulpitem sterowniczym. Po prawdzie jednak stosował sztuczki wykwalifikowanych pilotów, wybierając jakieś miejsce względem holownika i w nim pozostając. Ten manewr wymagał umiejętności przewidywania i nieco... telepatii, ale ponieważ Ken holował Darwina już kilkaset razy, oba te warunki mogły być spełnione.

Ranek był piękny, widoczność bez ograniczeń, z zachodu wiał lekki wietrzyk o sile trzech węzłów. Szybowiec wspinał się unosząc fenomenalne prądy termiczne, powstające na pogórzach i w górach, wokół mieszczącego się w dolinie pasa startowego. Kiedy Minor osiągnął wysokość trzystu metrów, zauważył dalej na zachodzie front burzowy. Przy takim wietrze burza zapewne szybko dotrze do wybrzeża i uniemożliwi szybowanie na dobre kilka godzin.

Holownik i L-33 Solo Minora leciały w równym, mocnym tempie. Holownik skręcił najpierw na północ, potem na zachód, wzleciał wyżej, po czym wybrał kurs północno-wschodni i leciał pod wiatr, kierując się ku Mount Palomar. Na umówionej wcześniej wysokości sześciuset metrów lina holownicza napięła się i maksymalnie wyprężyła. Gdy Darwin miał pewność, że Ken to zauważył, pociągnął uchwyt zwalnicza zaczepu liny i uwolnił maszynę. Ken wprowadził cessnę w gwałtowne zejście.

Teraz szybowiec Dara unosił się już sam, wznosząc się na prądach termicznych z pogórza i stromych grzbietów położonych na północ od lotniska. Darwin rozsiadł się wygodnie i cieszył ciszą, którą zakłócał jedynie uspokajający pęd powietrza, ocierającego się o metalowe skrzydła i kadłub maszyny.

W niedzielę rano Dar obudził się wcześnie. Wstał, przygotował kawę, wyjął bajgle i płatki. Zostawił Syd notkę i właśnie miał jechać do portu szybowcowego Warner Springs, kiedy kobieta stanęła w drzwiach. Miała na sobie dżinsy, czerwoną koszulę z bawełny i lekką kamizelkę khaki z licznymi kieszeniami. Kamizelka skrywała kaburę z pistoletem, którą miała przy pasku.

- Byłam na spacerze – wyjaśniła. – Wyrwasz się gdzieś beze mnie?
- Taaa – odparł Darwin i opowiedział o planowanym locie szybowcem.
- Chciałabym pojechać z tobą.

Minor zawahał się.

- Znudzi cię stanie na pasie i czekanie na mój powrót – stwierdził. – Może lepiej

posiedzisz tutaj i przejrzysz niedzielne gazety... Zaraz podjadę po nie na krzyżówkę. W pobliżu skrzynek pocztowych jest automat z prasą.

– Nie mogę polecieć z tobą? – spytała.

– Nie – odparł Dar z niezamierzoną szorstkością. – Chodzi o to – dodał szybko – że szybowiec jest jednomiejscowy.

– Chętnie jednak popatrzę – upierała się Syd. – Poza tym pamiętaj, że nie jestem tu właściwie gościem, który przyjechał odwiedzić cię w weekend, ale twoim ochroniarzem.

Wyplukali termos gorącą wodą i napełnili go kawą spakowali kilka bajgli i ruszyli. Przejechali miasteczko Julian, dotarli na autostradę 78, tam skręcili na północny-zachód, przejechali kaniony, wjechali na autostradę 79 i wreszcie znaleźli się w rozległej dolinie Warner Springs. Syd zaskoczyło odkrycie, jak mały jest szybowiec Darwina.

– Mam wrażenie, że składa się wyłącznie z kadłuba, skrzydeł i ogona – zauważyła, kiedy Minor odwiązywał maszynę.

– Niewiele więcej potrzebujesz, jeśli chcesz się unosić na wietrze – odparł.

– Czyli szybować – upewniła się Sydney.

– Właśnie.

Syd podtrzymała jedno skrzydło, tymczasem Dar podniósł belkę ogonową, a następnie we dwoje wypchnęli czerwono-białe solo z magazynu na trawiasty nasyp pasa startowego. Ken przyleciał na holowniku Cessna, lądując po wprowadzeniu kolejnego szybowca na odpowiedni kurs.

– Jest lekki – oceniła Syd, z łatwością poruszając skrzydłem w górę i w dół – a jednak wykonany z metalu. Sądziłam, że szybowce składają się z drewnianej ramy obciągniętej płótnem albo czymś podobnym. Tak jak stare dwupłatowce.

– To jest L-33 Solo – wyjaśnił Darwin. – Zaprojektował go Czech Marian Meciar. Szybowce te wciąż konstruuje fabryka LET w Republice Czeskiej. Prawie cała maszyna jest zbudowana z pewnego stopu aluminium. Wyjątkiem jest materiał na sterowej części ogona. Cały, pusty szybowiec waży zaledwie dwieście siedemnaście kilogramów.

– Czy Czesi robią dobre szybowce... wyczynowe? – spytała Sydney, kiedy Dar otwierał kabinę pilota i układał na siedzeniu swój szczególny spadochron.

– Ten bez wątpienia im się udał – przyznał. – Musiałem tylko zeszlifować warstwę farby, gdyż przy sześćdziesięciu ośmiu kilometrach na godzinę maszyna stawiała zbyt duży opór. Poza tym ten model ma tendencję do opadania wskutek przeciągnięcia bez uprzedniego ostrzegawczego trzepotu, ale dla pilota z wystarczająco długim doświadczeniem nie ma on tajemnic. Naprawdę dobrze się na nim lata.

– Hm... Jak długo lataasz na szybowcach wyczynowych?
– Około jedenastu lat – odparł Darwin. – Zacząłem w Kolorado, w okolicach pasma Front Range, a kiedy sprowadziłem się tutaj, kupiłem tę maszynę.
Sydney otworzyła usta, wyraźnie zamierzając coś powiedzieć. Przez chwilę wahała się.
– Ile – spytała w końcu – taki szybowiec kosztuje...? Jeśli mogę zapytać.
Dar posłał jej uśmiech.
– Kupiłem go za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i naprawdę jest wart swojej ceny. Chyba jednak nie o to chciałaś mnie spytać. Zgadza się?
Kobieta przyglądała mu się kilka sekund bez słowa.
– Wiem, że nie lataasz, gdy nie musisz. Sądziłam, że nienawidzisz latania.
Dar rozpoczął przegląd przedlotowy – obchodził maszynę i sprawdzał wszystkie elementy.
– Zatem się pomyliłaś – mruknął, nie patrząc na przyjaciółkę. – Uwielbiam latać. Powiedzmy, że nie lubię być w powietrzu pasażerem.

Wspominając tę rozmowę, ustawił maszynę pod wiatr i na prądzie powietrznym zaczął się wznosić nad pogórzem, które rozciągało się u stóp Mount Palomar. Na wschodzie widział teraz samotny, sięgający prawie tysiąca siedmiuset metrów, Beauty Peak oraz niemal o kilometr wyższy Toro Peak, położony bardziej na południowy-wschód. Minor uwielbiał korzystać z prądów termicznych tych zachwycających grzbietów i wzgórz.

L-33 Solo, podobnie jak większość szybowców wyczynowych, posiadał bardzo skromne oprzyrządowanie kontrolno-sterownicze. Darwin miał zatem do dyspozycji drążek sterowniczy, cylindryczne pedały sterownicze, krótki uchwyt do sterowania poprzecznego, zespół hamulców aerodynamicznych, kolejny uchwyt służący do opuszczania i zamykania podwozia, dużą gałkę z uchwytem zwalnicza zaczepu liny holowniczej oraz małą tablicę przyrządów z wysokościomierzem, a także mierzący prędkość pionową wariometr i zwykły prędkościomierz. Mały szybowiec wyczynowy nie posiadał ani radia, ani elektronicznych urządzeń do nawigacji. Właściwie Dar najczęściej korzystał z kawałka kolorowego sznurka przymocowanego do kadłuba bezpośrednio przed kokpitem. Zachowanie tego sznurka i własna umiejętność rozróżniania rozmaitych dźwięków, wydawanych przez wiatr nad skrzydłem i kadłubem, lepiej niż przyrządy wskazywały mu prędkość maszyny. Dar z doświadczenia wiedział, że może ufać rurce Pitota zamontowanej na dziobie kadłuba i przekazującej dane związane z szybkością wiatru i szybowca do

prędkościomierza, nie dorównywały mu jednak dwa dajniki ciśnienia statycznego po bokach z tyłu kadłuba, rejestrując prędkość powietrza o jakieś sześć procent wyższą niż była w istocie. Póki Darwin pamiętał o tym odstępstwie, nic mu nie groziło. Nigdy nie miał kłopotów z obliczeniami, a sznurek zbaczania też nigdy go nie okłamał.

Rozglądając się stale, dzięki czemu nie tracił z oka innych szybowców i motoszybowców (widział zresztą tylko kilka daleko na wschodzie), Dar odszukał wznoszące prądy termiczne, pochodzące od skierowanych na wschód zboczy pogórza, nagich skał, a nawet dachów grupki znajdujących się poniżej domów. Ponad sześćset metrów ponad solo, bliżej Mount Palomar, krążył leniwie duży jastrząb wykorzystujący mocny prąd termiczny. Teraz na wschodniej stronie gór pojawiły się nieliczne obłoki, a na zachodnim zboczu Mount Palomar Minor dostrzegł gnaną fenem ścianę ciężkich chmur, których część przesuwiała się za szczyt. Dalej, na zachodzie widział wielką, czarną warstwową chmurę deszczową oraz kłębiasto-warstwowe stratocumulusy; nad wybrzeże nadchodziła burza. Burza go nie martwiła. Miał plan kontynuować lot podstawowy, wzbogacony o obroty i wznoszenia na górskich prądach termicznych, aż będzie na bezpiecznej wysokości dwóch i pół tysiąca metrów, a potem chciał się zmierzyć ze strefami noszenia i opadania, które znalazł na stronie zawietrznej dużych szczytów. Manewry te, nazywane szybowaniem falowym, wymagały nieco więcej doświadczenia i talentu niż proste latanie na prądach.

Minął pasmo górskie, znalazł silniejsze prądy termiczne na zalanych słońcem płytach skalnych, wznosił się nieco, po czym gwałtownie opadł znów wraz z wiatrem ku wschodowi, wreszcie wykorzystał efekt Venturiego, wznosił się i poszybował wśród szczelin między niższymi wierzchołkami, rozglądając się potem za kolejnym prądem termicznym. Szukanie punktów anabatycznych i prądów na wschodnim stoku oznaczało lot w odległości sześćdziesięciu, a nawet trzydziestu metrów od stromych zboczy, czasami jeszcze mniejszej. Porastające te zbocza wysokie daglezie zielone i sosny żółte wydawały się bardzo bliskie za każdym razem, gdy Dar leniwie przechylał szybowiec w prawo i w górę; wariometr wskazał wznoszenie w metrach na sekundę. Spojrzał przez lewe ramię za siebie, na pasmo, które właśnie minął, i dostrzegł tam trzy jelenie przebiegające spokojnie pagórek. Wokół siebie słyszał jedynie cichy szum wiatru muskającego osłonę kabiny i aluminiowy kadłub. Poranne słońce grzało coraz goręcej i Darwin rozsunął leciutko pleksiglasowe okienka po lewej i prawej, a wtedy poczuł ciepło wznoszących go wiatrów. Wyczuł też drobny spadek osiągów związany z zakłóceniem przepływu powietrza nad osłoną kabiny.

Przeleciał nad ostatnimi stromymi grzbietami przed poważnymi szczytami górskimi, zbliżając się do nich wraz z wiatrem, czyli bardzo szybko. Nabrał też dodatkowej wysokości, niemniej jednak przez cały czas gotów był do nagłego

przechyli, zwrotu i ucieczki, jeśli tylko lot w zstępujących prądach powietrza okaże się dla niego zbyt trudny. Zawsze udawało mu się minąć grzbiet wzgórza – czasami zaledwie dziesięć czy dwanaście metrów nad tym czy innym skalnym szczytem lub wierzchołkami sosen – później zaś wznosił się i szybował ku następnemu. Tym razem także trafił na zachód od linii wysokich wzgórz, ponad tysiąc osiemset metrów nad powierzchnią doliny i zbliżał się do zbocza Mount Palomar, odchylając się na boki wobec coraz silniejszych wiatrów. Planował wzniesienie z równoczesnym podejściem. Poprzez chmury soczewkowe w kształcie latających spodków, które wyglądały jak sterta ułożonych na półce półmisków, zobaczył strefę wzniesień.

Spojrzał przez ramię, zanim zaczął skręt pod kątem dwustu siedemdziesięciu stopni. Dzięki temu zwrotowi zyskał nieco wysokości i zupełnie nieoczekiwanie zauważył inny szybowiec, który nadlatywał z góry po prawej stronie. Piloci wyczynowych szybowców nie lubili latać w formacjach, gdyż groziło to poważnymi, niebezpiecznymi kolizjami w powietrzu, toteż pojawienie się tej maszyny tak blisko solo naprawdę zaszokowało Darwina. Coś takiego było niezwykle, a może nawet nieuprzejme ze strony tamtego pilota. Szczególnie że cała przestrzeń powietrzna wokół niego miała być dzisiaj pusta.

Kiedy jednak błękitnobiały szybowiec podleciał jeszcze bliżej, Dar natychmiast zidentyfikował go jako twin astira Steve'a: ładny, dwumiejscowy szybowiec, którym właściciel portu latał z klientami, jednych szkoląc, innych po prostu zabierając na krótkie wycieczki. Chwilę później na siedzeniu obok Steve'a Minor rozpoznał Syd.

Przez sekundę czuł rozdrażnienie, ale zaraz odprężył się i poluźnił rękę, którą ścisnął drążek sterowniczy. Dzień był prawdziwie piękny. Skoro Sydney chciała się przelecieć, czyż mógł jej tego zabronić?

Tyle że twin astir Steve'a zbliżał się coraz bardziej, kołysząc skrzydłami. Kołysanie skrzydłami stanowiło sygnał używany podczas holowania powietrznego i oznaczało „zwolnij zaczep”, ale Darwin nie miał pojęcia, o czym Steve chciał go teraz poinformować. Szybowce leciały naprzeciwko siebie, końcówki skrzydeł dzieliła odległość zaledwie dziesięciu metrów. Oba wznosiły się szybko, wykorzystując falę znad Mount Palomar.

Syd dawała Darowi jakieś znaki. Trzymała w ręce telefon komórkowy, udawała, że mówi coś do słuchawki, po czym wskazała za siebie, na dolinę Warner Springs.

Minor kiwnął głową. Steve oderwał się jako pierwszy, przyspieszył nad pogórzem, a następnie najprostszą drogą skierował się ku lądowisku. Darwin leciał kilkaset metrów za nim. Gdy wyleciał z obszaru wzgórz i znalazł się nad rozległą doliną, poszybował za twinem astirem do zwykle używanego, południowego punktu wlotowego portu Warner Springs. Widząc, że druga maszyna opada ze wschodnim wiatrem, opadł na dwieście kilkanaście metrów nad ziemię, na wysokości stu

dwudziestu metrów skręcił na północ, przez chwilę obserwował Steve'a lądującego gładko na trawie, na prawo od asfaltowego pasa, a w końcu wybrał odpowiedni punkt na wyrównanie przed przyziemieniem i sam zaczął opadać – jakieś czterdzieści pięć metrów za tamtym.

Wiatr był teraz porywisty, lecz Dar leciał w dół równo, utrzymując podczas końcowego podejścia równomierną prędkość. Kolorowy sznurek trzepotał, sugerując minimalną prędkość przeciągnięcia, a także wskazując szybkość wiatru, która wynosiła obecnie około dwunastu węzłów.

Steve wybrał dość stromy kąt zejścia, Dar poszedł w jego ślady. Dzięki użyciu spojlerów i klap zachował właściwą ścieżkę schodzenia, przez chwilę sunął na torze idealnie równoległym do powierzchni, na wysokości dokładnie trzydziestu centymetrów. W ostatnich sekundach przed osadzeniem maszyny poczuł lekki wiatr boczny. Za pomocą drążka sterowniczego wyrównał dziób czeskiego solo i wreszcie osiadł tak delikatnie, że ledwie wyczuł kontakt kół z podłożem. Skupił teraz uwagę na sterze, łagodnie hamując na porośniętym krótką trawą pasie, aż w końcu zatrzymał się gładko niecałe dwa metry za twin astirem Steve'a. W kilka sekund otworzył osłonę kabiny, zdjął spadochron i odpiął pasy. Sydney już ku niemu biegła.

– Dzwonił Dickweed – zawołała, zanim Dar zdążył się odezwać. – Jorge Murphy Esposito nie żyje. Jeśli się pospieszymy, może zdołamy dotrzeć na miejsce zbrodni, zanim inni je zadcpczą.

Kiedy przyjechali na miejsce wypadku w południowej części San Diego, intensywnie padało. Postanowili zabrać z sobą bagaże, dokumenty i kasety wideo, więc stracili nieco czasu na powrót do domku, pakowanie, załadunek i dokładne zamknięcie wszystkich drzwi. Jechali do miasta szybko, ale gdy dotarli na teren budowy, ciało Esposito zabrał już coroner, a miejsce wypadku otaczała żółta taśma policyjna. Wokół kręciło się jeszcze kilku mundurowych i techników.

Ludźmi dowodził kapitan Frank Hernandez, który również uczestniczył w środowym spotkaniu w biurze Dickweeda. Był to mężczyzna o interesującej twarzy, niski, lecz mocno zbudowany – z lekką nadwagą, chociaż sprężysty i zawsze wyprostowany. Nie marnował na głupców ani słów, ani czasu. Darwin wiedział od Lawrence'a, i nie tylko od niego, że Hernandez jest uczciwym policjantem i doskonałym dochodzeniowcem.

– Co tu robicie oboje? – spytał kapitan Dara i Syd, którzy przebijali się w ulewnym deszczu ku owiniętemu żółtą taśmą załamanemu podnośnikowi nożycowemu.

– Telefonowali z biura prokuratora okręgowego – wyjaśniła Sydney. – Esposito był potencjalnym świadkiem w naszym śledztwie.

Hernandez odchrząknął i nieznacznie się uśmiechnął, słysząc słowo „świadek”.

– Rozumiem pani zainteresowanie panem Esposito, główna oficer śledcza – stwierdził. – Był na pewno najlepszym z tutejszych ubezpieczeniowych naganiaczy.

Syd pokiwała głową i przyjrzała się podnośnikowi nożycowemu. Ciężka platforma wznosiła się na wysokość dziesięciu metrów. Teraz podtrzymywały ją lewarki po obu stronach. Podczas gdy wszędzie wokół ziemia była błotnista, pod samym urządzeniem wydawała się niemal zupełnie sucha – z wyjątkiem widocznych tam plam krwi, kawałków mózgu i śladów jakiegoś ciemniejszego płynu. Drobinki i krople substancji mózgowej znajdowały się także na ścianie z pustaków za podnośnikiem.

– Jest pan tutaj, kapitanie, ponieważ podejrzewacie zabójstwo? – spytała kobieta Hernandez.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Mamy świadków, którzy twierdzą coś innego. – Skinął głową ku miejscu, w którym stał kierownik budowy. Mężczyzna trzymał w rękach notes i mówił coś do funkcjonariusza w mundurze. – Na terenie znajdowało się dziś tylko kilku pracowników – kontynuował kapitan. – Vargas... czyli kierownik budowy... nie widział, kiedy mecenas Esposito się zjawił, zauważył go jednakże w pewnym momencie przy podnośniku, pogrążonego w rozmowie.

– Czy rozpoznał osobę, z którą rozmawiał Esposito? – zapytała Sydney. Hernandez znów skinął głową.

– Paulie Satchel. Kiedyś tu pracował, ale później miał wypadek i pozwał firmę...

– Pozwoli pan, że wysunę odważne przypuszczenie – wtrąciła Syd. – Esposito był jego pełnomocnikiem. – Hernandez uśmiechnął się, choć w jego ciemnych oczach nie było rozbawienia. – Czy ten Satchel jest podejrzany? – spytała.

– Nie – odparł Hernandez z całym przekonaniem. – Szukamy go jedynie z zamiarem przesłuchania. Ma być po prostu świadkiem. Kierownik, to znaczy Vargas... widział Satchela, jak wychodził, jeszcze zanim zaczęło padać. A Esposito stanął pod podnośnikiem, ponieważ chciał się schować przed deszczem. Platforma podnośnika znajdowała się wówczas na wysokości trzeciej kondygnacji. Mecenas był zupełnie sam, kiedy Vargas widział go tam po raz ostatni. Potem nagle nożyce się ugięły, podnośnik załamał, a Esposito najprawdopodobniej uskoczył w niewłaściwą stronę, czyli pod ścianę... No i głowa utknęła mu w nożycach.

Sydney przyjrzała się kawałkom szarej substancji mózgowej na suchej ścianie z pustaków, po czym spytała:

– Czy Vargas widział sam wypadek?

– Nie – odparł kapitan. – Odwrócił głowę, gdy tylko usłyszał odgłos załamujących się nożyc. Twierdzi, że wokół podnośnika nie dostrzegł nikogo.

– W jaki sposób nożyce podnośnika mogły się ot tak załamać? – zastanowił się głośno Dar, robiąc zdjęcia aparatem cyfrowym.

Hernandez zmierzył go wzrokiem od góry do dołu, potem przyglądał mu się jeszcze oceniająco przez długą chwilę, w końcu odrzekł:

– Vargas uważa, że Esposito sam manipulował przy jednym ze słupków. Właśnie tam robotnicy napełniają i osuszają zbiorniki hydrauliczne. Gdy się poruszy nieodpowiednią śrubę, ciśnienie płynu hydraulicznego może się szybko zmniejszyć, a wówczas prawie natychmiast nożyce się składają i podnośnik opada.

– Po co Esposito miałby robić coś takiego? – zdumiała się Syd.

Kapitan odgarnął z czoła mokre, czarne włosy.

– Mecenasa Esposito był moim zdaniem nieudacznikiem i partaczem – odfuknął po prostu.

Minor zbliżył się do podnośnika, nie wszedł pod platformę, lecz kucnął przy niej i przyjrzał się suchemu obszarowi pod nią.

– Widzę tutaj nie tylko ślady butów pana Esposito.

– Zgadza się – przyznał Hernandez. – Resztę wydeptali zapewne sanitariusze, którzy wyciągali zwłoki. Był też koroner, który stwierdził zgon. Kiedy mnie wezwano, dostrzegłem jedynie ślady butów mecenasa.

– Skąd pan to wie? – zdziwił się Dar.

Kapitan westchnął.

– Zna pan jakichś budowlańców w mokasynach marki Florsheim?

Sydney ukucnęła obok Darwina, włożyła rękę do oznaczonej żółtą taśmą strefy, zanurzyła palce w niewielkiej kałuży ciemnego płynu, po czym je podniosła i dokładnie obejrzała.

– Czyli że ta nieznama nam ciecz to płyn hydrauliczny...

– Zgadza się – przyznał kapitan Hernandez. – Reszta to płyny i części nieszczęsnego Esposito.

– Ale sprawa pozostaje otwarta? – upewniła się Syd. – Ze względu na pogwałcenie przepisów.

– Porozmawiamy najpierw z Pauliem Satchelem – odparł Hernandez. – Przesłuchamy też oficjalnie pozostałych facetów, którzy znajdowali się wówczas na miejscu incydentu. Ktoś taki jak Jorge Esposito ma wielu wrogów i sporo... konkurentów. Tym niemniej wszystkie szczegóły wskazują jednoznacznie na wypadek.

– Co z Vargasem? – spytał Dar. Hernandez zmarszczył brwi.

– Pyta pana o kierownika? Człowiek pracuje w tej firmie od osiemnastu lat. A poza

tym jest czysty jak ła. Nie ma na swoim koncie nawet mandatu.

– Pan Esposito pozwał firmę o odszkodowanie – zauważyła cicho Sydney.

Kapitan potrząsnął głową.

– W momencie katastrofy Vargas był w głównym baraku, gdzie rozmawiał przez telefon z jednym z architektów. Możemy sprawdzić billingi i przesłuchać architekta. Moim zdaniem jednak Vargas jest czysty. Czuję to w kościach.

– Instynkt? – spytał Darwin zaciekawiony jak zawsze, gdy policjanci oddawali się dedukcji. Prawie wierzył w ich szósty zmysł.

Hernandez spojrział na niego z ukosa, jawnie doszukując się w tej uwadze sarkazmu. Nic wszakże nie powiedział.

Milczenie przerwała Syd.

– Dokąd koroner zabrał ciało?

– Do kostnicy miejskiej – odrzekł kapitan, wciąż wpatrując się w Minora zimnymi, ciemnymi oczyma. W końcu przeniósł wzrok na Sydney. – Zamierza pani tam pojechać?

– Prawdopodobnie.

Hernandez wzruszył ramionami.

– Trup Esposito nie stanowił szczególnie ładnego widoku, kiedy tu przyjechaliśmy... Wątpię, czy w kostnicy prezentuje się choć odrobinę lepiej. Ale cóż... każdy może spędzać niedzielę tak, jak lubi.

Dar zauważył w ostatnich latach, że w filmach kostnice zawsze były wypełnione nagimi ciałami pięknych młodych kobiet oraz koronerami, w których role wcielali się przywodzący na myśl tłuste wieprze aktorzy o nieczułych twarzach. Lekarz sądowy hrabstwa San Diego, doktor Abraham Epstein, był jednak niskim, starannie ubranym mężczyzną tuż po sześćdziesiątce, który przemawiał tak cicho i poważnie, że przywodził na myśl raczej wyjątkowo szczerego właściciela zakładu pogrzebowego. Darwin i Syd, pragnąc obejrzeć zwłoki Esposito, nie musieli również przechodzić obok żadnych trupów, lecz zgodnie z nową procedurą siedzieli w niewielkim, ładnym pokoju i oglądali na trzydziestodwucalowym monitorze film z oglądu ciała nakręcony kamerą wideo o wysokiej rozdzielczości. Gdy na ekranie pojawiła się twarz mecenasa Esposito, Minor aż się wzdrygnął. Czuł, że siedząca obok niego Sydney zareagowała podobnie.

– W terminologii medycznej – odezwał się cicho doktor Epstein – nazywamy coś takiego obliczem zmrożonego przerażenia. Termin jest przestarzały, lecz całkiem odpowiedni.

– Dobry Boże – jęknęła Syd. – Widziałam w życiu wiele trupów i wiele z tych osób zmarło wskutek gwałtownej śmierci, nigdy jednak...

– Taka mina – podjął lekarz – zdarza się rzeczywiście niezwykle rzadko. Zwykle zjawisko śmierci, nawet śmierci gwałtownej, eliminuje większość lub całość emocji... przynajmniej póki nie rozpocznie się stężenie pośmiertne. Chociaż w rzadkich przypadkach, zwłaszcza gdy dochodzi do zgonu w wyniku ciężkiego i natychmiastowego urazu... na przykład na polu bitwy...

– Bądź też w wyniku załamania się podnośnika nożycowego – wtrącił Dar.

– Właśnie – przyznał doktor Epstein. – Jak widzicie, szczyt czaszki został nie tylko rozcięty i zdarty, jak to mówimy, lecz sama czaszka została także gwałtownie ściśnięta. Większa część substancji mózgowej wydostała się, reszta natomiast straciła kontakt z centralnym układem nerwowym nieboszczyka w czasie krótszym, niż zajmuje przemieszczenie się po ciele impulsów nerwowych.

Przez moment siedzieli w milczeniu, które przerywał jedynie cichy odgłos wciskania klawiszy kieszonkowego kalkulatora, gdyż Dar znów coś przeliczał. Oblicze Jorge Murphy'ego Esposito gapiło się na nich z wielkiego monitora. Oczy mecenasa patrzyły gdzieś w górę, jakby mężczyzna przed śmiercią obserwował opadającą na niego gilotynę, usta miał otwarte wręcz niemożliwie szeroko we wrzasku, który najpewniej przerwała dopiero śmierć, mięśnie jego twarzy i szyi wykrzywiły mu rysy niemal do absurdu przypominające postaci z kreskówki – a wszystko to pod odciętym czubkiem czaszki. Pozostałe kości i resztki włosów nadawały prawnikowi wygląd człowieka, któremu zerwało połowę peruki.

– Doktorze Epstein – odezwał się w końcu Minor – zgodnie z moimi obliczeniami, gdyby platforma znajdowała się na maksymalnej wysokości... czyli takiej, o jakiej nam wspomniał kierownik budowy i nieliczni pracujący dziś na budowie robotnicy... utrata płynu hydraulicznego oznaczałaby, że platforma osiągała niemal maksymalną prędkość opadania prawie natychmiast. Musiała zatem spaść na pana Esposito w czasie krótszym niż dwie sekundy.

Lekarz sądowy powoli pokiwał głową.

– Jest to zgodne z badaniami nad tak zwanym obliczem zmrożonego przerażenia. Aby doszło do takiego zjawiska, mózg ofiary musi zostać... odłączony... od układu nerwowego w 1,8 sekundy lub jeszcze szybciej. Wtedy wyraz twarzy zachowuje obraz lęku, który przeżyła ofiara.

Darwin spojrzął na Syd.

– Jak daleko w twojej opinii znajdowało się ciało Esposito od słupa, w którym poluzowano śrubę, powodując wyciek płynu hydraulicznego?

– Platforma miała niecałe cztery metry szerokości – odparła Sydney. – Mecenas znajdował się na stronie przeciwnej od kolumny z wykręconą śrubą, a jego głowa

wystawała na kilka centymetrów z podpórek nożyc. Moim zdaniem raczej próbował uciec.

– Sądziysz, że zdołałby poluzować tę śrubę i przeskoczyć tak wielką przestrzeń w niecałe dwie sekundy? – naciskał Minor.

– Na pewno nie – odrzekła kobieta. – W dodatku jeśli, co zresztą sugeruje jego mina, Esposito rzeczywiście widział upadek platformy, usiłowałby instynktownie... jak każdy na jego miejscu... skoczyć do przodu zamiast pod platformę. Nikt w takim przypadku nie wbiegałby pod spadający beton i nie przyciskał się do ściany.

Dar odłożył kalkulator – Jest coś jeszcze – dorzucił doktor Epstein, po czym poprowadził ich do laboratorium, które mieściło się między poczekalnią i metalowymi szufladami kostnicy. Tutaj na półkach leżały różne worki, większość opatrzona etykietkami z międzynarodowym symbolem oznaczającym materiały skażone. Lekarz wyciągnął z jednej szuflady jakieś pudełko, nałożył jednorazowe rękawiczki chirurgiczne w typie, jakiego używali sanitariusze od początku epidemii AIDS, identyczne wręczył zarówno Darwinowi, jak i Syd. Rozwinął jeden z przezroczystych worków. Nalepka na nim głosiła: ESPOSITO, M. JORGE i miała dzisiejszą datę oraz numer sprawy.

– Policja oczywiście wszystko uwieczniła na fotografiach i kasetach wideo – powiedział doktor Epstein – powinniście jednak coś państwo zobaczyć.

Otworzył worek, wyjął z niego ubranie mecenasa i rozłożył je na stole z nierdzewnej stali. Stół wyposażony był w rowki na spływającą z ciała krew.

Minor zauważył, że prążkowany garnitur należał raczej do tych tańszych, a pokrywająca go krew i kawałki mózgu bynajmniej nie dodały mu atrakcyjności. Biała koszula była niemal zupełnie czerwona. Esposito nosił krzykliwy, żółty krawat, obecnie ubrudzony plamami w odcieniu karmazynu.

Lekarz sądowy podniósł rękawy marynarki garnituru prawnika, a potem rękawy koszuli.

– Popatrzcie – rzucił.

Syd natychmiast skinęła głową.

– Krew... ludzka tkanka... ale nie ma płynu hydraulicznego.

– Dokładnie – przyznał doktor Epstein modulowanym, bolejącym tonem. – Nie było płynu hydraulicznego na rękach ofiary, twarzy ani górnej części ciała. Ale tutaj...

Podniósł nogawki spodni. Dar chwycił je i unióś bardziej do światła. Prawa nogawka spodni była aż czarna i oleista od płynu hydraulicznego. Lekarz wyjął z dna worka znoszone czarne mokasyny ze wzmocnionymi piętami. Na obu butach była krew, jednak tylko w skórę jednego – prawego – wsiąkł płyn hydrauliczny. Nawet podeszwa buta śmierdziała płynem.

– Płyn wyprysnął z rury prawdopodobnie na około dwa i pół metra – zauważyła

Sydney. – Z jakiegoś powodu Esposito znalazł się pod podnośnikiem, prawdopodobnie blisko środka albo bliżej ściany, skąd nie zdołał już uciec. Odwrócił się i wskoczył w szparę między skrzyżowane podpórki podnośnika, akurat gdy nożyce się zamykały. Hydrauliczny płyn rozlał się podczas jego skoku i dlatego tylko nogawki spodni i prawy but są nim nasączone.

– Co mogło powstrzymać kogoś przed wybraniem najkrótszej drogi umknięcia spod spadającej na niego dwutonowej platformy? – zadumał się Dar.

– Co albo kto? – poprawiła go Syd.

Doktor Epstein schował części garderoby do worka na dowody. Zerwał z dłoni pokrwawione rękawiczki, wrzucił je do kosza na odpady skażone, po czym wyszorował ręce nad zlewem. Sydney i Darwin zrobili to samo. Znowu znaleźli się w poczekalni. Na szczęście monitor został już wyłączony. Oboje podziękowali lekarzowi sądowemu. Doktor Epstein uśmiechnął się, choć jego oczy pozostały smutne.

– Sporo wiem o panu Esposito – oświadczył tak cicho, że Minor musiał się pochylić ku niemu, jeśli chciał usłyszeć wszystkie słowa. – Należał do adwokatów szukających klientów wśród ofiar wypadków. Prawie na pewno był ubezpieczeniowym naganiaczem. Tym niemniej spotkała go straszna śmierć, po prostu straszna. I nawet jeśli prowadzący śledztwo kapitan Hernandez i jego ludzie nie wydają się zainteresowani sprawą, w mojej opinii należy zgłosić jego zgon jako podejrzany.

– Bardzo podejrzany – zgodziła się Syd.

– To było morderstwo – ocenił stanowczo Darwin.

We dwoje wyszli w ulewny deszcz.

Rozdział jedenasty

K JAK KRZYŻOWY OGIEŃ PYTAŃ

Było prawie południe, kiedy ford taurus Sydney Olson skręcił z Alei Gwiazd w Century City i zjechał stromym podjazdem ku podziemnym garażom i parkingom.

– Więc zamierzasz mi teraz powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? – spytał Dar, sącząc kawę z 7-Eleven i usiłując jej nie rozlać, podczas gdy Syd wzięła kwit z parkometru i krętym betonowym zjazdem ruszyła szybko w dół. Minorowi wydawało się, że pędzą na złamanie karku, do piekła.

– Jeszcze nie teraz – odparła kobieta. Zauważyła puste miejsce obok pokiereszowanego betonowego filaru i wprawnie w nie wjechała.

Darwin odchrząknął. Nie cierpiał wcześniej wstawać, a jeszcze bardziej nienawidził wjeżdżać do Los Angeles w poniedziałek podczas godziny szczytu. Tego ranka został zmuszony do zrobienia obu rzeczy. Syd podjechała po niego o siódmej trzydzieści, a teraz wiozła go na spotkanie z... No właśnie! Minor nie miał najmniejszego pojęcia, z kim mają się spotkać. Ruch na ulicach był równie paskudny jak zawsze, Sydney prowadziła jednak taurusa spokojnie, lekko ułożywszy szczupły nadgarstek na kierownicy i zatopiona w myślach przebijała się przez korki. Podczas tej długiej jazdy trochę rozmawiali.

Przynajmniej przedstawiciele prasy zniknęli! Gdy Darwin wrócił do domu w niedzielny wieczór, nie czaiły się już telewizyjne sępy; nie było ich też dzisiejszego ranka. Ubiegłotygodniowe „zabójstwo na drodze” stało się już najwyraźniej starą wiadomością, toteż wszystkie kamery wycofano i skierowano w inne miejsca – gdzieś, gdzie reporterzy mogliby nakręcić jakąś fantastyczną historię, na przykład opowieść o skandalu seksualnym z udziałem wysoko postawionej osoby w biurze burmistrza oraz znanej lobbyстки. Fakt, że obie szychy były atrakcyjnymi kobietami, bynajmniej nie osłabiał apetytu prasy.

Kiedy wjeżdżali windą z podziemnego parkingu, Syd spytała:

– Jesteś pewny, że wziąłeś kasetę?

Dar bez słowa podniósł swoją starą aktówkę.

Przeszli korytarz, który Robert Shapiro wynajął na biuro podczas procesu O.J. Simpsona. Apartament biurowy Dallasa Trace’a mieścił się na najwyższym piętrze. Darwina zaskoczyła zarówno przestronność biura, jak i panujący w nim ruch. Gdy znaleźli się za foyer, recepcjonistką i strażnikiem w cywilu, przeszli wielki sekretariat, w którym pracował co najmniej tuzin sekretarek. Zanim dotarli do głównego, narożnego biura, Dar dostrzegł pięć mniejszych pokoi, niewątpliwie obsadzonych przez młodych prawników, współpracowników Trace’a. Drzwi do jego biura były otwarte, a on sam popatrzył na nich, uśmiechnął się i zerwał ze skórzanego fotela,

zachęcając gestem do wejścia. Nie przestawał się uśmiechać, jak gdyby były jego starymi przyjaciółmi.

Minor ponownie zdziwił się wystawnością biura. Przez okna wychodzące na północ widział wzgórze, a ponieważ wczorajsza burza chwilowo przegoniła większość smogu, miał świadomość, że jeśli spojrzy przez zachodnią szklaną ścianę, zobaczy położoną niecałe pięć kilometrów stąd ulicę Bundy Drive w Brentwood, gdzie Nicole Brown Simpson i Ronald Goldman zginęli kilka lat wcześniej z ręki kogoś, kto chytrze się przebrał w DNA O.J. Simpsona.

Darwina zaszokowała także liczebność personelu i elegancja biura, gdyż większość znanych mu obrońców – nawet ci, którym dobrze się wiodło i cieszyli się jako taką sławą – zazwyczaj miała kiepskie, w najlepszym razie przeciętne gabinety, które często opłacali (łącznie z jedną sekretarką i jednym czy dwoma młodymi asystentami) cotygodniowym czekiem. Jak zauważył prawnik i pisarz Jeffrey Toobin, każdy sławny adwokat kryminalny ma dylemat, ponieważ wie, że sukces trudno powtórzyć.

Dallas Trace nie okazywał żadnych oznak finansowych niepokojów. Był wyższy i szczuplejszy, niż wydawał się w telewizji: Dar był pewien, że mężczyzna mierzy co najmniej metr dziewięćdziesiąt. Prawnik miał też przystojną twarz o typowo męskich rysach, twarz faceta z reklamy Marlboro. Jego uśmiech był swobodny i przyciągał spojrzenie do zmarszczek śmiechu wokół oczu oraz ruchliwych mięśni dookoła ust o cienkich wargach. Trace nosił długie, siwe włosy związane z tyłu skórzanym rzemykiem. Intensywnie czarne brwi podkreślały jasnoszare oczy, które wydawały się dzięki nim tym bardziej zaskakujące i interesujące na tle opalanej, pokrytej zmarszczkami twarzy. Jak zwykle ubrany w typową dla siebie koszulę z rzemykiem zamiast krawata, chociaż po dokładniejszym oglądzie Darwin odkrył, że nie jest džinsowa, lecz z niebieskiego jedwabiu; na koszulę Dallas narzucił skózaną kamizelkę rodem z westernów, która wyglądała na wygarbowaną ze stegozaura – starego stegozaura – i prawdopodobnie kosztowała co najmniej kilka tysięcy dolarów. Rzemyk pod kołnierzykiem przytrzymał *de rigueur* [(fr.) – obowiązkowy, zwyczajowy.] medalion ze srebra i jadeitu, natomiast w lewym uchu prawnik-kowboj nosił maleńki kolczyk z diamentem. Dar zawsze zdawał sobie sprawę ze swojego wieku, kiedy reagował negatywnie na biżuterię u mężczyzn. Czasami, siedząc samotnie w letnią noc, potrafił wrzasnąć na telewizor, widząc na ekranie jakiegoś marnego bejsbolistę: „Zrobiłbyś to lepiej, dumniu, gdybyś nie nosił na szyi tego ciężkiego złotego łańcucha!”. Uważał, że reaguje tak z powodu wieku, nietolerancji i może początków choroby Alzheimera, tym niemniej nie potrafił zmienić swojej opinii. A Trace nosił w dodatku sześć pierścieni, jego zamszowe kowbojskie buty marki Lucchese wyglądały zaś na bardzo miękkie i wygodne.

Adwokat uściśnął najpierw dłoń Sydney, potem Darwinowi. Tak jak Dar się spodziewał, wysoki prawnik, chociaż szczupły, miał niezłą siłę w rękach.

– Oficer śledcza Olson, doktorze Minor, bardzo proszę, siadajcie, siadajcie.

Sam niesamowicie szybko wycofał się za ogromny skórzany fotel. Dar sądził, że mężczyzna jest już po sześćdziesiątce, był jednak sprawny jak dwudziestopięcioletni sportowiec. Zresztą Dar widział kiedyś w telewizji dwudziestopięcioletnią żonę Dallasa i domyślał się, że stary miał dobry powód, żeby pozostawać w formie.

Minor rozejrzał się po biurze. Biurko stało w narożniku, otoczone z obu stron szklanymi ścianami. Trace siedział tyłem do szyb, jakby w ten sposób sugerował, że nie ma czasu na oglądanie widoczków. Pozostałe ściany, półki i biblioteczki były pokryte fotografiami, na których Dallasowi towarzyszyły rozmaite sławy i politycy, łącznie z ostatnimi czterema prezydentami Stanów Zjednoczonych.

Prawnik rozparł się na luksusowym fotelu, splótł palce, oparł nogi w mięciutkich zamszowych kowbojkach na krawędzi biurka i przemówił znajomym chropowatym tenorem:

– Czym sobie zasłużyłem na państwa wizytę, pani oficer śledcza i panie doktorze?

– Może słyszał pan o zamachu, którego dokonano na życie doktora Minora w ubiegłym tygodniu – odparła Syd.

Trace uśmiechnął się, podniósł ołówek i postukał nim w swoje doskonałe zęby.

– Ach, tak, sławny drogowy zabójca. Szuka pan prawnej porady, doktorze Minor?

– Nie – odrzekł Dar.

– Przeciwno doktorowi Minorowi nie wniesiono oskarżenia – wyjaśniła Syd. – I prawdopodobnie nie zostanie ono wniesione. Dwaj mężczyźni, którzy do niego strzelali, okazali się zawodowymi zabójcami na usługach rosyjskiej mafii.

Nawet jeśli wiadomości telewizyjne do znudzenia powtarzały raport w tej sprawie, Dallas Trace popatrzył na nią zaskoczony i uniósł ciemne brwi.

– Cóż, jeśli zatem nie przyszedł do mnie w sprawie porady prawnej...

Przerwał i przez moment panowała cisza.

– Kiedy prosiłam o to spotkanie, mecenasie, odniosłam wrażenie, że wie pan, kim oboje jesteśmy – podjęła Sydney.

Uśmiech Dallasa Trace'a rozszerzył się i prawnik wrzucił wyćwiczonym ruchem ołówek z powrotem do skózanego przybornika.

– Oczywiście, że wiem, pani oficer śledcza Olson. Wielce się interesuję wysiłkami prokuratora stanowego w kwestii ukrócenia oszustw ubezpieczeniowych, a także jego współpracą z FBI i Narodowym Biurem do Spraw Przestępstw Ubezpieczeniowych. Pani działalność dochodzeniową w Kalifornii w ubiegłym roku trzeba naprawdę nazwać doskonałą, pani Olson.

– Dziękuję – odparła Sydney.

– A wszyscy zainteresowani fachową rekonstrukcją wypadków znają doktora Darwina Minora – ciągnął adwokat.

Dar nie odezwał się. Patrzył poza sylwetkę Trace'a siedzącego w wysokim fotelu. Obserwował ruch uliczny w Hollywood, Beverly Hills i Brentwood. A dalej można było dojrzeć ciemny zarys morza.

– Doktor Minor przyniósł z sobą kasetę wideo, którą naszym zdaniem powinien pan obejrzeć, panie Trace – powiedziała Syd. – Ma pan pod ręką sprzęt wideo?

Prawnik wduśił przycisk na konsoli interkomu. Minutę później jakiś młody człowiek wtoczył wózek z trzydziestocalowym monitorem i wieżą audio-wideo, w skład której wchodził między innymi magnetowid i odtwarzacz DVD.

– Jest coś, co powinienem wiedzieć, zanim włączymy tę kasetę? – upewniał się Trace. – Pani Olson? Doktorze Minor? Czy zobaczę na niej coś obciążającego albo może jakiś powód, który zmieni nasz stosunek w relację klient-adwokat?

Mówił teraz poważnym tonem, rozbawienie zupełnie zniknęło z jego chrypliwego głosu.

– Nie – odrzekła Sydney.

Dallas Trace wsunął kasetę w magnetowid, zamknął drzwi biura, wrócił na fotel i włączył odtwarzanie pilotem wielkości karty kredytowej. Oglądali zapis w milczeniu. Chociaż, jak zauważył Dar, taśmę oglądali tylko on i adwokat. Sydney bowiem nie odrywała wzroku od twarzy prawnika.

Na ekranie pojawiła się trójwymiarowa animacja komputerowa wypadku: dwaj mężczyźni wychodzili z budynku mieszkalnego, jeden pchnął drugiego pod hamującą furgonetkę, furgonetka objeżdżała kwartał, wracała i ponownie uderzała w ciało nieszczęśnika.

Trace przez cały pokaz pozostał zupełnie nieporuszony.

– Czy rozpoznaje pan wypadek przedstawiony na tej taśmie, mecenasie? – spytała Syd.

– Oczywiście że tak – przyznał Dallas Trace. – To komputerowa animacja ukazująca wypadek, w którym zginął mój syn.

– Pański syn, Richard Kodiak – dopowiedziała Sydney.

Chłodne, szare oczy adwokata przez moment taksowały kobietę, w końcu prawnik przyznał:

– Tak.

– Mecenasie, mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego pana syn nosił inne nazwisko niż pan? – Głos Syd był niski, towarzyski i przyjazny.

– Czy pani mnie przesłuchuje, pani oficer śledcza?

– Ależ naturalnie, że nie, panie mecenasie.

– To dobrze – powiedział Dallas, rozpiernając się w fotelu i ponownie kładąc buty na krawędzi biurka. – Przez chwilę się bałem, że może będę musiał wezwać mojego prawnika. – Sydney czekała na ciąg dalszy. – Mój syn, Richard – podjął w końcu Trace – wybrał nazwisko swego ojczyma, niejakiego Kodiaka. – Richard jest... to znaczy był... moim dzieckiem z pierwszego małżeństwa, z Elaine. Rozwiedliśmy się w roku 1981, a potem Elaine wyszła powtórnie za mąż. – Syd pokiwała głową, lecz nic nie powiedziała. Dallas Trace wykrzywił wargi, przybierając smutny uśmiech. – Nie jest dla nikogo sekretem, pani Olson, że mój syn i ja pokłóciliśmy się kilka lat temu. No i wtedy Richard oficjalnie przyjął nazwisko ojczyma. Przypuszczam, że zrobił to również w celu zranienia mnie.

– Czy pokłóciliście się z powodu... hm... stylu życia pańskiego syna? – spytała Sydney.

Uśmiech Trace'a nieco przygasł.

– Cóż, nie jest to oczywiście pani sprawa, śledcza Olson. Ponieważ pragnę jednak okazać pani dobrą wolę, odpowiem na pani pytanie, mimo iż dotyczy intymnej sfery mojego życia, jest wścibskie i dość aroganckie. Odpowiedź brzmi: „Nie”. Fakt, że Richard odkrył w sobie odmienną orientację seksualną nie miał nic wspólnego z naszą kłótnią. Gdyby pani zasięgnęła informacji na temat mojej osoby, pani Olson, nie umknęłoby pani uwagi moje poparcie dla praw gejów i lesbijek. Richard jest... był... upartym młodzieńcem. Może w naszej rodzinie nie było miejsca dla dwóch uparciuchów.

Syd znów kiwnęła głową.

– Jak określiłby pan swoją reakcję na ten film wideo, panie Trace?

– Byłem nim oburzony – odparł bez namysłu adwokat. – Tyle że widziałem go już wcześniej. I to parę razy.

Dar aż zamrugał, słysząc tę wiadomość.

– Doprawdy? – spytała Sydney. – Mogę spytać gdzie?

– Detektyw Ventura pokazał mi go w trakcie śledztwa – odpowiedział prawnik.

– Porucznik Robert Ventura? – upewniła się Syd. – Z Wydziału Zabójstw Departamentu Policji Los Angeles?

– Zgadza się – przyznał Trace. – Zarówno porucznik Ventura, jak i kapitan Fairchild zapewnili mnie jednak... zapewnili, pani Olson, bez najmniejszych wątpliwości... że ta animacja została oparta na błędnych i kompletnie niemiarodajnych danych.

Darwin odchrząknął.

– Panie Trace, wydaje się pan pewny, że wideo nie pokazuje we właściwy sposób śmierci pańskiego syna – rzekł. – Mogę spytać, z czego wynika pańskie przekonanie? Adwokat wpatrzył się w niego lodowato.

– Naturalnie, doktorze Minor. Po pierwsze, szanuję profesjonalizm detektywów prowadzących dochodzenie w sprawie, o której mówimy...

– Czyli panów Ventury i Fairchilda z Wydziału Zabójstw – wtrąciła Sydney.

Prawnik ani na moment nie spuścił wzroku z Dara.

– Tak – potwierdził – detektywów Ventury i Fairchilda. Ci ludzie poświęcili tej sprawie setki godzin i wykluczyli możliwość zabójstwa...

– Rozmawiał pan z kimś z Wydziału Ruchu Drogowego Departamentu Policji Los Angeles? – zapytał Dar. – Na przykład z sierżantem Rote'em? Albo z kapitanem Kapshawem?

Prawnik wzruszył ramionami.

– Rozmawiałem z wieloma osobami zaangażowanymi w sprawę, doktorze Minor, więc prawdopodobnie także z tymi dwoma policjantami. Na pewno rozmawiałem z funkcjonariuszem Lentile, który napisał raport z wypadku, a także z funkcjonariuszem Clanceyem, funkcjonariuszem Berrym, sierżantem McKayem i innymi, którzy znajdowali się na miejscu zdarzenia tamtej nocy. – Mocne mięśnie wokół cienkich warg Trace'a znowu się napięły, ale mimo uśmiechu oczy mężczyzny pozostały smutne. – Nie jestem całkowicie pozbawiony jako takich zdolności. Umieję prowadzić przesłuchanie, skłaniać ludzi do zwierzeń i brać ich w krzyżowy ogień pytań.

– Bez wątpienia – zgodziła się Syd, czym przyciągnęła do siebie spojrzenie adwokata – ale czy rozmawiał pan z dwiema bezpośrednio zamieszkanymi w wypadek osobami, które wysunęły żądania ubezpieczeniowe, czyli panem Bordenem i panną Smiley?

Adwokat potrząsnął głową.

– Przeczytałem ich zeznania. Nie miałem ochoty z nimi rozmawiać.

– Podobno przeprowadzili się do San Francisco – kontynuowała Sydney – tamtejsza policja nie potrafi jednak wskazać ich aktualnego miejsca pobytu. – Trace nie odezwał się. Zerknąwszy na zegarek, dał im obojgu do zrozumienia, że marnują jego cenny czas. Dar popatrzył z ciekawością na przyjaciółkę. Skąd wzięła tę ostatnią informację? – Wiedział pan, że pański syn używał jeszcze innego nazwiska, panie Trace? Miał dokumenty na nazwisko doktor Richard Karnak i pracował w klinice medycznej California Sure-Med.

– Tak – odparł prawnik. – Dowiedziałem się o tym.

– Czy pański syn zdobył tytuł doktora, panie Trace?

– Nie – odrzekł adwokat. W jego głosie nie było chyba ani napięcia, ani obronnego tonu. – Mój syn był wiecznym studentem... Miał po trzydzieście i wciąż nie zdołał skończyć żadnych studiów. Przez rok uczył się na medycynie.

– Jak pan się dowiedział o fałszywym nazwisku swojego syna i jego związkach

z kliniką Sure-Med, panie Trace? – spytała Syd. – Od porucznika Ventury albo kapitana Fairchilda?

Dallas przecząco poruszył głową.

– Nie. Wynająłem prywatnego detektywa.

– I wie pan, że klinika California Sure-Med wystawiała fałszywe zaświadczenia, stanowiąc prawdziwe źródło symulowanych żądań ubezpieczeniowych? I że pański syn pogwałcił stanowe i federalne prawa, udając lekarza i wydając takie właśnie sfingowane zaświadczenia o uszkodzeniach ciała i ranach? – ciągnęła Sydney.

– Teraz już wiem, oficer śledcza Olson – odparł Trace płaskim głosem. – Zamierza pani oskarżyć mojego syna? – mruknął. Kobieta wytrzymała jego ostre spojrzenie. Adwokat westchnął i opuścił nogi na podłogę. Przygłodził palcami zaczesane w tył siwe włosy i poprawił rzemyk przytrzymujący kity. – Śledcza Olson – podjął – obawiam się, że wiem o tej sprawie więcej niż pani. To, czego nie powiedziała mi policja, ustalił mój prywatny detektyw. Odkryłem fakty i wiem, że mój syn wystawiał fałszywe zaświadczenia i był związany z siecią oszustów ubezpieczeniowych. Grupą kierował zdaje się... naganiacz.

– Tak.

– Naganiacz ubezpieczeniowy nazywa się Jorge Murphy Esposito. – Dallas Trace wypowiedział ostatnie trzy słowa takim tonem, jakby miały smak czystej żółci.

– Który zmarł w ten weekend – dodała Syd.

– Właśnie – przyznał adwokat. Uśmiechnął się. – Chciałaby pani spytać o moje alibi na czas wypadku, oficer śledcza?

– Nie, dziękuję, panie Trace – odrzekła Sydney. – Wiem, że w niedzielne popołudnie uczestniczył pan w aukcji charytatywnej w Beverly Hills. Kupił pan tam rysunek Picassa za sześćdziesiąt cztery tysiące dwieście osiemdziesiąt dolarów.

Uśmiech Dallasa zgasł.

– Jezu Chryste, kobieto! – mruknął. – Naprawdę podejrzewa mnie pani o wykończenie tego gnojka?

Syd pokręciła głową.

– Po prostu próbuję zebrać informacje na temat jednej z najbardziej dochodowych tego typu klinik w południowej Kalifornii – odparła. – Pański syn, który uczestniczył w tych machlojkach, zmarł w tajemniczych okolicznościach...

– Nie zgadzam się z panią w tej kwestii – przerwał jej ostro prawnik. – Mój syn zginął w wypadku podczas wyprowadzki z wynajmowanego mieszkania. Towarzyszyła mu para przyjaciół, dwoje pomniejszych złodziejasków, z których jedno nie potrafiło prowadzić furgonetki, czym doprowadziło do bezsensownego zakończenia w dużej mierze bezużytecznego życia Richarda.

– Rekonstrukcja zdarzenia dokonana przez doktora Minora... – zaczęła Sydney.

Adwokat zwrócił wzrok na Dara. Na jego twarzy nie było teraz nawet cienia uśmiechu.

– Doktorze Minor, kilka lat temu widziałem w kinie pewien popularny film o wielkim dużym statku, który zatonął prawie dziewięćdziesiąt lat temu...

– O Titanicu – wtrącił Darwin.

– Tak, zgadza się – przyznał prawnik, a jego zachodnioteksaski akcent stał się nieco bardziej wyrazisty.

– No i w tym filmie widziałem na własne oczy, że statek stanął na rufie, przełamał się na dwoje, a płynący nim ludzie zaczęli wypadać do wody jak żaby z kubła. Ale wie pan co, doktorze Minor? – Dar słuchał. – Nic z tego nie było prawdziwe. Widziałem jedynie efekty specjalne. Cyfrowo stworzoną historię. – Dallas Trace niemal wypluł ostatnie słowa. Darwin milczał. – Gdybym postawił pana na miejscu dla świadków, doktorze Minor, a pańską cenną animację komputerową przedstawił ławie przysięgłych, wystarczyłoby mi trzydzieści sekund... nie, cholera, nawet dwadzieścia... i udowodniłbym, że w tej epoce obróbki cyfrowej i komputerowych efektów specjalnych nie możemy już zaufać niczemu, co widzimy na taśmie.

– Tylko że Esposito nie żyje – przerwała mu Syd.

– A Donald Borden i Gennie Smiley, która jako panna nazywała się Gennie Esposito... o czym jestem pewna, że wynajęty przez pana detektyw pana poinformował... zniknęli. I nadal nie widzi pan w tej sprawie niczego podejrzanego?

Dallas Trace przeniósł na kobietę złowieszcze spojrzenie.

– Ależ, pani Olson, w tej sprawie podejrzanе wydaje mi się dosłownie wszystko. Zawsze byłem podejrzliwy wobec wszystkiego, co robił Richard, wobec każdego jego przyjaciela i każdego tarapatów, z których musiałem go wyciągać. No cóż, w końcu wpakował się w historię, z której nikt nie potrafił już go wyrwać. Jestem jednak przekonany, pani Olson, że mój syn zginął w wypadku, choć z drugiej strony uważam, że jego śmierć za diabła nie ma już znaczenia! Gdyby Richard nie umarł tamtej nocy na Marlboro Avenue, siedziałby teraz prawdopodobnie w więzieniu. Pani Olson, mój syn był biednym, zakłopotanym, słabym gówniarzem, którym łatwo było manipulować, toteż nie zaskoczyło mnie ani trochę, że skończył w towarzystwie takich przegranych ofiar losu jak Jorge Esposito, Donald Borden czy Gennie eks-Esposito Smiley.

– A ich zniknięcie? – spytała Sydney.

Adwokat roześmiał się i po raz pierwszy jego śmiech zabrzmiał szczerze.

– Tacy ludzie doskonale potrafią zniknąć, ilekroć tylko zechcą, pani Olson. Wie pani o tym. Tak żyją. Tak żył mój syn. A teraz zniknął na dobre i nie przywróci go do życia nic, co zrobię, ani nic, czego pani się dowie.

Zerwał się na równe nogi, bardzo szybko jak na sześćdziesięciolatka (co nie umknęło uwagi Dara) podszedł do magnetowidu, wyjął kasetę, oddał ją Sydney, po czym otworzył drzwi biura.

– A teraz, jeśli nie mogę państwu pomóc w żaden inny sposób...

Minor i Syd wstali i ruszyli do drzwi.

– Jest jeszcze jedna rzecz, która mnie interesuje – powiedziała Sydney. – Chodzi mi o pańskie wsparcie dla Pomocników Bezbronnych.

Ciemne brwi Trace'a podniosły się tak wysoko, że niemal ułożyły się w pionowe wykrzykniki.

– Co takiego? Proszę mi wybaczyć szczerłość, pani Olson, ale co ta sprawa ma wspólnego z czymkolwiek, do ciężkiej cholery?

– Wsparł pan tę organizację dużą kwotą w ubiegłym roku – ciągnęła Sydney. – Ile tego było?

– Nie mam pojęcia – odparł prawnik. – Musi pani spytać mojego księgowego.

– Ćwierć miliona dolarów, zdaje mi się – powiedziała Syd.

– Na pewno ma pani rację – mruknął adwokat, otwierając szerzej drzwi. – Jest pani dobrą śledczą pani Olson. Jeśli jednak chce pani dokonać dalszych rachunków, zwierzę się pani, że moja żona i ja działamy dla... i wspieramy co najmniej dwanaście różnych instytucji charytatywnych. O którą pani pytała?

– O Pomocników Bezbronnych – powtórzyła Sydney.

– Tak. Pomocnicy Bezbronnych służą społeczności latynoskiej – wyjaśnił Dallas Trace. – Może dodatkowo zdziwię panią gdy powiem, że działam *pro publico bono* dla społeczności latynoskiej w naszym stanie... Szczególnie dla tych biednych imigrantów, którzy są stale prześladowani, nieczęsto zresztą prześladowani przez biuro prokuratora stanowego.

– Zdaję sobie sprawę z rozmiarów filantropii, jakiej oddajecie się pan i pani Trace – odrzekła Syd. – Jest pan hojnym człowiekiem, mecenasie. I poświęcił nam pan mnóstwo swego czasu. Bardzo dziękuję za rozmowę.

Wyciągnęła do niego rękę. Zaskoczony adwokat zawahał się, po czym uściśnął dłoń najpierw jej, potem Darowi.

Kiedy znaleźli się na podziemnym parkingu, Minor powiedział do Sydney:

– To było interesujące. Dokąd teraz?

– Czeka nas jeszcze jeden przystanek – odparła kobieta.

Minęło sporo czasu od ostatniej wizyty Darwina w Centrum Medycznym Hrabstwa Los Angeles. Był to największy szpital w całym hrabstwie i nadal się

rozrastał; w rozbudowie były właśnie oba jego skrzydła. Syd znalazła miejsce do zaparkowania na szóstym piętrze wielopoziomowego parkingu.

Szpital pachniał tak jak wszystkie tego typu instytucje, miał identycznie marne oświetlenie – tę fluorescencyjną poświatę, która przywodzi na myśl gnijącą roślinność i zdaje się oświetlać całą krew pod skórą. Wypełniały go też typowe dla szpitali odgłosy: dźwięki kaszlu, szum słabych szeptów, śmiech pielęgniarek, dzwonki telefonów i pagerów lekarzy, tarcie gumowych podeszew o linoleum. Dar nienawidził szpitali.

Sydney ciągnęła go kolejnymi korytarzami, jakby oprowadzała po budynku. Pokazywała odznakę śledczej i zyskiwała dostęp do wszystkich izb przyjęć, sal nagłych przypadków, oddziałów intensywnej opieki medycznej, porodówek i sal pacjentów. Weszła nawet do umywalni przedoperacyjnej na bloku chirurgicznym.

Darwin całkiem szybko pojął cel tej wędrówki. Oprócz lekarzy, pielęgniarek, stażystów, sanitariuszy, studentów wolontariuszy, strażników, pracowników administracji, pacjentów i gości po terenie kręciło się jeszcze sporo rzucających się w oczy innych osób: mężczyzn i kobiet w białych marynarkach ozdobionych kolorowymi naszywkami. Naszywki składały się z czerwonego krzyża, medycznego symbolu na ciemnoniebieskim tle, okrągłej naszywki naramiennej, przedstawiającej orła z gałązką oliwną (ta ostatnia skojarzyła się Darowi z astronautami Apolla) oraz flagi amerykańskiej. Najbardziej widoczne były jednak dwie wielkie czerwone litery – „P” i „B” – otoczone błękitnym kwadratem i naszyte na lewej piersi marynarki. Między literami znajdował się znacznie od nich mniejszy złoty krzyżyk.

„Krucyfiks między dwiema literkami z brzuskami” – pomyślał Darwin.

Znaleźli się w poczekalni przy jednej z sal nagłych przypadków, gdy Minor skojarzył te litery z niedawną rozmową. Personel w marynarkach z „PB” pchał wózki załadowane czasopismami, sokami owocowymi i pluszowymi misiami. Potem dostrzegli w jednej ze szpitalnych kaplic dwie kobiety w tych samych białych marynarkach. Trzymały, ścisnęły i pocieszały dziko płaczącą Latynoskę. Ludzie w marynarkach z „PB” byli na oddziałach intensywnej opieki medycznej, szepcząc coś – po hiszpańsku, jak zapamiętał sobie Minor – osobom najpoważniej chorym lub rannym. Byli też tutaj, w poczekalni przy izbie przyjęć, gdzie jedna młoda Latynoska w marynarce z „PB” uspokajała właśnie kilkusobową rodzinę. Darwin podsłuchał parę zdań i zrozumiał, iż członkowie rodziny są meksykańskimi imigrantami i żadne z nich nie ma zielonej karty. Córka meksykańskiego małżeństwa, która wyglądała mniej więcej na osiem lat, złamała sobie rękę. Rękę opatrzone, mimo to matka histeryzowała, a ojciec dosłownie wyłamywał sobie palce, niemowlę płakało, a młodszy brat dziewczynki miał łzy w oczach i w każdej chwili mógł się rozplakać. Dar pojął, że Meksykanie najbardziej bali się deportacji, ponieważ musieli przyjść do

szpitala. Kobieta zapewniała ich jednak doskonałym, szybkim hiszpańskim, że nic takiego im się nie przydarzy, gdyż byłoby to wbrew prawu. Dodawała, że z tej sprawy nie będzie nawet raportu. Jej zdaniem mogli iść do domu bez lęku, a rano powinni po prostu zadzwonić na gorącą linię Pomocników Bezbronnych, gdzie otrzymają dalsze instrukcje i pomoc, dzięki której zostaną w Stanach cali, zdrowi i zadowoleni.

– Pomocnicy Bezbronnych – oświadczył Minor cicho, kiedy kierowali się do części parkingowo-garażowej.

– Tak – przyznała Syd. – Podczas naszego małego obchodu naliczyłam trzydziestu sześciu reprezentantów tej organizacji.

– A więc?

– Są ich tysiące, naprawdę tysiące. Tysiące ochotników współdziałających z Pomocnikami Bezbronnych w hrabstwie Los Angeles. Znajdziesz ich w każdym szpitalu. Zapanowała na nich wręcz moda. Ochotniczkami chętnie zostają gwiazdy filmowe i klientki Rodeo Drive. Ofiarowują swój czas, o ile mówią wystarczająco dobrze po hiszpańsku. Ostatnio organizacja zaczęła nawet rozszerzać działalność. Chce służyć również Wietnamczykom, Kambodżanom, Chińczykom i innym nacjom.

– No więc?

– Pomocnicy zaczęli działać jako mała katolicka organizacja dobroczynna – ciągnęła Sydney – a teraz rozrośli się w ogromną niedochodową maszynę. Kościół znalazł trzeciorzędnego latynoskiego prawnika, który zajmuje się administracją chociaż obecnie Pomocnicy nie mają już chyba nic wspólnego z kościołem katolickim. Tak czy owak, można ich znaleźć we wszystkich szpitalach i ośrodkach zdrowia San Diego, Sacramento, na całej linii południowo-zachodniego Wybrzeża, a od ubiegłego roku także w Phoenix, Flagstaff, Las Vegas, Portland, Eugene, Seattle. Nawet w Billings, w stanie Montana... Za rok staną się organizacją ogólnokrajową.

– No dobrze. I co z tego?

– Oni wszyscy stanowią część tego, co nas interesuje, Dar. Należą do tego ogromnego i potężnego syndykatu, związanego z gangami ubezpieczeniowymi. Pomocnicy rekrutują imigrantów z całego kraju i pokazują im, jak można zarobić pieniądze: poprzez wypadki na budowach i w fabrykach, fingowane kraksy samochodowe i zwyczajne stłuczki.

– No i? – powtórzył Dar, kiedy znaleźli się w rozgrzanych samochodzie. Włączyli klimatyzację i ruszyli ku autostradzie. – Nie mówisz mi nic nowego. Odkąd powstały wielkie firmy ubezpieczeniowe, pozywanie ich do sądu zmieniło się w prawdziwy interes. Odszkodowania są dla imigrantów najszybszym sposobem wzbogacenia się w Ameryce. Przed Meksykanami i Azjatami roszczenia wysuwali Irlandczycy, Niemcy i im podobni. Dla mnie to nic nowego.

– Nowa jest skala, Darwinie – wyjaśniła Syd. – Nie mówimy o nieuczciwych

klinikach, które zaciągają długi i znikają następnego dnia, ani o kilku tuzinach oszustów, których kaptuje jeden naganiacz czy dwóch. Dar, ja mówię o prawdziwej przestępczości, o zbrodni zorganizowanej na skalę kolumbijskiej mafii narkotykowej i jej działających w Stanach dealerów. – Kiwnęła głową za siebie, ku szpitalowi, od którego już się oddalali. – Lekarze i chirurdzy... prawdziwi lekarze i chirurdzy... sami oddają swoich pacjentów w ręce Pomocników Bezbronnych. Chcą dla nich dobrze. Nawet cholerny meksykański konsul kieruje ludzi do tej organizacji.

– Rzeczywiście, w ten sposób łatwo rekrutować chętnych do fałszywych wypadków – przyznał Minor, przyglądając się wielkim, przyciśniętym do siebie domom, które stały wzdłuż drogi. – Duża sprawa.

– Sprawa warta wiele setek miliardów dolarów rocznie – powiedziała Sydney z naciskiem. – Zamierzam ustalić, kto za tym wszystkim stoi. Kto organizuje tę potworność.

Dar przypatrzył się jej i od razu zrozumiał, że kobieta jest równie rozgniewana jak on sam. Do tej pory sytuacja wydawała mu się dość zabawna. Pozwalał jej pełnić rolę swojego ochroniarza, pozwalał jej wystawiać się niczym przynęta w *Parku Jurajskim*, pokazywał jej swoje zabawne małe kraksy, a ona dorzucała własne opowieści... Grał Watsona, a ona była Sherlockiem Holmesem.

– Sądysz, że stoi za tym Dallas Trace – spytał – prawdopodobnie najślawniejszy prawnik Ameryki? Główny konsultant telewizji CNN? Ten nadęty dupek z Newark w południowym Teksasie? Facet w jedwabnych koszulach i rzemykach zamiast krawatów? Naprawdę myślisz, że ktoś tak sławny jak on jest Donem Corleone południowokalifornijskiego naganiania?!

Syd zagryzła wargę.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, Dar. Nic mi tu nie pasuje. Ale wiele faktów prowadzi mnie do niego.

– Uważasz, że Dallas Trace zlecił zabicie własnego syna?

– Nie, lecz...

– I to on w twojej opinii zabił Esposito, Donalda Bordena i tę dziewczynę, Gennie Smiley?

– Nie wiem. Jeżeli...

– Sądysz, że ten facet jest szefem Pięciu Rodzin, droga oficer śledcza? Że tę działalność po prostu wcisnął między swoją praktykę prawniczą, pisanie książek, cotygodniowy program w CNN, liczne wystąpienia publiczne, krótkie wizyty w „Nightline” i „Good Morning America”, działalność charytatywną i noce z tą piękną latynoską panną młodą?

– Och, nie wściekaj się – mruknęła Sydney.

– Dlaczego nie, do diabła? Na pewno wiedziałaś, że widział wcześniej moją

animowaną rekonstrukcję tamtego wypadku.

– Tak.

– Więc po cholere zaciągnęłaś mnie tam, do niego? Chciałaś się na niego pogapić? I chciałaś, żeby on mógł sobie obejrzeć mnie? Na wypadek gdyby był szefem szefów? Pewnie, niech mi się dobrze przyjrzy, wtedy będzie wiedział na pewno przeciwko komu wysłać następnym razem zabójców.

– To nie tak, Darwinie...

– Cholera! – odwarknął Minor.

Przez pewien czas jechali w milczeniu.

– Jeśli ten spisek jest tak rozległy, jak podejrzewam... – zaczęła Sydney.

– Nie wierzę w spiski – przerwał jej. Kobieta zerknęła na niego. – Wierzę jednak w szkodliwe instytucje – podjął. Starał się panować nad gniewem, lecz nie potrafił używać delikatniejszych słów. – Wierzę w *Cosa Nostrę*, w producentów gównianych samochodów, w złych ludzi, takich jak sprzedawcy papierosów i te dupki, które każą podawać dziecku z Trzeciego Świata mleko w proszku, a później dziecko umiera z powodu biegunki wywołanej brudną wodą, w której matka rozpuściła proszek... – Przerwał i wziął głęboki wdech. – Ale w spiski... nie, w spiski nie wierzę. Spiski kojarzą mi się z kościołami albo innymi podobnymi im organizacjami. Im bardziej rosną, tym bardziej ich przedstawiciele głupieją. Prawo odwrotnego współczynnika inteligencji.

– Skoro spiski nie istnieją, jak inaczej nazwiesz tego typu sprawy, Dar?

– Co za różnica?

– Och, po prostu jestem ciekawa.

Głos Syd był teraz monotony i pozbawiony emocji.

– No cóż, pomyślmy – zadumał się Minor, wpatrując się w pojazdy powoli sunące przed nimi w korku, rzędy samochodów osobowych i półciężarówek przemieszczających się z prędkością szesnastu kilometrów na godzinę. – Wierzę w entropię. I w nieograniczone pole ludzkiej perwersji, a także głupoty. I w to, że czasem te trzy elementy łączą się z sobą i mamy na przykład pewien piątek w Dallas, w stanie Teksas, gdy jakiś dupek nazwiskiem Lee Harvey Oswald, który nauczył się dobrze strzelać w marines, może przez sześć sekund trzymać na celowniku człowieka i te sześć sekund wykorzystuje na strzał... – Zamilkł. „O czym ja, do ciężkiej cholery, gadam?” – zastanowił się. Czyżby zdenerwowała go arogancja Dallasa Trace’a? Albo smród śmierci, który panował w szpitalu? A może po prostu oszalał?

Po kilku minutach ciszy Sydney spytała:

– I w krucjaty też nie wierzysz?

Przyjrzał jej się bez słowa. W tym momencie była dla niego całkowicie obcą osobą na pewno nie tą samą istotą której towarzystwo i riposty tak bardzo mu

odpowiadały podczas kilku ostatnich dni...

– Krucjaty zawsze się kończą poświęceniem niewiniątek – odparował szorstko. – Tak jak te pierwsze, które miały na celu uwolnienie Ziemi Świętej. Prędzej czy później dochodzi do czegoś w rodzaju dawnej krucjaty dziecięcej i maluchy trafiają na pierwszą linię.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– O co się tak wściekasz, Dar? Mówisz o Wietnamie? Czy też o swojej pracy dla NTSB? O Challengerze? Co my mamy...

– Mniejsza o to – odciął się Minor. Nagle poczuł straszliwe zmęczenie. – Wiesz, w Wietnamie chrząknięcia wystarczały za całą odpowiedź. – Sydney zapatrzyła się na korek samochodowy. – Nieważne, co się zdarzyło – dodał – piechurzy uczyli się mówić: „Pieprzyć to. To bez znaczenia. Ruszamy”.

Samochody zatrzymały się. Taurus Sydney również stanął. Kobieta przyglądała się Minorowi, a w jej oczach było coś jeszcze poza gniewem.

– Nie możesz opierać na czymś takim swojej filozofii. Nie możesz żyć w taki sposób.

Darwin wytrzymał jej spojrzenie i dopiero kiedy odwróciła wzrok, zdał sobie sprawę z tego, jak gniewnie na nią patrzył.

– Mylisz się – powiedział. – To jest jedyna filozofia, która pozwala przeżyć.

Wjechali do San Diego w absolutnej ciszy. Kiedy znaleźli się przy hotelu Sydney, ta powiedziała:

– Zawiozę cię na wzgórze do twojego mieszkania.

Dar potrząsnął głową.

– Idę stąd do Centrum Sprawiedliwości. Dziś po południu mają mi oddać acurę i spotykam się tam z mechanikiem.

Syd zatrzymała samochód i kiwnęła głową. Obserwowała go, jak wysiadał. W końcu stanął na krawężniku.

– Nie zamierzasz mi dalej pomagać w śledztwie, prawda? – spytała w końcu.

– Nie – odparł Minor.

Sydney skinęła głową.

– Dzięki za... – zaczął Darwin. – Dzięki za wszystko.

Odszedł, nie odwracając się za siebie.

Rozdział dwunasty

L JAK LEKARKA

Wtorek okazał się swego rodzaju świętem broni, którego kulminacją był karabin wycelowany bezpośrednio w serce Darwina Minora.

Dzień zaczął się posepnie. Panowało gorąco, a równocześnie na niebie wisiały ciężkie, deszczowe chmury. Zresztą w południowej Kalifornii zwykle panowała dziwna pogoda. W dodatku Darwin obudził się w paskudnym nastroju. Martwił go wczorajszy gniew i dręczyła myśl, że nie zobaczy już Sydney. A najbardziej denerwował go fakt, że ta myśl tak go niepokoi.

Naprawa acury będzie go kosztowała fortunę. Kiedy Harry Meadows, jego przyjaciel mechanik i jeden z nielicznych ludzi w tym stanie, którzy potrafili przyzwyciężyć wyklepać aluminium auta Minora, spotkał się z nim w poniedziałkowy wieczór w Centrum Sprawiedliwości, po prostu bez słowa pokręcił głową. A gdy na koniec przedstawił szacunkową wycenę naprawy, Dar z wrażenia aż cofnął się o krok.

– Jezu – mruknął. – Mógłbym sobie za to kupić nowe subaru.

Harry powoli i ze smutkiem pokiwał głową.

– To prawda, to prawda – przyznał. – Potem jednak miałbyś pieprzone subaru zamiast acury NSX.

Minor nie potrafił polemizować z logiką tego stwierdzenia. Harry załadował na lawetę pokiereszowany kulami samochód. Przysięgał, że zatroszczy się o niego tak dobrze, jak zadbałby o własną matkę. Dar przypadkiem wiedział, że stara matka mechanika żyła w ubóstwie w pozbawionej klimatyzacji przyczepie, w samym środku pustyni, gdzie Harry odwiedzał ją dokładnie dwa razy w roku.

W wtorek rano zadzwonił Lawrence. Pojawiło się kilka nowych spraw, które wymagały dokumentacji fotograficznej. Stewart nie wiedział, który z wypadków będzie potrzebował rekonstrukcji, nie było wiadomo bowiem, w związku z którym ktoś wystąpi o odszkodowanie, pomyślał jednak, że obaj z Darwinem powinni odwiedzić po kolei każde miejsce kraksy.

– Jasne – zgodził się zgryźliwie Minor. – Dlaczego, do diabła, nie? W końcu od miesiący tonę wyłącznie w papierkowej robocie.

Lawrence natychmiast po przyjeździe wyczuł chyba, że coś jest nie tak. Mężczyzn często łączy pewna więź, dzięki której rozumieją się nawet bez komunikacji werbalnej. Ci, którzy znają się od wielu lat i razem pracują – od czasu do czasu przy niebezpiecznych przedsięwzięciach – zaczynają rozwijać w sobie szósty zmysł, dzięki

któremu odgadują myśli i emocje przyjaciela. W ten sposób porozumiewają się na płaszczyźnie niezrozumiałej dla kobiet. Lawrence i Darwin właśnie kupili kawę i paczki w Dunkin' Donuts na północ od San Diego, gdy Stewart spytał:

– Coś się dzieje, Dar?

– Nie – odparł.

Żaden nie poruszył już więcej tego tematu. Miejsce pierwszego wypadku znajdowało się w połowie drogi do San Jose. Lawrence zaparkował troopera na zatłoczonym parkingu, przy kompleksie tanich mieszkań na wynajem, i we dwóch poszli do prostokąta oklejonego wszechobecną w takich sytuacjach żółtą taśmą. W środku znajdowała się czerwona honda prelude, rocznik 1994. Do kraksy doszło w środku nocy, nadal jednak na miejscu znajdowali się dwaj umundurowani funkcjonariusze oraz kilku gapiów, głównie dzieciaków w zbyt długich koszulkach i butach sportowych za trzysta dolarów. Stewart przedstawił najbliższemu policjantowi zarówno siebie, jak i Dara, uprzejmie poprosił o pozwolenie na wykonanie przez Darwina zdjęć, a potem wypytał mundurowego o szczegóły wypadku.

Minor zaczął pstrykać fotki, natomiast młody patrolowy usiłował opowiedzieć o kolizji, wskazując z przejęciem na różne dowody – stłuczone szyby boczne hondy, rozbitą przednią szybę, wklęśnięcia w masce, śluzowatą szarą substancję na przodzie auta i wokół niego, a także krew, która znajdowała się na roztrzaskanej szybie przedniej, masce, błotnikach i przednim zderzaku, a na asfalcie tworzyła dużą ciemną kałużę. Najwyraźniej tutaj nie padało zbyt intensywnie ani w nocy, ani rano.

– No cóż, ten facet, Barry, ma fioła na punkcie swojej dziewczyny... Sheili jakiegś tam... Dziewczyna mieszka na górze, pod 2306, a teraz jest przesłuchiwana na posterunku – opowiadał funkcjonariusz. – W każdym razie Barry jeździ na motorze i jest wielkim skurczybykiem z brodą no a Sheila w końcu się nim zmęczyła i zaczęła się widywać z innymi facetami. To znaczy przynajmniej z jednym, co Barry'emu się oczywiście nie spodobało. Wpadł tutaj, jak podejrzewamy, około drugiej trzydzieści rano, a o awanturze powiadomiono nas o drugiej czterdzieści osiem. Dwie po trzeciej ktoś zadzwonił na policję i doniósł o pierwszych strzałach. Początkowo Barry tylko, no wie pan, stał pod oknem Sheili i wrzeszczał. Wykrzykiwał jakieś sprośności, a ona odpowiadała mu pięknym za nadobne. Główne wejście zamyka się automatycznie, toteż żeby się dostać do środka, trzeba wcisnąć guzik domofonu. Sheila nie wpuściła Barry'ego, co faceta naprawdę wkurzyło. Wrócił zatem do swojej furgonetki... tego tam zaparkowanego forda. Wziął z pojazdu naładowaną dubeltówkę dwururkę. Najpierw kolbą rozbijał boczne okna hondy prelude dziewczyny. Sheila zaczęła się pnieć i krzyczała jeszcze głośniejsze. Sąsiedzi wezwali policję, zanim jednak zjawił się patrol, Barry wpadł na pomysł wskoczenia na maskę hondy... a ważył grubas ze sto

dwadzieścia kilo. Widzi pan, jak tu wgiął, a tylko na niej stanął. No więc wdrapał się na maskę i począł walić w przednią szybę kolbą strzelby. Sądzymy, że chciał poprawić uchwyt albo coś w tym rodzaju, no i trafił na cyngiel...

– I strzelił sobie w brzuch – zakończył Lawrence.

– Z obu luf. Kawałki jego jelit rozprysły się po całej masce, przednich światłach, przednim zderzaku...

– Gdy dostałem zgłoszenie z intensywnej terapii, nadal żył – przerwał Stewart. – Zna pan jego aktualny stan?

Policjant wzruszył ramionami.

– Kiedy detektywi zabierali dziewczynę do centrum na przesłuchanie, słyszałem, że zmarł. Komentarz Sheili brzmiał: „Chwała Bogu, że już po wszystkim”.

– Słodka panienka – powiedział Lawrence.

– Miłość ma swoje prawa – przyznał mundurowy.

Zatrzymali się przy trzech oczywistych sfingowanych wypadkach – dwa miały miejsce przy supermarketach, jeden przy Holiday Inn, gdzie poszkodowany twierdził, że poślizgnął się na lodzie z przeciekających automatów z lodami – następnie odwiedzili parking, na którym ktoś uderzył w auto pięcioosobowej rodziny, której wszyscy członkowie zamierzali wnieść o odszkodowanie z powodu uszkodzenia kręgosłupów szyjnych. Kolidacja zdarzyła się w San Jose. Po drodze Lawrence i Dar zatrzymali się na lunch, a właściwie podjechali do samochodowego Burger Biggy i ruszyli dalej, jedząc po drodze hamburgery i popijając je koktajlami mlecznymi.

– Czyli że seppuku Barry’ego kojarzy ci się z jakąś sprawą ubezpieczeniową? – zagaił Darwin między kolejnymi łykami.

– Wiesz, co Sheila zrobiła dziś rano w pierwszej kolejności? Złożyła wniosek o odszkodowanie za uszkodzoną hondę prelude – odparł Stewart. – Twierdziła, że State Farm powinno jej zapłacić za nowiutki samochód.

– Nie widziałem szczególnych szkód – zauważył Minor. – Trochę rozbitego szkła, małe wklęsnięcie w masce. Resztę można wyczyścić w myjni.

Lawrence potrząsnął głową.

– Dziewczyna twierdzi, że przeżyła szok i nigdy już nie wsiądzie do tego auta. Żąda pełnego odszkodowania, dzięki czemu będzie mogła kupić nowego dzipa. Nowego! Spodobał jej się lincoln navigator.

– Powiedziała to wszystko ludziom z firmy ubezpieczeniowej dziś rano? Jeszcze zanim detektywi zabrali ją na przesłuchanie?

– Tak. Mniej więcej – odparł Stewart. – Zadzwoiła o czwartej rano do swojego

agenta ubezpieczeniowego.

Ostatnie miejsce wypadku znajdowało się również w tanim kompleksie mieszkaniowym, w San Jose. Na schodach stało kilku mundurowych, po trzeciej kondygnacji zaś kręcił się jeden wyraźnie znudzony detektyw w cywilu. Na piętrze unosił się zapach śmierci.

– Jezu – mruknął Lawrence, po czym z kieszeni na biodrze wyjął czystą, czerwoną chustkę, którą przyłożył sobie do nosa i ust. – Od jak dawna ofiara nie żyje?

– Facet zmarł zaledwie ubiegłej nocy – odparł porucznik Rich z Departamentu Policji San Jose. – Około północy wszyscy mieszkańcy słyszeli strzał, chociaż nikt tego nie zgłosił na policję. Mieszkanie ofiary nie ma klimatyzacji, więc zwłoki zaczęły się rozkładać już około dziesiątej rano.

– Chce pan powiedzieć, że ciało nadal tam jest?! – spytał Stewart z niedowierzaniem w głosie.

Porucznik Rich wzruszył ramionami.

– Lekarz sądowy przyjechał tutaj dziś rano, kiedy odkryto ciało. Ustalił przyczynę śmierci i pojechał. Czekaliśmy na ambulans przez cały dzień, ale miejsce pozostaje w jurysdykcji lokalnego koronera, który aż do tej pory był bardzo zajęty. Zanotowano dziś sporo wypadków na autostradach.

– Cholera – zaklął Lawrence. Posłał Darowi znaczące spojrzenie, po czym znów odwrócił się do porucznika. – No cóż, musimy tam wejść i zrobić kilka zdjęć. I szkic miejsca.

– Dlaczego? – spytał Rich. – Co, do diabła, firma ubezpieczeniowa ma wspólnego z taką sprawą?

– Siostra nieboszczyka zdążyła już wysunąć żądanie – wyjaśnił Stewart.

– Przeciwko komu? – spytał porucznik. – Wiecie, jak ten gość zmarł?

– Popełnił samobójstwo, nieprawdaż? – odparował Lawrence. – Jego siostra zamierza wytoczyć sprawę psychiatrze nieboszczyka. Pan Hatton, czyli samobójca, zdaniem siostry cierpiał na depresję i paranoję, a jego psychiatra nie zrobiła dość, aby zapobiec tej tragedii.

Porucznik zachichotał.

– Nie sądzę, żeby coś takiego przeszło. Musiałbym wtedy zeznawać w sądzie przeciwko powódce. Powiedziałbym, że psychiatra zrobiła naprawdę wszystko w celu uszczęśliwienia tego biednego świra. Wejdźcie, pokażę wam. Możecie zrobić zdjęcia, ale moim zdaniem szkicu na pewno pan nie sporządzi. Nie wysiedzi pan tam dostatecznie długo.

Darwin wszedł za porucznikiem i Stewartem do małego, przegrzanego mieszkania. Ktoś uchylił jedyne okno, które na szczęście się otwierało, tylko że znajdowało się w kuchni, a ciało leżało na łóżku w pokoju.

– Jezu Chryste – mruknął Lawrence, stając obok zakrwawionego łóżka i patrząc na nasączone krwią poduszki, obryzgany podglówek i ścianę. – Trzydziestkę ósemkę nieszczęśnik nadal trzyma w ręce. Czy lekarz sądowy sugerował morderstwo zamiast samobójstwa?

Porucznik Rich, który próbował trzymać się za nos, a równocześnie wyglądać dostojnie, skinął tylko głową.

– Mamy zeznanie psychiatry, z którego wynika, że pan Hatton rzeczywiście cierpiał na depresję, paranoję i schizofrenię. Lekarka powiedziała nam, że jej klient, to jest nieżyjący już pan Hatton, sypiał, trzymając broń marki Smith and Wesson kaliber .38 na nocnej szafce obok łóżka. Bał się, że Organizacja Narodów Zjednoczonych planuje inwazję na USA... Wiecie, widywał czarne helikoptery, strzałki na znakach drogowych, dzięki którym jakieś afrykańskie oddziały mają znaleźć drogę do posiadających broń Amerykanów... Zwykłe pierdoły chorego umysłu. W każdym razie psychiatra... tak przy okazji, całkiem ładna babeczka... powiedziała, że celem krótkoterminowej terapii miało być skłonienie pana Hattona do schowania broni w bezpieczne miejsce.

– Domyślam się, że celu nie osiągnęła – odparował Lawrence przez chusteczkę.

– Lekarka twierdzi, że Hatton cierpiał na potężną paranoję, lecz bynajmniej nie miał skłonności samobójczych – wyjaśnił porucznik. – Kobieta jest skłonna zeznać coś takiego pod przysięgą. Ale biedny kretyn brał pięć różnych rodzajów leków, łącznie z doksepiną i flurazepamem o silnym działaniu nasennym. Nieźle go wszystkie razem ogłupiały. Według psychiatry, Hatton zawsze starał się położyć spać przed dwudziestą drugą trzydzieści.

– No i co się zdarzyło? – spytał Stewart, podczas gdy Darwin robił zdjęcia lustrzanką na film trzydziestopięciomilimetrowy.

– Siostra Hattona zadzwoniła do niego trzy minuty przed północą – wyjaśnił porucznik Rich. – Twierdzi, że zwykle nie telefonowała do brata o tak późnej porze, ale miała straszny sen... Przeczynała jego śmierć.

– Tak? – zadumał się Lawrence.

– Hatton nie odebrał telefonu. Siostra wiedziała, że brał pigułki na sen, więc poczekała do dziewiątej rano i znów zadzwoniła. W końcu powiadomiła policję.

– Nie rozumiem – mruknął Stewart.

Dar kucnął przy ciele. Przez chwilę studiował kąt ułożenia ramienia i skręt nadgarstka, który znieruchomiał w stężeniu pośmiertnym, przyjrzał się też ranie w skroni mężczyzny, a później obszedł łóżko i powąchał poduszkę po drugiej stronie.

– A ja tak – oświadczył.

Lawrence popatrzył na niego, na ciało, na porucznika Richa, a potem znów na ciało.

– Och nie, żartujecie sobie obaj – jęknął w końcu.

– To ekspertyza lekarza sądowego – przypomniał porucznik.

Stewart pokiwał głową.

– Chodzi wam o to, że facet był tak naćpany lekami, że gdy jego siostra zadzwoniła, ażeby mu powiedzieć, iż śniła jej się jego śmierć, Hatton chciał odebrać telefon, lecz przez pomyłkę zamiast słuchawki podniósł z nocnej szafki rewolwer kaliber .38 i strzelił sobie w łeb? Nikt nie zdoła czegoś takiego udowodnić.

– Był świadek – mruknął Rich.

Lawrence zerknął na puste miejsce obok ofiary. Pościel na nim była skotłowana.

– No tak, pojmuję... przynajmniej częściowo.

– Georgio z Beverly Hills – powiedział Dar. Stewart odwrócił się powoli i popatrzył na przyjaciela.

– Twierdzisz, że widząc odbicie po drugiej stronie łóżka i obwąchawszy poduszkę... mimo całego tego smrodu... odkryłeś imię faceta z Beverly Hills, z którym sypiał pan Hatton?

Porucznik roześmiał się wesoło, po czym znów przykrył sobie usta i nos. Darwin potrząsnął głową.

– To damskie perfumy. Georgio z Beverly Hills, tak się nazywają. – Odwrócił się do Richa. – Posunę się dalej w swoich przypuszczeniach. Osoba, która leżała w łóżku z panem Hattonem w chwili wypadku, nie ujawniła się ubiegłej nocy, ponieważ albo jest mężatką albo sytuacja była dla niej kłopotliwa w innym sensie, tym niemniej do tej pory kobieta zdążyła już złożyć zeznanie. Kimkolwiek była, znaleźliście ją dziś rano... i prawdopodobnie nie poprzez obwąchanie wszystkich kobiet w południowej Kalifornii w poszukiwaniu tych skraplających się Georgio.

Porucznik kiwnął głową.

– Dwie minuty po przyjeździe auta patrolowego kobieta się załamała, zaczęła szlochać i wszystko nam opowiedziała.

– O kim wy mówicie? – spytał zaskoczony Lawrence.

– O pani psychiatrze – wyjaśnił Minor. Lawrence spojrzął na ciało.

– Hatton posuwał swoją terapeutkę?

– Nie w chwili wypadku – odparł wesoło Rich. – Kochali się, potem Hatton wziął flurazepam i doksepinę, po czym oboje zasnęli. Psychiatra... pozwolicie, że pominę milczeniem jej nazwisko, chociaż podejrzewam, że usłyszycie je w wieczornych wiadomościach o dwudziestej trzeciej, a później jeszcze wielokrotnie... Tak czy owak, kobieta usłyszała dzwonek telefonu o północy, a następnie odgłos szperania, w końcu

pytanie Hattona: „Halo?”. No a potem strzał.

– I oczywiście uznała, że dyskrecja to najwspanialsza cecha psychiatrów – dodał Dar.

– Coś w tym rodzaju – przyznał porucznik. – Zerwała stąd swój tyłek, jeszcze zanim krew się rozprysła. Niestety dla nieszczęsnej babki wścibski dozorca widział, jak odjeżdżała swoim porszakiem jakieś pięć minut po północy.

– Czy siostra Hattona już o wszystkim wie? – spytał Stewart.

– Nie, jeszcze nie – odrzekł Rich.

Minor wymienił spojrzenia z Lawrence'em.

– Dzięki temu proces zyska na atrakcyjności.

Stewart i Darwin wycofali się za porucznikiem do korytarza. Wszyscy wyszli naprawdę szybko i stanęli na moment na balkonie, wdychając pozbawione smrodu powietrze. Lekki wiatr zwiewał z ubrań zapach śmierci.

– Ten wypadek przypomina mi starą historię Helen Keller, która straszliwie sobie poparzyła ucho – zauważył porucznik Rich.

– Jak to zrobiła? – spytał Lawrence, robiąc w notesie z pamięci szybki szkic widzianej przed chwilą scenki i opisując całe zdarzenie.

– Pomyliła telefon z żelazkiem – odparł porucznik i zaczął się śmiać niemal histerycznie.

Stewart i Minor odjechali. Przez długi czas milczeli. Dopiero gdy już byli daleko od San Jose, Lawrence szepnął:

– Chronić i służyć. Ha!

Pod koniec jazdy powrotnej do San Diego Dar spytał nagle:

– Larry, pamiętasz, jak kilka lat temu zginęła księżna Diana?

– Lawrence – mruknął Lawrence. – Pewnie, że pamiętam.

– Co o tym mówiliśmy... tak mniej więcej?

Stewart westchnął.

– Hm... niech pomyślę. Pierwsze raporty twierdziły, że mercedes, którym jechała księżna Di i jej facet, pędził z prędkością stu dziewięćdziesięciu trzech kilometrów na godzinę. Od samego początku nam to nie pasowało. Nagraliśmy kilka razy wiadomości, pamiętasz? Potem oglądaliśmy na wideo sprawozdania z miejsca wypadku, zatrzymywaliśmy obraz i porównywaliśmy.

– Nie pasowały nam również szczegóły samego uderzenia – zauważył Dar.

– Zgadza się. Mercedes dość mocno trzasnął w betonową kolumnę tunelu, toteż na podstawie obserwacji jego zniszczeń wiedzieliśmy, że nie mógł jechać z tak wielką

prędkością. Poza tym w wiadomościach podawano, że auto dachowało, czego wcale nie potwierdziły zdjęcia.

– Wraz z Trudy ustaliliście, że dach zdjęli strażacy, gdy wydobywali ze środka ofiary – stwierdził Dar.

– Zgadza się. Ty doszedłeś zresztą do identycznych wniosków. Potem obejrzelśmy zdjęcia dachu i wiedzieliśmy, że wklęsnięcia widoczne w nim od wewnątrz nie mogłyby pochodzić z dachowania. Zdaje się, że przy pierwszym uderzeniu pasażerowie na tylnym siedzeniu podskoczyli i uderzyli głowami w dach.

– A na ile oceniliśmy prawdziwą prędkość podczas najazdu na kolumnę tunelu? Pamiętam, że wzięliśmy pod uwagę rany pasażerów i sprawozdania z miejsca wypadku.

– Niech no pomyślę. Ja chyba powiedziałem, że było to nieco ponad sto kilometrów na godzinę, Trudy uważała, że sto dziesięć, a ty wskazałeś, zdaje mi się, najmniej. Dziewięćdziesiąt osiem?

– A kiedy pojawiły się raporty, okazało się, że racja była po twojej stronie – zadumał się Minor.

– Żaden z reporterów – kontynuował Lawrence – wyraźnie nie miał ochoty o tym wspomnieć, wszyscy wszakże wiedzieliśmy, że księżna Diana przeżyłaby wypadek, gdyby zapięła pasy. No i zapewne wszyscy byliby do dziś żywi, gdyby wypadek zdarzył się w Stanach Zjednoczonych...

– Ponieważ? – spytał Dar.

– Ponieważ zgodnie z przepisami federalnymi i stanowymi wszystkie filary w tunelach osłaniają dodatkowe barierki – odparł Lawrence. – Na pewno pamiętasz, sam o tym wspomniałeś w noc zdarzenia. Nawet wyprowadziłeś na naszym komputerze równania kinetyczne przedstawiające zmniejszenie prędkości podczas uderzenia i pokazałeś w nich, że gdyby mercedes najechał na barierkę, a nie na betonową kolumnę, może zdołałby wykręcić bardziej na środek tunelu, odbić się kilka razy od ściany lub przeciwległej barierki, wytracając powoli szybkość. Gdyby wszyscy pasażerowie poza ochroniarzem mieli zapięte pasy...

– Ale nie mieli – wtrącił cicho Dar.

– No nie. Trudy nazywa to syndromem limuzynowo-taksówkowym – ciągnął Lawrence. – Ludzie, którzy nigdy nie ruszyliby bez zapiętych pasów własnym samochodem, w taksówce lub wynajętej limuzynie nawet na nie nie patrzą. Gdy za kierownicą siedzi wynajęty kierowca, uważasz, że nic ci się nie może stać.

– Trudy nawet zapamiętała film dokumentalny, na którym księżna Diana zapinała pas, kiedy prowadziła własne auto – zauważył Darwin. – O czym jeszcze dyskutowaliśmy?

Stewart podrapał się po podbródku.

– Zakładam, że powiesz mi kiedyś, po co właściwie zadajesz te wszystkie pytania. Hm... niech no pomyślę. Wszyscy się zgodziliśmy, że paparazzi nie mieli nic wspólnego z wypadkiem. Przecież mercedes z łatwością mógłby umknąć fotoreporterom na motocyklach albo ich staranować; kierowca i pasażerowie nawet by tego nie poczuli. Tyle że wszyscy podejrzewaliśmy obecność na miejscu drugiego pojazdu. Podobno kierowca limuzyny stracił panowanie w tunelu, usiłując uniknąć kolizji z innym samochodem.

– Więc doszło do zderzenia – odparł Minor.

– Tak. I byliśmy pewni, że odkryją iż kierowca był po prostu pijany.

Dar kiwnął głową.

– Dlaczego tak założyliśmy?

– Był Francuzem – odrzekł Lawrence. Stewart nie podróżował do tych krajów, w których głównym językiem nie był angielski. A Francuzów nie lubił po prostu z zasady.

– Jaki mieliśmy inny powód? – spytał Darwin.

– Och, zdaje mi się, że to Trudy zauważyła ślady skrętu w lewo po wjeździe do tunelu. Po tym skręcie wjechali prosto w betonowy filar, prawie na pewno musiało zatem chodzić o manewr wymijania, który każdy kompetentny kierowca... albo przynajmniej trzeźwy... potrafiłby bez trudu wykonać przy stu kilometrach na godzinę, nie tracąc kontroli nad mercedesem. Ostatecznie to naprawdę bezpieczny samochód.

– Więc wszyscy troje mieliśmy rację w kwestii szczegółów wypadku, łącznie z hipotetycznym dodatkowym samochodem – podsumował Dar. – Ale czy pamiętasz naszą reakcję?

– Och, pamiętam, że przez jakiś czas przeszukiwaliśmy Internet i dzienniki specjalistyczne – odparł Lawrence – i powoli zbieraliśmy fakty. Czytaliśmy także komentarze innych inspektorów ubezpieczeniowych. Większość danych mieliśmy więc dużo wcześniej, niż pojawiły się w sieci czy w wiadomościach.

– Pamiętasz, czy... płakaliśmy? – zamyślił się Darwin.

Stewart odwrócił wzrok od ruchu ulicznego i przyglądał się Darowi przez jakiś czas, który temu wydał się strasznie długi. Potem wrócił wzrokiem na drogę.

– Żartujesz sobie ze mnie?!

– Nie, próbuję sobie przypomnieć naszą ówczesną reakcję emocjonalną.

– Cały świat się wówczas strasznie smucił i wściekał – odrzekł w końcu Lawrence z wyraźną niechęcią. – Pamiętasz z telewizji długie rzędy szlochających osób... dorosłych osób... przed brytyjskim konsulem w Los Angeles? Odprawiano msze w kościołach, dziennikarze robili wywiady z ludźmi płaczącymi na ulicach. Nie widziałem czegoś takiego od zastrzelenia Kennedyego. Ludzie zachowywali się, jakby

umarł im ktoś bardzo bliski: ulubiona ciocia, żona, matka, siostra albo przyjaciółka. To było zupełne szaleństwo. Kompletnie wariactwo!

– Wiem – stwierdził Minor. – Tyle że ja pytam, jak my troje reagowaliśmy.

Stewart znowu wzruszył ramionami.

– Sądzę, że mnie i Trudy były naprawdę przykro, że księżna nie żyje. Jest smutno, gdy umiera młoda osoba. Ale Chryste, Dar, to nie było nic osobistego. Chodzi mi o to, że nie znaleźliśmy tej kobiety. Poza tym, nieco nas rozdrażniła ich beztroska... jej i tego faceta, Dodiego. Dlaczego pozwolili usiąść za kierownicą pijanemu? Po co się wygłupiali, usiłując uciec kilku pieprzonym fotografom? A w dodatku zdawało im się, że nie dotyczą ich prawa fizyki, skoro nie zapięli pasów.

– Zgadza się – przyznał Dar. Przez chwilę milczał. – Pamiętasz, kiedy zaczęły się pojawiać teorie spiskowe dotyczące jej śmierci?

Lawrence wybuchnął śmiechem.

– Tak. Mniej więcej w dziesięć minut po pierwszych wiadomościach, w których podano informację o śmierci. Pamiętam, że gdy wyprowadziłeś już te równania kinetyczne, wpisaliśmy dane w wyszukiwarkę, ponieważ chcieliśmy sprawdzić w Internecie jeszcze więcej faktów i już wtedy ludzie wysuwali rozmaite hipotezy: że księżnę zabiło albo CIA, albo brytyjskie służby specjalne, albo Izraelczycy. Kretyni.

– Tak – powiedział Darwin. – A my zareagowaliśmy... jak?

Stewart znów popatrzył na niego z marsową miną.

– Sprawa interesowała nas raczej w sensie zawodowym – rzucił ostrożnie. – Czy o to ci chodzi? Pod kątem naszych zainteresowań i pracy wypadek był interesujący, a przedstawiciele mediów mieszały detale, jak zwykle zresztą. Zabawnie było odgadywać, co naprawdę się zdarzyło. W wielu kwestiach właśnie my mieliśmy rację. Był drugi samochód, a kierowca trochę wypił. Zgadzała się również prędkość mercedesa w momencie uderzenia. Nie zajmowaliśmy się lamentami żałobników, ponieważ wiedzieliśmy, że sprawę rozdmuchano, gdyż dotyczyła sławnej osobistości, którą ludzie otaczali niemal kultem. Jeśli będę chciał zapłakać po zmarłym, odwiedzę cmentarz w Illinois, gdzie leżą moi rodzice. Widzisz w związku z tym wypadkiem jakiś problem, Dar? Zareagowaliśmy niewłaściwie? To właśnie chcesz mi powiedzieć?

Minor potrząsnął głową.

– Nie – odparł, a chwilę później powtórzył: – Nie, na pewno nie zareagowaliśmy niewłaściwie.

W swoim mieszkaniu tego wieczoru Darwin nie mógł się skoncentrować. Żaden

z wypadków, które wraz z Lawrence'em badali tego dnia, nie wymagał szczególnych działań związanych z rekonstrukcją. Przypadki postrzału nie zdarzały się w jego pracy zbyt często, nie należały też do incydentów wyjątkowo niezwykłych. Trzy tygodnie wcześniej Dar i Stewart badali zasadność żądania odszkodowawczego, jakie wysunęła rodzina nastolatka, który wepchnął sobie za pas naładowany rewolwer i zdmuchnął przypadkiem większą część własnych genitaliów. Rodzina pozwała szkołę, mimo iż dziewięcioklasista akurat tego dnia wagarował. Matka i jej przyjaciel zażądali dwóch milionów odszkodowania od szkoły, która ich zdaniem ponosiła odpowiedzialność za wypadek, powinna bowiem dopilnować, aby szesnastolatek znalazł się w tamtym czasie na lekcji.

Minor miał też ze dwadzieścia innych projektów, nad którymi mógłby popracować, a chodził po mieszkaniu od ściany do ściany, brał z półki jedną czy drugą książkę, po czym ją odkładał, sprawdzał pocztę elektroniczną i uaktualniał rozgrywki szachowe. Z dwudziestu trzech gier, które toczył, tylko dwie wymagały od niego rzeczywistego skupienia – prawdziwe wyzwanie stanowili dla niego bowiem tylko dwaj przeciwnicy: student matematyki z Chapel Hill w Karolinie Południowej i matematyk, a równocześnie planista finansowy z Moskwy (planista finansowy w Moskwie!). Tenże właśnie moskiewski przyjaciel, Dmitrij, pokonał go już dwukrotnie, a raz rozgrywka zakończyła się patem. Darwin popatrzył teraz na e-mail od Rosjanina, podszedł do stołu, na którym leżała szachownica z rozgrywką, przesunął białego konia Dmitrija i zmarszczył brwi, oceniając efekt. Przez głowę przemknęła mu jakaś myśl.

Telefon od Sydney naprawdę go zaskoczył.

– Witaj, miałam nadzieję, że złapię cię w domu. Masz coś przeciwko towarzystwu?

Wahał się zaledwie ułamek sekundy.

– Nie... To znaczy, pewnie, że nie mam. Gdzie jesteś?

– W korytarzu przed twoim mieszkaniem – odparła Syd. – Policjanci, którzy cię chronią, nawet nas nie zauważyli, gdy wchodziliśmy tylnym wejściem... w dodatku z podejrzaną paczką w rękach.

– Was, gdy wchodziliście – powiedział Darwin.

– Przyproceedziłam przyjaciela – wyjaśniła Sydney. – Mam zapukać?

– Nie, po prostu otwórz drzwi – odparł Dar.

Kobieta rzeczywiście trzymała w rękach podejrzaną paczkę. Minor domyślił się, że Syd przyniosła mu karabin lub strzelbę owiniętą w płótno. Przyjaciel okazał się uderzająco przystojnym Latynosem, kilka lat młodszym od nich obojga. Był jedynie średniego wzrostu, lecz jego muskulatura przywodziła na myśl bejsbolowego pałkarza. Faliste czarne włosy nosił gładko zaczesane w tył, wyglądał szczupło

i dobrze w szarej koszulce polo oraz spodniach i wiatrówce khaki. Chociaż na nogach miał buty kowbojskie, wyglądał tak naturalnie, jakby się w nich urodził; w przeciwieństwie do Dallasa Trace'a, który w swoich prezentował się sztucznie. Mężczyzna przedstawił się jako Tom Santana i uściśnął Darwinowi dłoń także w sposób zupełnie inny niż prawnik: podczas gdy Trace usiłował zrobić wrażenie siłą uścisku, Santana był po prostu silny, a jednocześnie zachował umiar dżentelmena.

– Słyszałem o panu, doktorze Minor – oświadczył Tom. – Bardzo podziwiamy pańskie rekonstrukcje wypadków i innych zdarzeń losowych. Dziwi mnie, że nie spotkaliśmy się wcześniej.

– Proszę mi mówić Dar – odparł Minor – i mnie nie przeceniać. Nazwisko Tom Santana jest mi wszakże znane... Zaczynałeś w wydziale CHP, który zajmował się sfigingowanymi kolizjami drogowymi, w 1992 roku przeszedłeś do Wydziału do Spraw Oszustw i pracowałeś jako tajniak. Właśnie ty rozpracowałeś i zlikwidowałeś kambodżańsko-wietnamski gang naganiaczy ubezpieczeniowych w 1995 i dzięki tobie trafili do więzienia prawnicy zamieszani w tę sprawę.

Mężczyzna uśmiechnął się. Miał uśmiech amanta filmowego i nie wydawał się ani przesadnie pewny siebie, ani przesadnie nieśmiały.

– A przedtem Węgrów, którzy jako pierwsi w Kalifornii zajmowali się tym samym procederem – powiedział ze śmiechem. – Póki Węgrzy, Wietnamczycy i Kambodżanie obracali się we własnym kręgu etnicznym, nie mogliśmy się do nich dobrać. Ale kiedy zaczęli korzystać z udziału Meksykanów, kiedy zaczęli ich rekrutować jako *los toros y las vacas*... [(hiszp.) – byki i krowy] jako kozły ofiarne, wtedy mogłem zacząć pracować jako tajniak.

– Ale już nie pracujesz – podsumował Darwin.

Tom pokiwał głową.

– Jestem zbyt dobrze znany. Ostatnie parę lat kierowałem specjalistycznym zespołem wywiadowczym, który badał przypadki oszustw ubezpieczeniowych, a od ubiegłego roku współpracuję z Syd.

Dar wiedział, że ten specjalistyczny zespół wywiadowczy wchodził w skład Wydziału do Spraw Oszustw Ubezpieczeniowych. Tyle że... Sposób, w jaki ten mężczyzna i Syd reagowali na siebie, jak swobodnie się z sobą czuli, jak spokojnie siedzieli na jego skórzanej kanapie, niezbyt blisko, ale i nie za daleko od siebie... Cóż, nie miał pojęcia, co ich dokładnie łączy, ale, do diabła, denerwował się na siebie za to, że na ich widok odczuwa niemal ból i żal. Ile minęło dni, odkąd poznał główną oficer śledczą Olson? Pięć? Sądził, że nie miała przedtem swojego życia? A poza tym... przed czym?!

– Drinka? – spytał, ruszając ku zabytkowej umywalce, której używał jako barku. Oboje potrzęsnęli głowami.

– Wciąż jesteśmy na służbie – wyjaśnił Tom.

Darwin kiwnął głową i nalał sobie nieco dobrej szkockiej, po czym usiadł naprzeciwko nich na krześle od Eamesów. Ostatnie wieczorne promienie słoneczne docierały przez wysokie okna, rozjaśniając pokój czworobokami złotego blasku. Dar wypił łyk whisky, spojrzał na zawiniętą w płótno paczkę i spytał:

– Czy to dla mnie?

– Tak – odparła Syd. – I nie odmawiaj, póki nas nie wysłuchasz.

– Odmawiam – odparował.

– Cholera jasna – mruknęła Sydney. – Jesteś naprawdę upartym facetem, Darwinie Minor. – Ten wypił kolejny łyk szkockiej i czekał. – Wysłuchasz nas przynajmniej? – spytała kobieta.

– Pewnie, czemu nie?

Śledcza westchnęła.

– Zresztą wypiję drinka, służba czy nie służba... Nie, nie wstawaj, Dar. Wiem, gdzie stoi szkocka. Mów, Tom.

– Syd powiedziała mi – mówiąc, Santana gestykulował dla podkreślenia swoich słów – że poczułeś się wykorzystany. Doktorze Minor...

– Dar – poprawił go.

– Dar – kontynuował Latynos. – I w jakimś sensie tak było. Przepraszamy cię za to oboje. Kiedy jednak Rosjanie wykonali przeciwko tobie ruch, dostaliśmy największą szansę, jaka nam się przytrafiła w sprawie Przymierza. – Sydney wróciła na tapczan ze szklanką z whisky i rozsiadła się na poduszkach. – Przypatrujemy się działalności tuzina najznakomitszych prawników w kraju. Chodzi naprawdę o najlepszych, o prawdziwe sławy. Mniej więcej połowa z nich pracuje tutaj, w Kalifornii, reszta w innych miastach, takich jak Phoenix, Miami, Boston czy Nowy Jork.

– Łącznie z Dallasem Trace'em – wtrącił Darwin.

– Tak, jego również podejrzewamy – przyznał Tom.

Minor, zanim się odezwał, wypił kolejny łyk szkockiej. W wieczornym świetle bursztynowy płyn w szklanicy pięknie się jarzył.

– Dlaczego tacy prawnicy, szczególnie jeżeli... przypuszczalnie... są równie lub niemal tak sławni jak Trace... Dlaczego tacy ludzie mieliby ryzykować karierę, skoro mogą zarobić legalnie miliony dolarów?

Santana zamachał rękoma. Tym razem skojarzył się Darwinowi z bejsbolowym miotaczem, który przymierza się do silnego rzutu.

– Na początku sami nie mogliśmy w coś takiego uwierzyć. W niektórych wypadkach mogło chodzić o kwestie osobiste: na przykład z powodów osobistych Esposito miał swój udział w zabójstwie syna Dallasa Trace'a, Richarda. Zazwyczaj

jednak ci ludzie rzeczywiście pragną pieniędzy. Wiesz, jakimi kwotami obracają każdego roku nielegalne kliniki, ile miliardów idzie na wypłaty odszkodowań za sfinansowane wypadki? Przymierze największych prawników kraju ma licznych pośredników, których usuwa...

– Dosłownie ich usuwa? – wtrącił Dar. – To znaczy morduje ich?

– Czasami – przyznała Syd. Wyglądała na zmęczoną. Ostatnie promienie wieczornego światła padające na jej twarz podkreślały zmarszczki, których Minor wcześniej u niej nie dostrzegł.

– Gennie Smiley i Donald Borden, na przykład... Nie znaleźliśmy ich ani w San Francisco, ani w Oakland. Nigdzie ich nie znaleźliśmy.

Darwin pokiwał głową.

– Można by sprawdzić w wodach zatoki – powiedział. Bezwiednie posłał Sydney piorunujące spojrzenie.

– A ponieważ Rosjanie do mnie strzelali, uznałaś, że ci się przydam i może sprowokuję Dallasa Trace'a do jakiegoś ruchu. Dlaczego? Ponieważ wiedziałaś, że mam na kasetach rekonstrukcje sfinansowanych wypadków?

Kobieta pochyliła się szybko do przodu. Jej twarz wyrażała troskę, a może nawet ból.

– Dar, przysięgam ci, że wiedziałam, iż Dallas Trace widział wcześniej dowody na zabójstwo swojego syna. Przesłuchiwaaliśmy kapitana Fairchilda i porucznika Venture, ponieważ dziwiło nas, że Wydział Zabójstw zajął się sprawą zwyczajnego wypadku samochodowego... Ale przysięgam ci też i obiecuję, że nie miałam pojęcia, kto nakręcił tę kasetę z rekonstrukcją. Odkryłam, że to ty, dopiero kiedy pokazałeś mi ją w swoim domku. – Tom zachował milczenie, patrząc to na jedno z nich, to na drugie. Być może próbował zrozumieć przyczyny napięcia, które nagle między nimi zapanowało.

– Więc dlaczego zabrałaś mnie do Dallasa Trace'a? – spytał po chwili Darwin.

Sydney odstawiła szklaneczkę ze szkocką na drewnianą ławę.

– Ponieważ ta kasetka była taka dobra – odparła. – Ponieważ żaden rozsądny człowiek nie mógłby po jej obejrzeniu mieć wątpliwości, że ofiara została zamordowana. Aż do wczoraj miałam do co Dallasa Trace'a wątpliwości, ale tylko do wczoraj. Skoro obejrzał rekonstrukcję wypadku na wideo, a następnie wyrzucił nas ze swojego gabinetu, jestem przekonana, że tkwi po szyję w całym tym gównie.

Minor westchnął.

– No dobrze. I co, do cholery, mam z tym zrobić?

– Pomóż nam – powiedział Santana. – Pracuj dalej z Syd. Użyj swoich umiejętności związanych z rekonstrukcją wypadków i dotrzyj do sedna spisku zwanego Przymierzem.

Darwin nie odpowiedział. Sydney odwróciła się do Toma Santany.

– Dar nie wierzy w spiski.

– Nie powiedziałem, że nie wierzę w istnienie spisków – obruszył się. – Mówiłem tylko, że nie wierzę w spiski uwieńczone powodzeniem. Po pewnym czasie każdy spisek musi się załamać pod ciężarem ignorancji albo dlatego, że wplątani w nich ludzie nie mają dość rozumu, aby trzymać język za zębami. Ci Pomocnicy Bezbronnych...

– To nie jest bzdura, wierz mi – przerwał mu Tom.

– Sytuacja stale się zmienia. Pogarsza się. Już nie chodzi tylko o niewinne stłuczki na drogach, teraz ofiary tych z pozoru niewinnych, sfingowanych wypadków giną!

– I na placach budów – dodała Syd.

– Prawnicy rekrutują ludzi do zwykłych kraks lub stłuczek, po których mieliby oni rzekomo wystąpić o odszkodowanie z powodu uszkodzonych kręgów szyjnych – ciągnął Santana. – A ofiary umierają natomiast faceci tacy jak Esposito czy Dallas Trace zarabiają na nich więcej pieniędzy niż kiedykolwiek przedtem.

– Esposito już nic na nikim nie zarobi – mruknął Darwin.

Sydney znów pochyliła się do przodu, splatając palce.

– Dołączysz do nas, Dar? Pomożesz nam rozwikłać tę sprawę?

Minor popatrzył na siedzących przed nim na kanapie mężczyznę i kobietę, którzy tak dobrze się czuli we własnym towarzystwie.

– Nie – odrzekł.

– Ale... – zaczął Tom.

– Jeśli mówi „nie”, to znaczy „nie” – przerwała mu Syd. Zza paska pod luźną kamizelką wyjęła półautomatyczny pistolet. Przedtem miała chyba dziewięćmilimetrowy, ten jednak wyglądał na większego kalibru. – Znasz tę broń, Dar?

– Pytasz o pistolet? – spytał. – Widziałem podobny w ręce pewnego martwego faceta dziś po południu.

Sydney zignorowała jego sarkazm.

– To SIG Pro. – Minor popatrzył na mały półautomat z wyraźnym wstrętem. – Wiem, że widywałeś SIG Sauery – kontynuowała. – To jest nowa konstrukcja SIG-a, broń polimerowa. Bardzo mała, bardzo lekka. – Odłożyła pistolet na ławę. – Zobacz sam... podnieś, zważ w dłoni.

– Wierzę ci na słowo – odparował Darwin.

– Słuchaj, Dar... – zaczęła Syd, lecz przerwała. Przez chwilę chyba starała się opanować. – Nie wciągał cię w tę sprawę – powiedziała w końcu spokojnym głosem. – Kiedy ci dwaj faceci z Wydziału Zabójstw Departamentu Policji Los Angeles... podejrzewamy zresztą, że obaj przyjmują łapówki. Kiedy pokazali

Trace'owi kasetę z rekonstrukcją wypadku, którą przekazałeś Wydziałowi Ruchu Drogowego, no cóż... wtedy właśnie ruszyli za tobą Rosjanie.

– Jesteśmy przekonani, że Przymierze już wcześniej korzystało z usług przedstawicieli rosyjskiej mafii. Przy ich pomocy wymuszali większe oszustwa – odparł spokojnie i powoli Tom Santana. – Mamy dowód, że sam Dallas Trace wynajmował byłego agenta KGB, który w odpowiednim momencie zastraszał niektóre osoby. Mężczyzna ten jest członkiem *Organizacji*, rosyjskiego syndykatu przestępczości zorganizowanej. Zabójca ów może w razie potrzeby ściągnąć dodatkowych przedstawicieli mafii rosyjskiej.

– I sądzicie, że ten mały polimer, ten SIG Pro radykalnie odmieni moją sytuację?

– Może wiele zmienić – przyznała Syd gniewnym tonem. – Pomyśl, jak łatwo weszliśmy wraz z Tomem do twojego domu. Po drugiej stronie ulicy parkował tylko jeden nieoznakowany wóz Departamentu Policji San Diego, zresztą siedzący w nim funkcjonariusze o tej porze na wpół przysypiają, bo pracują po godzinach. – Wyjęła magazynek z pistoletu i położyła go na ławie, po czym pokazała Darwinowi, że w komorze nie została żadna kula. – To jest moja osobista broń, Dar. Do tego typu SIG-a Pro pasuje amunicja kaliber .40 od pistoletów Smith and Wesson. Jest to najdokładniejszy półautomat na rynku. Służby specjalne Stanów Zjednoczonych lubią te pistolety. Z nowego SIG-a Pro dobrze się celuje i można wielokrotnie trafić dokładnie tam, gdzie się chce.

– W innego człowieka – mruknął Minor. Sydney zignorowała jego słowa. Zdjęła płótno z przyniesionej długiej paczki.

– Gdy będziesz sam, pistolet przyda ci się do obrony – podjęła. – Jestem w trakcie załatwiania ci pozwolenia, ale na pewno cię nie aresztują za noszenie go. Obojętnie co się zdarzy. A mieszkanie i dom na wzgórzach...

– Mam dubeltówkę – przypomniał jej Darwin.

– Wiem, że byłeś w marines – przerwała mu Syd.

– Wiem, że ćwiczyłeś się w strzelaniu...

– To było ponad ćwierć wieku temu – zauważył Dar.

– Strzelanie jest jak jazda na rowerze – oświadczył Tom Santana bez cienia sarkazmu w głosie.

– Miałeś w pewnym momencie myśliwskiego savage'a kaliber .410 – powiedziała Syd. – Prawdopodobnie rozpoznasz tę strzelbę. To prawdziwy klasyk.

– Remington model 870, samopowtarzalna dwunastka – oznajmił Darwin pozbawionym emocji tonem. – Tak, widywałem takie.

Sydney sięgnęła do swojej dużej torby, wyciągnęła z niej dwa pudełka z nabojami i postawiła je na stole. Minor widział, że jedno pudełko zawiera kule kaliber .40 do pistoletu Smith and Wesson, drugie natomiast – w kolorze żółtym – loftki, czyli gruby

śrut.

Syd skinęła głową ku frontowym drzwiom.

– Ktoś, kto ci się nie spodoba, bez trudno może pokonać te drzwi, Dar, a wtedy naciskasz spust i twój ołowiany nabój kaliber .33 wyskakuje z lufy z prędkością pomiędzy trzysta trzydzieści pięć a trzysta dziewięćdziesiąt metrów na sekundę. Jeden taki nabój czyni więcej szkód niż osiem dziewięćmilimetrowych kul wystrzelonych z półautomatu.

– To dobra, celna broń – dodał Tom Santana – wyposażona w szybkie pociski, lecz w jej wypadku niemal nie istnieje ryzyko nadmiernego przenikania. Dlatego właśnie policja chętnie ich używa, na przykład podczas obławy. I z... powiedzmy... dwudziestu pięciu metrów... niemal nie sposób chybić.

Darwin milczał. Cała trójka dobre kilka minut przesiadziała w ciszy. Na dworze pociemniało, gdyż zaszło słońce.

– Dar – odezwała się wreszcie Syd, pochylając się nad ławą i dotykając jego kolana – niezależnie od tego, czy będziesz z nami współpracował, kontakt ze mną łączy się dla ciebie z potrzebą dodatkowej ochrony.

Minor potrząsnął głową.

– Nie zgadzam się na pistolet. I mówię to po raz ostatni. Ale przyjmę remingtona. Będę go trzymał pod łóżkiem.

Oficer śledcza Olson i inspektor Santana popatrzeni po sobie. W końcu Sydney podniosła sigę i wraz z magazynkiem schowała do torby.

– Dzięki, że chociaż strzelbę zamierzasz zatrzymać, Dar. Magazynek mieści pięć naboji, a samopowtarzanie...

– Strzelałem wcześniej z remingtona 870 – przerwał jej Minor. – Tego się nie zapomina, bo to jest jak jazda na rowerze. – Wstał. – Coś jeszcze?

Syd i Tom uścisnęli mu dłoń przy drzwiach, ale żadne się nie odezwało.

W ostatniej chwili Santana wręczył Minorowi wizytówkę.

– Pod tym ostatnim numerem jestem osiągalny w każdej chwili, zarówno w dzień, jak i w nocy – dodał.

Darwin wsunął wizytówkę do kieszeni dżinsów, ale nie mógł się powstrzymać, więc dorzucił:

– Mam już gdzieś wizytówkę Sydney.

Przez godzinę po ich wyjściu Dar nerwowo kręcił się po mieszkaniu. Nawet nie włączył światła. Wsunął strzelbę i naboje pod łóżko, po czym wrócił do salonu. Był naprawdę niespokojny. Nalał sobie kolejną szklaneczkę szkockiej i zapatrzył się na

zewnątrz, na światła leżącego pod nim miasta i na płynące powoli po zatoce łodzie. Na Lindbergh Field jeden samolot wylądował, inny wystartował. Wielkie maszyny symbolizowały celowość i energię, której Minor nie czuł w sobie.

Dopił whisky i znów ruszył do części sypialnianej. W łazience wszedł pod prysznic i stał przez kilka minut pod gorącą wodą, która obmywała go z alkoholowego otępienia. Wyszedł do ciemnej sypialni, wycierając ręcznikiem krótkie włosy. Włączył światło. Sypialnia była właściwie kącikiem ogrodzonym wbudowanymi biblioteczkami i szafą, której drzwi wyposażono w lustro wysokości dorosłego człowieka. Co jakiś czas zamierzał je zdjąć. Teraz aż zamrugnął na widok własnego odbicia. „Czy jest coś smutniejszego niż nagi mężczyzna w średnim wieku?” – zadumał się. Podeszedł do drzwi szafy, zamierzając otworzyć drzwi, aby wyjąć pidżamę, a równocześnie usunąć lustro z pola widzenia, gdy padł pierwszy strzał. Rozbite szkło lustra osypało się na twarz i pierś Dara, przecinając mu w wielu miejscach skórę. Zatoczył się w tył, ściągając równocześnie na ziemię lampkę z niskiej szafki. Drugi strzał padł już w ciemnościach.

Rozdział trzynasty

M JAK MGŁA

W pomieszczeniach Darwina znajdowało się tak wielu policjantów, że mieszkanie wyglądało jak bufet podczas nocnej zmiany. Ekipa balistyczna pracowała nad dokładnym odtworzeniem kąta, pod jakim obie kule wpadły przez wysokie, północne okna, przeleciały sypialnię i dotarły do celu. Okna pospiesznie przykryto prześcieradłami i płótnem malarskim. W sypialni stało pół tuzina mundurowych funkcjonariuszy i jeszcze więcej policjantów w cywilu. Federalne Biuro Śledcze reprezentował agent specjalny Jim Warren. Towarzyszyła mu asystentka – niska, żwawa kobietka. Kapitan Hernandez z Departamentu Policji San Diego przybył z typowym dla siebie orszakiem sześciu czy ośmiu ludzi, zjawił się także kapitan Tom Sutton z CHP. Przyszli także Syd Olson i Tom Santana. Usiedli na skórzanej kanapie i gapili się na leżący na ławie karabin.

– Nigdy przedtem nie widziałem takiej broni – przyznał się jakiś funkcjonariusz kalifornijskiej policji drogowej. Mężczyzna trzymał w ręce jeden z białych kubków Dara i sączył kawę.

– Jest to cywilna wersja snajperskiego karabinu, używanego przez oddziały SWAT – wyjaśniła Sydney.

– Można ustalić markę? – spytał kapitan Hernandez.

– Znam je – odparł Tom Santana. – Pojawiły się kilka lat temu na pokazie National Rifle Association w Seattle. Ten nazywa się Tikka 595 Sporter. Z celownikiem Weaver T32.

– Jaka odległość dzieli ten dach od mieszkania? – spytał kapitan Sutton.

– Jest nieco ponad sześćset pięćdziesiąt metrów na północ stąd – odparła Syd. – Właściwie dostrzegłam pierwszy błysk lufy i byłam w drodze tam, zanim padł drugi strzał – wyjaśniła. Kiwnęła głową dwóm mundurowym, popijającym w kuchni napoje bezalkoholowe. – Czatowałam na wzgórzu powyżej tego budynku, więc zadzwoniłam do stojącego przed domem nieoznakowanego pojazdu policyjnego. Funkcjonariusze mieli sprawdzić, jak się miewa doktor Minor, a ja zaczęłam gonić snajpera.

– Tyle że nie wiedziała pani o wyjściu przeciwpożarowym – powiedział agent specjalny Warren.

– Niestety – przyznała Sydney. – Wspięłam się głównymi schodami i dotarłam na dach, najszybciej jak mogłam. Na drugim poziomie dostrzegłam podejrzanego przy wyjściu przeciwpożarowym, którym zbiegł. Oddałam dwa strzały, ale nie trafiłam.

– Jeden z nich był przypuszczalnie strzałem ostrzegawczym – zauważył cierpko kapitan Hernandez.

– Odgłos strzałów wystraszył napastnika, który wrzucił ciężki karabin do

śmietnika przed wyjściem przeciwpożarowym – zauważył Tom Santana. – Potem mężczyzna dotarł do swojego samochodu, zanim śledcza Olson zdążyła zejść schodami przeciwpożarowymi.

– Żadnych danych na temat samochodu, Syd? – spytał kapitan Hernandez.

– Nie zdołałam dojrzeć numerów rejestracyjnych. Na pewno samochód był produkcji amerykańskiej. Nieduży, kompaktowy. Na nieszczęście odjechał, zanim zbiegłam.

– Pani chybiła, będąc trzy piętra nad mordercą – mruknął kapitan Sutton z CHP – a ten snajper zdołał wpakować dwie kulki niemal w cel z sześciuset pięćdziesięciu metrów... we mgle i lekkiej mżawce? Niewiarygodne.

– Wcale nie takie dziwne – odparowała Syd. – Snajper trwał przez jakiś czas w miejscu, czekał na doktora Minora i na włączenie światła. Nawet wniósł na górę dwa worki z piaskiem, które sobie podłożył, zyskując dzięki nim optymalną pozycję strzelecką. Zauważcie, że pasek policzkowy na drewnianych kolbach tych karabinów snajperskich typu wojskowego jest regulowany... Nasz człowiek miał zatem czas na ustawienie śrub zaciskowych, aby pasek policzkowy był podniesiony do idealnej wysokości.

– Żadnych odcisków palców – stwierdził jeden z techników.

Sydney i pozostali posłali mężczyźnie zmęczone spojrzenia.

– Oczywiście, że nie ma – rzucił kapitan Hernandez. – Mamy do czynienia z profesjonalistą.

Jeden ze speców od balistyki podszedł do karabinu.

– Nadzwyczajna celność z nieco ponad sześciuset dwudziestu metrów.

Obliczyliśmy, że pierwszy strzał był wycelowany prosto w serce. Kula utkwiała w tylnej ścianie szafy. Strzelec używał pocisków czterdziestopięciogramowych Winchester.748...

– Wiemy o tym – przerwała Syd. – Zostały trzy naboje w komorze zdobytej przeze mnie broni, a mieści pięć. Na miejscu, z którego strzelał, nie znaleźliśmy żadnych łusek.

– Broń snajperska – kontynuował technik, nie zniechęcony. – Mężczyzna włożył łuski po dwóch strzałach do kieszeni, chociaż zdołał oddać drugi strzał w mniej niż dwie sekundy. Ten drugi strzał trafiłby doktora Minora w głowę, gdyby doktor padł dokładnie w miejsce, w którym snajper się go spodziewał. A także...

– Mógłby pan przestać mówić o doktorze Minorze w trzeciej osobie – mruknął poirytowany Dar. – Jestem tutaj. – Siedział na krześle od Eamesów w zielonym płaszczu kąpielowym, nie zakrywającym wszystkich opatrunków, które założyli mu sanitariusze po wyjęciu z jego skóry na piersi i szyi kawałków szkła.

– Nie byłoby cię tu – wtrąciła Sydney – gdyby snajper nie dostrzegł zamiast ciebie

twojego odbicia w lustrze.

– Szczęściarz ze mnie – odburknął Darwin.

– Cholerna racja, miałeś szczęście – zgodziła się Syd z gniewem w głosie. – Gdyby nie ta bardzo drobna mżawka i lekka mgła, która przyszła dzisiejszego wieczoru od oceanu, celownik strzelca nie byłby zaparowany i facet na pewno by odkrył, że patrzy na twoje odbicie w lustrze, nie zaś na człowieka z krwi i kości. Nawet z odległości dobrze ponad pół kilometra snajper trafiłby cię prosto w serce.

– Ale tylko stłukł lustro – mruknął Minor. – Będę miał pecha przez siedem lat. – Napił się gorącej herbaty, po czym przyjrzał się własnej dłoni, w której trzymał kubek. Bardzo nieznacznie, ale trzęsła się. Interesujące. – I po co właściwie tam czatowałaś, śledcza Olson?

Sydney zmrużyła oczy.

– Twoja odmowa współpracy przy wyłapywaniu tych gnojków nie oznacza, że mam cię pozostawić bez ochrony.

– Nie była to najlepsza ochrona, prawda? – spytał złośliwie Dar. – Facet oddał dwa strzały... Tak przy okazji, jesteś pewna, że to był mężczyzna?

– Biegł jak facet – wyjaśniła Syd. – Miał na sobie wiatrówkę i czapkę bejsbolową. Był średniego wzrostu, budowy między szczupłą a średnią. Nie widziałam jego twarzy, a z racji panujących ciemności niewiele mogę powiedzieć o jego rasie czy narodowości.

Kapitan Hernandez siedział okrakiem na krześle kuchennym przed ławą. Położył sobie podbródek na przedramieniu i powiedział:

– To jest standardowa procedura, śledcza Olson, dla funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości z biura prokuratora stanowego, że biegną sami za snajperem? Że nie czekają na wsparcie?

Kobieta uśmiechnęła się do niego.

– Nie, kapitanie, na pewno nie jest to standardowa procedura. Moje wsparcie stanowił jednak Tom, a i tak zamierzaliśmy zmieniać się na warcie przez parę nocy. Jestem zresztą przekonana, że moi zwierzchnicy z Sacramento przypomną mi właściwą procedurę.

– To dobrze – mruknął Hernandez. – Czyli gdzie utknęło nasze śledztwo?

Jim Warren z FBI kuczał obok ławy.

– No cóż, nie mamy odcisków linii papilarnych, nie mamy opisu strzelca ani numeru rejestracyjnego jego samochodu, lecz posiadamy jego broń. Celownik Weaver nie jest może szczególnie niezwykły, ale tych Tikk 595 sprzedano chyba do tej pory niezbyt wiele. I chociaż podczas wstępnych oględzin nie znaleziono odcisków palców na trzech nabojach pozostających w magazynku, może laboratorium Federalnego Biura Śledczego coś znajdzie. Zwykle znajdują. A my skupimy się na kulach

Winchester kaliber .748 MatchKing 8THP... To nie jest zwyczajna amunicja do polowań na jelenie.

Rozmawiali jeszcze długo. Darwin dopił herbatę i zaczął przysypiać. Bolały go przecięcia na skórze i miejsce po zastrzyku przeciwko tężcowi, przede wszystkim jednak czuł się zwyczajnie senny. O drugiej nad ranem zadzwonili Lawrence i Trudy, którzy do tej pory tkwili w Internecie, poszukując danych. Dar musiał się nieźle namęczyć, aby odwieść ich oboje od przyjazdu.

Zanim wyszli ostatni mundurowi i ludzie z CHP, nadszedł świt. Teraz na posterunku znajdowały się dwa pozbawione oznaczeń samochody Departamentu Policji San Diego oraz wóz patrolowy drogówki stanowej. Minor dostrzegł, że dyżur na dachu snajpera – czyli starego budynku magazynowego dwie przecznice dalej – pełni także funkcjonariusz w mundurze i z karabinem w ręce. Nie wierzył, że zabójca wróci jeszcze tego samego dnia. W końcu zostali tylko Tom i Syd. Oboje wyglądali na ogromnie zmęczonych.

– Dar – odezwała się Sydney, znów kładąc dłoń na jego kolanie.

Darwin rozbudził się. Nagle stał się bardzo świadomy nacisku ręki kobiety, obecności drugiego mężczyzny i własnego niekompletnego stroju. Przed przybyciem całego tego tłumu zdążył wszak narzucić na siebie jedynie płaszcz kąpielowy.

– Co? – spytał.

– Czy to coś zmienia?

– Gdy do ciebie strzelają, zawsze coś się zmienia – odparł. – Jeśli jeszcze kilka razy uniknę kulki, może stanę się religijny.

– Cholera, przestań się ze mną zabawiać. Czy teraz bierzesz pod uwagę współpracę z nami? Wiesz, że tylko w ten sposób możemy ci zapewnić bezpieczeństwo i powstrzymać tych aroganckich drani.

– Wszystkich? – zapytał. – Sądzisz, że potrafisz ich wszystkich wyłapać? Tom, ilu naganiaczy, ilu skaptowanych Azjatów, pracowników klinik i adwokatów było związanych z tą wietnamską organizacją, której działalność ukróciłeś kilka lat temu?

– Chyba czterdzieści osiem osób – odparł Tom Santana.

– A ilu udało ci się oskarżyć?

– Siedmiu.

– A ilu posadziłeś?

– Pięciu... adwokatów, jedyne prawdziwego lekarza w grupie i głównego naganiacza ubezpieczeniowego.

– Ile dostali? Dwa lata? Trzy?

– Tak – odparł Tom. – Ale prawnicy już nie praktykują... nigdzie, lekarz wyemigrował do Meksyku, a naganiacz wciąż przebywa na warunkowym. Żaden nie bierze już udziału w fingowaniu wypadków.

– Pewnie że nie – odciął się Minor. – Bo teraz zajmują się tym Przymierze i *Organizacja*. Gra nigdy się nie zmienia... jedynie twarze.

Santana wzruszył ramionami i ruszył do drzwi.

– Nie zapomnij zasunąć zasuw – powiedziała Sydney i obróciła się, zamierzając pójść za Tomem do windy.

Darwin chwycił ją za nadgarstek.

– Syd... dzięki.

– Za co? – spytała, spoglądając mu głęboko w oczy. – Za co?

Odeszła, nie czekając na odpowiedź.

Dziwne ciemności panowały w mieszkaniu nawet po świetle, gdyż wszystkie okna przykrywało płótno. Dar postanowił sobie zapamiętać, aby przy najbliższej okazji zainstalować żaluzje. Wrócił do sypialni, zrzucił z ramion płaszcz kąpielowy, położył się na łóżku i wpełzł pod kołdrę. Myślał, że zaśnie w przeciągu kilku sekund, przez jakiś czas leżał jednak i obserwował przesuwające się po wysokim suficie, przefiltrowane przez materiał światło słoneczne. W końcu zasnął. Nic mu się nie śniło.

Rozdział czternasty
N JAK LOS NIÑOS [(hiszp.) – dzieci.]

Środa okazała się dniem straconym. Dar przespał wprawdzie tylko kilka godzin, ale ponieważ spał w dzień, czuł się strasznie. Kiedy wstał, znalazł w książce telefonicznej rzemieślnika, który mógłby mu w trybie natychmiastowym zainstalować żaluzje, a potem chodził bez celu po mieszkaniu, czekając na przyjscie wysłanych przez tamtego pracowników. Nie bał się wyjść na zewnątrz – w każdym razie sądził, że się nie boi – z drugiej strony jednak nie był również gotów do opuszczenia mieszkania, skoro nie miał ku temu żadnego ważnego powodu.

Lawrence zjawił się koło południa z gorącym lunchem dla nich obu i natychmiast sprawdził, czy Darwin nie ukrywa przed nim jakichś przerażających dziur po kulach. Powiedział, że pracuje „w mieście”, co oznaczało centrum San Diego. Czyli że najprawdopodobniej zeznawał w Centrum Sprawiedliwości. Twierdził, że będzie w mieście do późna i spytał, czy może się przespać na kanapie Dara. Ten podejrzewał, że Stewart, który był nie tylko jego przyjacielem, lecz także rzeczoznawcą ubezpieczeniowym, po prostu zamierza go w ten sposób strzec, nie bardzo jednak mógł odmówić.

Gdy Lawrence wyszedł, a instalatorzy skończyli montaż żaluzji, Darwin zabrał się za stare teczki z aktami, wysłał e-mailem swoje ruchy szachowe do wszystkich rywali, z wyjątkiem Dmitrija z Moskwy, po czym wszedł do sypialni, klęknął na jedno kolano i wyjął spod łóżka remingtona 870 oraz pudełko z nabojami. Załadował pięć dużych ołowianych naboń, po czym położył sobie broń na kolanach. Przeczytał tłoczone litery po lewej stronie komory, ponad i przed kabłąkiem spustowym: Remington 870 EXPRESS MAGNUM. Wiedział, że nazwa sugeruje, iż sztucer wykonano po roku 1955, czyli po modyfikacji, dzięki której model ten mógł strzelać zarówno nowoczesnymi trzycalowymi pociskami ołowianymi typu magnum, jak również starszymi dwunastkami, o ćwierć cala mniejszymi. Dar dotknął małego zatrasku na lewej przedniej części kabłąka spustu, wprowadził pocisk i zabezpieczył. Kontakt z bronią, dotyk stali i zapach oleju do konserwacji przypomniał mu dzieciństwo: gdy polował na kaczki i bażanty z ojcem i wujami w południowym Illinois. Rześkie jesienne poranki, pola kukurydzy i dobrze wytresowane psy, które przynosiły ustrzelone ptaki.

Odłożył broń pod łóżko i zamknął oczy. Przez głowę przemknęły mu błyski obrazów. Nie widział w nich bynajmniej ostatnich zdarzeń, na przykład roztrzaskującego się lustra, lecz... buty przesuwające się przez trawę; buty najrozmaitszych typów: wypolerowane męskie półbuty, dziecięce trampki, kobiece

sandałki. Pierwszą rzeczą, jaką zauważali funkcjonariusze na miejscu każdej katastrofy powietrznej – nawet przed smrodem paliwa lotniczego, porozdzieranego i spalonego metalu lub fragmentów ludzkich ciał – były setki butów z pozoru przypadkowo porzuczanych dookoła. Ten widok zawsze przypominał Minorowi o uwolnionej podczas katastrofy straszliwej energii kinetycznej, z powodu której buty (nawet te mocno zasznurowane) niemal nigdy nie pozostawały na nogach ofiar. Darwinowi fakt ten kojarzył się w jakimś sensie z ostateczną zniewagą. Pamiętał też ze śledztwa buty Dickiego Kodiaka, czyli Richarda Trace’a. Młodemu człowiekowi spadł z prawej nogi mokasyn, ale leżał w niewłaściwym miejscu – Gennie Smiley zbyt daleko wycofała furgonetkę, gdy potrafiła mężczyznę po raz drugi. Nieszczęsny homoseksualista, biedny dureń. Dar potrafiłby sobie wyobrazić, jak Dallas Trace opowiada o swoim synu przyjaciołom z klubu dla bogaczy.

Po zapadnięciu nocy podszedł do jednej z bibliotek i zdjął z półki wielokrotnie kartkowany egzemplarz książki zawierającej fragmenty dzieł stoików. Rozpoczął od Epikteta, ale zdecydował się najpierw przeczytać Księgę XII *Rozmyślań* Marka Aureliusza. W ostatniej dekadzie tak wiele razy czytał te ustępy, że niektóre zdania brzmiały dla niego jak doskonale znana mantra:

„Z trzech części się składasz: z ciała, tchu i rozumu. Z tych dwie pierwsze są twymi tak długo, jak długo się o nie starać musisz, a jedynie trzecia jest twoją bezwzględnie. A jeżeli oddalisz od siebie, to znaczy od swojego umysłu wszystko to, co inni czynią lub mówią, coś sam uczynił lub powiedział, i to, co cię niepokoi jako przyszłość, i to, co z tobą jest związane, ale do wyboru niezawisłe jako własność ciała, które cię otacza, i tchu z nim spojenego, i to, co toczy nurt życia zewnątrz ciebie płynący, tak by twoja zdolność umysłowa, wyjęta ze związku z tym, co jest z tobą związane przeznaczeniem wspólnym, czysta i niezawisła żyła dla siebie samej, postępując sprawiedliwie i chcąc tego, co się dzieje, i mówiąc prawdę; jeżeli oddalisz – powtarzam – od tej woli twojej to, co z nią jest związane na podstawie wpływów zewnętrznych, i przyszłość, i przeszłość, a stworzysz z siebie to, czym jest Empedoklesowa kula Kula okrągła, dumna z otaczającej ją samotności, a starać się będziesz jedynie o życie, którym żyjesz, to jest o terażniejszość – będziesz mógł przeżyć resztę życia aż do śmierci bez niepokoju, w zgodzie i z miłością dla twego demona”. [Marek Aureliusz, *Rozmyślania*.]

Dar zamknął książkę. Te linijki i tak wiele im podobnych dawały mu pociechę po śmierci Barbary i małego Davida, którzy zginęli w katastrofie lotniczej w Kolorado, a dokładniej pomagały mu później: po krótkim okresie szaleństwa i próbie samobójczej. Pamiętał dźwięk iglicy uderzającej pusto o ten nabój kaliber .410, który

nie wystrzelił. Tylko ten jeden jedyny raz otrzymana od ojca strzelba zawiodła; pusty odgłos tego niewypału budził go często, lecz Darwin uspokajał się, wspominając rozsądne odpowiedzi stoików. Nie tej nocy wszakże.

Sprawdził, czy wszystkie żaluzje są zamknięte, a zasuwa zasunięta. Chociaż był zmęczony, nie mógł spać. Nie ufał tabletkom nasennym, widział bowiem wcześniej zbyt wiele fatalnych skutków ich stosowania i to wcale nie mniej opłakanych niż przypadek nieszczęsnego Hattona, który – słysząc dzwonek telefonu – zamiast słuchawki podniósł z nocnej szafki Smith and Wessona kaliber .38. Z tych właśnie powodów Dar nie zamierzał się ratować pastylkami, znał wszakże na szczęście usypiający potencjał tekstów Immanuela Kanta, więc sięgnął po nie i czytał, aż znalazł się na krawędzi snu.

W tym momencie rozległo się stukanie do drzwi. Minor rozważył wyciągnięcie strzelby spod łóżka, pukanie jednak brzmiało znajomo: powtarzane w regularnych odstępach dwa krótkie uderzenia.

Wszedł Lawrence, wymęczony, zmiętoszony i spocony po długim dniu zeznawania. Darwin wrócił do Kanta, podczas gdy Stewart poszedł wziąć prysznic, a po pewnym czasie wrócił z łazienki w zbyt dużym na niego zapasowym płaszczu kąpielowym, który Minor trzymał właśnie na takie wizyty.

Kiedy Lawrence rozkładał koc i wzburzał poduszkę przed ułożeniem jej na kanapie, Dar przyglądał się kaburze podramiennej z rewolwerem colt kaliber .32, którą przyjaciel nonszalancko przewiesił przez krzesło.

– Jedziecie jutro z Trudy do Los Angeles na kolację? – spytał Darwin.

– Co masz na myśli? – Stewart odpowiedział z tapczanu pytaniem. Czuł się najwyraźniej wygodnie w jego płaszczu kąpielowym. Leżał przykryty kocem marki Hudson's Bay i czytał czasopismo „Car and Driver”.

– Zwykle bierzecie broń, gdy jedziecie do miasta. – Dar wiedział, że jego przyjaciel od wielu lat posiada pozwolenie na broń, ze względu na zagrożenia związane z zawodem rzeczoznawcy ubezpieczeniowego. W końcu dzięki jego zeznaniom za kratki wciąż trafiało wielu złodziei samochodów i oszustów różnej maści.

Lawrence odchrząknął.

– Przyjście do ciebie wystarcza za powód do noszenia broni – odparł. – Czuję się jak ktoś, kto się kręci wokół Charlesa de Gaulle'a w *Dniu szakala*.

– Tylko w pierwszym filmie – odciął się Dar. – W przeróbce Szakal wziął na celownik szefa FBI. W tym drugim filmie grał go nie Edward Fox, ale Bruce Willis.

– Zawsze jak planują remake, to wszystko spieprzą – stwierdził Stewart, odkładając czasopismo. Po chwili wyłączył światło przed kanapą.

– Prawda? – zgodził się z nim Darwin. Poszedł sprawdzić drzwi i zasuwę. Potem

przyjrzał się brzydkim, lecz szczelnym żaluzjom, zamontowanym na wszystkich wysokich oknach. – Dobranoc, Larry.

Czekał, aż przyjaciel go poprawi, ale Lawrence już cicho pochrapywał. Minor wszedł do sypialni i zasnął w kilka minut.

W czwartek zbudził go dzwonek telefonu. Po omacku chwycił słuchawkę i przyłożył do ucha. Nic. W słuchawce usłyszał jedynie zwyczajny, długi sygnał. Zerwał się na równe nogi i wyciągnął z szafki przy łóżku komórkę. Cisza. Telefon nie był nawet włączony. Darwin zarzucił płaszcz kąpielowy i podszedł do faksu. Nic nie przyszło. Znow rozległ się dzwonek telefonu.

Najwyraźniej dzwoniła komórka Stewarta. Minor zdążył już zapomnieć, że przyjaciel przespał noc na jego kanapie, a teraz siedział na jednym z wysokich stołków przy kontuarze. Właśnie otworzył małą motorolę, odebrał rozmowę i rzucił w słuchawkę kilka szybkich i niemal całkiem niezrozumiałych zdań; oczywiście rozmawiał z Trudy, chyba że absolutnie dotąd wierny Lawrence nagle znalazł sobie na boku kogoś innego, do kogo zwracał się per „kochanie”.

Darwin wstawił ekspres, tymczasem Stewart usiadł na kanapie, rozparł się na niej, jęknął, mruknął, próbował odchrząknąć, przetarł oczy, potarł policzki i podbródek, znow coś mruknął, po czym zaczął nerwowo pochrząkiwać, wydając takie odgłosy, jakby był stukilowym kotem, którego ktoś poddusza.

„Jak, do diabła, Trudy znosi to każdego ranka?” – pomyślał Dar, zresztą już nie pierwszy raz.

– Kawa będzie za chwilę – powiedział. – Chcesz grzankę albo bekon? A może tylko płatki?

Lawrence nałożył okulary i uśmiechnął się do niego.

– Wyłącz ekspres. Napijemy się przy śniadaniu w McDonaldzie. Czekają nas sprawy, która ci się spodoba.

Minor zerknął na zegarek. Była już ósma trzydzieści, lecz z powodu zamkniętych żaluzji w mieszkaniu panowały osobliwe ciemności.

– Mam mnóstwo pracy do nadrobienia... – zaczął.

Stewart potrząsnął głową.

– Przestań. To tylko kilka kilometrów stąd... w połowie drogi do mojego domu. Poza tym, nie daruję ci, jeśli ze mną nie pojedziesz.

– Cóż... – mruknął Darwin.

– Próba zabójstwa zakonniczy kurzym działkiem – kusił Lawrence.

– Co takiego? – Dar wyłączył ekspres do kawy.

– Próba zabójstwa zakonnicy kurzym działkiem – powtórzył Stewart po drodze do łazienki. Zamierzał skorzystać z toalety i prysznic przed gospodarzem.

Darwin westchnął. Podeszedł do okna i otworzył żaluzje, po czym pociągnął sznurek, który wciągnął je do góry. Był piękny, słoneczny dzień, typowy dla letniego San Diego. W rześkim powietrzu wyraźnie odbijał się każdy szczegół muzealnego lotniskowca, trwale przycumowanego do nabrzeża po drugiej stronie zatoki. Odgłosy ruchu ulicznego docierały w postaci jednostajnego, uspokajającego szumu. Nad lotniskiem Lindbergh Field z rykiem opadał samolot. Przez okienka widać było pasażerów popatrujących ze strachem na okoliczne budynki; większość trzymała w rękach poranne gazety. Darwin niemal mógł odczytać nagłówki, gdy DC-9 przelatywał obok.

– Próba zabójstwa zakonnicy kurzym działkiem – szepnął. – Chryste Panie!

W garażu przy samochodzie posprzeczali się o to, który z nich poprowadzi. Lawrence nienawidził jeździć obok kierowcy, a Dar był już zbyt zmęczony rolą pasażera. Stewart wreszcie przyznał się, że musi wrócić do miasta, aby zeznawać. Minor logicznie dowodził, że powinien zostawić swojego troopera na parkingu i wsiąść w land cruisera. Lawrence przez chwilę milczał z obrażoną miną, aż w końcu zasugerował, aby pojechali dwoma samochodami. Urażony Darwin ruszył do windy.

– Dokąd idziesz? – krzyknął za nim Stewart.

– Wracam do łóżka – odrzekł Dar. – Nie potrzebuję tych nonsensów przed śniadaniem.

No i w końcu prowadził on. Nieoznakowany samochód policji San Diego, który parkował po drugiej stronie ulicy, towarzyszył im aż do granicy miasta, po czym zawrócił.

Miejsce zdarzenia rzeczywiście znajdowało się niedaleko, w połowie drogi do Escondido. Lawrence podał Darwinowi adres autoryzowanego przedstawiciela saturnów tuż obok autostrady. Dar znał ten salon.

W przeszłości on i Stewart dzielali pogardę dla Saturnów. Obaj wiedzieli, że niektóre droższe modele są całkiem przyzwoite, ale obraz typowego właściciela Saturna wynikający z reklam firmy przyprawiał takich miłośników samochodów jak Lawrence i Darwin o mdłości.

– Oto pierwszy samochód Jennifer – mówił w jednej z reklam kierownik działu sprzedaży. Wszyscy inni sprzedawcy bili brawo, podczas gdy zarumieniona Jennifer stała nieruchomo z kluczami w ręce.

– Saturna wymyślono dla ludzi, którzy boją się kupować samochody –

powiedziała kiedyś Trudy.

Lawrence i Trudy kupowali auto lub wymieniali stary model na nowy mniej więcej co pięć miesięcy. Uwielbiali to.

– Tak jak volvo są dla ludzi, którzy nienawidzą samochodów i muszą swoją niechęć obwieścić światu – dodał Stewart. – Dla profesorów college'ów, zwariowanych ekologów, liberalnych demokratów... Wszystkich tych, którzy muszą jeździć autem, chociaż stale dają nam do zrozumienia, że tak naprawdę woleliby chodzić piechotą lub pedałowac na rowerze.

– Może kupują volvo ze względów bezpieczeństwa – mruknął Darwin, wiedząc, że prowokuje tym stwierdzeniem małżeństwo rzeczoznawców do dalszych opinii.

– Ha! – zawołała Trudy. – Dobre auto powinno szybko odjechać, zanim zacznie coś zagrażać pasażerom. A kierowcy jeżdżący volvo kupowaliby najchętniej czołgi, gdyby tylko rząd pozwolił im ich używać na autostradzie.

– A pamiętacie tę wzruszającą reklamę saturna sprzed kilku lat? Tę, w której wszyscy pracownicy produkującej saturny filii w Tennessee wstawali o trzeciej rano, ponieważ pragnęli obejrzeć w telewizji relację z wyładunku pierwszej partii tych aut w Japonii – wtrącił Lawrence. – Wszystkie te szczęśliwe anglosaskie, czarne i latynoskie twarzyczki ludzi oglądających w telewizji relację na żywo... Saturn, wielka duma Ameryki. Nie pokazali niestety ponownego załadunku saturnów, gdy w rok później Japończycy je odrzucili.

– Japończycy lubią dżipy – zauważyła Trudy. Dar pokiwał głową. To była prawda.

– I ogromne stare cadillaki – dodał.

– Takie lubi tylko Yakuza – poprawił go Stewart.

W połowie drogi do przedstawicielstwa saturna Lawrence spytał:

– Więc wiesz, co to jest kurze działko?

– Oczywiście – odparł Darwin, prowadząc samochód jedną ręką, gdyż w drugiej trzymał kubek z kawą z McDonalda, którą co chwilę popijał. Na kubku widniał krótki napis ostrzegający, że napój jest gorący i można się nim poparzyć, jeśli kubek się przewróci, a kawa wyleje. Na przykład na genitalia. Minor zawsze wierzył w opinię, że ludzie zbyt głupi, by sobie ten fakt uprzytomnić, i tak nie umieją pić z takiego kubka ani... czytać. – Oczywiście, że wiem, co to jest. Stewart spojrzał na niego strapiony.

– Naprawdę? Wiesz, co to jest kurze działko?

– Pewnie – odrzekł Dar. – Pracowałem dla Narodowej Rady Bezpieczeństwa

Transportu, pamiętasz? Kurze działko to potoczna nazwa urządzenia, które Urząd Lotnictwa Cywilnego postanowił przetestować na przednich szybach kokpitu. Miało zapobiec atakom ptaków. Właściwie nie były to działka *sensu stricto*, raczej grube przewody olejowe pełniące funkcję fantazyjnej sprężarki powietrznej, z której wystrzeliwano kurczaki prosto w wielowarstwowe szyby kokpitu z prędkością maksymalną dziewięćset sześćdziesiąt kilometrów godzinę, choć zwykle mniejszą. Używano martwych kurcząt, ponieważ mały kurczak odpowiada wagą przeciętnym latającym w górze ptakom, czyli jest cięższy niż mewa, za to mniejszy niż flaming lub jastrząb.

– Och – powiedział Lawrence. – Zgadza się. Cholernie dobrze się zgadza.

– Co zatem może mieć wspólnego saturn z kurzym działkiem? – spytał Minor, kiedy dojeżdżali do przedstawicielstwa.

Stewart westchnął, wyraźnie rozczarowany, że przyjaciel zna tyle szczegółów.

– No cóż, firma Saturn promuje nowe tak zwane nietłukące szyby przednie, które mają około trzydziestu procent więcej plastiku niż zwykłe szyby samochodowe. No i właściciel tego przedstawicielstwa postanowił w celu demonstracji pożyczyć z siedziby Urzędu Lotnictwa Cywilnego w Los Angeles kurze działko.

– Nie wiedziałem, że Urząd ma zwyczaj pożyczać te działka – zadumał się Darwin.

– Rzeczywiście, zwykle tego nie robią – odparł Lawrence. – Ale jeden z pracowników jest szwagrem dealera saturnow.

– Ach tak – mruknął Dar. – Czyli co? Nie strzelali chyba martwym kurczęciem w okna nowego saturna z prędkością dziewięćset sześćdziesiąt kilometrów na godzinę?

Stewart potrząsnął głową i wypił łyk kawy.

– Nie. Wybrali prędkość trzysta dwadzieścia kilometrów na godzinę, która i tak, niestety, okazała się zbyt duża. Dziś rano kręcili reklamówkę jednego z modeli przed salonem „U Sama. Z góry” i posadzili za kierownicą siostrę Marthę.

– O cholera! – zaklął Darwin. Siostra Martha rzeczywiście była zakonnicą, zanim opuściła klasztor i oddała się pełnoetatowemu sprzedawaniu saturnow. Od tej pory występowała w większości reklam saturna. Kobieta mierzyła około metra pięćdziesiąt dwa, miała sześćdziesiąt jeden lat, rumiane policzki i nieco niebieskawy odcień siwych włosów. Kiedyś, gdy sprzedawała samochód, często skakała po zdjętych plastikowych drzwiczkach sedana saturna, usiłując w ten sposób pokazać, że drzwi nie wgniotą się ani nie pękną. Było to jednak dość dawno, zanim saturn wrócił do drzwiczek stalowych – ponieważ podczas wypadków drogowych plastik zazwyczaj płonął niczym cuchnący efekt przeróbki ropy naftowej, którym był w istocie. Teraz siostra Martha kopała jedynie opony i uśmiechała się uprzejmie, zachęcając do kupna

sedanów o ustalonej z góry wartości, oraz coupe, o których cenę klient mógł się targować. Trudy, oglądając pewną reklamę z byłą zakonnicą, skomentowała: „Ta kobieta jest zimna jak lód”.

Poruszeni zdarzeniami sprzedawcy kręcili się nerwowo lub dyskutowali w grupkach. Równie skonsternowani członkowie ekipy filmowej kłócili się z sobą przez krótkofalówki, nawet jeśli dzieliła ich odległość zaledwie sześciu metrów. Reżyser reklamówki wyglądał na dziewiętnaście lat, nosił bejsbolówkę, miał włosy szcześnie w koński ogon i rzadką kozią bródkę. Twarz mu pobladła i wydawał się prawdziwie wstrząśnięty.

Kurze działko było imponujące: dziewięciometrową lufę zamocowano na platformie ciężarówki podnoszonej przez nożycowy podnośnik hydrauliczny (na ten widok Darwin natychmiast wspomniał nieszczęsnego mecenasa Esposito) z prowizorycznym mechanizmem, który przypominał z wyglądu służę powietrzną, tyle że miniaturową – umożliwiającą wejście na kosmiczny wahadłowiec komuś wielkości... kurczęcia. Sprężarka nadal cicho warkotała, a armatka była wycelowana w nowiutkiego saturna coupe, który stał około piętnastu metrów od wylotu lufy.

Minor przeszedł między nerwowym, rozgadany tłumem i przyjrzał się autu. Wystrzelone kurczę niczym wielki pocisk wpadło przez przednią szybę, przeleciało przez saturna, urywając podglówek siedzenia kierowcy, wybiło otwór w tylnej szybie i wbiło się w betonowy mur przedstawicielstwa, które znajdowało się piętnaście metrów za coupe.

Dealer Sam, chudy mężczyzna, humanista z wykształcenia, nieco już podstarzały, nadal miał zwyczaj ubierać się w młodzieżowe marynarki marki Harris Tweed. Nosił taką nawet dziś, mimo gorącego, letniego dnia. Nie wiedział, kim są Lawrence i Dar, tym niemniej przemówił do nich rozwlekłe, jak gdyby spowiadał się kapłanowi.

– Nie mieliśmy pojęcia... najmniejszego pojęcia... Byli tu eksperci mojego szwagra z FAA... kilku ekspertów... powiedzieli, że przednia szyba powinna wytrzymać, o ile prędkość wystrzelenia nie przekroczy czterystu kilometrów na godzinę. Ustawiliśmy tarczę na trzysta dwadzieścia... Jestem tego pewien. Siostra Martha siedziała za kierownicą... Byliśmy gotowi kręcić... potem reżyser zasugerował próbny wystrzał... Nie chciałem marnować czasu i pieniędzy, szczególnie że ekipa każe sobie słono płacić za każdą minutę, ale siostra Martha nalegała i wysiadła z samochodu... Pomyśleliśmy, że powinniśmy zetrzeć resztki kurczaka z przedniej szyby w kilka minut, a wtedy będziemy mogli wykonać prawdziwy strzał...

– Gdzie jest teraz siostra Martha? – przerwał mu Lawrence.

– W swoim pokoju – odparł dealer. Był bliski łez. – Sanitariuszka podaje jej tlen. Stewart wszedł pierwszy do salonu wystawowego, z przyjemnością wciągnął zapach nowych samochodów w tej „świątyni saturna”. Darwin pomyślał, że powinni jak najszybciej stąd wyjść, w przeciwnym razie Larry za chwilę kupi nowe auto, ot tak, z przyzwyczajenia.

Siostra Martha, w pełnym habicie zakonnicy, skończyła już wdychać tlen, choć nadal nie mogła przestać szlochać. Przy niej stały dwie sanitariuszki oraz grupka ciekawskich gapiów. Wszyscy usiłowali pocieszyć kobietę.

– T-t-to przez hab-b-bit – wydukała zakonnica. – Nig-g-gdy przedtem go nie zakładałam, d-d-do żadnej reklamy. T-t-to kara boska, b-b-bo tym razem przesadziłam.

– Nic jej nie jest – zauważył Lawrence. Wraz z Darem wrócili na zewnątrz i zbadali kurczę wbite w mur; z otworu wciąż wystawał kuper. Potem skierowali się do land cruisera Minora.

– Czyje ubezpieczenie cię tu ściągnęło? – spytał Darwin, gdy mijali ekipę filmowców.

– Niczyje. Ta sprawa wcale nas nie interesuje w sensie zawodowym – odparł Stewart. – Trudy po prostu o niej usłyszała w wiadomościach i przemknęło mi przez myśl, że może wizyta tutaj rozjaśni twój dzień.

Nagle stanął obok nich dealer Sam. Najwyraźniej ktoś mu powiedział, że są inspektorami ubezpieczeniowymi.

– Rozmawiałem ze szwagrem – powiedział. – Inżynierowie ciągle twierdzą że jeśli dane techniczne przedniej szyby się zgadzały, kurczę powinno się odbić. – Odwrócił się i spojrzał na dziurę w przedniej szybie. – Matko Boska, co zrobiliśmy źle? Czyżby firma Saturn nas okłamała?

– Nie – odrzekł Stewart. – Ta szyba wytrzymałaby prawdopodobnie nawet atak strusia pędzącego z prędkością trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę.

– W takim razie... w jaki sposób my... dlaczego... jak, w imię Boga? – jęczał dealer.

Dar postanowił odpowiedzieć zwięźle.

– Następnym razem – rzucił – rozmroźcie kurczaka.

Przejechali już dwie trzecie drogi powrotnej do San Diego, kiedy Minor dostrzegł przed nimi ogromny korek uliczny i błyskające światła awaryjne. Oprócz jednego, wszystkie prowadzące do miasta pasy ruchu zamknięto. Na widok blokady samochody zawracały do ostatniego zjazdu z autostrady albo, nie bacząc na przepisy,

przecinały pas rozdzielczy i ruszały na północ. Dar skierował land cruisera na pobocze, a potem dalej, na trawę za poboczem. Chciał dotrzeć jak najbliżej miejsca zdarzenia.

Funkcjonariusz CHP gniewnym gestem zatrzymał ich czterdzieści pięć metrów wcześniej. Darwin zauważył co najmniej trzy ambulanse, wóz straży pożarnej i pół tuzina pojazdów stanowej policji drogowej. Wszystkie otaczały stojącą w poprzek ciężarówkę z naczepą i stertę samochodów na prawym pasie. Minor i Lawrence pokazali dokumenty tożsamości – Larry miał legalne legitymacje: fotografa prasowego, inspektora ubezpieczeniowego oraz honorowego członka CHP.

Mimo licznych pojazdów przesłaniających miejsce zdarzenia Darwin do razu odkrył, co się tu zdarzyło. Ciężarówka przewoziła na dwupoziomowej naczepie nowe mercedesy – wnosząc po tym, który nadal stał na dolnym poziomie oraz po tych w stercie na prawym pasie, były to E 500. Na wszystkich trzech pasach widać było wyraźne ślady hamowania. Zsuwając się, srebrne mercedesy przygniotły częściowo starego pontiaca firebirda, którego tylko maska i przednia szyba pozostawały widoczne. Kiedy naczepa się obróciła pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i w końcu uderzyła w pontiaca, auta ustawione na górnym poziomie zjechały jeden za drugim. Nie wszystkie ciężkie samochody spadły na starego firebirda (Dar dostrzegł jednego nowego mercedesa, który dachował na poboczu i drugiego poobijanego, lecz stojącego na kołach sześćdziesiąt metrów dalej na autostradzie), ale przynajmniej cztery. Na miejscu znajdowały się pojazdy pomocy drogowej, a mały dźwig ostrożnie podnosił mercedesy z pontiaca. Strażacy i członkowie ekipy ratowniczej przecinali karoserię wielkimi nożycami do metalu, a co najmniej jeden sanitariusz klęczał przy wraku, krzycząc coś do osób pozostających w środku. Najwyraźniej pasażerów jeszcze nie wydobyto.

Darwin i Lawrence podeszli do kabiny ciężarówki, której kierowcę – roztrzęsionego i zapłakanego znacznie bardziej niż siostra Martha potężnego brodacza o typowym dla piwoszy wydatnym brzuchu – próbowali przesłuchać funkcjonariusze kalifornijskiej policji drogowej. Stanowi policjanci na patrolu zaczęli odsuwać Dara i Stewarta, obu dostrzegł jednak sierżant CHP, Paul Cameron, i dał im znak, aby podeszli. Policjant stał z ponurą miną, pochylił się do przodu, łagodnie poklepał kierowcę ciężarówki po ramieniu i poczekał na dalszy opis zdarzenia. Minor popatrzył poza miejsce kolizji i zauważył młodego patrolowego Elroya, który klęczał wśród świateł sygnalizacyjnych i stosów rozbitego szkła, wymiotując w trawę.

– ...i przysięgam na Chrystusa, zrobiłem wszystko, co mogłem, aby uniknąć tego pontiaca – mówił kierowca ciężarówki, zapominając o drzeniu własnego ciała i o łzach spływających mu po ogorzałych policzkach. – Próbowałem po prostu objechać biednego drania, niestety wszędzie wokół mnie znajdowały się inne pojazdy.

Blokowały mnie. Żaden się nie zatrzymał. Za każdym razem, gdy zmieniał pas ruchu, kierowca firebirda też zmieniał pas... Kiedy ja hamowałem, on również hamował... Chyba z pięć razy zmienialiśmy w ten sposób pas. W końcu w niego trzasnąłem, a moja naczepa otworzyła się i skręciła. Nie mogłem tego powstrzymać... Cały ten ładunek! O Jezu!

– Jak się pan wydostał? – spytał sierżant Cameron, chwytając mocno wielką ręką dygocące ramię mężczyzny.

– Uderzenie roztrzaskało przednią szybę kabiny – wydukał tamten, wskazując. – Wypełznałem więc na maskę wraku i zdołałem się zsunąć... A potem usłyszałem te krzyki... krzyki...

Cameron ścisnął ramię kierowcy ciężarówki jeszcze mocniej.

– Jest pan pewien, że za kierownicą pontiaca siedział dorosły mężczyzna?

– Tak – przyznał nieszczęśnik i spuścił wzrok. Wciąż nie przestawał się trząść.

Darwin i Lawrence wrócili do wraku firebirda. Starali się nie wchodzić w drogę pracownikom ekipy ratowniczej, którzy zdołali już zdjąć ze spłaszczonego pontiaca wszystkie mercedesy z wyjątkiem jednego i teraz zajmowali się rozcinaniem górnej ramy przy przedniej części drzwiczek kierowcy oraz zdzieraniem dachu, dzięki czemu mogliby się dostać do ofiar na przednich siedzeniach. Kierowca wraku nadal żył, choć straszliwie krwawił, gdy dwaj sanitariusze delikatnie podnieśli go z fotela i natychmiast położyli na noszach, gdzie przypięli go pasami i unieruchomili mu szyję. Był to tęgawy Latynos, który stękał i ciągle powtarzał:

– *Los niños... los niños...*

Jadąca obok niego żona nie żyła. Prawdopodobnie nie zapięła pasów i zwinęła się w pozycję embrionalną na siedzeniu pilota. Darwin na pierwszy rzut oka ocenił, że przyczyną śmierci kobiety był wstrząs psychiczny spowodowany uderzeniem, a nie wgniecenie dachu, jako że ten obniżył się jedynie do poziomu zagłówków z przodu samochodu.

Ratownicy podwoili wysiłki, próbując jak najszybciej zdjąć z pontiaca ostatniego mercedesa, a następnie zerwać do końca dach i dostać się tylnych siedzeń. Bagażnik był potężnie wgnieciony, a tylne ramy drzwiczek praktycznie nie istniały. Kiedy dźwиг podniósł ostatniego mercedesa, którego bezceremonialnie zrzucano w trawę, stało się oczywiste, że pod wpływem straszliwego ciężaru spadających samochodów tył firebirda został zmiażdżony aż do poziomu siedzeń. Wszystkie opony pontiaca były przebite i spłaszczone. Jeden sanitariusz nadal był na czworakach, ciągle krzyząc słowa pocieszenia do ofiar na tylnym siedzeniu – nawet gdy strażacy niemal całkowicie zerwali uszkodzony dach, resztę usiłując odwinąć niczym wieczko puszki sardynek.

– Przez pierwsze mniej więcej dwadzieścia minut dobywały się z pojazdu liczne

krzyki i płacz – zwierzył się Darowi cicho sierżant. – Od kilku minut nic... cisza.

– Może to żona łkała – podsunął Stewart.

Cameron potrząsnął głową. Zdjął policyjną czapkę i wytarł z potu wewnętrzny pasek daszka.

– Zginęła podczas uderzenia. Kierowca... ojciec... chyba tylko jęczał. Krzyki pochodziły od... – Przerwał, kiedy potężne szczypce zerwały resztki dachu pontiaca wraz ze zmiądzoną klapą bagażnika.

Dwoje dzieci leżało na podłodze firebirda, poniżej zgniecionego dachu. Oboje nie żyli. Dziewczynka i jej mały braciszek byli poranieni i posiniaczeni, chociaż żadne z przecięć czy innych obrażeń nie wyglądało na śmiertelne. Sanitariusze wytarli starannie ciała z krwi, a wtedy Minor zobaczył, że chłopiec i dziewczynka mieli mocno spuchnięte twarze. Oczy małej nadal były otwarte, bardzo szeroko otwarte. Dar zorientował się natychmiast, że dzieci przeżyły uderzenie przez naczepę, potem jednak udusiły się pod ciężarem przyciskających ich do podłogi mercedesów. Nieżyjący chłopczyk nadal rozpaczliwie trzymał prawą rękę starszej siostry. Jej lewą rękę i ramię pokrywał świeży gips.

Twarze obojga dzieci były niebieskie i obrzmiałe.

– O kurwa – mruknął szeptem sierżant Cameron. Słowo zabrzmiało jak osobiwa modlitwa.

Ambulans z rannym kierowcą firebirda odjechał na sygnale. Ekipa ratownicza rozpoczęła akcję wydobywania zwłok.

– Jest też niemowlę – oświadczył tępo Minor.

Lawrence i ludzie z CHP spojrzeli na niego niemal równocześnie.

– Spotkałem tę rodzinę zaledwie dwa dni temu w Centrum Medycznym Hrabstwa Los Angeles – wyjaśnił Dar. – Było z nimi niemowlę. Musi gdzieś tam leżeć.

Sierżant kiwnął głową jednemu z przedstawicieli stanowej policji drogowej, który podniósł krótkofalówkę i coś do niej mówił.

Stewart, Darwin i Paul Cameron obeszlili tył pontiaca.

– O cholera – mruknął ten ostatni. – Niech ich diabli. Niech ich szlag. Cholera jasna.

W nieco zmiądzonym bagażniku firebirda Minor dostrzegł trzy worki z piaskiem i dwa zapasowe koła z obręczami i całkowicie napompowanymi oponami. Wszystko razem bez wątplenia stanowiło zabezpieczenie tylnej części na wypadek zderzenia. Była to standardowa ochrona, której używano w przypadku sfingowanych wypadków z zajęciem drogi, a równocześnie gwarancja naganiacza wobec kaptowanych kierowców, prowokujących wypadek, a następnie występujących o odszkodowanie. Dzięki tym zabezpieczeniom nieszczęśnicy zapewne wierzą, że nikomu się nic nie stanie, a oni sami po prostu wystąpią do firmy ubezpieczeniowej o wielką

rekompensatę i będą sobie spokojnie i dostatnio żyli w *los Estados Unidos*.^{[(hiszp.)} – Stany Zjednoczone.]

Darwin odwrócił się nagle i ruszył na pobocze w trawę.

– Dar? – zawołał za nim Lawrence.

Minor stanął plecami do miejsca wypadku. Wyjął z portfela wizytówkę, a z kieszeni koszuli składaną motorolę. Kobieta odebrała przy drugim sygnale.

– Tu Olson.

– Możesz liczyć na moją współpracę – powiedział Darwin, po czym przerwał połączenie i zamknął komórkę.

Rozdział piętnasty

O JAK ORGANIZACJA

Sydney najwyraźniej przejęła już od Dickweeda całą suterенę Centrum Sprawiedliwości. Miała dodatkowych pięciu asystentów, którzy pracowali przy pięciu nowych komputerach, podłączono jej też sześć następnych linii telefonicznych. Dowodzona przez nią operacja nie mieściła się już w jednym starym pokoju do przesłuchań – teraz zajmowała także salę obserwacyjną za lustrem weneckim, dwa nie używane pokoje przesłuchań oraz korytarz, w którym pracował obecnie sekretarz, legitymujący wszystkich gości. Dar podejrzewał, że więźniowie w areszcie na drugim końcu długiego korytarza i ich ponurzy strażnicy to jedyne osoby, które nie mają związku z tym rozprzestrzeniającym się imperium.

Zebranie zaczęło się punktualnie o ósmej w piątkowy rano. W głównym biurze Syd rozstawiono długi, składany stół. Mapa południowej Kalifornii wciąż zajmowała większą część pustej poza tym ściany, a Minor zauważył na niej dodatkową czerwoną pinezkę oznaczającą śmiertelny, sfingowany wypadek z zajęciem drogi – na I-15 tuż za granicami miasta San Diego – oraz nową zieloną pinezkę w miejscu zgonu mecenasa Esposito na placu budowy. Na wzgórzach była też druga żółta pinezka, wskazująca na kolejny zamach na życie Dara. Z boku mapy wciąż czekało jeszcze z pół tuzina żółtych pinezek.

Spotkanie okazało się poważną naradą operacyjną, na którą nie zaproszono ani Dickweeda, ani miejscowego prokuratora okręgowego. Darwina zaskoczył natomiast widok Lawrence'a i Trudy.

– Że co? – mruknął Stewart na widok zdumionej miny przyjaciela. – Nie spodziewałeś się nas tutaj?

– Poza tym – dodała Trudy, przynosząc Lawrence'owi styropianowy kubek z kawą, którą naląła z dużego termosu stojącego obok drzwi – płaci nam Narodowe Biuro do Spraw Przepięstw Ubezpieczeniowych. – Jeanette Poulsen, prawniczka reprezentująca właśnie to biuro, podniosła w tym momencie wzrok i pokiwała głową.

Sydney podłączała swój laptop do projektorа, a Dar w tym czasie przyjrzał się pozostałym osobom, zajmującym miejsca przy stole. Oprócz Larry'ego, Trudy i Poulsen z Narodowego Biura do Spraw Przepięstw Ubezpieczeniowych w zebraniu uczestniczył także Tom Santana, który siedział po prawej stronie Syd, oraz jego szef ze Stanowego Wydziału do Spraw Oszustw Ubezpieczeniowych, Bob Gauss. Obok Gaussa siedział agent specjalny Jim Warren, a po drugiej stronie stołu, dokładnie naprzeciwko człowieka z Federalnego Biura Śledczego, kapitan Tom Sutton z CHP. Poza nim jedynymi przedstawicielami organów ścigania w pokoju byli Frank Hernandez z Departamentu Policji San Diego oraz nieznany Darwinowi mężczyzna

w średnim wieku o wyglądzie księgowego, którego Sydney przedstawiła jako porucznika Byrona Barra z Wydziału Wewnętrznego Departamentu Policji Los Angeles. Obaj kapitanowie: Hernandez i Sutton posłali Barrowi podejrzliwe, niemiłe spojrzenia z ukosa, które policjanci rezerwują dla wszystkich przedstawicieli tego wydziału. Syd oświadczyła krótko, ostrym tonem, że obecność porucznika Barra jest spowodowana miażdżącymi dowodami na to, iż niektórzy detektywi z Departamentu Policji Los Angeles są zamieszani w spisek.

Minor zauważył szybką wymianę spojrzeń między Hernandezem i Suttonem, po czym obaj mężczyźni równocześnie kiwnęli głowami. Darwin zinterpretował sobie ich zachowania jako sugestię: „No cóż, okej, chodzi zatem o Departament Policji Los Angeles. Tak, pewnie że tak. Pieprzyć ich”.

– A zatem – powiedziała Syd, wyłączając wszystkie światła; włączony pozostał jedynie jej laptop i projektor. W prawej ręce śledcza trzymała pilota. – Zaczynamy. – Nagle na białym dotąd ekranie znajdującego się na drugim końcu stołu projektora pojawiła się kolorowa fotografia przedstawiająca stertę mercedesów przygniatających pontiaca firebirda. – Większość z państwa bez wątpienia słyszała o tragicznym wypadku, do którego doszło wczoraj rano na autostradzie I-15 tuż za granicami miasta – mówiła cicho. Pojawiły się kolejne zdjęcia, przedstawiające najpierw podnoszone samochody, potem etapy wydobywania kierowcy oraz zwłok. Minor zrozumiał, że fotografie te wykonał swoim zwykłym nikonem Lawrence w czasie, gdy we dwóch oglądali wrak, a później zeskanował je i przesłał Sydney e-mailem. Były bardzo wyraziste. – Wypadek przeżył jedynie kierowca, Ruben Angel Gomez, trzydziestojednoletni mężczyzna narodowości meksykańskiej. Miał tymczasowe amerykańskie prawo jazdy. Jego żona, Rubidia, oraz dzieci, Milagro i Marita, zginęli podczas zderzenia z ciężarówką przewożącą nowe samochody dla przedstawicielstwa Kyle Baker Mercedes z siedzibą w San Diego. – Pojawiły się zbliżenia martwych dzieci. Syd stanęła w świetle padającym z projektora. – Małżeństwo miało także niemowlę, siedmiomiesięczną Marię Gomez. Znaleźliśmy dziewczynkę późno ubiegłej nocy pozostawioną pod opieką sąsiada w budynku, w którym mieszkali Gomezowie. Dzieckiem zajęła się opieka społeczna. – Sydney wycofała się. Na projektorze pokazały się fotografie przedstawiające bagażnik pontiaca. Kobieta nie musiała wyjaśniać tej widowni, do czego miały służyć worki z piaskiem i zapasowe koła. – Stan pana Gomeza jest krytyczny, lecz stabilny – podjęła. – Poddano go wczoraj dwóm operacjom i nadal nie odzyskał świadomości na czas pozwalający na rozmowę z oficerami śledczymi. Przynajmniej tak brzmiała ostatnia informacja, która dotarła do mnie dzisiaj rana...

– Nadal jest nieprzytomny – wtrącił kapitan Frank Hernandez. – Odwiedziłem go dziesięć minut temu. Majaczy na temat dzieci. Trzeba mu było znowu podać środki

uspokajające. Zostawiliśmy tam funkcjonariusza, który mówi biegle po hiszpańsku. Czekaj na możliwość rozmowy z rannym, niestety jak dotychczas bezskutecznie.

– Czy zastosowano wobec niego areszt zapobiegawczy? – spytał kapitan Sutton z CHP.

Hernandez wzruszył ramionami.

– Tak – odparł krótko.

Sydney kontynuowała pokaz. Projektor pokazywał teraz komputerowy diagram. Miał kształt piramidy, na dole znajdował się tuzin rubryk wypełnionych zdjęciami czworga Gomezów z ostatniego wypadku, Richarda Kodiaka, Wietnamczyka Phonga, który nadzieiał się na pręty zbrojeniowe, Hernandez, ofiary jednej z wcześniejszych sfingowanych kraks oraz kilka innych twarzy i nazwisk; większość osób stanowili Latynosi. Drugi rząd kwadratów licząc od dołu piramidy, zajmowały zdjęcia Jorge Murphy’ego Esposito, Abrahama Willisa – prawnika, który był znanym naganiaczem ubezpieczeniowym i który zginął niedawno w tajemniczym wypadku samochodowym – oraz trzech słynnych południowokalifornijskich prawników: Bobby’ego Jamesa Tuckera z Los Angeles, Rogeta Velliersa z San Diego i Nicholasa van Dervana z hrabstwa Orange.

Ponad naganiaczami znajdowało się kilka pustych kwadracików oraz napis: POMOCNICZY, powyżej ciągnął się kolejny długi rząd pustych rubryk z etykietką: LEKARZE, a jeszcze wyżej znajdował się rząd opisany: WYKONAWCY. Na szczycie piramidy widniały trzy kwadraciki – dwa puste i jeden z zdjęciem Dallasa Trace’a.

Dar widział, że kapitan policji San Diego i funkcjonariusz CHP zareagowali z wyraźnym zdumieniem. Inne przebywające w pokoju osoby, łącznie z inspektorem Tomem Santaną, agentem specjalnym Warrenem, Bobem Gaussem z Wydziału do Spraw Oszustw Ubezpieczeniowych i mecenas Poulsen z Narodowego Biura do Spraw Przestępstw Ubezpieczeniowych wydawali się wprowadzeni w temat i najprawdopodobniej znali te dane. Jeśli Lawrence i Trudy zdziwili się, nijak nie okazali tego po sobie.

– Jezu Chryste – powiedział kapitan Sutton z CHP. – Chyba nie mówi pani poważnie, oficer śledcza Olson. To jeden z najślawniejszych prawników w tym przeklętym przez Boga kraju. I jeden z najbogatszych.

– Pierwsze znaczące pieniądze zarobił właśnie na tej wielkiej akcji związanej z oszustwami ubezpieczeniowymi – wyjaśniła Sydney.

Wycelowała pilotem w projektor i wdusiła przycisk laserowej wskazówki. Na czole mecenasa Trace’a pojawiła się czerwona kropka. Następnie wcisnęła jakiś guzik i w jednym z kwadracików, wchodzących w skład rzędu WYKONAWCY, pojawiła się pozbawiona emocji szczupła, męska twarz. Zdjęcie było dość niewyraźne.

– To jest Pavel Zuker – powiedziała Syd. – Kiedyś snajper Armii Czerwonej, potem pracownik KGB, w końcu przedstawiciel mafii rosyjskiej... w której działa zapewne aktywnie do dziś. Znaleźliśmy jego odciski palców na Tikce 595 Sporter, której użyto podczas zamachu na doktora Minora w jego mieszkaniu.

Ciemna twarz kapitana Hernandeza jeszcze bardziej pociemniała.

– Moi technicy dokładnie zbadali całą broń. Niczego na niej nie znaleźli.

Agent specjalny Warren splótł palce na blacie stołu.

– Laboratorium FBI w Quantico po rozłożeniu broni znalazło jeden odcisk od wewnętrznej strony przy blokadzie spustu – odparł spokojnie. – Odcisk był bardzo nity, dzięki powiększeniu komputerowemu zdołaliśmy go jednak odczytać, a w bazie danych CIA dopasowaliśmy go z wynikiem pozytywnym. To odcisk linii papilarnych Zukera.

Sydney wdusiła kolejny guzik i obok zdjęcia Pavla Zukera pojawił się szkic rysownika policyjnego przedstawiający mężczyznę z brodą. Pod rysunkiem widniał podpis: Gregor Yaponchik.

– Federalne Biuro Śledcze ma powody wierzyć, że pan Yaponchik przyjechał do naszego kraju wczesną wiosną – oświadczyła Sydney. – W tym samym czasie co Zuker.

– Skąd macie taką informację? – spytał kapitan Sutton. – Z Urzędu Cemo-Imigracyjnego?

Syd zawahała się.

– Otrzymaliśmy ją kanałami związanymi z mafią rosyjską – wyjaśnił agent specjalny Warren.

Sutton kiwnął głową ale masywny funkcjonariusz kalifornijskiej policji drogowej usiadł prosto i założył ręce na piersi, sugerując, że ma niejakie wątpliwości.

– Yaponchik i Zuker działali w Afganistanie jako para snajperów – podjęła Sydney. – Prawdopodobnie pracowali wtedy dla KGB, my wszakże zainteresowaliśmy się nimi dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych... jeszcze przed rozpadem Związku Radzieckiego. Później oddali swoje usługi mafii czeczeńskiej.

– Zawodowi zabójcy? – spytał Lawrence.

– Ogólnie rzecz biorąc, wykonawcy rozmaitych rozkazów – odparła Syd. – Czyli zazwyczaj, najczęściej... tak, zawodowi zabójcy. Zarówno FBI, jak i CIA uważają że Yaponchik i Zuker brali bezpośredni udział w sprawie Milesa Grahama.

Wszyscy zebrani w pokoju znali historię milionera Milesa Grahama. Należał do najślawniejszych i najbogatszych przedsiębiorców spośród wszystkich kapitalistów zastrzelonych w Moskwie w ostatnich latach. Ten sprytny i energiczny biznesmen zginął, ponieważ odmówił zapłacenia pewnym osobom wystarczająco dużych łapówek.

Dar odchrząknął. Nie miał ochoty się odzywać, poczuł się jednak zmuszony.

– Twierdzisz, że Yaponchik i Zuker działali w Afganistanie – spytał cicho – jako dwuosobowy zespół snajperski? Wiemy, że Amerykanie i Anglicy używają zespołów dwuosobowych, ale wydaje mi się, że Sowieci w Afganistanie preferowali trzyosobowe.

Sydney spojrzała na agenta specjalnego Warrena. Człowiek z Federalnego Biura Śledczego kiwnął głową. Zerknął w swój notatnik elektroniczny.

– Ma pan rację – przyznał. – Regułą były tam oddziały trzyosobowe, ci dwaj pracowali jednak jako para, czyli bardziej w stylu amerykańskim.

– Który z nich był strzelcem, a który obserwatorem? – spytał Dar.

Agent specjalny Warren wystukał coś na klawiaturze notatnika i przez kilka sekund patrzył na ekran.

– Według raportów polowych CIA obu wyszkolono jako strzelców wyborowych, tyle że Yaponchik był oficerem – porucznikiem armii. Potem dostał awans w KGB. Zuker natomiast był zaledwie sierżantem.

– Zatem Yaponchik był głównym snajperem – zadumał się Minor. W myślach dodał: „Tylko że to Zukera, czyli człowieka numer dwa, wysłano, aby mnie zlikwidował”. – Macie przypadkiem dane na temat broni używanej przez nich w Afganistanie?

– Notatki, które dostałem, wzmiankują, cytuję: „Przyjmuje się, że używano wyborowych karabinów snajperskich SWD, zarówno w Afganistanie, jak i podczas szkolenia serbskich snajperów w pobliżu Sarajewa”.

Darwin pokiwał głową.

– Stara, ale godna zaufania broń. Snajperskaja Wintowka Dragunowa.

Syd odwróciła szybko głowę.

– Nie wiedziałam, że mówisz po rosyjsku, Dar.

– Nie mówię – odparł. – Przepraszam, że przerwałem. Proszę kontynuować.

– Nie, nie – odparowała Sydney. – Ty mów. Powiedz nam wszystko, co na ten temat wiesz.

Darwin potrząsnął głową.

– Kiedy ten amerykański biznesmen... Graham... został zamordowany w Moskwie, pamiętam, co czytałem. Padły wtedy dwa strzały, oddane z odległości sześciuset metrów. Z raportu gazety wynikało, że wydobyte z ciała kule to kryzowane 7,62 x 54 milimetry. Z SWD strzela się właśnie tego typu nabojami i przy takim zasięgu jest to bardzo dokładny karabin. Bardzo.

Syd gapiła się na niego bez słowa.

– Myślałam, że nie lubisz karabinów.

– Bo nie lubię – odparł Dar. – Nie lubię też rekinów, lecz potrafię wskazać

różnicę między żarłaczem białym i rekinem młotem.

Sydney wróciła do głównego tematu spotkania, mówiąc wyraźnym, niespiesznym głosem:

– Panowie, Jeanette, Trudy. Otrzymaliśmy oficjalną zgodę na rozszerzenie i przyspieszenie naszego śledztwa. Mamy sensowne powody wierzyć, że mecenas Dallas Trace ma związek z ostatnim dramatycznym wzrostem pozorowanych wypadków na autostradach południowej Kalifornii, szczególnie tych śmiertelnych, i że jest zaangażowany w nową sieć wyłudzenia odszkodowań. Powołał ją do życia sam pan Trace i inni wybitni prawnicy, jak dotąd niezidentyfikowani. – Sydney wywołała kolejne zdjęcie. Przedstawiało uśmiechniętego, starszego duchownego w koloratce. – Oto ojciec Roberto Martin. Ojciec Martin jest już na emeryturze, ale przez wiele lat był pastorem kościoła pod wezwaniem świętej Agnieszki w Chavez Ravine... czyli latynoskiej dzielnicy położonej niedaleko stadionu Dodgersów. Ojciec Martin jest człowiekiem miłosiernym, a przedmiotem jego troski pozostają głównie jego latynoscy parafianie. Już w latach siedemdziesiątych marzył o założeniu organizacji dobroczynnej, która pomagałaby biednym imigrantom z Meksyku i innych państw Ameryki Łacińskiej. Pomagał zbierać fundusze poprzez diecezję, zabiegał też o wsparcie u różnych firm z Los Angeles, skłonnych przekazywać pieniądze jego organizacji, którą nazwał: Pomocnicy Bezbronnych... Po pomoc w założeniu fundacji zwrócił się do tego człowieka... – Na ekranie projektora ukazała się fotografia pulchnego mężczyzny o latynoskim wyglądem, doskonałej fryzurze i uśmiechu równie szerokim jak ojca Martina. Osobnik nosił wyraźnie kosztowny garnitur i krawat. – Oto prawnik, do którego udał się ojciec Martin ze swoim marzeniem – ciągnęła Syd. – Mecenas William Rogers... Prawdopodobnie znacie jego nazwisko, gdyż jest ważnym adwokatem, który posiada kilka kancelarii we wschodnim Los Angeles, a jego układy polityczne są bez zarzutu. Rogers jest dobrze znany ze swych umiejętności zbierania funduszy na różne cele, poza tym popierał elekcyjne wysiłki obecnego burmistrza Los Angeles. Ojciec Martin miał nadzieję, że mecenas Rogers pokieruje Pomocnikami Bezbronnych, a gdy on sam przejdzie na emeryturę, zajmie się także zdobywaniem funduszy.

– Czy mecenas Rogers wyraził zgodę? – spytał Lawrence.

– Nie całkiem – odparła Sydney. – Prawnik powołał dwuosobowy zarząd, który składał się z jego żony Marii oraz społecznego aktywisty, a równocześnie własnego detektywa, Juana Barrigi. – Zdjęcie Barrigi pojawiło się obok fotografii Rogersa w rzędzie piramidy POMOCNICY. Mężczyźni i kobiety wokół stołu pokiwali głowami. Wszyscy wiedzieli, że detektywi pracujący dla adwokatów, którzy specjalizują się w sprawach o odszkodowanie, aż nazbyt często ulegali pokusie popełniania oszustw ubezpieczeniowych. Ich życie i kariera kręciły się wszak wokół

wywiadów z ofiarami sfingowanych wypadków na budowach i w miejscach pracy, ekspertami od przygotowanych uprzednio kolizji drogowych, naganiaczy, oszustów z kręgu zajmujących się biedotą przedstawicieli służb pomocy medycznej, gangów ulicznych, nieetycznych lekarzy, ofiar symulujących uszkodzenie kręgosłupa i wszelkiego rodzaju innych oszustów ubezpieczeniowych. Co ważniejsze, detektywi ci niezmiennie widzieli, że większość firm ubezpieczeniowych ze strachu przed kosztownym procesem sądowym zazwyczaj niezwykle szybko zawiera ugody z osobami zgłaszającymi roszczenie. – Barriga spędził ostatnie trzy lata na tworzeniu prawdziwej sieci składającej się z adwokatów i lekarzy, skłonnych zajmować się ludźmi przysyłanymi przez Pomocników Bezbronnych. Ochotników na Pomocników osobiście testują Bill i Maria Rogers, a kierują tam swoich obywateli same konsulaty: meksykański, kolumbijski, salwadorski, kostarykański, panamski i inne. No i parafie z całego stanu, zarówno katolickie, jak i różnych Kościołów protestanckich.

Zdjęcia kilku spośród tych adwokatów i lekarzy ukazały w odpowiednim rzędzie schematu. Niektóre nazwiska prawników brzmiały znajomo, na przykład Esposito i Abraham Willis, inne natomiast kojarzyły się z osobami ogromnie szanowanymi. Choćby Robert Armann, były zastępca prokuratora okręgowego, obecnie znany jako jeden z najskuteczniejszych i najpopularniejszych członków rady miejskiej Beverly Hills. Albo Hanop Semerdjian, zasłużony adwokat, działacz praw obywatelskich i rzecznik społeczności ormiańskiej w południowej Kalifornii. A także Harry Elmore, początkowo słynny gracz futbolowy Uniwersytetu Południowokalifornijskiego, niemal sportowy bohater narodowy, który po ukończeniu studiów medycznych otwierał darmowe kliniki w najgorszych dzielnicach San Diego i Los Angeles. Twarze tych osób mocno skonsternowały i zaszokowały uczestników zebrania. Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza.

– Czy pani ekipa dochodzeniowa nie posunęła się za daleko w swoich podejrzeniach, śledcza Olson? – spytał otwarcie kapitan Tom Sutton z CHP. – Bardziej mi się to kojarzy z haczykiem dla mediów niż z poważnym śledztwem.

Syd odwróciła się od ekranu i spokojnie, bez cienia urazy w oczach wytrzymała spojrzenie rosnącego kapitana stanowej policji drogowej.

– Tak to może wyglądać na pierwszy rzut oka, prawda, Tom? Niestety wszystkie nasze dane zostały sprawdzone. Sprawa toczy się od trzech miesięcy i prawdopodobnie niedługo przedstawimy oficjalne akty oskarżenia... wszystkim, łącznie z mecenasem Dallasem Trace'em.

– Dlaczego zatem teraz o tym rozmawiamy? – spytał Frank Hernandez.

Sydney wyłączyła projektor i niespodziewanie włączyła górne światła. Nadal stała.

– Ponieważ nasze śledztwo nabrało obecnie znaczącego przyspieszenia

i wchodzimy na panów teren. Potrzebujemy zatem panów pomocy. Ta informacja jest poufna...

– Toczy się kilka śledztw i to nie tylko w Departamencie Policji Los Angeles – wtrącił porucznik Barr z Wydziału Wewnętrznego. – Każdy przeciek tej informacji byłby... bardzo niekorzystny.

Wszyscy przedstawiciele organów ścigania przez moment przeszywali porucznika wzrokiem pełnym nienawiści.

– To... Przymierze – ciągnęła tymczasem Syd – wspierane przez Yaponchika, Zukera i innych zabójców z rosyjskiej *Organizacji*... szybko stworzyło oparty na oszustwach biznes, potężny niczym kolumbijska mafia narkotykowa, rosnąca w naszym kraju w siłę od ponad dwudziestu lat. Ten biznes to potężna organizacja, ogromne dochody i prawie nieprawdopodobny poziom przemocy.

– Czego zatem oczekuje pani od nas? – spytał Hernandez. – Posiada pani wsparcie agencji stanowych i państwowych... takich jak Narodowe Biuro do Spraw Przestępstw Ubezpieczeniowych czy Federalne Biuro Śledcze. Co my, zwyczajni gliniarze, możemy zaoferować?

– Współpracę – odparła Sydney. – Kontakt, w razie potrzeby. Dostęp do laboratoriów, pomoc poszczególnych funkcjonariuszy i przedstawicielei personelu technicznego, ilekroć ze względu na miejsce i konieczność szybkiej reakcji będziemy potrzebować pomocy miejscowych organów ścigania. Zrozumienia i współpracy, dzięki której nie zaczniemy działać przeciwko sobie nawzajem... albo strzelać do siebie.

Hernandez wyjął papierosa z paczki w kieszeni sportowej marynarki, zerknął z niechęcią na wszechobecny ostatnio napis ZAKAZ PALENIA, umieszczony w pobliżu drzwi, i wsunął w usta nie zapalonego papierosa.

– No dobrze. Jaki jest pani plan?

– Ja znów zacznę działać jako tajniak – wtrącił Tom Santana. – Stworzę sobie nową przykrywkę przestępcy lub oszusta i wcisnę się do fundacji poprzez jeden z ośrodków zdrowia. Sprawdzę tych Pomocników Bezbronnych od środka.

Darwin spytał, nieco wbrew sobie:

– Czy to mądre posunięcie, Tom? Po rozgłosie wokół dokonanych przez ciebie aresztowań tego azjatyckiego gangu kilka lat temu...

Tamten tylko się uśmiechnął.

– Dokładnie to samo mu powiedziałem, doktorze Minor – oświadczył szef Santany, Bob Gauss. – Tom jednak zdaje się sądzi, że kryminaliści mają krótką pamięć. Niestety, ponieważ jest dowódcą oddziału specjalnego, nie mogę mu zabronić takiej akcji.

Dar chciał coś odpowiedzieć, ale się powstrzymał. Zerknął na Sydney. Kobieta

popatrywała na Santanę i wyglądała na zmartwioną tym niemniej ten fakt nie powstrzymał jej przed stwierdzeniem:

– Tom przeniknie zatem do Pomocników. Spróbujemy też pójść śladem rosyjskim, czyli za zamachami na życie Dara Minora. Tymczasem doktor Minor oraz państwo Stewartowie użyczą nam swojej wiedzy specjalistycznej, dzięki czemu udowodnimy, że kilka spośród tych śmiertelnych wypadków zostało wcześniej ukartowanych i przygotowanych, a w innych doszło wręcz do morderstwa. Otrzymamy od tej trójki informacje, analizy, raporty z przeprowadzonych inwigilacji oraz rekonstrukcje niektórych wypadków drogowych. Wszelkie dowody prześlemy Narodowemu Biuru do Spraw Przepływów Ubezpieczeniowych, a następnie prokuraturze i sędziom przysięgłym. – Na stojącej w rogu przenośnej szafce ze sprzętem audio-wideo znajdowały się między innymi odbiornik telewizyjny i magnetowid. Sydney wzięła ze stołu drugiego pilota, uruchomiła nim najpierw telewizor, potem odtwarzacz wideo. Dźwięk pozostał wyłączony. Kasetka pokazywała ostatni z cotygodniowych programów Dallasa Trace’a nadawanych na CNN. Program nazywał się „Sprzeciw podtrzymany”. – Czasami Trace nagrywa w Nowym Jorku – oznajmiła Sydney Olson – zazwyczaj jednak dogodniej jest mu kręcić w jego biurze w Los Angeles. Przed końcem tego roku chciałabym, żeby nasi ludzie na oczach kamer aresztowali tego wyniosłego sukinsyna. Moim marzeniem jest zakończenie jego telewizyjnej serii pokazem wyprowadzania faceta w kajdankach. – Sięgnęła po poprzedni pilot i na ekranie komputera pojawiły się twarze nieżyjących dzieci Gomeza. A w telewizorze wciąż milcząco śmiał się Dallas Trace.

Po zebraniu Dar pragnął porozmawiać z Syd, lecz mu się nie udało. Śledcza zaplanowała już wcześniej spotkanie z Poulsen i Warrenem. Niepocieszony wszedł więc wraz z Lawrence’em i Trudy do starej części Centrum Sprawiedliwości. Stewart nadal zeznawał w jakimś procesie o wymuszenie odszkodowania, którego kolejna sesja zaczynała się za kilka minut, Trudy natomiast musiała wrócić do biura w Escondido.

Zanim się rozstali, Darwin spytał:

– Jesteście pewni, że chcecie wchodzić w skład specjalnej ekipy dochodzeniowej?
– Już do niej przynależymy – odparł Stewart. – Znaleźliśmy się w niej z powodu śledztwa w sprawie Esposito i Richarda Kodiaka. Równie dobrze możemy dalej w niej działać.

– Poza tym Narodowe Biuro do Spraw Przepływów Ubezpieczeniowych wypłaciło nam już zaliczkę – dodała Trudy.

– Jestem zaskoczony, że zmieniłeś zdanie, Dar – powiedział Lawrence. –
Widziałeś już wcześniej dzieci zabite w wypadkach.

– Więcej, niż potrafię zliczyć – mruknął Minor. – Tyle że to nie był żaden wypadek, a nie mogę przejść obojętnie obok wielokrotnego morderstwa, szczególnie że widziałem ofiary tej zbrodni.

– Rozmawiałam z Tomem Suttonem – oświadczyła Trudy. – Jeszcze dzisiaj będziemy mogli pomówić z kierowcą ciężarówki przewożącej mercedesy, chociaż przesłuchano go już dość dokładnie. Mężczyzna nie mógł zmienić pasa, ponieważ równoległe do niego jechały trzy inne pojazdy, odbierając mu możliwości manewru. Niestety nie zapamiętał żadnego z kierowców ani tablic rejestracyjnych, gdyż za bardzo się skupiał na próbie uniknięcia zderzenia z jadącym przed nim pontiakiem Gomeza.

– Otaczały go aż trzy samochody? – upewnił się Dar. Już dwa pojazdy w takiej sytuacji należały do rzadkości.

Trudy kiwnęła głową.

– Dwa po bokach, trzeci przed Gomezami. Kierowca ciężarówki zapamiętał jedynie, że wszystkie blokujące go pojazdy były produkcji amerykańskiej, ten po prawej stronie to prawdopodobnie chevrolet. Wszystkie samochody prowadzili jego zdaniem biali faceci i wszystkie były dość stare, przynajmniej dziesięcioletnie.

– Do tej pory zapewne już je gdzieś porzucono albo zdemontowano – mruknął Minor. – Kierowca powiedział, że prowadzili je biali faceci? Czyli może nasi Rosjanie, a nie naganiacze czy ich latynosczy pomocnicy.

– Zadzwońmy do ciebie później – uciął Lawrence i każde z nich poszło w swoją stronę.

Darwin miał parę rzeczy do zrobienia, odkrył jednakże, że nogi same go niosą korytarzami starego budynku sądu. Szedł przez chwilę i zastanawiał się, czy nie zajść do którejś z sal sądowych i oddać się swoim ulubionym „operom mydlanym”. Szczególnie że Sydney miała być wolna dopiero o dziesiątej.

W tym samym momencie dostrzegł W.D.D. Du Boisa, radcę prawnego Stewart Investigations, który szedł szybko ku niemu. Du Bois chodził o lasce, mimo to poruszał się wielkimi krokami i całkiem żwawo.

– Dzień dobry, panie mecenasie.

– Dzień dobry, doktorze Minor – odparł prawnik.

– Właśnie z panem chciałem się spotkać. Musimy porozmawiać na osobności.

Wprowadził Darwina do pustej poczekalni dla świadków i zamknął drzwi na

klucz. Usiadł na końcu stołu i przez chwilę ustawiał laskę, a później starannie układał przed sobą starą sponiewieraną aktówkę i kapelusz. Minor zajął krzesło po lewej stronie Du Boisa.

– Czy mam jakieś kłopoty z prawem? – spytał w końcu.

– No cóż, o niczym takim nie wiem. Poza tym, że Dickweed wciąż chce pana oskarżyć o zabójstwo drogowe – odparł prawnik. – Chodzi o coś innego. Jest pan w niebezpieczeństwie, mój przyjacielu! – Darwin milczał. Czekał. – Zanim dołączy pan do specjalnej ekipy dochodzeniowej śledczej Olson – kontynuował Du Bois – mam dla pana radę, Darwinie... nie tylko jako pański adwokat, ale także jako pański przyjaciel... że to bardzo niebezpieczna zabawa. Bardzo niebezpieczna.

Minor usiłował nie okazać zaskoczenia. Był jednak zdumiony. Zebranie u Syd skończyło się zaledwie dwadzieścia minut temu, a już rozeszła się informacja o podjętych tam ustaleniach? I na cóż się zdały prośby i ostrzeżenia porucznika Barra z Wydziału Wewnętrznego? Dar nie powiedział jednak tego na głos.

– Te dranie dwa razy usiłowały mnie zabić – stwierdził. – Co jeszcze mogą mi zrobić?

– Może im się udać – odciął się mecenas Du Bois. Na jego mocno pomarszczonej twarzy zwykle gościł uśmiech lub przynajmniej ironiczne rozbawienie, dziś wszakże oblicze sławnego prawnika pozostało ponure.

– Wie pan na temat tego spisku coś, co mogłoby pomóc specjalnej ekipie dochodzeniowej? – spytał Dar.

Adwokat powoli pokiwał głową.

– Proszę pamiętać, Darwinie, że jestem przedstawicielem sądu. Gdybym poznał jakiegokolwiek pewne szczegóły, natychmiast przekazałbym je FBI albo pani Olson. Słyszałem jedynie pogłoski. Ale to brzydkie, paskudne pogłoski.

– Co dokładnie pan słyszał? – spytał Minor.

Du Bois obrzucił go niespokojnym spojrzeniem brązowych oczu.

– Mówią że sytuacja zrobiła się naprawdę bardzo poważna i że ci nowi naganiacze ubezpieczeniowi to mordercze kanalie. Podobno wchodząc im w drogę, człowiek naraża się gorzej niż starym kolumbijskim baronom narkotykowym. Słyszałem, że nadeszła w naszym kraju nowa epoka oszustw i że ci nowi przepędzą dawnych, tak jak wielki market doprowadza do zamknięcia wszystkie małe rodzinne sklepiki w okolicy.

– Przepędzą w taki sposób, w jaki pozbyli się mecenasa Esposito? – spytał Dar.

Du Bois rozłożył pomarszczone, zdeformowane ręce w wyrazistym geście.

– Wszystkie stare reguły straciły już zastosowanie – odparł. – Tak się w każdym razie mówi na ulicach.

– Kolejny powód, ażeby przyszpilić drani – odparował Darwin.

Prawnik westchnął, wziął laskę i aktówkę, włożył na głowę filcową fedorę. Gdy obaj wstali, zacisnął mocno palce na ramieniu Minora.

– Niech pan będzie ogromnie ostrożny, Darwinie. Ogromnie ostrożny.

Dar wrócił do biura Sydney, akurat kiedy kończyło się jej spotkanie z Poulsen i Warrenem.

– Właśnie pana chcieliśmy zobaczyć – rzucił agent FBI.

Minora zaczęło powoli denerwować tego rodzaju powitanie.

– Rozmawialiśmy wcześniej z kapitanem Hernandezem – wyjaśniła Syd. – Żalił się nam, że policja San Diego musi cię pilnować przez całą dobę, przez co funkcjonariusze zostają po godzinach, my zaś narzekaliśmy na jakość tej ochrony.

Darwin czekał na puentę.

– Dlatego od tej pory te obowiązki przejmie Federalne Biuro Śledcze – podsumował agent specjalny Warren. Mówił cicho, lecz miał w głosie charyzmę. – Wyznamy co najmniej tuzin ludzi, którzy będą się panem zajmować przez cały czas, toteż ochrona stanie się znacznie intensywniejsza, a równocześnie o wiele bardziej subtelna.

– Nie – powiedział Minor. Syd, Jeanette Poulsen i Jim Warren popatrzyli na niego ze zdziwieniem. – Będę z wami współpracował, ale mam właśnie ten jeden jedyny warunek – ciągnął, zwracając się bezpośrednio do Sydney. – Nie będzie dwudziestoczterogodzinnej ochrony. Macie odwołać wszystkich goryli. Zgoda?

– Nie wspominałeś, że dołączysz do ekipy dochodzeniowej jedynie wtedy, jeśli spełnimy jakieś twoje warunki – zauważyła Sydney.

– Teraz o tym mówię – odciął się Darwin. – I mam tylko jeden warunek. Czyżby nie był możliwy do spełnienia?

Warren potrząsnął głową.

– Musi nam pan zaufać w tej sprawie, doktorze Minor. Mamy wprawę w ochronie świadków i...

– Nie – powtórzył Dar. – Mówiłem poważnie. Jeśli mamy razem pracować, potrzebuję tyle samo wolności, co reszta z was. Poza tym, wszyscy wiemy, że żadna ilość ochroniarzy nie powstrzyma dobrze wyszkolonego snajpera czy innego wynajętego zabójcy.

Zapadła cisza, którą w końcu przerwała Syd.

– Będziemy musieli uszanować twoje... żądanie, Darwinie. Ale tylko dlatego, że zgadzamy się z tym, co mówisz. Kto to powiedział? Chyba prezydent Kennedy, nieprawdaż? „Jeśli XX wiek czegoś nas nauczył, to tego, że każdego można zabić”.

- Nie, to nie Kennedy... – zaczął Jim Warren.
- Właśnie... Powiedział to Michael Corleone... – dodał Darwin.
- W części drugiej *Ojca chrzestnego* – dokończył człowiek z FBI.
- Boże, mężczyźni i ich gadki o *Ojcu chrzestnym* – mruknęła Jeanette Poulsen. –

Ten film, który widziałam kilka lat temu... jak on się nazywał... taki z Meg Ryan i Tomem Hanksem. W nim była cała prawda. Czy faceci naprawdę myślą że wszystkie zdarzenia tego świata można podsumować dialogiem z którejś części *Ojca chrzestnego*?

- Nie, chodzi tylko o dwie pierwsze części – poprawił ją Minor.
- Trzecia była do niczego – zgodził się z nim Warren.
- Nie liczy się – przyznał Darwin.
- Skończycie kiedyś te pogadanki? – spytała Syd. – A może macie na określenie tej sytuacji jakiś kolejny odpowiedni dialog z pierwszej bądź drugiej części *Ojca chrzestnego*?

Dar przecesał palcami krótkie włosy, nieco je unosząc, po czym przemówił chrypliwym tonem a la Al Pacino, podrabiając jednocześnie jego gesty:

– „Akurat kiedy pomyślałem, że mnie wyrzucają, wciągnęli mnie z powrotem do środka”.

– Ale, ale – obruszyła się przedstawicielka Narodowego Biura do Spraw Przepływów Ubezpieczeniowych.

- To nie jest fair. Ten tekst pochodzi właśnie z *Ojca chrzestnego III*.
- Bo to jest wyjątek od reguły – oświadczył agent specjalny Warren.
- Do widzenia, chłopcy – mruknęła Syd.

– Zauważył pan, jak to jest? – spytał Darwin przedstawiciela Federalnego Biura Śledczego. – One mogą nazywać nas chłopcami, ale jeżeli my nazwiemy je dziewczynami, podają nas do sądu za obrazę.

Warren westchnął.

– Ja nigdy nie mam w zwyczaju nazwać kobiety z dziewięćmilimetrowym półautomatem marki SIG przy biodrze... dziewczyną. – Zerknął na zegarek. – Może zjemy lunch, doktorze Minor? Słyszałem, że tu niedaleko jest niezły lokal z grillem w stylu tych w Kansas City.

– Rzeczywiście jest i chętnie się do pana przyłączę – odparł Minor. Zamachał na pożegnanie obu kobietom, które stały z dezaprobującymi minami nauczycielek ze szkoły podstawowej i ramionami butnie założonymi na piersiach.

– Hej – powiedział agent specjalny Warren. Ten idealnie ubrany mężczyzna o cichym zazwyczaj głosie niezły imitował ton Tłustego Clemenzy: „Zostawcie broń, przynieście słodkie *cannoli*”.

Rozdział szesnasty

P JAK PRZYGOTOWANIA

Gdy Darwin skończył jeść lunch z agentem FBI, centrum San Diego już pustoszało. Wszyscy pędzili ku przedmieściom.

– Federalne Biuro Śledcze – powiedział w pewnym momencie Warren – zrobi wszystko, co w jego mocy, ażeby panu pomóc.

– Chciałbym mieć kopie wszelkich dostępnych akt na temat Pavla Zukera i Gregora Yaponchika – odparł Minor. – Nie tylko akt Federalnego Biura Śledczego, ale także CIA, NSA, Interpolu, Mossadu, NDA... Wszystkie, jakie istnieją.

Agent specjalny przyjrzał mu się z wahaniem.

– Wątpię, czy zdołam otrzymać pozwolenie na pokazanie panu choćby niektórych akt FBI. Skąd myśl, że możemy zdobyć dokumenty izraelskie? – Dar odpowiedział milczeniem i pokerową twarzą. – Po co cywilowi taki materiał? – spytał Warren.

– Dlatego że jedyny cywil, który ich potrzebuje, to cywil, którego dwukrotnie zaatakowali dwaj rosyjscy dżentelmeni – odciął się cicho Minor. – Być może te informacje pomogą wyżej wspomnianemu cywilowi zachować życie, zamiast ginąć.

Agent specjalny wyglądał, jakby połknął pestkę oliwki, w końcu wszakże skinął głową.

– W porządku – odparł. – Spróbuję zdobyć kopie wszelkich dostępnych papierów.

– Świetnie – powiedział Darwin.

– Czego jeszcze panu potrzeba? – spytał Warren swobodnym tonem. – Helikoptera, może... albo dostępu do satelitów szpiegowskich różnych agencji?

– Jasne – odrzekł Dar. – Najchętniej jednak pożyczębym McMillana M87R.

Człowiek z Federalnego Biura Śledczego śmiał się dobrotliwie przez dłuższą chwilę, zanim sobie uświadomił, że Minor mówi poważnie.

– To jest niemożliwe.

– To jest ważne – upierał się Dar.

– To jest nielegalne. Cywil nie może posiadać takiej broni – wyjaśnił Warren.

– Nie chcę jej posiadać – tłumaczył cierpliwie Darwin. – Chcę tylko pożyczyć.

Skończyli lunch. Warren wciąż potrzasał głową.

– Spróbuję z tymi aktami, ale mcmillan...

– Albo jakiś jego ekwiwalent – nalegał Minor.

– Nie ma szans – odparł Warren. Darwin wzruszył ramionami, dał agentowi specjalnemu wizytówkę ze wszystkimi numerami telefonicznymi, numerem faksu i e-mailem. Dopisał nawet ręcznie numer do domku, którego nie podał wcześniej nikomu z wyjątkiem Larry'ego i Syd. – Proszę mnie powiadomić o zdobyciu tych akt najszybciej jak to możliwe – dorzucił. Nie zaproponował, że zapłaci rachunek.

Opuszczając land cruiserem okolice metra, Dar zadzwonił do Trudy.

– Jakie są ostatnie doniesienia na temat śledztwa w sprawie Esposito?

– Dzięki tobie i lekarzowi sądowemu pojawiło się podejrzenie zabójstwa – odparła. – Przesłuchałam architekta, który wtedy rozmawiał przez telefon z kierownikiem budowy, Vargasem. Mężczyzna jest skłonny zeznać, że wraz z panem Vargasem byli przez kilka minut całkowicie skoncentrowani na planach, dokładnie w momencie wypadku... czy też morderstwa.

– Ktoś miał więc dość czasu, aby potrzymać prawnika pod podnośnikiem. Prawdopodobnie groził mu bronią, a następnie przez nikogo nie widziany przekręcił pokrętko zaworu – zakończył Darwin. – Interesujące.

– Detektywi policji Los Angeles i San Diego szukają Pauliego Satchela... powoda, który podobno był na budowie i spotkał się z Esposito.

– To dobrze – odrzekł Minor. – Mam nadzieję, że go znajdą, zanim i on zginie w jakimś wypadku.

– Ale nie uważasz, że Satchel zabił Esposito, prawda?

– Nie uważam – przyznał Dar, odprężając się, kiedy samochody przed nim zatrzymały się. Zerknął w lusterko. Ten sam samochód jechał za nim, odkąd opuścił Centrum Sprawiedliwości. Nie niepokoił się jednak, ponieważ rozpoznał taurusa Syd i jej jasnobrązową czuprynę. Jak na oficer śledczą, marnie się ukrywała. Chyba nie nadawała się na tajniaczkę. – Sporo wiem o Pauliem – dodał. – To pionek... Występuje o odszkodowanie częściej, niż niektórych boli głowa. Facet nie wygląda na zabójcę.

– Skoro tak mówisz – odpowiedziała Trudy. – Będę cię informować. Zostawisz włączoną komórkę?

– Chwilowo ją wyłączę – odparł Darwin. – Właśnie jadę na zakupy.

Minorowi lepiej poszło z zakupami niż Sydney z inwigilacją. Zatrzymał się w centrum przed sklepem Sears i kupił niedrogą, ale mocną maszynę do szycia. Potem pojechał do sklepu z artykułami z demobilu, w którym zaopatrywali się myśliwi, i kupił trzy dwuczęściowe mundury polowe i maskujący, miękki kapelusz z szerokim rondem. Znalazł też siatkową ochronę na głowę i ramiona; jak zapewnił go sprzedawca, jednooki weteran z Wietnamu: „Tak mocną, że nie przepuści największego nawet moskita, a przy tym tak szczelną, że nie przemknie się przez nią

nawet najmniejsza muszka”. Darwin odwiedził jeszcze dwa inne sklepy, zanim znalazł większą siatkę, której szukał, w potrzebnej ilości.

Potem odwiedził kilka sklepów z tkaninami i centrum ogrodnicze pod gołym niebem. Dopiero wtedy zdobył wszystko: grube płótno, jutę i tkaninę workową we wszystkich kolorach, których potrzebował. W ostatnim sklepie z materiałami kupił płótno, które kazał pociąć na kawałki, a także ciemnobrązowy materiał w formie nieregularnych skrawków. W pewnej chwili zatrudnił do cięcia i krojenia aż czterech sprzedawców i kierownika. Właścicielka sklepu patrzyła na niego jak na wariata, ale oczywiście pieniądze od niego przyjęła. Wracając do samochodu z ogromnymi torbami wypełnionymi kawałkami tkanin, Darwin zatrzymał się na widok wysiadającej ze swojego auta Sydney. Kobieta podeszła do niego.

– Poddaję się – oświadczyła. – Nie mam najmniejszego, najbardziej nawet, cholera, mglistego pojęcia, co robisz.

– To doskonale – odparował Minor.

– Powiesz mi?

– Jasne – odparł Dar, otwierając drzwiczki dzipa i wkładając do środka torby. – Zrobię sobie maskujące ubranko a la yeti.

Sydney potrząsnęła głową.

– A cóż to takiego?

– Będziesz musiała poczekać, aż skończę, a wtedy zobaczysz. Jedziesz dalej za mną?

Kobieta zagryzła wargę.

– Darwinie, wiem, że ci się to nie podoba, czuję się jednak odpowiedzialna za...

– Pieprz odpowiedzialność – odciął się cicho Dar. – Masz swoją pracę, a ja swoją. Żadne z nas nic nie robi, jeśli będziesz mnie przez cały czas pilnowała.

Syd zawahała się. Minor dotknął jej nagiego przedramienia.

– Nie pracujmy przeciwko sobie – poprosił. – Na pewno przeżyję, jeśli tylko uda się szybko przyłapać Dallasa Trace’a i snajperów, których wynajął. To moja największa szansa.

Śledcza Olson pokiwała głową, tym niemniej powiedziała:

– Odpowiesz mi na jedno pytanie?

– Pewnie – zgodził się Darwin. – O ile ty udzielisz mi w zamian uczciwej odpowiedzi na moje.

– W porządku – powiedziała Sydney. – Gdzie będziesz dzisiaj wieczoru... w ten weekend?

– Jadę do domku – odrzekł Dar – ale nie zostanę tam na noc. Wrócę późnym wieczorem do mieszkania. A co do tego weekendu... no cóż, może w niedzielę wezmę namiot i wyjadę na dzień lub dwa.

– Na biwak? – spytała z powątpiewaniem.

– Mniej więcej – odparł Minor.

– Wyłączysz telefon, gdy będziesz... pod namiotem?

– Niestety. – Darwin pokiwał głową. – Ale jedno mogę ci obiecać, Sydney. Będę w miejscu, w którym ani Dallas Trace, ani jego pachołki na pewno nie będą mnie szukać.

– Pachołki – powtórzyła cicho kobieta. – W porządku, dam ci spokój. I to natychmiast.

– Teraz moja kolej na pytanie – powiedział szybko Dar. Rozejrzał się wokół. Na parkingu byli zupełnie sami. Wieczne cienie coraz bardziej się wydłużały. – Co to była za farsa dziś rano? Na zebraniu? – spytał.

– Nie rozumiem.

– Doskonale mnie rozumiesz – odparł Minor bez cienia gniewu w głosie. Oparł się o land cruisera i czekał.

– Doszło do poważnych przecieków – wyjaśniła Syd. – W ubiegłym miesiącu. Jesteśmy pewni, że Trace i inni przedstawiciele Przymierza znają nasze plany, jeszcze zanim zaczniemy je realizować.

– Ktoś z przysięgłych? – zapytał Dar.

Sydney potrząsnęła głową.

– Raczej ktoś z mojego oddziału. Tak wynika z naszych informacji. Ktoś z naszej ekipy dochodzeniowej albo inna osoba wtajemniczona. Dlatego zarządziłam na dziś to zebranie. Sprawdzimy rozmowy telefoniczne i odkryjemy tego nielojalnego.

– Podejrzewasz Hernandeza czy Suttona? – spytał zaskoczony Darwin. – A może Lawrence’a, Trudy i mnie... Nasze telefony też podsłuchujecie?

– Nie – obruszyła się Syd. – Przecieki zaczęły się wcześniej, niż ty i Stewartowie dołączyliście do nas.

– Ale agenta specjalnego Warrena również podsłuchujesz?

Kobieta skrzywiła się.

– Biuro podsłuchuje, głupku, a nie ja.

– Typowe – mruknął Dar, po czym dodał poważniejszym tonem: – Nie mogę uwierzyć, że ten twój przyjaciel Santana znów zamierza działać jako tajniak i że przekazaliście tę informację na zebraniu, skoro wiecie, że są przecieki.

Sydney zmarszczyła brwi.

– Ten mój, jak to określiłeś, przyjaciel Santana wie, co robi, Darwinie. Wspomnieliśmy o tej sprawie umyślnie. Tom ma świadomość, że nawet bez przecieku groziłoby mu niebezpieczeństwo. Oficjalnie chce zatem działać sam, tak naprawdę jednak wraz z nim w organizację wmiesza się równocześnie troje innych latynoskich agentów.

– Z Wydziału do Spraw Oszustw? – spytał Darwin.

– Nie, z FBI – odparła Syd. – Weszliśmy teraz do pierwszej ligi. Tom naprawdę dobrze wie, co robi, a jeśli zdecyduje się na jakiś ruch, sprawdzi wcześniej, czy ktoś kryje jego plecy. Dlaczego podnosisz głos zawsze, ilekroć rozmawiamy o Santanie?

Minor nie odpowiedział.

Jechał na wschód międzystanową numer 8. Ruch na drodze był bardzo intensywny. San Diego wyrzucało ze swoich czeluści spragnionych weekendowego odpoczynku pracowników. Darwin nie otwierał okien, włączył jedynie klimatyzację i relaksował się, słuchając z kompaktu nagranej przez Bernsteina dla upamiętnienia upadku berlińskiego muru *Ody do wolności*, czyli lekko przerobionej *Ody do radości* z IX Symfonii Beethovena. Samochodów było tu nieco mniej niż na prowadzącej na północ autostradzie 79, a z międzystanowej nikt za Darem nie zjechał. Nie widział już więcej taurusa Syd, żadne inne auta też go chyba nie śledziły.

W miarę jak jechał, cienie stawały się coraz dłuższe i coraz bardziej się z sobą zlewały. Gdy dotarł do domku, sprawdził alarm i upewnił się, że od ostatniego razu żaden intruz nie przekroczył jego drzwi frontowych. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Z zewnątrz zupełnie nie było widać, że domek posiada piwnicę: żadnych okienek nad ziemią, żadnego wejścia z zewnątrz. A jednak piwnica istniała. Dar podniósł czerwony perski dywan przy końcu łóżka, wymacał niewielką szczelinę w podłodze, podniósł klapę i otworzył drzwi zapadkowe. Po podniesieniu drzwi światło w piwnicy zapaliło się automatycznie.

Darwin opuścił za sobą klapę i zszedł po stromej drabinie. Zadrzał nieznacznie w chłodnym niczym jaskinia wąskim korytarzu. Korytarz składał się jedynie z betonowych ścian, na końcu których znajdowały się stalowe drzwi wyposażone w dwa zamki. Przez chwilę Dar szukał w kieszeni drugiego klucza.

Pomieszczenie zajmowało tylko jedną trzecią powierzchni ogromnego salonu na parterze, lecz dla jego celów było wystarczające. Musiał tu włączyć światła, ale kiedy to zrobił, wszystkie starannie rozmieszczone w stosach pudła i skrzynie zostały idealnie oświetlone, podobnie jak wszystkie półki i szuflady. Temperatura w piwnicy była regulowana, powietrze podsuszane. Ściany z pustaków wypełniono powłoką zawierającą azbest i pokryto cienką warstwą aluminium. Darwin traktował ten pokój głównie jako wielki depozyt, gdzie przedmiotom nie groził pożar, tornado czy nawet odległy wybuch atomowy. Uśmiechnął się niewesoło, wspominając, ile to rzadko odwiedzane pomieszczenie go kosztowało.

Na przeciwległej ścianie znajdowała się zamknięta na kłódkę krata, przez którą przechodziło się do wielkiego kanału wentylacyjnego. Kanał wiódł trzydzieści siedem metrów w dół, do opuszczonego szybu kopalni złota sprzed stulecia; z kolei ów szyb kopalniany prowadził dalej, do oddalonego o sześćdziesiąt cztery metry małego wejścia do parowu o stromych zboczach. Szyb kończył się tu, czyli ponad sto metrów od odremontowanego wozu. Za wykopanie i instalację tego kanału powietrznego – zamkniętego z obu stron na kłódkę – Minor zapłacił naprawdę sporo, niemal tyle co za zbudowanie całego domu.

Przeszedł wąską dróżką między pudłami magazynowymi. Jak zwykle zerknął na torbę awaryjną: czarną walizkę, która podczas jego pracy dla NTSB zawsze pozostawała spakowana i gotowa. Jak zwykle też zupełnie bezwiednie przesunął dłonią po dużej zielonej skrzyni, zawierającej wszystkie ubrania Barbary, wszystkie ich fotografie z tamtego czasu i dziecięce ubranka Davida. No i jak zwykle nie otworzył tej skrzyni.

W ścianie na tyłach pomieszczenia mieścił się niczym nie zakryty sejf. Darwin szybko przekręcił tarczę. Wiedział, że głupotą jest używanie daty urodzin synka jako szyfru, z drugiej jednak strony uważał, iż osoby, która dojdzie tak daleko i zechce się dostać do sejfu, nie powstrzyma zwyczajny zamek szyfrowy. Sejf był wielki i głęboki, wyposażony w kilka metalowych półek, na których leżały dokumenty, dyskietki i zdjęcia. Dar zignorował to wszystko i wyjął wąskie pudło z uchwytem, wykonane z drewna orzechowego.

Zamknął sejf, postawił drewniane pudło na jednej ze skrzyń i otworzył je. Wewnątrz, w wyłożonych zielonym filcem przegródkach z masy plastycznej, znajdował się zdemontowany karabin snajperski M40 – wojskowa wersja klasycznego sztucera myśliwskiego Remington 700.

Przesunął palcami po drewnie karabinu, a następnie wyjął z przegródki niezwykle dokładny celownik teleskopowy marki Redfield Accu-Range o zmiennym powiększeniu 3-9. Spojrzał raz przez obiektyw, po czym odłożył celownik na miejsce. Akurat zatrzasnął zamki na futerał, gdy usłyszał odległy, lecz głośny trzask na parterze domku.

Wziął futerał z karabinem, ruszył do drzwi, zamknął na klucz pomieszczenie magazynowe, po czym wspiął się po stromej drabinie. Ktoś głośno dobijał się do drzwi frontowych. Darwin zabezpieczył zapadnię i położył na swoje miejsce dywan, rozważając wyjęcie i złożenie broni. Stukanie do drzwi zmieniło się w prawdziwy łomot. Wyjrzał przez frontowe okno i zdecydował, że pozostawi karabin w częściach. Westchnął, wsunął futerał z bronią na jedną z niższych półek biblioteczki i poszedł otworzyć drzwi.

– Nic ci nie jest? – spytała Syd. W prawej ręce trzymała swojego siga, co

oznaczało, że do drzwi stuknęła wyłącznie lewą. Dar zauważył, że kłykcie palców tej dłoni miała mocno zaczerwienione.

– Jasne, że nie – odburknął, po czym odsunął się, robiąc Sydney miejsce.

– Więc dlaczego nie reagowałeś na pukanie do drzwi?

– Byłem w łazience – wyjaśnił.

– Wcale nie – obruszyła się. – Obeszłam domek i zajrzałam tam przez okno.

Nigdzie cię nie widziałam.

Minor wiedział, że drzwi zapadkowych nie można dostrzec przez żadne z okien.

Specjalnie takie miejsce dla nich wybrał.

– Dwie godziny temu obiecałaś, że przestaniesz za mną jeździć – mruknął. –

A teraz podglądasz mnie nawet w łazience.

Syd zaczerwieniła się. Jej rumieniec się nasilał, gdy chowała półautomat do kabury i zapinała lnianą marynarkę.

– Nie jechałam za tobą. Próbowałam dodzwonić się do ciebie na komórkę, ale mi się nie udało. Telefonowałam też na numer domku. Nie odbierałeś.

– Przyjechałem tu dopiero przed kilkoma minutami – odparł. – A co się właściwie stało? Coś złego?

Sydney rozejrzała się niespokojnie po pokoju.

– Mogę dostać szklaneczkę szkockiej?

– Oboje prowadzimy – powiedział Dar. – Pamiętaj, mówiłem ci, że dzisiaj wracam. Zbieram się dosłownie za parę minut.

– Wiem, o co chodzi z tym strojem ze skrawków – wyrzuciła z siebie kobieta.

Wydawała się zadyszana, jakby dopiero teraz przybiegła do domku z samochodu. –
I wiem o Dalat.

Rozdział siedemnasty

Q JAK QUI PRO QUO

Nigdy nie powiedziałem Barbarze o Dalat – pomyślał Dar, gdy nalał im obojgu po drinku i wyjął garnki do spaghetti. „Mimo iż byliśmy z sobą tak blisko, nigdy jej o tym nie mówiłem. Ani jej, ani Larry’emu. Nikomu! Ależ dziwnie się sprawy układają” – dyskutował sam z sobą w myślach. „Dwa razy próbowali mnie zastrzelić rosyjscy zabójcy. No dobrze, powiem”. Stuknął swoją szklaneczką o naczynie Syd. Kiedy popijali doskonałą whisky, zaczął przygotowywać makaron i sos. Oboje milczeli, zatopieni w natłoku myśli.

Dalat było i jest dużym wietnamskim miastem wyżynnym położonym u stóp góry Lang Biang, około osiemdziesięciu kilometrów od wybrzeża. W roku 1962 prezydent Kennedy i rząd Stanów Zjednoczonych, okazując swoją solidarność ówczesnemu prozachodniemu reżimowi (Dar nie mógł sobie przypomnieć nazwiska rządzącego), przekazali Wietnamowi Południowemu pluton i inne materiały radioaktywne, a także pomogli przy budowie reaktora atomowego w Dalat. Reaktora używano do produkcji radioizotopów, służących celom badawczym i medycznym, ale – co ważniejsze – stał się on symbolem statusu Wietnamu Południowego. Uosabiał też gest współpracy i przyjaźni Ameryki.

Nadszedł marzec roku 1975. Nixon i Kissinger uznali się za pokonanych, toteż wycofali się z wojny, pozostawiając jej rozstrzygnięcie Wietnamczykom. Wyposażyli odpowiednio żołnierzy wietnamskich, natomiast sześćset tysięcy amerykańskiej piechoty, żołnierzy marines, sił powietrznych i innych wojsk wróciło do domu. W wyniku walk i potyczek kolejne poamerykańskie bazy, twierdze i miasta wietnamskie przejmowali partyzanci Wietkongu wraz z regularną armią Wietnamu Północnego. Po dziesięciu dniach zajęli Sajgon, a sytuację w ambasadzie amerykańskiej – chronionej jedynie przez symboliczną ekipę komandosów – można było nazwać, mówiąc oględnie, totalnym chaosem. Przy brzegu zaś czekała ogromna flota morska, gotowa w każdej chwili odpłynąć, wywożąc ostatnich umykających dyplomatów, przedstawicieli różnych służb i żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej.

W środku całego tego zamieszania, wśród płonących akt, uciekających rodzin, opuszczonego sprzętu, tysięcy wietnamskich „pomocników” błagających o zabranie do Stanów, w ambasadzie amerykańskiej zjawili się dwaj południowowietnamscy technicy i nieśmiało przypomnieli Amerykanom, że reaktor w Dalat nadal działa,

służąc równocześnie jako magazyn plutonu do produkcji broni nuklearnej. Poinformowano o tym fakcie ambasadora i najwyższego rangą wojskowego, którzy mimo zamieszania zdołali polecić wietnamskim technikom natychmiastowy powrót do Dalat i wyłączenie reaktora, czyli przeprowadzenie awaryjnej procedury zamknięcia. Technicy mieli następnie przewieźć cały materiał radioaktywny, szczególnie pluton, do Sajgonu, gdzie miał on zostać załadowany na czekające okręty.

Wietnamscy technicy odparli, że zrobią to bardzo chętnie, lecz z całym szacunkiem przypomnieli też generałowi i ambasadorowi, że miasto Dalat właśnie przejmuje Wietkong oraz oddziały armii Wietnamu Północnego, że wróg obstawił wszystkie drogi i linie kolejowe do Sajgonu oraz całe wybrzeże, a wszelkie zaplanowane wcześniej odloty i przyloty na maleńkie lotnisko w Dalat zostały anulowane właśnie z powodu bliskości tej armii. Cała załoga reaktora uciekła, a sam reaktor pozostawał włączony i nikt go nie obsługiwał. Dwaj technicy opisali swoją ucieczkę – pod ciężkim ostrzałem – małym lekkim samolotem należącym do brata młodszego technika, który przypadkiem był kapitanem w południowowietnamskim lotnictwie, i który podrzucił ich niemal pod sam Sajgon, lądując w polu niedaleko drogi krajowej (na której panowało straszliwe zamieszanie), po czym od razu odleciał do Tajlandii. I chociaż obaj byliby najszcześliwsi, gdyby mogli wrócić do Dalat i pomóc swoich drogim amerykańskim przyjaciółom, byli w zasadzie jedynie pracownikami niższego szczebla technicznego, toteż nie mieli najmniejszego pojęcia, jak wyłączyć reaktor. A poza tym, wedle własnej opinii, zaryzykowali życie, przybywając tutaj i mówiąc o zaistniałym problemie, w ten sposób więc chyba zarobili... na podróż do Stanów Zjednoczonych i nowe życie.

– Mamy gdzieś w pobliżu jakichś jajogłowych od spraw jądrowych? – spytał ambasador. – Kogoś, kto przypadkiem wie, jak wyłączyć reaktor, a później wywieźć z Dalat pluton?

Okazało się, że rzeczywiście mieli kogoś takiego. Na pokładzie atomowego lotniskowca, cumującego przy brzegu, znajdowało się akurat dwóch amerykańskich członków Komisji Energii Atomowej, a także Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Jeden nazywał się Wally Henderson, drugi John Halloran. Żaden z nich nie był żołnierzem, wręcz przeciwnie – obaj byli miłymi, roztargnionymi naukowcami, i żaden z nich nigdy nie usłyszał ani o Dalat, ani o południowowietnamskim reaktorze. Przypadkiem znaleźli się w pobliżu wybrzeża Wietnamu, ponieważ kilka okrętów wojennych wchodzących w skład floty ewakuacyjnej transportowało na swoich pokładach pewne ilości broni nuklearnej i Departament Obrony uznał za rozsądne posiadanie wśród całego tego zamieszania kogoś mądrzejszego niż technik lub inżynier atomowy wyszkolony przez marynarkę wojenną. Kogoś, kto znał się na współczesnej broni jądrowej i reaktorach

pokładowych. Ot tak, na wszelki wypadek.

Wally Henderson i John Halloran zostali natychmiast przetransportowani helikopterem do chaotycznego mrowiska, jakim był obecnie Sajgon, poinformowani o problemie i zabrani do Dalat wraz z dwunastką marines. Rozkazy – zarówno wobec naukowców, jak i dla żołnierzy – były dość proste: zamknąć reaktor, nie pozwolić mu eksplodować, zabezpieczyć przed ewentualnością wycieku podczas potencjalnego ostrzału ze strony wroga, uratować maksymalną ilość radioaktywnego izotopu, odzyskać znajdujący się tam pluton w ilości około osiemdziesięciu gramów i wrócić z nim do Sajgonu. Jeśli okaże się, że lotnisko przejął przeciwnik, należało spróbować przejść dżunglę, dotrzeć do wybrzeża i tam przez radio poprosić o ciężarówkę. Niezależnie od kosztów, musieli przywieźć z sobą pluton.

Z dwunastu marines czterech było snajperami. Do tych ostatnich należał Dar Minor, dziewiętnastolatek, który przed terminem ukończył college, specjalizując się w fizyce, o czym nie wiedział ani nikt w wojsku, ani w ambasadzie; w każdym razie jego wykształcenie nie było powodem przydziału do misji w Dalat. Kiedy wylądowali w mieście starym handlowym DC-3, naprędce przystosowanym do przewozu materiałów radioaktywnych, ośmiu komandosów, łącznie z dowódcą – porucznikiem – pozostało na lotnisku do ochrony samolotu przed atakującymi Wietnamczykami, podczas gdy Dar i pozostałych trzech marines towarzyszyło Wally'emu i Johnowi w drodze do reaktora. Była siódma i poranne mgły dopiero się rozpraszały.

Reaktor był opuszczony, żołnierze Ludowej Armii Wietnamu uciekli, a wszystkie bramy i drzwi dosłownie stały otworem. Wróg jeszcze się nie zjawił. Młodemu Darwinowi Minorowi obiekt skojarzył się z makietą Fort Knox z filmu *Goldfinger* o Jamesie Bondzie, który widział jako ośmiolatek. Budowla stała na niskim wzgórzu, była ogromna, miała żelbetowe ściany i kopulasty dach. Do reaktora należało się wspiąć prawie półtorakilometrowym, trawiastym zboczem. Samą budowlę otaczały trzy rzędy drutu kolczastego, rozmieszczone w stumetrowych odstępach. Czterej żołnierze marines, dowożąc dżipem dwóch naukowców do głównego budynku reaktora, po przejechaniu każdego ogrodzenia zamykali za sobą kolejne bramy. Oprócz stromej półtorakilometrowej drogi z Dalat, którą przybyli, wszędzie wokół reaktora rozciągała się gęsta dżungla. Reaktor górował jednak nad otwartym terenem. Każdy snajper, nawet tak niedoświadczony jak dziewiętnastoletni Dar, taki teren natychmiast jednoznacznie kojarzył z najstraszliwszym niebezpieczeństwem.

Chociaż młody i „świeży”, Dar był dowódcą dwuosobowego zespołu. W teorii snajperzy wchodzili w skład korpusów marines, czyli amerykańskiej piechoty morskiej – od roku 1968, a zatem odkąd odkryto i uznano ich znaczenie w wojnie oraz zaaprobowano organizację i szyk plutonów snajperskich w każdej kwaterze głównej pułku, a także w każdym batalionie rozpoznawczym. W teorii pluton

snajperski powinien składać się z trzech oddziałów – każdy oddział z pięciu dwuosobowych zespołów i dowódcy – starszego podoficera, zbrój mistrza oraz oficera. Czyli że siłę plutonu teoretycznie stanowili: jeden oficer i trzydziestu pięciu podległych mu ludzi. Także w teorii batalion rozpoznawczy składał się z jednego oficera i trzydziestu ludzi. W teorii. W rzeczywistości bowiem snajperzy marines działali – zarówno podczas tej wojny, jak i wojny w Korei oraz II wojny światowej – w zespołach dwuosobowych; w zespołach tych obaj mężczyźni byli strzelcami wyborowymi, ale to dowódca zespołu miał decydujące zdanie, drugi snajper zaś pełnił rolę tak zwanego obserwatora.

Podczas misji w Dalat Darwin był dowódcą zespołu drugiego i jako taki nosił sportowy, samopowtarzalny karabin Remington 700 kaliber 7,62 milimetra, który po modyfikacji i dostosowaniu do potrzeb wojska został przemianowany przez piechotę morską na M40. Jego obserwator był uzbrojony w wyborowy M-14. Na początku wojny wietnamskiej pierwszym obserwatorom wchodzącym w skład zespołów snajperskich wydawano standardowe, maszynowe M-16, toteż żołnierze marines doświadczyli na swoich skórkach niebezpiecznej wady tych karabinów, czyli braku dokładności przy dalszych strzałach. Powrócono zatem do wyborowych M-14.

Na potrzeby tej misji dwa zespoły snajperskie targały więcej broni i amunicji, niż mężczyźni mogli unieść. Dar obliczył, że z racji końca wojny Stany Zjednoczone pozostawiają w Wietnamie sprzęt wartości dziesiątek miliardów dolarów. Jakie znaczenie w obecnej sytuacji ma jeden czy dwa karabiny więcej? Drugi dzięp zapełniono zatem czterema dodatkowymi snajperskimi M40, dwoma dodatkowymi M-14, po jednym dodatkowym bębnie do karabinu M40 na każdy zespół, i skrzynkami amunicji. Każdy z czterech żołnierzy marines miał własną lornetkę i krótkofalówkę, oba zespoły natomiast dzieliły radio PRC-45 o dużym zasięgu, przez które snajperzy mogli wezwać artylerię albo jednostki powietrzne. Każdy obserwator oprócz zwykłej lornetki niósł także specjalną, mocną lunetę zwiadowczą. Drugi dzięp wiozł również dwa ciężkie urządzenia noktowizyjne oraz cztery lunety AN/PVS2 Starlight montowane do wyborowych M-14. Jedno z dużych urządzeń noktowizyjnych stało na statywie trójnożnym, drugie natomiast znajdowało się na perle ich arsenału, czyli karabinie maszynowym Browning M2 kaliber .50, który specjalnie zmodyfikowano, aby funkcjonował jako jednostrzałowa broń snajperska. Dla browninga do użytku w świetle dziennym wieziono także powiększający dwudziestokrotnie celownik optyczny Unertl.

Obserwator Dara był dwudziestodwuletnim czarnym kapralem z Alabamy. Na imię miał Ned. Ned strzelał więcej od Darwina, ale to Dar zakończył z wyższym wynikiem cały kurs, który składał się z dwustu pięciu godzin oficjalnego szkolenia snajperskiego (teoria), sześćdziesięciu dwóch godzin praktyki, pięćdziesięciu trzech

godzin treningu polowego oraz osiemdziesięciu pięciu godzin ćwiczeń taktycznych. Prawdziwym asem w obu oddziałach był sierżant Carlos, starszy od nich, bo trzydziestodwuletni żołnierz, który jako jedyny z ich czwórki brał udział w walce. Obserwatorem Carlosa był inny dziewiętnastolatek imieniem Chuck. Chuck pochodził z kalifornijskiego Pało Alto.

Zaparkowali dżipy w jednej z wielu pustych przybudówek, a podczas gdy dwaj specjaliści atomowi zabierali się do pracy, szybko obejrzeliby pustą sterownię reaktora. Następnie wspięli się na zewnętrzne balkony, gdzie zamierzali pełnić straż przez następne czterdzieści osiem godzin. Carlos zachwycił się układem reaktora pod kątem ewentualnej strzelaniny. Nad urządzeniami sterowni znajdowały się bowiem dwa pełne, betonowe balkony, jeden na wysokości czwartej kondygnacji, drugi tuż pod samą kopułą na wysokości osiemnastu metrów. Ściany obu balkonów były nieznacznie mozaikowe – w tym sensie, że mniej więcej co dwadzieścia kroków beton podnosił się o metr ponad przeciętną ścianę o wysokości stu dwudziestu centymetrów. Według sierżanta Carlosa powstało w ten sposób coś na kształt blanków. Aby jeszcze lepiej wykorzystać ten efekt, czterech marines szybko wniosło ponad osiemdziesiąt worków z piaskiem z opuszczonych posterunków wartowniczych poniżej, tworząc dzięki nim częściowo przesłonięte i umocnione pozycje strzeleckie.

Żelbetowe ściany siedmiokondygnacyjnej budowli miały trzy i pół metra grubości, a ścianki balkonu – metr dwadzieścia. Chociaż kilka niskich przybudówek stało w pobliżu podstawy budynku reaktora, to balkony znajdowały się wyżej niż ich dachy, a pole ostrzału z balkonów było pełne i niczym nie zakłócone w żadnym kierunku. Na oba poziomy i do głównej sterowni wchodziło się jedynie przez wewnętrzne korytarze i drabiny. Oprócz balkonów budynek reaktora nie został wyposażony w żadne okna.

– Cholera – mruknął sierżant Carlos, gdy zmęczeni skończyli umacniać wybrane stanowiska workami z piaskiem. – Gdyby Davy Crockett, Jim Bowie, pułkownik Travis i reszta tamtych facetów miała bronić z naszymi pukawkami tutejszego reaktora zamiast zasranego, starego Alamo, moi przodkowie nigdy by ich nie powybijali i nie przejęliby fortu.

Wally'emu i Johnowi czterdzieści dwie godziny zajęło wyłączenie reaktora, odnalezienie i załadowanie izotopów oraz odszukanie oznaczonego pojemnika z osiemdziesięcioma gramami plutonu, który mógłby posłużyć do produkcji bomby. Wróg zjawił się przy reaktorze Dalat trzy godziny po marines.

Godzinę po przybyciu Dara porucznik Hale połączył się z nimi przez radio z lotniska. Ośmiu przebywających w budynku komandosów piechoty morskiej – także wykwapowanych w poważną broń – broniło go przed ostrzałem zbliżającej się grupy wroga. Podejrzewali, że mają do czynienia z batalionem Wietkongu. Pół godziny

później człowiek porucznika Hale'a poinformował, że połowa marines łącznie z porucznikiem zginęła, pozostali zaś nadal walczą z wciąż nacierającym wrogiem. Teraz była to ich zdaniem w pełni zmechanizowana kompania armii Wietnamu Północnego. DC-3 niestety odleciał, pozostawiając ich samym sobie. Ludzie Hale'a chcieli się ewakuować, ale ani śmigłowce szturmowe, ani helikoptery nie mogły się zbliżyć do terminalu z powodu potężnego ostrzału przeciwlotniczego z linii okolicznych drzew.

Przez kolejną godzinę Darwin i pozostali trzej marines na balkonach reaktora słuchali odległego terkotu karabinów maszynowych: charakterystycznych serii z M-16 i M60, jeszcze bardziej wyrazistego grzechotu kałasznikowów, czyli AK-47, głośnych, tępych stukotów moździerzy i huku armat czołgowych. Sierżant Carlos powiedział, że po raz pierwszy od przybycia do Wietnamu słyszy kanonady czołgów wroga.

Nagle wszelkie odgłosy strzelaniny urwały się. Cisza była tak straszna, że Minor wręcz poczuł ulgę, kiedy na głównej drodze z Dalat pojawili się pierwsi partyzanci Wietkongu w zarekwirowanych armii wietnamskiej dżipach, a także kilka lekkich pojazdów opancerzonych i rząd ciężarówek.

– Patrzcie na to – zawołał sierżant Carlos.

Browninga M2 kaliber .50, ze specjalnym celownikiem Unertl, umieścili wcześniej na szerokiej ścianie między workami z piaskiem. Kiedy Chuck i Ned obserwowali teren przez powiększające dwudziestokrotnie lunety snajperskie, sierżant Carlos otworzył ogień z browninga do odległej o nieco ponad dwa kilometry kolumny partyzantów. Broń sprawiła się doskonale. Pierwszy pocisk zmienił głowę kierowcy dżipa w rozpryskującą się kulę czerwonej mgły. Pod uderzeniem drugiego pocisku – wyposażonego w materiał wybuchowy – zapalił się zbiornik na benzynę dżipa i auto wybuchło, wzlatując w powietrze na wysokość piętnastu metrów. Trzeci strzał Carlosa przebił lekką stal jadącego za dżipem pojazdu opancerzonego i najprawdopodobniej zabił kierowcę, ponieważ pojazd zбочzył w prawo i wpadł z pluskiem do głębokiego rowu nawadniającego. Czwartą kulą sierżant wysadził w powietrze blok cylindrów trzeciego samochodu w rzędzie – dwuipółtonowej ciężarówki, która natychmiast utknęła, blokując drogę reszcie przemieszczającego się za nią konwoju. Partyzanci wyskoczyli z pojazdów i rozbiegli się na wszystkie strony, znikając w dżungli.

Sierżant Carlos kontynuował spokojny ostrzał, podczas gdy pozostali trzej mężczyźni spoglądali przez lunety. Carlos zawsze strzelał tak długo, aż nie został zniszczony lub nie padł na ziemię ostatni z celów. Wszystkie ciężarówki opustoszały, a Wietnamczycy zniknęli. Zapewne wezwali przez radio wsparcie i czekali na armię. Tymczasem sierżant wysadził w powietrze pociskami z materiałem wybuchowym

kolejne trzy ciężarówki. Poranne powietrze wypełniły płomienie i dym.

– Zobaczcie, jak bardzo strzały z ponad dwóch kilometrów szkodzą na morale – oświadczył Carlos. Zostawił potężnego browninga, wysłał zespół Dara na niższy balkon, po czym poszedł przygotować własnego M40 do walki na bliższą odległość. Planowali strzelać na siedemset trzydzieści metrów lub mniej.

Minor stale słyszał od wszystkich, że historie z czasu wojny zapadają w pamięć i wciąż wracają, toteż wielu byłych żołnierzy opowiada je latami. On sam jednakże nigdy nikomu nawet nie wspomniał o czterdziestu ośmiu godzinach w Dalat. Jego wspomnienie tych dwóch dni leżało mu jedynie na duszy niczym duży, ciężki, nieruchomy kamień.

Zwiadowcy Wietkongu zaczęli do nich strzelać z linii drzew jakieś dwadzieścia minut po zatrzymaniu pierwszego konwoju przez sierżanta. Carlos i Darwin strzelali ze swoich M40 kaliber 7,62 milimetra, mierząc w każdego partyzanta, który wyszedł przed pas dżungli lub zdradził się poprzez błysk lufy karabinu.

Z wyjątkiem huku pocisków z AK-47 uderzających w przybudówki albo tnących żwir pod Amerykanami – tylko nieliczne docierały do ścian budynku reaktora, ledwie je muskając – panował spokój. Dar słyszał niewiele oprócz monotonnych odgłosów M40 i cichych stwierdzeń jego obserwatora Neda: „Trafiony... padł, ale wstał... trafiony, lecz nadal się porusza... zabity... trafiony...”. I tak dalej.

Wczesnym popołudniem około stu żołnierzy Wietkongu opuściło linię drzew i zaatakowało kompleks reaktora. Darwin i sierżant zaczęli od strzelców wyborowych, którzy mieli stanowić wsparcie dla piechoty, strzelając z mniej dokładnych karabinów K-44. Były to nieco zmodernizowane stare, sowieckie karabiny snajperskie M1891/30 Mosin-Nagant kaliber 7,62 milimetra, których w II wojnie światowej używała Armia Czerwona. Gdy dwaj Amerykanie skończyli ze snajperami, rozpoczęli ostrzał saperów, zmierzających w ich stronę z ładunkami do niszczenia zasieków z drutu kolczastego zwanymi bangalore. Uporawszy się z saperami, Minor i Carlos postanowili wyszukać oficerów. Ilekroć jakiś mężczyzna w zielonym mundurze i hełmie korkowym wykrzyczał rozkaz, ponaglił gestem innych żołnierzy lub zamachał pistoletem zamiast zwykłego kałasznikowa, celowali w niego i strzelali. Kiedy przerzedzony szereg Wietnamczyków znalazł się w odległości siedmiuset trzydziestu metrów, czyli nadal ponad sto osiemdziesiąt metrów od zewnętrznego ogrodzenia, Ned i Chuck otworzyli ogień maszynowy ze swoich wyborowych M-14. Szereg pękł, a partyzanci uciekali w stronę dżungli. Niewielu dotarło do pierwszych drzew.

Żołnierze armii Wietnamu Północnego pojawili się kilka minut później. Darwin zerknął przez lunetę obserwatora i zdumiał się. Nigdy wcześniej nie widział rosyjskich czołgów T-55, a jeszcze mniej wiedział o sposobach unieszkodliwiania ich. Dwa pierwsze czołgi posuwały się drogą prawdopodobnie planując wjechać prosto w bramę, roztrzaskać ją i ruszyć dalej, wprost w stronę reaktora. Na razie nie strzelały pociskami czołgowymi kaliber .72. Cała czwórka marines zdała sobie sprawę, że komuniści nie zamierzają ich ostrzelać ani z moździerzy, ani z czołgów. Najwyraźniej ktoś na samej górze postanowił, że reaktor w Dalat należy przejąć, nie uszkadzając przy tym budynku. Darwin rozumiał już wtedy głupotę tej decyzji, ponieważ pociskami z dokładnego moździerza łatwo można było zabić czterech Amerykanów, a na grubych betonowych ścianach w najgorszym razie powstałyby zaledwie rysy i draśnięcia. Pracujący w sterowni Wally i John opowiadali później, że w ogóle nie słyszeli strzelaniny. Na szczęście dla marines, dowództwo armii Wietnamu Północnego wiedziało najwyraźniej jeszcze mniej o reaktorach jądrowych niż ambasador Stanów Zjednoczonych. Kiedy pierwszy czołg znalazł się w zasięgu tysiąca metrów, sierżant Carlos zaczął strzelać pociskami kaliber .50 z materiałem wybuchowym, celując w otwory strzelnicze.

– Żartujesz sobie chyba. – Ned usiłował przekrzyczeć hałas. – Nie zdołasz przecież rozwalić pieprzonego czołgu karabinem snajperskim.

– Ich otwory strzelnicze są co prawda kuloodporne – wyjaśnił Carlos pomiędzy poszczególnymi strzałami – ale nie są nietłukące. A cholernie ciężko prowadzi się taką maszynę, gdy nic nie widać.

Sierżant wystrzelił już osiem pocisków, gdy pierwszy czołg w końcu po prostu stanął. Minutę później żołnierze zaczęli z niego wyskakiwać i biec ku odległej linii drzew. Dar i Carlos strzelali do nich jak do kaczek. Na drugi czołg potrzeba było aż dwunastu pocisków z materiałem wybuchowym, wycelowanych w szczeliny przeziernikowe. Czołg zboczył nagle w prawo i utknął. Załoga pozostała jednak wewnątrz długo po zmroku. Amerykanie czekali cierpliwie. Dopiero po północy Wietnamczycy zdecydowali się wyjść i ruszyć pod osłonę drzew. Dar skorzystał z lunety Starlight i zastrzelił trzech. Trzeci czołg zawrócił wcześniej i ruszył z powrotem do dżungli, w ostatniej chwili posłał jednakże w ich stronę jeden wielki pocisk, pozornie z czystej frustracji, tworząc w zewnętrznym ogrodzeniu okrągły otwór o średnicy metra i podpalając część trawiastego zbocza. Kierowca tego T-55 zrobił błąd; powinien wycofać się, a nie obrócić i odjechać. Sierżant wiedział, co robić. Jednym pociskiem trafił w dodatkowy zbiornik z paliwem na prawym końcu jadącego ku drzewom czołgu. Zbiornik zapalił się i po pancerzu czołgu zaczęły skakać płomienie.

Wieczorem piechota dwukrotnie przeprowadziła atak oskrzydający. Czwerej

Amerykanie starali się robić wrażenie, że jest ich więcej, biegali więc z balkonu na balkon, od jednych umocnień do drugich i strzelali we wszystkich kierunkach. Musieli uważać, aby się nie poślizgnąć i nie upaść na śliskie betonowe podłoże balkonów. Wietkong dotarł do zewnętrznego ogrodzenia w ostatnich minutach przed zmierzchem. Trzydziestu ludzi znalazło się w pasie pomiędzy pierwszym a drugim ogrodzeniem.

– Czy podłożono tu wcześniej miny? – spytał z nadzieją w głosie Chuck.

– Nie – odparł sierżant Carlos. – To jest jedyne pieprzone niezaminowane miejsce w całym cholernym Południowym Wietnamie.

Trzydziestu żołnierzy piechoty ruszyło do szturmowania z krzykiem triumfu. Któryś podniósł flagę północnowietnamską. Wszyscy pędzili ku drugiemu ogrodzeniu. Czterech marines wystrzelało ich jednego po drugim.

Było po północy, kiedy kolejna grupa Wietnamczyków zaczęła się wyczołgiwać z dżungli ku zewnętrznym zasiekom. Podczas szkolenia Dar uczył się, że nowa generacja noktowizyjnych celowników optycznych stanowi w epoce Wietnamu ekwiwalent celowników bombowych typu Nor den z II wojny światowej. Uosabiały zatem najwyższe osiągnięcie techniki. W pierwszych latach konfliktu wietnamskiego mówiło się: „Noc należy do Charliego”. Teraz noc należała do marines.

Dwadzieścia pięć lat po Dalat Dar widzi w „L.L. Bean” albo jakimś innym katalogu ogłoszenie sprzedaży okularów noktowizyjnych za sześćset dolarów i uśmiecha się. W Wietnamie były bezcennym cudem, od którego mogło zależeć czyjeś życie i czyjaś śmierć, a teraz stały się numerem katalogowym NP14328, powszechnie dostępnym produktem, który w ciągu doby dostarcza FedEx. Minor nie mógł oprzeć się pokusie i w którymś momencie rzeczywiście zamówił parę. Odkrył, że stały się lżejsze i skuteczniejsze niż jego stara luneta Starlight, no a ich cena była nieporównywalnie sensowniejsza.

Przez jedno z dużych urządzeń noktowizyjnych Ned obserwował wroga aż prawie do półtora kilometra, a gdy jakiś żołnierz znalazł się w zasięgu ośmiuset metrów, Ned dawał znak Darwinowi i Chuckowi, którzy wyłapywali żółtka przez starlighty i strzelali ze swoich M-14. Sierżant Carlos spoglądał przez drugie urządzenie noktowizyjne, a później natychmiast kosił rzędy nieprzyjaciela z browninga, który strzelał celnie nawet na odległość tysiąca pięciuset metrów.

Owej nocy – co było niezwykle dla Wietnamu o tamtej porze roku – niebo pozostało całkowicie bezchmurne. Nie było księżyca, ale gwiazdy wyglądały bardzo pięknie.

Drugiego dnia wkrótce po świcie ku reaktorowi ruszyło sześć nowiutkich T-72 i sześć T-55. Za każdym czołgiem kryła się piechota, a z dżungli do Amerykanów strzelali snajperzy armii Wietnamu Północnego.

– Nie wiedziałem, że cholerni północni Wietnamczycy mają aż tyle czołgów w tej pieprzonej armii – skomentował sierżant Carlos, przerywając co chwilę wypowiedź, aby wypluć kawałek przeżutego tytoniu.

W nastawni reaktora Wally i John zmieniali się przy pracy. Gdy jeden przesypiał godzinę, drugi podnośnikiem widłowym przewoził i ładował kolejne partie radioaktywnego materiału. Żaden z czterech marines nie przespał nawet minuty.

Sierżant Carlos przyglądał się czołgom podjeżdżającym do zewnętrznego ogrodzenia, a równocześnie rozmawiał przez radio PRC-45, tak zwany Prick 45. Dzięki temu, w momencie gdy czołgi zbliżyły się drutu kolczastego, nadleciało pięć szybkich bombowców F-4 Phantom i z wysokości sześćdziesięciu metrów spuściło na czołgi bomby burzące. Minor obserwował ze znużeniem i niedowierzaniem, jak wieżyczka pierwszego T-72 oderwała się od czołgu i wzleciała w powietrze ponad dziewięćdziesiąt metrów, czyli wyżej niż leciał phantom; pod wieżyczką wyraźnie widać było wiszące i wierzgające nogi kanoniera.

Kilka czołgów, które przetrwały atak powietrzny, zaczęło się bezsensownie kręcić w kółko. Niektóre w zamieszaniu strzelały do własnej piechoty. Trzydzieści sekund później z amerykańskiego lotniskowca Kitty Hawk nadleciały trzy myśliwce A-4D Skyhawk, które zrzuciły wokół kompleksu reaktora zbiorniki z napalmem. Dym i płomienie utrudniały Darwinowi i pozostałym marines dostrzeżenie uciekających, choć i bez tego Amerykanie wiedzieli, że mało kto przeżył.

Pozostałe godziny Darwin pamiętał mniej szczegółowo, chociaż... bardziej trwale.

Coś się stało wtedy z czasem; tylko takie znajdował wytłumaczenie tego dziwnego faktu. Czas się pokręcił, zniekształcił, osobliwie porozciągał – jego zdaniem momentami niemal do nieskończoności czy wieczności – a jednak nadal składał się z momentów, godzin i wypadków, choć nachodziły one na siebie lub z sobą współlistniały. Dar odnosił wrażenie, że spadł pod horyzont zdarzeń jednej z czarnych dziur, o których zamierzał po wojnie napisać doktorat.

Rankiem drugiego dnia nastąpiło jeszcze kilka totalnych ataków piechoty. Podczas jednego z nich amerykańskie samoloty spóźniły się o pół godziny i kilkuset żołnierzy armii Wietnamu Północnego – nie partyzantów Wietkongu w czarnych spodniach i bluzach, lecz dobrze odżywionych i umundurowanych, a w dodatku świetnie uzbrojonych żołnierzy, którzy stanowili dumę generała Giapa – dotarło aż do wewnętrznego ogrodzenia. W normalnej sytuacji Darwin i jego towarzysze wezwaliby artylerię z okolicznych baz, tyle że cała amerykańska artyleria opuściła już Wietnam, a wszystkie bazy przejęła Ludowa Armia Wietnamu. Ich „małe Alamo” ratował

jedynie fakt, że generał Giap wyraźnie pragnął zdobyć reaktor nietknięty.

Minor zapamiętał, że w trakcie jednego z tych ataków, rankiem drugiego dnia, lufa jego M40 częściowo się stopiła i musiał strzelać z zapasowego karabinu snajperskiego. Ned zginął podczas ostrzału Wietnamczyków tuż przed ostatnim natarciem tamtego ranka, a może tuż po nim. Darwin nie mógł sobie tego dokładnie przypomnieć. Ale zapamiętał kolejność zgonów. Ned otrzymał strzał prosto w oko, gdy spoglądał przez powiększający dwudziestokrotnie celownik optyczny. Było to koło południa. Sierżant Carlos został trafiony w pierś i szyję mniej więcej podczas wieczornej strzelaniny i zmarł, kiedy czerwone słońce zaczęło zachodzić za górę Lang Biang. Chuck zginął od gradu kul zaledwie kilka sekund przed wspięciem się na pokład sea stalliona.

Tej ostatniej nocy, gdy Wally i John wciąż pracowali i ładowali materiały, korzystając z urządzeń do obsługi zdalnej i automatów, Chuck i Dar omawiali plan B. Plan B zakładał przejście na piechotę osiemdziesięciu kilometrów dzielących ich od wybrzeża. Obaj marines wiedzieli, że obecnie nie jest to możliwe. Nie tylko dlatego, że ze wszystkich stron w dżungli otaczały ich przynajmniej dwa bataliony zmechanizowanej piechoty armii Wietnamu Północnego i może ze trzy kompanie Wietkongu. Jakoś zdołaliby ich uniknąć lub zmylić. Tyle że skoro Ned i sierżant Carlos nie żyli, Chuck i Darwin sami nie zdołaliby donieść obu ciał aż do wybrzeża, a równocześnie pomóc obu naukowcom z kilogramami radioaktywnych izotopów, plutonem i co tam jeszcze mieli. Marines nie zostawiają swoich zmarłych sępom.

Wcześniej Minor uważał tę taktykę za szczyt nieprzyzwoitości. Jak można bardziej dbać o zmarłych niż o żywych? Jednocześnie również wiedział, że nie zdradzi tej tradycji i nie zostawi na pastwę wroga Carlosa i Neda.

Wreszcie nastąpił ostatni tego dnia atak Wietnamczyków i ostatni przelot czterech wezwanych bombowców F-4, które zrzuciły bomby napalmowe. Część ładunku zapaliła przybudówki, dżipy i podstawę budynku reaktora. Dar nigdy nie zapomni smrodu palącego się ludzkiego ciała ani własnego wstydu – gdyż z powodu głodu ów zapach wywołał u niego prawdziwy ślinotok. Nie jadł wtedy już od dwudziestu godzin. Palący się ludzie krzyczeli tak przeraźliwie, że chociaż byli oddaleni od Dara co najmniej o czterdzieści pięć metrów, odnosił wrażenie, iż znajdują się zaledwie o parę kroków od balkonu. Wyraźnie pamiętał, że kulił się na podłodze balkonu, przykrywając własnym ciałem snajperski karabin, jakby chronił dziecko przed krzywdą, a tymczasem płomienie wokół budynku wznosiły się na wysokość sześćdziesięciu metrów, czyli nawet ponad dach. Powietrze było tak gorące, że bał się zrobić wddech.

Dwaj marines spędzili drugą noc, przemieszczając się z miejsca na miejsce i spoglądając przez lunety zamontowane na M-14 oraz przez duże urządzenie

noktowizyjne na browningu. Wypatrzyli i zastrzelili dziesiątki wietnamskich saperów i zwykłych żołnierzy wypełzających ze wszystkich stron.

– Widziałeś kiedykolwiek *Beau Geste*? – zawołał Dar do Chucka podczas przerwy w strzelaniu.

– Co takiego? – odrzyknął przyjaciel z wyższego balkonu.

– Mniejsza o to – odparł Darwin.

Armia Wietnamu Północnego rozrzucała tymczasem granaty dymne, co było zręcznym posunięciem, gdyż w gęstym dymie niewiele było widać nawet przez mocno powiększające obraz lunety z noktowizorem, tyle że snajperzy wietnamscy również niewiele w tych oparach dostrzegali. Działali zatem także przeciwko sobie. Zwykle gdy wrogi żołnierz znalazł się w zasięgu stu metrów, mimo piekielnej zasłony złożonej z dymu i jasnego blasku otwartych płomieni, albo Chuck, albo Dar zauważał mignięcie zielonkawego munduru i zabijał przeciwnika pojedynczym strzałem. Jeśli znajdowali się akurat po tej samej stronie budynku, współpracowali z sobą skutecznie, wrzeszcząc: „Mój! Mam go!”, niczym domagający się piłki zapolowi gracze drużyny atakującej w Małej Lidze.

O drugiej w nocy Wally i John wspięli się po schodach, wyszli na balkon i oświadczyli, że załadowali wszystko na podnośniki. Wystarczy zapakować dzipy i odjechać. Kiedy Darwin wyjaśniał, że plany się zmieniły, Wietnamczycy nie przestawali ich ostrzeliwać. Tysiące kul trafiało w barierki balkonów, worki z piaskiem rozpryskiwały się, a dźwięki uderzających pocisków brzmiały jak spadające na płótno namiotu krople nieustającej ulewy. Rykoszety stanowiły stały element zagrożenia. Obaj marines mocno krwawili z drobnych ran i przecięć, nie sposób bowiem było się uchylić przed każdą odbitą kulą i odpryskami muru. Dar zapamiętał, że Wally zdjął okulary i wycierał je, równocześnie wpatrując się w niego zaczerwienionymi ze znużenia, lecz także szeroko otwartymi w szoku oczyma. Naukowiec ocenił jego rany, po czym spytał:

– Podczas naszej pracy była strzelanina?

Krótko potem Wietnamczycy zniszczyli radio PRC-45, na szczęście Darwin zdążył wcześniej poprosić o atak powietrzny na czwartą rano. Pierwotny plan wymagał udziału śmigłowca, który zabierze dwóch marines, dwa ciała, dwóch naukowców i ich półtonowy materiał radioaktywny. Podczas tej akcji Amerykanie zamierzali najpierw zrzucić sporą porcję napalmu i bomb kasetowych, potem wokół kompleksu reaktora miały opuścić się śmigłowce szturmowe Huey. Niestety dowództwo wątpiło, czy jeden huey da radę unieść tak duży ładunek, a wysłanie dwóch śmigłowców, którym polecono by wylądować obok siebie w całym tym dymie i ogniu, groziło katastrofą. W końcu zdecydowano się poszukać większej maszyny. Wybrano poszukiwawczo-ratunkowy helikopter sea stallion, tyle że ten musiałby

w tym celu przerwać swoje aktualne zadanie, czyli transport ważnych wietnamskich polityków wraz z rodzinami i bagażami z Sajgonu na specjalny lotniskowiec.

Godzina czwarta nadeszła i minęła. Nie było ataku powietrznego, nie pojawiły się ani śmigłowce szturmowe, ani ratowniczy helikopter sea stallion... Darwin czuł, że wraz z nadejściem świtu stracą szansę na ewakuację, szczególnie że żołnierze armii Wietnamu Północnego wyposażeni byli w poważne działa przeciwlotnicze i wyrzutnie naramienne SAM. A żołnierze północnowietnamscy do tej pory znajdowali się już zapewne wszędzie wokół Dalat. Dwadzieścia minut przed szóstą Minor zamienił M-14 z lunetą Starlight na karabin snajperski M40 z dziennym celownikiem teleskopowym Redfield. Pamiętał, że ścierał krew z obiektywu, chociaż nie potrafił powiedzieć, skąd się tam wzięła i do kogo należała. Ledwie ukazała się, po raz drugi w Dalat, różanopalcia Jutrzenka – Darowi ciągle przychodziła na myśl ta homerycka fraza – poczuł nadejście *katalepsis*. Odnosił wrażenie, że za chwilę podda się równocześnie strachowi, jak i własnej żądzy krwi. Zaczynał też powoli tracić nad sobą kontrolę, choć dotąd przez całe swoje krótkie życie potrafił nad sobą panować.

Bombowce nadleciały dokładnie o szóstej czterdzieści pięć. Sześć phantomów rzuciło tyle bomb napalmowych, że Dar spalił sobie brwi i większość włosów. Śmigłowce szturmowe przybyły, jeszcze zanim ucichł ogłuszający odgłos silników odrzutowców, hueye poruszały się w pionie, ich działa obrotowe ostrzeliwały drzewa we wszystkich kierunkach. Żołnierze armii Wietnamu Północnego strzelali z wyrzutni naramiennych, pociski wylatywały z dżungli dziesiątkami, ciągnąc za sobą dymne smugi niczym wymyślne fajerwerki w Dzień Niepodległości. Śmigłowce szturmowe opadły bardzo nisko, sunąc mniej więcej metr nad trawą i spłaszczonymi ogrodzeniami, dosłownie przechodząc przez ściany płomieni i dopiero wtedy strzelcy otwierali ogień z działek obrotowych. Piloci woleli trzymać maszyny nisko, narażając się na ostrzał z broni ręcznej, niż utrzymywać wysokość, na której śmigłowcowi groziło strącenie.

I wtedy pojawił się sea stallion, rozpraszając dym w skomplikowane spirale, które wręcz zahipnotyzowały wyczerpanego i odrętwiałego Darwina. Prawie zapomniał o konieczności ruszenia ku maszynie, tak bardzo był zafascynowany zawilymi spiralami i wirami, w które zmieniły dym ogromne łopaty wirników. Po latach wykorzystał matematykę chaosu i za jej pomocą studiował fraktalne odmiany tego zjawiska.

Poza tym, ze wszystkich zdarzeń, które rozpoczęły się kwadrans przed siódmą tego drugiego ranka, Darwin dziś przypominał sobie jedynie jak przez mgłę wyciągającego go z balkonu Chucka, później zaś sam targał ciało sierżanta Carlosa do czekającego helikoptera, podczas gdy jego towarzysz dźwigał ciężkie zwłoki Neda, a następnie wracał, aby pomóc naukowcom w transporcie izotopów i reszty

materiałów.

Absolutny priorytet miał, pokryty warstwą zatrzymującego promienie gamma ołowiu, pojemnik zawierający osiemdziesiąt gramów bezcennego plutonu, który można było wykorzystać do celów wojskowych – tak jak kilka lat wcześniej wracający z Księżyca astronauta Apollo musieli zadbać przede wszystkim o próbki skał księżycowych. Chuck podniósł go i pobiegł do helikoptera, podczas gdy Darwin wyciągał z wejścia do reaktora ostatnią skrzynię z odpadami radioaktywnymi.

Minor wciąż zachowywał w pamięci idealnie wyraźny obraz Chucka trafionego tuzinem pocisków, kiedy dym rozproszył się na tyle, że biegnącego Amerykanina dostrzegli zbliżający się do wewnętrznego ogrodzenia wietnamscy snajperzy. Dar zastygł wtedy w miejscu. Wally i John znajdowali się już na pokładzie sea stalliona, on jednak pozostawał na zewnątrz, zaledwie niecałe sto metrów od dwudziestu pięciu wyborowych strzelców armii Wietnamu Północnego, którzy właśnie podziurawili kulkami Chucka. Choć czas wydawał mu się wówczas straszliwie zdeformowany, wiedział, że nie zdąży sięgnąć po karabin ani pobiec, żeby się ukryć. Patrzył na przesuwanie się w jego kierunku lufy AK-47. Wydawało mu się, że widzi ich ruch w zwolnionym tempie. Nagle pojawił się nad nimi śmigłowiec szturmowy Huey, także poruszając się osobiście powoli. Jego działko Gatling obracało się i strzelało milcząco, w każdym razie Darwin niczego nie słyszał; dziesiątki nabojów przelatywały i spadały, błyskając w promieniach wschodzącego słońca. A odbijające się od mosiądzu łusek światło stanowiło naprawdę piękny widok, oczywiście wyłącznie z estetycznego punktu widzenia. Nagle dużą grupę wietnamskich snajperów przesłoniły chmury pyłu. A kiedy pył opadł, wraz z nim runęła na ziemię większość nieprzyjacielskich żołnierzy, jakby powalił ich zamaszty cios niewidocznego Boga.

Minor przerzucił sobie przez ramię ciało Chucka, porwał z ziemi zbiornik z bezcennym plutonem i pobiegł do helikoptera.

Aż do dziś nie pamiętał lotu powrotnego do czekającego na nich lotniskowca – z wyjątkiem ostatniego spojrzenia na migoczący wśród wirującego dymu reaktor w Dalat. Wszystkie ściany siedmiokondygnacyjnego budynku były mocno podziurawione od kul. W stosunku do grubości ścian otwory były płytkie, lecz bardzo liczne. Worki z piaskiem, które we czterech z takim wysiłkiem wtargali na balkony, kompletnie zniknęły – materiał się rozdarł, piasek rozsypał.

Darwin nie pamiętał też lądowania na lotniskowcu. Niejasno przypominał sobie panujący na pokładzie chaos i chwilę, w której wniesiono go do załoczonego szpitala. Wojskowy chirurg, mężczyzna w średnim wieku, spytał go:

– Jak poważnie został pan ranny?

– Nie jestem ranny – odparł Dar. – Drasnęło mnie tylko kilka odbitych pocisków

i betonowych odprysków.

Rozcięli mu buty, poprzecinali brudną, pokrwawioną bluzę munduru i spodnie, po czym obmyli i obejrzelili jego poranione ciało.

– Przykro mi, synu – stwierdził chirurg. – Mylisz się, niestety. Masz w swoim ciele przynajmniej trzy kulki z kałasznikowa.

Mimo iż został znieczulony, Minor nie martwił się o siebie. Przecież zaniósł do helikoptera sierżanta Carlosa. Nie mógł więc być poważnie ranny. Pociski AK-47, zanim dotarły do niego, prawdopodobnie straciły większość swojej kinetycznej energii przy uderzeniu w ścianę reaktora albo przejściu przez na wpół pusty worek z piaskiem. Nawet nie pamiętał, że go postrzelono.

Kiedy w końcu zbudził się po operacji i przespanych czterech dniach, powiedziano mu, że ogromny lotniskowiec jest obecnie tak przeładowany uciekinierami, że sprzęt latający, który znajdował się na jego pokładzie – łącznie ze śmigłowcami szturmowymi i sea stallionem, który wyratował ich z Dalat – spychano za burtę, do morza. Trzeba było zrobić miejsce dla kolejnych helikopterów przynoszących ważne osobistości z Sajgonu.

Dar znów zasnął. A po kolejnym przebudzeniu Sajgon upadł i zmienił nazwę na Ho Chi Minh. Ostatni dyplomaci i personel CIA wychodzili na dach amerykańskiej ambasady, skąd zabierały ich helikoptery. Tysiącom wietnamskich sojuszników zabroniono zaś wstępu do budynku, którego bronili ostatni marines. Potem sami marines wsiedli do helikopterów i odlecieli.

W końcu lotniskowiec skierował się do Stanów. Ważni politycy południowowietnamscy spali w kwaterach oficerskich poniżej, podczas gdy setki komandosów i marynarzy dosłownie leżało na pokładzie, tłocząc się pod pozostałymi helikopterami i bombowcami A-6 Intruder, gdzie wszyscy ci wyczerpani wojną żołnierze próbowali się ukryć przed deszczem, który teraz padał niemal bez przerwy.

Dar zgodził się opowiedzieć Sydney o Dalat, zasugerował jednak, że najpierw przygotuje dla niej i dla siebie obiad.

– Świetny makaron – zauważyła Syd, kiedy skończyła. Darwin pokiwał głową. Kobieta podniosła w obu rękach kubek z kawą. – Opowiesz mi teraz o Dalat? Znam tylko nagie fakty.

– Niewiele mogę do nich dodać – odrzekł Minor. – Spędziłem tam jedynie czterdzieści osiem godzin w roku 1975. Chociaż poleciałem do Wietnamu kilka lat temu... w 1997. Była to sześciodniowa wycieczka, która zaczęła się w Ho Chi Minh, a zakończyła w Dalat. Amerykanów nie zachęca się do odwiedzania tego kraju,

choć lot do Wietnamu nie jest oczywiście nielegalny. Można wyprawić się na przykład z Bangkoku liniami wietnamskimi za dwieście siedemdziesiąt dolarów albo za trzysta dwadzieścia wygodniejszym samolotem linii tajskich. W Dalat możesz się zatrzymać w zapluskwionym budynku o szumnej nazwie Hotel Dalat, w tanim podrzędnym hoteliku Minh Tam albo w wietnamskiej wersji luksusowego pensjonatu, który nazywa się Anh Doa. Ja zamieszkałem właśnie w Anh Doa. Miał nawet basen.

– Myślałam, że nie latasz jako pasażer – zauważyła Syd.

– Wyjątek od reguły – wyjaśnił Darwin. – Tak czy owak, wycieczka okazała się bardzo przyjemna. Autokar jechał drogą krajową numer 20 ze stolicy Ho Chi Minh przez Bao Loc, Di Linh i Duc Trong. Głównie wśród ogromnych plantacji herbaty i kawy. Piękne, zielone widoczki... Potem wspięliśmy się na przełęcz Pren, która leży na południowym krańcu płaskowyżu Lang Biang. A za nim jedzie się już prościutko do miasta Dalat. – Sydney słuchała, nie przerywając. – Dalat słynie ze swoich jezior – ciągnął – które noszą takie nazwy jak Xuan Huong, Than Tho, Da Thien, Van Kiep czy Me Linh... śliczne nazwy i cudowne jeziora, chociaż nieco zanieczyszczone przez przemysł. – Kobieta czekała. – Jest tam dżungla – kontynuował – ale ponad miastem i porastają ją przede wszystkim sosny. Nawet lasy i doliny mają magiczne nazwy. Na przykład Ai An, co tłumaczy się jako „las namiętności” albo Tinh Yeu, czyli „dolina miłości”.

W tym momencie Syd odstawiła kubek z kawą.

– Dziękuję za szczegółowy opis, Darwinie, ale nie bardzo mnie interesuje wygląd okolic Dalat w roku 1997. Możesz mi opowiedzieć, co się tam zdarzyło w 1975? Opis tego incydentu nadal jest poufny, ale wiem, że właśnie za akcję w Dalat dostałeś Srebrną Gwiazdę i Purpurowe Serce.

– Wszystkim marines, którzy zostali do końca, dawali potem medale – odburknął Dar, popijając kawę. – Tak właśnie postępują kraje i armie, gdy zostaną pokonane: dekorują swoich żołnierzy medalami. – Sydney milczała cierpliwie. – No dobrze – powiedział. – Prawdę mówiąc, misja w Dalat ciągle jest automatycznie klasyfikowana jako tajna, ale tajna już być przestała. W styczniu 1997 roku gazeta codzienna o nazwie „Tri-City Herald” opublikowała opowieść o akcji. Kilka innych gazet przedrukowało ją na tylnych stronach. Nie czytałem tej historii, lecz opowiedział mi ją pracownik biura podróży, kiedy rezerwowałem miejsce na wycieczkę. – Syd bez słowa popijała kawę. – Niewiele mogę powiedzieć – zastrzegł się po raz kolejny. Jego głos nawet jemu samemu wydawał się chrypliwy. Pomyślał, że może się przeziębził. – W ostatnich dniach przed ewakuacją z Sajgonu Wietnamczycy z Południa przypomnieli nam, że zbudowaliśmy dla nich reaktor w Dalat. Zostało tam nieco materiału radioaktywnego, łącznie z osiemdziesięcioma gramami plutonu. Amerykańskie dowództwo nie chciało tego oddać komunistom. Znaleźli więc dwóch

bohaterskich naukowców, Wally'ego i Johna, po czym wysłali ich do Dalat po te materiały, zanim Wietkong i armia Wietnamu Północnego wkroczy na teren reaktora. Naukowcy spakowali materiał i wrócili.

– A ty poleciałeś wraz z nimi w grupie snajperów marines – dodała Syd. – I co się zdarzyło?

– Nic szczególnego – odparł. – Wally i John szukali materiałów, wyciągali je i ładowali. – Posłał jej wymuszony uśmiech. – Potrafili wyłączyć i zamknąć reaktor jądrowy, umieli obsługiwać zdalnie wszystkie urządzenia, tyle że musieli się nauczyć operować podnośnikiem widłowym. W każdym razie wzięliśmy izotopy, zbiornik z napisem „PU” i wynieśliśmy się z Dalat.

– Ale walczyliście? – spytała Sydney.

Dar poszedł sobie dolać kawy, odkrył, że dzbanek jest pusty i usiadł. Po minucie odrzekł:

– Tak, pewnie. To przecież była wojna. Nawet jeśli się już kończyła, tak jak w 1975.

– Wściekałeś się i strzelałeś – powiedziała Syd.

Minor wziął to za pytanie.

– Nie, nie wściekałem się – odrzekł. – Strzelałem, lecz nie gniewałem się na nikogo, no może trochę na dupków, którzy zapomnieli o tym cholernym reaktorze. Taka jest prawda.

Kobieta westchnęła.

– Doktor Darwin Minor jako snajper marines... Dziewiętnastolatek... Nie pasuje mi to do osoby, którą znam... którą trochę znam. – Teraz Dar czekał na ciąg dalszy. – Czy powiesz mi przynajmniej, dlaczego wstąpiłeś do piechoty morskiej? – zapytała. – I dlaczego zostałeś akurat snajperem?

– Jasne – odpowiedział, czując, że serce nagle zaczęło mu mocno walić o żebra, gdyż zrozumiał, że powie prawdę. Tak, powie jej prawdę! I w pewnym sensie będzie to znacznie bardziej osobiste niż szczegóły związane z Dalat. Zerknął na zegarek. – Tyle że robi się późno, śledcza Olson. Możemy przerwać w tym momencie moje zwierzenia? Mam jeszcze dziś wieczorem do zrobienia parę rzeczy.

Syd zagryzła wargę i rozejrzała się po pokoju. Zamknęła okiennice i zasunęła zasłony, po czym włączyła światło. Teraz cienie były równie wyraziste jak pomarańczowy blask lampy. Przez głowę Darwinowi przemknęła dzika myśl, że kobieta zaproponuje mu wspólne spędzenie nocy – tutaj, w jego domku. Puls mu przyspieszył.

– W porządku – stwierdziła. – Pomogę ci pozmywać, a potem ruszamy w drogę. Ale obiecaj, że wkrótce mi opowiesz, dlaczego postanowiłeś zostać komandosem.

– Obiecuję – odrzekł Dar nieco wbrew sobie.

Wyszli na zewnątrz i w ciemnościach rozchodzili się do swoich aut, gdy Minor oświadczył:

– Historia Dalat ma coś w rodzaju puenty. Sądzę, że głównie z tego powodu dane na jej temat nadal są poufne. Chcesz usłyszeć tę puentę?

– Pewnie – zacięła się Syd.

– Pamiętasz, że powiedziałem, iż przede wszystkim chodziło o odzyskanie bezcennych osiemdziesięciu gramów plutonu, który można by wykorzystać do celów wojskowych?

– Tak.

Darwin przesunął w prawej dłoni kluczyki od samochodu. W lewej niósł futerał z bronią.

– No cóż, Wally i John znaleźli pokryty warstwą ołowiu zbiornik oznaczony jako pluton – odparł. – Zabraliśmy go. Federalni w swej mądrości wysłali go pod strażą do dużej elektrowni atomowej w Hanford, w stanie Idaho, gdzie został ostrożnie umieszczony obok tysięcy innych podobnych zbiorników.

– No i? – podpowiedziała Sydney.

– Hm... cztery lata po mojej pierwszej wizycie w Dalat, czyli w roku 1979, ktoś wreszcie postanowił sprawdzić zawartość zbiornika. – Kobieta czekała, nie poruszając się w pachnącym sosnowymi igłami mroku. – Nie było tam wcale plutonu – powiedział Dar. – Naraziliśmy się na wszystkie te kłopoty i odzyskaliśmy osiemdziesiąt gramów polonu.

– Jaka to różnica? – spytała Syd.

– Z plutonu można zrobić bombę atomową albo wodorową – wyjaśnił. – Polon nie bardzo się do czegokolwiek nadaje.

– Jak ci naukowcy... Wally i ten drugi... George? Jak mogli popełnić tak wielki błąd?

– Wally i John nie popełnili żadnego błędu – odrzekł Darwin. – Jeden z wietnamskich techników pracujących w reaktorze przykleił zapewne wcześniej niewłaściwy symbol na puszcze.

– A co się stało z plutonem?

– Według innego raportu w tejże samej gazecie „Tri-City Herald” z 19 stycznia 1997 – odparł Dar – rzecznik Ludowej Republiki Wietnamu powiedział, cytując: „Instytut Badań Jądrowych w Dalat posiada pozostawioną przez Amerykanów porcję plutonu. Ilość ta niezbędna jest nam z powodów technicznych”.

Minor powiedział to lekkim tonem, ale zapadłe po tym milczenie Syd wydało mu

się ciężkie.

- To znaczy, że – odezwała się w końcu kobieta – reaktor jest włączony i działa?
- Rosyjscy naukowcy pomogli go uruchomić Wietnamczykom zaledwie miesiąc po wygraniu wojny – odparował Darwin.

Rozdział osiemnasty

R JAK REKONESANS

Dar, bezlitosny eksksnajper marines, spędził resztę piątkowej nocy i całą sobotę na szyciu stroju i przeglądaniu starych numerów „Architectural Digest”.

Kilka lat temu Lawrence myszkował wśród półek Minora i w pewnej chwili natknął się na kilka roczników czasopism poświęconym projektowaniu wnętrz.

– Do kogo, do diabła, należą? – spytał. Darwin zrobił błąd, próbując wyjaśnić powody, dla których lubi czytać tego typu czasopisma – opowiadał o fascynacji pozbawionymi ludzi wnętrzami, o ich pociągającej statyczności, perfekcyjności, ich... potencjalności. Mówił o zamrożonej na zawsze doskonałości przygotowywanej dla pary, homoseksualnej czy też heteroseksualnej, o panującej w pomieszczeniach cudownej pustce, o uwolnionym od podejmowania decyzji wszechświecie, w którym wszystko jest na swoim miejscu, każda poduszka ugnieciona i ułożona w idealny sposób. Któryś numer „Architectural Digest” przedstawiał doskonały pałac pewnej pary – reżysera i aktorki. Tyle że para ta trzy miesiące później ogłosiła, że się rozwodzi. Minora bawiła ta ironia ogromnej przepaści pomiędzy idealnie zaprojektowanymi, świetnie sfotografowanymi domami i chaosem panującym w rzeczywistym życiu. A poza tym dobrze mu się czytało te czasopisma w łóżku przed snem. – Jesteś stuknięty – podsumował jego wywód Lawrence.

Teraz Dar kartkował stronic numerów sprzed prawie dwóch lat, zanim znalazł artykuł, który zapamiętał. Dom Dallasa Trace’a kosztował sześć milionów dolarów i został zbudowany od podstaw w tłocznej dzielnicy tuż pod wierzchołkiem MulhoUand Drive po stronie San Fernando Valley. Dzielnica ta – Coy Drive, czego Darwin się dowiedział, choć oczywiście nie z tego artykułu w czasopiśmie – składała się głównie ze stosunkowo skromnych (od miliona dolarów), postawionych w latach sześćdziesiątych XX wieku, domów w stylu ranczerskim. Mecenas Trace zakupił trzy takie posiadłości, stojące na nich budynki zburzył i zrównał z ziemią po czym wynajął jednego z najbardziej ekscentrycznych amerykańskich architektów i polecił mu zbudować coś na kształt postmodernistycznego Luksoru; powstał dom z betonu, postarzonego żelaza i szkła. W dodatku budowla przylegała do stoku i górowała nad pozostałymi budynkami w okolicy.

Darwin przeczytał artykuł raz i drugi, koncentrując się na trzech stronach fotografii i starając się zapamiętać, które z ogromnych okien wychodzi z którego pomieszczenia. Do czasopisma dołączono nawet małą wkładkę, przedstawiającą siedzącego na krześle Barcelona (wyglądało na bardzo niewygodne) uśmiechniętego Dallasa Trace’a; podpis pod zdjęciem brzmiał: „Najwspanialszy prawniczy umysł świata”. Młoda żona adwokata, Imogene, cycata dwudziestotrzylatka, Miss Brazylii

i obecna druga Wicemiss Świata, której Trace oficjalnie zmienił imię na Destiny, czyli „przeznaczenie” (ponieważ jej przeznaczeniem było poślubić sławnego prawnika), siedziała na jeszcze mniej wygodnie wyglądającej metalowej poręczy tegoż krzesła.

Sam dom Minor uznał za okropny (wszystkie te postmodernistyczne prowadzące donikąd korytarze, imponujące i ostre, lecz bezsensowne gzymsy, pretensjonalne, wysokie na dwanaście metrów sufity salonów, przemysłowe materiały ze sterczącymi wszędzie śrubami, zawiasami i łącznikami, skrzydełka z pozornie zardzewiałego żelaza, do niczego nie przydatne i nic nie znaczące, basen tak wąski, że można przezeń przeskoczyć), z uśmiechem też przeczytał wypowiedź architekta: „...aby nie przejmować się takimi burżuazyjnymi udogodnieniami jak zasłony czy żaluzje, ponieważ wysokie, wspaniałe okna, z których wiele łączyło się z sobą pod dziwnymi, ostrymi kątami i wychodziło na dziki wąwóz, służyło zniweczeniu wszelkich różnic między wnętrzem i »zewnątrzem« oraz wciągnięciu tego wspaniałego pustkowiecia we wszystkie jasne i piękne pomieszczenia mieszkalne”.

To „wspaniałe pustkowiecie”, o czym Dar wiedział po przestudiowaniu *Przewodnika* Thomasa i map topograficznych tego obszaru, było właściwie jedynym słabo rozwiniętym gospodarczo pasmem wzgórz na tym terenie, jedynym uratowanym przed buldożerami dzięki odkryciu tutaj licznych indiańskich zabytków i nieprzerwanych nacisków co bardziej upartych mieszkańców Coy Drive – łącznie z aktorem Leonardem Nimoyem i pisarzem Harlanem Ellisonem.

Szycie stroju ze skrawków było męczące i czasochłonne. Dar musiał wziąć zbyt duży, dwuczęściowy kombinezon khaki, przymocować do niego siatkę, wzmocnić przód kostiumu ciężkim płótnem, też w kolorach maskujących, a później naszyć łaty z mocniejszego płótna na łokcie i kolana.

Gdy skończył tę część wstępną zaczął „dekorować” kostium kilkoma setkami nieregularnych skrawków z juty i tkaniny workowej. Przez siedem godzin przyszywał nierówne kawałki materiału do każdej części siatki, którą wcześniej przytwierdził do kombinezonu. Mniej na przód, znacznie więcej na tył – tak aby zwisające aż do ziemi paski materiału całkowicie go zasłoniły, kiedy będzie leżał na brzuchu. Miękki, maskujący kapelusz z szerokim rondem „udekorował” podobnie, tu jednak wykorzystał siatkę chroniącą przed moskitami.

W Wietnamie Darwin nigdy nie nosił ani nie szył tego typu kostiumów, gdyż marines walczyli w dżungli w mundurach polowych w kolorze zielonym albo khaki, często podczas czekania na wroga używając dla kamuflażu gałęzi i liści; czasami wykopywali sobie tak zwane stanowisko ogniowe kryjące brzuch i dokładnie się przykrywali. Kostiumy ze skrawków były w tamtej sytuacji po prostu zbyt grube i niewygodne, utrudniałyby zatem walkę w dżungli. W połowie lat siedemdziesiątych

w Camp Pendleton, nieco na północ od San Diego, Dar poznał historię tych kostiumów. Stroje ze skrawków wymyślili w XIX stuleciu szkoccy myśliwi, którzy ubierali się w nie podczas podchodzenia zwierzyny, w identycznym celu używali ich także kłusownicy. Snajperzy niemieccy odkryli je podczas I wojny światowej i nieco je unowocześnili – odrzucili wyposażone w kaptury, zbyt wielkie, sztywne i niewygodne płaszcze typu wojskowego i stworzyli własne, maskujące, długie kurtki, które zakładali, gdy czołgali się po ziemi niczyjej. [powstały w okresie I wojny światowej termin, oznaczający obszar (szeroki od kilkunastu do 300 metrów, czyli więcej niż zasięg rzutu granatem) pomiędzy okopami dwóch walczących stron, pozostający poza ich kontrolą.] Wkrótce przywrócili pożyteczne kaptury maskujące, które można było naciągnąć na głowę, pozostawiając jedynie małą szczelinę z przezroczystym paskiem na oczy. Snajperzy szybko też zauważyli, że oko ludzkie – szczególnie na polu bitwy – jest wyjątkowo wyczulone, toteż dostrzega zarówno najbardziej przelotny widok zarysu ludzkiej twarzy, jak i niezwykle ruch pełzającego krzewu. Mignięcie lufy karabinu również natychmiast przyciąga uwagę strzelców i innych żołnierzy.

Tak czy inaczej w wieku XX snajperski strój ze skrawków ewoluował dzięki surowemu, lecz niezwykle skutecznemu procesowi selekcji naturalnej. Dzisiaj w szkołach dla strzelców wyborowych, takich jak Royal Marines w Lympstone (Devon), Scout Sniper School marynarki Stanów Zjednoczonych w Quantico, w stanie Wirginia, Camp Lejeune czy Camp Pendleton, podoficerowie marines często zabierają wizytujących oficerów na poligon, gdzie pokazują im w praktyce teoretyczne korzyści kamuflażu w strzelaniu z ukrycia. Pod koniec krótkiego wykładu od pięciu do trzydziestu pięciu ubranych w maskujące stroje ze skrawków snajperów wstaje – zwykle wszyscy znajdują się od zaskoczonych oficerów armii nie dalej niż sześć metrów, a wielu z nich dosłownie na wyciągnięcie ręki. Dobry maskujący strój ze skrawków powinien pozostać całkowicie niewidoczny, w przeciwnym razie ubranemu w niego snajperowi grozi niebezpieczeństwo.

Z dziwnych względów Darwinowi sprawiała przyjemność myśl, że nawet dzisiaj studenci szkół snajperskich najczęściej sami szyją sobie te kostiumy w wolnym czasie. Niektóre z efektów ich pracy, które widział podczas wizyt w Camp Pendleton w ostatnich latach, były bardzo oryginalne.

Coś mu się w tym momencie przypomniało. Przerwał szycie i przez kilka minut przeklinał, potem zadzwonił do Camp Pendleton i umówił się z kapitanem Butlerem na późne popołudnie we wtorek. Kiedy wrócił do miejsca pracy, cieszył się, że nikt nie będzie oceniać wykonanego przez niego kostiumu. Marines bywali czasami bardzo nieczuli i nietolerancyjni.

Skończył szyc pod wieczór. Przymierzył swoje dzieło, zapiął wszystkie guziki, na głowę włożył miękki kapelusz z szerokim rondem, z którego zwisał metr chroniącej

przed moskitami siatki, po czym ruszył do wielkiego lustra, w którym zamierzał się przejrzeć. Lustro oczywiście nie było; pozostała po nim tylko rama i dwie dziury po kulach. Wszedł do łazienki i wspiął się na brzeg wanny. W lusterku na szafce zobaczył jedynie fragmenty stroju, ale nawet one wystarczyły, by zapragnął położyć się w wannie i zdrzemnąć do czasu, aż znikną wszystkie kłopoty, łącznie ze sprawą Dallasa Trace'a, jego Przymierzem i rosyjskimi zabójcami, których wynajął.

Minorowi przemknęło przez głowę, że wygląda jak potwór z niskobudżetowego horroru Rogera Cormana z 1961 roku – bezkształtny stwór nieco przypominający owczarka, którego sierść składała się z setek nieregularnych, ciemnobrązowych, jasnobrązowych i jasnozielonych kłębow kudłów czy też może raczej łachmanów. Darwin nie dostrzegał własnych oczu skrytych za swego rodzaju welonem, złożonym z siatki chroniącej przed moskitami i maskujących rzemyków. Ręce skrywały się w luźnych rękawach, pokrytych siatką oraz paskami juty i worka. Na pierwszy rzut oka Dar nie kojarzył się już z ludzką postacią, jego sylwetka była osobliwie nieregularna, a strój obszarpany.

– Puch! – krzyknął na swoje odbicie. Osobnik w lustrze nie zareagował.

Lawrence zgodził się podwieźć Dara o zmierzchu do miejsca, gdzie ten zamierzał jakoby obozować. Maskujący strój snajperski i wszystkie inne, przynajmniej w teorii potrzebne przedmioty tkwiły w dużym plecaku Darwina. Kiedy zadzwonił do Stewarta z tą prośbą, o godzinie dziewiętnastej w sobotni wieczór, przyjaciel powiedział:

– No cóż, jasne, podrzucę cię na miejsce obozowiska. Powiedz mi jednak, co się stało z twoim dziewięciotonowym land cruiserem? Wydaje mi się, że twój dziup zupełnie dobrze by sobie poradził.

– Chcę się trochę powłóczyć, a wolałbym go nie zostawiać byle gdzie na drodze – wyjaśnił Darwin zgodnie z prawdą. – Przez cały czas martwiłbym się o niego.

Lawrence doskonale zrozumiał taką odpowiedź. Trudy i Minor czasem sobie dowcipkowali, że Larry niezmiennie parkuje najbardziej w głębi każdego parkingu, a potem ma trudności z wyprowadzeniem bez zarysowań samochodu wciśniętego między krawężnik, krzewy i kaktusy. A porysowane lub wgniecione pojazdy szybko sprzedawał.

– Jasne, że cię podrzucę – powtórzył Lawrence. – I tak miałem dziś wieczorem w planie jedynie film na wideo.

– Jaki?

– *Ernest jedzie na obóz* – odparł Stewart. – Ale nic nie szkodzi, i tak już go

widziałem.

„Dwieście trzydzieści sześć razy” – dodał w myślach Dar, głośno natomiast oświadczył:

– Będę ci do zgonnie wdzięczny, Larry.

– Lawrence – poprawił go Lawrence. – Chcesz zostawić swojego land cruisera u nas czy mam po ciebie podjechać do miasta?

– Przyjadę do ciebie – odparł Minor.

Niedługo później jechali trooperem Stewarta drogą z Escondido. Lawrence obrzucił spojrzeniem leżący na tylnym siedzeniu wypchany plecak Darwina.

– Dokąd się skierujesz? Do parku narodowego na pustyni Borrego? Do Rezerwatu Cleveland? A może aż do Parku Drzew Jozuego? Albo i dalej?

– Na Mulholland Drive – odparł Dar. Zaskoczony Lawrence o mało nie zjechał na pobocze.

– Mul... hol... land... Drive? W Los Angeles?

– Właśnie – przyznał Minor. Stewart popatrzył na niego z ukosa.

– I na kemping jedziesz?

– Taaak – odparł Dar. – Prawdopodobnie na dwa dni. Mam przy sobie komórkę, więc zadzwonię do ciebie i powiem ci, kiedy masz po mnie przyjechać.

– Jest dwudziesta trzydzieści, więc dojedziemy tam już po północy. A ty wybierasz się na kemping w okolice Mulholland Drive.

– Dokładnie tak – przyznał Darwin. – Właściwie to w okolice Beverly Glen Boulevard, więc nie musisz w ogóle wjeżdżać w Mulholland. Wystarczy, że przetniesz Beverly Hills, wjedziesz na Beverly Glen i zbocze... po stronie San Fernando Valley.

Lawrence spojrzął na niego spode łba, po czym wduślił hamulce, zakręcił i ruszył z powrotem.

– Nie podwieszysz mnie? – spytał Dar.

– Oczywiście, że cię podwiozę – odburknął jego przyjaciel. – Jeśli jednak mam wjeżdżać do pieprzonego Los Angeles w sobotnią noc, przecinać cholerne Beverly Hills i dotrzeć na Mulholland po północy, muszę wcześniej podskoczyć do domu po moją trzydziestkę ósemkę. – Zerknął podejrzliwie na Darwina. – A ty? Jesteś uzbrojony?

– Nie – odrzekł Minor. Taka była prawda.

– Masz nierówno pod sufitem – zawyrokował Stewart.

Po drodze Dar tylko raz poprosił Lawrence'a, aby się zatrzymał – na Ventura

Boulevard. Wcześniej po trzech spędzonych w Internecie minutach wyszedł zastrzeżony numer telefonu Dallasa Trace'a. Teraz zadzwonił na ten numer z budki. Odebrała kobieta mówiąca z latynoskim akcentem, który skojarzył się Darwinowi nie z ciepłą Brazylią lecz raczej z jakimś nieokreślonym krajem w Ameryce Środkowej.

– Pan John Cochran chciałby rozmawiać z panem Trace'em – wyjaśnił Minor, usilnie udając głos sekretarza.

– Chwileczkę – odparła kobieta, a w minutę później słuchawkę podniósł słynny adwokat.

– Johnny! O co chodzi, *amigo!* – rzucił Trace z udawanym teksańskim akcentem.

Dar zaczął mówić z fałszywym akcentem. Przyłożył do ust czerwoną chustkę i wyrzucił z siebie, z całych sił podrabiając głos gangsterów z Los Angeles:

– Hej, się pytasz, o co chodzi, pieprzony białasie, pazerny gnojku? Zdaje ci się, kurde, że możesz tak sobie wykańczać Esposito? Sądysz, że tak łatwo się nas wszystkich pozbędziesz? Wiesz, o co mi chodzi, na pewno wiesz! O twoją pieprzoną ruską mafię, facet. Wiemy o Yaponchiku i Zuckerze i gówno nas to wszystko obchodzi. Chcę ci po prostu powiedzieć, stary, że te komunistyczne dranie nas nie przestraszą. Jedziemy po ciebie, *homme*.

Darwin odłożył słuchawkę i wrócił do troopera. Lawrence znajdował się na tyle blisko, że dotarła do niego większa część monologu Minora.

– Dzwoniłeś do swojej dziewczyny? – spytał.

– Tak – odparł Darwin.

Darwin kazał Stewartowi wysadzić się niecałe dwieście metrów na wschód od skrzyżowania Beverly Glen Boulevard i Mulholland Drive. Poczekali, aż przejedzie kilka samochodów, rozejrzeli się, a gdy droga wyglądała na całkowicie pustą, Dar wysiadł z troopera, wziął plecak i pobiegł w dół wzgórza, szybko przebijając się przez porastające je wysokie trawy. Nie miał ochoty już w pierwszych pięciu minutach misji natknąć się na patrol policji Sherman Oaks.

Lawrence odjechał.

Dar sięgnął do ciężkiego plecaka i wymacał starannie zawinięte okulary noktowizyjne marki L.L. Bean oraz małe pudełko farbek w kolorach maskujących. Kostium ze skrawków był ciężki, ale jeszcze bardziej ciążyły mu starannie owinięte w gąbkę i zapakowane do plecaka „pomoce optyczne”.

Darwin miał na sobie czarne dżinsy, ciemne buty od Mephista i czarną bawełnianą bluzę od Eddiego Bauera. Włączył zasilane na baterie okulary noktowizyjne i odkrył, że właśnie o mało nie wpadł na drut kolczasty. Światła San

Fernando Valley świeciły tak jasno, że okulary błyskały za każdym razem, ilekroć podnosił wzrok nad niezamieszkałe pasmo wzgórz.

„Prawnik i jego żona tak zaprojektowali dom, aby do maksimum wykorzystała widok miejskich świateł” – przeczytał Darwin wcześniej w „Architectural Digest”. „Ten sam widok najprawdopodobniej zainspirował ich ekszasiada Stevena do stworzenia niezapomnianego modelu statku obcych”. Dar dopiero po dwudziestu minutach ustalił, że autor tekstu mówi o Spielbergu, który mieszkał w tej okolicy przed laty, gdy pracował nad filmem *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*.

Teraz statek-matka – a dokładniej mówiąc trójkąt jasnych świateł widoczny między ciemnymi wzgórzami – przeszkadzał Darowi i raził go w oczy. Zdjął więc okulary, a później pomalował farbami do ciała twarz i ręce. Zamierzał partie, w których tworzyły się cienie (czyli miejsca pod policzkami, podbródkiem i nosem oraz oczodoły), pokryć jaśniejszym kolorem, a ciemniejszym punkty wydatniejsze, takie jak nos, kości policzkowe, kości szczękowe i czoło. Dzięki temu nieregularnemu makijażowi cała postać z pewnej odległości niemal nie powinna przyciągać ludzkich spojrzeń. Szczególnie zależało mu na głowie, czyli... mózgu.

W tym momencie uznał, że nie ma już odwrotu. Gdyby reflektory Departamentu Policji Sherman Oaks nagle go oświetliły, zmarnowałby sporo czasu na wytłumaczenie, po co się tak wymalował. Wiedział, że okulary noktowizyjne i plecak ze snajperskim strojem maskującym również trudno byłoby wyjaśnić. Z drugiej strony, do tej pory w żaden sposób nie naruszył jeszcze prawa.

Po chwili jednak je złamał, gdyż przekroczył płot z drutem kolczastym i wyszedł na długie pasmo wzgórz. Minał nieliczne drzewa rosnące wzdłuż Mulholland Drive, po czym wkroczył między wysokie trawy i krzewy. Odległe po obu stronach o około dwieście metrów grzbiety górskie ściśle wypełniono budynkami, których większość oświetlały lampy nocne. Ze względu na ten blask i jasny księżyc Minor postanowił na razie nie zakładać swoich specjalnych okularów.

Mniej więcej dziesięć minut zajęło mu dotarcie do miejsca na wzgórzach, które znajdowało się dokładnie naprzeciwko rezydencji Dallas Trace’a. Wiedział z „Architectural Digest”, że ogromny dom mecenasa od ulicy wygląda jak prawdziwa twierdza: wysokie betonowe ściany pozbawione okien, automatycznie otwierane drzwi, prowadzące do ukrytych pod parterem garaży, niewidoczne wejście główne. Pomyślał, że inwigilacja tego domu sprawiała zapewne spore problemy agencji, która ją prowadziła – czy było to Federalne Biuro Śledcze, Narodowe Biuro do Spraw Przepływów Ubezpieczeniowych, biuro prokuratora stanowego czy też jeszcze inna organizacja.

Tyłna ściana budynku prawnika jednak wręcz płonąła światłami; najprawdopodobniej zapalono lampy we wszystkich pomieszczeniach. Dar ukląkł na

jedno kolano, postawił ostrożnie plecak i wyjął zeń swój stary celownik teleskopowy Redfield Accu-Range o zmiennym powiększeniu 3-9. Łatwiej mu było używać celownika niż dokładniejszej lornetki, a poza tym celownikowi nie przeszkadzały ani światła, ani słońce, które wszędzie za kilka godzin.

Przypatrzył się uważnie. Na pewno nie pomylił domów. Dzięki szerokiemu zaledwie na metr dwadzieścia pasowi basenu wbudowanego w beton o barwie koralu, teren przed budynkiem wydawał się jaskrawo oświetlony, podobnie jak prawie pionowy trawnik porośnięty króciutką dopiero co skoszoną trawą. Minor widział ze swego miejsca płot w dole wzgórza: odległy o niecałe dwadzieścia metrów, nieco pochylony na zewnątrz i wzmocniony drutem kolczastym. Tylne światła były na tyle jasne, że doskonale oświetlały stok, lecz Dar zauważył też na ścianie i ogrodzeniu dodatkowe lampki detektora ruchu. Był przekonany, że nie tylko płot, lecz także drzwi i okna zostały podłączone do jakiegoś najnowocześniejszego alarmu antywłamaniowego i że o każdej ewentualnej wizycie intruza zostanie powiadomiona zarówno jakaś prywatna agencja ochroniarska w Sherman Oaks, jak i policja; nawet jeśli na dziedzińcu wbiegnie zabłąkana wiewiórka. Podsumowując, dom Dallasa Trace'a na pewno nie stanowił łatwego celu dla leniwego lub nieostrożnego włamywacza.

Darwin nie widział nikogo w żadnym z pomieszczeń, nikt w każdym razie nie przemieszczał się, nie siedział na kanapie czy którymś z krzeseł, chociaż w jednym z pokoiów na parterze migotał ekran nowoczesnego sześćdziesięcioczerocalowego telewizora o wysokiej rozdzielczości. Autor artykułu w czasopiśmie bynajmniej nie przesadzał, zachwycając się wysokimi na dwanaście metrów szklanymi ścianami na piętrze, które sterczały niczym dziób statku nad wąwozem na zachód od Dara. Jak zawsze, gdy stawał wobec takich architektonicznych monstrualności, Minor pomyślał: „Kto, u diabła, zmienia żarówki na tak wysokim suficie? I kto myje te ogromne okna?”. Co jakiś czas ze spokojem łapał się na tym, że w głębi serca najważniejsza jest dla niego praktyczność.

Właśnie teraz ta cecha skłoniła go do znalezienia idealnej kryjówki, w której będzie mógł spędzić mniej więcej następną dobę. Gdy włoży maskujący strój snajperski, postara się nie ruszać w świetle dziennym, chyba że zajdzie jakaś nagła potrzeba. Jego plan zakładał pozostanie na brzuchu w jednym miejscu przez cały następny dzień, który spędzi na obserwacji. Musiał wszystko sprawdzić, gdyż wiedział z doświadczenia, że najtrudniej jest wytrzymać na mrowisku, kaktusach, kamieniach oraz w pobliżu wygrzewającego się grzechotnika.

Nałożył okulary noktowizyjne i poszukał sobie odpowiedniego miejsca nieco na północny wschód od domu Trace'a. Chodziło o punkt, z którego widziałby każde okno i każde pomieszczenie na tej ścianie. Szybko znalazł wystarczająco płaski

obszar u podstawy pasma, miejsce pomiędzy wysokimi pniami juk aloesowych i wielkim jak otomana gładem. Inna ogromna skała leżała z tyłu, więc doskonale osłoniłaby go przed spojrzeniem osób spacerujących po paśmie wzgórz. Wyższa trawa z przodu nie powinna mu przeszkodzić w obserwacji. A dzięki specjalnemu kostiumowi wtopi się w wysokie, lecz suche brązowe trawy rosnące na tym odcinku zbocza. Musiał jeszcze sprawdzić wszystkie detale w okularach noktowizyjnych. Podszedł do wybranego miejsca, kucnął tyłem do domu Trace'a i oświetlając sobie teren małą, wąską latarką, zbadął go centymetr po centymetrze. Poruszając kamyk niewiele większy niż własny paznokieć, Darwin przejrzał w myślach listę: czerwone mrówki – brak, kaktusy – brak, węże – brak, jamy świstaków – brak, psie gówna – brak, lisie nory – brak, tropy zwierzęce – brak; wybór stanowiska snajperskiego na szlaku zwierzyny nigdy nie był dobrym posunięciem. Na koniec ustalił, że nie ma wokół niego także ludzkich śladów: niedopałków papierosów, kubków z Dairy Queen, zużytych prezerwatyw...

Westchnął, wyjął strój maskujący i wciągnął go na siebie, starając się robić jak najmniejszy hałas; plecak przykrył dodatkową maskującą siatką, którą przyniósł właśnie w tym celu. Wreszcie położył się na brzuchu, wyczuwając gruby brezent łokciami, kolanami i brzuchem. Aparat z ogromnym czterystumilimetrowym obiektywem położył obok siebie, pod połę kostiumu, po czym użył redfielda jako teleskopu.

I tak zaczęła się długa noc.

Podczas szkolenia wraz z 7. Pułkiem Piechoty Morskiej, ponad dwadzieścia pięć lat wcześniej, Darwina Minora nauczono prowadzić snajperski dziennik. Teraz nie miał przy sobie ołówka i papieru, ale gdyby je miał, dziennik wyglądałby zapewne mniej więcej tak:

Data: 24.06 (sobota)

Godzina: 23:00

Miejsce: Wzgórze za domem (koordynaty: 767502)

23:10 Pierwsze ruchy w domu. Wychodzi służąca.

23:45 Żona Dallasa Trace'a (Destiny) wchodzi do głównego salonu w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Mężczyzna to mocno opalony blondyn, typ muskularnego ciężarowca. Nie pan Trace. Prawdopodobnie też ani Yaponchik, ani Zuker. Wygląda bardziej jak stereotypowy basenowy z Beverly Hills.

23:50 Pani Trace i ciężarowiec wchodzi do sypialni na piętrze. Kobieta włącza jedną lampę. Szybki akt seksualny.

25.06 – niedziela

00:05 Ciężarowiec wygląda na gotowego do drzemki. Pani Trace przeciwnie. Dochodzi między nimi do kolejnego stosunku.

00:30 Pani Trace budzi ciężarowca i przegania go z pokoju.

00:38 Dallas Trace wchodzi do głównego salonu na parterze minutę po wyjściu ciężarowca kuchennymi drzwiami. Prawnikowi towarzyszy czterech ochroniarzy. Kilka fotografii nikonem z czterystumilimetrowym obiektywem, na filmie do zdjęć w trybie UHS. Żaden z ochroniarzy nie może być ani Yaponchikiem ani Zukerem; wszyscy wyglądają na zbyt młodych i głupich.

00:45 Ochroniarze sprawdzają teren z basenem przed domem, patrząc przez lornetki noktowizyjne. Martwiłem się, że będą mieli celowniki termowizyjne, ale miałem nadzieję, że w takim wypadku pozostałe wokół gładów gorąco dnia zaburzy im obraz. Na szczęście użyli jedynie wzmacniaczy obrazu. Wszyscy noszą karabiny Mac-10.

00:50 DT idzie na piętro i zagląda do pani Trace. Żona śpi. Trace wraca na dół i naradza się z ochroniarzami.

01:15 DT dzwoni do kilku osób.

02:05 Ochroniarze wracają do domu. DT idzie do sypialni na piętrze.

02:10 W sypialni gasną światła. Ochroniarze pozostają w głównym salonie lub w pokoju bilardowym. Pracują w parach.

03:00 Skurcz w lewej nodze zaledwie po czterech godzinach inwigilacji. Jestem zbyt stary na tę głównianą akcję.

04:50 Przedświt. Sprawdzam kostium snajperski i przykrywam wszystko dodatkowym materiałem w kolorze maskującym.

05:21 Świt. Jestem zmarznięty po całej nocy. Ale powoli zaczyna mi się robić wręcz zbyt gorąco.

06:40 Nie ruszając się, oddaję mocz do małej szczeliny obok gładu. Naruszam zasady szkolenia, ale niech mnie szlag, jeśli zniszczę tak wcześnie nowy kombinezon. Jestem zadowolony, że całą sobotę pościłem i oczyszczałem organizm.

07:15 Zero ruchu w domu DT, oprócz zmiany warty. Używam polaryzatorów, aby nie przeszkadzało mi odbicie wschodzącego słońca. Częściowy sukces.

07:35 Jakaś kobieta biega ścieżką odległą ode mnie o dwadzieścia metrów. Słyszę muzykę z jej walkmana. Biegnie z nią doberman. To suka. Wącha mnie, po czym obsikuje. Biegaczka przywołuje psa.

09:30 Przez celownik Redfield zaglądam do kuchni. Widzę wyraźnie DT jedzącego obfite śniadanie, które przygotowała mu służąca. Pani Trace nadal śpi.

10:39 Pani DT przyłącza się do męża, który nadal jest w kuchni, gdzie rozmawia przez telefon.

11:15 DT ubiera się – dżinsy, kowbojki, niebieska koszula jedwabna w stylu Dzikiego Zachodu, kamizelka ze skóry bizona.

11:38 DT opuszcza dom. Trzech spośród czterech ochroniarzy wychodzi wraz z nim.

12:22 Dom opuszcza służąca. Czwarty ochroniarz wchodzi wraz z panią DT na piętro. Uprawiają seks.

12:50 Ochroniarz wraca do głównego salonu.

13:00 Powrót służącej.

14:30 Robi się coraz goręcej. Rozważnie używam wody, tym niemniej kończę drugą butelkę. Została mi jedna.

14:40 Grzechotnik wpełza na moją prawą nogę, po czym zsuwa się z niej na odległy ode mnie około metra głaz. Tam zastyga i grzeje się w słońcu.

16:30 Wąż opuszcza moje najbliższe otoczenie.

16:45 Zaczyna padać ulewny deszcz. Widoczność nadal zadowolająca.

16:55 Wraca ciężarówiec z ubiegłej nocy. Rzeczywiście jest basenowym. Stoi pod osłonką patio i czeka, aż przestanie padać.

17:10 Pani DT wychodzi z czwartym ochroniarzem. Basenowego woła do domu służąca. Uprawiają seks w pokoju telewizyjnym.

18:20 Deszcz ustaje, ale strumyczki wody spływają na mnie po głazach. Służąca i muskularny basenowy opuszczają dom. Nie widać żadnych ruchów.

21:20 Ostatnie promienie zachodzącego słońca przesłaniają chmury. Oczy bołą mnie od patrzenia przez celownik. Krople do oczu prawie mi się skończyły.

22:10 DT wraca z czterema ochroniarzami i pięcioma niezidentyfikowanymi mężczyznami. Nowi wyglądają na cudzoziemców. Trzech z nich czeka w salonie głównym z ochroniarzami, dwaj pozostali ruszają z DT na piętro do gabinetu.

22:45 Długa rozmowa. DT siedzi plecami do okna, tak samo jak w swoim biurze w Los Angeles. Obaj jego goście przez całą dyskusję stoją. Pstrykam trzy rolki wysokiej jakości czarnobiałego filmu, czterystumilimetrowy obiektyw stawiam dla stabilności na dwójnogu. Ci dwaj to zespół snajperski: Gregor Yaponchik i Pavel Zuker. Nawet podczas rozmowy Zuker stoi trzy kroki za Yaponchikiem, dokładnie tak jak obserwator, który kryje swego strzelca. Nie sposób dokładnie odczytać z ruchu warg, co mówią Rosjanie (choć jestem przekonany, że konwersacja toczy się po angielsku), wydaje mi się, że użyli kilka razy słów „Latynos” i „Meksykanin”. Zakładam, że dyskutują o moim wieczornym telefonie, zastanawiając się, czy był prawdziwy.

22:55 DT pokazuje obu Rosjanom fotografie mecenasa Esposito i moje. Moje

fotki ewidentnie zostały wykonane teleobiektywem. Na dwóch stoję przed domem w San Diego, na jednym przy wraku Gomeza. Ostatnie dwa zrobili mi przy domku. Cholera!

23:00 Spotkanie dobiega końca. Mam wyraźne fotografie Zukera i Yaponchika. Obserwator nie przypomina brodacza ze zdjęć FBI, jest wysoki, szczupły, starannie ogolony, ma króciutkie, czarne włosy i głęboko zapadnięte oczy. Podczas rozmowy pali papierosa. Widzę gniew na twarzy DT, gdy ten wstaje i szuka popielniczki. Yaponchik jest starszy od Zukera, może dwa, trzy lata starszy ode mnie. Przypomina mi jakiegoś szwedzkiego aktora, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć... Grał w filmach Bergmana... Krótkie blond włosy, pociągła, pokryta zmarszczkami twarz, wąskie wargi, które stale wyglądają na gotowe ułożyć się w ironiczny uśmiech, niebieskie oczy, wydatne kości policzkowe i podbródek. Bardzo duże ręce o długich palcach. Nosi bardzo drogi włoski garnitur. Nie wygląda na Rosjanina, raczej na Skandynawa.

23:20 Trzech mężczyzn wraca na dół i rozmawia z siódmką zebranych tam ochroniarzy. Jestem pewien, że trzej, którzy przyszli z Y i Z, to także cudzoziemcy, z Europy Wschodniej albo Rosjanie – sądząc po garniturach, nie potrafią się jeszcze dobrze ubierać – natomiast pierwsza czwórka to amerykańscy bandyci, również profesjonaliści, choć daleko im do poziomu rosyjskich zabójców.

23:30 Znów pada deszcz. Sfotografowałem wszystkich dziesięciu mężczyzn. Opieram się pragnieniu zatelefonowania z komórki do Dallasa Trace'a i spytania go o Yaponchika.

23:40 Pani Trace wraca do domu i idzie prosto do łóżka.

23:45 Yaponchik, Zuker i trzej Rosjanie wychodzą.

26.06 – poniedziałek

00:15 DT dzwoni w trzy miejsca ze swojego gabinetu.

00:42 DT kładzie się do łóżka. Pani DT śpi, Dallas próbuje ją zbudzić. Nie udaje mu się. Ogląda w sypialni telewizję.

01:50 DT wyłącza telewizor i gasi światło w sypialni. Ochroniarze pełnią wartę w parach.

02:00 Przypominam sobie nazwisko aktora – Max von Sydow. Yaponchik bardzo mi przypomina Maxa von Sydowa.

02:10 Dwaj ochroniarze śpiący w dodatkowej sypialni na parterze uprawiają seks. To homoseksualiści. Widząc, co się święci, przestają patrzeć.

02:35 Dzwonię do Lawrence'a i proszę, żeby po mnie przyjechał. Stewart jest niezadowolony.

05:30 Odjeżdżam tuż po świcie.

05:40 Lawrence pyta, czy mi kompletnie odbiło.

We wtorkowy ranek Dar przespał dwie godziny, po czym wywołał wszystkie filmy w małej ciemni obok łazienki. Niektóre zbliżenia mężczyzn były nieco ziarniste, lecz wystarczająco wyraźne. Następnie sprawdził w internetowej książce telefonicznej Los Angeles nazwiska i adresy ludzi, do których dzwonił podczas obserwacji Dallas Trace. Dar widział numery, które prawnik wystukiwał – wszystkie z wyjątkiem jednego, gdy Trace zasłonił telefon. Kilka było zastrzeżonych, Minor miał jednak swoje sposoby. Po sprawdzeniu zakreślił kilka miejsc w *Przewodniku hrabstwa Los Angeles* Thomasa.

Agent specjalny Warren zostawił mu na sekretarce dwie wiadomości, a kiedy Darwin do niego oddzwonił, człowiek z FBI poinformował go, że może mu udostępnić pliki, o które prosił. Minor spytał, czy może je otrzymać wczesnym popołudniem. Syd Olson też nagrała się kilka razy. Darwin zadzwonił do niej (była w Centrum Sprawiedliwości) i zapewnił, że spędził miło czas na kempingu. Umówił się, że wpadnie do niej do biura o jakiejś nieprawdopodobnie wczesnej godzinie następnego ranka.

Akta osobiście dostarczył mu jakiś młody agent z Federalnego Biura Śledczego. Kazał podpisać pięć formularzy, ale i tak wyglądał na zdenerwowanego, gdy odchodził. Darowi przemknęło przez głowę głupie pytanie, czy nie powinien dać młodzieńcowi napiwku.

Wziął po raz trzeci prysznic, nałożył drelichowe spodnie i niebieską koszulę z niemnanej bawełny, po czym usiłował się dobudzić, przeglądając papiery przed jazdą do Camp Pendleton. Danych na temat Yaponchika było znacznie więcej niż akt Zukera, zresztą i tak większość z nich stanowiła oficjalne informacje otrzymane dzięki przejrzeniu tajnych źródeł armii radzieckiej. Materiały związane z KGB były w dużej mierze zastrzeżone, ale nawet z dostępnych detali można było złożyć historię obu mężczyzn: w Afganistanie aktywni sowieccy snajperzy wojskowi, w ostatnich latach reżimu paramilitarni członkowie KGB, w połowie lat dziewięćdziesiątych związani z mafią rosyjską. Żadnych aktualnych informacji. Darwin znalazł niewyraźne zdjęcie Zukera (był przekonany, że sfotografowano niewłaściwego mężczyznę) oraz jedno podpisane: „Yaponchik i Zuker z plutonem strzeleckim”, które najprawdopodobniej wykonano w Afganistanie aparatem Kodak Instamatic z teleobiektywem – na oko z odległości półtora kilometra. Mimo powiększenia fotka była ziarnista i nie dało się na niej dostrzec rysów twarzy żadnego z mężczyzn.

W tym momencie Minor się uśmiechnął. Poprzednia kartka dobrze posłuży jego celom. Zdał sobie sprawę, że teraz musi popędzić do Camp Pendleton, ponieważ jeszcze chwila i spóźni się na spotkanie.

Istniała szansa, że zobaczy jednostki marines z autostrady I-5 za Oceanside. Tak pomyślał i nie pomylił się. Na wschód od międzystanowej, tuż za ogrodzeniem oddzielającym teren obozu jechały lekkie czołgi piechoty morskiej oraz pojazdy opancerzone Bradley, a za nimi ciągnęły się samochody terenowe wyposażone w ustawione na stojakach karabiny maszynowe kaliber 60 milimetrów. Wznosiły kurz, wjeżdżając w koleiny i kierując się ku pustym wzgórzom. Na oceanie, dwa, trzy kilometry od brzegu cumował okręt desantowy, a ku plaży szybko zmierzał poduszkowiec z komandosami, który następnie skierował się w stronę wydm i rosnących za nimi niskich lasów.

Za północnym krańcem ogromnej bazy między Oceanside i San Clemente nie było żadnych zjazdów z międzystanowej, Dar wszakże znał doskonale te tereny, toteż z łatwością znalazł jeden z południowych wjazdów przy Hill Street. Zanim dotarł do budynku administracyjnego, zatrzymywano go trzykrotnie: dwa razy przy bramach z podnoszonymi barierkami, gdzie żołnierze potwierdzali jego spotkanie z kapitanem Butlerem, raz zaś musiał poczekać dobrą minutę, w trakcie której funkcjonariusz kierujący ruchem przepuścił przed nim trzy kierujące się ku wydom czołgi, jadące z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

Minora sprawdzano także kilkakrotnie w budynku administracji, gdy szedł w stronę biur oficerskich, miał już jednak przypiętą plakietkę gościa i do znajomego pokoju dotarł bez przeszkód..

Kapitan Butler nie kazał Darowi czekać; sekretarka natychmiast pozwoliła mu wejść. Butler – wysoki, szczupły Murzyn w doskonale wykrochmalonym pustynnym mundurze khaki – zerwał się na jego widok zza biurka i serdecznie go uściskał. Taki wyraz emocji był dość niezwykły jak na oficera marines.

– Diabelnie dobrze cię widzieć, Darwinie – zagaił kapitan z szerokim uśmiechem.
– Przegapiliśmy parę naszych comiesięcznych, wieczornych wypadów do miasta.

– Tak, zbyt wiele – zgodził się Minor. – I ja się cieszę, że cię widzę, Ned.

Kapitan zawsze miał u siebie w biurze miseczkę świeżo zerwanych cytryn i dzbanek z mrożoną herbatą, którą pił bez umiaru. Dziś też Darwin musiał wraz z Butlerem przejść przez swoisty kilkuminutowy rytuał: stukanie lodu w szklaneczkach, nalewanie herbaty, krojenie cytryny i toast.

– Za przyjaciół, którzy odeszli – powiedział Ned.

Obaj wypili, po czym zajęli miejsca. Dar usiadł na zniszczonej kanapie, kapitan w jeszcze bardziej zniszczonym skórzanym fotelu. Z twarzy Butlera wciąż nie znikął szeroki uśmiech.

Po powrocie z Dalat Darwin odwiedził wdowę swojego obserwatora, która wraz

z dwuletnim synkiem mieszkała w Greenville, w stanie Alabama. Spotkał wcześniej Edwinę, w trakcie długiego szkolenia, kiedy Ned senior i on walczyli z sobą o każdy celny punkt na strzelnicy i w terenie. Wówczas Dar stanął w drzwiach i oświadczył, że oboje mogą się do niego zwracać zawsze, ilekroć będą czegoś potrzebować.

Początkowo Edwina sądziła, że przyjaciel męża powiedział to ze zwyczajnej uprzejmości, kiedy jednak powiadomiła go telefonicznie, że przeprowadza się wraz z dzieckiem do Kalifornii, ponieważ pragnie być bliżej rodziny, właśnie Darwin zapłacił za bilety lotnicze i furgonetkę do przewozu mebli, zamiast pozwolić im obojgu podróżować autobusem. A gdy Ned junior zaczął wcześniej wykazywać talent matematyczny, również Dar załatwił mu po cichu miejsce w prywatnej szkole w Bakersfield, gdzie mieszkali Butlerowie. Po śmierci Barbary i dziecka Minor także przeprowadził się do Kalifornii, a wtedy właśnie Edwina i nastoletni Ned spędzali z nim całe godziny przez kilka tygodni, zanim się otrząsnął z tragedii i mógł podjąć normalne życie. Darwin pragnął i mógł pomagać Nedowi, który zdobył doskonałe oceny na egzaminie SAT [Scholastic Achievement Test – egzamin, którego wyniki decydują o przyjęciu na studia w USA.] i dzięki temu mógł wybrać dowolną uczelnię w kraju. Dar myślał o Princeton, ale Ned wybrał marines.

Podczas wojny w Zatoce Perskiej młodzieniec zdobył trzy odznaczenia. Wylądował wraz z plutonem rozpoznawczym, podczas gdy Irakijczycy czekali na brzegu, spodziewając się potężnej inwazji piechoty morskiej. Generał Schwarzkopf użył wcześniej w szturmie wodno-łądowym tysięcy marines, którzy mieli przyciągnąć uwagę irackich oddziałów, a tymczasem setki tysięcy żołnierzy i czołgów koalicji wykonało zdumiewające, ponad trzystukilometrowe przesunięcie, po czym niewidoczni przez wroga rozpoczęli ofensywę, która rozbiła tyły armii irackiej. W trakcie tej wojny, w roku 1991, Ned junior skończył dziewiętnaście lat i był dokładnie w tym samym wieku, w jakim był jego ojciec podczas akcji w Dalat.

Od tamtego czasu aż do zdobytego przed pięcioma laty dzisiejszego stanowiska w Camp Pendleton młody oficer starał się spotykać z Darwinem na obiad z drinkiem przynajmniej raz w miesiącu. Niestety w ostatnich miesiącach zazwyczaj nie mogli uzgodnić terminu.

Przez kilka minut gawędzili o rodzinie i wspólnych przyjaciółach. W końcu Ned odstawił szklankę z mrożoną herbatą i spytał:

– Czemu więc zawdzięczam twoją wizytę?

Dar krótko i zwięźle powiedział mu o Przymierzu, Dallasie Trace i rosyjskich snajperach, choć – co go samego zdziwiło – nie potrafił wyciągnąć wniosków. Chociaż młody kapitan nie miał w marines takiej specjalności jak ojciec, wysłuchał całej historii z typową dla wyborowych strzelców cierpliwością.

– Wyświadczać mi przysługę, o którą zamierzam cię poprosić, możesz narazić

całą swoją karierę, Ned – powiedział Darwin. – Jeśli odmówisz, zrozumieć... mało tego, prawie liczę się z tym, że mi odmówisz. Nie chodzi o niezwykłą prośbę, lecz o coś nielegalnego.

Kapitan bardzo lekko się uśmiechnął.

– Przyjmuję twoją uwagę, kapralu – odparł. – Ja i trzech moich dobrych przyjaciół, spotkałeś ich wszystkich, mamy trochę wolnego czasu. Powiedz mi tylko, kogo mamy zabić i jak bardzo ma cierpieć.

Minor roześmiał się uprzejmie, po czym zrozumiał, że Ned nie żartuje.

– Nie, nie – powiedział pospiesznie. – Miałem nadzieję, że będę mógł nieoficjalnie pożyczyć nieco sprzętu. Zwrócę go, zanim ktokolwiek zauważy jego brak.

Kapitan pokiwał powoli głową.

– Nie mamy tu żadnego dodatkowego abramska M1A1 ani innego podobnego czołgu – odrzekł – ale może ci wystarczy pojazd opancerzony Bradley?

To powiedziawszy, Ned uśmiechnął się, bardziej jak drapieżca niż żartobliwie. Darwin westchnął.

– Myślałem tylko o karabinie.

Kapitan znów pokiwał głową.

– Wydaje mi się, że wbrew przepisom przywiozłeś sobie z wojny wietnamskiej karabin, który uznałeś za prezent od 7. Pułku Piechoty Morskiej.

– Remingtona 700 – przyznał Dar. – Tak. Nadal go mam.

– I ciągle można z niego strzelać? – spytał Ned.

– Od kilku miesięcy nie próbowałem, lecz wtedy udawało mi się trafić pięcioma pociskami w kwadrat o boku sześciu centymetrów z odległości pięciuset pięćdziesięciu metrów.

Kapitan zmarszczył brwi.

– Pięciuset pięćdziesięciu? Dlaczego nie z kilometra?

– Jestem już stary – wyjaśnił Darwin. – Niedowidzę. Zakładam okulary, gdy czytam przez dłuższy czas.

– Pieprzenie – powiedział wesoło Ned, po czym dodał: – Proszę pana. – Nieobecny ruchem wygładził idealnie wyprasowane spodnie munduru polowego. – No dobrze. Kiedy tamten snajper próbował zastrzelić cię w twoim domu... jakiej broni użył?

Minor opisał karabin Tikka 595 Sporter. Kapitan nieznacznie wzruszył ramionami.

– Niezbyt droga, ale dość dobra broń. Tego typu krajowe karabiny o dużym zasięgu i sporej celności zaczynają się już od dwóch tysięcy dolarów, a europejska broń snajperska nie bywa tańsza niż osiem tysięcy. Zdaje mi się, że tikkę można kupić

już za tysiąc dolarów. Na miejscu zabójcy nie wybrałbym jej jednak.

Dar skinął głową. Zgadzał się z Nedom.

– Wysłali do mnie tylko obserwatora. Podejrzewam, że od razu postanowili poświęcić tę broń. W razie kłopotów strzelec miał ją bez żalu porzucić.

Kapitan ponownie się uśmiechnął.

– Obserwatora, co? Nie mają o tobie najwyższego mniemania, nieprawdaż?

– Istnieją świetni obserwatorzy – odparł cicho Darwin. – Znałem kiedyś takiego, który był lepszym strzelcem i odważniejszym mężczyzną niż większość dobrych snajperów, jakich kiedykolwiek spotkałem.

Młody oficer patrzył na niego przez dobre parę minut. Potem ruszył do drzwi, pokazując Darwinowi, aby poszedł za nim.

Magazyn był ogromny. Gdzieś dalej, w ciemnym kącie brzęczał podnośnik widłowy, poza tym byli tu chyba sami. Ned otworzył jedną ze skrzyń.

– Jeśli szukasz nowszego modelu twojego starego M40, Darwinie, ta zabawka powinna ci się spodobać.

Minor sięgnął do wnętrza i trafił na karabin owinięty w cienką gąbkę.

– H-S Precision, czyli w skrócie HSP762/300 – wyjaśnił kapitan. – Można z niego strzelać nabojami o obu wymienionych przeze mnie kalibrach, czyli regularnymi nabojami 7,62 milimetra typu NATO lub kulami 300 Winchester Magnum. Kolbę wykonano oczywiście z grafitu i włókna szklanego, toteż marines nie grożą już odłamki w policzkach, w wyposażeniu jest dwójnóg i regulowanej długości kolba z wysokiej jakości polimeru, podobnie jak w unowocześnionym M24. Zobacz tutaj. Widzisz, jak idealnie można go wyregulować? Możesz go też zapakować w lekki futerał przenośny wielkości 58 x 43 centymetry i zasadniczo masz do dyspozycji dwa... różne rodzaje broni.

– Bardzo przyjemny – przyznał Dar. – Myślałem jednak o starym Remingtonie 700 z celownikiem Redfield.

Ned lekko zmarszczył brwi.

– A może wejdiesz do sklepu sportowego, Darwinie, gdzie kupisz sobie łuk i strzały?

To zdanie rozbawiło Minora, uśmiechnął się.

– Niezły pomysł. Strzały są cichsze i tańsze niż tłumiki. Żadna broń nigdy tak naprawdę nie staje się przestarzała.

Kapitan pokiwał głową.

– Rzeczywiście – zgodził się – jeśli tylko wciąż można z niej kogoś zabić. Chcesz

jakiś nóż?

– Tak, marki KA-BAR – odparł Dar.

Ned opuścił wieko skrzyni i zamknął ją na kłódkę.

– Okej, na co dzień używasz zabytkowego M40. Aż do momentu, gdy zawodzi cię wzrok... Mówiłeś, że przy jakiej odległości to się dzieje?

– Nie mówiłem – odrzekł Minor – chociaż chodzi mniej więcej o dziesięć metrów.

– Kup strzelbę – doradził mu kapitan. – Albo, jeszcze lepiej, dużego, złego psa.

– Przyjaciółka dała mi ładny sztucer. Remingtona – wyjaśnił Dar. – No cóż, pożyczyla mi...

Ned gwałtownie uniósł brwi – nie na wzmiankę o sztucerze, lecz słysząc słowo „przyjaciółka”. Darwin nigdy nie rozmawiał z nim o kobietach.

– No dobrze – powiedział cicho kapitan. – Jaki konkretnie egzemplarz cię zainteresował? Może myślałeś o karabinie półcalowym?

– Słyszałem dobre opinie o karabinie McMillan M87R – wyznał Minor.

– Strzelałem z niego – oznajmił Ned z całą powagą. – Bardzo celna broń. Waży prawie jedenaście i pół kilo, należy więc do najlżejszych o kalibrze .50. Ma potężny odrzut, że słoń by odleciał, na szczęście złagodzony przez specjalny tłumik i szereg ochraniaczy. Typu ze składaną kolbą używają nawet „Foki” marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Niemniej jednak to standardowy karabin samopowtarzalny z magazynkiem na pięć nabojów. Przewidujesz potrzebę ognia maszynowego i twój remington wydaje ci się zbyt powolny?

Dar zawahał się. Snajperzy byli tak szkoleni, że każda kula powinna w ich opinii zabijać. Z tego też względu najnowocześniejsze snajperskie karabiny z kompozytu kevlaru i włókna szklanego w dużej mierze wróciły do typu jednostrzałowego, samopowtarzalnego, znanego snajperom od czasu okopów podczas I wojny światowej. Minor posiadał lekkokalibrowego remingtona do strzałów długodystansowych... Jaką broń wybrałyby w razie potrzeby ognia maszynowego? Podczas czterdziestu ośmiu godzin w Dalat ojciec Neda uratował mu kilka razy życie, strzelając seriami z wyborowego M-14.

Ned otoczył Minora ramieniem i poprowadził w głąb magazynu, między skrzynie.

– Chciałbyś zobaczyć broń, której mój zespół ogniowy używał podczas wojny w Zatoce? Bardzo poręczna rzecz.

– Jasne.

Kapitan otworzył długie pudło.

– Nazwaliśmy go „lekka pięćdziesiątka”. Tam na pustyni. Oficjalnie to karabin snajperski Barrett Model 82A1. Browning kaliber .50, 12,7 x 99 milimetrów. Ma nieduży odrzut. Lufa odskakuje najwyżej na pięć centymetrów przy każdym strzale,

broń ma też wielki tłumik. Waży trzynaście i pół kilo bez celownika, czyli powiększającego dziesięciokrotnie Leopolda and Stevensa M3a Ultra i... teraz słuchaj, Dar, bo to ważne... ma wyjmowany magazynek na jedenaście naboju. To jedyny półautomat snajperski kaliber .50 na rynku.

– Ile będzie mnie kosztował? – spytał Darwin. – Oprócz zezwolenia, podatków i innych drobnych nieprzyjemności.

Ned wpatrywał się w niego bardzo długo i bardzo poważnie, niemal wzrokiem zatroskanego ojca.

– Przyniesz go z powrotem – powiedział w końcu. – I sam wróc cały i zdrow. Jeśli broń będzie w jednym kawałku, wszystko załatwię. Dorzucę nawet nowoczesną kamizelkę kuloodporną, trzy tysiące normalnych naboju i pięćset przeciwpancernych.

– O kurcze – mruknął Minor. – Trzy tysiące naboju... I przeciwpancerne? Chryste, Ned, nie wybieram się na wojnę.

– Na pewno? – spytał kapitan, po czym zatrzasnął długie pudło, zamknął je, podniósł i wręczył Darwinowi wraz z kluczykiem.

Minor przemieszczał się powoli w potężnym korku na I-5. Wracał do miasta, zastanawiając się, czy gdzieś po drodze zatrzymać się na hamburgera, czy też lepiej skierować się wprost do domu na krótką drzemkę. Nagle zadzwonił do niego Lawrence.

– Znaleźli Pauliego Satchela, Dar.

– To dobrze – odparł Minor. – A kim są ci oni?

– Niestety ostatecznie policjanci – odrzekł Stewart – choć najpierw ludzie z Hampton Quality Preprocessing.

– A co to, do diabła, za ludzie? – spytał Dar. – I czy to może poczekać?

Czuł się jak złodziej, wioząc „lekką pięćdziesiątkę” i pudełko amunicji pod brezentem na tyłach land cruisera. Spociał się pod niemnącą koszulą z niebieskiej bawełny podczas rutynowej kontroli wszystkich osób opuszczających Camp Pendleton i wciąż mu się wydawało, że lada chwila zatrzymają go wartownicy.

– Nie, naprawdę nie może poczekać – odrzekł Lawrence. – Możemy się spotkać na miejscu?

Podał adres w przemysłowej dzielnicy na południe od centrum.

– Przy takim ruchu dojadę tam najprędzej za trzydzieści minut – powiedział Darwin. – Jeśli naprawdę muszę.

Dzielnica była paskudna, więc bał się, że ktoś ukradnie mu jego toyotę land

cruiser i jeden z tamtejszych gangów – Bloods albo Crips – nagle zdobędzie półautomatyczny karabin maszynowy kaliber .50.

– Musisz – zapewnił go Stewart. – A jeśli dotąd nie jadłeś, nie jedz.

,

Rozdział dziewiętnasty

S JAK SACHELBURGER

Minęły już trzy godziny od zdarzenia, a strażacy jeszcze nie zdołali wyswobodzić ciała Pauliego Satchela. Darwinowi wystarczyło raz rzucić na nie okiem i natychmiast pojął powody tej zwłoki.

Nigdy wcześniej nie zastanawiał się za bardzo, jak powstają hamburgery, wiedział tylko, że restauracje często otrzymują je zamrożone i wstępnie ukształtowane. Skądś. Teraz wiedział skąd. Z Hampton Quality Preprocessing: wielkiej, czystej, nowiutkiej fabryki, która mieściła się w zatłoczonej, brudnej i starej dzielnicy przemysłowej.

Ktoś zażądał od niego dokumentów, więc je okazał. Lawrence trafił na miejsce wcześniej i teraz oprowadzał Minor a po fabryce.

– Tutaj wyładowuje się wołowinę, w tamtym pokoju jest krojona i dzielona na porcje, w tym pomieszczeniu mieli się mięso, tam masz półtorametrowy przenośnik taśmowy z nierdzewnej stali, tędy surowe hamburgery przejeżdżają do tłoczarni.

Właśnie w tłoczarni znajdowało się ciało Pauliego Satchela – jedyne prawdopodobnego świadka ostatnich chwil mecenasa Jorge Murphy’ego Esposito; tkwiło w maszynie.

Oprócz lekarza sądowego, który kończył jakąś papierkową robotę w jednym kącie, na miejscu znajdowali się dwaj detektywi policyjni w cywilu (jednego z nich, Erica van Ordena, Dar znał) oraz pięciu innych mężczyzn w białych kitlach na eleganckich garniturach, z chirurgicznymi maskami na twarzach. Trzech z nich Stewart przedstawił jako kierowników Hampton Preprocessing International – firmy z siedzibą w Chicago. Pozostali dwaj byli inspektorami ubezpieczeniowymi przedsiębiorstwa.

– Nic takiego nigdy nie zdarzyło się w żadnej z naszych fabryk. Nigdzie i nigdy – zapewniał jeden z nich. – Nigdy!

Minor skinął głową, po czym wraz z Lawrence’em i detektywem van Ordenem podeszli bliżej ciała. Miejsce wypadku wyglądało naprawdę paskudnie. Nie dość, że ciało Pauliego Satchela wciśnięto głową do dołu w siedmioipółcentymetrowy otwór tłoczni do hamburgerów, to ze wszystkich stron otaczała je jeszcze prawdziwa rzeka surowego, mielonego mięsa, nie pierwszej już świeżości.

– Pracował tutaj przez ostatnie trzy miesiące pod nazwiskiem Paul Drake – wyjaśnił van Orden.

– Czyli główny funkcjonariusz śledczy Perry’ego Masona ze starych filmów – powiedział Dar.

– Tak – zgodził się detektyw. – Satchel był małym oszustem, który żył przede

wszystkim z wymuszanych odszkodowań. Zanim jednak dostał kolejny czek, pracował fizycznie w podobnych miejscach. Wiemy, że używał takich nazwisk, jak Joe Cartwright, Richard Kimble, Matt Dillon, Rob Petry i Tel Palladin.

– Tel Palladin? – spytał Lawrence.

Detektyw van Orden lekko się uśmiechnął.

– Tak, pamiętacie Richarda Boone’a w starym serialu *Palladin’?* Rewolwerowiec. Cały ubrany na czarno.

– Pewnie, że pamiętam – przypomniał sobie Stewart. – „Palladinie, Palladinie, dokąd wędrujesz...” – zaśpiewał.

– No więc – ciągnął van Orden – na wizytówce, którą rewolwerowiec miał zwyczaj wręczać, widniał napis: „Tel. Palladin, San Francisco”. A Paulie nigdy nie miał zadatków na intelektualistę. Najprawdopodobniej sądził, że skrót „Tel.” był imieniem Palladina.

Lawrence popatrzył z wyrzutem na pozbawione głowy i ramion ciało.

– Wszyscy wiedzieli, że Palladin nie miał imienia – mruknął w stronę trupa.

Jeden z inspektorów ubezpieczeniowych firmy podszedł i zaczął mówić zza maseczki chirurgicznej:

– Znam pana, doktorze Minor... wiele słyszałem o pańskiej pracy. Nie mam pojęcia, kto pana tu wezwał, ale muszę panu powiedzieć, że chociaż ta fabryka była wysoce zautomatyzowana i pan Drake powinien być jedyną osobą w pomieszczeniu w momencie wypadku, mamy tutaj przynajmniej osiem mechanicznych zabezpieczeń, chroniących pracownika przed tego typu zdarzeniem podczas czyszczenia przez niego wejściowego otworu pojemnika tłoczni.

– Paulie czyścił pojemnik tłoczni? – upewnił się Dar.

– Miał to w planie na wczesne popołudnie i właśnie wtedy doszło do wypadku – przyznał van Orden.

– Osiem różnych zabezpieczeń – powtórzył człowiek z firmy ubezpieczeniowej. – Cała linia produkcyjna była tak zaprogramowana, że natychmiast po podniesieniu tej kraty T-11 wyłączała się automatycznie.

Darwin pokiwał głową i spytał:

– A pozostałe siedem... zabezpieczeń?

– Nie istniał sposób, żeby pan Drake bez zamknięcia urządzeń zabezpieczających mógł zatrzymać taśmę, podnieść ten zawór, otworzyć ściskacze i wyczyścić pojemnik tłoczni – odparł jeden z przedstawicieli kierownictwa, który dołączył do inspektora. – Możecie sobie wyobrazić nasz szok, kiedy odkryliśmy, że wszystkie te wbudowane w aparaturę zabezpieczenia zostały albo ominięte, albo zlikwidowane.

Detektyw westchnął i wskazał na maszynę i plątaninę kabli wewnątrz otwartego panelu kontrolnego tłoczni.

– Nie jest nowa – zauważył. – Paulie był zbyt głupi, aby ominąć te zabezpieczenia, a z drugiej strony morderca na pewno nie spędził tu kilku godzin, majstrując przy kablach...

Na słowo „morderca” obaj – przedstawiciel kierownictwa firmy i inspektor ubezpieczeniowy – zrobili przerażone miny i dosłownie cofnęli się o krok. Najwyraźniej policjant po raz pierwszy zasugerował możliwość zabójstwa.

Lawrence wskazał na przewody elektryczne.

– Tak było latami – stwierdził. – Systemy zabezpieczające zapewne za bardzo spowalniały proces, więc mechanicy omijali je, a operator maszyny, czyli w tym przypadku Paulie, wyłączał po prostu zasilanie. – Stewart wskazał na wielki czerwony przycisk na drugim końcu taśmy. – I wtedy mógł wyczyścić otwór tłoczni pięć razy szybciej, dzięki czemu prawie natychmiast podejmowano produkcję.

– Czy ktoś może włączyć taśmę i tłocznię z zewnątrz? – spytał Dar. – Spoza tego pokoju?

Pięciu przedstawicieli firmy równocześnie potrzęsnęło przecząco głowami tak mocno, że drobinki potu z ich czoł rozprysły się w powietrzu.

– I Paulie pracował tu sam? – upewnił się Darwin.

– Tak, dzisiaj tak – przyznał van Orden. – Podbił kartę o pierwszej w nocy. Jak zwykle. Jego zmiana miała trwać do dziewiątej rano.

– Rozmawialiście z innymi pracownikami? – spytał Dar.

Detektyw pokiwał głową.

– Linia produkcyjna została zamknięta o zwykłej porze, czyli kiedy Paulie zaczął czyścić tłocznię. W całym budynku jest tylko pięciu innych pracowników... to naprawdę wysoce zautomatyzowana fabryka. Czterech z tych pięciu było akurat na zewnątrz, zrobili sobie przerwę na papierosa, gdy... doszło do... zdarzenia.

– A piąty człowiek? – spytał Minor.

– Pracował w pokoju na tyłach i ma doskonałe alibi – wtrącił Lawrence.

– Żaden z facetów zapewne nie widział, żeby ktoś wchodził do budynku – dodał Dar.

– Oczywiście, że nie – odparł van Orden. – Wtedy śledztwo byłoby niemal rozwiązane, prawda? Tyle że tutaj są jeszcze trzy inne wejścia, przez które mógłby się wślizgnąć z ulicy albo alejki jakiś intruz. Nikt by go nie zauważył. W dodatku wszystkie te drzwi są otwarte.

Darwin odwrócił się i popatrzył na rzekę surowej wołowiny i duży czerwony guzik na przedzie taśmy.

– Zabójca musiał tylko wcisnąć ten guzik, zgadza się?

Stewart złożył ręce.

– Ale zauważ, że przycisk znajduje się przy drzwiach. Nawet gdyby Paulie czyścił

maszynę ze spuszczoną głową usłyszały i zobaczyły wchodzącą do pomieszczenia osobę. A jednak nie ruszył się od tłoczni.

– Albo ktoś zmusił go do pozostania tam – podsumował van Orden – albo...

– Lub też znał tę osobę i ufał jej – dodał Dar.

Lawrence wskazał na otwór, z którego wciąż sterczało ciało Pauliego. Od stalowego toru do żłobkowanego otworu tłoczni było zaledwie siedem i pół centymetra. Ramiona Pauliego z wyraźną siłą wciśnięto w ten mały obszar. Mężczyzna otoczony stosami mielonej wołowiny wyglądał jak bohater jakiejś okropnej kreskówki.

– Umierał długo i powoli, zgodzisz się, Dar? – powiedział Stewart. – Ten, kto włączył taśmę, wykorzystał moment, gdy Paulie grzebał w otworze tłoczni. Ale zobacz te metalowe płetwy... coś w rodzaju płetw... wpychają surową wołowinę do otworu.

– Więc ciała Pauliego nie wtłoczono od razu w całości? – spytał Minor, po raz pierwszy w pełni rozumiejąc wszystkie aspekty tej straszliwej śmierci.

– Twórcy tej maszyny szacują, że wciągało go około dziesięciu minut, podczas których trzymały go nieruchomo te dwa duże hydrauliczne ściskacze – powiedział detektyw van Orden. – Maszyna najpierw wciągnęła mu palce, potem oba przedramiona, ramiona...

– A mielone mięso oblepiało ciało ze wszystkich stron – dorzucił Lawrence.

Nie po raz pierwszy Darwin ucieszył się, że nie posiada zbyt wielkiej wyobraźni.

– Musiał przeraźliwie wrzeszczeć. Aż ochrypl – zauważył.

Detektyw kiwnął głową.

– Tyle że w innych częściach fabryki również pracowały maszyny, których odgłosy zapewne zagłuszyły jego krzyk. Słyszałem, że najgłośniej hałasuje maszyna w hali, gdzie wytapia się tłuszcz, i w rozdzielni. Zresztą czterech spośród pięciu facetów wyszło akurat na papierosa, a piąty przebywał daleko na tyłach, w pakowni. Rozmawialiśmy z kierowcą ciężarówki, który był tam wraz z nim. Żaden z nich nic nie słyszał z powodu włączonego w ciężarówce silnika i innych hałasów.

– A potem, w końcu, maszyna wciągnęła głowę Pauliego – dodał Stewart – więc ostatnie kilka minut nieszczęśnik dokonywał żywota w milczeniu.

Pięciu przedstawicieli przedsiębiorstwa wzdrygnęło się gwałtownie. Minor poczuł dla nich współczucie i nawet miał im ochotę powiedzieć, że Paulie Satchel nie miał rodziny, więc nikt ich nie zaskarży. Ten człowiek był małym, samotnym oszustem. A teraz... prawie hamburgerem.

Muchy brzęczały coraz głośniejsze.

– Wyjdźmy tymi drzwiami na alejkę – zasugerował van Orden. – Trzeba

zaczepnąć świeżego powietrza.

– Jest ktoś, kto nie wierzy, że to było zabójstwo? – spytał Dar, gdy stali we trzech w alejce, oddychając głęboko.

Detektyw van Orden szczerze się roześmiał.

– Nie... Wiem o twoim śledztwie w sprawie związanej z podnośnikiem nożycowym i o innych, tu jednak nie może być cienia wątpliwości, że dochodzenie przejmie wydział zabójstw.

– Dlaczego wszystkim tym ludziom z firmy pozwoliliście kręcić się po miejscu zbrodni? – zapytał Minor detektywa. – To znaczy... rozumiem, że trzeba było wpuścić paru inspektorów ubezpieczeniowych, ale...

Van Orden popatrzył na Lawrence'a.

– Nie powiedziałaś mu o problemie prawnym?

Stewart potrząsnął głową.

– Paulie nie ma ani przyjaciół, ani rodziny – zdziwił się Dar. – Wątpię, żeby ktoś zaskarżył przedsiębiorstwo.

Tym razem detektyw potrząsnął głową przybierając jednocześnie ironiczny policyjny uśmiezek.

– Nie, nie, mówimy tutaj raczej o powództwie grupowym, Darwinie. – Minor nie rozumiał. – Widzisz, taśma z hamburgerami biegnie do pakowni na tyłach. Ostatni facet układa kotlety na tacach wyłożonych woskowanym papierem, potem wsuwa tace na półki...

– O cholera – przerwał mu Dar, domyślając się, co zaraz powie van Orden.

– ...które potem wkłada się do ciężarówek chłodni. Ciężarówki odjeżdżają co dwie godziny, dzięki temu dostarczają zawsze świeże kotlety...

– Rozmawialiście przecież z kierowcą – stwierdził Minor. – To znaczy, że ciężarówka znajdowała się wtedy na miejscu. Hamburgery załadowano już po wypadku... Jezu, naprawdę z nimi odjechał?

– Dwadzieścia tac po czterysta kotletów każda – odparł detektyw. – Razem osiem tysięcy hamburgerów.

– Które dostarczono do wszystkich restauracji Burger Biggy w centrum miasta – zakończył ponuro Lawrence. A firma Burger Biggy była klientem Stewart Investigations. Zwykle żądania przeciwko tego typu sieciom nie były poważniejsze niż roszczenia związane z wypadkami na budowie, z jednym nieprzyjemnym wyjątkiem: pewna kobieta wniosła o pół miliona dolarów, ponieważ została zgwałcona w samochodzie, gdy czekała na swoje zamówienie.

- W ilu kotletach mogło się znaleźć... ciało? – zaczął Dar.
- Lawrence i detektyw równocześnie wzruszyli ramionami.
- Właśnie to usiłują ustalić przedstawiciele firmy – odparł detektyw van Orden.
- Przypuszczam, że starali się odwołać transport – zauważył Darwin.
- Jeszcze nie wiemy, czy zdążyli – odrzekł Stewart.

W ten wtorkowy wieczór Minor darował sobie kolację i wcześniej położył się do łóżka. Następnego ranka znalazł się w Centrum Sprawiedliwości już o wpół do ósmej. Syd pracowała w biurze w suterenie i była zajęta. Dara fakt ten wcale nie zaskoczył.

- Jak się udała wyprawa na kemping? Żałuję, że nie mogłam z tobą pojechać.

Dar poczuł lekką falę przyjemnego pożądania, która często go ogarniała, gdy myślał o przyjaciółce lub na nią patrzył. Później przypomniał sobie swobodę i niemal dotykalaną zażyłość łączącą Sydney i Toma Santanę, toteż szybko powściągnął swoją głupią, młodocianą wyobraźnię.

- Nie spodobałoby ci się – odparł. – Padało. – Rzucił jej na biurko trzy teczki z aktami FBI i CIA, a potem dodał: – Skończyłem je czytać i zastanawiam się, czy mogłabyś je oddać przy najbliższej okazji agentowi specjalnemu Warrenowi.

Śledcza Olson wzruszyła ramionami.

- Jasne. Przepraszam, że nie ma w tych raportach więcej danych na temat Yaponchika i Zukera.

- Ich fotografie bardzo mi pomogły – wtrącił Darwin.

Syd zaśmiała się.

- Fotografie? Mówisz o tym kompletnie bezużytecznym polaroidzie z Afganistanu? Niewiele na nim zobaczyłam.

- Nie, nie – powiedział Minor, biorąc jedną z teczek CIA. – Mówię o tych fotografiach. – Otworzył teczkę na zdjęciach, które sam wykonał i sam tam włożył.

Sydney popatrzyła zdumiona na zbliżenia.

- Cholera jasna. Za diabła ich nie pamiętam! – Zastanowiła się, a następnie zerknęła na Dara z ukosa. – Poczekaj minutę.

Darwin nie grał w pokera od czasów marines, pokazał więc kobiecie swoją najlepszą szachową twarz.

- Zdajesz sobie sprawę, drogi doktorze Minor, że wszelkie fotografie wykonane podczas nielegalnej inwigilacji i umieszczone w teczce z dowodami mogą stanowić wystarczający pretekst dla wniosku obrony o oddalenie oskarżenia, że nawet nie wspomnę o ewentualnym wyroku. – Zdanie jej nie zabrzmiało jak pytanie.

Darwin spojrział na nią zaintrygowany.

– Co masz na myśli? Sądzisz, że CIA wykonała te zdjęcia nielegalnie?
Sydney, nadal mrużąc oczy, zerknęła ponownie na nieco rozmyte zdjęcia Yaponchika i Zukera. Dar użył tej samej czcionki co CIA do opisu każdej fotki, zanim skserował je kilkakrotnie, aż uzyskał niewyraźny efekt, o który mu chodziło. Wpatrywała się w niego dobrą minutę, po czym zagryzła wargę, obrzuciła zdjęcia ostatnim spojrzeniem i powiedziała:

– No cóż, zawsze istnieje możliwość, że je przeoczyłam. Tak przypuszczam. Natychmiast puścimy je w obieg. Mimo niejakej ziarnistości to dobre fotografie. Chłopcy z CIA znają się na swojej robocie. – Dar czekał. – Yaponchik, ten starszy zabójca z KGB, wygląda jak ktoś znajomy... – zadumała się.

– Jak Max von Sydow? – podsunął Darwin.

Sydney potrząsnęła głową.

– Nie, nie. Raczej jak Maximilian Schell. Zawsze uważałam, że Maximilian Schell jest seksowny. Na swój niebezpieczny, może nawet złowrogi sposób.

Minor parsknął.

– Świetnie. Facet próbował mnie zabić, a ty twierdzisz, że jest seksowny. Na swój niebezpieczny, może nawet złowrogi sposób.

Kobieta popatrzyła na niego.

– No cóż, uważam, że ty również wyglądasz seksownie. Na swój niebezpieczny, może nawet złowrogi sposób.

Dar nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Po minucie spytał:

– Jak się posuwa śledztwo?

– Świetnie – odparła Sydney. – Domyślam się, że słyszałeś o Pauliem Satchelu?

– Nawet widziałem Pauliego Satchela – odrzekł Darwin. – Jak jego śmierć ma się do słowa... hm... „świetnie”?

– Teraz mamy cztery oczywiste morderstwa – wyjaśniła Syd, tak szczęśliwa jak słynna Martha Stewart, której udało się zmieszać barwniki i uzyskać nowy odcień farby do salonu. – Policja i Federalne Biuro Śledcze mają wreszcie co robić.

– Cztery? – spytał Darwin. – Esposito, Satchel...

– A także Donald Borden i Gennie Smiley – odparła kobieta. – Departament Policji Oakland otrzymał ubiegłej nocy powiadomienie, że pewien bezdomny, który szukał resztek jedzenia na wysypisku w pobliżu zatoki, znalazł tam dwa wielkie worki ze śmieciami. Zapewne odsłonił je wcześniej jakaś spychacz. Oba przeciekały...

– Znalaziono włóki obojga? – upewnił się Minor.

– I Richarda, i Gennie?

– Zgadzą się nam jedynie akta dentystyczne Bordena, wiemy jednak, że drugie ciało należało do kobiety.

– Przyczyna śmierci? – spytał Dar.

– Oboje zginęli od dwóch strzałów w głowę – wyjaśniła Sydney. Zadzwoił telefon. Zanim podniosła słuchawkę, powiedziała: – 22R... prawdopodobnie z karabinu Ruger Mark II Target. Krótki zasięg. Bardzo profesjonalny. – Później rzuciła w słuchawkę: – Mówi Olson, dzień dobry. – Darwin popatrzył na fotografie Yaponchika i Zukera, studiując je, jakby przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie nauczył się ich już na pamięć.

– Hm... – mówiła Syd. – Tak? Naprawdę? Skąd wysłano? Tak? Czy laboratorium ustaliło coś w kwestii odcisków? Tak? Już wszystkie pasują? Aha. No cóż, przypuszczam, że czasami mamy trochę szczęścia. Rzeczywiście, Darowi i mnie poszczęściło się z jedną spośród tych starych teczek CIA. Tak, przyniosę ci je i pokażę za godzinę lub dwie. Zgadza się. Na razie. – Odłożyła słuchawkę i obrzuciła Darwina ciężkim spojrzeniem, które w ostatnich dziesięcioleciach wielu podejrzanych na pewno czuło na sobie podczas przesłuchań w tym właśnie pomieszczeniu. – Nigdy się nie domyślisz, co agent specjalny Warren otrzymał w poczcie.

Minor zamknął akta CIA i czekał, wykazując zaledwie lekkie zainteresowanie.

– Koperta była bez adresu zwrotnego, żadnych odcisków palców... Nadana z Oceanside, wczoraj...

– No i? – przerwał.

– Fotografie – odparła Syd. – Lśniące, nowiutkie, dwadzieścia centymetrów na dwadzieścia pięć. Niezła rozdzielczość. Siedmiu mężczyzn. Przynajmniej czterech z nich ukazano na zdjęciach podczas rozmowy z Dallasem Trace'em. Pięciu z tych ludzi już zidentyfikowali.

– Darwin okazał jako takie zainteresowanie. – Dwóch przedstawicieli mafii rosyjskiej, o których obecności w kraju nie mieliśmy pojęcia – kontynuowała kobieta.

– Jeden z nich to znany zabójca z KGB, który współpracował z Yaponchikiem w starych, dobrych czasach radzieckich...

– A inni? – spytał Darwin.

– Trzech z pozostałych czterech to znani najemni ochroniarze, a równocześnie zawodowi zabójcy – odparła Syd. – Wszyscy są notowani. Jeden z nich był członkiem mafii, aż zabił jakiegoś przyjaciela swojego szefa.

Minor gwizdnał.

– I w ten sposób w naszą sprawę wmieszają się ludzie od przestępczości zorganizowanej i korupcji, nieprawdaż?

Sydney zignorowała jego pytanie.

– Czyli mamy dość szczęśliwy przełom. Najpierw znaleźliśmy te zagubione zdjęcia CIA, a następnie...

Dar skinął głową na zgodę.

Kobieta rozparła się na krześle i spytała:

- Okej, na czym skończyliśmy?
- Pytałem, jak się posuwa śledztwo – przypomniał. Sydney kiwnęła głową ku wysokiemu stosowi sprawozdań, kaset wideo i audio oraz akt.
- Tom i trzech ludzie z FBI nawiązali kontakt z Pomocnikami Bezbronych w izbach przyjęć i innych miejscach. Mówiąc w skrócie, weszli do sieci różnymi drogami, teraz jednak wszyscy są w tej samej grupie rekrutów. Pomocnicy Bezbronych prowadzą coś w rodzaju szkółki i uczą ludzi, jak mają powodować wypadki, z których później wynikają roszczenia ubezpieczeniowe. Mamy już tuzin nazwisk, a minęło dopiero kilka dni.
- Świetnie – rzucił Dar.
- A słyszałeś o specjalnej jednostce do spraw wypadków powołanej przy wydziale ruchu drogowego?
- Specjalnej jednostce? – powtórzył z powątpiewaniem.
- Tak, mówimy o jednostce specjalnej badającej różnego rodzaju wypadki – przyznała Syd z całą powagą.
- Jesteś w niej. A uściślając, dowodzisz nią.
- Ach tak – bąknął Darwin.
- Macie siedzibę w mieszkaniu Lawrence’a i Trudy – ciągnęła Syd. – Spotkam się tam z wami jeszcze dziś po południu, gdy zrobię sobie przerwę w trakcie analizy tych nowych zdjęć.
- Powinienem wiedzieć, co badamy – bąknął Dar.
- Kobieta westchnęła.
- Kilka drobnych wypadków, które wyglądają na morderstwa – wyjaśniła. – Esposito. Paulie Satchel. Abraham Willis.
- Willis? – spytał Minor. – Ach, ten adwokat naganiacz, który zmarł w pobliżu Carmel.
- Gomezowie – kontynuowała Sydney. – Pan Phong. Dickie Kodiak alias Richard Trace.
- Zdaje mi się, że lepiej już pojedę do Escondido – stwierdził Minor. – Najwyraźniej mam sporo pracy.
- Do zobaczenia dziś po południu – powiedziała Syd.

Lawrence i Trudy poświęcali teraz popołudnia na działalność w jednostce specjalnej. Jadalnię zmienili w filię centrali ekipy dochodzeniowej Sydney Olson, toteż na ścianach wokół długiego stołu zawisły tablice korkowe. W pomieszczeniu pojawiła się też biała tablica oraz projektor, magnetowid z niewielkim telewizorem

oraz laptop Gateway wraz z linią modemową, przeznaczoną wyłącznie do ciągłych uaktualnień związanych z badanymi wypadkami danych i grafiki.

Darwin, Larry i Trudy szybko rozdzielili między siebie wszystkie śledztwa – każdy wziął te przypadki, którym na początku poświęcił najwięcej pracy. Lawrence otrzymał więc sprawy Phonga, Satchela i Gomezów, ponieważ w dwie z nich zaangażowani byli jego klienci. Dar planował wrócić do akt Richarda Kodiaka, a także kontynuować dochodzenie w sprawie śmierci Esposito pod podnośnikiem nożycowym. Powiedział Stewartom o „znalezieniu” nowych fotografii.

– Interesujące – zauważył Lawrence. – Masz może przypadkiem kopie tych fotek?

– Przypadkiem mam – odparł.

– A czy przypadkiem w pobliżu Mulholland Drive i Beverly Glen nie mieszka Dallas Trace? Czy nie przy Coy Drive? – spytał Stewart.

– Naprawdę nie wiem – odrzekł Minor.

– Cóż, ja wiem. Sprawdziłem to następnego dnia po podwieszeniu cię na miejsce, z którego miałeś zacząć wyprawę na kemping – mruknął Lawrence. – No dobrze, przyjrzyjmy się tym przestępcom.

Całą trójką oglądali przez moment zdjęcia. Darwin doskonale pamiętał, że żadne ze Stewartów nigdy nie zapomina twarzy człowieka, któremu się dobrze przyjrzał.

W końcu postanowili rozpocząć wspólnie pracę nad sprawą Abrahama Willisa, ponieważ nikt z ich trojga nie był z nią w żaden sposób związany. CHP oraz policja z Carmel przesłały wcześniej e-mailem i faksem wszystkie dane do Sydney Olson, a ona przekazała je Lawrence’owi i Trudy w grubej na dziesięć centymetrów kopercie, wraz z materiałami uzyskanymi przez jej ekipę dochodzeniową.

Przez chwilę Darwin i Stewartowie w milczeniu czytali akta, podając sobie kartkę po kartce, oglądając fotografie i szkice z miejsca wypadku. Na pierwszy rzut oka wypadek wydawał się mało skomplikowany.

Mecenas Abraham Willis – działający w San Diego prawnik, którego nazwisko kojarzyło się ze sprawą klinik i naganiaczy ubezpieczeniowych – opuścił swoją kancelarię wcześniej w piątkowe popołudnie i pojechał do Carmel na weekend. Przesłuchiwani w Santa Barbara świadkowie twierdzili, że zjadł w tamtejszej restauracji obiad i wypił kilka drinków, a właściciel zajazdu w pobliżu Big Sur zidentyfikował jako Willisa mężczyznę, który został do późnego wieczoru i wypił jeszcze jednego drinka, zanim ruszył do Carmel. Adwokat siedział przy stoliku sam: zarówno w restauracji w Santa Barbara, jak i w zajazdzie w Big Sur.

Nieco przed godziną dwudziestą drugą, w tenże piątkowy wieczór, najwyraźniej zjechał z drogi swoją toyotą camry, rocznik 1998, i zatrzymał się między Point Lobo i Carmel – w miejscu, z którego rozciągał się malowniczy widok na klif. Nie było tam żadnych świadków.

– Znamy to miejsce – stwierdził Lawrence. – Patrząc na północ, masz stamtąd przepiękny widok na Carmel.

– Chyba nieszczególnie dużo widać o dwudziestej drugiej – zauważyła Trudy.

– Może musiał się odlać – mruknął Stewart.

– Albo po prostu chciał zaczerpnąć oceanicznego powietrza – wtrącił Darwin. – Na przykład otrząsnąć się z lekkiego zamroczenia alkoholowego.

– Nie udało mu się – podsumował Lawrence.

Według rekonstrukcji przekazanej przez kalifornijską policję drogową Willis wsiadł następnie do toyoty, ruszył, rozbił mały drewniany płotek na poboczu i spadł wraz z samochodem osiemnaście metrów niżej, na kamienie.

– Dlaczego nie było tam prawdziwej barierki? – spytał Minor.

Trudy szkicowała na serwetce punkt widokowy.

– Widzisz, barierki są po obu stronach, pomiędzy nimi parking z niskimi betonowymi klinami, dalej mniej więcej dziewięć metrów trawy ze żwirową ścieżką potem ten niski drewniany płot z rzędem reflektorów... Ma tylko ostrzegać pieszych, aby nie zbliżali się do krawędzi klifu.

– Jak daleko od ogrodzenia znajduje się krawędź klifu? – spytał Dar.

– Także dziewięć metrów. Potem zaczyna się stromy uskoki. Leży tam parę dużych głazów. Zauważ, że toyota Willisa uderzyła w jeden z nich, a drzwiczki od strony kierowcy znalezione na górze, na szczycie klifu, nie zaś na głazach poniżej.

– Też to spostrzegłem – odparł Darwin. – Co nie ma dla mnie zresztą żadnego sensu.

– Oficer śledczy z Narodowego Biura do Spraw Przepływów Ubezpieczeniowych zgodził się z funkcjonariuszem CHP, że Willis z jakichś powodów nie mógł zatrzymać samochodu, więc próbował wyskoczyć, lecz gdy otworzył drzwiczki, trzasnął nimi w głaz – wyjaśnił Lawrence. – Pod wpływem tego uderzenia wpadł aż na siedzenie pasażera i wtedy auto spadło.

– Dlaczego Willis nie mógł zatrzymać samochodu? – zadumał się Dar. – Nawet gdyby w pierwszej chwili wcisnął gaz zamiast hamulca, miałby później na wyhamowanie jeszcze ponad osiemnaście metrów.

– Był pijany – zauważyła Trudy.

– Samoistne przyspieszenie spowodowane awarią hamulców – ocenił Stewart.

Trudy i Dar posłali mu sarkastyczne spojrzenia. Samoistne przyspieszenie opisywano jedynie w czasopiśmie, a całkowite awarie hamulców zdarzały się niemal tak rzadko jak śmierć od uderzenia meteora.

Wykonane przez CHP fotografie ciała były dość przerażające. Willisa wyrzuciło z samochodu już podczas pierwszego zderzenia z morskimi skałami, po czym auto, zanim się w końcu zatrzymało, przetoczyło się po jego ciele. Toyota była zresztą

w równie paskudnym stanie. Mniej więcej o północy ktoś dostrzegł rozbite ogrodzenie i zgłosił ten fakt stanowej policji drogowej, która znalazła wrak i zwłoki nieco po pierwszej w nocy. Trupa nadgryzły już trochę kraby, tym niemniej sekretarka Willisa zdołała je bez problemu zidentyfikować. Prawnik był raz żonaty, lecz się rozwiódł, jeszcze gdy mieszkał w Nowym Jorku. Nikt z rodziny nie wystąpił zresztą o ciało.

– Okej – powiedziała Trudy. – Przejdźmy do raportu na temat pasów bezpieczeństwa.

Przejrzeni protokół CHP, potem raport policji Carmel oraz sprawozdania szeryfa i oficera śledczego z Narodowego Biura do Spraw Przepięstw Ubezpieczeniowych. Przystudiowali fotografie.

Wtedy pojawiła się Syd. Wyglądała na wyczerpaną ale szczęśliwą. Dostrzegła, że cała trójka jest mocno skoncentrowana na pracy, toteż po początkowych słowach powitania umilkła i już się nie odzywała.

W końcu Trudy podniosła czarnobiałe zdjęcie przedstawiające wnętrze toyoty camry. Samochód uderzył czołowo w głązy, więc część pasażerska została straszliwie zniszczona – zgnieciona kierownica i tablica rozdzielcza praktycznie wbiły się w siedzenia, przednia szyba zupełnie zniknęła, a dach od strony kierowcy został wgnieciony aż do siedzenia.

– Coś mi nie pasuje w tym zdjęciu – zastanowiła się Trudy.

– Otworzyła się tylko jedna poduszka powietrzna – odparł Lawrence.

– Od strony pasażera – stwierdził Dar i uśmiechnął się. Już wiedział.

Sydney zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem.

Stewart już telefonował do szeryfa Carmel. Toyotę camry Willisa nadal trzymano jako dowód w sprawie, bezceremonialnie pozostawiony za warsztatem w mieście.

– Carmel nie ma niczego tak doczesnego jak złomowisko – stwierdziła Trudy, gdy jej mąż zaczął szybką rozmowę z szeryfem.

– No cóż, w takim razie może wyśle pan zastępcę albo kogoś innego, żeby obejrzał auto – mówił do słuchawki Lawrence. – Potrzebujemy tej informacji natychmiast. – Słuchał przez minutę, po czym skinął głową. – Może wzięłby telefon komórkowy? Dzięki temu moglibyśmy rozmawiać z nim bezpośrednio na miejscu. Co takiego? Rozumiem, zatem... Poczekam. – Zakrył słuchawkę ręką i powiedział: – Zastępca nie ma komórki, ale połączy się z nami przez radio. Warsztat znajduje się zapewne z dwieście metrów od biura szeryfa.

– Wciąż nie rozumiem – powtórzył Syd. – Czego szukamy?

– Raportu na temat stanu pasów bezpieczeństwa – wyjaśniła Trudy.

Sydney potrząsnęła głową.

– Nie było żadnego – odrzekła. – Przeczytałam wszystkie sprawozdania. Są przekonani, że Willis po prostu nie zapiął pasów. Właściwie katapultowało go przez przednią szybę, której już wtedy nie było.

– Ale popatrz na to zdjęcie – poprosił Dar, podsuwając jej odpowiednią fotkę. – Tylko jedna poduszka powietrzna napompowała się i rozwinęła.

Śledcza Olson przyjrzała się fotografii.

– Od strony pasażera – przyznała. – Nie jestem jednak pewna, co to oznacza... prawdopodobnie uszkodzenie czujnika poduszki, nie sądzicie?

Trudy potrząsnęła głową.

– Uszkodzenia czujników są statystycznie tak rzadkie, że prawie możemy tę ewentualność odrzucić – odparła. Umilkła, gdyż Lawrence rozmawiał z zastępcą szeryfa.

– Okej... tak, witam, panie Soames. Z tej strony Lawrence Stewart ze Stewart Investigations. Czy dotarł pan już do toyoty camry Willisa? Rozumiem, w porządku. Tak, założę się, że tak. No cóż. Dobrze, naprawdę dobrze. – Lawrence potoczył oczyma. – Mógłby pan spojrzeć na siedzenie kierowcy i... – Stewart znów słuchał przez moment. – Tak, wiem, że wszystko od tamtej strony jest połamane, zgniecione i pokrwawione. Nie, nie, nie proszę, żeby pan siadał na miejscu kierowcy! Proszę się tylko rozejrzeć. Nie ma tam drzwiczek, prawda? No cóż, to dobrze, mówimy zatem o tym samym pojeździe.

Darwin podsunął Sydney kolejne zdjęcia. Kobieta obejrzała fotkę przedstawiającą lewe przednie drzwi toyoty, leżące przy głazie na szczycie klifu, i zagryzła wargę.

– Teraz proszę zerknąć w dół na podstawę siedzenia, panie zastępczo Soames – mówił Lawrence do telefonu. – Tak, właśnie tam, gdzie pas bezpieczeństwa jest przymocowany do ramy. Jest tam taka mała wypustka... Widzi pan? Doskonale. Jest czerwona etykieta? – Stewart słuchał przez kilka sekund. – Czerwona etykieta – powtórzył. – Powinna być dobrze widoczna. Czy jest na niej napis: ZASTĄP PAS BEZPIECZEŃSTWA? – Znowu słuchał. – Jest pan pewien? Tak, bardzo dziękuję, panie Soames. – Wrócił do stołu. – Nie ma etykiety.

– Gdyby Willis był przypięty pasem, system bezpieczeństwa zetknąłby się z ciężarem 1,7 G – tłumaczyła Trudy. – Widzielibyśmy oczywiście efekty tego na pasie bezwładnościowym. Toyota nakleja też takie małe etykiety, które przypominają mechanikom naprawiającym auto po wypadku o konieczności wymiany pasów bezpieczeństwa.

Syd nadal wyglądała na zaskoczoną.

– Przecież zarówno oficer śledczy CHP, jak i nasi ludzie wiedzieli, że Willis nie był przypięty pasem – jęknęła.

Dar podniósł zapis przesłuchania.

– Jego sekretarka powiedziała, że Willis zawsze zapinał pasy. Niejednokrotnie jej powtarzał, że widział zbyt wiele kalek i śmiertelnych ofiar wypadków.

– No, ale tamtej nocy był pijany – zauważyła Sydney.

– Oficjalnie tak, ale przecież nikt nie twierdzi, że był zamroczony albo się przewracał – odparła Trudy. – Zresztą jakoś dojechał do punktu widokowego, stąd wnioski, że do pewnego momentu nie myliły mu się pedały ani biegi. Poza tym, człowiek po pijanemu wykonuje pewne czynności automatycznie, z przyzwyczajenia. Sądzę, że zapiąłby pas, nawet gdyby musiał kilka razy próbować.

Śledcza Olson potarła podbródek.

– Nadal wszakże nie dostrzegam znaczenia faktu, że uruchomiła się poduszka powietrzna od strony pasażera.

– Na siedzeniu pasażera musiał się znajdować spory ciężar, w przeciwnym razie czujnik poduszki by nie zareagował – wyjaśnił Stewart, patrząc na zdjęcie zgniecionego wnętrza i jedną pękniętą poduszkę powietrzną.

– Może podczas upadku samochodu przewrócił się na siedzenie obok – podesunęła Syd, natychmiast jednak dostrzegła błąd w swoim rozumowaniu i pospieszenie dorzuciła: – Nie...

– Właśnie – przyznał Dar. – Podczas spadku z klifu Willis swobodnie opadał wraz z resztą pojazdu. Nie był przypięty pasami, zatem właściwie lewitował, unosząc się nad siedzeniem niczym astronauta wahadłowca na orbicie...

– Skoro na siedzeniu nie było żadnego ciężaru, czujnik nie powinien uruchomić poduszki powietrznej – podsumował Lawrence. – Nie powinno się to zdarzyć nawet podczas potężnego uderzenia w głazy.

– A jednak poduszka napełniła się gazem i rozwinęła – dumiała Sydney.

– W dodatku od strony pasażera – dodała Trudy z ponurym uśmiechem. – I to nie w trakcie zderzenia z morskimi skałami...

– Czyli wcześniej, przy drewnianym ogrodzeniu – wtrąciła Syd, wreszcie pojmując. – Hm... tyle że jeśli Willis znajdował się na siedzeniu pasażera, gdy jego toyota trzasnęła w lichey płotek z prędkością zaledwie niecałych sześćdziesięciu kilometrów na godzinę... A tak przecież ustaliła stanowa policja drogowa...

– Dlaczego nie uruchomiła się poduszka powietrzna od strony kierowcy? – zakończył Darwin. – Ktoś musiał wszak toyotą kierować. Chyba że...

– Chyba że kierowca wyskoczył przed uderzeniem w ogrodzenie – oznajmiła Syd. Mówiła do siebie. – Ktoś stuknął mecenasa w głowę, wiedząc, że takiej rany nikt nie zauważy wśród późniejszych obrażeń, posadził go na siedzeniu pasażera, skierował toyotę ku małej drewnianej barierce i sam wyskoczył na trawę, zanim samochód uderzył w ogrodzenie. Gdy auto dotarło do krawędzi klifu, nie zatrzymało się i spadło.

– A więc poduszka powietrzna od strony kierowcy nie otworzyła się podczas

zderzenia z drewnianym płotkiem, ponieważ czujniki nie wychwyciły ciężaru na siedzeniu – dodał Lawrence. – Z tego samego powodu poduszka od strony kierowcy nie uruchomiła się w trakcie zderzenia ze skałami poniżej. W tym momencie Willis nie tylko unosił się w powietrzu, jak wywnioskowali oficerowie śledczy, ale w dodatku unosił się nad siedzeniem pasażera, a nie kierowcy.

– Wypadł jednak przez przednią szybę od strony kierowcy – zauważyła Syd. Minor kiwnął głową.

– Będę musiał stworzyć komputerową rekonstrukcję wypadku, wstępne obliczenia wydają się jednak pasować do tej teorii. Ponieważ toyota uderzyła w głaz lewą stroną przodu samochodu, osobnika nie przymocowanego pasem... a pamiętajmy, że poduszka powietrzna najprawdopodobniej już wtedy pękła... rzuciłoby na prawo, toteż wypadłby na maskę od strony kierowcy. Z kolei gdyby poduszka powietrzna od strony pasażera otworzyła się podczas zderzenia ze skałami...

– Wówczas mecenas prawdopodobnie utknąłby we wraku – dokończyła Sydney, zgadzając się najwyraźniej z pozostałą trójką.

– Co wyjaśnia, dlaczego drzwiczki od strony kierowcy uderzyły w skałę, jeszcze zanim toyota dojechała do krawędzi klifu – powiedziała Trudy. – To nie Willis próbował się wydostać. Drzwiczki pozostały otwarte, gdyż morderca przed zderzeniem z drewnianym ogrodzeniem wyskoczył z siedzenia na trawiasty nasyp.

Darwin obejrzał przerażające fotografie.

– Co za aroganckie dranie! A ich głupota dorównuje arogancji.

Zadzwoił telefon komórkowy Syd. Odbierając, kobieta wstała od stołu, słuchała chwilę, po czym wróciła na miejsce. Twarz miała białą jak ściana, nawet wargi jej pobladły. Chwyciła się brzegu stołu i dosłownie opadła na krzesło. Ręce jej drżały. Dar i Lawrence natychmiast pochyłili się ku niej, a Trudy pośpiesznie ruszyła po wodę.

– Co się stało? – spytał Dar.

– Znalaziono Toma Santanę i trójkę agentów Federalnego Biura Śledczego, którzy uczestniczyli wraz z nim w akcji – wydukała, z trudem wymawiając każde słowo. – Dzwonił agent specjalny Warren. CHP znalazło... wszystkie cztery ciała... wciśnięte w bagażnik porzuconego pontiaca... zaledwie pół godziny temu.

Wzięła szklankę od Trudy i napiła się. Ręce straszliwie jej się trzęsły.

– Jak...? – zaczął Dar.

– Wszyscy czworo otrzymali po dwa strzały z karabinu – wyjaśniła Sydney nieco mocniejszym głosem, choć jej twarz pozostała blada. – Jeden strzał w głowę i jeden w serce. Strzelano prawdopodobnie z karabinu średniego zasięgu.

– Dobry Boże – powiedział Lawrence. – Kto przy zdrowych zmysłach zabija troje agentów FBI i funkcjonariusza Stanowego Wydziału do Spraw Oszustw?

– Nikt przy zdrowych zmysłach – przyznał Darwin.

– Cholerne, aroganckie gnoje – warknęła Syd. Ręka zadrżała jej mocniej, aż woda wylała się ze szklanki. Minor wiedział, że obecnie powodem tego drżenia była straszliwa wściekłość. – Ale teraz wiemy, kto donosił Trace’owi i jego snajperom – oświadczyła twardo.

– Kto taki? – spytała Trudy.

Mimo łez w oczach Sydney Olson przywołała na twarz uśmiech.

– Przyjdźcie na zebranie mojej ekipy dochodzeniowej jutro o ósmej rano – odparła szeptem. – Wtedy się dowiecie.

Rozdział dwudziesty

T JAK TKLIWOŚĆ

Spotkanie specjalnej ekipy dochodzeniowej Sydney w czwartkowy poranek należało do najbardziej efektywnych spotkań, w jakich Dar uczestniczył.

Poprzedniego popołudnia śledcza Olson postanowiła opuścić ich natychmiast po rozmowie telefonicznej. Darwin zgodził się zostać na kolacji, ale zanim zjadł, obszedł wszystkie pomieszczenia, sprawdzając, czy dom jest dobrze zabezpieczony przed ewentualną akcją snajperów. Uznał, że są bezpieczni. Duży dom Stewartów stał na stromym, opadającym na południe stoku nad drogą, pod którą rozciągała się najpierw łąka, a dalej gęsty las. Linia drzew zaczynała się w odległości ponad siedmiuset pięćdziesięciu metrów, stamtąd zaś snajperowi trudno byłoby strzelać ze względu na ostry kąt. No chyba żeby Stewartowie i Dar wyszli na taras na piętrze, tę opcję na szczęście już jakiś czas temu uznali za niewskazaną. Od północnej strony budynek stał niżej od ulicy, przy której znajdowało się blisko siebie wiele budynków otoczonych ogrodami, na tej ścianie Larry i Trudy zamontowali jednak na wszystkich drzwiach i okiennicach dobre zabezpieczenia, które uniemożliwiały strzał nawet najlepszemu snajperowi.

Tym niemniej po kolacji o zmroku Darwin objechał całą okolicę i dopiero gdy wszystko sprawdził, skierował się do domu.

Na zebraniu specjalnej ekipy dochodzeniowej następnego dnia o ósmej rano nikt nie czuł się dobrze. Syd wyglądała na wyczerpaną, a wszyscy pozostali wydawali się smutni, roztargnieni lub poirytowani wczesną porą.

W spotkaniu uczestniczyli mniej więcej ci sami ludzie, którzy brali udział w zebraniu u Sydney w ubiegły piątek: Poulsen, agent specjalny Warren i drugi mężczyzna z Federalnego Biura Śledczego, Bob Gauss, szef nieżyjącego już Santany; obok Warrena siedział porucznik Barr z wydziału wewnętrznego Departamentu Policji Los Angeles. Larry i Trudy wybrali miejsca na prawo od Minora, po jego lewej stronie siedzieli kapitan Frank Hernandez i kapitan Sutton z CHP, natomiast na drugim końcu stołu, naprzeciwko Syd, pojawił się ktoś nowy – prokurator okręgowy William Restanzo. Restanzo miał starannie wymodelowane suszarką siwe włosy, wydatne szczęki i wygląd człowieka, który poważnie myśli o karierze polityka.

Śledcza Olson bez zbędnych wstępów otworzyła spotkanie.

– Wszyscy wiecie, że wczoraj zamordowano cztery osoby współpracujące z naszą ekipą dochodzeniową – powiedziała. – Oficer Tom Santana, agent specjalny Don

Garcia, agent specjalny Bill Sanchez oraz dowodząca agentka Rita Foxworth. Całą czwórkę zwabiono w jakieś odosobnione miejsce w hrabstwie pod pretekstem szkolenia związanego z wyłudzeniem odszkodowania powypadkowego. Wszyscy zostali zastrzeleni z ukrycia z karabinu o dość sporym zasięgu. – Przerwała i wzięła głęboki wdech. – Szczegóły morderstwa nie są istotne dla dzisiejszego zebrania naszej grupy, powiem tylko, że śledztwo prowadzi agent specjalny Warren.

Kapitan Hernandez rozejrzał się po zebranych.

– Skoro szczegóły nie są istotne dla dzisiejszego zebrania, po co nas pani tutaj wezwała, śledcza Olson?

Syd zmierzyła go spojrzeniem.

– Po to, aby zatrzymać osobę odpowiedzialną za te morderstwa – odrzekła. Nikt się nie odezwał. Dar zauważył, że Lawrence porusza się nieznacznie i wiedział, że przyjaciel przesuwając kaburę w bardziej dostępne miejsce; być może robił to nieświadomie. – Już kilka miesięcy temu zaczęliśmy podejrzewać istnienie przecieku w naszej ekipie – kontynuowała Sydney – a jednak Tom postanowił powiedzieć całej grupie o swojej akcji. Tak, to był jego pomysł. Prowadziliśmy podsłuch telefonów większości z was...

Czekała na protest, ale żadna z osób nie wyraziła go głośno. Niektórzy tylko zaciskali palce, rzucali spojrzenia z ukosa lub przygryzali wargi.

– I co nagrały urządzenia podsłuchowe? – spytał kapitan Sutton. Jego charakterystyczny dla palaczy głos brzmiał dziś rano jeszcze bardziej ochryple niż zazwyczaj.

– Bezpośrednio nic – odparła Syd. – Osoba, która zdradziła, najprawdopodobniej obawiała się, że ją podejrzewamy. Z tego też względu nie słyszeliśmy ani nie zarejestrowaliśmy żadnych nielegalnych rozmów.

– Jak zatem...? – zaczął kapitan Hernandez.

– Osoba inwigilowana unikała nawet budek telefonicznych – ciągnęła Sydney – co było mądrym posunięciem, ponieważ aparaty płatne w pobliżu miejsca zamieszkania osoby podejrzanej także podsłuchiwaliliśmy. Osoba ta użyła jednakże specjalnego telefonu komórkowego nabytego przez agentów Przymierza i zarejestrowanego pod fikcyjnym nazwiskiem. Sądzymy, że podejrzana otrzymała kilka takich aparatów, z których miała się kontaktować w nagłych sytuacjach.

W tym momencie Syd rozpięła marynarkę i Dar dostrzegł przy jej pasie kaburę z sig sauerem. Sekundę później odwróciła się do prawniczki Narodowego Biura do Spraw Przepływów Ubezpieczeniowych, Poulsen.

– O czymś wszakże nie pomyślałaś, Jeanette – stwierdziła. – Nie wzięłaś pod uwagę naszej determinacji. Tak bardzo pragnęliśmy złapać zdrajcę, tak bardzo nas jego istnienie zdenerwowało, że użyliśmy wobec wszystkich podejrzanych osób także

mikrofonów kierunkowych.

Włączyła magnetofon. Wśród zakłóceń dał się słyszeć głos Jeanette Poulsen – nieco metaliczny, lecz wystarczająco rozpoznawalny:

– Santana z Wydziału do Spraw Oszustw oraz troje agentów FBI postanowiło się wślizgnąć pomiędzy szeregi waszych Pomocników Bezbronnych. – Ktoś powiedział niskim, męskim głosem coś całkowicie niezrozumiałego. – Nie, nie znam nazwisk agentów – mówiła dalej Poulsen – wiem jednak, że będą to dwaj mężczyźni i jedna kobieta i że będą usiłowali nawiązać kontakt przez tych samych członków Pomocników co Santana. Nic więcej na razie nie mogę powiedzieć.

Znów odpowiedział jej ten sam mężczyzna, lecz tym razem Darwin zrozumiał kilka słów: „pieniądze”, „przekazanie” i „zwykła suma”.

Mecenas Poulsen wystrzeliła z krzesła, jakby siedziała na ogromnej sprężynie. Jej twarz pokryła się głębokim szkarłatem, a na ładnej szyi wydatnie wybrzuszyły się żyły.

– Nie muszę słuchać tego gówna. To nonsens. Przez sześć miesięcy nie zdołałaś znaleźć prawdziwych dowodów dla swojego sądu przysięgłych i postanowiłaś mnie wrobić... – Ruszyła wielkimi krokami do drzwi, zamierzając ominąć Sydney. – Będziesz musiała się ze mną kontaktować przez mojego adwokata.

Śledcza Olson złapała wysoką kobietę za ramię, obróciła ją plecami do siebie i uderzyła między łopatki, skłaniając Poulsen do pochylecia się nad stołem konferencyjnym i dotknięcia głową blatu, po czym szarpnęła drugie ramię i chwyciła w dłoń oba jej nadgarstki. Drugą ręką wyjęła zza paska kajdanki i zakuła w nie zdracznicy, zanim Jeanette zdążyła podnieść głowę nad stół.

– Masz prawo zachować milczenie... – Syd zaczęła recytować standardową formułkę.

– Pieprz się – odparowała Poulsen, nie zdołała jednak nic dodać, gdyż śledcza Olson chwyciła ją za włosy i przycisnęła jej głowę z powrotem do blatu stołu.

– Wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie w sądzie – kontynuowała spokojnie Sydney. – Masz prawo do adwokata... – Podniosła skute przeguby kobiety wysoko, aż ta się zasapała, po czym umilkła.

– Przejmiemy jej sprawę w tym momencie, śledcza Olson – powiedział Warren. Wraz z drugim przedstawicielem Federalnego Biura Śledczego złapali płaczącą teraz prawniczkę z Narodowego Biura do Spraw Przestępstw Ubezpieczeniowych pod pachy i wyprowadzili z pokoju, czytając dalej jej prawa.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Syd wytarła w lniane spodnie ręce, jakby je sobie czymś pobrudziła.

– Wytropiliśmy sto piętnaście tysięcy dolarów przelanych na konto, które mecenas Poulsen założyła sobie osiem miesięcy temu – powiedziała. Jej głos przez

cały czas pozostawał mocny, teraz jednak przerwała dla zaczerpnięcia oddechu. – Normalne zebranie specjalnej ekipy dochodzeniowej odbędzie się od jutra za tydzień. Prokurator okręgowy Restanzo zgodził się zasilić naszą grupę i będzie obecny także na naszym następnym spotkaniu. Mam nadzieję do tego czasu ogłosić jakiś rzeczywisty postęp. – Rozejrzała się po zgromadzonych. – Niektórzy z was znali funkcjonariusza Santanę. Ja znałam go dobrze i blisko przyjaźniłam się zarówno z nim, jak i z jego żoną, Mary. Od czterech lat znałam tę parę i ich dwoje dzieci. Pogrzeb Toma odbędzie się jutro o dziesiątej rano w Los Angeles, w kościele katolickim pod wezwaniem Świętej Trójcy w Northridge, tuż za Reseda Boulevard, w pobliżu kampusu uniwersytetu stanowego. Powiadomimy państwa o terminach uroczystości pogrzebowych ku czci agentów specjalnych Garcii, Sancheza i Foxworth.

Podczas pogrzebu Santany Dar uprzytomnił sobie, że nie był w kościele katolickim, odkąd pochował Davida i Barbarę.

Ludzie kręcili się przed kościołem jeszcze jakiś czas. Świeciło słońce. Sydney spytała Darwina, czy będzie mogła z nim porozmawiać po krótkiej prywatnej ceremonii przy grobie. Kiwnął głową patrząc na odbicie własnego ciemnego garnituru i okularów przeciwsłonecznych w ciemnych szklach jej okularów. Syd nie płakała podczas pogrzebu, ani gdy ścisnęła Mary Santanę i rozmawiała z nią i dwójką jej dzieci.

– Wybierz miejsce i czas – powiedział Dar.

– Lawrence i Trudy chcą żebyśmy o szesnastej przyjechali na miejsce wypadku Esposito na prezentację – odparła. – Może po tym spotkaniu? W twoim mieszkaniu.

– Będę czekał.

Gdy Minor ze Stewartem wracali do San Diego dopiero co odebraną z warsztatu acurą NSX, zadzwoniła komórka Lawrence’a.

– Bingo – podsumował rozmowę Stewart.

– Jedno ze zdjęć? – spytał Dar.

– Tak jest. Pokazałem je paru facetom, którzy pracowali na budowie tamtej niedzieli... nie kierownikowi Vargasowi, bo ten nie chciał współpracować, ale pozostałym... No i dwóch z nich potwierdziło, że widziało wtedy na miejscu tego samego mężczyznę. Kręcił się po terenie w kasku robotnika budowlanego. Nie rozpoznali go, sądzili jednak, że jest to dodatkowy pracownik wynajęty do pracy w weekend.

– To był jeden z Rosjan? – spytał Darwin.

– Nie. Tony Constanza z New Jersey. Były zabójca mafijny.
– Potwierdzą w sądzie, że go tam widzieli?
– Kto wie? – zadumał się Lawrence. – Nie wspominałem im, że chodzi o morderstwo, w które zamieszany jest członek mafii, po prostu pokazałem im fotki. Ja na ich miejscu, znając szczegóły, nie zeznawałbym.

Prokurator okręgowy Restanzo chodził po placu budowy z trzema swoimi podwładnymi i żaden z nich nie wyglądał na zbyt szczęśliwego z powodu wszechobecnego błota, które brudziło noski ich butów. Dwaj mundurowi odgradzili obszar wokół podnośnika nożycowego i pełnili straż, powstrzymując przed podejściem ciekawskich robotników budowlanych, podczas gdy kapitan Hernandez stał z rękami założonymi na piersiach. Trudy mocowała wideokamerę na stabilnym trójnogu. Lawrence stanął pod podniesionym podnośnikiem nożycowym dokładnie w miejscu, w którym Jorge Murphy Esposito znajdował się w chwili śmierci. Tak jak podczas tamtego wypadku na solidnej płycie nośnej podnośnika, jednaście metrów nad głową Stewarta, leżało ćwierć tony materiałów.

– Zastanawialiśmy się – wyjaśniał Hernandez – czy mamy do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem czy też z zabójstwem, które w dodatku należy powiązać ze sprawą Przymierza. Pan Stewart zna odpowiedź. – Wskazał na Lawrence'a, który z kolei kiwnął głową w kierunku Trudy. Na kamerze zapaliło się czerwone światło. Stewart odchrząknął.

– No dobrze. Wszyscy wiemy, że dowody z sekcji i dowody poszlakowe związane ze śmiercią mecenasa Esposito sugerują, iż ofiara ze swojej pozycji nie mogła sama dosięgnąć sterownika układu pompy hydraulicznej, gdyż po poruszeniu śruby na filarze podnośnik spadał w ciągu dwóch sekund. W dodatku na tułowiu mężczyzna nie miał plam płynu hydraulicznego. Z fotografii koronera wynika wyraźnie, że tylko mankiety spodni Esposito oraz podeszwy jego butów zostały nim opryskane. Kilku robotników przebywających owej niedzieli na placu budowy rozpoznało na zdjęciu osobnika, który kręcił się w pobliżu miejsca zbrodni w chwili śmierci prawnika. Mężczyzna ten nazywa się Tony Constanza, niegdyś był zabójcą na usługach mafii, obecnie jest zatrudniony w biurze mecenas Trace'a.

– Nie lubię określenia „mafia” – wtrącił prokurator okręgowy Restanzo. – Mafia kojarzy się z Włochami i Sycylijczykami, a zatem stanowi obelgę dla jednej określonej grupy etnicznej. Wszyscy wiedzą, że tak zwany Syndykat dawno już zrezygnował z dominacji jednej, konkretnej grupę etnicznej. Z tego powodu wolimy termin „przestępczość zorganizowana”.

– W porządku – podjął Lawrence. – Zanotujmy więc dla porządku, że Tony Constanza był wcześniej członkiem tego skrzydła wielonarodowościowego, wieloetnicznego i wielorasowego syndykatu przestępczości zorganizowanej, które nawet dziś jeszcze składa się głównie z Amerykanów pochodzenia sycylijskiego oraz włoskiego i powszechnie znane jest jako mafia. Czyli tak – ciągnął, patrząc na prokuratora okręgowego. – Jeśli zamierza pan oskarżyć kogoś o tę zbrodnię, potrzebuje pan dowodu na to, że mieliśmy tu do czynienia z morderstwem, nie zaś z wypadkiem. Chciałbym panu taki dowód pokazać. Stoję obecnie w miejscu, gdzie znajdował się mecenas Esposito na dwie sekundy przed momentem, w którym podnośnik nożycowy stracił całe ciśnienie hydrauliczne i spadł na niego, wgniatając w mechanizm nożycowy. Czy ktoś chciałby do mnie dołączyć tutaj, aby zrekonstruować tamten wypadek?

Przez minutę nikt się nie ruszał. W końcu Dar podszedł ku platformie i stanął pod nią obok Lawrence'a. Nie miał najmniejszego pojęcia, co kombinuje jego przyjaciel, ufał jednak w jego profesjonalizm. Czarne buty Bally i mankiety spodni garnituru od Armaniego i tak były opryskane błotem, dlatego już mu to nie przeszkadzało. Zresztą umiał doczyścić i wyświecić buty.

– Panie prokuratorze, zechciałby pan poluźnić, a następnie zdjąć hydrauliczną śrubę nastawną? – poprosił Lawrence. Ogromna platforma wisiała ponad dziesięć metrów nad głową jego... i nad głową Dara.

– Tam jest zbyt głębokie błoto – bąknął Restanzo, który nadal gniewał się za słowo „mafia”.

– Ja to zrobię – zadeklarował się kapitan Hernandez. Przeszedł przez błoto do końca platformy, obok głównego układu pompy hydraulicznej.

Stewart zrobił pauzę, gdy zobaczył nadchodzącą szybkim krokiem Syd Olson.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała, nieco zadyszana.

– Po prostu pokazujemy działanie tego urządzenia – wyjaśnił jej Lawrence. – Kapitanie, proszę odkręcić śrubę nastawną, a następnie ją usunąć.

Minor rzucił przyjacielowi szybkie spojrzenie. Obaj stali w pozycji z pozoru niedbałej, z założonymi na piersiach ramionami. Darwin czuł nad głową namacalny ciężar platformy. Zastanowił się, czy zdąży chwycić za ramię Larry'ego i wraz z nim wyskoczyć spod załamującego się podnośnika. Było to proste równanie z prostą jednoznaczną odpowiedzią. Nie, nie zdąży.

Hernandez wzruszył ramionami i zaczął przekręcać wielką śrubę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Śruba poruszyła się, rozległo się bulgotanie płynu hydraulicznego i platforma opuściła się zaledwie o piętnaście centymetrów.

– O cholera – zdumiał się kapitan, odskakując w tył.

– Proszę kręcić dalej – polecił Lawrence. Hernandez zbliżył się do śruby

ostrożnie, niczym do żywego grzechotnika. Tym niemniej z werwą otoczył ramieniem słup i dotknął śruby, którą przekręcił o dziewięćdziesiąt stopni. Platforma zadrżała, jakby zamierzała za chwilę spaść.

– Dalej proszę – powtórzył Stewart.

Śruba przestała się obracać. Kapitan chwycił ją mocniej, najpierw jedną, potem drugą ręką, wreszcie obiema. Bez rezultatu.

– Pieprzone gówno... Och, proszę mi wybaczyć, panie Restanzo... Jestem pewien, że ta śruba dalej się nie ruszy.

Lawrence podszedł do słupka, Dar za nim, szczęśliwy, że wyrwał się ze strefy śmierci. Stewart położył rękę na masywnej śrubie i poczekał, aż Trudy uwieczni go na taśmie.

– Panie prokuratorze, główna oficer śledcza Olson, kapitanie Hernandez, panowie... Ta śruba jest w swoim normalnym ustawieniu, dokładnie tak samo jak w dzień śmierci mecenasa Jorge Murphy’ego Esposito. Nie istnieje możliwość, że ofiara przypadkowo usunęła śrubę hydrauliczną. Jak widzieliście, śrubę tak zamontowano, aby można ją było ręcznie opuścić lub podnieść zaledwie o kilka centymetrów. Jeśli jednak chce się spuścić podnośnik niżej, trzeba użyć przynajmniej średniej wielkości klucza nasadowego. Taka technika. – Lawrence odwrócił się do Sydney i prokuratora okręgowego. – Osobnik, który zabił mecenasa Esposito... a mamy świadków, którzy rozpoznali na zdjęciu zabójcę zawodowego mafii, Tony’ego Constanzę... przebywał tutaj w chwili śmierci Esposito. Ten zabójca zatem na pewno wycelował pistolet w prawnika, kiedy odkręcał tę śrubę kluczem nasadowym.

– Nie znaleźliśmy żadnego klucza na miejscu wypadku – zauważył Hernandez.

– Zgadza się – przyznał Stewart. Dał znak Trudy, która wyłączyła kamerę i wyszła z cienia podnośnika nożycowego. Darwin poszedł za nią.

Trudy i Lawrence wpadli do mieszkania Minora na drinka i dopiero później pojechali do Escondido. Syd wydawała się nie spieszyć z rozpoczęciem rozmowy, o którą prosiła po pogrzebie Toma Santany.

– Okej, czyli rozwiązaliśmy sprawę zabójstwa Esposito i ustaliliśmy, że zabójcą był Constanza – podsumowała Trudy. – Sprawa Willisa w Carmel została ponownie otwarta, a FBI przejęła toyotę camry, powinni więc dokładnie ją sprawdzić... Korzystając ze wszystkich znanych technicznych i laboratoryjnych metod, postarają się znaleźć wszelkie możliwe odciski palców, włókna i tak dalej.

– Warren mocno się zawziął – dodała Syd.

– W końcu troje agentów nie żyje – stwierdził Lawrence. – Nie dziwię mu się.
– Czy ten Dallas Trace po prostu oszalał? – spytała Trudy. – Był obrońcą przez trzydzieści lat... Nie wie, że jedyne przestępstwo, które w tym kraju na pewno nie ujdzie człowiekowi na sucho, to zabicie ludzi reprezentujących organy ścigania?!

Dar odchrząknął.

– Nie wydaje mi się, żeby Trace kontrolował jeszcze tę sytuację – powiedział. – O ile kiedykolwiek ją kontrolował. – Pozostała trójka popatrzyła na niego bez słowa.
– To typowo rosyjskie podejście – kontynuował. – Rosją rządzi właśnie mafia. Jeśli przedstawiciele rządu albo policji wchodzą tym bogatym przestępcom w drogę, ci po prostu ich mordują. I tyle.

– To prawda – przyznała Syd. – Nie mają tam żadnych ustaw RICO [Racketeer Influence and Corrupt Organization – organizacja stworzona w 1970 r. do walki z przestępczością zorganizowaną i korupcją.] ani żadnych podobnych aktów prawnych, które pozwoliłyby władzom federacji albo miejscowej policji naprawdę przyskrzynić tych drani. Do rosyjskiej mafii należą węgiel, gaz ziemny, alkohol, połowa dostępnej żywności i energia elektryczna. Należą do mafii i to mafia je rozdziela pomiędzy lud...

– Twierdzisz więc – spytała Trudy – że Przymierze ściągnęło do pomocy Rosjan, a tamtym nie wystarczyła wyznaczona rola? I że teraz *Organizacja* ustala warunki i rządzi?

– Mogę się założyć, że tak właśnie jest – odparł Darwin. – Myślę, że Dallas Trace i jego początkowi współpracownicy nie docenili Rosjan, toteż w chwili obecnej sytuacja kompletnie wymknęła im się spod kontroli i nie mają już w całej sprawie zupełnie nic do powiedzenia.

– To zaszło za daleko – mruknęła Sydney, patrząc gdzieś w dal. – Te dranie posunęły się za daleko. Rosyjski niedźwiedź będzie ich wykańczał, aż się nie zaspokoili... Jednego po drugim, powoli...

– O czym więc chciałaś powiedzieć? – spytał Minor, kiedy Stewartowie odjechali. Syd siedziała na kanapie naprzeciwko jego krzesła i wyglądała na kompletnie zatopioną w myślach.

Kobieta podniosła głowę i spojrzała Darwinowi uważnie w twarz. Te niebieskie oczy o niezwykle inteligentnym wyrazie zauważył i zapamiętał już podczas pierwszego spotkania.

– Właściwie nie chciałam jedynie powiedzieć – powiedziała. – Mam raczej propozycję.

– Tak? – spytał Minor.

– Chciałabym spędzić z tobą ten weekend w twoim domku – oświadczyła. – Nie będę grać ochroniarza i nie planuję też żadnych rozmów na temat strategii. Po prostu wyjedziemy razem.

Dar poczuł, jak bardzo jej słowa go poruszyły. Zawahał się.

– Tam może nie być bezpiecznie... – Chciał powiedzieć „dla mnie”, lecz dodał: – ...za miastem.

Syd uśmiechnęła się.

– A gdzie będzie bezpiecznie, jeśli zechcą nas dopaść, Darwinie? Jeśli nie masz ochoty na moje towarzystwo, rozumiem, ale nie mów mi akurat teraz o bezpieczeństwie i zagrożeniach.

Darwin zrozumiał, że jego stwierdzenie zabrzmiało dla niej wieloznacznie.

– Musisz podjechać do hotelu po swoje rzeczy?

Kobieta kopnęła niewielki worek z grubego płótna, który przyniosła z sobą.

– Nie, spakowałam się wcześniej – odparła.

Wyjeżdżali razem z miasta land cruiserem. Na tylnym siedzeniu pod brezentem leżał stary karabin Darwina, do bagażnika natomiast wstawili niewielkie zapasy: steki, świeżą sałatkę, butelkę wina. Minorowi nagle przemknęła przez głowę pewna myśl. Może był zarozumiały, ale jeśli Sydney czuła się w tej chwili podobnie paskudnie jak on, chyba nie powinna spędzać nocy w wozie, lecz w domku, z nim. „Cholera” – pomyślał. „Powiniennem zatrzymać się przed apteką, zanim opuściliśmy miasto”. Nagle się zarumienił. Przez kilka lat był wierny Barbarze, a potem nie było w jego życiu żadnej innej kobiety.

Syd dotknęła lekko jego ramienia. Odwrócił się ku niej.

– Wierzysz w telepatię? – spytała. Znów się uśmiechała.

– Nie – odrzekł.

– Ja też nie – przyznała. – Ale czy mogę przez minutę udawać, że coś takiego istnieje?

– Pewnie – stwierdził, wracając spojrzeniem na drogę i mając nadzieję, że jego policzki i szyja nie są aż tak czerwone, jak mu się zdaje.

– Może mamy ten sam dylemat, Darwinie – ciągnęła. – Nie jesteśmy wystarczająco młodzi i nowocześni, aby odkryć wszystkie możliwe następstwa zaistniałej sytuacji. Jest jednak pewna korzyść. – Minor nie odwracał wzroku od jezdni. – Zanim poślubiłam Kevina, prowadziłam naprawdę nudne życie jako stażystka Federalnego Biura Śledczego – powiedziała. – Kevin i ja byliśmy sobie wierni, tyle że nam się nie ułożyło. Z wielu różnych powodów nie było od tej pory

w moim życiu nikogo...

– Barbara i ja... – zwierzył się Darwin. – Identycznie... Nie miałem... To znaczy... wolałem nie...

Znowu położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie musisz mi nic tłumaczyć, Dar. Po prostu chciałam ci powiedzieć, że cię rozumiem. Nie jesteśmy dziećmi. Może cała ta głupia wstrzemięźliwość... twoja i moja... miała jakiś sens. Może dzięki niej dziś uda nam się przeżyć coś szczególnego.

Minor zerknął na nią.

– Mów tak dalej – rzucił – a naprawdę uwierzę w telepatię.

Dotarli do domku, gdy zapadł zmierzch. Ostatnie złotoczerwone promienie słońca przebijały się nawet przez prawie zamknięte okiennice.

– Chcesz wypić drinka albo zjeść kolację? – spytał Dar.

– Nie – odparła Sydney. Odpięła od paska kaburę, wyjęła też zza niego trzy magazynki i położyła wszystko na toaletce.

Tyle czasu minęło, odkąd Darwin po raz ostatni pomagał się rozbierać kobiecie, że niemal zdziwiły go guziki po drugiej stronie. Ciało Syd miało piękną złotą barwę. Pocałowali się. Dar przypomniał sobie, jak rozpina się biustonosz i powoli zdjął go. Piersi Sydney były pełne i ciężkie, biodra – szerokie i bardzo kobiece.

– Twoja kolej – powiedziała, pomagając mu zdjąć przez głowę koszulkę, po czym rozpięła pasek spodni. – Odkąd cię spotkałam, zastanawiam się – szepnęła po kolejnym pocałunku, przyciskając się biustem do jego nagiej klatki piersiowej. – Nosisz bokserki, czy wolisz tradycyjne majtki? – Rozpięła mu rozporek i pomogła zdjąć spodnie.

– O rany! – mruknęła.

– Ten zwyczaj został mi od czasów Wietnamu – wyjaśnił. – Wiesz, w dżungli nikt nie nosi bielizny.

– Jakież to romantyczne – stwierdziła ze śmiechem, tuląc się do niego. Prawą ręką dotknęła jego męskości.

Pościele były chłodne. Syd odrzuciła na bok poduszki. Dar całował jej usta, potem szyję, dekolt, piersi i duże sutki. Zanim zaczęli się kochać, splekli palce obu dłoni. Sydney całowała go długo i namiętnie. Ich palce pozostały splecione, nawet gdy kobieta podniosła ręce nad głowę. Jego dłonie leżały na jej dłoniach, jego ramiona na jej ramionach. Jego ciało świadome było każdego centymetra jej ciała.

Około dwudziestej trzeciej zjedli kolację. Dar w samym płaszczu kąpielowym podgrzał dla nich steki na grillu przed domkiem, Sydney tymczasem wyjęła sałatkę, usmażyła na patelni pokrojone ziemniaki – byli zbyt niecierpliwi, aby czekać, aż się upieką – i otworzyła butelkę cabernet sauvignon, pozwalając winu pooddychać. Gdy siadali do jedzenia, Darwin był głodny jak wilk. Jego towarzyszka wyglądała na podobnie wygłodniałą.

Uprzymnił sobie, że zapomniał, jakie to wszystko jest proste. Oczywiście pamiętał przyjemność, jaką daje seks – tę rozkosz trudno zapomnieć – zapomniał wszakże o tysiącu małych przyjemności, łączących się z prawdziwą męsko-damską zażyłością: o leżeniu nago z kobietą w przyćmionym świetle i rozmowie przed ogarniającym po raz kolejny czystym, fizycznym pożądaniem, o wspólnym prysznicu i przekształceniu prostego aktu wzajemnego mycia sobie włosów w jedną z form miłości, o rozbawieniu, jakie wyzwala chodzenie po domu w płaszczach kąpielowych, na boso, a także o zwyczajnym, choć ogromnym apetycie, z jakim zjada się po wszystkim kolację. I o umiejętności odczuwania niekłamane szczęścia w danej chwili.

Na deser zasiedli przed kominkiem ze szklaneczkami whisky Macallan. Rozpalili w kominku, mimo iż noc była ciepła, rozsunęli też zasłony i otworzyli okna, przez które wpadał do pokoju zapach i szum sosen, śpiew i krzyki nocnych ptaków, a czasem również odległe wycie kojotów. Zostawili niedopitą szkocką i znów przenieśli się na łóżko, gdzie kochali się jeszcze namiętniej niż wcześniej, krzycząc równocześnie z rozkoszy i w tych samych chwilach pokonując kolejne kroki ku wzajemnej bliskości. Później leżeli spokojnie, dotykając się lekko, na mokrym od ich potu prześcieradle. Powietrze pachniało zmieszonym aromatem ich ciał i fizycznej miłości.

– No dobrze, teraz możesz mi powiedzieć – szepnęła Syd.

Darwin podparł się na łokciu.

– Hm... – odparł – ...a co mam ci powiedzieć?

– Dlaczego wstąpiłeś do piechoty morskiej i zostałeś snajperem. – Jej oczy błyszczały w zamierającym świetle ognia. Minor szczerze się roześmiał. Czyżby oczekiwał czegoś bardziej... romantycznego? Sydney mówiła cicho i z całą powagą: – Chcę wiedzieć, dlaczego ktoś tak inteligentny i wrażliwy jak młody Darwin Minor przyłączył się do marines i został snajperem.

Przez moment Dar leżał bez ruchu na plecach i patrzył w sufit. Poczul się dziwnie nieprzygotowany do wyjaśnienia jej powodów tej decyzji, ponieważ nigdy przedtem tego nie robił. Nie wytłumaczył swoich pobudek nawet Barbarze.

– Już ci wspomniałem, fascynowali mnie Spartanie. Chociaż tak naprawdę nie pamiętam już pierwotnych przyczyn tego mojego zainteresowania. – Przerwał na chwilę. – Bałem się... – podjął w końcu. – To znaczy... Byłem załęczonym dzieckiem. Gdy miałem siedem lat... Pamiętam ten dzień, to popołudnie, pamiętam krawężnik, na którym usiadłem, ponieważ uderzyła mnie nagła pewność, że któregoś dnia umrę. Zrozumiałem to jako siedmiolatek. A byłem już ateistą. Wiedziałem, że nie ma życia po śmierci. No i ta myśl o śmierci cholernie mnie przestraszyła.

– Większość z nas uświadamia sobie prędzej czy później własną śmiertelność – szepnęła Syd. – Chociaż niewiele osób odkrywa ten fakt w tak młodym wieku.

Darwin potrząsnął głową.

– Mój strach nie zniknął. Przeżywałem lęki nocne. Zacząłem się moczyć. Obawiałem się rozdzielenia z rodzicami, nawet kiedy miałem pójść jedynie do szkoły. Miałem świadomość, że nie tylko ja muszę umrzeć, ale także oni. Dumałem, co się stanie, jeżeli umrą podczas mojej lekcji z panią Howe. Byłem w trzeciej klasie...

Syd nie śmiała się. Milczała.

– Więc wstąpiłeś do marines – spytała po dobrej minucie – aby znaleźć odwagę? Aby przezwyciężyć lęk?

– Nie – odrzekł Dar. – Właściwie nie. Wcześniej skończyłem szkołę średnią, potem w trzy lata college z dyplomem z fizyki, ale przez cały ten czas najbardziej interesowałem się takimi kwestiami jak śmierć oraz strach i jego opanowanie. Wtedy właśnie zacząłem czytać o Spartanach i poznałem ich idee związane z kontrolą lęku. – Odwrócił się i popatrzył na kobietę. – Wówczas wybuchła wojna w Wietnamie...

Sydney położyła dłoń płasko na jego piersi. Darwin poczuł chłód jej palców.

– Zatem – powiedziała bardzo cicho – twój wybór padł na piechotę morską.

Minor wzruszył lekko ramieniem.

– Tak.

– Pomyślałeś, że może żołnierze marines posiadają umiejętność panowania nad strachem.

– Coś w tym rodzaju – bąknął, zdając sobie sprawę, jak głupio to wszystko brzmi.

– A posiadają?

Zamyślił się, gryząc wargę.

– Nie – odparł w końcu. – Zachowują charakterystyczną dla Spartan karność i dyscyplinę, próbując żyć i działać zgodnie z podobnymi ideałami, nie mają jednak pojęcia o nauce i filozofii, które legły u podstaw spartańskiego światopoglądu.

– A dlaczego zostałeś... akurat snajperem? – spytała Syd. – Jedyni strzelcy wyborowi, jakich spotkałam, działali w zespołach taktycznych SWAT i FBI. Wszyscy wyglądali mi na swego rodzaju wyrzutków...

– Bo nimi są i zawsze byli – przyznał Dar. – Prawdopodobnie z tego właśnie

względu wybrałem tę specjalność. Nawet marines uczą się pracować jako część większego hm... organizmu, a każdy snajper działa sam lub z obserwatorem, jeśli należy do dwuosobowego zespołu. I musi brać pod uwagę tak wiele czynników: teren, prędkość wiatru, dystans, światło... dosłownie wszystko. Niczego nie może zlekceważyć.

– Potrafię zrozumieć, co cię tam ciągnęło – szepnęła Sydney. – Stała konieczność myślenia.

– Facet, który założył i prowadził moją szkołę snajperską, był kapitanem marines i nazywał się Jim Land – kontynuował Darwin. – Po wojnie wietnamskiej napisał coś w rodzaju podręcznika instruktazowego dla snajperów pod tytułem: *Jeden strzał – jedna śmierć*. Chcesz posłuchać kilku instrukcji dla strzelców wyborowych?

– Tak – odparła cicho. – Poproszę co ciekawsze.

Minor uśmiechnął się.

– Kapitan Land pisze tak: „Samotna walka wymaga szczególnego typu odwagi. Człowiek jest sam ze swoimi lękami, sam ze swoimi wątpliwościami. Nie ma wokół siebie nikogo, od nikogo więc nie może czerpać siły i wsparcia. Jest skazany wyłącznie na siebie. Męstwo żołnierza walczącego w pojedynkę musi mieć charakter wyjątkowy i nie może – jak to bywa najczęściej – wynikać jedynie z przypływu adrenaliny i naturalnego na polu walki strachu”.

– Katalepsja – wtrąciła Sydney. – Mówiłeś mi o tym wcześniej.

– Tak – przyznał Darwin, po czym podjął: – Land pisze, że: „Snajper nie odczuwa nienawiści do wroga i choć uważa go za coś w rodzaju zwierzyny, na którą poluje, żywi do niego szacunek. W aspekcie psychologicznym jedyny motyw, jaki towarzyszy wyborowemu strzelcowi, to wiedza, że musi on wykonać swoje zadanie. Powinien mieć również przekonanie, że jest najlepszym kandydatem do wykonania owego zadania. Na polu bitwy nienawiść może zniszczyć każdego człowieka, a w szczególności snajpera. Zabijanie dla zemsty w ostatecznym rozrachunku może pozbawić człowieka zdrowych zmysłów. Kiedy patrzysz przez lunetę karabinu, pierwsze, co widzisz, to oczy wroga. Istnieje spora różnica między strzelaniem do cienia, do zarysu sylwetki i strzelaniem prosto w oczy. Zdumiewające, że gdy w kogoś wycelujesz, natychmiast dostrzegasz jego oczy. Wielu doskonałych podczas szkolenia strzelców nie potrafi wtedy oddać strzału...”.

– Ale ty potrafiłeś – podsumowała Sydney. – W Dalat. Patrzyłeś ludziom w oczy i nie przeszkadzało ci to pociągnąć za spust. Na tym polegał twój sekret. Dzięki temu przeżyłeś wszystkie te lata.

– Tak sądzisz? – spytał Dar.

– Tak, to kontrola, opanowanie – odrzekła. – Walka z lękiem, narzucanie sobie spokoju... za wszelką cenę.

– Być może – przyznał. Nie lubił psychoanalizy i tego typu wniosków. – Po prostu zawsze mi się udawało.

– Z wyjątkiem jednego strzału pociskiem kaliber .410 – wytknęła mu Syd.

– Niewypał – zgodził się Darwin. – Było to w jedenaście miesięcy po śmierci Barbary i dziecka. Wtedy coś takiego wydawało mi się... logiczne.

– A teraz?

– Mniej logiczne – mruknął. Odwrócił się i wziął kobietę w ramiona. Przez długą chwilę całowali się. Potem Sydney odsunęła się na tyle daleko, aby skupić spojrzenie na jego twarzy.

– Zrobisz coś dla mnie jutro, Dar? Coś szczególnego... tylko dla mnie?

– Tak – odparł bez wahania.

– Zabierzesz mnie w powietrze?

Zastanawiał się, ponownie zagryzając wargę.

– Polecisz szybowcem Steve'a... Wiesz, że mój ma tylko jedno siedzenie i...

– Spytam jeszcze raz: zabierzesz mnie jutro w powietrze, Dar?

– Tak – odrzekł.

Rozdział dwudziesty pierwszy

U JAK UNIESIENIE

Po pierwsze: cisza.

Wyczynowy, dwuosobowy szybowiec Twin Astir sunął przez powietrze cicho i zdecydowanie niczym jastrzęb z czerwonym ogonem, szybujący i wznoszący się na niewidocznych prądach termicznych. Z zewnątrz do Dara i Syd docierał jedynie niegłośny dzięki ich prędkości szum powietrza przesuwającego się nad metalowo-płócienną konstrukcją maszyny. Kiedy znaleźli się na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów i nadal się wznosili, oboje nałożyli maski tlenowe; wcześniej Minor pochylił się do przodu i sprawdził, czy jej maska działa poprawnie. Z powodu masek nie rozmawiali. Subtelny syk przemieszczającego się tlenu stanowił jedyny dodatek do odgłosów powodowanych przez ruch powietrza poza szybowcem.

Po drugie: światło słoneczne.

Dzień był piękny, niebo – błękitne; jedynie kilka większych obłoków sunęło nad wysokimi szczytami, poza tym nic nie zakłócało doskonałej widoczności. Słońce odbijało się od powierzchni kabiny, dając Darwinowi i Sydney pełny widok mimo wysokości trzech i pół tysiąca metrów. Na zachodzie, za pasmami wzgórz, górami i głębokimi uskokami połyskiwał Pacyfik. Na północy unosił się smog wiszący nad Los Angeles i położonymi na wschód od miasta wzgórzami. Na południowym wschodzie jarzyła się pustynia i błyszczało jezioro Salton. Na południu widać było wielką, czerwoną przestrzeń meksykańskiego stanu Kalifornia Dolna Północna, ciągnącą się daleko i widoczną poza smogiem unoszącym się nad Tijuaną i Ensenadą.

Po trzecie: bliskość.

Nawet gdyby nie pasy, Dar mógłby tylko lekko się pochylić przed siebie nad niską tablicę przyrządów i otoczyć ramionami Syd. A tak docierał do niego jedynie zapach szamponu, którym mył jej tego ranka włosy. Pamiętał strumyczki wody i piany spływające po ramionach i piersiach, gdy płucał jej włosy, a później wyciskał z nich wodę; w porannych promieniach słońca bąbelki szamponu błyskały na piersiach kochanki i jej sutkach...

Potrząsnął głową i skoncentrował się na locie.

Kiedy przyjechali rano do portu szybowcowego Warner Springs, Steve był zaskoczony, ale i zadowolony, słysząc, że Dar pragnie pożyczyć jego twin astira; zapłaty odmówił. Ken jeszcze bardziej się zdziwił, widząc Darwina Minora z kobietą.

Dar zrobił długi przegląd przedlotowy wyczynowego szybowca dwumiejscowego, a później wraz z Sydney trzykrotnie przejechali spadochrony i omówili ich użycie.

– Steve nie kazał mi zakładać spadochronu – zauważyła Syd.

– Wiem – odparł Dar. – Ale jeśli lecisz ze mną, musisz go nałożyć.

Był to jego stary spadochron, który Darwin wcześniej sprawdził, a teraz zacisnął pasy i wyrównał, aż idealnie odpowiadały Sydney. Robiło się coraz później i coraz goręcej, a on wciąż pouczał przyjaciółkę w kwestiach związanych z bezpieczeństwem, niebezpieczeństwem, opuszczeniem maszyny, użyciem linki wyzwalającej spadochron i samego spadochronu. Nerwowo nabijał jej głowę szczegółami, mówiąc o kontroli pionu i cięgien nośnych, zmianie kierunku, klęknięciu podczas lądowania i tak dalej.

– Czy kiedykolwiek – przerwała mu w końcu kobieta – musiałeś wyskoczyć z szybowca na spadochronie?

– Nigdy – przyznał Dar.

– A w ogóle kiedyś użyłeś spadochronu?

– Tylko raz, jakieś dziesięć lat temu – odparł. – Był to normalny ćwiczebny skok, po którym wiedziałem, że jeśli będę musiał, zdołam się ewakuować.

– No i?

– Cholernie się przeraziłem – odrzekł zgodnie z prawdą po czym wrócił do instruowania Sydney.

Raz się posprzeczali, gdyż Syd chciała zabrać półautomat SIG i dodatkowe magazynki. Dar oświadczył jej, że na pokładzie szybowca broń naprawdę nie jest potrzebna i że kabura, pistolet oraz trzy magazynki przy pasku będą jej tylko przeszkadzać, gdy usiądzie ze spadochronem i zapnie pasy bezpieczeństwa. Kobieta upierała się, że jako funkcjonariusz wymiaru sprawiedliwości ma obowiązek przez cały czas nosić broń. Darwin ustąpił jej w końcu, choć ostrzegł, że pistolet zacznie ją porządnie uwierać już pół godziny po starcie.

Tlen zabrał z powodu entuzjazmu Kena i Steve'a, gdy obaj zgodnie stwierdzili, że dzień jest odpowiedni na szybowanie falowe – najszybszy i najbardziej gwałtowny sposób wznoszenia się maszyny – toteż kolejne kilka minut Darwinowi zajęło pouczenie Syd, jak korzystać ze zbiorniczka i jakich sygnałów ręką powinna użyć, kiedy mimo maski będzie musiała go o czymś poinformować.

– Jedna ważna kwestia – dorzucił, gdy holownik Kena zaczął ciągnąć ich szybowiec na zachód, pod wiatr. – Jeśli już mowa o tlenie, staraj się nie zwymiotować w maskę.

– Co zatem mam zrobić, gdy będzie mi niedobrze?

– Jeśli poczujesz napływające mdłości, na prawo od swojego siedzenia znajdziesz małą torebkę. Zdejmij maskę i wymiotuj w torbę, a gdy skończysz, ponownie załóż maskę na twarz.

– Cudownie – mruknęła Syd. Twin astir powoli się wznosił. – Naprawdę potrafisz uprzyjemnić lot.

Jak do tej pory Sydney nie miała mdłości. Wykazywała za to spore ożywienie,

kiedy Ken holował ich na zachód, ku tak zwanej szczelinie fenowej – wirowi wznoszącego się spiralnie powietrza – między chmurami soczewkowymi i górami. W końcu Ken zostawił ich na wietrze. Dar wzniósł i zawrócił szybowiec, wykorzystując siłę niewidocznych powiewów.

Był ostrożnym pilotem i wiedział, iż nawet w tak piękny, niemal bezchmurny dzień jak ten można podczas wznoszenia napotkać dużą turbulencję.

– A skrzydła powinny się tak gnać? – spytała Syd przez ramię, spoglądając z powątpiewaniem, jak twin astir próbuje wzlecieć, machając skrzydłami niczym gęś śnieżna.

– Dokładnie – odparł Dar. – Gdyby się tak nie wyginały, mogłyby się połamać. Dobrze, że się gną.

Oszacował odpowiednio czoło fali i znów przeleciał przez następną turbulencję zewnętrznych fal. Tu odkrył prawdziwy środek siły nośnej. Dalej leciał już spokojnie, łagodnie i bezdźwięcznie, aż zapierało dech.

– Mój Boże – jęknęła Sydney. – Czuję się jak w windzie.

– Jesteśmy w swego rodzaju windzie – powiedział.

– W stosunku do ziemi i gór wcale się chyba nie przemieszczamy – zdziwiła się.

– Tak rzeczywiście jest – zgodził się Darwin. – Wiatr wieje z dostateczną siłą, możemy więc właśnie teraz wykonać maksymalne wzniesienie, nasza prędkość względem powierzchni wynosi jednak zero. W ciągu minuty będę musiał wykonać kolejny zwrot i przejście, w przeciwnym razie wiatr zepchnie nas z powrotem w tamte chmury soczewkowe i stracimy sporo wysokości... teraz jesteśmy w doskonałej równowadze.

Syd zareagowała jedynie, wysuwając dłoń nad siedzenie i tablicę przyrządów. Minor wahał się zaledwie sekundę, po czym wyciągnął rękę, chwycił jej dłoń i ścisnął.

No a później, na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów, nałożyli maski tlenowe, ot tak, dla ostrożności.

Wciąż gładko szybowali i wznosili się, skręcali w prawo, potem niczym jastrzęb zawisali na niewidocznej kolumnie prądu termicznego, patrząc, jak niebo staje się coraz bardziej niebieskie, a horyzont rośnie w oczach.

Dar miał w pamięci trójwymiarową mapę kontrolowanych i niekontrolowanych przestrzeni powietrznych na tym obszarze Kalifornii – czyli od części A do części G – toteż wiedział, że obecnie znajdują się w części E przestrzeni kontrolowanej, lecz dość daleko od wszystkich wież kontroli lotów. Lecieli więc zgodnie z panującymi w powietrzu zasadami. Mogliby się wznieść aż do pułapu pięciu i pół tysiąca metrów nad poziomem morza, powyżej tej wysokości zaczynały się już bowiem trasy odrzutowców i samolotów handlowych. Darwin wyrównał szybowiec na czterech

i pół tysiąca metrów. Aby utrzymać tę wysokość, musiał nieco zwiększyć prędkość lotu.

Polecił Syd na moment przejąć stery i tylko kontrolował lot, pokazując przyjaciółce, w jaki sposób wykonać skręt, nie tracąc ani prędkości, ani wysokości.

Sydney podniosła maskę i spytała:

– Może jakieś akrobacje?

Dar zmarszczył brwi, tym niemniej także podniósł maskę, czując na twarzy zimne powietrze.

– Masz na myśli akrobacje lotnicze?

– Tak – odrzekła kobieta. – Steve opowiadał mi, że potrafisz wykonać pętlę, beczki i inne figury szybowcowe.

– Nie sądzę, żeby ci się spodobały – odparował.

– Na pewno mi się spodobają! – upierała się Syd.

– Załóż z powrotem maskę – polecił. – Grozi ci niedotlenienie. – Dodał jednak: – I trzymaj się... Puść drążek i zdejmij stopy z pedałów.

Znajdowali się nadal w strefie wznoszenia, lecąc szybko, pod wiatr. Teraz Darwin opuścił nieco dziób twin astira, starając się zyskać na prędkości. Bez ostrzeżenia wykorzystał ułożenie lotek i wykonał beczkę autorotacyjną równocześnie używając steru pionowego i poziomego, starając się utrzymać dziób szybowca wymierzony w punkt tuż nad horyzontem. Szybowiec sprawował się świetnie i leciał dokładnie tam, gdzie Minor go kierował.

– Tak, tak! – krzyczała Sydney. – Powtórzmy to.

Dar potrząsnął głową. Po chwili wszakże ogarnęła go chęć do dalszych popisów. „Dla dziewczyny” – pomyślał i przechylił maszynę. Dziób opuścił poniżej linii horyzontu, nieco zwiększając w ten sposób prędkość, poruszył sterem poziomym i pionowym, wyrównał lot, po czym niespodziewanie wprowadził szybowiec w pełną beczkę akcentowaną na schodzeniu wokół niewidocznej osi horyzontu. Niebo i ziemia zamieniły się przed nim miejscami, raz, drugi, trzeci, czwarty... Znowu wyrównał lot, sprawdził wysokość maszyny, skontrolował powierzchnie sterowe i prędkość pionową na wariometrze, zerknął na szybkościomierz MacCready’ego, starając się ocenić najlepszy czas przejścia do następnego prądu termicznego.

– Jeszcze, jeszcze! – krzyczała kobieta.

Dar wznosił się dziobem do góry, aż szybowiec stanął pionowo, potem zaczął opuszczać dziób, po czym zanurkował bezpośrednio ku powierzchni, która znajdowała się obecnie około trzech tysięcy metrów pod nimi. Podczas takiego manewru pasażerowie czuli się, jakby ktoś odciął utrzymujące ich w górze sznurki i odnosili wrażenie, że elegancki szybowiec wyczynowy za chwilę trzaśnie o ziemię, zmieniając się w stos metalu i nikomu niepotrzebnego płótna. Niczym aluminiowa

trumna wyrzucona z transportowca.

Syd wrzasnęła i Minor na moment poczuł się winny, po chwili jednak uznał jej krzyk bardziej za objaw radości niż strachu. Poluźnił maskę na twarzy i powiedział:

– Będziesz musiała nas z tego wyratować.

– Ale jak?!

– Pchnij drążek do przodu.

– Do przodu? – jęknęła Sydney przez maskę. – Nie do tyłu?

– Na pewno nie – odparł Dar. – Pchnij do przodu. Najpierw delikatnie.

Kobieta odepchnęła od siebie drążek i skrzydła weszły w odpowiednie noszenie. Powoli, dzięki wskazówkom Darwina Syd udało się ustawić szybowiec w pozycji poziomej. Minor spojrział na wariometr i wiedział, że już nie tracą wysokości.

– Ten głupi wyczyn nazywa się przewrotem – wyjaśnił. Przejął stery, kazał Sydney trzymać się, po czym poderwał dziób twin astira do pionu. Prędkość szybowca natychmiast spadła, a gdy osiągnęła punkt krytyczny, Minor wykonał skręt i maszyna obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, znów celując dziobem prawie pionowo w dół. A gdy szybowiec nabrał prędkości, Darwin pozwolił mu się poruszać normalnym, spokojnym, typowo szybowcowym ślizgiem.

– Jeszcze raz! – poprosiła Sydney.

– Nie, nie sędzę – odparł Dar. Zdjął maskę i wyłączył regulator. – Przez te wszystkie wygłupy opadliśmy do dwóch i pół tysiąca metrów. Możesz zdjąć maskę i wyłączyć dopływ tlenu.

Zrobiła, jak powiedział.

– Zróbmy pętlę.

– Nie spodoba ci się – rzekł Darwin, wiedząc doskonale, że przyjaciółce pętla ogromnie się spodoba.

– Proszę.

Zanim zdołał odpowiedzieć, dostrzegł biały helikopter Bell Ranger, który pojawił się w odległości piętnastu metrów na prawo od nich i wyrównał na tej samej wysokości.

– Co za idiota! – mruknął Dar, zamilkł jednak, gdy zobaczył, jak tylne drzwiczki helikoptera się otwierają i pojawia się w nich kucający mężczyzna w ciemnym ubraniu. Potem błysnęła lufa w rękach zabójcy i w szybowiec tuż za kabiną uderzyły kule.

Minor przeszłuchał w swoim życiu nieskończoną niemal ilość kaset z głosami nagranych w kokpitach – czyli piętnastominutowych taśm z pomarańczowych tak

zwanych „czarnych skrzynek” – i zauważył, że w ogromnej większości poważnych katastrof lotniczych pilot, pierwszy lub drugi, wykrzykiwał na końcu: „Cholera!” lub inne przekleństwo. Darwin po tonie głosu wiedział, że przekleństwa te nie wiązały się z bliską śmiercią lecz stanowiły ostatni krzyk obrażonego lub sfrustrowanego własną niemocą profesjonalisty, który w jakiś sposób popadł w kłopoty i nie potrafił się z nich wydobyć, stając się tym samym odpowiedzialnym za śmierć swoich pasażerów.

– Cholera! – krzyknął Darwin, ustawiając maszynę dziobem w dół i jednocześnie odskakując ostro na lewo, tracąc podczas tego manewru wysokość. Gdy twin astir znalazł się sto kilkadziesiąt metrów pod beli rangerem, Minor wyrównał. Helikopter przez chwilę leciał przed siebie, po czym wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Zabójca wciąż strzelał. Dar wduśił hamulce aerodynamiczne i szybowiec stanął w miejscu, a następnie zaczął po prostu opadać. Pociski śmigwały tuż nad kabiną. Syd zdołała wyjąć swój półautomat: sig sauera kaliber dziewięć milimetrów, wyplątawszy go pomiędzy pasów, i teraz próbowała wsunąć lufę w małe otwór wentylacyjny przy drzwiczkach.

– Niech to szlag! – zawołała, kiedy helikopter wyrósł obok nich i obracał się, aby dać lepszy widok strzelcowi. – Ten facet w drzwiach ma AK-47! – dodała. Zdołała uchylić prawy otwór wentylacyjny. – Przez te pasy nie mogę osiągnąć do tych głupich, małych otworów!

– Nie odpinaj pasów! – krzyknął Darwin, rozpaczliwie usiłując wymyślić jakieś wyjście z sytuacji. „Na czym może polegać przewaga wyczynowego szybowca nad lecącym ponad trzysta kilometrów na godzinę helikopterem?” – zadał sobie w myślach pytanie. „Szybowiec potrafi wykonać pętlę, a helikopter nie...” – sam sobie odpowiedział, ale zaraz pomyślał ze złością: „Wielka mi sprawa! Może i twin astir mógłby zrobić ładną, powolną pętlę, ale beli ranger obleciałby go i do woli ostrzelał. Co jeszcze potrafi szybowiec?” – dumał rozpaczliwie. „No cóż – odpowiedział sobie – potrafimy lecieć znacznie wolniej niż oni. Ale oni mogą krążyć, cholerne gnojki”.

Helikopter ponownie pojawił się po lewej stronie. Darwin widział, że leci nim tylko dwóch ludzi: pilot, po prawej stronie z przodu, i mężczyzna w garniturze z... tak, tak... z karabinem szturmowym Kałasznikow, na tyłach. Zarówno prawe, jak i lewe drzwiczki helikoptera pozostawały otwarte. Zabójca był przypięty długimi pasami, dzięki czemu łatwo się przesunął po ławce od jednych drzwi do drugich.

Minor poczekał do ostatniej chwili, skierował maszynę w dół dla nabrania szybkości, po czym wykonał pętlę – dokładnie w momencie, gdy twin astir wszedł w turbulencję szczeliny fenowej i pionowego ruchu powietrza.

„Za późno” – pomyślał Dar, słysząc za sobą przynajmniej dwa strzały.

Gdy się wznosili, zerknął na Sydney, która siedziała z półautomatem w obu rękach i zastanawiał się, jak poważnie zostali trafieni. Żaden z pocisków nie

przeniknął na szczęście osłony kokpitu. Szybowiec nie miał silnika, który można by zniszczyć, zbiornika z paliwem, który mógłby się zapalić, ani przewodów hydraulicznych, które można by przeciąć, ta prostota maszyny oznaczała jednak, że każde trafienie w linkę sterową pozbawi ich możliwości dalszego lotu. Pocisk w lotce odebrałby Darwinowi możliwość panowania nad szybowcem. Nawet kule, które wydawały się nieszkodliwie muskać kadłub, już zmieniały przepływ powietrza i zakłócały kontrolę nad lotem.

Minor, obracając się podczas pętli, widział krążącego w odległości stu metrów na zachód beli rangersa, który czekał, aż szybowiec znów znajdzie się w pozycji poziomej. Zamiast więc wyjść z pętli, Dar trzymał dziób opuszczony, pikując ku ziemi. „Błąd” – pomyślał szybko, obserwując przesuwaną się wskazówkę wysokościomierza. Instynkt kazał mu skierować szybowiec nad kaniony, wąwozy i parowy, wykorzystać tam prądy pasma i starać się schować przed snajperem za jakieś drzewa lub wzniesienie: górę czy wzgórze. Gdy zobaczył, że wysokość spada poniżej trzystu metrów, wiedział już jednak, iż popełnił błąd – prawdopodobnie zgubny w skutkach.

W dodatku nie ścigała go jakaś zwyczajna maszyna, lecz świetny helikopter, który lecąc przed siebie, mógł się obracać wokół własnej osi, przechylać się podczas skrętu równie ostro jak twin astir i krążyć, kiedy szybowiec osiągał prędkość minimalną.

Dar wszakże nie zamierzał dać za wygraną. Spojrzał przez ramię. Bell ranger unosił się nad nim, nieco z tyłu; kojarzył się z drapieżnym ptakiem, odwlekającym atak do czasu, aż ofiara skończy się kręcić.

Minor dopiero rozpoczął serię skrętów i uników. Przeleciał nisko nad rozległą doliną, szukając miejsca, na którym mógłby osadzić szybowiec, był bowiem pewien, że na ziemi on i Sydney będą mieli większe szanse niż w powietrzu. Nigdzie nie dostrzegł jednak ani łąki, ani otwartych, odpowiednich do lądowania zboczy górskich. Wszędzie pod sobą miał drzewa, głązy i linię wzgórz. Helikopter przeleciał kilkanaście metrów, po czym opadł za szybowcem; jego wirniki iskrzyły się.

– Możemy otworzyć kabinę? – krzyknęła Syd. – Chciałabym strzelić.

– Nie – odparł Dar. Skierował maszynę bezpośrednio w ścianę skalną, znalazł ciepły prąd termiczny niecałe piętnaście metrów od niej, tu wykonał ostry przechył w lewo i wzniósł się, korzystając z prądu.

Bell ranger bez trudu zrobił zwrot, dopasował tempo wznoszenia i natychmiast ruszył za nimi. Minor wyraźnie widział, że mężczyzna na tyłach uśmiecha się, podnosząc kałasznikowa.

– Tony Constanza! – powiedziała Syd. Poluźniła pasy na tyle, że mogła pochylić się do przodu i wsunąć lufę sig sauera w otwór wentylacyjny.

Zabójca strzelał seriami, mimo iż Darwin wycelował dziobem twin astira w linię

wzgórz.

Pierwsza kula musnęła dziób szybowca, druga rozbiła osłonę kabiny, przeleciała między głowami Dara i Sydney, po czym przebiła pleksiglas po prawej stronie.

– Nic ci nie jest? – krzyknął Minor.

Zanim kobieta zdążyła mu odpowiedzieć, skierował dziób maszyny tuż nad daglezwami, strząsając igły z wierzchołków drzew, potem zaś mocno przechylił szybowiec i skierował go w wąską dolinę.

Helikopter zyskał wysokość, przemieszczając się znacznie szybciej nad linią wzgórz, po czym wzniósł się jeszcze wyżej i skierował na południe. Constanza wciąż strzelała z AK-47.

Darwin leciał między drzewami, nad wąską rzeką płynącą środkiem wąskiego parowu. Bell ranger obrócił się, gwałtownie skręcił i zatrzymał niemal przed nimi; krążył, a w otwartych drzwiczkach ciągle błyskała lufa karabinu szturmowego.

Minor przechylił szybowiec mocno w lewo i w tym samym momencie odczuł dwa trafienia w prawe skrzydło. Przeleciał szczelinę we wschodnim paśmie, które wcześniej zauważył i wybrał z powietrza. Maszynę niosło tutaj, ale Dar nie mógł w pełni korzystać z siły noszenia, gdy trzymał maszynę z dziobem w dole. Wleciał w jeszcze węższy parów, skrzydła twin astira dzieliła teraz od skalnych ścian odległość poniżej dwóch metrów.

Helikopter leciał za nimi.

– Muszę oddać strzał – jęknęła znów Syd, wierząc się dziko na siedzeniu. Jej pasy wisiały luźno, więc ciałem kobiety mocno rzucało podczas ostrych przechyłów i zaskakujących wyrównań.

– Nie – powtórzył Dar. – Coraz trudniej mi kierować maszyną. Jeśli otworzymyabinę, naszą aerodynamikę trafi szlag.

Bell ranger ryczał im nad głowami. Leciał cztery razy szybciej. Constanza wychylał się i strzelał w ich kierunku, na szczęście z niedogodnego kąta.

Szybowiec wleciał w rozleglejszą dolinę i zaczął się nieco wznosić. Kiedy niemal dotarł do chmur, Darwin przechylił szybowiec w lewo. Maszyna wyleciała z prądów termicznych i znów się wzniosła. Teraz szybowali nad pasmem wzgórz, trzysta metrów ponad rozległą, lecz zwężającą się doliną.

– Nie damy rady, jeśli zostaniemy tutaj – poinformował Syd. – Potrzebujemy wysokości.

– Mielśmy już wysokość – zauważyła kobieta, nadal trzymając w obu rękach swój półautomat. – Potem ściągnąłeś maszynę niżej.

– Wiem – przyznał Dar. – Spieprzyłem to.

Wprowadził twin astira w potężne prądy pionowe w pobliżu grzbietu wzgórza. W tym samym momencie belli ranger wykonał kolejny skręt. Zabójca wychylił się

w pasach, strzelając. Kule błyskały w słońcu. Niektóre z nich trafiły w ogon szybowca i Minor poczuł, że ma kłopoty ze sterownością. Kolejny pocisk roztrzaskał osłonę kabiny, tuż nad jego głową. Dar poderwał dziób maszyny ostro w górę, tracąc prędkość na rzecz wysokości, a wówczas następna kula rozpruła mu poduszkę fotela.

„A może trafiła mi w spadochron?” – zapytał sam siebie, wiedząc już, co zamierza zrobić.

– Wszystko w porządku? – zawołał do Sydney, kiedy gwałtownie skoczyli w górę. Wskazówki wysokościomierza i wariometru szalały, gdyż szybowiec wznosił się niesamowicie szybko. Za to prędkość maszyny spadła prawie do zera. Wykorzystując siłę wiatru, skierował ją z powrotem na zachód, wzlatując niczym przestraszony wróbel. Tymczasem helikopter ryczał nad nimi, krążąc wokół ich osi po starannie obliczonej spirali. Darwin nie odrywał oczu od przyrządów. Aby jego plan miał szanse powodzenia – o ile można to było nazwać planem – potrzebował wysokości przynajmniej półtora tysiąca metrów. Doskonale wiedział, że beli ranger nie da mu tyle czasu. Helikopter podlatywał, snajper wychylał się z lewej strony, obie maszyny wznosiły się z powolnym obrotem w lewo.

Syd jeszcze bardziej poluźniła pasy i pochyliła się do przodu, celując przez wąski otwór wentylacyjny. Udało się jej oddać pięć strzałów. Dar dostrzegł iskry w przedniej części kadłuba helikoptera, a potem zauważył, że mocno zbudowany Tony Constanza wycofuje się do środka, krzycząc coś nerwowo do pilota.

Bell ranger skręcił w prawo i zaczął wirować w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Wróg wiedział, że Darwin będzie musiał w pewnym momencie wyrównać szybowiec, a wtedy trafią go z tyłu lub z góry pod takim kątem, żeby Sydney nie mogła strzelać bez uszkodzenia osłony kabiny.

– Zaciśnij pasy! – krzyknął Dar, po czym wyjaśnił jej szybko, co zrobić.

Syd odwróciła głowę. Z zaskoczenia aż otworzyła usta.

– Żartujesz sobie ze mnie – oświadczyła. Potrząsnął przecząco głową i zawołał:

– Trzymaj się mocno.

Szybowiec przesunął się w prawo, ku zewnętrznej krawędzi szczeliny fenowej. Wiatry były tu silniejsze, podobnie jak prądy termiczne, potężne dzięki południowemu gorącu, tylko że Darwin nie miał pewności, czy zwiększona turbulencja, którą napotykali, pochodzi z noszenia czy też powodują ją uszkodzenia kadłuba i powierzchni sterowej twin astira. Przyczyny nie miały znaczenia. Piękny dwumiejscowy szybowiec wyczynowy Steve'a musiał po prostu wytrzymać jeszcze kilka minut.

Bell ranger znów znalazł się w zasięgu strzału, sunąc bokiem, jakby przemieszczał się na szynach. Dar zanurkował dla zyskania szybkości, po czym wykonał pętlę. Gdy mijali helikopter, pociski niczym kulki gradu spadały na tylną

część kadłuba. Poczul luz w prawym sterze, wciąż jednak miał jako taką kontrolę nad maszyną. Helikopter pozostał w miejscu. Pilot wiedział, że Darwin będzie musiał dokończyć pętlę. Dar faktycznie zakończył tę pętlę, ale równocześnie rozpoczął następną, wewnętrzną i obszerniejszą. Syd wystrzeliła ze swojego siedzenia dwukrotnie. Pociski z AK-47 uderzały w tablicę przyrządów, roztrzaskując je. Cztery kule rozdarły szczyt osłony kabiny kilka centymetrów nad głowami Darwina i Sydney, inne trafiły w dziób szybowca na tyle mocno, że maszyna obróciła się w lewo, gdy Minor próbował się wznieść w drugiej pętli.

Bell ranger trwał na posterunku, oczekując na kolejny przelot szybowca.

Tuż przed zakończeniem pętli, będąc może sto pięćdziesiąt metrów nad helikopterem, Dar obracał powolnego twin astira, aż zaczął wykonywać pętlę zewnętrzną. Czuł nacisk „ujemnej grawitacji” i zaczął odnosić wrażenie, że za chwilę wypadnie z szybowca. Ucisk pasów na ramionach był wręcz bolesny. Sydney głośno łapała oddech. Darwin niewiele widział do czasu, aż zmusił oporną maszynę do lotu poziomego, a potem znów poderwał dziób.

Tu szybowiec kompletnie stracił siłę nośną. Przez moment trwał w miejscu, po czym zaczął spadać. Dar ustawił maszynę dziobem do dołu i starał się kontrolować lot. Pilot helikoptera bez wątpienia obserwował jego szalone popisy akrobatyki lotniczej, ponieważ skierował maszynę w dół i leciał szybko nad doliną.

Za późno. Minor osiągał prędkość krańcową szybowca. Przez kilka cennych sekund dorównywał szybkości beli rangera. W tym momencie natarł na prawy tył biało-błękitno-czerwonego helikoptera, jak gdyby drżący, brykający twin astir był myśliwcem P-51, wysłanym do walki. Syd niestety nie mogła strzelać przed siebie z powodu osłony kabiny, a jeśli poczeka, aż znajdą się bardzo blisko helikoptera, pociski z półautomatycznego karabinu szturmowego Constanzy podziurawią szybowiec niczym ser. Zabójca nie miał trójnoğu pod kałasznikowa, dzięki temu jednak mógł strzelać bez ograniczeń we wszystkie możliwe strony. Darwin nie zamierzał dać tamtemu kolejnej szansy.

„Co mamy, czego oni nie mają?” – zastanowił się po raz dwudziesty. I po raz dwudziesty otrzymał tę samą odpowiedź. Spadochrony! Tyle że nie znał stanu swojego spadochronu. Może materiał został już w jakimś miejscu przestrzelony? Cóż, niedługo uzyska w tej kwestii całkowitą pewność.

Piloci szybowców wyczynowych najbardziej ze wszystkiego obawiają się kolizji w powietrzu. A teraz musiał sam doprowadzić do zderzenia z helikopterem.

Opadali: Dar, Syd i ich kruchy, poharatany szybowiec. Niczym wróbel atakujący jastrzębia. Darwin wiedział, że jeżeli będzie kontynuował lot tą ścieżką schodzenia, dogoni na chwilę beli rangera i go wyprzedzi – dokładnie wtedy, gdy wleczą w piętnastometrowe, tnące łopaty wirników. Kontakt z nimi był zabójczy. Dla

każdego. W ostatniej sekundzie Minor opuścił dziób twin astira, uruchomił hamulce aerodynamiczne, wyrównał prędkość i wykonał przechył w lewo. Lewe skrzydło szybowca uderzyło w łopaty wirników. Część skrzydła pękła i złamała się. Dar skręcił szybko w prawo, walcząc z drążkiem i sterami. Zyskał kontrolę na około trzy sekundy. Szybowiec obrócił się znów na lewo. Tym razem rozerwane skrzydło wsunęło się w wirnik jak drewniany bal wchodzący w głodne zęby piły tarczowej. Łopata wirnika trafiła na skrzydło, przecięła je i złamała, po czym zaczęła pękać, a on sam błyskawicznie uległ zatarciu.

Zgodnie z zasadami newtonowskimi szybowiec obrócił się gwałtownie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i wszedł w korkociąg płaski. Darwin wiedział, że żaden pilot na świecie nie zdołałby wyjść cało z takiej opresji. Twin astir, jeszcze kilka minut temu okaz aerodynamicznej doskonałości, obecnie zmienił się w wirujący rupieć, spadający z nieba prosto na ziemię. Minor stracił z oczu helikopter i spróbował się skupić na przyrządach, ale z powodu kul, które przeszły przez tablicę, i niebezpiecznego tempa wirowania nie mógł nic zrobić. Horyzont, góry, pasma wzgórz, pustynia – wszystko kręciło się z nieprawdopodobną szybkością, a ponieważ Darwin i Syd nadal tkwili w środku wirującej masy, siła odśrodkowa nie miała szczególnego znaczenia. Dar nie wiedział, czy znajdują się dziewięćset metrów czy też może tylko dziewięć metrów nad ziemią. Oprócz przypominających pęknięcie lodu odgłosów roztrzaskującego się lewego skrzydła nie wychwytywał żadnych hałasów.

Sydney walczyła z zamkiem osłony kabiny, który wydawał się zablokowany. Dar odpiął pasy, zerwał je z siebie i wstał w szaleńczo obracającej się maszynie. Zdawał sobie sprawę, że na działanie ma zaledwie kilka sekund. Wsparł się na lewym ramieniu Syd i rzucił całym ciężarem na drugą klamkę osłony kabiny. Pleksiglas pękł i nagle twarz i tułów Darwina omiółł chłodny wiatr, który wyraźnie usiłował go wyrwać z małego pomieszczenia. Minor jedną ręką przytrzymał się tablicy przyrządów, drugą zaś wyciągnął przed siebie, starając się pomóc przyjaciółce w zerwaniu pasów.

– Nie, nie te pasy! – przekrzykiwał wiatr, patrząc na szaleńczą szarpaninę Sydney. – To twój spadochron. – Przerwała i wstała. Zobaczył, że zdążyła schować pistolet do kabury i zabezpieczyć ją przed otwarciem. Chwycił prawą rękę kobiety w miejscu, w którym trzymała się krawędzi kokpitu. – Skacz, gdy doliczę do dwóch – zawołał. – Odepchnij się mocno od kadłuba... Musimy się wydostać! Raz... dwa!

Wyskoczyli. Przez sekundę ich ramiona rozłożyły się jak skrzydła. Darwina zmroziło na myśl, że Syd pociągnęła już linkę wyzwalającą spadochron. Ona starała się jednak tylko oddalić od wraku. Twin astir zaczął teraz spadać dziesięć metrów za nimi i zmienił się w ogromną trzepaczkę do jajek lub coś na kształt... helikoptera.

W kilka sekund później Darwin dostrzegł, że spadochron przyjaciółki się otwiera. Odczekał jeszcze dwie sekundy i pociągnął linkę własnego.

Spadochron się otworzył, a on natychmiast spojrzął w górę. Nie zauważył żadnych dziur w płótnie ani żadnych naddartych cięgien nośnych. Podniósł dłonie do regulatorów cięgien, gdy usłyszał łoskot opadającego i zbliżającego się do nich beli ramera. Wiedział, że jeżeli pilot zdoła utrzymać kontrolę nad helikopterem, oboje z Syd zginą.

Na szczęście nad taką maszyną trudno było zapanować, a teraz kontrola pilota nad nią nie była pełna. Pionowa łopata śmigła ogonowego praktycznie zniknęła, a to, co po niej zostało, raczej przeszkadzało w locie, niż go ułatwiało. Pilot usiłował kontrolować źle działający silnik, który wydawał się dymić – być może trafiony zabłąkanym pociskiem Syd – szarpiąc maszyną i próbując ją poderwać, a następnie bezpiecznie wykonać manewr lądowania awaryjnego. W każdym razie helikopter leciał prosto na Sydney i Darwina.

Minor szybko zrozumiał, że nie jest to kolejny atak na nich. Był przekonany, że pilot nie pragnie kolejnej kolizji, zwłaszcza z ludźmi na spadochronach, których płótno bez wątplenia wkręci się w łopaty. Tyle że niewiele już mógł zrobić i helikopter szaleńczo wirował, opadając ku ziemi w zgubnej spirali.

Nad sobą i za sobą Dar usłyszał jakiś hałas, obrócił się na pasach i spojrzął. Natychmiast sobie uświadomił, że nigdy nie zapomni tego widoku – niezależnie od tego, czy dane mu będzie przeżyć jeszcze tylko trzydzieści sekund czy też pięćdziesiąt lat.

Syd zdjęła ręce z regulatorów cięgien i trzymała teraz mocno w obu rękach swój półautomat kaliber dziewięć milimetrów. Starła się przybrać właściwą pozycję strzelecką – choć leciała na wysokości trzystu metrów – i właśnie opróżniła drugi magazynek siga, celując w przednią, pleksiglasową szybę beli ramera.

Helikopter minął Darwina tak blisko, że mężczyzna dosłownie podciągnął w górę nogi, usiłując uniknąć kontaktu z łopatami wirników. Ciężka maszyna wciąż opadała, kręcąc się coraz szybciej.

Sydney przestała strzelać. Dar spojrzął na nią i zobaczył, że wyrzuciła drugi pusty magazynek, wyjęła zza paska ostatni i wcisnęła, mimo iż pomarańczowobiały spadochron szarpał i obracał nią nieustannie. Była zbyt daleko, aby mógł do niej krzyknąć. Zrobił jedno, co mu w takiej sytuacji pozostawało: zaczął pokazywać na regulatory cięgien i ciągnąć za prawy – to pozwoli mu zbliżyć się do niej – po czym zamachał ku rozległej polanie.

Syd kiwnęła głową, schowała broń do kabury i zaczęła szarpać kółko cięgna, usiłując pójść za sygnałami Dara. Potem oboje porzucili te zmagania i przez jakiś czas patrzyli trzydzieści metrów w dół, przyglądając się ostatnim sekundom spadającego

beli rangera.

Pilot był świetnie wyszkolony, ale i to okazało się niewystarczające. Helikopter w samoobrocie jest właściwie martwym ciężarem kontrolowanym przez praktycznie martwy drążek. Ten pilot wszakże zdołał jeszcze ominąć drzewa i skierować wirującą maszynę ku polanie, po czym mniej więcej wyrównał lot wzdłuż opadającego pod kątem trzydziestu stopni zbocza. Gdyby Darwin pragnął osadzić szybowiec, starałby się wykorzystać bliskość stoku i jego siłę nośną, wylądowałby więc na zboczu; potężnemu helikopterowi stok nie był jednak do niczego przydatny, a pilot musiał lecieć w dół zbocza i osiąść płozami na powierzchni.

Z odległości kilkuset metrów polana wyglądała na wystarczająco gładką. Dar znał złudność oglądu z wysokości: na polanie na pewno leżały duże skały i mniejsze głazy, powierzchnię przecinały prawdopodobnie niewielkie parowy i porastały ją gęste krzewy; istniały też zapewne większe przeszkody. W cokolwiek beli ranger uderzył, trzasnął mocno; przednie części płóz aż zaryły, a sekundę później wirniki uderzyły w ziemię, wzniesając w powietrze tumany pyłu na dobre sto metrów w górę.

Przez ten wirujący pył Minor zdołał dojrzeć helikopter przewracający się, tracący najpierw belkę ogonową, a potem baniastą kabinę. Wybuch był głośny i straszny nawet z góry, z odległości sześćdziesięciu metrów. Potem masa poskręcanych części kadłuba uderzyła w dwa większe głazy około sto metrów dalej i tu się zatrzymała. Od południa dał się słyszeć jakiś odgłos kolejnej katastrofy. Dar odwrócił się i zobaczył resztki twin astira, znikające wśród wysokich sosen kilkaset metrów od miejsca, gdzie wraz z Sydney opadali.

Skoncentrował się na próbie łagodnego lądowania i pokazaniu przyjaciółce, jak powinna to zrobić. Jego przykład okazał się zresztą nieszczególnie budujący. Minor trzasnął w rozwidlenie grubego pnia wierzby, potem przekoziółkował i wpadł w jakieś zielsko. W końcu legł na plecach, a spadochron ciągnął się za nim po zboczu. Syd natomiast wylądowała łagodnie piętnaście metrów wyżej i... na nogi. Zrobiła dwa skoki i zatrzymała się, wyraźnie oszołomiona, lecz zdecydowanie cała i zdrowa.

Dar wyzwolił się z pasów i wstał z zamiarem udzielenia pomocy Sydney przy wypłataniu się z rynsztunku, zanim wzmoże się wiatr, który pchnie ją wyżej na stok. Nagle świat przed oczyma zaczął mu wirować, więc postanowił na moment usiąść i przeczekać. Ledwo jednak klapnął na pośladki, obok niego znalazła się Syd. Zdążyła już wyswobodzić się ze spadochronu i teraz pomagała mu uwolnić stopy z płótna spadochronu falującego wszędzie wokół niego.

– Chodź – poleciła i zaczęli schodzić ze wzgórza, ku szczątkom beli rangera.

Syd zatrzymała się i przyjrzała belce ogonowej oraz pokiereszowanemu wirnikowi z nadal uwięzionymi fragmentami skrzydła szybowca, lecz Darwin przebiegł ostatnie metry. Czuł ostry smród paliwa lotniczego na wietrze i wiedział, że

jeżeli coś się zapali w kabinie pasażerskiej, ci, którzy przeżyli upadek, zginą.

Kokpit był zupełnie pogruchotany. Pilot nie żył – siedział wciąż w pasach na fotelu, lecz z przeciętym brzuchem, z którego wylewały się trzewia i niemal całkowicie odcięta przez pokręcony pleksyglas i kawałki metalowej podłogi głową. Dar nigdzie nie dostrzegł drugiego mężczyzny. Z wraku kapało paliwo. Wdrapał się na płozy przewróconej maszyny, stanął na głównej kabinie i zjrzał do środka na tyły. Constanza tam nie było.

– Dar! – krzyknęła do niego Sydney, po czym umilkła. Znajdowała się na stoku, w odległości jakichś dwudziestu paru metrów.

Tony Constanza właśnie wyszedł chwiejnie zza większego z dwóch głazów. Był sponiewierany i pokrwawiony, w mocno podartej marynarce i koszuli, niestety trzymał w dłoniach kałasznikowa i brał na cel Darwina.

– Stój! – wrzasnęła do zabójcy kobieta, kucając i mierząc do niego z małego sig sauera.

Constanza obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Był teraz zaledwie dwa i pół metra od Minora, a z automatycznego AK-47 celował w jego pierś.

„Mogę go przeskoczyć” – pomyślał mętnie Dar. „Nie, nie możesz, dupku” – odpowiedział sobie w myślach zgodnie z prawdą.

– Zamierzasz mnie, suko, zastrzelić z tej małej pukawki? – zawołał zabójca. – Wiesz, że wcześniej zdążę rozwalić tego sukinsyna. No dalej, rzuć pistolet, głupia cipo.

Na odgłos tego słowa Minor o mało nie podskoczył. Zatrzymał go w miejscu oczywiście kałasznikow. Syd opuściła broń.

– Nie! – krzyknął Dar.

– Kazałem ci rzucić, suko! – wrzasnął Constanza, podnosząc lufę karabinu szturmowego, z którego mierzył teraz Minorowi w twarz.

Sydney podniosła sig sauera i wystrzeliła trzykrotnie, tak szybko raz za razem, że wszystkie odgłosy zły się w uszach Dara w jeden. Pierwsza kula trafiła zabójcę w lewe kolano, które rozprysło się w prysznicu kawałków krwawego ciała i białych chrząstek. Drugi pocisk wbił się wysoko w lewe udo mężczyzny, trzeci ugodził go w lewy pośladek.

Constanza odwrócił się ku kobiecie, jednocześnie opróżniając pół magazynka w ziemię.

Minor podskoczył do niego i wykopał mu broń. Syd zbiegała po stoku wielkimi krokami, ani na chwilę nie przestając celować w krzyczącego, turlającego się zabójcę.

– Pomóż mi, Jezusie, kurwa – zawył Tony Constanza, gdy Sydney zatrzymała się przy nim. – Odstrzeliłaś mi jaja, suko.

– Na pewno nie – odparła, po czym kopnęła mężczyznę w bok. Pod wpływem

kopniaka przetoczył się na brzuch, a wtedy przycisnęła mu do głowy pistolet, fachowo wykręciła ręce i zaakuła w kajdanki.

– Syd – zauważył Dar cicho – nie uczyli cię w Quantico, że z pistoletu trzeba strzelać w środek masy?

– Oczywiście, że uczyli – odparła oficer śledcza. – Ale potrzebujemy tego faceta żywego. – Schowała broń do kabury. – Znasz tylko ten jeden sposób walki z przestępcami? – spytała. – Wszystkich byś zepchnął w przepaść?

Minor wzruszył ramionami.

– Na tym się znam najlepiej – odparował. Klęknął przy głośno jęczącym mężczyźnie. – Wykrwawi się na śmierć od tej rany w udzie – oświadczył – o ile czegoś nie zrobimy...

– Tak – zgodziła się z nim Syd. Na jej twarzy nie było widać żadnych emocji.

Dar uciszał Constanzę, Sydney tymczasem zdjęła mu pasek i mocno zaciągnęła go wysoko na lewym udzie, wykorzystując to jako prowizoryczną opaskę uciskową. Kiedy zapinała pasek, zabójca wrzasnął i zemdlął.

Darwin usiadł ciężko na wyschniętej trawie.

– I tak się wykrwawi i umrze, zanim ktoś nas znajdzie. Steve albo Ken zaczną się martwić zapewne dopiero za kilka godzin.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Czasami, mój drogi Darwinie, jesteś takim barbarzyńcą. – Wyjęła telefon komórkowy z kieszeni kamizelki i wduśliła przycisk z zakodowanym numerem. – Warren – rzuciła w słuchawkę. – Jim... Syd Olson z tej strony. Tak. No cóż, mamy Tony'ego Constanzę, ale jest dość poważnie ranny. Jeśli ma być naszym głównym świadkiem, lepiej przyślij tu helikopter medyczny. Jesteśmy... – Opuściła telefon. – Gdzie, do diabła, jesteśmy, Dar?

– Wschodnia ściana Mount Palomar – odparł. – Mniej więcej na poziomie tysiąca dwustu metrów. Bell ranger ma pudło z flarami na tyłach... Powiedz Warrenowi, że kiedy usłyszymy, że nadlatują, zapalimy flary.

– Słyszałeś wszystko, Jim? – spytała Syd. – Okej. Tak... Będziemy czekać. – Spojrzała na Darwina. – Wysyłają helikopter medyczny Marine Corps z bazy Twenty-nine Palms.

– Powiedz mu, że na tym obszarze żyje mnóstwo grzechotników – dorzucił Dar.

– Będziemy czekać cierpliwie – powtórzyła Sydney – ale Dar twierdzi, że na tym wzgórzu aż się roi od grzechotników, więc, proszę cię, kaź tym marines ruszyć dupy, o ile chcesz, żeby przeżył twój świadek i ci, którzy go ujęli. – Rozłączyła się.

Popatrzeni po sobie, potem na nieprzytomnego zabójcę, w końcu znów na siebie. Oboje ociekali potem, byli posiniaczeni, z przecięć i ranek spływały im strumyczki krwi. No i lepili się od brudu. Nagle równocześnie się do siebie uśmiechnęli.

– Boże, ale jesteś piękny – zauważyła Sydney.

– Właśnie to samo miałem powiedzieć o tobie – odciął się Darwin.

Po czym objęli się i całowali tak namiętnie, że odgłosy o mało nie obudziły nieprzytomnego Constanzy. Mężczyzna postękiwał, lecz przytomności nie odzyskał.

Rozdział dwudziesty drugi

V JAK VICTORIA

Minorowi zaproponowano uczestnictwo w aresztowaniach, ale odmówił. Miał coś do zrobienia. Szczegółów wysłuchał później.

W Anglii, jak mu wyjaśniła Syd, zanim policjanci dokonają zatrzymania, wolą poczekać, aż podejrzany wejdzie do swojego domu. W ten sposób istnieje niewielkie niebezpieczeństwo zastosowania przemocy i zranienia niewinnych, przypadkowych przechodniów. W Stanach Zjednoczonych procedura wygląda dokładnie odwrotnie. Tu bowiem dom często jest niemal arsenałem bądź twierdzą, toteż amerykańska policja woli dokonać aresztowania w miejscu publicznym, lecz sprawdzonym, w którym podejrzany – przynajmniej w teorii – nie powinien mieć broni. W interesującej Darwina sprawie pięciu Rosjan, łącznie z Zukerem i Yaponchikiem, zatrzymano jednakże w domu na ranczu, gdzie się ukrywali i gdzie FBI chciało ich wziąć z zaskoczenia, używając sporej liczby uzbrojonych ludzi.

Federalne Biuro Śledcze domagało się pierwszeństwa i objęcia dowodzenia nad akcjami, które odbyły się w czwartkowy poranek. Ponieważ zginęło trzech agentów, nikt się o to z Biurem nie spierał. Dowodzący akcją agent specjalny z Los Angeles, Howard Faber, osobiście wprowadził do wieży Century City taktyczny zespół uzbrojonych w pistolety maszynowe osiemnastu agentów specjalnych w hełmach i kevlarowych kamizelkach kuloodpornych. Była szósta czterdzieści osiem rano, czasu pacyficznego. Dowodzący dochodzeniem agent specjalny James Warren pragnął uczestniczyć w tych działaniach, musiał jednak objąć kierownictwo inwigilacji i ataku na odosobnione ranczo rosyjskich przedstawicieli mafii w pobliżu toru wyścigowego w Santa Anita. Główna oficer śledcza Sydney Olson, również z kamizelce kuloodpornej z jaskrawożółtym napisem „FBI”, została zastępczynią Fabera w akcji aresztowania Dallasa Trace’a. Tak jak pozostali, miała pistolet maszynowy Heckler & Koch MP-10.

Trace występował akurat na żywo w CNN, prowadząc swój program „Sprzeciw podtrzymany”, nadawany o zwykłej porze, czyli o godzinie dziesiątej rano czasu wschodniego, a ósmej czasu pacyficznego. Agent specjalny Faber i każdy z szefów jego zespołów taktycznych zostali wyposażeni w niewielkie odbiorniki telewizyjne. Wszyscy oglądali program. Patrzyli na napisy, a gdy wstępna muzyka się skończyła, nowojorska prawniczka, także eksadwokatką, przedstawiła temat dnia i zaprosiła swojego przyjaciela i kolegę po fachu z Kalifornii, sławnego obrońcę Dallasa Trace’a. Srebrzystowłosej mecenas siedział rozparty w skórzanym fotelu, w swojej zwykłej pozie, przy biurku i był ubrany w swoją ulubioną kamizelkę ze skóry bizona. Okna za nim pokazywały spowite smogiem poranne Los Angeles.

Dziesięciu agentów z zespołów taktycznych Federalnego Biura Śledczego przesunęło się przez biura, zbierając z pokoi i boksów „ranne ptaszki” – sekretarki, młodych prawników, asystentów i recepcjonistki – i gromadząc ich w zewnętrznej recepcji, gdzie całej grupy pilnowali dwaj agenci w czarnych kamizelkach kuloodpornych. Po zabezpieczeniu korytarzy i biur dwóch innych agentów otworzyło kopniakiem drzwi prowadzące do sali konferencyjnej, która podczas transmisji telewizyjnej służyła jako pokój wypoczynkowy. Siedziało tam trzech spośród czterech amerykańskich ochroniarzy mecenasa Trace’a. Spoglądali w monitory, pili kawę i zażerali się pączkami. Na zespół taktyczny popatrzyli z otwartymi zaskoczenia ustami, a chwilę później znaleźli się na podłodze, z rękoma za głowami, obcesowo pchnięci tam przez agentów FBI. Każdy z ochroniarzy miał przy sobie przynajmniej jeden pistolet, a najroślejszy z nich także drugi z tyłu, za paskiem i dodatkowy mały rewolwer w kaburze przy kostce. Dwóch z tych trzech nosiło również wojskowe składane noże o długich ostrzach.

Faber, trzech jego agentów z pistoletami maszynowymi MP-10 oraz Syd czekali przed biurem prawnika. Zerkali na przenośny monitor, sprawdzając, czy do Trace’a nie docierają przypadkiem jakieś odgłosy ich akcji.

Dallas Trace właśnie mówił, cedząc po tekszańsku słowa: „...a gdybym był obrońcą tych biednych, oskarżonych, prześladowanych i udręczonych rodziców, którzy wszak nie są wcale winni tragicznej śmierci swojej córki, zaskarżyłbym miasto”, kiedy nagle czterej agenci Federalnego Biura Śledczego otworzyli kopniakami drzwi, wpadli do pomieszczenia i wycelowali pistolety w siedzącego za biurkiem. Za nimi wkroczyła Sydney Olson.

Dwaj operatorzy i jeden dźwiękowiec popatrzyli pytająco na producenta, czekając na wskazówki. Producent zawahał się na sekundę, po czym podniósł rękę i przez chwilę kręcił palcem, sugerując im, że mają dalej nagrywać. Dallas Trace zagapił się na intruzów z szeroko otwartymi ustami.

– Mecenasi Trace, jest pan aresztowany za współudział w morderstwach i oszustwach – oświadczył agent specjalny Faber. – Proszę wstać.

Prawnik wciąż siedział. Usiłował coś powiedzieć, najwyraźniej jednak nie potrafił od razu wrócić do rzeczywistości z życia fikcyjnego – czyli opowieści o biednych, oskarżonych, prześladowanych i udręczonych rodzicach zamordowanej dziewczynki – zanim wszakże zdołał wydać z siebie choćby dźwięk, dwóch ubranych na czarno ludzi z FBI chwyciło go pod ramiona, poderwało z fotela i postawiło. Syd skuła mu nadgarstki za plecami. Po tym prawdopodobnie najdłuższym w jego dorosłym życiu okresie milczenia Dallas Trace wreszcie zdołał się odezwać, a dokładnie mówiąc, ryknąć:

– Co robicie, do ciężkiej cholery? Macie pieprzone pojęcie, kim jestem?!

– Mecenasiu Dallasie Trace – powtórzył Faber. – Jest pan aresztowany. Ma pan prawo zachować milczenie...

– Sam sobie zachowuj, kurwa! – wrzasnął prawnik, a jego teksańskie cedzenie ustąpiło miejsca nosowemu akcentowi z New Jersey. – Każ tej suce zdjąć mi kajdanki.

Jak pokazało późniejsze głosowanie, właśnie ten tekst Trace'a, nadany na żywo w popularnym programie jeszcze bardziej popularnego kanału CNN, zraził do podejrzanego większość potencjalnych kandydatek do ławy przysięgłych.

– Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu w sądzie – kontynuował Faber, kiedy mężczyźni w czarnych kamizelkach kuloodpornych odpinali mecenasowi od klapy mikrofon, od paska zaś wzmacniacz i kable, po czym wyprowadzali go zza biurka. – Ma pan prawo do adwokata...

– To ja jestem adwokatem, cholerny dupku! – Dallas Trace tak wrzeszczał, że aż się opluł własną śliną. – Jestem głównym obrońcą w Stanach Zjednoczonych...

– Jeżeli nie stać pana na adwokata, zostanie on panu przydzielony z urzędu – ciągnął spokojnie Faber, podczas gdy pięć osób – trzech agentów, Trace i Sydney – przechodziło obok wytrzeszczającego oczy producenta nagrania. Obaj zdjeciowcy uśmiechali się szeroko, obracając kamerę w ślad za grupą przemieszczającą się do drzwi, gdzie czekali inni agenci z zespołu taktycznego z wycelowanymi pistoletami.

Dallas Trace obejrzał się przez ramię na kamery.

– Greta! – jęknął, zwracając się do swojej nowojorskiej współprowadzącej. – Widziałaś to?! Widziałaś, co mi zrobili...?!

I wtedy zniknął z monitorów i ekranów. Producent podbiegł do wciąż włączonego mikrofonu i rzucił go w stronę Sydney.

– Czy możemy poznać powody tego szokującego aresztowania w samym środku... – zaczął, lecz Syd natychmiast mu przerwała.

– Bez komentarza – oświadczyła, po czym wraz z pozostałą dwójką agentów opuściła biuro.

W ten sam czwartkowy ranek sześciu przedstawicieli Federalnego Biura Śledczego i pięciu reprezentujących Sherman Oaks funkcjonariuszy w cywilu przeprowadziło szturm na dom Dallasa Trace'a. Nikt nie stawiał oporu. Goryl, który został w domu do ochrony pani Trace, przypadkiem akurat leżał z nią w łóżku, kiedy do sypialni wpadł zespół taktyczny FBI. Ochroniarz wyswobodził się z obejmujących go mocno nóg Destiny, przetoczył na bok, zerknął na kaburę podramienną wiszącą na oparciu i pistolet leżący na siedzeniu krzesła, stojącego z sześć metrów od niego,

potem podniósł wzrok na cztery lufy wyposażonych w tłumiki pistoletów Heckler & Koch MP-10; czerwone kropczki ich celowników laserowych tańczyły mu na czole. Mężczyzna zastanowił się przez sekundę i podniósł ręce.

Pani Dallasowa Trace uniosła się na łóżku, przez sekundę walcząc z impulsem przykrycia nagich piersi. Jeden z agentów Federalnego Biura Śledczego najprawdopodobniej zapatrzył się w jej biust, ponieważ kropka lasera zamigotała na wydatnych piersiach, po czym wróciła na czoło ochroniarza.

Destiny zmarszczyła brwi, wydeła usta, obrzuciła spojrzeniem stojącego kochanka, następnie zerknęła na tłoczących się wokół agentów FBI w szturmowych hełmach, okularach i kamizelkach kuloodpornych, w końcu utkwiała wzrok w detektywach z Sherman Oaks w kamizelkach kevlarowych. Znowu zmarszczyła czoło, po czym niespodziewanie krzyknęła:

– Pomocy! Gwałcą! Dzięki Bogu, że się zjawiliście, panowie policjanci... Ten człowiek na mnie napadł!

W poniedziałek, przed czwartkowymi obławami, Lawrence spędził niemal cały dzień, pomagając Darwinowi rozstawiać nowy sprzęt inwigilacyjny.

– To cię będzie cholernie kosztować – stwierdził Stewart. – Dostawa z dnia na dzień i tak dalej. – Wynosili z isuzu troopera kamery wideo, akumulator, kable i wodoodporny brezent, po czym wszystko ustawiali przy drodze do domku. – Gdybyś mi dał parę tygodni, załatwiłbym ci to wszystko dużo taniej. Zaoszczędziłbyś z tysiąc dolców.

– Za kilka tygodni nie będę tego potrzebował – odparował Dar.

Pierwszą kamerę umieścili pod koroną drzewa, z boku żwirowego podjazdu, mniej więcej pół kilometra od domku. Była nowoczesna i dokładna, a równocześnie niewiele większa od przeciętnej książki, miała obiektyw zmiennoogniskowy i możliwość zdalnej obsługi przy użyciu pilota. Zasilą ją bateria litowa, miała też mały nadajnik, który dał się łatwo ukryć w pniu nieco zmurszałej brzozy. Także zdalnie można było zmienić obiektyw – z dziennego na nocny. Po zmroku włączał się elektroniczny wzmacniacz światła. Kamera wraz z resztą sprzętu naprawdę kosztowała Dara majątek.

Umieściwszy kamerę, Minor podjechał do domku i usiadł w land cruiserze, skąd sterował sprzętem, używając pilota: obracał, przesuwiał, nastawiał obiektyw i zmieniał go. Przecwiczyl włączanie i wyłączanie. Sprawdził przesył obrazu na przenośny monitor trzycalowy. Potem zadzwonił z komórki do Lawrence'a.

– Doskonale się sprawuje, Larry.

– Lawrence.
– Chodź do domku, zanim się zabierzemy za pozostałe kamery, zaparzę kawę.
I pokażę ci coś, co znalazłem w lesie.

Wypili kawę, a potem Darwin zostawił nie rozpakowany sprzęt wideo w domku i zabrał Stewarta na przechadzkę. Skierowali się na wschód, do wozu, ale potem zeszli ze szlaku i wśród głązów wspięli się na wysokie wzgórze, górujące nad domkiem. Stamtąd zeszli między daglezjami zielonymi w miejsce odległe od budynku o jakieś trzydzieści metrów. Minor milcząco wskazał dużą kamerę wsuniętą w gałęzie jednego z drzew. Obiektyw kamery wycelowany był w domek.

Lawrence nic nie powiedział, lecz sprawdził wszystko tak starannie, jak ekspert od amunicji zbadałby minę lądową. W końcu oświadczył:

– Nie ma mikrofonu. Nie obraca się, nie ma też zoomu ani nocnego wzmacniacza wizji. To po prostu szerokokątny obiektyw, ale daje niezły widok na twój parking i wejście do domku. Poza tym ma piekielnie mocną baterię, możliwość wielodniowego nagrywania, prawie na pewno datownik i cholerną antenę teleskopową. Ktokolwiek cię szpieguje, zamówił kilkudniowy film, z którego będzie wiedział, kto przebywa w domu i w jakim okresie.

– Zgadza się – przyznał Dar.

– Przy tak potężnym nadajniku i antenie obraz można oglądać zapewne nawet kilka kilometrów stąd – zauważył Stewart.

– Właśnie – zgodził się Minor.

Lawrence podpełzł do pokrytego żywicą pnia i ponownie obejrzał kamerę.

– Federalne Biuro Śledcze raczej takich nie używa, Dar. Jest zagraniczna... chyba czeska, tak sędzę... trochę prymitywna, ale wytrzymała. Zdaje mi się, że nagrywa w formacie PAL.

– Też tak pomyślałem – mruknął Darwin.

– Rosjanie? – spytał Stewart.

– Niemal na pewno.

– Chcesz, żebym ją zdeaktywował?

– Nie, wolę, żeby wiedzieli, gdzie jestem – odparł Dar. – Po prostu chciałem ci ją pokazać. Dzięki temu wiesz, czego nie możemy ujawnić, kiedy znajdujemy się przed obiektywem.

– Czy są inne? – zapytał Lawrence, patrząc podejrzliwie na las, w którym przeplatały się z sobą obszary światła i cienia.

– Żadnej innej nie znalazłem.

- Poszukam ich dla ciebie – zadeklarował się przyjaciel.
- Będę ci wdzięczny, Larry. – Minor miał wielki szacunek dla specjalistycznej wiedzy Stewarta na temat elektronicznych urządzeń inwigilacyjnych.
- Lawrence – odparł Lawrence, zsuwając się między drzewami niczym hałaśliwy niedźwiedź.

Tony Constanza wyśpiewał wszystko natychmiast po przebudzeniu z pooperacyjnej narkozy w sobotnie popołudnie. Chociaż jego pokoju szpitalnego pilnowało pół tuzina agentów FBI, mężczyzna jawnie okazywał przerażenie. Bał się, że zjawią się zabójcy zawodowi *Organizacji*, gdy tylko ich pracodawcy odkryją, że przeżył. Zapewne uznał, że najlepiej zrobi, opowiadając całą historię – i to jak najszybciej – zanim znajdą go Yaponchik, Zucker i inni. Miał wyraźnie wielki szacunek dla ich zdolności. Podszedł też z pewnym entuzjazmem do programu ochrony świadków, uczestnictwa w nim i zamieszkania w Bozeman, w stanie Montana. Powtórzył nazwę miejscowości kilka razy.

Constanza powiedział, że nie wie dokładnie, gdzie ukrywają się Rosjanie, dodał jednak, że jest to „jakiś dom na ranczu, położonym gdzieś za torem wyścigowym Santa Anita, w pobliżu Sierra Madre Boulevard... na brązowych wzgórzach porośniętych szarłatami”. Federalne Biuro Śledcze dostało już wcześniej dokładny adres od anonimowego korespondenta; a ściśle rzecz biorąc, adres ten ustalił Darwin na podstawie numeru telefonu, który wystukał Dallas Trace podczas owej kempingowej inwigilacji. Dom sprawdziło FBI, potwierdzając w nim obecność pięciu Rosjan.

Dowodzący akcją agent specjalny James Warren wyznaczył w sobotni wieczór dwudziestu trzech funkcjonariuszy FBI do stałego nadzoru willi. Budynek był dwupiętrowy, w stylu śródziemnomorskim, i stał samotnie, oddalony od najbliższego w sąsiedztwie o dobre kilkaset metrów. Warren powiedział Sydney Olson, że wolałby od razu wejść do środka, uzyskanie nakazów rewizji i aresztowanie osób oskarżonych przez Constanzę zajęłoby jednak kilka dni, zresztą przedwcześnie zatrzymując Rosjan, ostrzegliby wszystkich innych. Tymczasem każdy ruch, który wykonali Rosjanie, starannie śledzili siedzący w furgonetkach agencji FBI, którzy udawali pracowników firmy telefonicznej lub robotników z przedsiębiorstwa naprawy dróg. Użyto sprzętu wideo i zaangażowano helikopter. Wszystkie telefony były na podsłuchu, a rozmowy nagrywano. Warren w każdej chwili mógł ściągnąć kolejną dwudziestkę agentów z oddziałów szturmowych. Pasadena, Glendale, Burbank i zespoły SWAT Departamentu Policji Los Angeles oferowały swą pomoc, chociaż

nikt nie znał szczegółów operacji.

Pierwszych aresztowań dokonał w niedzielę rano Wydział Wewnętrzny, do którego wezwano detektywów Departamentu Policji Los Angeles, Fairchilda i Venturę. Weszli do oddzielnych pokoi, gdzie musieli oddać odznaki, legitymacje, a także broń wraz z amunicją po czym zostali formalnie oskarżeni o działalność spiskową oraz o współudział w oszustwach i morderstwie czterech agentów Federalnego Biura Śledczego. Porucznika Venturę poinformowano, że Wydział Wewnętrzny i FBI wiedzą o tajnych przelewach na jego nowo założone konto w jednym z zagranicznych banków. Kwoty przelewów to osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, a następnie piętnaście tysięcy i dwadzieścia trzy tysiące. Nie ustalono żadnych bankowych wpłat na konto kapitana Fairchilda, powiedziano mu jednak, że śledztwo nadal się toczy. Obu oficerów policji przesłuchano.

Porucznik Ventura zaprzeczał twardo wszystkiemu, kapitan Fairchild natomiast się załamał. Nie tylko przyznał, że Ventura zatuszował sprawę zabójstwa Richarda Kodiaka, ale dodał też, że to właśnie porucznik wyśledził kryjówki Donalda Bordena i Gennie Smiley w okolicy zatoki i wskazał ich oboje Rosjanom Trace'a, a ci zastrzelili ich w typowy dla siebie, profesjonalny sposób: dwie kule w głowę. Według kapitana Fairchilda Ventura chełpił się nawet, że... tu zacytował: „Za kolejne dwadzieścia tysięcy sam pozbyłbym się ciała i przeprowadził całą tę akcję lepiej niż te dupki”. Kapitan przyznał w podpisanym przez siebie oświadczeniu, że Ventura traktował Dallasa Trace'a jak „kure, która zamierza złożyć im obu stosik złotych jaj” i że planował dalsze interesy z Przymierzem. Dodał, że porucznik groził mu, że go zamorduje, jeśli komukolwiek wygada o spisku.

Obaj detektywi trafili do aresztu. Dzięki chęci współpracy z Wydziałem Wewnętrznym i swoim zeznaniom Fairchild miał szansę na pobłażliwość prokuratora okręgowego. Ani Federalne Biuro Śledcze, ani Departament Policji Los Angeles nie ogłosiły faktu aresztowania, toteż obu mężczyzn FBI umieściło w jakiejś bezpiecznej kryjówce w Malibu, gdzie mieli zostać poddani dalszym przesłuchaniom. Każdy, kto telefonował na posterunek i pytał o któregoś z nich, otrzymywał odpowiedź, że pracują w terenie i są nieosiągalni, a tymczasem numery sprawdzano. Dwie ze sprawdzonych rozmów doprowadziły policję do amerykańskich ochroniarzy Trace'a, jeden zaś pochodził z domu w Santa Anita, w którym ukrywali się Rosjanie.

Podczas tych pięciu dni do ostatecznego aresztowania głównych graczy, Syd kilka razy zwierzyła się Darowi z obawy o jego bezpieczeństwo, ten jednak odpowiadał lekko: „Czego tu się lękać? FBI przez cały czas pilnuje Rosjan, a policja amerykańskich zbirów Trace'a... Jestem bezpieczniejszy niż kiedykolwiek przedtem”. Sydney była bardzo zajęta przygotowaniem do obławy, nie mogła więc spędzać czasu wraz z nim w jego domku i nie wyglądała na uspokojoną tymi słowami.

W poniedziałek przed obławą Dar i Lawrence zamontowali w domku na wzgórzach kamery światłowodowe. Minor wybrał dwa miejsca, oba na wewnętrznej ścianie południowej, tak żeby obiektywy obejmowały niemal całość dużego, choć przecież jednopokojowego domku; nie widać było jedynie szaf i łazienki.

Darwin otworzył kluczem ukryte drzwi zapadowe, sprowadził Lawrence'a po stromych schodkach, a następnie uchylił drzwi do magazynu.

– Cholera jasna – mruknął Stewart – zapadnie, sekretne skrytki... Jesteś szpiegiem, Dar? Tajnym agentem?

– Nie – odparł Minor, zakłopotany, że tak długo trzymał to miejsce w tajemnicy. – Po prostu musiałem mieć bezpieczny magazyn, w którym mógłbym przechować parę rzeczy. Rozumiesz.

– Tak właściwie to nie – odrzekł Lawrence. Znów rozejrzał się po pokoju. – Mój Boże, przypomina mi pomieszczenie z ostatniej sceny pierwszej części przygód Indiany Jonesa... tamten duży magazyn pełen skrzyń. Trzymasz tu gdzieś Arkę Przymierza?

– Nie – odciął się Dar. – Musiałem ją spalić pewnej zimy, gdy skończyło mi się drewno opałowe. – Poprowadził przyjaciela korytarzem wśród skrzyń i pokazał mu zamkniętą na kłódkę kratę wentylacyjną. – Jeśli kiedykolwiek będziesz musiał stąd wyjść, po prostu otwórz tę kratę, Larry, i wypełnij stąd tym kanałem. Ciągnie się przez sześćdziesiąt siedem metrów, aż do tej starej kopalni złota, o której ci kiedyś opowiadałem. Kończy się w stromym parowie, na wschód od domku.

Stewart potrząsnął głową.

– Nie sądzę, żeby mi się to jakoś przydało...

– Na górze są dodatkowe klucze – kontynuował Minor. – Do zapadni, do tego pomieszczenia i do kłódki na kracie... Są w skórzanym etui, pod tacką na lód w zamrażalniku lodówki.

Lawrence ponownie potrząsnął głową.

– Okej, ale nie to miałem na myśli. Chciałem raczej powiedzieć, że pewnie nie zmieszczę się w tym szybie wentylacyjnym.

Darwin spojrzał na wlot kanału, potem na Stewarta i pokiwał głową.

– No cóż, jeśli zatem zostaniesz tu kiedykolwiek uwięziony, a na górze będą się działy rzeczy... nieprzyjemne, po prostu zarygluj stalowe drzwi i nie ruszaj się z tego pomieszczenia. Ma specjalnie wzmocnione, ogniodoporne ściany, lecz dociera tu powietrze z jaskini, więc nawet jeśli dom nad tobą zacznie się palić, nic ci nie grozi.

– Jasne – mruknął Lawrence, wyraźnie bez przekonania. – Tyle że Trudy i ja

zamierzamy do końca tygodnia posiedzieć w naszym mieszkaniu w Palm Springs – dodał. – Chyba że potrzebujesz mnie tutaj.

Minor potrząsnął głową.

– Nie. Ale bądźcie ostrożni... nawet w Palm Springs, póki wszyscy nie usłyszymy, że Trace, Rosjanie i cała reszta znaleźli się za kratkami.

Stewart tylko chrząknął i poklepał pistolet w kaburze podramiennej.

Podłączyli do zasilacza sieciowego domku dwa przewody światłowodowe i nadajnik, a potem dodatkowy generator jako zabezpieczenie. Poprowadzili drut anteny wzdłuż ścian aż na dach. Później ruszyli w dół stokiem, starając się, aby domek przez cały czas zasłaniał ich przed obiektywem umieszczonej na wzniesieniu czeskiej kamery. Wreszcie dotarli do celu i zamontowali drugą kamerę zewnętrzną w wypalonym pniaku ogromnej starej daglezi, w miejscu gdzie zaczynał się otwarty stok. Potem Lawrence wrócił do domku, Darwin zaś wyjął z brązowego plecaka odbiornik wraz z monitorem i wszedł z nim kilkaset metrów na zbocze.

– Masz obraz? – spytał w komórcę głos Stewarta.

– Tak – odparł Minor. Przełączał się tam i z powrotem między kamerami drugą i trzecią. Szerokokątne obiektywy dawały wypukły widok pokoju, ale każda część małego domku z wyjątkiem łazienki i wnętrza szaf była wyraźnie widoczna na małym ekranie monitora. Tych obiektywów nie można było kontrolować, ale wydawały się skuteczne nawet przy słabym oświetleniu.

– Teraz wiem, co planujesz – rzucił Lawrence w słuchawkę.

– Doprawdy?

– Tak – odparł inspektor ubezpieczeniowy i prywatny detektyw w jednym. – Chcesz zrobić tu wielką orgię i pragniesz wszystko uwiecznić na kasecie.

Dar sprawdził czwartą kamerę. Pokazywała całe zbocze od góry do dołu, całą drogę prowadzącą do domku od strony południowej. Dzięki szerokokątnemu obiektywowi można było zobaczyć kilka kilometrów doliny na południe i przybliżyć tak oddalone obiekty do widoczności jak ze stu metrów.

W ten sam czwartkowy ranek, gdy aresztowano Dallasa Trace'a, mecenas William Rogers – prawnik ze wschodniego Los Angeles, ten sam, który pomógł ojcu Martinowi stworzyć organizację o nazwie Pomocnicy Bezbronnych – został zmuszony w drodze do pracy do zjazdu na pobocze. Gdy wysiadł z samochodu, żartując z patrolowymi funkcjonariuszami stanowymi z CHP na temat przeoczonego znaku STOP, otoczyli go agenci FBI, zastępcy szeryfa i funkcjonariusze Departamentu Policji Los Angeles.

Adwokata zakuto w kajdanki, odczytano mu prawa, po czym musiał wsiąść do jednego z pojazdów. Syd dowiedziała się od agenta dowodzącego akcją, że mecenas Rogers zaczął płakać i zażądał pozwolenia na telefon do żony, Marii. Agenci nie powiedzieli mu, że jego żonę zatrzymano chwilę wcześniej w jej biurze, w centrali Pomocników Bezbronnych.

W szpitalach całej południowej Kalifornii lokalna policja i agenci Federalnego Biura Śledczego, w towarzystwie funkcjonariuszy urzędu imigracyjnego, zaczęli czystkę. Przesłuchali i aresztowali ponad sześćdziesięciu Pomocników z grupy liczącej więcej niż tysiąc zatrzymanych osób. Tego samego dnia wszystkie szpitale i ośrodki zdrowia w Kalifornii zamknęły drzwi przed członkami organizacji. Z prowadzonych przez Marię Rogers akt, znalezionych w głównej siedzibie Pomocników Bezbronnych we wschodnim Los Angeles, funkcjonariusze spisali nazwiska ponad stu oszustów ubezpieczeniowych, naganiaczy, lekarzy, adwokatów i rozmaitych pomagierów.

We wtorek Dar umieścił na swojej posiadłości piątą kamerę wideo. Przez kilka godzin przewędrował setki akrów terenu, który tak świetnie znał. Szukał potencjalnej kryjówki dla snajpera. W końcu wybrał najlepsze, jego zdaniem, z możliwych miejsc – mały, płaski, trawiasty obszar powyżej domku, otoczony po dwóch stronach przez niskie głązy, a z trzeciej przez ogromne otoczaki. Leżąc w tym miejscu ze swoim starym karabinem snajperskim M40 i celownikiem teleskopowym, Darwin wpatrzył się w oddalone od niego niecałe dwieście metrów pasmo wzgórz; dostrzegał je niemal w całej okazałości. Widział wyraźnie między rozproszonymi drzewami zarówno wejście do domku, jak i parking przed nim. Strzelca osłaniałby tutaj ze wszystkich stron występ skalny i strome zbocza. Punkt był idealny, wręcz zbyt idealny.

Z tą myślą Dar wyszedł poszukać kryjówki mniej oczywistej. Znalazł ją niecałe sześćdziesiąt pięć metrów na północny zachód od pierwszej. Tu także można było skryć się za dużymi głazami, ale dzięki wąskiej szczelinie wśród skalnych płyt snajper i jego obserwator mogli leżeć na brzuchach wśród ciemnych krzewów. Punkt znajdował się wyżej niż pierwszy i dawał nieco lepszy widok i lepszy kąt do strzału, a równocześnie stanowił doskonalszą kryjówkę. Dodatkowe sześćdziesiąt pięć metrów nie stanowiło problemu dla zmodernizowanego karabinu snajperskiego SWD, z którego zastrzelono Toma Santanę i trzech agentów FBI.

Trzy godziny zajęło mu wycofanie się z kryjówki bez pozostawienia odcisków butów, przejście całej drogi wokół pasma aż do stromego tylnego podejścia do głązów

leżących na dolnej granicy łańcucha wzgórz, a następnie wspięcie się prawie pionową ścianą skalną ponad trzydzieści metrów, czyli do punktu na większym głazie, leżącym nad drugim gniazdem snajperskim. Tutaj musiał zamocować wokół głazu perlonową linę wspinaczkową i zejść po stromym łuku skalnego lica aż do zarośniętego krzewami występu skalnego, gdzie w niewidocznym miejscu mógł zamontować kolejną wideokamerę, baterię i nadajnik, przykryć wszystko wodoodpornym brezentem w kolorze maskującym, a następnie ukryć długą antenę przekaźnikową, poprowadziwszy ją w górę, szczelinami skalnego lica, aż do samego szczytu.

Później wrócił do domku i przetestował monitor. Obraz nie był tak wyraźny jak przekaz z pozostałych czterech kamer, Darwin wszakże dokładnie widział z góry drugie gniazdo snajperskie. Mógł też zrobić zbliżenie pierwszej kryjówki, którą znalazł poniżej.

Pozostałą część poranka spędził na wędrówce po kamienistych wzgórzach i stromych wąwozach, leżących na północny wschód od dwóch miejsc, które wyszukał. Usatysfakcjonowany poczuł się dopiero około południa.

Syd wyjaśniła, że największe zmartwienie Federalnego Biura Śledczego stanowią Rosjanie, którzy wszak niejednokrotnie wykazali swoją bezwzględność i umiejętność zabijania strzałem z dużej odległości.

Z Quantico przyleciało nawet kilku światowej klasy snajperów z zespołu taktycznego FBI oraz ekspertów od akcji szturmowych. W nocy ewakuowano, bez najmniejszego zamętu czy hałasu, osiem otaczających ranczo domów w Santa Anita; wszystkie położone na wzgórzach nad Sierra Mądre Boulevard. Budynki te zmieniono w siedziby obserwacyjne, stanowiska lub centra dowodzenia dla oddziału specjalnego agenta Warrena.

Śledzono każdy ruch Rosjan, zmieniały się pilnujące ich samochody, na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów krążyły helikoptery wyposażone w potężny sprzęt optyczny. Gdy pięciu zabójców w środę wieczór wróciło dwoma mercedesami do kryjówki, zespół taktyczny FBI składał się już z sześćdziesięciu dwóch osób, a ubrani w maskujące stroje snajperzy FBI zdążyli ze wszystkich stron podpełznąć do budynku na odległość niecałych stu czterdziestu metrów.

Strzelcy wyborowi otrzymali najnowocześniejszy dostępny sprzęt – zmodyfikowane karabiny snajperskie De Lisle Mark 5, strzelające nabojami 7,62 milimetra, zarówno standardowymi, jak i poddźwiękowymi. Karabiny te powstały na bazie zasłużonego, samopowtarzalnego Remingtona 700, choć różniły się od niego tak bardzo jak pilot wahadłowca od pierwszego afrykańskiego australopiteka. Broń

wyposażono w lufy z nierozdzielными tłumikami, które w połączeniu z poddźwiękową amunicją pozwalały na dokładne trafienie z odległości dwustu metrów. Karabiny strzelały bardzo cicho, nawet trzask kuli nie przekraczał bariery dźwięku.

De Lisie Mark 5 posiadały pojedyncze, lekkie, zintegrowane celowniki, które połączono z potężnymi celownikami teleskopowymi powiększającymi obraz w nocy, podczerwonym dalmierzem i termowizorem. Snajperzy Federalnego Biura Śledczego potrafili zabić z dwustu metrów w deszczu, podczas bezgwiazdnej nocy i do tego poprzez lekką mgłę lub dym.

Pozostali przedstawiciele zespołów szturmowych otrzymali kevlarowe hełmy, kamizelki kuloodporne, maski gazowe, okulary na podczerwień oraz pistolety maszynowe z tłumikami i celownikami laserowymi, w pełni automatyczne, kaliber .45, a dodatkowo granaty oślepiające. O piątej rano w czwartek pierwszy zespół zaatakował budynek, kryjąc się za zasłoną dymną wstrzelonych przez wszystkie okna pocisków łzawiących. Frontowe drzwi pokonano dzięki użyciu hydraulicznego tarana, po czym członkowie trzech pierwszych ekip taktycznych wpadli do domu przez wszystkie dostępne na parterze okna i drzwi. W garażu najbliższego domu czekał mały transporter wyposażony we własny taran. Do szturmowania wyznaczono pięć helikopterów, w każdym leciał strzelec wyborowy. Dwa z tych helikopterów miało liny, po których mogli się opuścić ludzie wyznaczeni do szybkiego ataku z powietrza.

– Nie będzie to chyba walka fair – zauważyła Syd Olson podczas rozmowy z agentem specjalnym Warrenem w środowe popołudnie.

James Warren posłał jej najkrótszy z uśmiechów.

– Gdyby miała to być piękna, uczciwa walka – odparował – nadawałbym się na odstrzał.

Sydney pokiwała głową i zadzwoniła do mieszkania Minora. Chciała sprawdzić, jak przyjaciel sobie radzi.

Dar radził sobie świetnie aż do środowego popołudnia. Rano popracował w mieszkaniu, nadrabiając zaległości, dokumentując śmiertelny wypadek Gomezów i przygotowując komputerową rekonstrukcję dokonanego przy użyciu podnośnika nożycowego zabójstwa mecenasa Esposito. Pogawędził z Syd kilka minut, poinformował ją, że jedzie do domku, gdzie zamierza się dobrze wyspać, podczas gdy ona wraz z kolegami po fachu będą się przygotowywać do trudnego zadania. Poprosił przyjaciółkę o ostrożność, obiecał spotkać się z nią w czwartek i życzył jej szczęścia.

Darwin całe poprzednie popołudnie i wieczór przygotowywał oba karabiny.

W wąwozie na wschód od domku – jar miał nawet do osiemnastu metrów szerokości przy starej kopalni złota, ale zwężał się powyżej, przy potencjalnych stanowiskach snajperskich, do niecałych sześciu metrów – wystrzelił kilkaset naboju zarówno ze starego, samopowtarzalnego M40, jak i z pożyczonej „lekkiej pięćdziesiątki”.

Wziął też nowy nabytek: kupioną za 3295 dolarów lornetkę Leica Geovid BDII z wbudowanym laserowym dalmierzem i dwukrotnie sprawdził nią pasmo wzniesień oraz cele odległe o dziewięćdziesiąt metrów, dwieście osiemdziesiąt, sześćset oraz o kilometr. Minor myślał czasem w metrach, częściej jednak najpierw obliczał wszystko w jardach, jak snajperzy za dawnych lat. Cieszył się, że jego wzrokowe szacunki dystansu za każdym razem odbiegają od pomiarów laserowego czytnika najwyżej o półtora metra. Dalmierz leiki miał zagwarantowaną dokładność do metra przy odległości nie przekraczającej kilometra.

Chociaż Dar w ostatnich kilku latach od czasu do czasu strzelał na strzelnicy z M40, czyli zmodyfikowanego myśliwskiego Remingtona 700, musiał właściwie na nowo zaznajomić się z karabinem. Gdy był bardzo młody, podczas szkolenia w marines, odkryto, że ma wzrok dwa razy lepszy niż większość osób, czyli że widział na przykład z odległości dwustu metrów tak doskonale jak większość osób z odległości o połowę mniejszej. Jeszcze zanim zdecydował się na zaawansowany trening snajperski, na obozie dla rekrutów w bazie Parris Island, uznano go za kandydata na strzelca wyspecjalizowanego. W imię świętej tradycji korpusów marines dobry snajper mógł się specjalizować w jednej z trzech kategorii: zwykłego strzelca, strzelca wyborowego i – bardzo, bardzo rzadko – strzelca wyspecjalizowanego. Minor zakwalifikował się od razu do ostatniej grupy z rekordem dziennym trzystu siedemnastu punktów na możliwe trzysta trzydzieści. Maksymalny wynik był tak rzadki, że zdaniem dowódcy Darwina od czasów drugiej wojny światowej uzyskało go tylko około tuzina marines. A trzysta siedemnaście punktów po raz pierwszy uzyskał pewien żołnierz piechoty morskiej, który później został sławnym pisarzem i biografem.

Doskonały strzelec musiał mieć oczywiście wiele wspaniałych cech: umieć kontrolować oddech, posiadać nadzwyczajny wzrok, cierpliwość, łatwość strzelania z najprzeróżniejszych pozycji, a także umiejętność brania pod uwagę odległości, grawitacji, siły i kierunku wiatru oraz dodatkowych czynników charakterystycznych dla danego strzału. Inną ważną choć niedocenianą cechą była zręczność w regulowaniu paska karabinu, której trudno się było nauczyć, a która przychodziła młodemu Minorowi w sposób absolutnie naturalny. Teraz, prawie trzydzieści lat później, Dar odkrył, że jego wzrok pogorszył się do przeciętnego w kwestii postrzegania szczegółów z oddali, choć nadal dobrze czuł się z bronią bez zastanowienia odpowiednio wyregulował pasek, umiał określić właściwie zasięg,

wymierzyć, strzelić bez wahania i celnie z pozycji na brzuchu, w klęku, siedzącej i stojącej. Jednym słowem, poza wzrokiem wszystko pozostawało na najwyższym poziomie.

Tego wtorkowego popołudnia bardzo starannie przygotował M40. Jego zmodyfikowany celownik teleskopowy Redfield pasował do karabinu idealnie. Dar wyregulował kąt uniesienia lufy, biorąc pod uwagę warunki strzeleckie, i sprawdził mechanizm poprawki na wiatr, przesuwając go z lewa na prawo dla skompensowania bocznego działania wiatru na pocisk. Starał się wszystko tak ustawić, aby w odpowiednim momencie trafić dokładnie w środek celu, niezależnie od zasięgu i wiatru. Na szczęście pomagało mu ukształtowanie wąwozu, który blokował wiatry – przeważające tu z kierunku zachodniego – i pozwalał Darowi wyregulować broń przy wszystkich możliwych odległościach i całkowitym braku ruchów powietrza.

Podczas zaawansowanego szkolenia snajperskiego w Quantico i działań operacyjnych w Wietnamie Minor wyznaczył sobie własne wymagania w kwestiach celności. Strzelając pociskami o dużej sile penetracji – takimi, jakich chciał użyć teraz – nie był zadowolony, póki nie trafił wielokrotnie w cel o średnicy dwudziestu milimetrów z odległości stu metrów, w cel o średnicy stu dwudziestu pięciu milimetrów z odległości pięciuset pięćdziesięciu metrów oraz w trzystumilimetrowy z kilometra, i to raz za razem. Ostateczny skutek nie był aż tak idealny, o czym Darwin wiedział, ponieważ kula wystrzelona z M40 przelatowała pięćset pięćdziesiąt metrów mniej więcej jedną sekundę, a kilometr – nieco ponad dwie sekundy. A dwie sekundy w balistyce to wieczność. Przy tak długim locie znaczenie mają wahania wiatru, a jeśli cel się poruszy, traci się wszelkie szanse na celny strzał.

We wtorek Dar spędził pięć godzin, strzelając z M40 we wszystkich czterech pozycjach, czyli na brzuchu, w klęku, w siadzie i na stojąco. Przyjmował pozycję, czując bliskość paska karabinu, dotyk kolby przy policzku; kolby, która stanowiła łącznik pomiędzy policzkiem i kciukiem. Palec wskazujący trzymał na spuście, nie dotykając boku kolby, i oddychał tak spokojnie, że było to niemal niedostrzegalne. W tym momencie zamknął na kilka sekund oczy. Jeśli po otwarciu ich miał krzyżyk na celowniku w tym samym punkcie, co poprzednio, wiedział, że zachował tak zwany naturalny punkt celu.

Najwięcej trudności sprawiło mu odzyskanie kontroli spustu. Nie miał z tym kłopotów, gdy był w marines, ale z doświadczenia na strzelnicy wiedział, że będzie musiał ostro poćwiczyć, zanim przypomni sobie tę umiejętność. Opanowanie spustu polegało na wybraniu odpowiedniego momentu podczas oddychania i równoczesnego wyboru celu, a następnie naciśnięciu spustu o potrzebny dodatkowy milimetr bez najlżejszego nawet poruszenia karabinem. Czynność ta nie była skomplikowana, lecz wymagała pełnego skupienia umysłu, kontroli nad mięśniami i oddechem.

Minor wyregulował M40, po czym wybrał cele na otwartym polu poniżej domku i wystrzelił kilkadziesiąt pocisków przy obecnym wietrze. Tego dnia mocno wiało, a przy stałym wietrze o takiej prędkości – dwudziestu czterech kilometrów na godzinę – pocisk o kalibrze 7,62 milimetra na dystansie dwustu metrów znosiło o 11,43 centymetra od celu, przy pięciuset pięćdziesięciu metrach o pięćdziesiąt centymetrów, a przy odległości równej kilometrowi aż o metr i dwadzieścia dwa centymetry. Tyle że wiatr nigdy nie wiał idealnie równomiernie.

Dar wiedział, że nowe pokolenie snajperów ruszało do bitwy z kieszonkowymi kalkulatorami albo – przy bardziej wyrafinowanych systemach broni – z mikrokomputerami w celownikach z dodanymi elektronicznymi czuj – nikami wiatru.

Uważał, że takie udogodnienie powoduje u strzelców zanik instynktu i stopień podstawowych zmysłów. On sam podczas szkolenia nauczył się mierzyć prędkość wiatru. Poniżej pięciu kilometrów na godzinę trudno było coś zauważyć, chyba że po unoszącym się dymie. Powiew od ośmiu do trzynastu kilometrów na godzinę utrzymywał liście drzew w stałym ruchu. Darwin umiał ocenić siłę wiatru już po rodzaju dźwięku, jaki wydawały poruszające się konary otaczających domek sosen i daglezi. Wiatr pomiędzy trzynastoma a dziewiętnastoma kilometrami na godzinę tworzył zawirowania pyłu i drobnego piasku, potrząsał mocniej liśćmi. Podczas nieco silniejszego podmuchu, dochodzącego do dwudziestu ośmiu kilometrów na godzinę, niewysokie brzoźki na otwartym terenie niemal nie przestawały się poruszać.

Minor wiedział instynktownie, już nawet jako młokos szkolący się na snajpera, że prędkość wiatru stanowi jedynie część tego równania. Należało wyczuć i wziąć pod uwagę również kierunek wiatru. Lekki wiatr boczny z godziny ósmej, dziewiątej i dziesiątej oraz drugiej, trzeciej i czwartej otrzymywał w równaniu pełną wartość, natomiast wiatr ukośny z godziny pierwszej, piątej, siódmej i jedenastej – tylko połowę wartości, toteż na przykład wiatr wiejący z prędkością jedenastu kilometrów na godzinę na pozycji dziewięć podczas regulacji bocznej celownika liczył się dla Darwina jako wiatr wiejący z prędkością pięć i pół kilometra na godzinę. Jeżeli natomiast wiatr wiał bezpośrednio w pozycję strzelecką Dara albo z tyłu – czyli z godziny szóstej albo dwunastej – pocisk leciał po prostu nieco szybciej przy wietrze z tyłu lub nieco wolniej przy wietrze z przodu. Latanie szybowcem wyczynowym wyostrzyło mu jeszcze umiejętność wyczuwania prędkości wiatru i jego kierunku.

Gdy wzięło się pod uwagę czynniki zasięgu i wiatru, najlepiej w mikrosekundach, trzeba było użyć starego wzoru strzelców wyborowych marines, wyrażonego w setkach jardów pomnożonych przez prędkość wiatru w milach na godzinę, podzielonego przez piętnaście i zamienionego na metry. Mimo upływu tak wielu lat Dar potrafił wykonać takie obliczenie natychmiast, wręcz instynktownie.

Leżąc lub klęcząc na długim, trawiastym terenie przez całe wtorkowe popołudnie, zerkał stale na małe monitor wideo zestrojony z kamerą obok domku. Chciał mieć pewność, że nikt nie przyjedzie tutaj podczas jego ćwiczeń. Czasami w uszytym przez siebie maskującym stroju ze skrawków, czasami w zielonych spodniach i koszulce polo, strzelał do różnych celów, koncentrował się na osiągnięciu minuty kątowej, czyli strzale w koło o średnicy dwu i pół centymetra ze stu metrów, oraz próbie uzyskania wyników jeszcze dokładniejszych. Nawet gdy zyskiwał taki efekt regularnie – przy lekko porywistym wietrze i uprzednio obliczonym zasięgu – pamiętał o jednej ważnej kwestii: te cele to tylko krzyżyki na papierze!

Tuż przed zmierzchem w środowy wieczór wszystkich ludzi z FBI przebywających wokół kryjówki Rosjan postawiono w stan pełnej gotowości. Do tej pory ośmiu snajperów ubranych w maskujące stroje zakradło się pod dom na odległość niecałych stu pięćdziesięciu metrów z trzech stron posiadłości, czyli z wyjątkiem tej od ulicy. Trzech spośród tych snajperów czekało w wysokiej trawie niecałe pięć metrów od przyciętych trawników.

Wcześniej, o godzinie szesnastej trzydziści, u Rosjan zadzwonił telefon. Federalne Biuro Śledcze podsłuchało i nagrało rozmowę.

– Pańskie pranie jest, gotowe, panie Yale.

– W porządku – brzmiała odpowiedź, najprawdopodobniej Gregora Yaponchika.

Specjaliście z FBI w ciągu kilku sekund ustalili, że dzwoniło z pewnej pralni chemicznej w Pasadenie. Warren polecił wybrać ten numer jednemu z agentów i spytać, czy pranie pana Yale'a jest już gotowe. Właściciel pralni potwierdził i dodał, że właśnie przekazał telefonicznie tę informację panu Yale. Przepraszył, że nie jest w stanie dostarczyć prania, wyjaśnił jednak, że nie odwożą wyczyszczonej odzieży tak daleko na północ od Pasadeny. Agent zapewnił właściciela, że rozumie.

O dwudziestej dziesięć przed domem zatrzymała się biała furgonetka, z której wysiedli trzej Latynosi w szarych koszulach i spodniach roboczych. Na boku furgonetki widniał napis reklamujący działalność porządkowo-ogrodniczą wraz z numerem telefonu, pod który agent specjalny Warren natychmiast kazał zadzwonić swojemu człowiekowi. Sprawdzali przedsiębiorstwo, szczególnie że prace o tej porze nie wydawały się sensowne.

Wezwanie potwierdzono, a firma usługowa zapewniła telefonującego agenta, że chodzi o cotygodniową usługę, niestety, przyjazd opóźnił się z powodu problemów z furgonetką oraz komplikacji w domu poprzedniego klienta. Później Syd wyjaśniła Darwinowi, że Warren przez chwilę walczył z pokusą polecenia firmie usługowej

odwołania pracowników, ale trzech robotników zabrało się już za koszenie trawy, przycinanie krzewów i wycinanie małych, uschniętych drzewek. W końcu Warren stwierdził, że może praca tamtych wpłynie na ich akcję pozytywnie, odciągając od nich uwagę. Było już prawie ciemno.

Jeden z robotników podszedł do drzwi frontowych, a agenci ukryci w domu odległym o czterysta metrów od kryjówki Rosjan zrobili wyraźną fotografię Pavla Zukera rozmawiającego obcesowo z przytakującym mu i kiwającym głową mężczyzną. Wreszcie Zuker zamknął drzwi, a w chwilę później otworzyły się drzwi do garażu. W przyćmionym świetle ludzie z FBI dostrzegli sterty liści obok dwóch mercedesów.

Robotnicy pracowali szybko, wręcz ścigając się z zapadającym zmrokiem: w pośpiechu skosili trawniki, niemal ocierając się o leżących w wysokiej trawie płasko na brzuchach snajperów Federalnego Biura Śledczego. W pewnym momencie jeden z robotników zatrzymał kosiarkę, podniósł z ziemi przedmiot, który wyglądał jak metalowa podkowa, i wyrzucił go w wysoką trawę za podwórzem, prawie trafiając w głowę jednego ze strzelców wyborowych.

Zapał już prawie całkowity mrok, gdy skończyło się koszenie i przycinanie. Agenci przyglądali się nerwowo, jak robotnicy znikają w garażu, a następnie wychodzą z niego z wielkimi worami wypełnionymi najprawdopodobniej suchym listowiem.

– Policzcie – rzucił krótko Warren przez radio.
– Wory z liśćmi? – spytał jakiś nieszczerze rozzłoszczony agent specjalny.
– Nie, durniu, robotników. Upewnijcie się, że wszyscy trzej wsiedli z powrotem do furgonetki.

– Zgadza się – potwierdzili obserwatorzy i snajperzy.
Okazało się, że trzech robotników weszło do garażu i trzech z niego wyszło. Wrzucili worki z liśćmi na tyły furgonetki, potem załadowali tam też inne śmieci. Światło na ganku i małe światełka wzdłuż podjazdu zapaliły się automatycznie. Tuż po odjeździe furgonetki włączyły się też światła w domu.

– Zdejmujemy ich? – spytał przez radio jeden z agentów blisko domu.
– Nie – odparł Warren. – Ich szef powiedział, że pracują po godzinach i stąd rozjeżdżają się do domów. Zostawcie ich, niech jadą.

Wszyscy nocą używali noktowizorów: snajperzy w trawie, obserwatorzy w domach i funkcjonariusze lecący na dużej wysokości helikopterami. Najchętniej rozpoczęliby akcję około trzeciej trzydzieści rano, gdy Rosjanie będą pogrążeni w najgłębszym śnie, a ich potencjalni strażnicy najbardziej znużeni. Niestety akcja musiała być zsynchronizowana z innymi aresztowaniami, atak nie mógł się zatem zacząć wcześniej niż o piątej rano. Warren, Syd i pozostali uznali, że warto poczekać

do świtu, dzięki temu bowiem Dallas Trace i jego wspólnicy, którzy mieli zostać zatrzymani następnego ranka, nie usłyszą w porannych wiadomościach o obławie na Rosjan.

We wtorkowy wieczór Dar znów strzelał przez kilka godzin z karabinu Barrett Light.50. Przeżycie okazało się doprawdy fascynujące. Karabin posiadał dwójnog – na szczęście, gdyż ważył trzynaście kilogramów bez celownika i mierzył ponad półtora metra. Był zatem spory. Kiedy Minor zamontował celownik teleskopowy M3a Ultra i usiłował podnieść broń wraz z kilkoma pudełkami nabojów, natychmiast poczuł ból w krzyżu.

W środę Darwin pracował w mieszkaniu, późnym popołudniem porozmawiał krótko z Syd, potem wyjął spod łóżka remingtona 870, załadował go, napełnił kieszeń dodatkowymi nabojami i wraz z torbą z rzeczami zaniósł do land cruisera. Zanim doszedł do samochodu, rozejrzał się uważnie po garażowym parkingu. Byłoby doprawdy żenujące przejść te wszystkie przygotowania, a następnie zginąć na własnym parkingu od kulki kaliber .22 wystrzelonej przez jakiegoś rozwścieżonego Rosjanina. Na szczęście nikogo tam nie dostrzegł.

Jechał, utykając co jakiś czas w normalnych, środowych korkach. Chciał dotrzeć do domku jeszcze przed zmrokiem i udało mu się. Zatrzymał się na długim żwirowym podejździe i uruchomił wszystkie kamery po kolei. Nie widział niczego podejrzanego ani na drodze przed sobą, ani w punktach snajperskich wysoko nad domkiem. Nikt także się nie kręcił w polu poniżej domu ani po samym domu. Przejechał resztę drogi, wniósł torby i nieco artykułów spożywczych, po czym zabrał się za obiad. Zastanowił się, czy nie zadzwonić do Syd, wiedział jednak, że przez cały wieczór będzie zajęta w taktycznym centrum dowodzenia.

„Co tam, do diabła” – pomyślał. „Dowiem się o wszystkim jutro z radia i przeczytam w gazecie wieczornej”. Popijał kawę. „Mam nadzieję” – dorzucił w myślach.

Gdzieś około północy sprawdził dwukrotnie zamki drzwi domku i wyłączył światło. Ogień nadal płonął w kominku, wypełniając ciepły pokój migoczącym światłem. Poza tym Darwin zostawił lampę w kuchni i drugą obok łóżka.

Zamiast się położyć, wziął sztucer i odbiornik z monitorem, odsunął część dywanu, otworzył drzwi zapadowe i zszedł do piwnicy. Światła zapaliły się automatycznie. Zostawił sztucer oparty o zewnętrzną ścianę, przekręcił klucz w stalowych drzwiach i przeciął magazyn, aż doszedł do kraty wentylatora. Otworzył i zdjął ciężką kłódkę, zajrzał do zakurzonego kanału wentylacyjnego, świecąc sobie

latarką, po czym wszedł do niego i przeczołgał się na łokciach i kolanach całe sześćdziesiąt siedem metrów – zasapał się o wiele bardziej, niżby tego chciał – aż dotarł do drugiej kraty. Otworzył ją i prześliznął się do starej kopalni złota. Tam znalazł zawinięty w plastik karabin M40 i ciężki plecak, które pozostawił tam poprzedniego dnia.

Wyciągnął z plecaka kamizelkę kuloodporną nałożył ją podniósł ciężki plecak, a karabin zawiesił sobie wygodnie na prawym ramieniu. W starym szybie kopalni kapąła woda. Kałuże były wszędzie, często głębokie nawet na piętnaście centymetrów. Szedł, rozchlapując je. Drogę oświetlał sobie latarką. Nosił nieprzemakalne buty turystyczne, zielone spodnie, a na grubej kamizelce kuloodpornej luźną bluzę w odcieniu maskującym. Do płóciennego paska przypiął sobie pochawkę z nożem marki Ka-Bar z czarnej stali. Telefon komórkowy włożył do kieszeni koszuli, lecz go wyłączył.

Kiedy dotarł do wejścia do kopalni, zgasił i schował latarkę, wyjmując za to okulary noktowizyjne L.L. Bean. Na niebie nie było księżycy, a wąwóz wypełniały osobliwe cienie. Minor postął chwilę, przyzwyczajając oczy do mroku, a okulary pozostawił na czole. Następnie ruszył przed siebie wąwozem i wspiął się wąską ścieżką po wschodniej ścianie, aż do wcześniej wybranego miejsca.

Noc była piękna, niemal bezchmurna i nieco chłodniejsza niż zazwyczaj latem, przez to jednak doskonała na wędrowni.

Zespół szturmowy FBI wyważył frontowe drzwi domu na ranchu w Santa Anita punktualnie o piątej rano. Czekający na zewnątrz agenci wstrzelili przez wszystkie okna pociski dymne z gazem łzawiącym, a ci przy drzwiach wrzucili granaty oślepiające do salonu, następnie zaś wpadli tam, celując przed siebie z karabinów z celownikami laserowymi.

W salonie nie było nikogo. Na zewnątrz jedni agenci trzymali drabiny, drudzy wspinali się do okien sypialni na piętrze. Kryli ich snajperzy Federalnego Biura Śledczego. W sypialniach też nie znaleziono nikogo.

Agent specjalny Warren osobiście prowadził pierwszy zespół szturmowy od pokoju do pokoju na parterze, później po schodach i przez całe piętro. Dwa helikoptery wylądowały na trawnikach, pozostałe dwa zawisły w powietrzu. Silne reflektory oświetlały rozpraszający się dym. Zaczynał się świt. Strzelcy lecący w helikopterach FBI strzelali pociskami łzawiącymi w okna drugiego piętra.

Na drugim piętrze również nie było nikogo. Ani w kuchni. Ani w suterenie.

Jeden z ostatnich zespołów, które dotarły do budynku, złożył przez radio raport.

W garażu znaleziono trupy.

Warren i tuzin innych agentów, wszyscy w kamizelkach, strojach maskujących, hełmach, okularach i wiszących na piersiach maskach gazowych, zbiegli się tam w ciągu dwudziestu sekund. Trzech martwych Latynosów obnażono do bielizny. Każdy dostał jeden strzał w głowę.

– Ale przecież tylko trzech wsiadło do furgonetki ubiegłej nocy... – zaczął młody agent.

– Wory z pieprzonymi liśćmi – odparował Warren.

– Rozszerzamy obwód? – spytał inny agent.

Warren oparł się ciężko o framugę, zabezpieczając swój karabin z tłumikiem H&K MP-10.

– Do tej pory mogli się dostać nawet do Meksyku – oświadczył tępo.

Niemniej jednak minutę później chwycił radio i zaalarmował siedzibę, przekazał pilotom helikopterów i służbom naziemnym dane furgonetki firmy usługowej, a chwilę później te same informacje podał CHP, Departamentowi Policji Los Angeles i innym organom ścigania. W obławę, teraz już o zasięgu ogólnokrajowym, zaangażowano wszystkie tego typu służby.

Warren otrzymał też pewną wiadomość z bezpiecznej kryjówki w Malibu, w której przetrzymywano detektywów Venturę i Fairchilda. Okazało się, że poprzedniego popołudnia kapitanowi Fairchildowi, który współpracował z funkcjonariuszami śledczymi, pozwolono wyjść na krótki spacer po plaży. Eskortujący go agenci Federalnego Biura Śledczego nie wiedzieli, że tuż przy plaży znajdował się automat telefoniczny. Fairchild oddalił się na chwilę, aby załatwić się w krzakach. A dzisiejszego ranka jeden z agentów wybrał się także na spacer po plaży i znalazł automat. Natychmiast sprawdził w firmie telefonicznej, czy ostatnio ktoś z niego dzwonił.

Wynik był pozytywny. O szesnastej trzydzieści wykonano trwające piętnaście sekund połączenie ze szwagrem kapitana Fairchilda. Mężczyzna prowadził pralnię chemiczną w Pasadenie.

– Cholera – mruknął jeden z agentów.

– Szlag by gnoja trafił – dodał inny.

– Kurwa jasna – dorzucił dowodzący agent specjalny Warren, który nie miał tutaj żadnego bezpośredniego zwierzchnika z Federalnego Biura Śledczego. – Założę się, że Fairchild dostał więcej pieniędzy niż Ventura... Po prostu lepiej je drań schował.

– Czy powiemy agentowi specjalnemu Faberowi i oficer śledczej Olson o Rosjanach? – spytał główny dyspozytor.

Warren spojrzął na zegarek. Była godzina 5:22 rano. Do rozpoczęcia akcji aresztowania Dallasa Trace'a pozostało jeszcze ponad dziewięćdziesiąt minut.

– Faber i jego ludzie są na miejscu i zachowują ciszę radiową – odparł. – Zadzwoń do Cassia, agenta odpowiedzialnego za bezpieczeństwo akcji w Century City, i powiem mu, że wysyłamy im wsparcie: zespół taktyczny złożony z dwunastu agentów.

– Sądziś, że Rosjanie będą usiłowali odbić Dallasa Trace’a? – spytał agent stojący tuż obok Warrena.

Warren roześmiał się niewesoło.

– Za diabła nie mają szans. Ci faceci wiedzą że sprawa jest skończona. Nie zechcą wjeżdżać z deszczu pod rynnę, czyli z jednej zasadzki do innej. Powiemy o wszystkim Faberowi i reszcie zespołu szturmowego, gdy skończą swoją robotę. – Po czym dorzucił poważnym głosem coś absolutnie niegodnego agenta Federalnego Biura Śledczego: – A temu gliniarzowi z Los Angeles... Fairchildowi... wyrwałbym jaja.

Syd otrzymała wiadomość na pagerze w osiem minut po tym, jak FBI zabrało Dallasa Trace’a i jego trzech ochroniarzy w oddzielnych pojazdach. Stała akurat na ulicy przed częścią biurową Century City, zajęta wycieraniem potu z włosów i odrywaniem rzepów kamizelki kuloodpornej, gdy na widok numeru na pagerze zastygła w bezruchu.

Warren wyjaśnił sytuację w dwóch zdaniach.

– Dar! – powiedziała Syd, patrząc na zegarek.

– Śledcza Olson – odrzekł Warren – ci Rosjanie nie są amatorami. Mają nad nami dziesięciogodziną przewagę. Nie będą marnowali czasu na głupią próbę zemsty. W tej chwili są już prawdopodobnie w Meksyku.

Cokolwiek powiedział dalej, utonęło w krzyku Sydney: „Wyślijcie dwa helikoptery FBI z zespołem taktycznym do domku Darwina Minora. I to natychmiast!”. Wyłączyła telefon, podniosła swój pistolet maszynowy i pobięła pędem do zaparkowanego niedaleko taurusa. Nie miała pojęcia, że przekaz z jej komórki został zniekształcony i agent Warren w ogóle nie zrozumiał jej polecenia.

Rozdział dwudziesty trzeci

W JAK WYCZEKIWANIE

Darwinowi noc wydawała się bardzo długa. Powiedział sobie, że może to subiektywne uczucie spowodowane jest brakiem przyzwyczajenia do całonocnego leżenia na chłodnym skalnym występie i wyczekiwania na przybycie grupki cudzoziemców, którzy zamierzają go zabić.

„Nie – uspokoił się – to nie ten powód”.

Na swoje stanowisko wybrał kamienisty nawis, położony na wschodniej ścianie zalesionego wąwozu. Płyty skalne, na których leżał, znajdowały się około dwustu czterdziestu metrów nad domkiem; w szczelinach między drzewami widać z nich było doskonale zarówno parking, jak i drzwi frontowe. Ważniejsze było jednak to, że leżał mniej więcej na tej samej wysokości co oba gniazda snajperskie, znalezione przez Minora na zachodzie. Płyta skalna, którą wybrał – już samo słowo „płyta” nieco go niepokoiło – mieściła się w naturalnym kamiennym pęknięciu i idealnie strzelało się z niej w dwóch kierunkach: w dół, ku domowi i obszarowi parkingowemu, albo prosto, w stronę wrogich stanowisk snajperskich. Niestety od wschodu i północy ściany skalne były wysokie i w dodatku nieco ukośne, toteż potencjalny pocisk nadlatujący z innego miejsca niż dwa wybrane przez Dara stanowiska na zachodzie mógłby się od tych ścian odbić pod niewłaściwym kątem i trafić w Minora. Miał on jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Położył karabin maszynowy Barrett kaliber .50 w skalnej niszy, przykrył go wodoszczelnym brezentem, na którym teraz leżał, żałując, że nie przyniósł tu sobie piankowej karimaty. Jego kamizelka kuloodporna pod bluzą ważyła jedenaście kilogramów i była grubsza niż policyjne kamizelki kevlarowe. Była nowoczesna, używana obecnie przez marines, miała też dodatkową grubą ceramiczną warstwę ochronną na piersi, która mogła zatrzymać nawet pocisk karabinowy kaliber 7,62 milimetra wystrzelony ze średniego dystansu. Z tego powodu jednakże kamizelka była wyjątkowo sztywna i niewygodna.

„Po prostu się starzeję” – pomyślał Minor.

Potem postawił „lekką pięćdziesiątkę” na dwójnogu na nieco pochylonej w dół płycie, zostawiając obok dość miejsca na położenie dodatkowej amunicji, lornetki z dalmierzem Leica i odbiornika z monitorem. Stary karabin snajperski M40 leżał pod kamuflującym okryciem i wodoszczelnym plastikiem w innej skalnej szczelinie, na prawo od niego. Broń była gotowa do natychmiastowego użycia, jeśli Darwin musiałby strzelać w innym kierunku. Wyobrażał sobie, że jeżeli Rosjanie nie przyjadą tej nocy, zrezygnują z zemsty i dadzą mu spokój.

Jego plan był stosunkowo prosty i nie wymagał żadnego szczególnego

bohaterstwa. Gdyby przypadkiem Rosjanie zjawili się tutaj przed aresztowaniem ich przez Federalne Biuro Śledcze, Minor planował połączyć się z komórki z agentem specjalnym Warrenem i Sydney Olson. Zawsze myślał o swoim małym domku jako miejscu znajdującym się na końcu świata, ale zasięg był tutaj doskonały i Dar zawsze mógł stąd zadzwonić. Nie dziwił się zresztą ostatecznie przebywał w południowej Kalifornii. Żadna z osób stawiających sobie tutaj kosztowne weekendowe domy nie miała ochoty porzucać kontaktów z resztą stanu, a większość nie mogła sobie pozwolić na pozostanie poza zasięgiem nawet przez godzinę.

Minor miał nadzieję, że nie dojdzie do strzelaniny, że w najgorszym razie poleży sobie w kryjówce, podczas gdy Rosjanie będą czekać, aż wyjdzie z domku, później zaś przylecą helikoptery Federalnego Biura Śledczego z prawdziwymi profesjonalistami na pokładzie. Jeśli wszakże zabójcy go dostrzegą był przygotowany na wymianę ognia i zatrzymanie Rosjan przynajmniej do przybycia odsieczy. Jego pozycja była niemal równie defensywna jak w trakcie obrony reaktora w Dalat wiele lat temu. Darwina otaczał wąwóz i nikt niewidoczny nie mógł podejść do jego stanowiska ani z zachodu, ani od południa, czyli od strony drogi i domu, wspinaczka od wschodu zaś wydawała mu się zbyt trudna. Minor przyniósł ze sobą własnoręcznie uszyty strój ze skrawków, toteż jeżeli odpowiedź ogniowa Rosjan okaże się zbyt groźna – a Dar uważał każdą odpowiedź ogniową za zbyt groźną – włoży to kamuflujące ubranie i skieruje się ku polom położonym za lasem na wschodzie. Zanim zabójcy dotrą do tej części wąwozu, powinien znaleźć się na dole, niewidoczny, a wtedy chyba wreszcie przybędzie oddział FBI.

„Jestem kompletnym paranoikiem” – pomyślał tuż po północy. „Po co właściwie ci Ruscy mieliby znów chcieć mnie zabić?”.

W głębi serca znał wszakże potencjalne powody tamtych. Gregor Yaponchik i Pavel Zuker zostali wyszkoleni na snajperów; to było ich zajęcie przez wiele lat. Minor wiedział, że ze wszystkich żołnierzy na świecie, tylko snajperzy umieją gnębić przeciwnika. Zwyczajni marines i żołnierze piechoty potrafili wytropić małą grupę lub choćby pojedynczą osobę, ale tylko snajperów szkoli się, żeby się czaili, kryli przed wrogiem i stosowali zasadzki – a wszystko to przez długi czas, aż do osiągnięcia celu, czyli zabicia określonej jednostki. I na snajperskiej liście do odstrzału na pierwszym miejscu zawsze znajdował się ktoś, kto stanowił największe zagrożenie: nieprzyjacielski strzelec wyborowy.

Darwin nie wiedział, czy Rosjanie bądź też ich amerykańscy pracodawcy posiadali dostęp do jego akt w archiwum Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, wolał wszakże nie ryzykować, brał więc pod uwagę to, że znali jego snajperską przeszłość. Co więcej, Yaponchik i Zuker otrzymali do wykonania zadanie – trzy razy mieli go zabić i trzy razy zawiedli. Jeśli Dar wiedział cokolwiek o mentalności

snajpera – a sądził, że sporo o niej wie – podejrzewał, że kogoś takiego jak Yaponchik musi ogarniać straszliwe uczucie frustracji związane z niewypełnionym zadaniem.

Pamiętał pewną kreskówkę o królu, który zasiadał na tronie.

„Jestem paranoikiem” – pomyślał kiedyś król. „Ale czy aby jestem dostatecznym paranoikiem?”.

Noc mijała powoli. Darwin upewnił się, że jego obecności nie ujawnia żaden błysk, a następnie przełączał widok z kolejnych kamer, dla zewnętrznych używając nocnych obiektywów. Na drodze nie zauważył żadnego ruchu. Podobnie – przynajmniej na pierwszy rzut oka – na wielkim polu pod wzgórzem za domkiem. Ani na stanowiskach snajperskich oddalonych od niego o dwieście siedemdziesiąt metrów. Nie było też żadnych nieproszonych gości w samym domu.

Miał podzielną uwagę, więc mógł przy okazji przemyśleć pewne kwestie. Pozwalał sobie na to, póki nie poczuł, że rozmyślania przeszkadzają mu w skupieniu.

Przypomniał sobie pierwsze lata lektury dzieł stoików. Wiedział, że dla przeciętnego człowieka stoik to zwolennik zachowywania kamiennego oblicza i nieokazywania po sobie bólu. Nieszczerólnie poważał opinie tych przeciętnych ludzi i nie bardzo cenił ich intelekt. Rozmawiał zresztą o tym z Syd. Ta kobieta rozumiała złożoność pism filozoficznych stoików – Epikteta i Marka Aureliusza. Wiedziała, że można dzielić życie między sprawy, nad którymi nie ma się żadnej kontroli i które wymagają maksymalnej odwagi, oraz które człowiek może i powinien kontrolować, a przy których zalecana była maksymalna rozwaga. Dar właśnie tak myślał i żył przez wiele lat, toteż tej nocy zdumiała go myśl, że rewiduje, podważa, a może nawet krytykuje dotychczasowe zasady. I to akurat tej nocy.

„Nie mów już o człowieku, który powinien być dobry, ale bądź taki” – napisał Marek Aureliusz. Dar starał się żyć zgodnie z tą maksymą. Czego jeszcze uczył Marek Aureliusz? Niemal fotograficzna pamięć Minora pozwoliła mu zacytować w myślach kolejny ustęp: „Niech ci to zawsze będzie jasne, że i ten kącik ziemi jest ziemią. I że tu to samo znajdujesz, co na szczycie góry czy na wybrzeżu morskim, czy gdzie chcesz”. [Marek Aureliusz, op. cit.] I łatwo odkryć, że, jak pisał Platon: „Mieszkanie za miejskimi murami jest jak siedzenie w zagrodzie owczarza na szczycie góry”.

No cóż, Darwin rzeczywiście mieszkał w czymś podobnym do zagrody na górze. W każdym razie miał kryjówkę na wysokościach... Teraz jednak myśląc o przesłaniu Platona i Marka Aureliusza, wiedział w duszy, że z ich sednem wcale się nie zgadza. Po śmierci Barbary i synka nie potrafił już żyć w Kolorado. Trochę czasu zajęła mu akceptacja własnej bezradności i niemocy, w końcu wszak zrozumiał wszystko

i pogodził się ze sobą. Jego mieszkanie... ta góra, to miejsce blisko wybrzeża... stało się dla niego nowym początkiem.

A teraz ktoś usiłował pogwałcić jego spokój. Niedaleko stąd Rosjanie próbowali zestrzelić jego i Syd, a w pobliżu domku zrobili mu zdjęcia.

Nie czuł wściekłości ani bliskiego nadejścia *katalepsis*. Przez tak wiele lat dławił swoje emocje – obracając w dowcip ironię własnego ocalenia – że teraz również nie opanował go gniew. Ponieważ jednak leżał na stoku góry i czekał, towarzyszyła mu wiara... Naprawdę wierzył, że Rosjanie po niego przyjdą. Wbrew wszelkiej logice taka nadzieja płonęła w nim niczym zimny ogień.

Za każdym razem, gdy odwiedzał miejsce jakiegoś wypadku, myślał o słowach Epikteta: „Powiedz mi, dokąd mogę uciec przed śmiercią: odkryj dla mnie tę krainę, pokaż mi ludzi, do których muszę się udać, ludzi, których nie nawiedza śmierć. Wskaż mi zakęcie przeciwko śmierci. Jeśli takiego nie znam, co mam zrobić? Nie potrafię uciec śmierci, więc powinienem umrzeć... lamentujący i drżący? Przeto jeśli jestem w stanie zmieniać wedle mojej woli zdarzenia, zmieniam je; jeśli jednak nie jestem, jestem gotów wydrzeć oczy każdemu, kto mi przeszkadza”.

Może Epiktet pogardzał takim impulsem, lecz Dar nie potrafił nawet przed sobą ukryć, że jest skłonny wylupić Rosjanom oczy, jeżeli znów się do niego zbliżą. Myśląc o tym, pomacał długi nóż Ka-Bar w pochewce przy pasku. Poprzedniego wieczoru spędził dobrą godzinę, ostrząc ten nóż, a później drugą opryskując go i polerując, chociaż gdy wyobraził sobie, że wbija zimną stal w ciało innego człowieka, od razu miał ochotę wymiotować.

„Ktoś spytał:

– Jak tedy każdy z nas może odkryć, co jest odpowiednie dla jego charakteru?

– A jak – odpowiedział tamten – postępuje byk, gdy zaatakuje go lew? Czyż nie odkrywa własnych możliwości i nie rzuca się w obronie całego stada?”.

Przeklęty Epiktet! Darwin nie uważał się za człowieka odważnego... ani za byka. I nie miał też żadnego stada, które musiałby chronić przed lwem.

„Syd” – przemknęła mu przez głowę nieproszona myśl. Sekundę później wszakże nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Podczas gdy on leżał tutaj, ukryty wśród skał w środku nocy, sześćdziesiąt pięć kilometrów od miasta i niebezpieczeństwa, Sydney Olson przygotowywała się do szturm na przestępców. To raczej ona broniła stada przed lwem, nie on.

Mijały godziny, w trakcie których przesuwiał się i wiercił, szukając wygodniejszej pozycji, obserwując teren – to rozglądając się w okularach noktowizyjnych, to popatrując na monitor, słuchając wiatru poruszającego konarami sosen i instynktownie wyliczając wtedy jego prędkość, czy wreszcie zajmując się dekonstrukcją światopoglądu, na którym opierał się niemal przez całe swoje życie.

„Duszycką jesteś dźwigającą trupa – powiedział Epiktet”. [Marek Aureliusz, op. cit.] Darwin, który widział tak wiele ciał, a ściśle rzecz ujmując, świeżych zwłok, nie zamierzał się z nim sprzeczać. Chociaż w trakcie ostatnich kilku tygodni, podczas kontaktów z Sydney, wcale nie czuł się jak ciało ożywione jedynie małą iskierką w postaci duszy. Musiał się przed sobą przyznać – czuł się naprawdę żywy. Dzięki tej kobiecie bardzo odżył.

Do piątej rano, zmęczony i obolały, ale wciąż rozbudzony, przemyślał wszystkie podstawy ontologiczne i epistemologiczne wyznawanej dotąd filozofii i zrozumiał, że jest idiotą.

„Podobny bądź do skały, o którą się ciągle fale rozbijają – nauczał Epiktet. – A ona stoi, a koło niej usypiają bałwany wody”. [Marek Aureliusz, op. cit.]

„Och, pieprzyć to” – pomyślał Dar. Czy Epiktet w ogóle kiedyś był na brzegu morza? Czyżby nie wiedział, że woda, stale podmywając skałę czy przylądek, niszczy je prędzej czy później? Prawdopodobnie Morze Egejskie nie miało tak wysokich fal jak te, które Dar oglądał co tydzień na wybrzeżu Pacyfiku. Morze zawsze wygrywa. Podobnie jak grawitacja.

Darwin przez ponad dziesięć lat usiłował stać się taką skałą i trochę już się tym zmęczył.

Pierwsze promienie przedświtu przesunęły się nad stokiem. Dar zdjął okulary noktowizyjne i przełączył obiektywy w kamerach. Droga dojazdowa była pusta, podobnie dom, pole poniżej domu i snajperskie kryjówki.

Około siódmej rano poczuł falę ulgi zmieszanej z osobliwym rozczerowaniem. Do tej godziny powinny się już zacząć wszystkie obławy, taki przynajmniej był plan, o którym wspomniała mu Syd. Chyba mówiła też, że Rosjanie zostaną aresztowani przed Trace'em i innymi Amerykanami.

O wpół do ósmej Darwina zaczęła kusić rezygnacja z całej akcji. Mógłby zejść ze wzgórza, przygotować sobie duże śniadanie, zadzwonić do Sydney i kilka godzin się przespać. Zwalczył jednak pokusę i postanowił jeszcze trochę poczekać. A przyjaciółka i tak pewnie była nadal zajęta.

O siódmej trzydziści pięć kamera numer jeden zarejestrowała jakiś ruch na podjeździe. Ogromny, czarny chevrolet suburban z zaciemnionymi oknami przejechał powoli obok miejsca, w którym Minor umieścił kamerę, zatrzymał się, po czym nieco cofnął, aż w końcu stanął naprzeciwko drzewa z kamerą. Z pojazdu wysiadło pięciu Rosjan. Wszyscy nosili czarne swetry i spodnie, niemniej Darwin natychmiast rozpoznał Yaponchika i Zukera. Starszy Rosjanin, który nadal przypominał Minorowi Maksa von Sydowa, wyglądał niemal na smutnego, kiedy wydawał swoim towarzyszom broń. Trzej młodszy mężczyźni ruszyli przed siebie i szybko znaleźli się poza zasięgiem kamery. Wszyscy mieli karabiny szturmowe AK-47. Nawet na małym

monitorze Dar widział też ich dodatkowe uzbrojenie – noże i półautomatyczne pistolety przy pasach.

Yaponchik i Zuker również przypasali sobie kabury z pistoletami, z samochodu nie wyjęli jednak kałasznikowów, ale dwie sztuki karabinu SWD, czyli tego samego typu, z którego zabili Toma Santanę i trzech agentów Federalnego Biura Śledczego.

Minor nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Mimo że w tej sprawie obracano tak wielkimi pieniędzmi, Rosjanie pozostali przy karabinach, które uważali za najlepsze. „Są sentymentalni” – ocenił, czując dotyk drewnianej kolby własnego przedpotopowego karabinu snajperskiego. Wiedział, że jedna i druga broń ma wymienialny magazynek na dziesięć nabojów, tłumik oraz mechanizm osłabiający odrzut. Zauważył też tłumiki na lufach AK-47 pozostałych trzech Rosjan. Najwyraźniej ta grupka wpadła tu zaledwie na chwilę. Zamierzali cicho zabić niejakiego Darwina Minora i ruszyć w dalszą drogę.

Dar wiedział też, że dragunow traktowany jako karabin snajperski ma poważne ograniczenia. Jego celność była wystarczająca zaledwie do sześciuset metrów, a gdy strzelało się z ośmiuset, istniała jedynie pięćdziesięcioprocentowa szansa trafienia w nieruchomy cel wielkości człowieka. M40 Minora miało lepszy zasięg, więc teoretycznie dawało Darwinowi dużą przewagę. Na nieszczęście odległość z jego kryjówki do domku wynosiła zaledwie dwieście siedemdziesiąt metrów, a do stanowisk snajperskich, do których właśnie najwyraźniej kierowali się Yaponchik i Zuker, jeszcze mniej.

Dar obserwował na monitorze obraz z kolejnych kamer, toteż dokładnie poznał rozmieszczenie zabójców. Jeden z mężczyzn z pistoletem maszynowym pojawił się teraz na południowym stoku pod domkiem; pełzył przez wysoką trawę. Dwaj weszli do lasu nad domem. Yaponchika i Zukera wychwyciła kamera umieszczona wysoko na wzgórzu. Obaj zatrzymali się, rozejrzeli, po czym... wybrali mniej oczywistą ze snajperskich pozycji. Kamera Minora idealnie zarejestrowała dwóch starszych Rosjan, którzy instalowali się w niewielkiej kryjówce, a później próbnie mierzyli z broni i sprawdzali lornetki.

Darwinowi dziko waliło serce w piersi. „Czas wezwać kawalerię” – pomyślał. Wyjął telefon komórkowy, włączył go, sprawdził stan baterii i zasięg, które okazały się wystarczające. Już podnosił kciuk, by wcisnąć wcześniej zaprogramowany awaryjny numer agenta specjalnego Warrena. Nie nacisnął wszakże klawisza, gdyż w tym samym momencie jego oko przyciągnął jakiś ruch na monitorze.

Minor przełączył widok na kamerę numer pięć. Teraz widział szczegółowo forda taurusa Syd Olson, który przejechał obok zaparkowanego przy drodze suburbana, przyhamował, po czym przyspieszył, kierując się do domku. Prosto ku czającym się tam Rosjanom.

Rozdział dwudziesty czwarty

X JAK X-Y-Z

Darwin natychmiast wcisnął zaprogramowany pod innym klawiszem numer komórki Sydney. Kobieta nie odebrała. Zostawił telefon na autopowtarzaniu, podczołgał się nieco do przodu i obserwował teren wokół domku w okularach Leica DBII, których obraz stabilizował żyroskop.

Dostrzegł ją. Wsiadła z taurusa, przygotowana na atak trzymała wysoko pistolet maszynowy H&K. Torebka, którą nosiła na ramieniu, przesunęła jej się na plecy. Sydney zbliżała się do domku ostrożnie i ukradkiem, toteż Dar domyślił się, że wyłączyła głośnik w telefonie albo w ogóle go przy sobie nie miała. Zauważył, że nosiła kamizelkę kuloodporną nie zapięła jednak rzepów i poły kamizelki wisiały luźno. Gdyby ktoś strzelił do niej z boku, mógłby trafić ją prosto w serce.

Minor poczuł, że puls przyspiesza mu jeszcze bardziej. Ogarnęła go bezsilność. Stracił z oczu dwóch Rosjan z kałasznikowami – podejrzewał, że znajdują się gdzieś w lesie, niedaleko Syd – i nie umiał znaleźć żadnego sposobu ostrzeżenia kobiety.

„Trzeba się, cholera, skoncentrować” – nakazał sobie w myślach. Przez chwilę oddychał głęboko, starając się uspokoić oddech i tętno. Sydney dzieliło od drzwi domku już tylko piętnaście metrów. Widział ją czasem wśród drzew, potem mu zniknęła. Nigdzie nie dostrzegał rosyjskich strzelców.

Podniósł głowę i sprawdził przez lornetkę pozycję odległych od niego o dwieście siedemdziesiąt metrów na zachód Yaponchika i Zukera. Widział lufę wintowki pierwszego snajpera i czubek głowy drugiego. Zuker również patrzył przez lornetkę. Darwin pamiętał pole ostrzału z obu tych miejsc i wiedział, że jeśli Syd zrobi jeszcze kilka kroków, stanie się doskonale widocznym, idealnym wręcz celem. Zanim opadł z powrotem w swoją skalną szczelinę, zauważył, że Zuker mówi coś do radia. „Cholera” – zaklął Darwin w myślach. Rosjanie potrafili się między sobą komunikować, a on nie mógł się skontaktować z Sydney.

Kobieta wyszła na otwartą przestrzeń i skupiła uwagę na domu. Wyglądała na skonfundowaną, jak gdyby spodziewała się czegoś innego. Zrobiła jeden ostrożny krok, nadal z podniesionym i gotowym pistoletem maszynowym, który był wyposażony w powiększający celownik, następnie się obróciła, spojrzała na zalesiony stok po swojej lewej, potem na drzwi domu, w końcu na prawo od siebie.

„Są zamknięte” – powiedział sobie w myślach Dar, jakby próbował samą siłą woli przekazać jej tę wiadomość. „Nigdzie nie leży dodatkowy klucz. Są zamknięte, Syd!”.

Podniósł karabin snajperski M40 i spojrzał przez celownik broni, zastanawiając się nad wysyłaniem ostrzegawczego strzału w kierunku kobiety. Potem przyszedł mu

do głowy lepszy pomysł. Wziął więc lornetkę.

Sydney podchodziła do drzwi domku. Gdyby Darwin zostawił drzwi otwarte, Rosjanie mogliby pozwolić kobiecie wejść, a potem weszliby za nią, mając nadzieję, że w ten sposób złapią oboje. Jeśli jednak Syd naciśnie klamkę i odkryje, że drzwi są zamknięte, Rosjanie natychmiast zrozumieją, że nie ma go w środku i... Dar nie miał cienia wątpliwości, że w takiej sytuacji zaczną strzelać.

Położył M40 obok siebie i zerknął na monitor, na którym kamera numer trzy rejestrowała trzeciego Rosjanina, zbliżającego się południowym zbochem, dobrze poniżej trzystu metrów od ganku. Darwin patrzył przez chwilę, po czym podniósł lornetkę.

Leicę wyposażono w laser i chociaż nie takie było przeznaczenie urządzenia, Minor wiedział, że jeśli wystarczająco szybko wciśnie czerwony guzik na lornetce, wyśle w stronę przyjaciółki czerwoną kropkę lasera. Zrobił, jak pomyślał, i po chwili kropczka zatańczyła migotliwie niemal na stopach Syd.

Kobieta spojrzała zdumiona w dół i zamyśliła się przez chwilę. Dar miał nadzieję, że żaden z Rosjan nie zauważył mrugającego światełka wśród sosnowych igieł. Gdy Sydney zrozumiała, na co patrzy, Darwin wymierzył lornetkę w jej pierś i kilka razy wcisnął czerwony guzik. A ponieważ mechanizm laserowy służył do ustalania zasięgu, na wyświetlaczu cyfrowym z boku wizjera pojawiły się liczby: 241 metrów, 240 metrów, 239 metrów. Minor zignorował migające cyferki i nadal wduśzał czerwony przycisk, celując w czarną kamizelkę kuloodporną tuż nad lewą pierś Sydney.

Kobieta w jednej chwili padła i przeturlała się szybko, jakby coś ją pchało. W tym samym momencie Darwin usłyszał stłumione odgłosy wystrzałów – z lasu i z pasma wzgórz. Pociski rozpruły ziemię w pobliżu miejsca, w którym jeszcze przed sekundą stała Syd. Minor obserwował przyjaciółkę przez lornetkę, śledząc jej ruch. Sydney ukryła się za leżącym pnem daglezi, lecz nie była tam bezpieczna, gdyż niewidoczni dla niej zabójcy natychmiast zaczęli ją ostrzeliwać z wyposażonych w tłumiki kałasznikowów i na wszystkie strony rozprysły się mniejsze drzazgi i większe kawałki spróchniałego drzewa.

Ze względu na brak odgłosów wystrzałów kanonada wyglądała straszliwie nierealnie. Sekundę później sytuacja się zmieniła, ponieważ Syd podniosła nad leżące drzewo pistolet i zaczęła strzelać na chybił trafił w las. Nie miała tłumika i robiła sporo hałasu. Tyle że rezultaty były żadne.

„Rusz się! Rusz się! Nie zostawaj w tamtym miejscu. Yaponchik potrafi przestrzelić zmuszały pień daglezi!” – krzyczał w myślach Dar.

Tym razem najwyraźniej przekazał kobiecie telepatyczne ostrzeżenie. Albo Sydney sama wiedziała, co robić. W każdym razie Minor zobaczył, jak przyjaciółka

toczy się, usiłując uciec przed kulami Rosjan, którzy strzelali w trybie półautomatycznym, rozdzierając niczym papier gruby na ponad pół metra pień.

Darwin postanowił, że czas włączyć się do walki. Podczołgał się do stojącego na dwójnogu barretta, wycelował w zagajnik sosen, jodeł i brzoź rosnących tuż nad Syd i otworzył ogień. Hałas był porażający. Dar niemal zapomniał, że załadował „lekką pięćdziesiątkę” nabojami przeciwpancernymi, które z tysiąca dwustu metrów potrafiły przebić dziewiętnastomilimetrową płytę stalową. Efekt był dość dramatyczny. Jedną młodą sosnę przecięło całkowicie na wysokości mniej więcej trzech i pół metra ponad ziemią, toteż drzewo złamało się i spadło z hukiem. Trafiona pociskami olbrzymia, sześćdziesięciometrowa dagleź zaczęła się gwałtownie kołysać w przód i w tył; wyglądała jak drzewo smagane przez potężną wicherę, tyle że podczas kołysania na wszystkie strony rozpryskiwały się wokół grube wióry i krople żywicy. Darwin strzelał jeszcze przez chwilę, nieszczerólnie celując. „Zabijam sporo drzew” – pomyślał. Łuski spadały na skalne podłoże obok niego, tocząc się z grzechotem po jego snajperskiej kryjówce, nie zwracał jednak na to uwagi. Zmienił magazynek, tym razem ładując zwyczajne czterdziestosześciogramowe naboje 12,7 x 99 milimetrów i nadal strzelał długimi seriami, starając się lepiej opanować broń.

Kiedy przerwał, zapanowała cisza. Jego kanonada bez wątpienia zaskoczyła Rosjan, w każdym razie nie strzelali. Syd najprawdopodobniej skończyła się amunicja. Przez kilka sekund Darwin słyszał jedynie dzwonienie w uszach.

„Spieprzyłem to” – uświadomił sobie, niestety zbyt późno. „Kompletnie to spieprzyłem”.

Obrócił barretta kaliber .50 i teraz miał na celowniku wejście do domku. Wsunął kolejny magazynek, znowu z pociskami przeciwpancernymi. Pierwsza kula wyrwała dwunastocentymetrową dziurę w drewnie drzwi frontowych, tuż nad klamką. Drugi strzał roztrzaskał na kawałki zamek. Trzecim strzałem Minor otworzył drzwi, wyrywając je w połowie z zawiasów.

„Biegnij, dziewczyno, biegnij!” – polecił w myślach Syd, po czym zrobił coś, co mogło mieć dla niego straszliwe skutki: uniósł się na kolana, przesunął ciężkiego barretta 82A1 ku Yaponchikowi i Zukerowi, opierając długą lufę broni na skale. Jeśli go już zobaczyli i namierzyli, wkrótce umrze, wiedział o tym.

Dostrzegł górną połowę głowy Zukera. Mężczyzna studiował przez lornetkę miejsce odległe od Dara mniej więcej o dwadzieścia metrów, a potem przesunął lornetkę w prawo, wciąż przeszukując wzgórze. Minor bez zastanowienia wystrzelił w kierunku Rosjanina ostatnie siedem nabołów. Trafił w skały wokół dwóch zabójców, wznecając prysznice iskier i kawałków granitu, które wyskoczyły w powietrze na wysokość piętnastu metrów. Jeden strzał, oddany zbyt wysoko, uderzył w głąz tuż nad stanowiskiem ogniowym i spowodował małą lawinę kamyków

i odprysków. Niestety, Dar miał pewność, że nie udało mu się nawet zranić żadnego z Rosjan.

Opadł ponownie na podłogę skalną. Nie mając Sydney nigdzie w zasięgu wzroku, zapatrzył się w monitor, przełączając widok z jednej kamery na drugą. Kobiecie udało się dotrzeć bez przeszkód do domku i teraz kuciała tam w sypialni przy oknie. Najbliżsi domu zabójcy ostrzeliwali nieprzerwanymi salwami budynek, a zwłaszcza okna. Na łóżko opadały drobiny szkła, fragmenty drewnianej ramy i pierze rozdartych poduszek, toteż Syd wycofała się z powrotem do kąta. Drzwi nadal zwisały z futryny, częściowo otwarte. Dar natychmiast zauważył, że przyjaciółka nie ma już amunicji do swojego hecklera & kocha MP-10; dodatkowe magazynki zostawiła prawdopodobnie na zewnątrz wraz z torbą. „No i zapewne telefon” – pomyślał ponuro. Spojrzał na nią. Kuciała, trzymając w obu rękach sigę kaliber dziewięć milimetrów. Stale zerkła na otwarte drzwi, oczekując na wejście pierwszego Rosjanina.

Darwin wyjął telefon z pokrowca przy pasku i wystukał numer do domku. Na małym monitorze widział, jak Syd podskakuje i patrzy na telefon.

„Odbierz” – poprosił w myślach. „Błagam cię, odbierz”.

Zabójcy na moment przestali strzelać i wtedy Sydney rzuciła się do telefonu, ściągnęła go pod stół i ze słuchawką w ręce rzuciła się z powrotem do kąta. Minor odwrócił wzrok od małego monitora i wycelował „lekką pięćdziesiątkę” w drzwi, gotów strzelać do każdego Rosjanina, który spróbuje wejść do domku.

– Sydney!

– Gdzie jesteś, Darwinie?

– Na wzgórzu... Nie trafili cię?

– Nie.

– To dobrze. A teraz posłuchaj. Obok łóżka są drzwi zapadowe do piwnicy.

Otwarcie znajduje się pod długim dywanem, przy jego końcu, na prawo od łóżka, jakieś cztery metry od ciebie. Klucze natomiast są pod tacką z lodem w zamrażalniku lodówki...

– Dar, ilu...

– Masz w lesie ponad sobą dwóch Rosjan z wyposażonymi w tłumiki AK-47 – odparł. – Yaponchik i Zuker mają karabiny snajperskie, ale znajdują się wyżej na wzgórzu. Jeden facet jest na południe od domku... – Minor przełączył widok na kamerę numer cztery, którą umieścił na południowym zboczu. Zabójca przekradał się wzdłuż ganku, wyraźnie zamierzając wpaść do domu. – Zbliżył się i jest gotów do wejścia – zakończył Darwin. – Bierz klucze! Uciekaj!

Ostrzelał drzewa, obserwując równocześnie ruchy Syd. Kobieta przebiegła pokój, dopadła lodówki, wyrzuciła z zamrażalnika tacę z lodem, chwyciła małe skórzane etui i popędziła z powrotem do sypialni.

Yaponchik i Zuker zaczęli strzelać. Dar słyszał kaszlące odgłosy ich dziwnych tłumików, znacznie bardziej imponujący okazał się sam widok: pociski kaliber 7,62 milimetra bez trudu przedarły się przez drewno ściany północnej i dotarły do kąta, w którym przed chwilą kuliła się Sydney. Kule rozerwały na kawałki ulubioną lampkę Minora i wiele desek sekwojowej podłogi.

Darwin chciał ich ostrzelać, chociaż wiedział, że obaj snajperzy leżą płasko i pozostają dla niego niewidoczni, musiał jednak sprawdzić, czy Sydney schroniła się już w piwnicy. Spojrzał.

Kobieta męczyła się z kluczami, równocześnie przyciągając ku sobie po podłodze telefon.

– Nie mogę znaleźć tego pieprzonego... – krzyknęła.

– Ten wąski klucz – odpowiedział jej Dar. – Właśnie ten.

Zapadnia się otworzyła i w piwnicy automatycznie rozbłysło światło. Sydney rozejrzała się wokół siebie. Trzeci Rosjanin wszedł z ganku i otworzył ogień. Kobieta schowała się za podniesioną zapadnię, ale kule uderzyły w lakierowane drewno. Zapadnia opadła na Syd, która zsunęła się do piwnicy. Darwin już jej nie widział; pozostał po niej jedynie sig sauer, który upuściła najprawdopodobniej podczas uderzenia. Mógł się tylko modlić, żeby obite metalem sekwojowe drzwi zapadowe wytrzymały ostrzał.

Zamontowane w domku kamery zarejestrowały dwóch innych Rosjan, którzy weszli właśnie frontowymi drzwiami. Jeden klęknął, drugi stał, obaj wymachiwali karabinami. Trzeci Rosjanin uspokoił ich gestem, a następnie wycelował palec w podłogę.

Zabójca stojący najbliżej zapadni odpiął jakiś przedmiot od paska.

„Cholera” – pomyślał Darwin. „Mają granat”.

Zanim zdążył strzelić, pierwszy Rosjanin podniósł zapadnię, wrzucił do piwnicy granat, opuścił zapadnię, po czym się od niej odsunął. Pod wpływem wybuchu drzwi zapadowe znów się otworzyły. Minor widział, że światło w piwnicy zgasło, toteż wejście było teraz jedynie czarnym kwadratem w podłodze z wypolerowanego drewna. Potem zobaczył, jak trzech zabójcy zbierają się wokół zapadni i mierzą z broni w ciemność.

Używając monitora jako punktu odniesienia, Dar wycelował z barretta i wystrzelił dwa pociski przeciwpancerne. Pierwszy przeniknął ścianę na lewo od ramy okiennej i dosięgnął Rosjanina, który natychmiast upuścił granat. Zabójca otrzymał strzał w plecy, który roztrzaskał mu kręgosłup, wewnętrzne organy i klatkę piersiową. Następnie kula wyszła mężczyźnie przez żebra i opuściła domek, roztrzaskując przy tym szybę wychodzącego na południe okna. Drugi pocisk musnął głowę upadającego nieboszczyka. Głowa eksplodowała.

Darwin widział, że dwaj pozostali Rosjanie robią krok w tył, a potem rzucają się na ziemię. Jeden z nich przez przypadek upadł rękoma i twarzą w kawałki mózgu zastrzelonego towarzysza.

Minor przesunął celownik do rogu, w którym leżał jeden z zabójców – właśnie w tym samym miejscu jeszcze kilka minut temu kucąca Syd – i wystrzelił w ścianę pozostałe w magazynku trzy pociski przeciwpancerne. Dwa z nich chybiły, przelatując nad głową Rosjaninowi, który skulił się w zwartą pozycję płodową trzeci jednakże uderzył go tuż nad kostką dosłownie rozsadzając mu stopę i odrywając ją aż do połowy podudzia. Biała kość przeleciała przez pokój i o mało nie trafiła ostatniego przykucniętego Rosjanina.

Dar akurat zmieniał magazynek na nowy, gdy uprzytomnił sobie nagle, że sam znalazł się pod intensywnym ostrzałem. Strzelali do niego i Yaponchik, i Zuker. Ciężkie naboje kaliber 7,62 milimetra uderzały w skały na wschód, zachód i na północ od Minora. Nieliczne, lepiej wymierzone, kule spadały ze świstem na skalne podłoże jego kryjówki, a niektóre zaledwie o centymetry od jego butów, po czym rykoszetowały. Inne odbijały się od pochylonych płyt powyżej Darwina i za nim; tych zaczynał się coraz bardziej obawiać.

Nagle kilka kul uderzyło w jego plecak i odbiło się rykoszetem. Jedna z kul trafiła w lornetkę Leica, która, pchnięta za krawędź kryjówki, spadła w wąwóz. Kolejny pocisk trafił w tył kamizelki kuloodpornej Minora, idealnie między łopatki. Darwin uznał, że ból nie jest szczególnie silny. Nie gorszy, niż gdyby ktoś go trzasnął w plecy małym młotem kowalskim. Tym niemniej na moment stracił oddech, obraz przed oczyma mu się zamglił i Dar poczuł się jak podczas wykonywania pętli szybowcem, kiedy grawitacja rośnie do trzech G.

„Może pocisk się przebił i uszkodził mi kręgosłup” – pomyślał tępo, obmacując sobie plecy. W bluzie znalazł otwór, ale ciężka kamizelka pod nią wydawała się nietknięta. Wyczuł niemal spłaszczony pocisk, który utknął w ceramiczno-metalowym włóknie. „O Jezu – przemknęła mu przez głowę pełna respektu myśl – a to przecież tylko rykoszet z odległości dwustu trzydziestu paru metrów, zatem spory procent prędkości kula wytraciła już podczas pierwotnego uderzenia”.

Miał ochotę przemyśleć zarówno fizyczne, jak i filozoficzne następstwa sytuacji, niestety, zanim zdołał się skupić, ze świstem przeleciały obok niego kolejne kule. Zerknął na monitor.

Ostatni żyjący – a w każdym razie oddychający – Rosjanin w domku doczołgał się na brzuchu do otwartej zapadni i teraz ostrzeliwał piwnicę z kałasznikowa.

Minor nie miał pojęcia, jak Syd mogłaby przeżyć, jeśli znajdowała się w korytarzu piwnicy, zamiast w zamkniętym magazynie, uznał jednak, że zamiast dumać, najlepiej zastrzelić zabójcę.

Istniał wszakże pewien problem. Pociski przeciwpancerne mogły nie tylko zabić Rosjanina, ale także przeniknąć podłogę i trafić w Sydney, jeżeli kobieta leżała na przykład ranna w korytarzu. Bezpieczny pokój w piwnicy Darwina był obity stalą, natomiast korytarz miał zwyczajne ściany i podłogę. Dar wyjął magazynek z barretta i poszukał na skale obok siebie zwykłego, z normalnymi pociskami kaliber .50. Znalazł go i załadował „lekką pięćdziesiątkę”.

Ignorując ogień snajperski i kule odbijające się rykoszetem od skalnych ścian po prawej stronie i spadające na dno jego kryjówek, spojrzął na monitor, dzięki któremu mógł dokładnie wycelować broń w Rosjanina. Kontrolując oddech, wymierzył w punkt ściany, za którą leżał zabójca, i delikatnie nacisnął spust.

Niewiele osiągnął. Pierwsze trzy pociski przebiły się wprawdzie całkiem swobodnie przez ścianę, ale nieco zboczyły w toru i spadły z boku Rosjanina. A poza tym Darowi wydało się, że jednak mocno wbijają się w podłogę. Będzie musiał użyć M40 i mieć nadzieję, że uda mu się dojrzeć cel przez okno.

Zabójcę zaniepokoił ostrzał z ciężkiego karabinu maszynowego, więc obejrzał się przez ramię na podziurawioną ścianę. Minor widział na monitorze, że mężczyzna krzyczy coś do towarzysza w kącie, ale osobnik, któremu niedawno oderwało stopę, wciąż leżał zwinięty w kłębek i najprawdopodobniej był nieprzytomny. Wokół jego nogi dostrzec można było ciemną kałużę krwi.

Kiedy Darwin wyjmował ze schowka pod skalnym występem zmodyfikowanego remingtona 700, wystrzelona przez któregoś z Rosjan kula odbiła się dwukrotnie od powierzchni i musnęła go w tył obu ud, tuż pod pośladkami. Dar nie krzyknął, a tylko zazgrzytał zębami i obejrzał się przez ramię. Niewiele widział z powodu grubej kamizelki kuloodpornej i luźnej maskującej bluzy, ale kiedy przesunął prawą ręką po bolącym miejscu, poczuł na niej wilgoć, podniósłszy ją zaś do oczu, zobaczył sporo krwi. Postanowił sobie założyć, że rana nie jest głęboka i pocisk nie uszkodził mu żadnych poważniejszych naczyń krwionośnych. Jeżeli się mylił, na pewno wkrótce się o tym dowie.

Spojrzał przez celownik Redfield, potem zerknął na lewo, w monitor, którego jak do tej pory cudem nie musnął jeszcze żaden rykoszetujący pocisk. Podobnie jak naukowcy używający mikroskopu bądź też teleskopu, także snajperzy uczyli się patrzeć w urządzenie powiększające jednym okiem bez zamykania drugiego, którego kątem potrafili dostrzec, co dzieje się wokół.

Zabójca w jego domu nadal wyglądał na oszołomionego jego strzałami z barretta. Teraz mężczyzna klęknął na jedno kolano i zajrzał w ciemne wejście do suterenu, z wyraźną nadzieją zobaczenia tam ciała, o czym mógłby powiadomić Zukera i Yaponchika przed pospiesznym opuszczeniem budynku.

Po chwili pochylił się mocniej naprzód, zaglądając do piwnicy. W tym samym

momencie Darwin dostrzegł na czarnobiałym monitorze jakiś błysk z dołu i biały owal twarzy człowieka z bronią zmienił się w nieregularną mieszaninę odcieni szarości i czerni. Rosjanin poleciał w tył i upadł na plecy z rozłożonymi ramionami. Kałasznikow wypadł mu z rąk i przeleciał parę metrów nad podłogą.

Minor nie strzelał, tylko patrzył. Kule świstały nad nim, a jedna odbiła się do skalnej ściany, po czym wróciła, mijając mu prawe ucho zaledwie o kilka milimetrów. Dar zauważył jednak, że snajperski ogień przeciwko niemu nieco osłabł. W tej chwili chyba tylko jeden Rosjanin strzelał do niego z dragunowa, co oznaczało, że drugi – Yaponchik albo Zuker, prawdopodobnie Zuker – wyszedł z kryjówki z zadaniem zajścia Minora ze skrzydła. Darwin skupiał uwagę obecnie głównie na monitorze.

W prowadzącym do piwnicy otworze pojawiła się najpierw głowa Syd, potem jej ramiona, następnie sztucer, który kobieta trzymała w rękach. Gdy Sydney znalazła się na podłodze z bronią w dłoniach, obrzuciła spojrzeniem pomieszczenie, przyjrzała się trzem martwym zabójcom, po czym ponownie się rozejrzała po całej sypialni.

Mimo grozy sytuacji Dar się uśmiechnął. Przyjaciółka znalazła remingtona 870, którego zostawił w korytarzu, prawdopodobnie otworzyła sobie też drzwi do bezpiecznego pokoju i może nawet ukryła się w nim przed spadającym granatem i ostrzałem z AK-47, albo przynajmniej stanęła na moment za stalowymi drzwiami, a później niespodziewanie wyszła z za nich i zabiła napastnika.

Sięgnął do paska po telefon komórkowy. Chciał zadzwonić do niej, do domku. Niestety w komórkę trafił najwyraźniej jakiś zabłąkany pocisk, toteż niewiele z niej zostało.

– Cholera – mruknął pod nosem.

Zobaczył, że Sydney biegnie do telefonu stacjonarnego, który nadal leżał na podłodze, w sekundę później dostrzegł jednak, że aparat zmienił się w kupkę plastikowego złomu. Zapewne Dar sam trafił w niego jednym z pocisków przeciwpancernych. Wciąż patrzył w monitor. Syd odrzuciła telefon, po czym podczołgała się do Rosjanina z oderwaną stopą. Wyciągnęła mężczyźnie z pasa radio, a następnie poszukała mikrofonu przypiętego wysoko na jego lewym ramieniu. Minor widział, jak przez chwilę słuchała, a wiedział, że przyjaciółka zna rosyjski.

„Mądra dziewczynka” – pomyślał, zadowolony, że Sydney nie słyszy jego stwierdzenia, które w wielu środowiskach uważano obecnie za seksistowskie. Nie mieli teraz możliwości kontaktu, lecz Syd może przynajmniej uzyskać informacje na temat planów ostatnich dwóch zabójców.

Przypomniał sobie, że musi opuścić swoje stanowisko, zanim pojawi się za nim Zuker i ostrzela go w skalnej niszy, z której Darwin nie będzie już mógł uciec. Kolejny pocisk z dragunowa uderzył w ścianę kilka centymetrów nad głową Minora. Strzał wydawał się idealnie wycelowany i Dar czuł instynktownie, że rzeczywiście ma

do czynienia z Yaponchikiem, który stara się go zatrzymać w snajperskim gnieździe do czasu, aż obserwator zajdzie go od tyłu.

Kiedy Minor wybierał kryjówkę, starał się oczywiście znaleźć najbezpieczniejszą taką którą trudno było otoczyć. Jego pole widzenia i najbliższa strefa walki rozpościerały się nad domkiem, od strony północnej, Darwin miał więc wątpliwości, czy Zuker zejdzie w tym kierunku, aby przeciąć wąwóz. Nie wierzył, że zabójca może liczyć na znalezienie w wąwozie jakiejś stromej ściany wschodniej, po której zdołałby się wspiąć, nie przyciągając uwagi Dara. Zapewne zatem opuściwszy kryjówkę, Zuker ruszył na północny wschód po paśmie wzgórz, prawie na pewno bardzo powoli przemieszczając się przez gęsty las, wśród zalegającego listowia. Miał prawdopodobnie nadzieję, lub wręcz wiedział, że dostrzeże tam na górze łatwe przejście; zapewne w miejscu, gdzie wąwóz się zwęża, a równocześnie jest najgłębszy. Minor wiedział, że Rosjanie byli tutaj wcześniej, i zakładał, iż starannie sprawdzili cały obszar. Zrobiłby tak w każdym razie przyzwoity snajper. To oznaczało, że wiedzieli o pniaku przerzuconym przez wodospad, który na własny użytek Darwin nazwał wodospadem Reichenbach. Powalona wielka jodła leżała tam od wielu lat, a jej pień był śliski od wilgoci i pokrywanego go mchu. Ściany wąwozu otwierały się po obu stronach na małe, porośnięte licznymi krzewami parowy. Minor szacował głębokość wąwozu w tamtym miejscu na około osiemnaście metrów. Teren charakteryzował się licznymi skalnymi nawisami, a powierzchnię zalegały duże, nieregularne głazy.

Wsunął „lekką pięćdziesiątkę” pod skalny występ, starając się ją uchronić przed umyślnym rykoszetem Yaponchika, a później po raz ostatni zerknął na monitor. Sydney kuciała blisko okna, w ramionach trzymała remingtona i jawnie wypatrywała celu. Darwin wziął karabin M40, wypełził powoli z kryjówki, po czym ruszył, chowając się przed Yaponchikiem za skałami.

Zatrzymał się i przez dziesięć sekund się obmacywał, sprawdzając, jak ciężko został ranny. Tyły ud płonęły mu, jakby ktoś oznakował je gorącym żelazem, na szczęście krew zdążyła już zakrzepnąć, usztywniając podarte spodnie, toteż Darwin doszedł do wniosku, że rana nie może być poważna. Szybko poklepał się w miejscu strzału i zyskał pewność, że otrzymał jedynie płytkie muśnięcie, choć ubytek ciała w jego prawej nodze był prawdopodobnie większy niż w lewej. Zaskoczyło go też odkrycie, że rykoszetująca kula, która zniszczyła mu telefon komórkowy, przebiła się też przez pasek i utknęła w prawym boku. Wyczuwał ją tuż pod skórą nieco nad kością biodrową. Postrzał nie bolał bardziej niż stłuczenie, ale Dar wiedział, że takie obce ciało grozi zakażeniem, jeśli zatem chciał uniknąć infekcji, powinien oczyścić i opatrzyć ranę, a pocisk usunąć.

„Zajmę się tym później” – powiedział sobie w myślach i ruszył biegiem na

północ, przez las. Karabin trzymał w gotowości i starał się robić jak najmniej hałasu, co było trudne wśród tak gęsto rosnących drzew. Co jakiś czas się upewniał, czy czubek głowy nie wystaje mu nad skały wąwozu, gdyż wtedy znalazłby się w polu widzenia Yaponchika. Nogi mu płonęły i zrozumiał, że rana na udach sięga aż do pośladków. – „Ale wstyd” – pomyślał, wsłuchując się we własne sapanie i brzęczenie dodatkowych magazynków do M40, które miał w kieszeniach spodni i bluzy.

Wiedział, że w tym wyścigu chodzi o życie. Jeśli Zuker pierwszy dobiegł do prowizorycznego mostku z wielkiego pnia, za chwilę może go dostrzec lub usłyszeć i bez trudu zastrzelić. Darwin musiał więc jak najprędzej wspiąć się na wzgórze. Z drugiej strony, przypominał sobie, że zanim wybiegł z kryjóWKi, Yaponchik nie strzelał już od kilku minut. Wiedział też, że wszystkich snajperów zawsze uczono, że powinni zachowywać maksymalną ostrożność i tylko głupiec mógł biec na ślepo przez las tak jak Minor. Zdawał sobie sprawę, że Zuker nie jest teraz tak zdesperowany jak on, toteż istniała szansa, że Rosjanin będzie się przemieszczał znacznie wolniej. Wreszcie Dar dotarł do płytkiego parowu – porośniętego paprociami i jeżynami, a głębokiego najwyżej na półtora metra – który ciągnął się mniej więcej przez cztery metry aż do drzewa leżącego nad wąwozem.

Najważniejsze, że żył. Przynajmniej jak do tej pory. Sapał jednakże tak mocno, że mógłby nie usłyszeć wroga kryjącego się nawet w pobliskiej trawie. Odpiął zatrask na pochewce noża Ka-Bar – miał szczęście, że nie oderwała się wraz z komórką w pokrowcu – i zaczął czołgać się ku drzewu, celując w nie z karabinu. W parowie po tej stronie nie było nikogo. Pniak wyglądał na dłuższy i węższy, niż Minor go zapamiętał, a wąwóz na dużo głębszy. Ze skał poniżej strzelały w górę kropelki wody. Dar wiedział, że ta szczelina, niezbyt głęboka, lecz i tak groźna, biegła kilkaset metrów na północ, aż do pasma wzgórz. Chcąc tam dotrzeć, będzie musiał wyjść pomiędzy drzew i wtedy stanie się doskonale widoczny ze wzgórza.

Wstrzymał oddech i zerknął przez paprocie na sześciometrową kłodę. Omszała powierzchnia była wyraźnie mokra. Za poręcz podczas przejścia po pniaku mogła posłużyć tylko jedna stara gałąź, a Darwin był pewien, że jest zmurszała i nie utrzyma jego ciężaru, gdy się jej chwyci. Często przyglądał się tej kłodzie podczas swoich wędrówek po wzgórzach i nigdy nie odważył się po niej przejść. Po co zresztą miałby to robić? Sam pomysł wydawał mu się straszliwie głupi.

Podniósł się na kolana, wystawiając głowę wraz z ramionami. Gdyby Zuker czekał gdzieś po drugiej stronie wąwozu, Minor sam by się prosił o strzał. Wcześniej – kiedy sądził, że przeprowadza tę akcję w pojedynkę – miał pewien plan w związku z tym pniakiem. Jeśli Rosjanina tu jeszcze nie było, zamierzał poczekać, aż tamten się zjawi i ruszy po kłodzie. Niestety, Darwin nie brał samotnie udziału w tej akcji; w domku utknęła Syd, którą w każdej chwili mógł zaatakować Yaponchik.

Minęło dziesięć sekund i nie padł żaden strzał. Dar zarzucił M40 na ramię i przez plecy. Wiedział, że broń będzie mu przeszkadzała i ciążyła, ale nie powinna spaść do wąwozu, chyba że... wraz ze swoim właścicielem. Sprawdził, czy karabin jest zupełnie bezpieczny, a następnie wspiął się na kłodę i ruszył po niej na czworakach.

Pavel Zuker, szczupły mężczyzna o brzydkiej twarzy, w tym samym momencie wskoczył na pniak z przeciwnej strony. Dar nie wiedział, który z nich wyglądał na bardziej zaskoczonego. Rosjanin nie zauważył Minora ze swej kryjówki po drugiej stronie parowu, a Darwin również wcześniej nie dostrzegł zabójcy.

Obaj snajperzy przewiesili sobie karabiny w podobny sposób przez plecy, toteż nie mieli w tej chwili ani czasu, ani wystarczającej równowagi, aby po nie sięgnąć. Z tego powodu obaj sięgnęli po broń przy pasku. Darwin wyjął ka-bara, Zuker zaś nieduży pistolet półautomatyczny, który wycelował przeciwnikowi między oczy. Żaden z nich nie mógł zawrócić; mieli zbyt daleko. Obecnie dzieliła ich odległość zaledwie niecałych trzech metrów. Minor zamarł.

– Czy Amerykanie nie są głupi? – spytał Zuker z wyraźnym rosyjskim akcentem.
– Z nożem porywać się na pistolet!

„Stary żart” – ocenił w myślach Darwin, kucając przy jedynym wystającym konarze. Wciąż w prawej dłoni zaciskając ka-bara, prawym butem mocno kopnął gałąź w miejscu, gdzie wyrastała z pnia.

Gałąź oderwała się w przewidzianym przez niego momencie, tyle że wcześniej całe drzewo się rozkołysało, najpierw odchylając się o dobre dwadzieścia stopni w prawo, potem o tyle samo w lewo.

Zuker wystrzelił dwukrotnie; drugi pocisk przeleciał zaledwie dwa, trzy centymetry od głowy Darwina. Rosjanin usiadł okrakiem na kłodzie i trzymając się jej kurczowo lewą ręką, czekał, aż drzewo przestanie się trząść. W końcu, podtrzymując sobie pistolet prawym ramieniem, znów wystrzelił.

Minor był przygotowany na nagły ruch i bez trudu utrzymał równowagę, a następnie skoczył do przodu. Zamachnął się nożem, jednocześnie chwytając lewą ręką nadgarstek zabójcy. W tym samym momencie dziewięćmilimetrowy pocisk przesunął się wzdłuż jego lewego boku, ześlizgując się wprawdzie po grubej kamizelce kuloodpornej, lecz pozbawiając Dara równowagi. Spadłby wtedy, na szczęście również osunął się na kłodę i usiadł na niej okrakiem.

Dwóch mężczyzn dzieliły teraz zaledwie centymetry. Zuker złapał i nie wypuszczał ręki, w której Minor trzymał nóż, a Darwin rozpaczliwie zaciskał palce na nadgarstku ręki z pistoletem. Wylot lufy broni Rosjanina niemal dotykał jego czoła. Zuker znów wystrzelił, ale Minor zdążył się uchylić, więc kula musnęła jedynie płatek jego lewego ucha. Cały prowizoryczny most mocno się teraz chybotał. Dar słyszał wodę płynącą osiemnaście metrów pod nim i uderzającą w różnej wielkości głazy.

Czuł też na rękach rozpyloną ciecz i pot, które utrudniały mu zacisk na prawym przegubie Rosjanina. On i Zuker byli teraz do siebie zwrócenii twarzami. Minora owiewał oddech zabójcy, widział też dokładnie pistolet Kahr kaliber dziewięć milimetrów, a także celowniki: żółty – fluorescencyjny przedni oraz pomarańczowy – tylny.

Walczyli w pocie i ciszy. Mimo dramatycznej sytuacji w umyśle Darwina pojawiły się znane mu dane na temat pistoletu Kahr CAC Customs i jego spustu. Pamiętał, że nacisk na spust zaczyna się dopiero od dwóch i pół kilograma... Wiedział, że szaleństwem jest myślenie o takich detalach, szczególnie w tej chwili, lecz w ciele szalała adrenalina. Uświadomił sobie, że chociaż jest nieznacznie silniejszy od umięśnionego Rosjanina, Zuker prawdopodobnie zwycięży w tej szamotaninie. Wystarczy, że wystarczająco zegnije przegub i wyceluje lufę w głowę Dara. Darwin natomiast musiał odwrócić nóż i maksymalnie zbliżyć się do wroga. Chociaż wychylał głowę jak najdalej do przodu, a jednocześnie się uchylał, wiedział, że nadeszła pora na zmianę strategii.

Natychmiast gdy wylot lufy przesunął się ku jego skroni, Minor zamiast w przód odrzucił głowę w tył i wycofał ramiona, wyszarpując przy tym gwałtownie i uwalniając prawą rękę. O mało nie upuścił noża, na szczęście zdołał go utrzymać, mimo że Zuker wystrzelił, tym razem niemal trafiając Dara w głowę. Minor zamachnął się nożem od dołu, nisko i szybko pod blokujące lewe ramię Rosjanina, zużywając więcej energii podczas tego ruchu, niż sądził, że jego ciało nadal posiada; dźgnął prosto w brzuch, wbijając czubek noża, a później z całych sił pociągając w górę – tak jak go wyszkolono w bazie Paris Island ponad dwie i pół dekady wcześniej.

– Uuuu – jęknął zabójca, tracąc oddech, po czym uśmiechnął się szeroko, pokazując pełne rosyjskie uzębienie, które głównie składało się z brzydkich, metalowych koron. – Mam kevlarową kamizelkę, amerykański dupku – dodał, a następnie odwrócił się ku Darwinowi ruchem z niezgrabnego tańca, znowu celując z pistoletu. Minor poluźnił jeszcze bardziej uścisk spoconych palców i teraz żółty celownik przedni celował bezpośrednio w prawe oko.

Nagle uśmiech Rosjanina zgasł. Mężczyzna wyglądał teraz na zdziwionego, może nawet trochę rozczarowanego. Dar znał to spojrzenie – tak w dzieciństwie patrzyli przyjaciele, gdy matki odwoływały ich od dobrej zabawy. Snajper zerknął w dół, na swój brzuch, na krew tryskającą gwałtownie z ręki i zaciśniętej na niej pięści Dara. Teraz marszczył brwi prawdziwie skonfundowany.

Minor wybił mu pistolet z niespodziewanie osłabłej ręki, a potem chwycił kamizelkę Zukera, ten już się jednak przewracał, ześlizgiwał, zsuwał... aż w końcu spadł. Darwinowi w ostatniej chwili mignęły jego oczy – ciągle czujne i pełne

niewypowiedzianych pytań, nawet gdy serce przestało już pompować krew do mózgu. W chwilę później rosyjski strzelec runął w wodę i stał się dla Minora niewidoczny. Teraz zresztą Dar musiał się skupić na sobie, a zwłaszcza na utrzymaniu równowagi na rozkołysanym pniaku. Prowizoryczny mostek wciąż się chwiało po szamotaninie dwóch mężczyzn, szczególnie że Darwin w ostatniej chwili usiłował wyszarpnąć nóż z ciała Zukera. Udało mu się, toteż teraz wbił ostrze w środek kłody i przytrzymał się go kurczowo obiema rękoma, czekając, aż przestanie się bujać.

Sapał ciężko i zastanawiał się, czy zwymiotuje w tej sekundzie czy w następnej. Spuścił głowę i zapatrzył się w dół, spoglądając przez mgiełkę kropelek na leżące w wodzie osiemnaście metrów niżej połamane zwłoki, które powoli znosiła czerwona od krwi woda. Ciało płynęło na plecach, więc Darwin nadal widział bladą twarz Zukera z rozdziawionymi ustami. Zabójca wyglądał, jak gdyby usiłował zadać ostatnie pytanie.

– Kevlar nie chroni przed ostrzem noża – wysapał Minor, odpowiadając na jedno z niewypowiedzianych przez Rosjanina pytań. – Zwłaszcza przed ostrzem uprzednio spryskanym teflonem.

„Hm... Chyba trzeba by w końcu zejść z tego pniaka” – pomyślał niepewnie Darwin, a może raczej zasugerowała to myśląca część jego umysłu, którą w trakcie walki kompletnie ignorował.

Ostatnie trzy metry przepełził na czworakach. Kiedy w końcu dotarł do płytkiego parowu z boku urwiska, zobaczył na ziemi odciski butów Zukera. Przed próbą pokonania kłody zabójca ukrył się za załomem skalnym... Dara jednak wszystko to właściwie niewiele obchodziło, gdyż jego ciało – ciało mężczyzny w średnim wieku – przede wszystkim straszliwie domagało się odpoczynku.

Odrzucił ten pomysł i powoli wyczołgał się z parowu. Po drodze wytarł z krwi nóż w paprocie i schował go do pochewki, następnie zdjął z pleców M40.

Istniały cztery ewentualności. Darwin wiedział, że Yaponchik nie tkwi wciąż w gnieździe snajperskim. Albo zatem zszedł zabić Syd, albo zbiegł do swojego chevroleta, albo zaczął się w jakimś dogodnym miejscu, z którego łatwo mu będzie zastrzelić Dara. A może zamierza zrobić coś pośredniego między trzema wymienionymi możliwościami.

Minor wstał powoli, przepędził zbliżającą się *katalepsis*, zarzucił na ramię karabin i przez las ruszył na zachód.

Rozdział dwudziesty piąty

Y JAK YAPONCHIK

Darwin czołgał się powoli, ostrożnie i zgodnie z zasadami snajpera. Trzymał głowę spuszczone, świetnie pamiętał szczegóły związane z terenem – w pamięci miał niemal całą mapę okolicy – i zdawał sobie sprawę z pozycji słońca... Przemykał się, wykorzystując wszelki możliwy kamuflaż i każdą naturalną osłonę. Karabin trzymał w rękach i sunął powoli na łokciach, brzuchu i kolanach. Setką metrów na godzinę zdobyłby wysokie noty w Quantico, wkrótce jednak uświadomił sobie, że w tym profesjonalnym tempie dotrze do domku trzy tygodnie po tym, jak Yaponchik zastrzeli Sydney, a następnie odjedzie.

Zatrzymał się, żeby przemyśleć tę kwestię, za pomocą celownika Redfield obejrzał wysoki teren po prawej stronie i polanę po lewej. Nagle usłyszał wystrzał ze snajperskiej wintowki dragunowa, potem drugi, cichszy, z broni automatycznej z tłumikiem. Wystrzały te pomogły mu podjąć decyzję.

Przez sekundę sądził, że charakterystyczny odgłos kałasznikowa z marnym tłumikiem oznacza obecność szóstego Rosjanina, po chwili jednak zdał sobie sprawę, że nie docenił swojej przyjaciółki. Syd skończyła się wprawdzie amunicja do H&K, ale w domku znajdowały się trzy karabiny AK-47, do których zabójcy mieli także zapewne dodatkowe magazynki. Sydney najprawdopodobniej skrzętnie je zebrała i właśnie wystrzelała jeden z nich.

Minor ponownie usłyszał strzały z samopowtarzalnego karabinu snajperskiego Yaponchika. Dragunow również został wyposażony w tłumik, toteż odgłosy były zduszone. Darwin usłyszał trzy i domyślił się miejsca, z którego padły. W dole i na lewo, w odległości niecałych siedemdziesięciu pięciu metrów od niego. Kałasznikow odpowiedział głośnym kaszlem mniej więcej od strony domku.

Na sekundę Dar zamknął oczy i usiłował sobie wyobrazić ostatnie kilka minut. Yaponchik postąpił wbrew jego oczekiwaniom i zszedł ze wzgórza. Teraz taka decyzja wydała się Minorowi sensowna. Doświadczony rosyjski snajper opuścił stanowisko na wzgórzu i zbliżył się do swojego pojazdu, wybierając przy okazji miejsce, z którego prawdopodobnie natychmiast trafi Darwina, gdy ten będzie się czołgał, zwracając uwagę przeważnie na zbocza nad sobą.

Minor wiedział, że Yaponchik postara się pozostać niewidoczny dla Syd, nie wejdzie zatem w pole widzenia ani z drzwi domu, ani z okien, skoro więc kobieta zobaczyła go i do niego strzelała, prawdopodobnie opuściła już budynek. Darwin sądził, że wyszła południowymi drzwiami, zeszła ze wzgórza i dotarła w okolice parkingu, gdzie zapewne ukryła się wśród gązów. Zabójcę dostrzegła najwyraźniej przez celownik. Minor powiedział sobie, że bynajmniej nie byłby zazdrosny, gdyby

zabiła w jego imieniu rosyjskiego sukinsyna, odgłosy strzelaniny sugerowały jednak, że Yaponchik nadal żył i miał się nieźle.

Dar wstał i ruszył biegiem przez zarośla. Skacząc w dół, parę razy się potknął, a raz nawet przewrócił, ani na chwilę jednak nie wypuścił z rąk karabinu i noża. Zauważył głaz, który był jego celem, i oszacował, że jest on oddalony mniej więcej o czterdzieści pięć metrów na wschód od pozycji Yaponchika. Stamtąd wraz z Syd mogliby wziąć Rosjanina w krzyżowy ogień, nie narażając siebie nawzajem.

Przesunął się na brzuchu za głaz, w którego szczyt uderzyły akurat kolejno trzy pociski z SWD. Może Yaponchik go nie zauważył, ale bez wątpienia usłyszał jego nadejście. No i dobrze! Minor kucnął za głazem, gotów zacząć strzelać z zachodniego krańca, jeśli i tylko Rosjanin odpowie na ogień Syd. Tyle że... chociaż AK-47 zakaszłał dwa razy, do uszu Darwina nie dotarły żadne odgłosy z dragunowa zabójcy.

„Cholera” – pomyślał Darwin. „Urwał się nam”.

Wtedy wintowka nieoczekiwanie się odezwała. Jej stłumiony dźwięk dotarł do Minora z okolic parkingu.

– Darwinie – zawołała w tym momencie Sydney z oddali – on strzela do naszych aut...

Potem nastąpiły kolejne wystrzały ze snajperskiego karabinu Rosjanina. W końcu zaległa cisza.

Dar wyruszył znów w dół po zboczu, trzymając się drzew, które rosły gęsto aż do parkingu. Równocześnie próbował zająć Yaponchika z boku. Dotarł do skraju polany, na której stał dom, i szybko ocenił sytuację. Zabójca przestrzelił wszystkie opony land cruisera i taurusa. Minor dostrzegł Sydney, która kuliła się za dużym głazem na zachód od domku. Nigdzie jednak nie widział snajpera. Zagwizdał. Zauważyła go.

– Schodzi drogą, na piechotę – krzyknęła. – Bałam się wyjść, bo nie wiem, jaki jego broń ma zasięg.

– Nie ruszaj się z miejsca! – polecił jej Darwin. – Zostań przy wschodniej ścianie skalnej.

Zbliżył się do niej, kryjąc się to za skałą, to za drzewem, to znów za skałą. Czasem podbiegał, czasem kluczył lub przeskakiwał przez otwarty teren, jeśli nie mógł go uniknąć, mając w takich momentach nadzieję, że jeśli Yaponchik go teraz zabije, Syd zdoła sukinsyna namierzyć i zastrzelić. Na szczęście bez problemów zdołał dotrzeć do głazu, przy którym ukrywała się Sydney. Natychmiast dostrzegł przecięcia i rany na jej twarzy i rękach.

– Jesteś ranna! – krzyknął.

– Jesteś ranny! – zawołała w tym samym momencie Syd.

– Nic mi nie jest – odpowiedzieli oboje równocześnie.

Dar pokiwał głową, dotknął prawego ramienia Sydney i obejrzał jej zranienia na nadgarstkach i dłoniach. Potem przyjrzał się jej twarzy i szybko zdał sobie sprawę, że skaleczenia nie są poważne, choć mocno krwawią.

– Dostałaś odłamkiem? – spytał.

– Tak. Schowałam się za drzwiami, ale kiedy facet upuścił granat, sporo odłamków latało w powietrzu – odparła cicho Syd. Nadal kucała. – A ty jesteś cały pokrwawiony, Dar.

Minor spojrział w dół, na swoją kamizelkę kuloodporną.

– To tylko krew Zukera. Wyłącznie – wyjaśnił.

– Nie żyje? – spytała. Darwin pokiwał głową. – Ale masz też krew na boku i z tyłu – ciągnęła Sydney. – Odwróć się. – Zrobił to, czując kłujący ból w prawym boku i z tyłu obu ud. – To nie jest krew Zukera – stwierdziła kobieta. – Wygląda na to, że ktoś chciał ci odstrzelić dupę.

– Świetnie – mruknął Dar, czując nagle napływające mdłości.

Syd dosłownie zdarła z niego spodnie maskujące i oglądała ranę.

– Przykro mi. To draśnięcie, lecz dość głębokie. Krwawienie już prawie ustało. Ale ucho również masz całe zakrwawione i wygląda paskudnie. A skąd ta krew na boku, pod kamizelką?

– Rykoszet – odparł Minor. – Pocisk utkwił tuż pod skórą. Nic mi nie będzie. Skoncentrujmy się na Yaponchiku. – Wyjrzeli, każde zza innego końca głazu i natychmiast cofnęły głowy. Nie padły żadne strzały. Land cruiser i taurus na płaskich oponach wyglądały smutno. – Sądzę, że się urwał – stwierdził Darwin. – Skierował się do suburana.

– Stoi zaparkowany osiemset metrów dalej przy drodze. Jeśli... – zaczęła Syd.

– Wiem – przerwał jej Minor. Otarł policzek, wyczuł zapach krwi i przyjrzał się swoim dłoniom. Wytarł prawą rękę o nogawkę spodni. Krew pozostała.

– Jeśli za nim pójdziemy... – zaczęła znów Sydney.

– Czekaj. Daj mi sekundkę – poprosił Dar. Zamknął oczy i najdokładniej, jak potrafił, przypomniał sobie drogę dojazdową i związane z nią odległości. Wątpił, czy Yaponchik wybierze tę trasę, gdyż z pewnością wiedział, że niektóre pojazdy mogą się przemieszczać mimo uszkodzonych opon. Minor zastanowił się, co powinien teraz zrobić, i doszedł do wniosku, że najmądrzej będzie wykonać rozsądny taktyczny odwrót i przemieszczając się od jednego punktu snajperskiego do drugiego, poczekać na odsiecz.

Podejrzewał, że minie jeszcze kilka minut, zanim Yaponchik dotrze do samochodu. Później Rosjanin stanie się problemem Federalnego Biura Śledczego. Tyle że...

Darwin widział stąd jedną część drogi dojazdowej – ostry zakręt ze stromym

nasypem na stronie północno-zachodniej i rozciągający się tam otwarty, bezdrzewny teren. Droga dojazdowa łączyła się z autostradą mniej więcej półtora kilometra dalej. W szczelinie pojazd byłby widoczny zaledwie przez kilka sekund, po czym zniknąłby między drzewami i wyjechał na autostradę. Minor uznał, że ma trochę czasu. Wręczył Sydney swój karabin M40.

– Jeśli zabójca wróci, strzelaj raczej z tego niż z kałasznikowa. – Kiedy zmagał się z ciężką kamizelką, zauważył po raz pierwszy wiszącą na piersiach Sydney lornetkę. – Skąd ją masz?

– Od Rosjanina, któremu odstrzeliłeś stopę – wyjaśniła.

– Nie żyje?

Gdy się skupił nad tą kwestią, lornetki zaczęły mieć dla niego sens. Yaponchik chciał wykorzystać jako obserwatorów jak najwięcej swoich towarzyszy. Syd potrząsnęła głową.

– Nie, jest nieprzytomny i w szoku. Obwiązałam mu własnym paskiem łydkę. Stracił mnóstwo krwi. Pewnie nie dożyje do przyjazdu policji i FBI, chyba że zjawią się tu wkrótce.

– Tego nigdy nie wiadomo... – zaczął Dar, po czym przerwał, ponieważ Sydney pokazała mu swój telefon komórkowy. Najwyraźniej udało jej się wrócić po pozostawioną przed domem torbę.

– Warren jest w drodze – oświadczyła.

Minor kiwnął głową. Tym bardziej należało gdzieś przycupnąć i przeczekać. Rzucił na ziemię ciężką kamizelkę kuloodporną i powiedział:

– Zachowaj czujność. Jeśli Rosjanin się zjawi, strzelaj z mojego karabinu.

Wracam za kilka minut.

Darwin pędził jak szalony. Odkrył, że bieganie z raną po postrzale pociskiem kaliber 7,62 milimetra nieźle boli, zwłaszcza kiedy nieco już opadł poziom adrenaliny we krwi. Szczególnie bolesne okazało się zsuwanie po trawiastym zboczu tuż pod domkiem, bieg pod długim gankiem i wspinaczka w poszukiwaniu szlaku obok starego wozu, a także ślizg po stromym wzgórzu do miejsca, w którym wyjście z kopalni złota otwierało się w wąwóz. Czuł, że jego rany pod podartymi spodniami znowu krwawią, kiedy sapiąc i dysząc, wspinał się na stromy szlak po wschodniej stronie wąwozu, a potem zeskoczył pod skalny występ do swojego poprzedniego gniazda snajperskiego.

Tutaj zatrzymał się na sekundę i zapatrzył w skalne podłoże – nie dla złapania oddechu, ale z powodu zdumienia ilością odbitych od ścian kul. A przecież niedawno

jeszcze tutaj leżał. Poncho i plecak zawierający uszyty przez niego strój ze skrawków garnitur były poszatowane na strzepy. Zauważył też, że przynajmniej dwa magazynki do „lekkiej pięćdziesiątki” zostały podziurawione niczym puszki na strzelnicy. Monitor rozbiła na kawałki jakaś zbłąkana kula. To przekreśliło przygotowany przez Minora plan A. Czyli że nie zobaczy, kiedy i czy w ogóle Yaponchik dotrze do chevroleta suburba.

Skoczył do szczeliny i wyciągnął z niej barretta model 82A1 kaliber .50. Potężny karabin był cały. Minor szybko napełnił wielkie kieszenie zarówno pociskami przeciwpancernymi, jak i zwykłymi, po czym z bronią w rękach pobiegł skalną krawędzią z powrotem do podstawy wąwozu.

Zapomniał, jak ciężka i nieporęczna jest ta „lekka pięćdziesiątką”. Powiększający dziesięciokrotnie celownik teleskopowy dodawał jej jeszcze wagi. Będąc w marines, Dar zawsze żałował radiooperatorów i żołnierzy odpowiedzialnych za broń ciężką. Nieszczęśnicy nosili na plecach prawdziwe ciężary, takie jak sprzęt radiowy szyfrująco-deszyfrujący PRC-77, karabiny maszynowe M60 albo granatnik M79 na pociski kaliber czterdzieści milimetrów. Minor zastanowił się, czy wszyscy ci mężczyźni... to znaczy ci, którzy przeżyli... przypłacili tamtą wojnę chorobą kręgosłupa.

Gdy wdrapał się na ostatnie zbocze i przyłączył do czekającej za głazem Syd, nie tylko ociekał krwią z obu ran, ale był też cały mokry od potu. Dobrze chociaż, że zachował się przytomnie i zostawił jedenastokilogramową kamizelkę kuloodporną.

– Żadnych ruchów – oznajmiła Sydney. – Patrzyłam przez lornetkę zamiast przez celownik karabinu.

Darwin skinął głową ze zrozumieniem.

– Żadnych hałasów?

– Nie słyszałam odgłosu uruchamianego silnika suburba... tyle że stoi dość daleko w dole drogi.

– A jesteś pewna, że nie przejechał przez otwarty teren? – spytał Minor.

– Mówiłam chyba, że nie widziałam żadnych ruchów, prawda? – odcięła się Syd lekko rozdrażnionym tonem.

Darwin wziął „lekką pięćdziesiątkę” i pobiegł z nią na lewo, nieco w dół zbocza, dzięki czemu nie był widoczny ani z lasu, ani z pobliskiej drogi. Kierował się ku głazowi o spłaszczonym szczycie, tuż nad ostatnim małym zagajnikiem jodeł, niedaleko miejsca, gdzie stok przechodził w pokryte trawą błonie. Gdy Minor szczęśliwie przeciął ten obszar i nikt do niego nie strzelił, dał znak Syd, ażeby do niego dołączyła.

Ustawił barretta na płaskim szczycie głazu i położył się na brzuchu, ustawiając celownik i regulując go ze względu na wiatr i wysokość. Wiatr nie był tego dnia

szczególnie porywisty – nawet tutaj na otwartej przestrzeni – gdyż najsilniejsze podmuchy nie przekraczały pięciu kilometrów na godzinę. Darwin wiedział jednak, że przy tak dużej odległości trzeba było brać pod uwagę nawet najmniej ważne czynniki.

– Żartujesz sobie ze mnie – mruknęła Sydney, patrząc przez „pożyczoną” lornetkę 7 x 50 na odległy fragment drogi. Przecież to będzie co najmniej półtora kilometra.

– Oceniam odległość na dokładnie tysiąc pięćset metrów – odrzekł Dar, nadal poprawiając ustawienia. – Niemal idealnie. – Na nowo przyzwyczajał się do tej broni, dotykał kciukiem spustu, przykładając policzek do kolby, wyrównywał oddech.

W oddali oboje usłyszeli odgłos uruchamianego silnika.

– No dobrze – powiedział Minor. – Wiemy, gdzie Yaponchik jest teraz. O ile nie wróci. Ma osiemset metrów, potem znajdzie się na tym zakręcie.

– Nie myślisz chyba poważnie o...

– Posłuchaj mnie – przerwał jej. – Mam czas tylko na dwa próbne strzały. – Spojrzał przez lunetkę M3a Ultra. – Wyceluję teraz w ten wielki kamień, który leży przy zakręcie drogi w prawo.

– Który kamień? Ten ciemny czy ten jasny?

– Jasny – odrzekł Dar i strzelił. Broń nie miała tłumika i pod wpływem głośnego wystrzału Sydney aż podskoczyła.

– Och, przepraszam – bąknęła. – Nie zauważyłam, w co trafiłeś.

– Nic nie szkodzi – powiedział Minor. – I tak widzę, że chybiłem. Patrz teraz. – Wystrzelił jeszcze dwa razy.

– Dostrzegłam drugi strzał – stwierdziła Syd, teraz podekscytowana. – Około trzydziestu metrów od drogi. Mam używać metrów czy jardów?

– Cholera! – mruknął Darwin, poprawiając ustawienia. – To bez różnicy, mogą być metry – odparł, znów patrząc przez celownik. Miał jeszcze dwa naboje w magazynku i wiedział, że suburban nadjedzie lada chwila. Nawet nie mierząc, wystrzelił ostatnie dwa pociski, po czym wyjął magazynek i włożył nowy, tym razem z nabojami przeciwpancernymi.

– Oba były blisko – zauważyła Syd, starając się utrzymać lornetkę w poziomie. – Jeden o metr w prawo, drugi o półtora metra w górę, na prawo od jasnego kamienia.

– Teraz się uda – odparł Dar podczas ostatnich ustaleń. – Będzie dobrze, zobaczysz. Od tej chwili nie spuszczam wzroku z celownika, więc mnie powiadom natychmiast, gdy zobaczysz maskę samochodu.

– Zostanie ci wtedy sekunda albo dwie...

– Wiem o tym – uciął. – Nie odzywaj się aż do przejazdu chevroleta. Wtedy krzyknij: „Teraz!”.

Sydney milczała, spoglądając przez lornetkę, Minor tymczasem mrugał, ponieważ obraz miał niewyraźny i starał się zachować między prawym okiem i szkłem

obiektywu odpowiedni dystans, czyli 6,35 centymetra. Lewe oko powinno pozostawać stale otwarte i skoncentrowane na celu. Wiedział, że będzie musiał ocenić prędkość suburbana. Droga była marna, zakręt ostry, ale wątpił, czy Yaponchik postanowi jechać powoli, dbając o zawieszenie pojazdu. Darwin na miejscu Rosjanina próbowałby wziąć zakręt z prędkością co najmniej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Minor pomyślał też, że hamując na zakręcie, chevrolet wznieci sporo kurzu.

Nagle obraz w jego celowniku znów się zamglił – tym razem z powodu niemal pionowych, migoczących fal. Minor znał to zjawisko jako gorący miraż; wiedział, że tworzą go wznoszące się w pewnej odległości fale gorąca, które zresztą pozwalały obliczyć siłę wiatru. Gdyby dziś równoległe fale opadały nieco bardziej w lewo – a Darwin wiedział, że temperatura tego dnia wynosi dwadzieścia sześć stopni Celsjusza – oceniłby prędkość wiatru na pięć do ośmiu kilometrów na godzinę. Ponieważ jednak fale były dzisiaj prawie pionowe, wiatr w tej chwili musiał być naprawdę słaby. Minor instynktownie czuł też, że wyższa temperatura zwiększy prędkość pocisków opuszczających lufę „lekkiej pięćdziesiątki”, wylatujących z minimalną szybkością 853,5 metra na sekundę, co oznaczało, że kula uderzy wyżej w cel niż chłodniejszego dnia. Tyle że dzień był parny – Dar podejrzewał, że wilgotność wynosiła około sześćdziesięciu pięciu procent – powietrze było zatem gęstsze, stawiając przez to większy opór i spowalniając lecący pocisk. Dar dodał te wszystkie czynniki do swojego równania zasięgu i ostatecznie wyszło mu dokładnie tysiąc sześćset metrów. Podczas tych obliczeń przez cały czas żałował, że nie ma przy sobie lornetki Leica z laserowym dalmierzem. Pomnożył zasięg (czyli 1,6 kilometra) przez prędkość wiatru (czyli 2,4 kilometra na godzinę), podzielił przez piętnaście i zastosował wynik jako poprawkę dla celownika.

Czekał.

Na sekundę czy dwie przed spodziewaną akcją zdał sobie sprawę z absurdalności sytuacji. Przy tym zasięgu i z tą amunicją uwzględnienie samej grawitacji oznaczało, że Darwin mierzył właśnie w punkt, który znajdzie się niecałe pięć metrów nad oknem pojazdu. Cel będzie się poruszał prawie pod kątem prostym do jego pola ostrzału, co nie było złe, jeśli jednak Yaponchik wyhamuje przy ostrym zakręcie do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, Dar będzie musiał naprowadzać poruszającego się suburbana jeszcze przez ponad sześć metrów. Obliczył, że będzie miał zaledwie około dziesięciu, jedenastu metrów od momentu, w którym samochód stanie się widoczny, do chwili jego dojazdu do celu. Nie mógł go „śledzić”, trzeba go zatem będzie „złapać w pułapkę”, co oznaczało w praktyce, że suburban i pocisk przeciwpancerne muszą równocześnie przybyć do punktu celowania. Na szczęście chevrolet był duży. No tak, Dar powinien jeszcze wziąć pod uwagę ostrzeżenie Sydney...

– Teraz! – zawołała kobieta.

Akurat wypuszczał powietrze, więc teraz je wstrzymał i delikatnie nacisnął spust. Starając się ignorować odrzut, strzelał raz za razem, celując w to samo miejsce przy kamieniu. Mierzył, strzelał, mierzył, strzelał, mierzył, strzelał... W pewnym momencie kątem oka dostrzegł coś ciemnego i znów wystrzelił.

– Trafiony! – powiedziała Syd.

– Tylko raz? – spytał Minor, podskakując na równe nogi i sprawdzając efekt swoich poczynąń przez celownik Redfield lżejszego M40.

Chevrolet suburban przechylił się na prawo i zarył prawą przednią częścią boczną nadwozia, tuż za kamieniem, który Darwin wybrał sobie jako cel. Patrząc przez celownik, odnosił wrażenie, że chybił kabinę, ale chyba trafił za to dwoma pociskami w wielki blok cylindrów V-8. Maskę zdmuchnęło, lecz przednia szyba pozostała w miejscu, poprzecinana mnóstwem pęknięć. Trzecia kula rozwaliła lewe tylne koło; zresztą Dar przypuszczał, że także tylną oś. Tył pojazdu płonął. Nie doszło do jakiejś potężnej, natychmiastowej eksplozji, Darwin wiedział, że jeśli zapalił gigantyczny zbiornik paliwowy sub-urbana, samochód będzie nieźle płonął. I wtedy rzeczywiście podniosły się płomienie. Dar mierzył w drzwiczki od strony pasażera, dostrzegł bowiem, że te po prawej stronie zaklinowały się przy głazie.

Przez chwilę był pewien, że Gregor Yaponchik postanowił spłonąć żywcem, gdyż pojazd naprawdę zajął się ogniem, a czarny dym wznosił się kłębami w poranne powietrze. Wtedy drzwiczki się otworzyły i Rosjanin niedbale wysiadł. Trzymał w rękach jakąś broń, ale sądząc po jej kształcie – nawet mimo migoczącego i zniekształcającego widok powietrza – nie była to wintowka, z której strzelał do Darwina ze stanowiska snajperskiego.

– Ma karabin – Dar poinformował Sydney, po czym opadł na kolana, a następnie na brzuch i spojrzał przez powiększający dziesięciokrotnie celownik „lekkiej pięćdziesiątki”. – Cholera – powiedział bardzo cicho. Twarz Yaponchika rozmazywała się w falach mirażu, niemniej Dar rozpoznał karabin po jego niezwykle magazynku o kolistym układzie na pięć naboii. – *Scharfschützen-gewehr Neun-und-sechzig* – wymamrotał do siebie.

– Co takiego? – spytała Syd, opuszczając lornetkę.

– Karabin wyborowy SSG 69, produkcji austriackiej – odparł Darwin, patrząc, jak Rosjanin odchodzi drogą, a później kieruje się stromym stokiem ku nim obojgu. Dzieliło ich teraz pole o szerokości półtora kilometra. – Znacznie lepszy niż rosyjski dragunow, którego używał w pobliżu domu. Niezwykle celny do ośmiuset metrów...

Kobieta przyjrzała mu się kątem oka. Darwin zauważył na jej twarzy szczere zainteresowanie.

– Ale twoja broń kaliber .50 ma lepszy zasięg, zgadza się?

– Tak – przyznał Dar, ponownie wstając i obserwując podchodzącego mężczyznę przez celownik. Snajper był małą figurką pomarszczoną przez dzielące ich fale gorąca.

– Możesz go zabić, zanim znajdziemy się w zasięgu jego karabinu, prawda? – spytała Sydney.

– Mogę – odpowiedział Minor. Yaponchik wszedł między słoneczniki i wysokie trawy. Podążał prosto ku nim przez rozległy, brązowawy obszar. Darwin zarzucił sobie karabin M40 na ramię, a później opróżnił kieszenie ze wszystkiego poza trzema magazynkami pocisków kaliber 7,62 milimetra. Przeskoczył głaz i ruszył ku polu. Sydney pobiegła za nim.

– Wracaj za kamień i schowaj się – polecił jej cicho.

– Odwal się – odwarknęła, choć bez gniewu w głosie. – Co to ma być, pieprzony pojedynek dwóch macho?

Darwin milczał przez moment.

– Tak, być może – odparł w końcu. – A może Yaponchik podchodzi do nas, ponieważ postanowił się poddać. Wiesz, że mógłby zniknąć w lesie i uciec na zachód.

Syd popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby nagle jej przyjaciel zmienił się w przybysza z innej planety.

– Sądziysz, że facet wzięł tego SSG 69, czy cokolwiek trzyma w ręce... i idzie do nas, aby się poddać? Może chce ci dać ten karabin jako prezent dla zwycięzcy, co?!

– Nie – odrzekł Dar. – Myślę, że chce skrócić zasięg do ośmiuset metrów, a później mnie zabić.

– Nas zabić – poprawiła go Sydney.

Minor potrząsnęła głową, spoglądając kątem oka na podchodzącego do nich Rosjanina. Yaponchik znajdował się w tej chwili jakieś tysiąc czterysta metrów od nich.

– Sydney, wróć za kamień, proszę cię.

– Powiedziałam ci, że nie, prawda? – odburknęła kobieta. – Mam wziąć kałasznikowa?

– Przy takiej odległości jest kompletnie bezużyteczny – wyjaśnił Darwin.

Syd potrząsnęła głową.

– Gdybym umiała celować z barretta kaliber .50, odstrzeliłabym facetowi łeb. To on zabił Toma Santanę.

– Wiem – przyznał cicho Minor. Obrócił się i dalej schodził po zboczu ku polu, ale zatrzymał się, widząc, że Sydney nadal za nim idzie.

– Proszę cię, Syd.

– Nie, Dar. Westchnął.

– No dobrze. Będziesz moim obserwatorem?

– Co mam robić?

– To samo, co robiłaś na skale. Trzymaj się trzy kroki za mną po mojej lewej stronie. Obserwuj go przez lornetkę. I powiadamiasz mnie, gdzie trafiam.

Kobieta pokiwała ponuro głową i oboje ruszyli w dół po stromym, kamienistym stoku. W końcu dotarli do łąki. Dar podniósł starego M40 i za pomocą celownika obliczył dzielącą go od przeciwnika odległość. Szacował wzrost Yaponchika na około metr osiemdziesiąt, dlatego jego aktualny zasięg wynosił tysiąc dwieście metrów i mało.

Minor i Sydney weszli w wysoką trawę. Brązowe łodygi uderzały ich miękko o nogi i wysypywały nasiona na bawełnę spodni. Darwin przeszedł jakieś czterdzieści pięć metrów i zatrzymał się.

– Pozwolimy mu podejść – rzucił cicho. Sydney przypatrywała się Rosjaninowi przez lornetkę.

– Ta broń wygląda na niezłą – zauważyła. Minor skinął głową.

– Firma Steyr opracowała ją dla austriackiej armii – wyjaśnił. – Ma kolbę z syntetycznego polimeru, której długość można regulować za pomocą specjalnych podkładek.

– Zawsze chciałam mieć taki – powiedziała Syd.

Dar zerknął na nią zdziwiony. W tej trudnej sytuacji zachowywała się naprawdę dobrze.

– Zdaje mi się, że ma zamontowany celownik optyczny Kahles ZF 69 – stwierdził w końcu.

– Czy to ważne? – spytała kobieta.

– O tyle, że celownik ZF 69 pozwala naprawdę bardzo celnie strzelać z ośmiuset metrów – odrzekł. – Możemy zatem oczekiwać, że Rosjanin z tej odległości odda pierwszy strzał.

– Jaki teraz dzieli nas dystans? – zapytała Sydney, znów spoglądając przez lornetkę.

– Około kilometra.

Darwin podniósł M40, przystawił kolbę do ramienia, ścisnął ją mocno w rękach i zaczął ustawiać celownik.

– Nie spiesz się – zauważyła Syd. – Do diabła, po prostu sobie spaceruje.

– Jest taki ładny dzień – stwierdził Minor, po raz pierwszy naprawdę wyraźnie dostrzegając twarz Yaponchika.

W tym momencie zabójca podniósł SSG 69 do ramienia i również zerknął przez celownik. Wciąż szedł.

– Obróć się bokiem – poprosił Darwin. Zerknął za siebie. – Nie, nie w lewo... Muszę stać w ten sposób, ponieważ jestem praworęczny i patrzę prawym okiem, a ty

masz się obrócić do niego prawym bokiem. Syd wykonała polecenie, pytając ponownie:

– Co to ma, do diabła, być? Jakiś dziewiętnastowieczny pojedynek? A ja mam własną piersią zatrzymać kulę? – Darwin nie zamierzał jej na to odpowiadać. Yaponchik zatrzymał się i szacował odległość. Minor spojrzął przez celownik i znów ocenił zasięg na mniej więcej tysiąc metrów. – Powiedz mi – poprosiła Sydney – że twój amerykański karabin jest znacznie lepszy od jego austriackiego, Dar.

– Mój karabin w porównaniu z jego to kawałek szmelcu, w dodatku stary, bo pochodzi z czasów wojny w Wietnamie. Ale – przyznał się – jestem do niego przyzwyczajony.

– Aha – mruknęła kobieta tonem sugerującym, że ma dość żartów. – Rosjanin cię namierza.

Darwin przyłożył oko do celownika. Dokładnie widział twarz Yaponchika. Z odległości kilometra nie powinno być możliwe zauważenie wszystkich szczegółów, a jednak Minor był przekonany, że widzi zimne, niebieskie oczy zabójcy. Lufa karabinu Rosjanina błysnęła.

Pocisk trafił w trawę cztery i pół metra przed Darwinem. Rozległ się odgłos przypominający rozdzieranie, a nad ziemią uniósł się obłoczek kurzu. Chwilę później dały się słyszeć głośne trzaski – dźwięki karabinu strzelającego bez tłumika. Dar obserwował, jak Yaponchik gładko naciska raz za razem spust. Niemal widział obracający się magazynek, gdy kolejna kula wchodziła do komory. W tym momencie przeżył chwilę zwątpienia. „Ile właściwie naboji mieści się w magazynku Steyra SSG 69? Pięć czy dziesięć?”. Miał świadomość, że niedługo dowie się tego, mówiąc obrazowo, na własnej skórze. Rosjanin wyjął zużyty magazynek i ostrożnie wsunął go do kieszeni spodni, tuż pod czarną kamizelką kuloodporną.

Darwin nagle przypomniał sobie, że zdjął wcześniej kamizelkę. „Niech to szlag” – przeklął w myślach, po czym spojrzął przez celownik. Zabójca znowu ruszył przed siebie.

Dar czekał. Z tej odległości strzelanie do ruchomego celu, znacznie w dodatku mniejszego niż chevrolet sub-urban, na pewno nie było dobrym pomysłem. Kiedy Yaponchik się zatrzymał i znowu podniósł karabin, Minor wstrzymał oddech i nacisnął spust.

– Nie widziałam, gdzie trafiłeś – szepnęła Syd ze swojej pozycji za Darwinem. – Przepraszam, ale nie zauważyłam...

– Widziałas gdziekolwiek przed Ruskim obłoczek kurzu? – spytał, zmieniając magazynek. Stary włożył do kieszeni bluzy.

– Nie.

– Zatem strzeliłem zbyt wysoko – powiedział Minor.

Lufa karabinu Yaponchika błysnęła ponownie.

Dar usłyszał świst kuli przelatującej mu obok prawego ucha jeszcze przed trzaskiem samego strzału. Musiał przyznać, że Rosjanin nieźle mierzył. I starał się trafić go w głowę. Zresztą Darwin i tak przecież nie miał kamizelki. Przegonił tę myśl i skoncentrował się na celowaniu i obliczaniu.

Zabójca znów strzelił. Pocisk uderzył w ziemię między Minorem i Sydney, wyrzucając na metr w powietrze kamyki i kurz. Darwin nie ruszył się z miejsca, zamrugał tylko powiekami, aby wyraźniej widzieć, po czym nieznacznie obniżył cel. Zrobiła na nim wrażenie profesjonalna płynność, z jaką Yaponchik radził sobie z karabinem; z przyzwyczajenia chował do kieszeni stare magazynki i przyjmował idealną pozycję snajperską nie podnosząc głowy znad celownika ZF 69. Strzelił. Z powodu odrzutu na kilka sekund stracił z oczu Yaponchika.

– Za blisko – jęknęła Syd.

– O ile?

– O jakiś metr – odparła natychmiast. – Ale idealnie przed Roskim.

Darwin pokiwał głową i podniósł wzrok. Usłyszał raczej, niż zobaczył wzmagający się wiatr, gdyż zaszeleściła trawa. W dodatku jego podarta bluza nieco się poruszyła. Minor dostosował celownik.

Yaponchik nacisnął spust.

„Tylko jedna kula została mu w magazynku” – pomyślał Dar i dodał w duchu: „Mam nadzieję”.

Pocisk wzbijał w powietrze grad drobinek ziemi, spadając zaledwie trzydzieści centymetrów przed Syd. Kobieta nie cofnęła się. Na szczęście gleba była w tym miejscu piaszczysta i kula nie odbiła się rykoszetem od żadnego kamienia.

Darwin usłyszał i poczuł, że wiatr wzmaga się jeszcze bardziej, zobaczył, że pionowe fale mirażu przechylają się nieco w lewo, a potem jeszcze trochę, zmieniając się prawie w linie poziome. Widząc to, oceniał wiatr na dziesięć i pół kilometra na godzinę; dostosował celownik do tego wskaźnika, przekręcając śrubę o kolejne pół kliknięcia w lewo, po czym wstrzymał oddech i wystrzelił.

– Trafiony! – zawołała Sydney. – To znaczy... tak myślę...

Dar nie musiał myśleć, wiedział. Nie wykonał wprawdzie czystego strzału w głowę i dostrzegał twarz Yaponchika wraz z wpatrzonymi w niego zimnymi, niebieskimi oczyma... Ale zobaczył tam też rozprysk czerwonej mgły.

Odnosił wrażenie, że czas zatrzymał się na długie minuty, chociaż minęła zaledwie sekunda lub dwie. Nie zdejmując oka z celownika, zdołał właśnie wprowadzić do komory następny nabój i dopiero wówczas Rosjanin upadł.

W przeciwieństwie do wielu filmów, w których postrzelonego odrzuca gwałtownie w tył na kilka metrów nawet strzał ze zwykłego pistoletu, Dar nigdy nie

widział, aby ofiara strzelaniny robiła coś bardziej dramatycznego niż załamanie się i upadek. Tak samo zachował się Yaponchik, ciągle trzymając w rękach karabin wyborowy.

– Chyba w szyję, tak sędzę – zauważyła Syd głębokim głosem.

– Tak, wiem – odparł Minor. – U podstawy gardła. Tuż nad kamizelką.

Ruszyli w stronę leżącego mężczyzny. Sydney wyjmowała akurat półautomat z kabury, kiedy Dar nagle się zatrzymał.

– Co się dzieje?! – spytała kobieta, nieco zatrwożona.

– Nic – odrzekł Darwin, po czym zarzucił M40 na ramię. Z ciekawością wyciągnął przed siebie prawą rękę, potem lewą. Żadna nie drżała. Ani trochę. – Nic – powtórzył, czując w sobie wielką pustkę, którą starał się zwalczyć. – Zupełnie nic.

Szli dalej. Yaponchik nie poruszał się. Syd i Dar znajdowali się właśnie o niecałe trzydzieści metrów od ciała i dokładnie widzieli strumyczek czerwonej krwi tętniczej na trawie oraz głowę Rosjanina odchyloną pod niemożliwych kątem w tył, kiedy niebo nad nimi wypełniło się hałasem. Oboje stanęli i spojrzeli w górę.

Dwa z helikopterów miały z boku oznakowania piechoty morskiej, a trzeci litery „FBI”. Ten ostatni wylądował między nimi i ciałem Yaponchika.

Minor odwrócił się do Sydney, oderwał rzepy na bokach jej kamizelki, zdjął jej ten ciężki strój przez głowę, a potem chwycił przyjaciółkę w ramiona. Wszędzie wokół nich trawa kołysała się szaleńczo z powodu obracających się łopat wirników helikoptera.

– Kocham cię, Dar – powiedziała Syd. Jej słowa utonęły wprawdzie w ryku silnika, były jednak dla niego idealnie zrozumiałe.

– Tak, tak – odparł cicho i czule ją pocałował.

Rozdział dwudziesty szósty

Z JAK ZOO

Dziesięć dni później, w niedzielny rano, telefon w mieszkaniu Dara zadzwonił o wpół do szóstej rano.

– Cholera – wymamrotał sennym głosem Minor.

– Jasna cholera – dodała Sydney, unosząc się i podpierając głowę na łokciu.

– Wybacz mi – powiedział Darwin, po czym chrząknął lekko z bólu wywołanego przez szarpiące szwy w boku. Sięgnął po telefon przez nagie piersi przyjaciółki. Dziwnie się czuł, leżąc podczas takich rozmów na brzuchu. Nigdy nie nauczył się spać w tej pozycji, ale gojąca się bardzo powoli rana tuż pod pośladkami nie pozostawiała mu wyboru. Syd twierdziła, że wcale jej nie przeszkadza, iż Darwin czasem budzi się z krzykiem i przeklina głośno, ponieważ zapomniał się i przekręcił na bok albo na plecy.

Kula w boku nie była wielkim problemem. Lekarz pogotowia zastosował miejscowe znieczulenie i w piętnaście sekund wydłubał pocisk.

– Płytko wszedł – powiedział. – Wystarczyłby pilniczek.

Dziwnym trafem najwięcej kłopotów Darwin miał z uchem. W przyszłości będzie musiał poddać się niewielkiemu zabiegowi chirurgii plastycznej. Teraz nie dość, że leżał na brzuchu, to z przyzwyczajenia przyłożył słuchawkę do niewłaściwego ucha.

– Dar Minor, słucham – powiedział.

– Z tej strony Lawrence Stewart – odrzekł wesoło Larry. – Darwinie, musisz to zobaczyć...

– Nie, nie muszę – odwarknął Minor.

– Ależ musisz, Dar – wtrąciła Trudy. Połączenie brzmiało jak z komórki. – Zaufaj nam. Nieźle się namęczysz przy rekonstrukcji. Weź z sobą zarówno lustrzanekę, jak i cyfrówkę.

Darwin westchnął. Sydney naciągnęła koc na głowę i westchnęła jeszcze ciężiej niż on.

– Gdzie jesteście? – spytał Minor, mówiąc sobie, że jeśli znajdują się ponad piętnaście kilometrów od niego, nie ruszy się z łóżka.

– Ogród zoologiczny w San Diego – odparł Lawrence. Najwyraźniej odebrał żonie telefon.

– Jesteście w zoo?

Syd podniosła twarz znad koca i bezgłośnie powtórzyła słowo „zoo”.

– Tak, w zoo – przyznał Stewart. – Wierz mi, nigdy sobie nie wybaczysz, jeśli cię to ominie. – Darwin znowu westchnął. – Pospiesz się – dorzucił Lawrence. – Powitaj też ode mnie Sydney i ją również zaprosz do zoo – dodał, po czym się rozłączył.

Minor spojrział na przyjaciółkę, która wzruszyła ramionami; Dar od początku uważał, że Syd ma piękne ramiona.

– Dlaczego nie? – spytała. – I tak przecież już nie śpimy.

– Jest niedziela – przypomniał jej Darwin. – Mamy taką tradycję... że inaczej spędzamy niedzielne poranki.

Sydney roześmiała się.

– Tradycja? – zawołała wesoło. – Jeden niedzielny poranek. Wielka mi tradycja.

Dotknął jej policzka.

– Myślę, że to już jest tradycja – odparł cicho. – Weźmiemy razem prysznic?

– Słyszałam, jak Lawrence prosił, żebyśmy się pospieszyli – odrzekła kobieta.

– W porządku – powiedział Minor. – Więc ja wezmę prysznic pierwszy.

Zatrzymali się przy Dunkin' Donuts, gdzie kupili kawę i pączki. Kubki z kawą były bardzo gorące i niewiele pomagało nawet trzymanie ich przez chusteczki. Darwin przekładał swój z jednej ręki do drugiej i potrząsał poparzonymi palcami. Syd też ogromnie się starała nie rozlać kawy. Do tej pory wiedziała już, jak strasznie Minor jest czuły na punkcie skórzanej tapicerki acury NSX.

– Zdecydowałeś się w końcu? – spytała, kiedy podjeżdżali pod wejście do ogrodu zoologicznego.

– Na co miałem się zdecydować?

– Wiesz, na co. Mówiłeś, że dasz mi odpowiedź do niedzieli. A dziś właśnie jest niedziela.

Sydney skupiła się na popijaniu wciąż gorącej kawy. Bała się oblać, zwłaszcza że sportowe auto Dara wjeżdżało szybko pod górę. Minor westchnął po raz kolejny.

– Nie wiem, czy... – zaczął.

– No dalej – ponagliła go Syd. – Czytałeś zeznania Dallasa Trace'a, Constanzy i tego Rosjanina, który przeżył...

– Tego, którego uratowałeś, tamując mu krwotok własnym paskiem. – Darwin wypowiedział to zdanie z nostalgią.

– Zgadza się – odparła Sydney. – Tak czy owak, czytałeś ich zeznania. Ta grupa oszustów... Przymierze... okazała się niestety większa, niż się spodziewaliśmy.

Musimy wyłapać drani w Nowym Jorku, a następnie w okolicach... Miami.

– Nie potrzebujesz mnie tam – odparł Dar. W otwartej bramie prowadzącej do zoo stały radiowozy policyjne. Do acury podszedł umundurowany patrolowy, zerknął w szybę, pozdrowił Minora i gestem dał mu znak, że może przejechać.

– Rzeczywiście nie potrzebujemy cię – przyznała Syd – tyle że teraz tę operację

prowadzą łącznie Narodowe Biuro do Spraw Przestępstw Ubezpieczeniowych i Federalne Biuro Śledcze. Akcja jest ogólnokrajowa i pewnie byłoby dobrze mieć cię w ekipie. Spróbuj chociaż przez rok.

– Nienawidzę broni palnej – wyjaśnił Darwin, skręcając na parking. Widział isuzu troopera Stewartów zaparkowanego obok ambulansu koronera i pięciu radiowozów.

– Nie musiałbyś nosić pistoletu tylko ze względu na działalność w specjalnej ekipie dochodzeniowej – naciskała Sydney. – Po prostu siedziałbyś w domu... gdziekolwiek to będzie... i przeprowadzał swoje analizy i rekonstrukcje komputerowe, ja tymczasem popracuję w terenie. A później, wieczorem, powieszę swoją kaburę podramienną na oparciu krzesła i pokochamy się przed kolacją...

– Nie nosisz kabury podramiennej – zauważył Minor.

– Psiakrew, Dar. Nie czepiaj się szczegółów.

Darwin zaparkował samochód, wysiadł i owiewani ciepłym, lipcowym wiatrem ruszyli ku odległemu blaskowi żółtej taśmy otaczającej miejsce wypadku.

– Syd – odezwał się cicho – dlaczego mi nie powiedziałaś, że prawie spieprzyłem wam całe śledztwo?

Kobieta dopiła kawę, wrzuciła kubek do kosza i popatrzyła na niego uważnie.

– Mówisz o zdjęciach? I o ustaleniu telefonicznego numeru do kryjówki Rosjan? Nic się nie stało, Dar. Fotografie Constanzy, której Lawrence użył do identyfikacji zabójcy Esposito, zrobili faceci z FBI podczas obserwacji domu Dallasa Trace'a.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś i...

Sydney dotknęła jego ręki.

– To nie ma znaczenia, Darwinie – powiedziała spokojnie. – Obrona mogłaby użyć tego argumentu, gdybyśmy jakoś wykorzystali twoje zdobycze podczas aresztowań, ale prawnicy przestępców nigdy się nie dowiedzą o nielegalnie zdobytych zdjęciach czy numerach telefonicznych. Federalne Biuro Śledcze zebrało taki sam materiał, oczywiście legalnie...

– Ale o mało wszystkiego nie spieprzyłem...

Syd zatrzymała się. Dara zaskoczyło, że uśmiechała się do niego czule.

– Popatrz na to w inny sposób, drogi doktorze Minor. Teraz nie musisz zeznawać w żadnym z tych procesów... po prostu wyślij rekonstrukcje wideo kilku wypadków Lawrence'owi. W ten sposób będziesz mógł w sierpniu pojechać na Wschodnie Wybrzeże z ekipą dochodzeniową i ze mną.

– Nowy Jork w sierpniu – powiedział Darwin i natychmiast sobie uświadomił, że jego ton mógłby świadczyć o podjętej decyzji.

Sydney ścisnęła mu dłoń, a następnie ruszyli w stronę żółtej taśmy otaczającej wejście do klatki jakiegoś dużego zwierzęcia. Wszędzie wokół stała policja.

Asystentka dyrektora zoo próbowała wyjaśnić sprawę.

– Carl opiekuje się Emmą od piętnastu lat... ponad piętnastu – mówiła między jednym a drugim szlochem. Twarz miała zarumienioną i co chwilę wycierała sobie czerwony nos. – Ten człowiek naprawdę kochał Emmę. Tak bardzo się o nią martwił przez ostatnie dwa tygodnie. Wiecie, zaparcie może się dla słonia skończyć śmiercią..

– Słoń Emma – powiedział kapitan Hernandez.

– Oczywiście, że Emma jest słoniem! – odparła asystentka dyrektora, nie przestając szlochać. Kobieta nosiła długie, żółte, gumowe rękawiczki. Znajdująca się obok w klatce wspomniana słonica zatrąbiła tak smutno, jak matka Dumbo przywołująca swojego malca. – A teraz... teraz... prawdopodobnie trzeba ją będzie uśpić – dodała, żałośnie opuszczając ramiona.

Hernandez poklepał zdenerwowaną kobietę po plecach. Lawrence, Trudy, Dar, Syd i pół tuzina mundurowych zebrało się wokół sterty ekskrementów słonia. Kupa miała prawie metr wysokości i dwa metry długości, a spod jednego jej końca wystawała para ludzkich nóg w spodniach khaki, które przywodziły na myśl uniformy pracowników zoo.

– To mi trochę przypomina tę scenę z *Parku Jurajskiego* – zauważył jeden z policjantów cicho, lecz tonem rozbawienia.

– A mnie odcinek *Klaun Chuckles* ze starego serialu *Mary Tyler Moore Show* – dorzucił drugi, poprawiając kaburę przy pasie. – Jak to Murray Slaughter powiedział w tym odcinku? Coś w tym rodzaju: „Mamy szczęście, że nikt więcej nie umarł. Wiecie, jak trudno jest poprzestać na jednym”.

– Aha, wtedy Chuckles był przebrany na parady za fistaszka i słoń postanowił go wyłuskać z łupinki – zaśmiał się pierwszy policjant. – A ten facet z zoo nie był w orzechowym stroju.

– Nie, ale... – odparł drugi policjant, słabo próbując ratować swój dowcip.

– Och, cicho już bądźcie – warknął Darwin, po czym spytał lekarza sądowego, który klęczał przy zwłokach, badając stopy i nogi mężczyzny: – Kiedy miał miejsce wypadek?

– Sądzę, że krótko po północy – odparł lekarz.

– I jak mogło do niego dojść? – spytała Sydney. Lekarz wstał ciężko.

– Pani Haywood twierdzi, że Carl... czyli ten oto dozorca Emmy... martwił się od kilku dni o zaparcie swojej słonicy. W końcu ubiegłej nocy mniej więcej trzy godziny po zamknięciu zoo zmieszał mocny środek przeczyszczający z płatkami owsianymi i dodatkiem innych zbóż. Przesadził jednak z mieszanką i dał słonicy zbyt dużo.

– Oj tak, zbyt dużo, jak rany – mruknął trzeci policjant.

– Jezu – powiedział najmłodszy z mundurowych.

– Słyszałem o niepowstrzymanych wymiotach, ale nigdy nie widziałem, że można...

– Zamknij się, człowieku – przerwał mężczyźnie Minor. Wszyscy policjanci popatrzyli na niego z niechęcią. Nieźle się tu bawili.

Trudy zrobiła zdjęcia, Lawrence zmierzył długie łajno.

– Dokładnie dwa metry i trzydzieści pięć centymetrów – oświadczył, jakby mierzył długość hamowania.

– Szerokość metr siedemdziesiąt. Wysokość w najwyższym punkcie mniej więcej metr.

Dar ukląkł niedaleko nóg wystających spod sterty ekskrementów. Syd popatrzyła na niego z zaciekawieniem. Minor dotknął wypolerowanego buta martwego mężczyzny.

– Prawdopodobnie ktoś go pchnął z całych sił. Upadając, uderzył w betonowe podłoże i stracił przytomność – powiedział. – No a potem się udusił. Prawdopodobnie do końca nie odzyskał przytomności.

– No to lepiej dla niego, jak sądzę – wtrącił młody policjant z szerokim uśmiechem. – Wyobraźmy sobie nasz raport...

Darwin podniósł się tak szybko, że młody policjant z zaskoczenia zrobił dwa kroki w tył, a jego prawa ręka mimowolnie opadła na pistolet.

– Mówiłem ci, żebyś się uciszył, i nie będę więcej powtarzał – warknął Minor. Wyciągnął przy tym palec i wycelował go młodemu mundurowemu w twarz. Funkcjonariusz próbował się uśmiechnąć pogardliwie, niestety efekt zniszczyło drżenie jego warg. – Nie pstrykaj więcej fotek, Trudy – powiedział Dar. – Jeszcze nie. Proszę.

Sydney nie przestawała mu się przyglądać. Darwin podszedł do szlochającej asystentki dyrektora, pożyczył od niej żółte rękawiczki, włożył je, po czym wrócił do stosu łajna i zaczął grzebać w dalszym końcu ostrożnie, niemal z szacunkiem.

Nagle zaczął bezgłośnie płakać. Po jego policzkach spłynęły łzy, a ramiona mu się zatrzęśły.

Policjanci popatrzyli na siebie nawzajem i zakłopotani cofnęli się o kilka kroków. Lawrence zerknął na żonę.

– Larry, podałbyś mi tego węża? – spytał Darwin. Jego ramiona wciąż nieznacznie drżały, a palce w żółtych rękawiczkach wyraźnie się trzęsły.

– Lawrence – odburknął Stewart, niemniej przyniósł kapiącego wodą węża.

Dar odgarnął palcami łajno z twarzy nieżyjącego mężczyzny, a resztki spłukał jak najdokładniej wodą. Sydney zbliżyła się do sterty ekskrementów. Martwy pracownik zoo okazał się bardzo przystojnym człowiekiem pod sześćdziesiątkę, o krótkich,

falujących, siwych włosach. Wyglądał, jakby spał – znacznie spokojniej niż większość zwłok wystawianych na widok publiczny w domach pogrzebowych. Minor przemył mu ponownie twarz wodą i delikatnie usunął ostatnie kawałki łąjna.

– Pani Haywood – spytał asystentkę dyrektora – jak się nazywał ten pracownik?

Słonica Emma zatrąbiła ze smutkiem w klatce obok. Odgłos skojarzył im się z kobietą płaczącą z powodu straty dziecka.

– Carl – odparła Haywood. Minor potrząsnął głową.

– Chodzi mi o imię i nazwisko.

– Carl Richardson – wyrecytowała asystentka dyrektora. – Nie miał żadnej rodziny. Jego dorosła córka zginęła w ubiegłym roku w wypadku w pobliżu wulkanu gdzieś na Hawajach. Emma była jego jedyną... Zawsze próbował... – Kobieta znów przerwała. – Dzielił go tylko miesiąc od emerytury – wydukała po chwili. – Bardzo się martwił, jak Emma sobie bez niego poradzi.

Darwin pokiwał głową, po czym popatrzył na Lawrence'a i Trudy.

– Możecie porobić teraz zdjęcia – powiedział. – I zapiszcie nazwisko mężczyzny. Carl Richardson.

Stewart skinął głową i zaczął pstrykać fotografie. Minor wstał, zdjął rękawiczki i rzucił je na beton.

– Nazwiska są ważne – rzucił, jak gdyby do siebie. – Nazwisko jest...

– Elementem poznania i symbolem różnicy poszczególnych natur – dopowiedziała Syd.

– Sokrates – podsumował Dar. Zabrzmiało to jak końcowe błogosławieństwo. Następnie odwrócił się tyłem do grupy ludzi i ruszył do najbliższej toalety, aby się umyć.

Kiedy wyszedł z podwiniętymi rękawami, jego ręce, ramiona, twarz i szyja pachniały mydłem w płynie. Sydney czekała na niego na zewnątrz.

– Przepraszam – jęknął, podchodząc do przyjaciółki.

– Cicho – odparła Syd. – Jest ładny niedzielny poranek, a zoo jeszcze nie otworzyli. Może się trochę przejdziemy, zanim wrócimy do domu? Jedyna rzecz, której nie cierpię w ogrodzie zoologicznym, to tłumy.

Minor pokiwał głową. Sydney wzięła go za rękę i ruszyli w dół szeroką lecz krętą ścieżką asfaltową. Promienie jaskrawego, letniego słońca rozświetlały liście posadzonych tu drzew tropikalnych do niesamowitych odcieni zieleni. Gdzieś zaryczał lew albo tygrys.

– *Hesma fobou* – odezwała się po chwili Syd. Zatrzymali się w cieniu drzewa

o licznych rozłożystych konarach, porośniętych maleńkimi listkami. Na pobliskiej wysepce małe małpki skakały z gałęzi na gałąź niczym idealnie zsynchronizowane ze sobą baletnice.

– Co takiego? – spytał Darwin, dziwnie jej się przyglądając.

– *Hesma fobou* – powtórzyła kobieta. – Czytałam o twoich Spartanach. Płacz po bitwie... upadek na kolana... roztrzęsione ręce... drżące ciało. *Hesma fobou*, czyli „wyzbycie się strachu”.

– Zgadza się – odparł Minor.

– Nie uważano tej reakcji za słabość – kontynuowała Sydney. – Wydawała się wtedy konieczna. Po bitwie uwalniasz się od najgorszego rodzaju demona strachu. Demona obojętności. – Dar kiwnął głową. – To trwało zbyt długo, mój drogi – dodała i ścisnęła dłoń Minora.

– I nigdy nie zapominali imion ludzi, którzy odeszli – szepnął. Wahał się kilka sekund, zanim znów się odezwał: – Imię mojej żony brzmiało Barbara, a mojemu synowi było na imię David. – Syd pocałowała go. – Jest ładny dzień – ciągnął. – Cieszymy się przez jakiś czas wizytą w zoo, a potem wrócimy do Lawrence’a i Trudy. Możemy zjeść z nimi śniadanie w jakimś lokalu z ogródkiem.

– Lawrence’a – powtórzyła Sydney.

Darwin uniósł nieznacznie brwi.

– Nazwałeś go Lawrence’em – wyjaśniła. – Nie Larrym, lecz Lawrence’em.

– Imię jest ważne – odparował. Syd uśmiechnęła się.

– Przejdźmy się więc, dobrze?

Uszli najwyżej dziesięć kroków, gdy usłyszeli za sobą jakiś hałas. Oboje równocześnie się odwrócili.

Jedna z mniejszych małp przeliczyła się nieco i skoczyła na zbyt cienką dla niej gałąź, ta złamała się i małpka przez moment spadała z wysokości przynajmniej dwunastu metrów, usiłując się po drodze schwycić wszystkimi kończynami rosnących niżej gałęzi. Niestety, poszczególne gałęzie się łamały, równocześnie jednak wyhamowywały zwierzę i osłabiały jego upadek. Kiedy w końcu małpka spadła, wydawała się jedynie zdziwiona i zaskoczona, po czym skuliła się na betonowej podstawie małpiej wyspy i zadrzała. W końcu usiadła, lecz pozostawała skulona niemal w pozycję embrionalnej. Po dziecięcemu ssała kciuk. Słońce oświetliło jej głowę i ciało małpki zadrzało jeszcze mocniej.

Wokół małpki jeszcze przez jakiś czas gęsto spadały kolejne gałązki i liście. Ponad nią wszystkie inne małpy trajkotały, piszczały, bełkotały, co w sumie brzmiało jak dziki i bezmyślny śmiech. Inne zwierzęta również podniosły hałas, rycząc, warcząc, szczekając i rżąc, aż całe zoo zmieniło się w olbrzymią kabinę pogłosową. Tylko słonica Emma bez końca smutno trąbiła, stanowiąc samotny kontrapunkt dla

chaotycznego i histerycznego chóru.

Dar popatrzył na Syd. Kobieta ponownie chwyciła go za rękę, uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową.

Pozostało im jeszcze wiele pytań bez odpowiedzi, lecz rozwiązali już sporo zagadek, toteż spokojnie ruszyli ścieżką przemieszczając się od cienia przez światła znów do cienia.